PRZEGLĄD

POWSZECHNY

Błogosławiony lud, którego **Panem**
Bóg jego. *Ps. 143.*

ROK TRZECI. — TOM X.

KWIECIEŃ, MAJ, CZERWIEC.

1886.

KRAKÓW.
Druk Wł. L. Anczyca i spółki,
pod zarządem Jana Gadowskiego.
1886.

WAŻNIEJSZE OMYŁKI DRUKU.

Str.	86	**wiersz**	27	*zamiast:*	Le Mam	*czytaj:*	Le Mans
„	189	„	10	„	Elbing	„	Elbląg

CHRZEŚCIJAŃSKI MĄŻ STANU.

Don Gabryel Garcia Moreno.

Życie jest probierzem nauki — niekiedy i komentarzem. Zasadom katolickim nigdy tego probierza i komentarza nie brakło. Chrześcijańska cnota w życiu rodzinnem i obywatelskiem — jakiej wdzięczny typ przesunął się w „Przeglądzie“, w osobie księżnej Galicynowej [1] — nie jest, Bogu dzięki, rzadkością w dzisiejszem społeczeństwie. Harmonia głębokiej nauki ze szczerą wiarą, której wizerunek widzieliśmy w „Prawdziwym uczonym“ [2], jest może rzadszą, bo *scientia inflat*, lecz i ona nie mało w naszych czasach liczy przedstawicieli. Atoli gdzież szukać typu zgodności zasad Ewangelii z życiem publicznem? Encyklika *Immortale Dei* przedstawiła nam ideał chrześcijańskiego państwa: cały świat, przyjaciele i nieprzyjaciele, uznali podniosłość i piękność tej nauki. Ale czy ten ideał może się wcielić w życie, wśród takich czasów jak nasze? czy jest możliwy w XIX. wieku mąż stanu katolicki? a jeśli jest możliwy, jakież mogą być skutki jego działalności?

Taką właśnie postać chrześcijańskiego męża stanu, żywy komentarz do Encykliki Leona XIII., chcemy przedstawić. Gdzież jej będziemy szukać? Europa dzisiejsza, choćby była mniej uboga, niż jest w takich ludzi, nie byłaby odpowiednem dla nas polem do podobnego studyum. Sąd historyczny wymaga odległości — jeśli nie czasu, to przynajmniej miejsca — ażeby się było po za sferą namiętności i stronnictw, jakie każda polityczna działalność wznieca. Przenieśmy się więc myślą za morza, do tej Ameryki południowej, gdzie ziarno

[1] Ob.: „Przegląd powsz.“, styczeń 1885. T. V., str. 20.

[2] Ob.: „Przegląd. Powsz.“, czerwiec 1885. T. VII. str. 190.

naszej cywilizacyi, przed czterema wiekami, przez kwitnącą wówczas Hiszpanię przeniesione, na tle bogatej natury i bezmiernych pampasów swobodnie się rozwija.

I tu warunki trudne, bodaj czy nie trudniejsze od naszych. Na tej bujnej ziemi i chwasty starej Europy rozkrzewiły się z niesłychaną wybujałością, nie zostawiając piędzi wolnej ziemi dla dobrego ziarna. Duch podziemnych knowań przetrawia tu do szpiku chylące się do coraz większego upadku państwa, wolnomularstwo kwitnie, bezbożność się panoszy, przewroty rewolucyjne powtarzają się bezustannie. Powoli, wśród ciągłych zamieszek i wojen bratnich, nikną szczątki dawnej, hiszpańskiej oświaty. Postępy i podboje tak świetne starej cywilizacyi, zatrzymały się, odkąd krzyż przestał być godłem rządzących. Pod znakiem zbawienia nawrócone plemiona, cofnęły się do barbarzyństwa, gdy zabrakło misyonarzy, aby ich utrzymywać w karbach obowiązków i przykazań chrześcijańskich.

Zauważyć należy, iż stosunkowo same tylko nadmorskie pasma wybrzeży amerykańskich są dziś zaludnione i cywilizowane. W głębi kraju gdzie dziś olbrzymie przestrzenie pustkowiem stoją, w minionem stuleciu oświata chrześcijańska coraz dalej swe zagony rozszerzała. Misyonarze, mianowicie Ojcowie Jezuici, zakładali wśród Indyan gminy chrześcijańskie zwane Redukcyami, a wraz z podniesieniem moralnem tubylców szła w parze i cywilizacya, i uprawa roli i naprawa klimatu karczowaniem lasów, osuszaniem bagien. To co Benedyktyni dla Europy w X. i XI. zdziałali wieku, powtarzało się teraz za przyczyną Jezuitów w Ameryce południowej. Z ich wypędzeniem w końcu przeszłego wieku, wstrzymał się odrazu postęp oświaty. Państwa straciły krocie obywateli, przez stopniowy powrót Indyan do dzikości. Po dziś dzień mają się oni wprawdzie za chrześcijan, zaprzeczenie tego tytułu za największą uważają sromotę, ale stracili zmysł chrześcijański, poczucie zobowiązań wiary. Ameryka południowa liczyłaby dziś dwa razy większą ludność, gdyby cywilizacya chrześcijańska w tym samym co w zeszłym wieku była postępowała stosunku. Wszędzie dziś widnieją materyalne nawet skutki religijnego ucisku; kwitnące osady upadają; dość np. przypomnieć, iż w Argentynie, przy ujściu Parany, z trzydziestu wielkich osad niegdyś przez katolickich misyonarzy założonych, w r. 1859 zaledwo pozostało ich dwie, a z 60 kościołów w jednej tylko okolicy zacho-

wało się siedm walących się kaplic! Pijaństwo, niemoralność, bratobójcze walki, waśnie plemienne, zmniejszają wciąż ludność miejscową, napływowa nie starczy, aby powetować tego rodzaju straty, tem bardziej, iż emigracya zwykle męty zagraniczne przynosi na obce zagony. A gdy się to dzieje na ostatnich szczeblach społecznej skali, u góry panuje coraz większy rozstrój i zamęt. Brazylia dolicza ostatnich dni monarchicznych, Kolumbia się rozpada wśród dezorganizacyi ogólnej, Peru nie lepszy przedstawia widok, Chili na pruską modłę zaborcze, anormalnie wzrasta, korzystając z słabości sąsiadów, jedno tylko wspólne hasło łączy te wszystkie różne i różnorodne państwa, oto nienawiść do Kościoła: *Kulturkampf*, niemal wszędzie jest dziś na porządku dziennym. Prześladowanie religijne się upowszechnia, w imię wolności i tam wolność sumienia bywa zakwestyonowaną, bezkonfesyjne szkoły sposobią nowe, bez zasad wiary chowane pokolenia, aby światu nową przyszłość zgotować. Biskupi nieraz idą za kraty lub na wygnanie; ten sam los spotyka i świeckie i zakonne duchowieństwo. A jednak dzieło spoganienia nie jest snadź tak stanowczem, nie sięga dość głęboko, aby nasienie chrześcijańskie wyrwać z korzeniem. Nie darmo tu panowała katolicka Hiszpania, nie darmo pracowali apostołowie Prawdy. Ziemia uprawiona tylu znojami gotowa i dziś wydać bogate żniwa; pobożna i wierząca, byle odnowiono dawne warunki pomyślnego rozwoju i bytu dla uszlachetniających Kościoła wpływów.

Wymowny tego przykład znajdujemy u stóp Kordylierów, w rzeczypospolitej Ekwadorskiej. I tam przed ćwierć wiekiem nie lepiej się działo jak w pogranicznej Kolumbii lub Peru, i tam powtarzały się rewolucye, spiski, knowania podziemne, liberalizm siał nasienie niezgody, kraj moralnie i materyalnie upadał. Nagle przeszedł tędy mąż Boży, który Bożą całem sercem popierając sprawę, i ojczyznę za jednym zachodem dźwignął. Mierząc wszystko łokciem naszych ciasnych, europejskich poglądów, mało się zajmujemy tem, co się gdzieś za morzami dzieje, zaledwie też z geografii wiedzieliśmy coś o istnieniu rzeczypospolitej Ekwadoru, gdy w tem, przed kilkoma laty, jęły dochodzić z za Oceanu zdumiewające wieści, iż tam gdzieś pod śnieżnemi Chimborasa szczytami, znalazł się rząd szczerze katolicki, który zaprotestował sam jeden przeciw grabieży i zaborowi Rzymu, że ideał państwa chrześcijańskiego odżył

w XIX. wieku w dalekiej Ameryce, że poświęcenie uroczyste całego kraju Najświętszemu Jezusowemu Sercu zwiastowało tam nową erę pomyślności i pokoju. Atoli zaledwie doszło nas imię twórcy tych niebywałych za dni naszych cudów, Prezydenta rzeczypospolitej Ekwadoru, Garcii Moreno, już sztylet masoński to szlachetne przecinał życie, i męczeństwem je uwieńczał. Warto się przypatrzyć bliżej tak rzadkiemu w wieku naszem zjawisku, warto odtworzyć wizerunek postaci, która tak promienny po sobie ślad zostawiła, na zaciemnionem tle politycznego widnokręgu. Wbrew powszechnemu odstępstwu od Boga i jego zakonu, Garcia Moreno wychodzi z pewnika, iż cywilizacya nowożytna jest córką katolicyzmu, i że jako taka, skazaną bywa fatalnie na znikczemnienie i upadek, ilekroć się od zasad katolickich odłączy. Mąż innej miary i innego wieku, budował on na podwalinach czysto chrześcijańskich, wywieszał sztandary wiernej dla kościoła uległości, opierał ziemskie dzieła o niebieskie nadzieje, mnożył błogie w skutkach instytucye, a jednocześnie najobfitsze, nawet doczesne zbierał swych znojów owoce. Pod wpływem szlachetnego Prezydenta rychło nastąpiło moralne i materyalne odrodzenie całego kraju. Tym dziełom i tej postaci dziś nam hołd składać przychodzi. Będzie to jeden z najskromniejszych wieńców na grobie tego, którego Pius IX. uczcił łzami i wyjątkowym w Rzymie pomnikiem, a któremu po chórze pochwał pism katolickich, rzewną poświęcił biografię ostatni potomek Goetza von Berlichingen, dziś w suknię zakonną synów św. Ignacego obleczony. Nie każdemu danem zająć wysokie stanowisko, i pchnąć swój kraj na inne tory; każdemu atoli w dzisiejszych czasach przypaść może w udziale wyznawstwo prawdy; każdemu przyda się wiedzieć jak można być w XIX. wieku katolikiem i w życiu publicznem, i jak zasady katolickie są nietylko prawdziwe ale i życiodajne.

Rzeczpospolita Ekwadoru, po hiszpańsku *Ecuador'em* zwana, jest najmniejszem z państw południowej Ameryki, co nie przeszkadza, iż równa się przestrzenią z Austro-węgierską Monarchią, tak olbrzymie są rozmiary geograficzne innych części świata, w porównaniu z naszą starą i małą Europą. Gdy bowiem Austro-Węgry obejmują 624.230 kilometrów kwadratowych, Ekwador z wyspami

Gallapagos dolicza się 650.938 kil. kwad. Ale za to różnica zaludnienia olbrzymia. Kiedy Austrya ma przeszło 36 milionów mieszkańców, to Ekwador posiada ich tylko półtora miliona. Zaledwie pas nadbrzeżny między oceanem Spokojnym a Kordylierami jest odpowiednio zaludniony i uprawiony. Dzikie pola na wschodnim Andów stoku pozostały dziedziną koczowniczych Indyan, i większa przestrzeń kraju dotąd nie zaznała dobrodziejstw cywilizacyi. Granice Ekwadoru stykają się na północ z Kolumbią, na południe z Peru. Od wschodu sąsiaduje z Brazylią, zachodni brzeg kąpie się w morzu. Oprócz stolicy Quito, o mniej więcej stutysięcznej ludności, głównemi punktami jest port w Guayaquil miasto Cuema i Riobamba. Śnieżno wulkaniczne Kordylierów szczyty tu bodaj najwyżej strzeliły w niebiosa: Chimboraso, Cotopaxi, Pichincha rzucają swój cień olbrzymi na kraj u ich stóp rozpostarty. Jakoż sąsiedztwo oceanu, równika i gór niebotycznych wytworzyło dla Rzpltej Ekwadoru osobne warunki klimatyczne, osobną też wzbogaciły ją florą. Wszystkie gradacye ciepła i chłodu znalazły się na stosunkowo ciasnej przestrzeni, stąd rozmaitość płodów jest tu prawdziwie nadzwyczajna, a do szalonej bujności przyrody przyczynia się nietylko wilgoć utrzymywana częstemi deszczami i liczbą rzeczek, ale nadto i stałość ciepłoty, która w każdej strefie zostaje zawsze jednaką. Stref tych aż trzy się znajduje w Ekwadorze, a geografowie nazwali je: zwrotnikową, umiarkowaną i *subandiną* czyli podgórną. W pierwszej dochodzą do niesłychanych rozmiarów tamaryndy, bambusy, mirtowe i laurowe drzewa. Pielęgnowana w naszych cieplarniach Musa roztacza tu dowolnie swe olbrzymie liście, mimozy i pasyflory dziko rosną, orchidee czepiają się skał bezziemnych, a bogactwo przyrody wszelkie przechodzi wyobrażenie. Główne źródło dochodów kraju stanowi kakao, kawa i guma. W umiarkowanej strefie przodują chinowe drzewa, paprocie drzewne, fuscye, pieprze, wszelkiego rodzaju gramina, czyli kłosiste rośliny. Nareszcie subandina, czyli strefa podgórna, już nie zdumiewa rozszalałą żyznością i wybujałością natury, niekiedy rozszerza się w spalone pampasy, błyska nagiemi wulkanicznemi pokładami, ale ma i doliny, gdzie zboża europejskie rosną w obfitości a rodzime ziemniaki, *solanum tuberosum*, tu, jako w ojczyźnie swojej nie skąpo się rozrastają. Dni tu równe są zawsze nocom, pory roku się nie zmieniają

prawie: wieczna panuje tu wiosna. Zaledwie zwarzone upałem kwiaty zaczynają więdnąć i opadać, już nowe pączki wychylają się w pobliżu. Wrzekoma zima na tem zależy, że częstsze, choć równie ciepłe padają deszcze. Słowem, pod względem klimatu i bogactwa przyrody, żaden może kraj na ziemi nie wytrzyma porównania z Ekwadorem. A i pod względem malowniczości, najpiękniejsze tu znaleść można widoki i krajobrazy. Dojazd do Guayaquil mianowicie, w tak czarujący sposób otwiera dla przyjezdnych progi Ekwadoru, że wśród wielu zachwycających wrażeń z podróży po Ameryce, to zwykło się do najlepszych zaliczać.

W tym tedy wyjątkowo od Boga uposażonym kraju, przyszedł na świat Don Gabryel Garcia Moreno, a raczej „Don Gabryel", jak go poufale zwali jego spółrodacy. Ojciec jego, z dawnej kastylijskiej pochodzący rodziny, nazywał się Gabryel Garcia Gomez, matka zaś Mercedes Moran y Moreno, była kuzynką kardynała Moreno, znakomitego biskupa Toledy. Don Gabryel urodził się w Guayaquil, w r. 1821. Rodzice jego nie byli zbyt majętni, a sześcioro dzieci wychować im przyszło. Jeden z braci został księdzem, drugi chwycił się handlu. Z trzech sióstr jedną mianowicie, nasz bohater najczulszem ukochał uczuciem: pędziła ona życie bogobojne i dobroczynne, nie opuszczając rodziców, których do końca troskliwie pielęgnowała. Przez całe życie najtkliwszy węzeł miłości i czci łączył ją z bratem Gabryelem; w ciągłym z nim pozostawała stosunku, za niego ofiarowywała swe dobre uczynki i cierpienia, w niezłomnej nadziei i przekonaniu, że ów brat ukochany do wielkich jest powołan rzeczy. Don Gabryel ze swej strony uwielbiał tę wybraną siostrę, czcił ją jak świętą, i jej modlitwom i zasługom przypisywał powodzenie swych politycznych zabiegów. Umarła na krótko przed bratem, w najpomyślniejszej jego rządów chwili. Nie rzadko w życiu świętych i innych znakomitych mężów spotkać można podobne przykłady siostrzanej miłości i opieki. Święta Scholastyka obok św. Benedykta wzniosłe na Monte Cassino zajmuje miejsce, Karolina Herschel dzieli trudy i wawrzyny wielkiego astronoma, pani Augusta Leigh osładza zgoryczone życie Lorda Byrona. Już starożytność sławiła ten ideał rodzinny, w Antygonie siostrze malując typ jeszcze wyższy od Antygony córki. . .

Odebrawszy w domu pierwsze elementarne wykształcenie, Ga-

bryel Garcia Moreno oddanym został do szkół w Quito, a ukończywszy gimnazyalne nauki, tamże przeszedł do uniwersytetu na kurs prawny. Obok jednak studyów jurydycznych, z upodobaniem uprawiał i nauki przyrodzone, do których osobny czuł pociąg. W celach naukowych podejmował nawet uciążliwe wycieczki na szczyty wulkaniczne Kordylierów, zaprawiając się do męstwa i wzgardy niebezpieczeństw. Gdy raz gwałtownie z krateru wybuchająca lawa strachem go przejęła, usiadł na samej krawędzi ognistej czeluści, aby przemódz przyrodzoną trwogę. I wytrwał na tym groźnym posterunku, choć olbrzymie głazy z otchłani z rykiem wypadały, dopóki serca nie oswoił z tak strasznym widokiem.

Pierwszy jego występ na politycznej widowni z następnej okoliczności wyniknął. Konserwatywne rządy sprawował w Quito zacny jenerał Flores, podczas gdy w Guayaquil przeciwnik jego Rocafuerte obejmował naczelnictwo partyi liberalnej. Przyszło do bratniej wojny; Flores w r. 1845 zmuszonym został kraj opuścić, zwycięzki Rocafuerte został prezydentem, a oraz rozpanoszyły się masońskie rządy. Nie ustały jednak stronnicze zapasy, podkopując się wzajemnie proklamacyami i afiszami ulicznemi. Pojawiło się między innemi ulotne pismo, wytykające błędy i winy liberalnego rządu. Rozkazano natychmiast to pismo skonfiskować i zniszczyć. Oburzony tym zamachem na wolność prasy Moreno, ukrył inkryminowaną publikacyę, i z okien uniwersyteckich w obec tłumów ludu grzmiącym odczytał ją głosem. Daremnie próbowano go na gorącym pochwycić uczynku, zdołał ujść w bezpieczne miejsce; ale już w owym młodym wieku marzył tylko, jakby piórem i bronią, słowem i krwią do ostatka bronić Kościoła i ojczyzny. Ukończywszy niebawem studya uniwersyteckie świetnym doktorskim egzaminem, wstąpił do redakcyi pewnego konserwatywnego dziennika. Nie było takiej kwestyi bieżącej, społecznej czy politycznej, którejby wówczas nie zbadał i nie rozebrał. Artykuły jego dziennikarskie zwróciły nań oczy rodaków, i niebawem rodzinne jego miasto Guayaquil obrało go swym deputowanym.

Uczestnictwo w obradach krajowego kongresu, nowe jego zdolnościom i żelaznej pracy otworzyło pole. Poznał on wielu ludzi, przekonał się, że w obozie konserwatywnym nie brakło zacnych żywiołów, brakowało tylko niestety ludzi gotowych do każdej ofiary i zbrojnych na każde niebezpieczeństwo. Za młodym był jeszcze,

aby sam wystąpić w roli reformatora. W r. 1849 upadły rządy liberalne prezydenta Rocafuerta, w jego miejsce wstąpił uczciwy ale mało zdolny don Noboa. Kraj cały zawrzał niebawem bratnią walką, zamięszanie trwało dość długo; aż nareszcie jenerał Urbina, najczystszej wody mason, ogłosił się dyktatorem i samowładnie jął rządzić nieszczęśliwą Rzecząpospolitą.

Pierwszym jego krokiem było prześladowanie wypędzonych z sąsiedniej Nowej Grenady Jezuitów, którzy w Ekwadorze szukali przytułku. Jak zwykle, ostateczne ich wypędzenie przygotowywały dzienniki, mnożące oskarżenia, szkalowania i obelgi. Garcia Moreno wystąpił w obronie zakonu, broszurą zatytułowaną: *Defensa de los Jesuitas p. G. M.* Z gorącą wymową odezwał się na wstępie: „Nazwą mię fanatykiem, powiedzą żem sam Jezuitą, skoro te karty wydaję. Wszystko mi jedno. Jestem katolikiem i dumnym z tego tytułu się czuję. Kocham Ojczyznę, i przeto mam sobie za obowiązek dla jej dobra pracować. Dlatego nie godziło mi się milczeć w sprawie zarówno wiarę mą jak i kraj mój obchodzącej, ponieważ w niej upatruję związek i z ogólnym postępem cywilizacyi i z czcią Kościoła. Zresztą zawsze powołaniem mojem i skłonnością było sprawę słabych i niewinnie uciśnionych za moją własną uważać".

Głos ten wymowny choć wielkie sprawił w kraju wrażenie — choć Jezuitów nie ocalił, i owszem na samego autora ściągnął wyrok wydalenia z granic państwa na wieczne czasy. Przy zmienności amerykańskich stosunków, nie był to zbyt groźny dodatek; tymczasem jednak musiał don Gabryel opuścić strony ojczyste i przez rok cały tułać się w górach Peruwiańskich. Wygnaniec niemałego wówczas zaznał niedostatku, dopóki nie znalazł jako prosty wiejski nauczyciel ubogich dziatek, skromnych środków utrzymania. W 1852 r. przyjazna rodzina dostarczyła mu środków na podróż do Europy. Chcąc zużytkować przymusowe *otia* wygnania, udał się do Paryża, ażeby tam z wykładów uniwersyteckich korzystać. I znów ulubione nauki przyrodzone przeważnie czas jego zajęły, a chemia jak dawniej nęciła. Ale nie zaniedbywał i innych środków rozszerzenia pojęć swych i umysłowego widnokręgu. Między innemi studyował uważnie ustrój wojskowy armii francuskiej. Choć już trzydziestego pierwszego dosięgał roku, wracał ochoczo na ławę szkolną. Czuł on dobrze ile sił, ile nauki, ile doświadcze-

nia należało wnieść za powrotem do rozdartej stronnictwami ojczyzny. Ceniąc ten drogi czas, usuwał się od czczych rozrywek wielkiego miasta. Nigdy noga jego w teatrze ni cyrku nie postała; pracował we dnie i w nocy; ale wśród tylu przeróżnych nauk, najwyższą w czasie swego paryskiego pobytu osiągnął — upewniwszy się mianowicie, że w Bogu należy szukać siły, skutku i błogosławieństwa dla każdego przedsięwzięcia. Dotąd był on żarliwym synem Kościoła, teraz serdeczną i głęboką przejął się pobożnością. Nie chcąc ani opuścić mszy codziennej, ani ominąć żadnej uniwersyteckiej godziny, niekiedy do czwartej po południu zostawał na czczo. Dni świąteczne w znacznej części spędzał w kościele, błagając Boga o pomoc dla swej Ojczyzny — dla siebie. Uczęszczał do sakramentów, i taką zachował czystość obyczajów, że najsrożsi nawet wrogowie cienia w tej mierze na niego i rzucić nie zdołali.

Początek onego rozgrzania religijnego odnosił Moreno do następnej okoliczności. Znajdował się raz śród towarzystwa swych Ekwadorskich ziomków zebranych w Paryżu. Opowiadano o jednym z nich, iż na łożu śmierci jeszcze odmawiał pomocy religijnej i kapłana odpychał. Obecni powtarzali, iż każdemu wolno iść za własnem zdaniem, jeden Moreno z ostrą wystąpił negacyą: „Źle to bardzo, powiedział stanowczo, za życia można się jeszcze wymówić lekkomyślnością i zajęciem, ale w obec śmierci odrzucać pomoc sakramentów, zaiste wielkim jest błędem“. Na to jeden z obecnych szyderczo zapytał: — Doprawdy? przyznajże się Moreno, kiedyś ty po raz ostatni był u spowiedzi? — Słowo to jak ostrzem przeszyło jego serce, bo w rzeczy samej już od dość dawna nie był się spowiadał. W milczeniu spojrzał na pytającego i opuścił zebranie. Długo przechadzał się po samotnem mieszkaniu, w gorzkiej pogrążony zadumie. Nareszcie ukląkł, ale z trudnością zdołał się modlić. Postanowił jednak zwalczyć oporne serce i generalną odbyć spowiedź. Zebrawszy myśli i wspomnienia, udał się do kościoła, i przed pierwszym kapłanem, którego zastał w konfesyonale, skruszone z całego życia złożył wyznania. Odtąd spowiadał się co miesiąc, i wszystkie swoje zamiary poddawał Bogu przenikającemu czystość jego serca i intencyi.

Tymczasem ojczyzna Moreny w coraz straszniejszym pogrążała się rozstroju. Dyktator Urbina krwawo naznaczył lata swych

rządów, nie było innych wieści prócz żałobnych odgłosów konfiskat, wyroków śmierci lub banicyi. Ucisk zacnych ludzi do ostatecznych dochodził granic. Rozrywało się szlachetne Moreny serce na tak bolesne z kraju wiadomości. W tem z rokiem 1856 nastały nieco spokojniejsze czasy pod rządami umiarkowańszego prezydenta Roblesa. Ten zezwolił na powrót wygnańca, i byłby go nawet chętnie zużytkował w jakim urzędzie. Rychło się jednak Garcia Moreno pomiarkował, iż Robles był spólnikiem i narzędziem Urbina; wolał tedy usunąć się do czasu od publicznego życia, na innem polu służąc ojczyźnie. Objął katedrę chemii przy uniwersytecie w Quito. Słuchacze od razu poznali się na tak niepospolitym profesorze i tłumnie na jego wykłady uczęszczali. Wydział nauk przyrodzonych nie posiadał ani laboratoryum, ani instrumentów, ani żadnych chemikaliów. Rząd odmawiał subwencyi, Moreno cały prawie własny poświęcił majątek na zapobieżenie tym brakom. Co więcej, chcąc rozpowszechnić nauki przyrodzone wśród szerszej publiczności, miewał publiczne odczyty o zastosowaniu chemii do przemysłu, rolnictwa i fabryk. Odczyty te dały nowy popęd rękodzielnictwu i gospodarstwu krajowemu. W uznaniu tylu zasług, Moreno niebawem obrany został rektorem uniwersytetu, a miasto Quito powołało go do godności Alkady, czyli radcy miejskiego i senatora.

Obok tych wszystkich zatrudnień, nie tracił z oczu Moreno i sztuki wojskowej. Doświadczenie go uczyło, iż tylko zdolny wódz mógł pokonać niesforne rebelizantów oddziały, i w karby ująć swywolne żołnierstwo. Rozczytywał się też nieustannie w książkach wojskowych. Słynął jako najlepszy z całego kraju jeździec, fechtmistrz doskonały, najcelniejszy strzelec. Ćwiczył się sam w obrotach lancą, tej głównej broni jazdy ekwadorskiej, przyglądał rewiom i manewrom, zbadał stan armii, jako oficer gwardyi narodowej dowodził oddziałem, ubóstwiającym swego kapitana. I tak powoli przybliżała się dlań godzina czynu. Nie było zawodu ani sfery społecznej wśród której nie dałby się już był zaszczytnie poznać. Konserwatyści przekonali się, że on jeden mógł ująć rudel skołatanej tylu burzami nawy państwowej. Postawili go więc jako swego kandydata do prezydentury. Tymczasem nowe wybuchły zamieszki. Ustanowiono prowizoryczny rząd trzech konsulów, wśród których znalazł się już i Moreno. Przyszło wkrótce do przelewu krwi. Mo-

reno stał na czele armii stronnictwa porządku; ale zaraz w jednem z pierwszych starć, naraziwszy się nad miarę został ujęty w niewolę i doraźnie skazany na rozstrzelanie. Zwycięzcy tryumf swój sutą obchodzili pijatyką. Garcia Moreno znużony bitwą zasnął spokojnie, mimo grożącego mu nazajutrz losu. Zbudziwszy się w nocy, zaczyna modlitwą sposobić się na śmierć. Wtem spostrzega, że pijane żołdactwo niezdolne pilnej nad nim sprawować straży. Przedziera się więc przez uśpiony obóz, gromadzi na prędce oddział sąsiednich wieśniaków, powraca, zwycięża, sądem wojennym przywódców buntu poskramia, dyktatorem zostaje, aż z styczniem 1861, zebrani w kongres posłowie wynoszą go jednomyślnie na prezydenta Rzpltej Ekwadoru.

Odtąd przez lat piętnaście wszystkie jego usiłowania miały na celu dobro i pożytek kraju. Trzy mianowicie raki toczyły owo nieszczęśliwe państwo: ustalona w tych stronach rewolucya, wadliwa gospodarka finansowa, nareszcie ucisk Kościoła przez zwycięską sektę. Od piętnastu lat ciągłe walki stronnicze wydawały Ekwador na łup rabusiów, którzy na to tylko walczyli, aby kraj niszczyć — i wypróżniać kieszenie zwyciężonych. Armia żyła własnym przemysłem, nie otrzymując żołdu. Garcia Moreno zaczął od uregulowania miesięcznej płacy wojskowej; zaczem wydał najostrzejsze prawa przeciw wszelkim burzycielom, sam ich wykonania strzegąc i srogie wymierzając dla przykładu kary. Uniwersytet w Quito dotąd gniazdem był spisków. Moreno postanowił złe w korzeniu podciąć. Znając stan wszechnicy i kierunek profesorów, na nowo rektorat w swoje ujął ręce, sprowadził z Europy kilku znakomitych profesorów, aby odnowić skażonego ducha starej instytucyi. Zaprowadził wśród młodzieży karność tak, iż uniwersytet, który dotąd był plagą kraju i stolicy, odrazu zmienił postać i powszechne wzbudził uznanie.

Drugą raną toczącą państwo były nadużycia finansowe urzędników. Skarb rozkradziony, dług państwowy znaczny, podatki uciążliwe, nieład i rozbój w urzędach celnych, oto co zastał Moreno obejmując rządy. Nic nie robiono dla podniesienia kraju i przemysłu, komunikacye były jak najgorsze, brak gościńców i kolei żelaznych zupełny. Lud zniechęcony niestałością stosunków, tyle tylko szukał pracy i zarobku, aby z głodu nie umrzeć. Nietylko więc należało skarbowość państwa do jakiegobądź przyprowadzić ładu, mo-

ralność urzędników podnieść, ale jeszcze wśród ludu rozbudzić uśpione poczucie obowiązku pracy i oszczędności. I znów nietylko ostre prawa szybko ukutemi zostały przeciw wszelkim przeniewierstwom i nadużyciom nietylko wzorowy nastał porządek w ściąganiu ceł i podatków, ale nadto sam prezydent przeglądał księgi, rewidował kasy, dając jednocześnie najpiękniejsze przykłady skromności i wyrzeczenia. Przez lat dwanaście mieszkał w najętej gospodzie, wiódł życie prostego obywatela, żadnego sobie nie pozwalając zbytku ani wystawności. Ale też te jego przykłady i usiłowania nie pozostały bezskuteczne. Najprzód porządkiem i uczciwością, oraz zaradnemi środkami i przedsiębierstwami tak dalece dźwignął gospodarkę finansową kraju, iż olbrzymich dokonał rzeczy, nie zwiększając wcale podatków, owszem zniżając je wielokrotnie. I dług państwowy nietylko że nie urósł, owszem udało się prezydentowi spłacić dziewiętnaście milionów, nie zaciągając nowych pożyczek. Handel zaś tak pomyślnie się pod jego rządami rozwinął, iż z roku na rok ogromny zaznaczano postęp w dziedzinie ruchu wywozowego. I tak, gdy w r. 1869 wywóz produktów krajowych wynosił nieco więcej niż czternaście milionów, w 1873 dorósł bez mała dwudziestu czterech milionów franków. Moreno głównie popierał rozwój rolnictwa, i odrazu zajął się budową dróg i mostów, aby ułatwić dowóz produktów krajowych do portów nadmorskich. Inżynierów i architektów sprowadzał z Europy i Ameryki północnej. Pod kierunkiem Braci Szkolnych otworzył wielką szkołę rzemieślniczą dla wykształcenia sobie pracowitego pokolenia rękodzielników i zarazem podźwignięcia kraju z nędzy ostatniej.

Nareszcie przyłożył rękę do najważniejszej sprawy, wyswobadzając Kościół z dotychczasowego ucisku. Zwycięzka sekta nie tylko w istnych pętach trzymała Kościół, ale podmuchem swym zarażała duchowieństwo świeckie i zakonne. Zepsucie wkradało się aż do przybytków Bożych, biskupi mieli ręce związane, rząd zawsze stawał przeciw nim w obronie złych księży i zbuntowanych mnichów. Stosunki te żywo przypominały to co się obecnie w niejednym europejskim dzieje kraju. Garcia Moreno postanowił zawrzeć konkordat z Stolicą Apostolską, i w tym celu wysłał osobnego pełnomocnika, tak dalece ufając ojcowskiej roztropności Piusa IX., iż złożył u stóp jego blankiety własnym opatrzone podpisem, z prośbą

aby papież sam wypisać raczył swe życzenia i warunki ugody. Konkordat niebawem zawartym został, a Pius IX. nieraz stawiał go za wzór najdoskonalszy podobnej umowy. Zostawił zaś wyjątkowe prawa i przywileje pobożnemu prezydentowi, równem mu się wypłacając zaufaniem. Wolność Kościoła, poparcie onego przez rząd miejscowy, udotowanie czterech nowych stolic biskupich, rozmnożenie parafij, uregulowanie dziesięcin, oto jakie były główne konkordatu artykuły.

Jednocześnie wraz z arcybiskupem z Quito zabierał się do trudnego dzieła zreformowania rozprzężonego duchowieństwa. Synod dyecezalny, zwołany w r. 1863 rozpoczął dzieło odrodzenia. Prezydent osobiście wnikał w wnętrze klasztorów, niezgodnie z swą regułą żyjących zakonników zastępował przybywającymi z Europy na głos jego Dominikanami, Franciszkanami, Jezuitami, Braćmi szkolnemi. Ostatnim powierzał zarząd szkół elementarnych, Jezuitom oddawał wyższe zakłady naukowe, wszędzie czuwał nad wykształceniem i zdrowym kierunkiem uczącej się młodzi. Reformował zarazem i sądy, usuwał przekupstwo i przedajność, słowem wszędzie bystrem wglądał okiem i mądrem zaradzał sercem. Jednocześnie stłumił w jednym roku aż dziesięć ruchów rewolucyjnych w dziewięciu różnych punktach Rzpltej. Wystarczał okrzyk, że Moreno jedzie, aby siać postrach wśród buntowników. Nadzwyczajne czyny waleczności osobistej utrwalały urok jego imienia, a wymowa pełna zapału ogrzewała serca ludu. Warto tu przytoczyć ustęp z jednej ze wspaniałych odezw, którą miał w Izbach prawodawczych na początku swych rządów. najlepiej bowiem ona maluje wewnętrzny nastrój tej podniosłej duszy i charakteru jego rządów: „Skoro mamy szczęście nazywać się Katolikami, przynależy, abyśmy się takowymi być okazywali, zarówno w życiu naszem prywatnem, jak i społecznem. Zatwierdźmy szczerość naszych słów i uczuć publicznemi czynów świadectwami. wyrzućmy z serca do ostatniego szczątka jakiebądź względem Kościoła nieprzyjaźni... W każdym czasie takiem powinno być postępowanie katolickiego narodu: atoli dziś, gdy wre sroga i powszechna wojna przeciw naszej najświętszej religii; gdy bluźnierstwa dochodzą aż do zaprzeczenia Bóstwa Chrystusowi Panu; gdy wszyscy się łączą, wiążą i zbroją przeciw Bogu i Zbawicielowi naszemu, i z łona społeczności ludzkiej wypada potok

nienawiści przeciw Kościołowi i chrześcijaństwu... tem bardziej zobowiązani jesteśmy do mężnego i rycerskiego zachowania się: albowiem w dniu bitwy stanowczej, ociężałość i lenistwo równają się zdradzie i tchórzostwu. Szczęśliwi będziem, jeśli w nagrodę otrzymamy Niebo, i błogosławieństwo z niego spływające na naszą ukochaną ojczyznę. Szczęśliwym będę ja sam, jeśli z tej przyczyny ściągnę na siebie niechęć, obelgi i szkalowania wrogów Kościoła i Boga".

Czterolecie swej prezydentury zamknął Garcia Moreno tak walnem zwycięstwem, tak rycerskiemi czyny, iż trudno było wspanialej uwieńczyć pamiętny okres pierwszych a błogich rządów jego. Dawny dyktator, filar sekty, krwawy Urbina zebrał bandę rozbójników, uzbroił kilka statków i zaczął oblegać Guayaquil, zagrażając ponownie całemu krajowi. Na tę wieść prezydent dosiadł konia, szybko przebył daleką z Quito drogę, wdarł się do obsaczonego portu, ożywił słabnące oblężonych nadzieje, a co więcej, z jednym kupieckim okrętem zwalczył flotyllę korsarzy, i ocalił kraj cały od nowej pożogi i zamieszania. Wróciwszy z tak pomyślnie zakończonej wyprawy, złożył dzierżoną władzę w ręce posłów i reprezentacyi krajowej, a choć go ogólnie powoływano do ponownego objęcia rządów, wolał wskazać wyborcom następcę po swej myśli, Don Hieronima Carrion. Sam zaś cofnął się w życie prywatne, a załatwiwszy krótką dyplomatyczną misyę w Chili, ponownie stanął na katedrze chemii w uniwersytecie stolicy. I znów do godności rektora nie bawem wyniesiony, tak skromne wśród grona uczonych zajął stanowisko, jak gdyby nie był nigdy nawą ojczystą kierował.

Ale ani Carrion, ani następca jego Espinosa, nie mogli sobie dać rady z podnoszącemi wnet głowę rewolucyonistami, których jeden tylko Moreno umiał w należytych utrzymać karbach. Wiele z dzieł rozpoczętych przez wielkiego prezydenta chromiało i nawet upadało w nieudolnych ręku jego następców. Straszne trzęsienie ziemi r. 1868 dopełniło miary kłopotów rządu i nowych nieszczęść krajowych. Do 20.000 ludzi legło pod gruzami zwalonych domów. Jęki rannych i dogorywających napełniały powietrze. Znikł porządek społeczny, bandy rabusiów obiegały pola zniszczenia, obdzierając trupów i konających, mnóstwo dzieci i dorosłych z głodu i nędzy umierało, lub popadało w szał obłąkania; korzystając z powszechnej

niedoli Indyanie, porwali się do oręża, aby wyrżnąć znienawidzone plemię hiszpańskie.

Powołano Morena na ratunek tylu ciosami skołatanej ojczyzny. Nie szczędząc sił, ni czasu, obiegał on konno dotknięte klęską miejscowości. Ratował i pocieszał jednych, karał i uśmierzał drugich, surowość jak zwykle posuwając aż do ostatnich granic sprawiedliwości. Ale też udało mu się bunt Indyan poskromić, nawiedzone wsie i miasta zaopatrzyć w żywność i pomoc konieczną; dla sierot znalazł opiekę i przytułek, wszystkim zaś dodał otuchy i serca. Wdzięczność ogólna po amerykańsku objawiła się mnogiemi pomnikami i posągami, stawianemi na cześć dobroczyńcy i wybawiciela w najuboższych nawet wioskach. Zwątlały rząd Espinozy zastąpiono regencyą trzech tryumwirów, wśród których Moreno przewodnie zajął stanowisko. W styczniu zaś 1869 r. obrano go ponownie prezydentem na lat sześć, zaczem rozpoczął się najświetniejszy i najobfitszy w błogie owoce okres jego rządów.

Stawając ponownie na czele swego kraju, Garcia Moreno uznał potrzebę przejrzenia dotychczasowych ustaw, które nie wystarczały, aby rozpoczęte utrzymać dzieło, i wymagały nowego wzmocnienia. Przedłożył tedy kongresowi projekt konstytucyi ugruntowanej na najściślejszych katolickich podstawach. Przez to samo, tak wolność narodu, jak i swoboda Kościoła dostatecznie obwarowaną być miała. Kraj cały przyjął jednomyślnie nową ustawę, ku większej wściekłości czerwonych liberałów i wolnomularzy, którzy z chrześcijańskiego na wskróś rządu i ustroju państwowego stanowczo wykluczeni zostali. Sprawiedliwość chrześcijańska, ona sprawiedliwość, która, wedle słów Mędrca pańskiego, wywyższa narody, była podwaliną nowej konstytucyi. Na szarfie prezydenta Rzpltej błyszczał złotym haftem napis: *Mi poder en la constitution*, siłą moją prawo, — a uszanowanie onych mądrych praw stało się w dwójnasób hasłem tego pięknego życia. A pod godłem prawdy i prawa, takich w owem sześcioleciu dokonał cudów, iż prawie niepodobna w krótkiej streścić ich opowieści.

I znów troskliwość swą najprzód głównie ku młodzieży zwrócił. Zanim Garcia Moreno zasiadł był na krześle prezydenta, Ekwa-

dor nie posiadał prawie szkółek ludowych. W roku jego śmierci, do 32.000 dzieci odbierało pierwsze nauki w wybornie urządzonych salach, od Braci i Sióstr szkolnych, lub świeckich nauczycieli. Do końca dni swoich, coraz to nowe budował szkółki, i jeszcze w dwóch ostatnich latach życia swego wystawił ich 94. Prócz tego, w głównych miastach kraju wznosił większe zakłady naukowe, sam je często nawiedzał, przewodniczył egzaminom, zachęcał uczniów. Do czterech wyższych gimnazyów zaprosił na nauczycieli hiszpańskich Jezuitów. W Quito założył Politechnikę z wspaniałemi zbiorami, gabinetami i laboratoryami, której zarząd oddał podobnież sprowadzonym z Niemiec członkom Towarzystwa Jezusowego. Zbudował wspaniałe obserwatoryum astronomiczne, i zaopatrzył takowe najbogatszemi przyrządami, które wielkim kosztem nabył w Monachium. Dla fakultetu medycyny sprowadził z Francyi uczonych profesorów. Założył konserwatoryum muzyczne, szkołę sztuk pięknych, wysyłającą zdolniejszych uczniów do Włoch. Nie zaniedbał wychowania dziewcząt, wezwał zgromadzenie Najśw. Serca Jezusa i Maryi do otworzenia pensyonatów; sieroty powierzył Siostrom miłosierdzia. Żadnej nie opuszczał okazyi przysporzenia swej ojczyźnie religijnych i naukowych pomocy. I tak gdy r. 1874 pruski *Kulturkampf* silnie oddziaływał na wewnętrzne stosunki Austryi, i zanosiło się, w pierwszym miejscu, na wydalenie tutejszych Jezuitów, Garcia Moreno z własnego popędu napisał do prowincyała polskich Jezuitów, O. Kautnego, ofiarując się na przypadek wydalenia Ojców z Galicyi, przyjąć ich wszystkich z klerykami i braćmi do Ekwadoru i wszystkie koszta podróży opłacić, z tym jednym warunkiem, żeby przynajmniej pięć lat w Ekwadorze pozostali.

Nie zapominał szlachetny mąż i o biednych Indyjskich plemionach: i dla nich obmyślał szkółki, schroniska, przytułki. Zrozumiał on dobrze, iż nie orężem lecz krzyżem i chrześcijańską miłością ostatecznie podbić i pozyskać ich należy. I oto nie szczędzi ofiar, aby licznych misyonarzy w głąb kraju wysyłać. Żarliwość chrześcijańska szła w parze u niego z cywilizacyjnem posłannictwem. Aby ustalić owoce chrześcijańskiej oświaty, Garcia Moreno nadał misyonarzom nieograniczone przywileje, a wiedząc, iż życie społeczne jest niemożliwem bez władzy, naznaczył owych misyonarzy na przedstawicieli rządu, oddając ich pieczy i rozkazom nowe zdo-

bycze ewangeliczne. Zaczem ubodzy zakonnicy stawali się gubernatorami okolic przez nich nawracanych, z nieograniczoną swobodą i prawem karania winnych, lub dobierania urzędników z pośród samychże Indyan. Niebywałe skutki uwieńczyły cywilizacyjne Morena zabiegi. Najdziksi Indyanie poddawali się ochotnie dobroczynnym wpływom chrześcijaństwa, koczowniczego odbiegali życia, osiedlali się w wioskach, gdzie wnet powstawały kościoły i szkółki. W jednym tylko okręgu, przeszło dwa tysiące dziatek Indyjskich nauczyło się biegle czytać po hiszpańsku, pisać, rachować i mówić. Garcia Moreno uznawał i cywilizacyjny wpływ muzyki, i w niej polecał kształcić i ćwiczyć biednych dzikich Indyan. Corocznie tysiące Indyan świeżo ochrzconych powiększały gminę chrześcijańską, mnożyły szeregi pożytecznych Rzpltej obywateli. Dla poskromienia chciwości białych i płynących stąd nadużyć, Prezydent położył tamę zamianom w naturze, które zastępowały handel wolny, z krzywdą naiwnych i wyzyskiwanych tubylców. Słowem misye w Ekwadorze jawnie udowadniały jak wielkie i błogie mogą przynosić skutki, gdy rząd nie zagradza ich rozwoju, owszem swej pomocy i poparcia udziela Garcia Moreno corocznie urzędowo przekładał kongresowi Stanów Rzpltej świetne owoce misyi, a sprawa Indyan tak go żywo obchodziła, iż nosił się z myślą założenia nowego wikaryatu apostolskiego, i projekt tego, już opracowany miał przy sobie w dniu śmierci: zaczem projekt ten krwią jego serca zbroczonym i okupionym został.

Nie samym jednak tylko poganom pragnął zanieść światło wiary. O rozniecenie jej w zastygłych chrześcijańskich sercach jeszcze mu więcej chodziło. Lud słowem Bożem rozgrzany cisnął się do kościołów po wsiach i miastach. Odbywały się wciąż z wielkim owocem misye przez Jezuitów, Lazarystów lub Redemptorystów prowadzone. Bywały i osobne misye dla wojska, a w szkole kadetów nauka religii właściwe, poczestne zajęła miejsce i godziny. Zmieniła się postać rzeczy, uczęszczano do Sakramentów śś., przez te wszystkie lata zaledwie dwa wydarzyły się przykłady śmierci bezwyznaniowej, nie ukrzepionej pociechami religii.

Don Gabriel z mądrością chrześcijańskiego polityka dobrze rozumiał, iż ziemska władza się nie ostoi tam, gdzie nie uznaną jest władza Boga i Kościoła, że jeden bunt wnet drugi za sobą pociąga.

Broniąc sprawy Kościoła w własnej ojczyźnie, chciał jej bronić i w Rzymie. Z Piusem IX. zostawał w częstych i ścisłych piśmiennych stosunkach: te dwie podniosłe dusze rozumiały się dobrze, gdy w r. 1870 sobór watykański orzekł nieomylność Papieża, Garcia Moreno rozkazał urzędowo i uroczyście obchodzić ogłoszenie nowego dogmatu. Kiedy następnie Włochy zagrabiły Rzym, Rzplta Ekwadoru jedynem była państwem na świecie, które protestowało przeciw dokonanemu gwałtowi. Europejska dyplomacya uśmiechnęła się na ten pojedyńczy protest. Natomiast setki dzienników katolickich w Europie, a wszystkie korporacye, stowarzyszenia i gminy w Ekwaderze oświadczyły swą łączność z głosem oburzenia szlachetnego prezydenta. Nie mały to kraj, odzywał się legat papieski, który zdolen na podobne podnieść się wyżyny. Z inicyatywy Morena, cały kraj postanowił niebawem składać na drodze urzędowej obfite świętopietrze w stałych, miesięcznych daninach.

W swej prostej a żywej wierze, Garcia Moreno pragnął jeszcze zrobić jeden krok więcej na drodze katolickiego odrodzenia. W duchu Piusa IX. działając, umyślił ojczyznę swą poświęcić Najświętszemu Sercu Zbawiciela. A gdy biskupi zgodzili się na to jego życzenie, postanowił i temu świętu nadać cechy urzędowe. Wniósł tedy na kongres Stanów projekt, aby tego poświęcenia dokonał sam prezydent i przedstawiciele głównych ciał Rzpltej, w imieniu całego narodu. Przez całe ośm dni trwały misye, codzień inna warstwa społeczna spieszyła przysięgać Najsłodszemu Sercu Zbawiciela dozgonną cześć, miłość i wierność. Pierwszego dnia w katedrze stolicy dziatwa owe rzewne składała śluby, drugiego dnia przyszła kolej na rzemieślników... i tak dalej, aż do ostatniego dnia, w którym sam prezydent na czele armii, donośnym głosem w imieniu narodu, klęcząc u stopni ołtarza, zaprzysiągł Sercu Jezusowemu całego kraju poddaństwo. Piękna ta uroczystość, zakończona w dniu 25 marca 1874 r., wszystkich obecnych do żywego poruszyła; a starzy wodzowie i posiwiali w służbie wojennej żołnierze, nie ukrywali łez głębokiego rozrzewnienia. Od tego dnia Ekwador nazywa się z chlubą: *La republica del Sagrado Corazon.*

(Dok. nast.)

M.

Z UKRAINY POŁABSKIEJ.

(Dokończenie).

II. Lechicka straż nad Łabą.

Zachodni Lechici ze wszystkich Słowian najbardziej rozwinęli działalność handlową i najwcześniej z nich weszli w sferę tych różnorodnych stosunków, które rodzi handel i częste znoszenie się z ludami obcemi; toć najrychlej i najdosadniej doznali na sobie ich wpływu. Nic bardziej nie kształci człowieka nad podróże i w ogóle nad zetknięcie się z ludźmi innych wyobrażeń, innego wykształcenia i innego bytu, pod warunkiem wszakże, jeśli do takiego obcowania jest się już przygotowanym fizycznie i duchowo. Postawieni w warunkach geograficznych nader przyjaznych, mając z dwóch stron przestronne bogate w dogodne porty morze, a z trzeciej wielką rzekę łączącą ich ze światem klasycznym, Zachodni Lechici mimo walk z ludami, które im zagradzały drogę zaraz w pierwszego wstępu w świat, rzucili się z zapałem młodzieńczej wiary i odwagi, nie rachującej się z przeciwnościami, w ten wir szalony życia zewnętrznego, który się przed nimi odsłonił i rozwinęli w nim rychło taką wszechstronną i bogatą działalność, tyle ruchliwości i siły, że daleko zostawili za sobą sąsiadów i wytknęli potomnym niejedną drogę na przyszłość. Wrodzone zdolności, wrażliwość i pojętność natury słowiańskiej pozwoliły im wytworzyć lub wydobyć na jaw z sytuacyi, w jakiej się ocknęli to, czegoby inne ludy mniej potężnej i bogatej inicyatywy nie spostrzegły i nie zdobyły. Ruchliwi, pełni krewkości stwarzali zupełnie inne warunki bytu w czasie, który dla leniwych i ociężałych starczyłby zaledwo na przygotowa-

nia. Widzieliśmy z jaką szybkością padały i znikały ogniska ich handlu i bogactwa, ale również szybko wznosiły się, powstawały i rozkwitały nowe; tam, gdzie dla innych nie wystarczyłyby setki lat, u nich odbywało się w dziesiątkach, a przesady w tem nie ma, skoro jak wiemy, nie oddzielne klasy lub jednostki dokonywały dzieła tego, lecz masy, lud wszystek. Przypomnijmy sobie, jak całe miasta opróżniały się z mieszkańców i stawały pustkami w porze sprzyjającej handlowi; cała ludność śpieszyła wówczas za morze, oddać się jednemu zajęciu, jednej myśli. I w tem wierną pozostała naturze słowiańskiej w ogóle, a polskiej w szczególności, co to daleka od ważenia i wymierzania miary swych pragnień lub dążności, jeśli się rzuci w jakim kierunku, to z zapomnieniem siebie, z całą duszą, z całem jestestwem, ze wszystkiemi rozporządzalnemi siłami.

Przy rzuceniu się jednak w to życie był to organizm chybki, młody jeszcze i nieurobiony, nie mający czasu rozwinąć właściwych rodzimych warunków bytu, ażeby oparłszy się na nich stawić opór skuteczny burzom; stąd łatwo z jednej strony wsiąkał w siebie zarówno dobre jak złe wpływy obce, często nie umiejąc ich rozróżnić a z drugiej nawet to, co zdobywał własną pojętnością i krewkością ducha, to co własnem usiłowaniem wyrabiał ze ścierających się prądów rodzimych z obcemi, co wysnuwał potęgą inteligencyi swojej z przędzy stosunków życiowych, nie rozwijał kierunkiem rozumnej woli, lecz pozwalał im samym bujać i przeradzać się w chwast i samemu się poddawać. Pił więc z kielicha życia tego zarówno nektar jak truciznę, często zamieniając jedno na drugie, a zawsze mając przed sobą wrogów, którzy mu nie dawali czasu do refleksyi, lecz pobudzali do oporu. Organizm więc ten szamocząc się z jednej strony w walkach, a z drugiej przesycając nadmiernem użyciem, przedstawiał widok naraz przedwczesnej dojrzałości i uporu dziecięcego, gorących porywów młodości i deprawacyi samolubnego starca.

Sprzeczności takie spotykają się u nich na każdym kroku, a to zarówno w objawach charakteru jakoteż w urządzeniu bytu. Z pomiędzy wielu przykładów wybieramy dwa, bezpośredni związek z przedmiotem naszym mające; występując na tle etycznem nabierają one niezwykłego znaczenia ekonomicznego. Spółtowarzysze apostolskich prac Ottona biskupa bamberskiego na Pomorzu, w pozosta-

wionych przez siebie opisach tej podróży, zapewniają, iż mieszkańcy tamtejsi dziwili się widząc misyonarzy chowających rzeczy swoje pod zamek: „Między nimi (tj. Pomorzanami) panuje taka ufność wzajemna i towarzyska uczciwość, że zgoła nie mają wyobrażenia nawet o tem, co to kradzież lub oszukaństwo, i kufrów tudzież skrzyń swoich nigdy nie zamykają; nie widzieliśmy tam ani zamków, ani kluczów, i oni sami dziwili się, jak zamykaliśmy nasze tłumoki i skrzynie. Suknie swoje, pieniądze i wszelkie kosztowności pozostawiają w lekko pokrytych naczyniach i beczkach, bez żadnej obawy oszukaństwa, dla tego tylko, że go nigdy nie doświadczyli“ [1].

W obec tego jak wygląda następujący fakt: święty Otto przybywszy do Gostkowa, obalił bałwany i świątynię pogańską, ochrzcił zebrany lud i zajął się budową kościoła. Na ceremonię poświęcenia onego przybył też rządca czy kasztelan grodu pan Micław (Mieczysław?) (princeps Mizlaus); podczas aktu konsekracyi zabrakło naraz popiołu, niezbędnego przy tem, a ponieważ nigdzie go nie można było odszukać, to Udalryk (jeden z pierwszych i najgłówniejszych towarzyszy Ottona), sam się udał w podziemie, gdzie się znajdował popiół. Tam, w dalekiej głębi zamknięty był więzień. Posłyszawszy zbliżenie się obcej osoby z westchnieniem wyciągnął on rękę z ciemnicy; zdziwiony Udalryk poszedł i zobaczył młodzieńca skutego kajdanami na szyi, piersiach i nogach. Zapytany o przyczynę więzień, odpowiedział że jest synem pewnego znakomitego Dmiczyka i zamknięty został w więzieniu jako zakładnik, gdyż ojciec jego winien Micławowi pięćset marek. Nabrawszy popiołu, Udalryk wrócił do biskupa i opowiedział mu co widział i słyszał. Otton nie śmiał tą razą osobiście prosić Micława i polecił tę sprawę Udalrykowi i Adalbertowi, tłumaczowi swemu Niechętnie Micław przychylił się do ich prośby, znaczna mu się uzbierała kwota od Dmiczyka i zamknięcie syna w więzieniu wydawało mu się prostym aktem sprawiedliwości. Po długich rozmowach i prośbach nareszcie ustąpił i kazał swej straży uwolnić dłużnika [2].

Wypadek ten nie był odosobnionym, lecz się rozpowszechniał, przeszedł w zwyczaj i stał się z jednej strony prawem wierzyciela

[1] „Tanta vero est fides et societas inter eos, ut, furtorum et fraudium penitus inexperti, cistas aut scrinia serata non habeant“ etc. Herb. II, 41.

[2] Herb. III. 9, Ebo, III. 12.

do osoby dłużnika, a z drugiej powinnością, odpowiedzialnością dłużnika w obec swego wierzyciela. Znano go później nie w samem tylko Pomorzu. Na oznaczenie tego stosunku był oddzielny nawet wyraz *podaca* [1]. Wiekiem później od czasu wędrówki św. Ottona na Pomorze, zwraca ono na siebie uwagę papieża Grzegorza IX., jako nadużycie objawiające się na wyspie Ranie. W dyplomie wydanym przez niego w 1239 r. wskazaną jest właśnie nazwa i bliższe określenie tego zwyczaju. Powiedziano tam [2]: „Zawiadomił nas brat nasz biskup Roscyldeński, że książe i lud ziemi rańskiej w Slowii zachowując pewien zły zwyczaj, któryby raczej nazwać można lichwiarstwem, użytkują w następny sposób z lichwy nazywanej pospolicie *podacą* [3]: a mianowicie, wierzyciel pobiera corocznie od dłużnika pewną ilość chleba, lnu i innych rzeczy, o wiele więcej przenoszących wartość pożyczonej kwoty pieniężnej, a tem się jeszcze niezadowalniając, pobiera nadto za córkę, w razie, jeśli takowa ma wyjść za mąż, pięć groszy, bez uiszczenia których dłużnik nie miałby prawa oddać ją w zamęście. Również za wolność sprzedania sztuki bydlęcia, dłużnik musi się opłacić wierzycielowi pewną ilością pieniędzy. Gdyby zaś przed zupełną spłatą długu zstąpił dłużnik na drogę wszelkiej ziemskiej znikomości, te wstrętne warunki przechodzą na każdego z jego następców tak, że jeśli który z nich nie stanie do wypłaty, to się za niego kładzie w miejscu sądowem wiązka słomy, poczem takowy wyłączonym bywa z liczby obecnych mieszkańców ziemi swojej i popada w wieczną niewolę wierzyciela“.

Snać jednak rozpowszechniało się to nadużycie coraz bardziej, skoro już nawet przeszedłszy fazę zwyczaju, przejawia się bądź jako służebność, bądź jako powinność podatkowa. Taką widzimy np. w północnej Wagrii, gdzie jeszcze istnieje w roku 1251 w okolicach Utina we wsi Sibrandestorp [4]. Ludność rolnicza musiała w dwójnasób uczuwać to złe, bo taki rolnik-dłużnik nietylko liczył się z ciągłą koniecznością opłacania procentów lichwiarskich w na-

[1] *Poddas* w dyplomie papieża Grzegorza IX. *Podaiza* dyplomatów Rany; *podazche* w Wagrii.

[2] Cod. Pomer. Nr. 276.

[3] Usurarum lucra, quae *Poddas* vulgariter appellant.

[4] Perwolf 128.

turaliach, które zwykle niedoceniane w takich razach bywają, ale uważany za niewolnika i poddanego *podacy*, do osoby wierzyciela był przykuty nie zaś do gleby, od której w każdej chwili mógł być oderwany i sprzedany z innemi ruchomościami. Tak też miewało miejsce na kontynencie pomorskim należącym do Rany [1], tudzież u Obotrytów. Tak np. w legacie uczynionym na rzecz klasztoru Doberau powiedziano wyraźnie: „Ludzi mych, mających *podacę* moją, czy pieniądze, umieściłem w celu służenia braci klasztornej, we wsiach tejże i rozkazałem, ażeby pieniądze i powinności należące się mnie, szły na rzecz braci klasztornej. Z ludzi tych jeden imieniem Dalik winien mi był dwie marki, drugi Niwar jedną markę“ [2].

Jeśli w związku z *podacą* zostawali tak zwani *dessitti* (dziesiętnicy (?) zapewne tak nazwani od tego, że może dziesiątą część zarobku swego płacili wierzycielowi) [3], jeśli tem imieniem nazywali się ci właśnie, którzy na roli siedząc płacili podacę, to służebnictwo byłoby mocno już wkorzenionem w byt Zachodniej Lechii, bo ci *dessitti* stanowili oddzielną już niemal klasę niewolniczo-poddańczą, jaskrawo wyróżniającą się od wolnej ludności rolniczej. Że jednak pochodzenie pierwotne podacy nie było wypływem rodzimego bytu słowiańskiego – rolniczego, lecz naleciałością wynikłą ze stosunków handlowych z obcymi, a dopiero później przeniesioną na grunt rolniczy, i tam wkorzenioną, wskazuje sama istota pojęcia tego. Czemże bowiem była podaca? Oto zabezpieczeniem długu na osobie dłużnika, nie zaś na jego majątku; dalekiem więc było od charakteru hipotecznego, właściwego i tylko możliwego w stosunkach rolniczych i płynąć musiało nie z kredytu rzeczowego lecz osobistego. Że zaś mimo całej wyłączności stosunków handlowych u Zachodnich Lechitów stanowili oni społeczeństwo li tylko ziemiańskie, rządzące się jednem prawem ziemskiem, podaca z samej natury rzeczy przejść musiała skądinąd do stosunków rolnych i tam się dopiero wkorzenić. Inaczej nawet być nie mogło.

Nie zdziwi nas objaw ten, jeśli popatrzymy na dzisiejsze na-

---

[1] R. 1207. — Coloni ecclesiae Ildensi *podajzam* habentes. (Tenże 208).
[2] Hilferding str. 132.
[3] Tenże str. 130, 131.

sze urządzenia społeczne, wśród których więzienie za długi wcale nie było właściwością stanu anormalnego i niedawno zostało tu i owdzie za naszej pamięci zniesione; ale dziwi, że będąc w każdym razie wypływem nadużycia kredytu i zaufania, w niezwykłym odbija się kontraście z owemi objawami „wzajemnego zaufania“ tak pięknie i dosadnie występującemi przy innej sposobności w życiu Zachodnich Lechitów.

Zaznaczając ten objaw jako naleciałość obcą, wcale rozumieć tego nie chcemy w znaczeniu jakoby on był przeniesiony żywcem z obczyzny i wzięty z bytu tego lub owego sąsiedniego ludu. Nie, ale w obec już zaznaczonych powyżej warunków, powstał pod wpływem obcych pojęć w skutek łatwości znoszenia się z obcemi ludami, których kraje mimo wielkich zawad, Zachodni Lechici umieli na oścież dla siebie otwierać, wówczas gdy ich rodzonej braci podwoje, jak Polski lub Czech, albo zgoła będąc zamknięte, lub z trudnością się tylko otwierając, nie dopuszczały wpływu kultury rodzimej, i w ten sposób ani umocnić i podtrzymać w ich przyrodzonym rozwoju nie mogły, ani skutecznie neutralizować i regulować działalność obcych żywiołów.

III. Hanza.

Sam w siebie jad wszczepiając przedwczesną dojrzałością pewnych form bytu, organizm ten jak widzieliśmy rodził tyle cnoty i pięknych zalet w życiu, że te mu słuszną chlubę i zaszczyt przynoszą nawet w potomności. Byłby to jednak bierny tylko objaw jego życia; zanadto on z drugiej strony posiadał w sobie młodzieńczego zapału, żywotności i potęgi ducha, aby usunąć się z widowni dziejów, bez pozostawienia po sobie jednego z tych wytworów, które pchają ludzkość na nowe tory i blaskiem pochodni na długie wieki rozświecają drogi jej pochodu dziejowego.

Przypatrzyliśmy się działalności jego w tej sferze ekonomicznej, która wytworzyła ów pomnik ludzkości. Potrzebujemy tylko nazwać go po imieniu. W chwili właśnie, na której kończymy opowiadanie nasze, feudalizm dosięgnął szczytu swej wybujałości, zapanowując nad stosunkami publicznemi zachodniej Europy. Władza państwowa, to władza silniejszego nad słabszym rycerzem bezświadome

ciemne masy ludu wiejskiego poddane dyskrecyi świeckiego lub duchownego rycerstwa, a tworzący się stan mieszczański, szukający opieki tego z możniejszych panów, który za cenę wyższą był w stanie bezpośrednią dać mu opiekę w murach miasta, lub za obrębem onych. Społeczeństwo to, bez spójni zewnętrznej, jaką mu nadaje dzisiejsze państwo i bez łączności wewnętrznej, jaką nadaje solidarność interesów, lub przejęcie się jedną wspólną ideą moralną, przedstawiało obraz mętnych żywiołów, nad któremi unosił się tylko kościół Chrystusowy, jako niezmordowany siewca prawd etycznych, a z pod których wynurzał się zaledwo na powierzchnię kiełkujący monarchizm i powstające mieszczańskie kupiectwo, lecz nad któremi ciężyło jednak zbrojne ramię feudalne. Jedno tylko prawo najczęściej miało ogólne uznanie, prawo pięści, prawo silniejszego, nieprzysłonione jak dziś jedwabną osłoną opinii lub pozorów sprawiedliwości, lecz jedynie żelazną rękawicą feudalizmu. Przemysł mimo sprzyjających miejscowych warunków kwitnąć nie mógł nawet tam, gdzie go ochraniały mury miejskie, bronione przez mieszczan, bo w rozwoju swoim zaopatrując w swą pracę rolnika, potrzebuje od niego chleba, a tego stosunku bez siły wymiennej, bez handlu otrzymać nie można. Wszelkie jednak bezpieczeństwo handlu, ustawało tam, gdzie kupiec wychyliwszy się za przystań portu morskiego spotykał korsarza lub za bramą miejską feudała, którzy gotowi byli złupić całe jego mienie, pozbawić życia, lub w razie najlepszym zażądać okupu dorównywającego wartości towaru. Tymczasem wojny krzyżowe i rozszerzający się handel miast włoskich, obudziwszy nowe potrzeby, wywołują żywszy ruch umysłowy, łączność między ludami i do większej potęgi podnoszą konieczność nietylko handlu miejscowego, ale i zewnętrznego. Potrzebnej dla niego opieki prawnej nie mogło dać ani cesarstwo Karola W. już nieistniejące, ani dzisiejsze prawa międzynarodowe, jeszcze nieistniejące wówczas.

W owych to chwilach występuje do działalności głośnej, na scenę dziejową Hanza. Kroniki niemieckie zaznaczają, że w r. 1239 zawartą została umowa między Hamburgiem Dytmorsami i mieszkańcami miasta Hadeln w celu wzajemnej obrony swych interesów. Do umowy tej przystąpiła w r. 1241 Lubeka, a w sześć lat później miasto Brunświk, gdzie tak Hamburg jak Lubeka miały swe składy towarów.

Utworzony w ten sposób związek znanym był pod imieniem *Hanzy*, od wyrazu jak powiadają — staro-niemieckiego, mającego znaczyć przymierze wzajemnej pomocy. Kolejno wszystkie główniejsze miasta, mające w swych ręku handel lub znajdujące się na drogach handlowych w północnej, środkowej i zachodniej Europy, przystąpiły do tego związku, tak że w końcu liczył on 85 miast[1]. Kraków przystąpił w 1430 r., a z innych miast Rzeczypospolitej polskiej należały: Chełmno, Gdańsk, Elbląg, Toruń, Ryga, Dorpat, Rewel, Królewiec. W r. 1260 Hanza odbyła w Lubece na zjeździe delegatów miast, pierwszy sejm swój, i odtąd Lubeka stała się stolicą związku, gdzie co 3 lata zbierały się sejmy. Główniejsze kantory i składy towarów założone zostały: w Londynie 1250 r., w Bruges 1252, w *Nowogrodzie Wielkim* 1272 i w Bergen 1278 r. Takiemi miały być pierwsze kroki Hanzy.

Dalsze dzieje tego Związku wiadome są również. Utrzymując na usługach swoich własną straż zbrojną, która dawała bezpieczeństwo członkom jego i strzegła dróg handlowych w ogóle, a między miastami pomienionemi w szczególności, Związek postawić mógł czoło błędnemu rycerstwu i rzucić rękawicę feudalizmowi. Szybko wzrastając w znaczenie, bogactwa i siły, osłonił opieką stan pracujących, dał ochronę przemysłowi i handlowi i sobie zjednał powagę

[1] Oto spis ich, oprócz pomienionych w tekście miast polskich: Andernach, Anklam (zachowujemy tu nazwy niemieckie tak jak są zaznaczone w ostatnich listach sejmowych Lubeki, bez przypominania o lechickiem pochodzeniu tych lub owych. Czytelnik pamiętać będzie, że *Anklam* — to zachodnio-lechicki *Grozwin*, Demmen — Dymin etc.) Aschersleben, Bergen w Norwegii, Berlin, Bielefeld, Bolsward we Frygii, Brandenburg, Bramsberg, Brunświk, Brema, Buxtehude w arcybiskupstwie bremeńskiem, Campen w Over-Yssel, Demmen, Deventer, Dortmund, Dinsburg, Embeck w Harcu, Elburg w Geldrii, Emmerich w Kliwii, Frankfurt nad Odrą, Getynga, Golnów (na Pomorzu), Goslar, Greifswald, Grömingen, Halberstadt, Halla, Hamburg, Hameln, Hamen w Westfalii, Hanower, Harderwick w Geldryi, Helmstädt, Hervorden w Westfalii, Hildesheim, Kiel, Kolonia nad Renem, Kösfeld (w Münster), Lemgo w Westfalii, Lixheim (w Lotaryngii), Lubeka, Lüneburg, Magdeburg, Minden (w Hanowerze), Münster, Nimega w Geldrii, Nordheim, Osnabrück, Ostenburg, Paderborn, Quedlinburg, Rostock, Rugenwalde, Runemonde w Geldrii, Salzwedel, Sechausen, Soest w Westfalii, Stade w bremeńskiem, Stargard, Stavern (we Frygii), Stendal, Szczecin, Stolpe, Stralsund, Venloo w Geldrii, Uelren (Luneburski), Uenna w Westfalii, Warberg w Szwecyi, Werben, Wesel, Wisby (na Gotland), Wismar, Zutphen, Zwoll (w Geldrii).

polityczną. Jeśli dwa tylko miasta Związku mogły wziąć w zastaw stolicę[1] całego królestwa, daje to miarę bogactwa i kredytu jego. Butne a na sile zbrojnej opierające swe prawo państwa zniewalał stanowiskiem i potęgą materyalną do uszanowania jego programu, a tam gdzie się to okazywało zbytecznem, poprzestać mógł na skutecznej impozycyi siły i znaczenia moralnego. Zawieraniem traktatów handlowych z oddzielnemi mocarstwami zainicyował i rozwinął politykę handlową, której główne zasady do dziś się utrzymały, a występowaniem w roli ich rozjemcy w sporach ekonomicznych i politycznych, stworzył podwaliny dla nowego prawa międzynarodowego. Ubezpieczenie i usamowolnienie handlu, stworzenie nowych warunków bytu ekonomicznego dla zachodniej Europy i dzielne przyczynienie się do wytworzenia nowoczesnych państw prawa, to dzieło Hanzy.

Ona, jedna z pierwszych przekroczyła granicę ustroju średniowiecznego społeczeństw i stała się zwiastunem epoki nowej. Tej zasługi zaprzeczyć jej niepodobna.

Lecz czemże właściwie była ta *Hanza*, jeśli nie wytworem czysto lechickim? Skąd jej pochodzenie, jeśli nie z łona Połabszczyzny, skąd zasady, jeśli nie z życia lechickiego, skąd wreszcie organizacya, jeśli nie z żywiołów i grodów połabskich.

Podstawą Związku musiało być przedewszystkiem istnienie miast w ogóle, jako punktów zbornych i ognisk dla żywszej działalności ludzkiej. Duch germański w całej swojej pierwiastkowej czystości obcym był ustrojowi gminnemu w ogóle, a miejskiemu w szczególności. Zasada czystości rodów i myśl o boskiem pochodzeniu każdego z nich pozwolić nie mogła na tego rodzaju asocyacyę jednostek, w której każda z nich byłaby równouprawnioną. Dla tego rody żyły oddzielnie, ustrój gmin był jednodworcowym, a miast u pierwotnych Germanów zgoła nie było. Powstawać one zaczęły u nich przez naśladownictwo ze świata rzymskiego, a następnie słowiańskiego, gdzie się samodzielnie zrodzić i rozwinąć mogły, opierając się na równości członków w rodzie i między rodami, na organizacyi plemiennej i na solidarności gminnej. Zapożyczywszy od Słowian myśl i ustrój miast, utrzymać go nie mogli w pierwotnym

[1] Lubeka i Gdańsk wzięły w zastaw Kopenhagę.

charakterze, lecz kształtować go poczęli zgodnie z wymogami ducha swego rodowego i w myśl rozwijającego się na odrębności stanów społeczeństwa: jak ród ich opierał się na wyłączności i starszeństwie członków, a stosunki między rodami na starszeństwie i przewadze jednych nad drugiemi, słowem na wyłączności, tak też i miasta powstawać zaczęły z chwilą powstawania stanów, żyć i utrzymywać się mogły tylko wyłącznością i przywilejami udzielonemi każdemu z osobna. Charakter ten monopolowy wszedł następnie i do Hanzy, kiedy ta stała się niemiecką i wówczas była wynikiem zasady *similia similibus*, wytworzonej przez samą niemiecczyznę. Feodalizm, dziecię ducha niemieckiego, zrodzony z wyłączności arystokratycznych rodów, wywołał z tegoż samego ducha reakcyę przeciwną, ale opartą również na wyłączności mieszczaństwa. Germanizm zwalczał tu sam siebie.

Ale pierwotna czysta zasada Hanzy, była to solidarność oparta na równości i jedności praw. A taką jedność dawało tylko jedno, wszystkich obowiązujące prawo ziemskie lechickie, przy którem nikt nie znał wyłączności stanów i obowiązków, lecz różność takowych i wspólną powinność utrzymywania ognisk solidarności grodów.

Aby łączność była skuteczną, musi być rozumną i świadomą, a taką być może tylko przy dostatecznym rozwoju indywidualności jednostki. Jak w rodzie zachodnio-lechickim każda jednostka była równouprawnioną i samodzielną, tak też takim był każdy ród, każde plemię, każda gmina, każda żupa i takim być musiał zewnętrzny organ samodzielności — gród. Widzieliśmy jak nad Łabą każda żupa decydowała o sobie, a na Pomorzu każdy gród stanowił o losach swoich i bronił się samodzielnie przeciw nieprzyjacielowi, nie czekając obrony od kraju lub władzy książęcej; zawierał z obcemi stronami umowy na własną rękę, nie oglądając się na księcia i jego władzę. Stąd też dobrowolnie i świadomie mógł zawierać umowy z innemi grodami, mógł się z niemi łączyć i stanowić związki. Ze świadomością tylko i równoprawnie utworzona łączność jest związkiem, narzucona lub poniewolnie zawarta — nim nie jest.

Rozumnie uczuta i zdziałana łączność nietylko nie wyłącza przodownictwa, lecz w razie potrzeby z całą świadomością konieczności oddaje w związku w pewnych chwilach ster i władzę jednemu członkowi nad resztą.

Hanza dzieliła się na cztery działy miast, a nad każdym stało jedno miasto, będące jakby stolicą jego, nad wszystkiemi zaś stała Lubeka, nie mając przez to ani korzystniejszych praw, ani cięższych obowiązków. Nie jestże to ten sam stosunek co mniejszych do znaczniejszych grodów w całej Połabszczyźnie? i czyż nie wyjęty żywcem ze stosunku Wolina do Szczecina, a zaznaczony tak wyraźnie u żywotopisarzy Ottona bamberskiego?

Następstwem tej naczelnej zasady równości musiało być uszanowanie prawa jednej jednostki przez drugą. Hanza istnieć mogła dlatego tylko, że każdy z jej członków uznawał równe prawo do bytu w drugim. Pierwszą podstawą handlu — poszanowanie cudzej własności, dobra wiara i uczciwość. Gdzież tedy znaleść można było w najczystszej i najidealniejszej formie tę podstawę, jeśli nie u zachodnich Lechitów, których Pomorzanie nie wiedzieli co to jest kradzież i oszukaństwo, a zamykanie mienia pod klucz było nowością? Posunięta do rozumnych granic uczciwość nakazuje uszanować prawo mienia jednostki bez względu na jej pochodzenie i stanowisko, i rodzi tolerancyę handlową. Hanza dlatego tylko mogła utrzymać i rozwinąć tak rozległe stosunki z obcymi, że tego uszanowania przestrzegała najskrupulatniej, a nie mogąc jej znaleść w ówczesnem społeczeństwie, organizacyą swoją i siłą wymuszała na niem to poszanowanie przynajmniej dla członków swoich i dla kantorów, urządzonych po za obrębem związku, przyzwyczajając w ten sposób to społeczeństwo do cnoty, nieodbicie potrzebnej dla jego rozwoju cywilizacyjnego. Lecz jeżeli widzę nakazywaną przez kapitularz Karola Wielkiego, konfiskatę artykułów handlu Awarów i Lechitów, a z drugiej strony mam w pamięci słowa Adama Bremeńskiego o Wolinie, zaznaczającego wolność pozostawioną tam przez Lechitów handlowania Sasom i innym ludom, gdy to samo widzę powtarzającem się na innych ważniejszych punktach zachodniej Lechii, wiem gdzie szukać źródeł żywotnej podstawy Hanzy.

Wewnętrznym jej właściwościom odpowiadały zewnętrzne urządzenia. Dla zniewolenia innych do uszanowania owych praw uczciwości handlowej, zmuszoną była Hanza utrzymywać między miastami własną straż zbrojną, która czuwała nad przeprawami, strzegła dróg, karawan i miast. Straż ta jednak było to dalsze rozwinięcie i użytkowanie odwiecznej straży zachodnich Lechitów nad Łabą — *By-*

tników i *Witników* i śmiałych a zbrojnych żeglarzy kupieckich Pomorza. Germanowie jej ze swoich urządzeń wytworzyć nie mogli, bo miast nie mieli a drogi handlowe torowali dla nich zachodni Lechici w czasie, kiedy Niemcy znali tylko szlaki wojenne. W VII. w. widzieliśmy karawany i kolonie handlowe Zachodnich Lechitów w Holandyi i nad Dunajem, a w XI. w. Niemcy jeszcze nie mieli swych statków na Bałtyku.

Marszruta handlowa Hanzy przy końcu XIII. wieku, to marszruta Zachodnich Lechitów z IX. i X. wieków, począwszy od dróg z północy na południe i z zachodu na wschód prowadzących, a skończywszy na tych wszystkich ubocznych rozgałęzieniach, które przerzynając się w różnych kierunkach, wytworzyły najbogatszą sieć handlową. Dość spojrzeć na główne operacyjne punkta Hanzy i Hamburga, w Lubece, w Szczecinie, w Brunświku, Lauenburgu, Werbnie, Magdeburgu i t. d., tudzież w miastach nadreńskich na lądzie, a w Nowogrodzie Wielkim i Anglii od strony morza, aby wiedzieć, że późniejszem działaniem nie tylko całkiem, ale nawet prawie nic nie zmienili tych szlaków, które już wytknęli pierwej zachodni Lechici

Powstała i rozwinięta na ich ziemiach Hanza utrzymała podstawę ich działania terytoryalnego, począwszy od owych chwil, kiedy lechickie miasto Hamburg zwoływało w r. 1239 wiec związkowy po raz pierwszy, zanotowany przez dziejopisarzów niemieckich, a skończywszy na ostatnich momentach XVII. wieku; a jak na pierwszy sejm w Lubece zeszli się delegaci wyłącznie miast zachodnio-lechickich, lub wzniesionych na ich terytoryum, tak też w najwyższym rozkwicie Hanzy trzecia część wszystkich, nawet później weszłych miast, była lechicką. Pamiętano o tem nawet w czasach zupełnego zniemczenia związku, bo do ostatnich chwil utrzymano podział miast na cztery grupy, z których pierwsza i najważniejsza zawsze jeszcze nosiła nazwę *wendzkiej*.

Nareszcie nazwa Hanzy w zupełności odpowiedziała pochodzeniu i treści. Stoi ona dotychczas jako pomnik niczem nie dający się zgładzić słowiańskości lechickiego związku.

Wyraz to bowiem słowiański, formacyi czysto-lechickiej, będący polskim wyrazem *Związek*, ukształtowany podług form i wymowy, właściwej językowi połabskiemu z zachowaniem tego samego dźwięku nosowego.

Rdzeń jego *ąz* (w wymowie staropolskiej i zachodnio-lechickiej *anz*) występuje w staro-bulgarskim Уза, w wymowie rus. = уза, skąd sformowany wyraz узелъ (uzieł — węzeł); а w wymowie polskiej *ąza*, skąd za pomocą dychawki i nadwątlenia *ą*, które przeszło w *ę* — powstał ten sam wyraz *węzeł*.

Уз zmiękczone jotą wytworzyło w rosyjskim Юз, юз (juz), z przyimkiem съ — со — юзъ (sojuz), który przeszedł później i do polskiego słownictwa jako *sojusz* w formacyi przeczącej zasadzie polskich dźwięków nosowych.

Toż Юз zmiękczone podług zasady polskiej z zachowaniem dźwięku nosowego wytworzyło *jąz* — z dychawką *w* (= h) *wiąz* (wiązać), z przyimkiem *z* — *związ* (związek), a zaś bez zmiękczenia i bez przyimka, jeno z dychawką *h* (= w), wytworzyło *h*Ю*nz* — *Hanza*.

Taką Hanzą były społeczno-polityczne związki Obotrytów, Lutyków, Pomorzan, Stodoranów, taką cała społeczność zachodnio-lechicka, wierna duchowi słowiańskiemu, którego zasadą dziejową równość i federalizm wbrew duchowi germańskiemu, którego zasadą hegemonia i separatyzm.

Jan Grzegorzewski.

CZŁOWIEK W STOSUNKU DO RELIGII I WIARY.

(Ciąg dalszy).

II.

Religia jest dla woli, podstawą moralności — żądzę szczęścia ukaja, wskazując jej prawdziwy przedmiot po za światem — bezreligijność rodzi pesymizm i rozpacz. — Religia względem państwa i społeczeństwa. — Zdania o tem starej filozofii. — Główne czynniki państwa na religii się opierają: — władza — ustawy — obowiązki wzajemne obywateli — przysięga.

Religia jest więc środkiem zachowawczym prawdziwej godności człowieka. Co więcej, ona stanowi dla woli podstawę moralności, a z tego stanowiska jest też źródłem wszystkich dobrodziejstw, które z moralności na całe społeczeństwo spływają. Jestże możliwą moralność bez religii? Tak jest, istnieje nawet moralność bez religii, bez Boga, ale moralność tak różnobarwna, tak zmienna, jak ludzkie serce z tysiącem swych żądz i majaczeń: inna dla artysty, inna dla poety, inna dla dyplomaty, słowem moralność dla której słupy graniczne nie istnieją, moralność w obec której drży sumienie, moralność, którą zdrowy rozum potępia. Ale moralność prawdziwa, której przepisy zgodne są z sumieniem, która pokojem duszę napełnia, której krytyka zdrowego rozumu w niczem nie zachwieje, taka moralność bez religii ostać się nie może. Zdrowa, rzetelna moralność jest prawem, które człowiek widzi po nad sobą i oraz we wnętrzu serca swego. Jak każdy atom nieżywotny nosi w sobie stałe prawa działania i ruchu, tak i w głębi serca ludzkiego tkwi niezmienne prawidło postępowania. Atom działa podług praw koniecznych, ale tej konieczności nie czuje, bo praw swych nie ma wypełniać wolną wolą, ale tylko bezwiednym ustrojem swej natury.

Człowiek zaś ma spełniać swoje prawa wolną wolą. Aby więc tę wolną wolę nakłonić do wypełnienia prawa pomimo jego trudności, potrzeba było wlać w serce człowieka jakiś głos odzywający się już to upomnieniem i groźbą przed naruszeniem prawa, już to skargą i wyrzutem po jego przestąpieniu, już wewnętrzną pociechą i weselem po wypełnieniu powinności. Cóż naucza religia o tem prawie?[1] Prawo to jest wolą najwyższego Pana człowieka, jest odzwierciedleniem jego świętości; sankcyą tego prawa jest cała wieczność szczęścia lub nieszczęścia. Nagroda sowicie wystarczająca do przeważenia wszystkich trudności w wykonaniu prawa zachodzących, kara dosyć groźna, by od najponętniejszych rozkoszy odstraszyć. Wprawdzie i bez religii prawo to w nas nie zamiera, ale dopiero przez religię spływa nań wyższa siła, boska powaga. Odrzućmy religię, a w cóż się obróci moralność? Oto będą tylko podmiotowe zdania i sądy, bez podstawy absolutnej, bez sankcyi, bez siły obowiązującej, zdania i sądy, które skutecznego nacisku na wolę wywrzeć nie zdołają, ani nawet w granicach samowładnie sobie zakreślonych utrzymać jej nie potrafią. Moralnem stanie się wówczas to wszystko co tylko się człowiekowi podoba, co mu pożytek i korzyść przynosi[2]. Odrzućmy religię — a zniknie nam z przed oczu Bóg najwyższy prawodawca, którego najświętsza wola jedynie może być bezwzględnem i skutecznie obowiązującem prawidłem. Człowiek będzie wtedy sam sobie prawodawcą, bo stanie po nad prawem, które czuje w swem sercu; wtedy wolno mu będzie naginać je do okoliczności, zmieniać i przekształcać podług upodobania. I któż mu tego zabroni? Rozum może? Ale sam rozum tysiąc przyczyn na zawołanie wynajdzie, aby ominąć lub podać w wątpliwość to wszystko coby w tem prawie sercu zawadzało.

Odrzućmy religię a z nią świadomość Boga-prawodawcy, stojącego na straży swych praw z nagrodą i karą wiekuistą — gdzież wtedy znajdzie człowiek siłę do wyrzeczenia się tego, co rozum wprawdzie z jednej strony za haniebne uznaje, lecz z drugiej jako

---

[1] S. Th. 1. 2. q. 93. a. 1. — Cousin, Du Vrai p. 428. sq.

[2] Mayer S. J. Instit. Juris natur. t. I. p. 129 sq. Hettinger, Apologie des Christenthums, 9. Vortrag. Pesch, Welträthsel, t. II. p. 445 sq.

korzystne ukazuje? Cóż w takiej kolizyi zdecyduje wolę? Człowiek weźmie wówczas wagę do ręki i badać będzie, co więcej zaważy: hańba czy strata zysku? A na którą stronę przechyli się szala, to rozstrzygnie o wyborze: ale w każdym razie egoizm jedynym zostanie czynnikiem. Tak więc istotna moralność zniknie z życia ludzkiego. A jeśli pogarda moralnego prawa odrazu nie wystąpi na jaw, stanie się to głównie dla względów ludzkich, dla zwyczaju, który go jeszcze otwarcie nie potępił.

Jakąż moralność mają ci, co odrzucili dekalog? Co najwięcej tylko taką, jakiej wymaga opinia publiczna; a dla niej zawsze wystarczą pozory. Kto zaś gardzi opinią, lub nie ma powodu jej się obawiać, ten już nie ma nad sobą żadnego hamulca, ni prawa. Po odrzuceniu prawa Bożego wali się gmach moralności a natomiast otwiera się bezdenna przepaść wstrętnego samolubstwa.

Lecz przejdźmy dalej. Przez religię nie tylko rozum się doskonali, nietylko wola uszlachetnia, ale i najistotniejsza dążność nasza zaspokaja się szczęściem. Fakt to widoczny, niezaprzeczony, że pragnienie szczęścia przenika całą naszą istotę, całe życie nasze. Czujemy je w każdej chwili, w każdem poruszeniu woli, w każdem drgnieniu serca. Przypatrzmy się całej skali uczuć naszych a znajdziemy, że w każdem z nich, ilekroć się poruszy, chodzi zawsze o jakąś cząsteczkę szczęścia. Dlaczego np. zapalamy się gniewem? Najczęściej dla tego, że nam odebrać chcą jakąś cząstkę szczęścia naszego, lub że nam już ją wydarto. Czemu bojaźń przejmuje nas dreszczem? Również dlatego, że przewidujemy, albo niebezpieczeństwo utraty jakiegoś dobra, które nas uszczęśliwia, albo bliskość zła tąż samą krzywdą nam zagrażającego. Czemu w sercu naszem budzi się tęsknota? Czyż nie za szczęściem, które gdzieś daleko w różanym obłoczku nadziei do nas się uśmiecha? Skąd promień radości spływa nam do duszy, jeśli nie z szczęścia, które posiąść nam się udało. Dawna filozofia rozróżniała w żądzy zmysłowej *(appetitus sensitivus)* dwojaką władzę: *appetitum concupiscibilem* i *appetitum irascibilem*. Pierwszy oznaczał skłonność niższej części naszej natury do dóbr właściwych, oraz bojaźń zła, mogącego zniszczyć lub nadwerężyć jej dobrobyt: pod tę władzę podporządkowywano wszystkie uczucia *(affectus)*, będące wyrazem tej skłonności. *Appetitus irascibilis* przedstawiał znów władzę przełamywania trudności i zawad, stoją-

cych oporem w dążeniu do dobra i unikaniu zła. Wszystkie zaś uczucia wyrażające tę władzę w rozmaitych odcieniach i formach do tej kategoryi zaliczano [1]. Z tego podziału dawnej filozofii wynika, że wszystkie uczucia uważane były za jedną dążność do szczęścia, w różnych kierunkach, postaciach i stopniach się objawiającą.

Że zaś rozumna wola w każdej swej czynności szczęścia szuka i za szczęściem goni, jest to konieczność jej natury. Bo przedmiotem jej tylko dobro *(bonitas)* być może. Jeśli więc możliwem się okaże dobro w jakiemkolwiek jestestwie osiągnąć, tem samem też możliwem będzie, że chęć jej w czyn się zamieni. Zatem teorya Kanta stoi w zupełnem przeciwieństwie z ludzką naturą, skoro utrzymuje, że prawdziwa moralność wykluczać musi wszelki wzgląd na szczęście osobiste. Gdyby to w istocie prawdą być miało, natenczas cały ustrój naszej natury, dłonią najmędrszego Stwórcy wykonany, byłby zupełnie nieodpowiednim do celu: bo Bóg uczynił tak umysłową jak i zmysłową dążność do szczęścia istotnym pierwiastkiem życia naszego. I nawet wyjątkowe dusze które żyją zaparciem się i poświęceniem, w tem właśnie odmawianiu sobie wszystkiego najczystsze szczęście znajdują.

Jeśli więc prąd ten, to wyrywanie się za szczęściem jest rzeczywiście żywiołem naszej natury, to kędyż znaleźć to szczęście? Na ziemi? Nie — nigdy! Dowodem tysiące lat doświadczenia. Morze trosk i nędzy i ubóstwa i łez zalewa naszą ziemię, a każde serce czerpie z jego fal swą cząstkę goryczy. A choć niekiedy słońce szczęścia świetlanym swym blaskiem opromieni którego z biednych śmiertelników, zjawisko to trwa tylko chwilę, czarne chmury gromadzą się nad opromienionem czołem ... i złoty promyk szczęścia znika bezpowrotnie. Gdybyśmy nawet mogli rozkosze świata tego pić wszystkiemi porami ciała i pełną piersią niemi oddychać — jeszcze szczęście jak cień uciekałoby przed nami. Bo na wrażenia takich rozkoszy serce ludzkie prędko obojętnieje i odwraca się ze wstrętem od przedmiotu, który wczoraj jeszcze je zachwycał. W końcu uczuwa ono, jak mówi Hartmann, że wszelkie szczęście ziemskie jest tylko próżnością ... tak samo już przed

[1] S. Th. sum. th. I., q. 82. a. 5.

paru tysiącami lat zawyrokował ukoronowany filozof, zakosztowawszy wszystkich jego słodyczy: *Omnia vanitas et afflictio spiritus.*

Nie tylko chrześcijańscy pisarze ale przedewszystkiem przedstawiciele filozofii pesymistycznej[1] zbytecznem czynią dalsze rozwodzenie się w tej materyi.

A więc ten popęd do szczęścia, co tak głęboko w sercu naszem się rozkorzenił, że go wyrwać niepodobna, nie miałżeby nigdy znaleźć zaspokojenia? Miałżeby być nieustanną tylko katuszą serca ludzkiego przez cały czas jego istnienia? Zaprawdę byłoby to bluźnierstwem przeciw najmędrszemu i najdobrotliwszemu Bogu. Tutaj jedna tylko religia — a religia niewychodząca nawet po za granice przyrodzonego rozumu, może nam dać światło i rozwiązanie, może wlać w serca spokój i radość wśród i pomimo ziemskiego cierpienia. Rozum niezapierający się Boga, wskazuje nam inny świat gdzie wyrównają się wszystkie nierówności ziemskiego tułactwa, gdzie każdy trud znajdzie zapłatę, każdy bój wytrwały uwieńczenie. Nieomylna nadzieja tej zapłaty wiecznotrwałej już tu na ziemi przemienia nam każdą gorycz w słodkość, każdą walkę w wesele. Najszlachetniejsi myśliciele starożytności przekonani byli o istnieniu świata pozagrobowego, jak niemniej o istnieniu sprawiedliwego a miłosiernego Boga. Istnienie bowiem Stwórcy odłączyć się nie da od istnienia pośmiertnego życia.

Człowiek nosi w swej piersi świadomość prawa Bożego — poznaje powinność wypełnienia go pomimo wzdrygania się woli, pomimo sofistyki w którą namiętności wikłają rozum. Serce człowieka odczuwa w sobie sankcyę prawa: wyrzuty lub zadowolenie sumienia; Mogłożby więc wierne wykonywanie prawa, zdobyte mężną walką z pożądliwościami — tyle tylko zaważyć przed Bogiem ile zuchwałe przekraczanie Jego woli i pogarda Jego zakonu? Nie! Bóg nie może jednakowo oceniać obojga — lecz koniecznie pierwsze wynagrodzić musi, a ukarać drugie. Ale znów ziemia jest miejscem wyrównania występku z karą i cnoty z zapłatą: dowodzą tego nieustanne skargi na sprawiedliwość Bożą, na cierpienia i klęski ludzi cnotliwych, a gorszące powodzenia występnych. Gdyby życie pozagrobowe nie istniało, rachunek ten pozostałby niespłacony.

[1] Hartmann. Die Religion des Geistes.

Sprawiedliwość więc Boża domaga się bezwarunkowo pośmiertnego żywota, gdzie wyrównanie nastąpi [1]. Nadto i wrodzone pragnienie szczęścia żąda zaspokojenia, a w tem życiu jakeśmy widzieli go nie znajduje. Bóg więc, który tak a nie inaczej ukształcił serce ludzkie, winien to własnej dobroci swojej, by go nie skazywać na Tantalowe męki. Albo więc zbłądził Stwórca dając człowiekowi naturę nawskróś przesiąkłą etycznem poczuciem obowiązku i oraz nieugaszonem szczęścia pragnieniem, albo też musi istnieć życie pozagrobowe [2].

Tak więc sam rozum przekonuje nas o istnieniu szczęścia pośmiertnego. Religijna świadomość idzie dalej, odkrywając nam wiekuistość tego szczęścia. Bo czyż byłoby serce nasze zaspokojone, gdyby to szczęście kiedykolwiek skończyć się miało? Ani chwili serce nie zakosztowałoby szczęścia zupełnego, gdyby w rozumie tkwiła świadomość, że to wszystko kiedyś przeminie. Szczęście nie może zwać się czystem i zupełnem szczęściem, jeśli nie jest trwałem, wiekuistem. Któżby wreszcie starał się o cnotę z poświęceniem wszystkiego, gdy ostatecznie i cnota i występek do tego samego końca dojść miały?

Rozum widząc całą niedorzeczność tego wyniku, wnioskuje stąd, że przyszłość która nas czeka jest wieczną. A wieczną jest w szczęściu i wieczną w odrzuceniu: bo niepodobna przypuścić, by kiedykolwiek kara w nagrodę przemienić się miała. W drugiem życiu albowiem droga do zasługi musi być zamkniętą. Życie ziemskie ma właśnie znaczenie pielgrzymki do celu; i dla tego odpowiedniej jego pracy i staraniom towarzyszy zasługa. Życie pozaświatowe jest już zupełnie czemś innem. Pielgrzymka skończyła się u grobu; odtąd już cel się zaczyna. A gdzie cel, tam już nie ma wędrówki. Że zaś zasługująca nasza wędrówka odbywa się wolną wolą, stąd wypływa, że z końcem pielgrzymki ustać musi wszelki wolny wybór. Co człowiek wybrał za życia, jeśli wyboru tego nie zmienił aż do zgonu, to też będzie jego udziałem na wieki. Jak obrał dobro za życia, dobra też chcieć będzie przez całą wieczność, i w skutek tego przez całą wieczność dobro będzie mu nagrodą. Jeśli zaś zło

[1] Liebmann. Analysis d. Wirkl. p. 613.

[2] Herder. Ideen zur Geschichte der Menschheit, 4-er Th., p. 230 sq.

miłował w życiu a przy zgonie nie wyrzekł się tej miłości, to to utkwienie w złem trwać w nim będzie przez wszystkie wieki, a tak niepodobna, aby kiedykolwiek mógł sobie wysłużyć zakończenie nieszczęścia.

Religia więc sama jedna jest nam drogoskazem do osiągnięcia szczęścia prawdziwego i wiekuistego, drogą przestrzegania prawa, palcem Bożym w ludzkiem sercu wyrytego. Religia tym sposobem znosi poniekąd i usuwa wszelką nędzę, wszelki ból tej ziemi: bo słońce nadziei tak cudownym pozłaca je blaskiem, tak podnosi i uszlachetnia, że właśnie one same mogą się stać przedmiotem najgorętszych pragnień człowieka i wywołać z serca ludzkiego takie aspiracye, jak św. Teresy: *Domine, aut pati, aut mori!* Jeśli zaś poczucie religijne się stłumi — co dziś tak często się zdarza — jakżeż wówczas przedstawi nam się to życie? Padołem płaczu rojącym się od szaleńców. Jedni bezpożytecznie dźwigają ciężar żywota wśród łez, jeśli zgaśnie ta nadzieja — wtedy dla największej liczby upośledzonych od losu, nic innego nie zostaje, tylko zagasić i to nędzne życie. Dla nielicznych zaś, którym szczęście ziemskie się uśmiecha, w gruncie nie o wiele lepiej. Życie ich ustawiczną gonitwą za szczęściem, bez spoczynku i wytchnienia. Biegną więc we wszystkich kierunkach, kosztują wszystkich potraw z uczty mniemanego szczęścia. . . i wracają upadli na siłach, wyzuci z marzeń, z tem jednem przekonaniem w duszy, że życie najwykwintniejszym otoczone zbytkiem, nie warte by dźwigać jego ciężary.

Wykazaliśmy już czem jest religia dla człowieka jako jednostki. Teraz zobaczmy jeszcze czem ona jest względem społeczeństwa i państwa. Ważność tego punktu jest niezmierna. Wiele dziś mamy na porządku dziennym kwestyj socyalnych, kwestyj piekących, którychby nigdy poruszać nie było potrzeba, gdyby więcej zwracano uwagi na wpływ religii w państwie i w rodzinnem ognisku. Dziś utarło się zdanie, że religia niepotrzebną jest państwu, bo policya bagnety i więzienia wszystkiego dokażą. Owszem religia ujarzmiająca ludzkiego ducha zawadą jest dla polityki. Z tej właśnie przyczyny spostrzegamy dziś to samo we wszystkich państwach zjawisko i tę samą dążność, by Kościołowi czuwającemu nad dobrem religii, związać ręce, lub na każdym kroku stawiać tamy jego działalności. W tej bezreligijności dalej zaszły dziś państwa, niż nie-

gdyś sam Wolter, który w jaśniejszej jakiejś chwili napisał te słowa: „Gdzie życie państwowe istnieje, tam też konieczną jest religia“ [1]. Dawni pogańscy filozofowie nigdyby nie pomyśleli o państwie bez religii. Owszem za coś niemożliwego uważaliby istnienie państwa, z którego cześć Boża byłaby wyrugowaną [2]. I Plato w swym wzorze Rzeczypospolitej żąda religijnych obywateli i sądzi, że ludzie usuwający się z pod kierownictwa Bożego, i rodzinie i państwu niechybną gotują zagładę [3]. Arystoteles uważa czujność nad wykonywaniem i poszanowaniem religii za najpierwszy i najważniejszy obowiązek rządu [4]; dlatego też kapłaństwo jest według niego pierwszym stanem w państwie [5]; wymaga on nawet od państwa, aby co najmniej czwartą część swoich dochodów obracało na podtrzymanie kultu [6]. Taka była w pogańskiej filozofii nauka o państwie. Dla polityków nowożytnego pogaństwa religia jest zbyteczną! Ale same fakta świadczą przeciw tej nowej mądrości. Bo gdziekolwiek religia jest podkopana, tam wszędzie występuje groźne widmo anarchii i rozkładu. Czyż obecne chwile nie potwierdzają tego prawa? Czy we wszystkich państwach wulkan rewolucyi nie grozi wybuchem? Czy to może w religijnych sercach nurtuje jej lawa? Aż nadto wiadomo, że jedynie z pośród ludzi wyzutych z religijnych zasad wychodzą bohaterowie przewrotu. Tak było na schyłku przeszłego stulecia we Francyi, tak też wszędzie, nawet u pogan. I Montesquieu zauważył, że przyczyną upadku rzymskiego cesarstwa był upadek religii i moralności.

Inaczej też być nie może. Wszystko co tworzy, spaja i kształci państwo, na religii opierać się musi, w poczuciu religijnem czerpać swoją dzielność. Przedewszystkiem formą substancyalną, że się tak wyrażę, państwa jest władza, ktokolwiekby był jej przedstawicielem, czy głowa ukoronowana, czy prezydent bez korony, czy parlament. Prawda to tak widoczna, że dowodu prawie nie potrzebuje. Dosyć rzucić okiem na materyał składający państwo, aby się o tem prze-

---

[1] Voltaire, Traité de la tolérance chap. 20.
[2] Cicero, De Natura Deor. 1, 2.
[3] De Legib. IV. p. 716. i X. p. 903.
[4] Politicor. VII. 8.
[5] Ibid. VII. 9.
[6] Ibid. VII. 11.

konać. Materyałem tym są tysiące i miliony obywateli, którzy razem złączeni starają się wspólnemi siłami o dobro pospolite. Ale obywatele wzięci z osobna różnią się w swych zapatrywaniach i co do celu, który osiągnąć mają i co do środków, których używać należy — bo „co głowa, to rozum“. Nadto każdy pojedyńczy człowiek ma swą szczególną, właściwą sobie siłę i skłonność woli. Aby więc jedność państwową zbudować i utrwalić, do tego konieczną jest potężna siła moralna, któraby owych tysiący i milionów nagięła zdania i wszystkie ich wole ku jednemu skierowała celowi.

Dalej w ustroju państwowym tyle jest rozmaitych funkcyj, urzędów, godności — a wszystkie zarówno potrzebne, podobnie jak w organizmie ludzkiego ciała — i wszystkie do jednego zmierzają celu. Znowu więc potrzeba jakiejś siły, któraby każdemu członkowi nakazała ile i co ma spełniać dla dobra całości, i powiązała je w jedną organiczną pracę.

Taką potęgę moralną nazywamy zwierzchniczą władzę, *auctoritas*. Lecz gdzież jest źródło tej władzy? Chełpił się razu pewnego jeden z potentatów tej ziemi, mówiąc do oskarżonego: „Nie wiesz, że mam moc...“ odpowiedział zagadniony: „Nie miałbyś żadnej mocy... gdybyć z wierzchu nie dano“ [1]. Gdziekolwiek istnieje moralna władza, tam też wola ludzka podlega konieczności moralnej; ta zaś konieczność moralna ma swą ostateczną przyczynę w samym tylko Bogu: o ile że Bóg, to wszystko, do czego chce wolę ludzką nakłonić, uczynił środkiem koniecznym do osiągnienia wiekuistej szczęśliwości człowieka [2].

Człowiek zatem o tyle tylko tę moc moralnie zmuszającą posiadać może, o ile ona od Boga pochodzi i przez Boga jest uznaną. On stworzył człowieka istotą towarzyską, *animal politicum*: i dlatego też ludzkie społeczeństwo a zatem i państwo Jego jest dziełem. Do istoty zaś tego dzieła należy obowiązująca władza zwierzchnika. A więc władzy obowiązującej nie kto inny, jedno Bóg użycza panującemu. Wyrzućmy zatem z serca poczucie religijne a nie będzie już żadnej władzy istotnie obowiązującej, ża-

[1] S. Thom. De regim. princip. l. 1.

[2] Cf. S. Aug. De lib. arbitr. l. 1. c. 6. S. Th. 1. 2-ae 99. 91. 93. — Suarez. De Legib. l. 2. c. 6.

dnej zwierzchniczej powagi. Tylko w świetle religii widać na czole panującego blask Bożego Majestatu. — Zgaśmy to światło, a panujący stanie przed nami jak pastuch, kijem tylko i psami pędzący swą trzodę. Takie zaś czysto zewnętrzne i przymusowe poddanie się władzy, bez udziału woli i przekonania ani trwałem nie jest, ani zaszczytnem.

Stąd też jasny wynik, że i prawo tylko na gruncie religijnym ma swoją wartość i znaczenie. Panujący rządzi państwem, prawami, które prąd społecznych czynności regulują. Ale skądże wypływa moc obowiązująca tych praw? owa moc, która nietylko rękę od zbrodni wstrzymuje, ale i serce wiąże poczuciem powinności. Oczywiście z Boga: bo jeden Bóg tylko, jak już powiedzieliśmy, jest źródłem tej potęgi. Prawo tylko wtedy obowiązuje, kiedy z odwiecznem prawem Bożem jest zgodne[1]: bo wtedy jedynie potwierdza Bóg wolę prawej zwierzchności i zmusza podwładnych do posłuszeństwa pod utratą wiekuistego celu.

Drugim również istotnym czynnikiem w istnieniu i rozwoju państwa, jest stosunek wzajemnego oddziaływania na siebie między o b o w i ą z k i e m i p r a w e m. Prawo i obowiązek to właściwa spójnia łącząca pojedyńcze człony państwa ze sobą. Czemże byłaby zwierzchność, gdyby nie miała prawa rozkazywania, gdyby temu prawu nie odpowiadał obowiązek posłuszeństwa ze strony podwładnych? Ale i podwładny ma swoje prawa w obec zwierzchności, i zwierzchność swoje obowiązki względem podwładnego. Niemniej obywatelom też przysługują wzajemne między nimi prawa i obowiązki, jak: prawo własności, prawo dobrej sławy. Bez religii, w cóż się obrócą te prawa! Przedmiotowo, nie masz prawa, któreby nie pochodziło od Boga; bo wszelkie prawo wtedy tylko jest prawem, kiedy w obec sumienia zachowuje moc obowiązującą — wszelka zaś moc obowiązująca od Boga tylko pochodzić może. Podmiotowo, czyli w sferze świadomości do tego samego przychodzimy wyniku. Jedno tylko religijne poczucie nadaje prawu świętość nietykalną. Cóż będzie p r a w e m w obec władcy pozbawionego religii? — Nie zna przecież żadnego pana nad sobą, któryby wskazał granice jego władzy —

[1] Cf. S. Th. 1. 2-ae. q. 95. a. 2. 3. — S. Isid. Etymolog. V. — Suarez. De Legib. l. I. c. 8. — S. Aug. De Civ. Dei XIX. c. 21.

tylko brutalna przemoc służy jego rozkazom, którą rzekome swe prawa zawsze zdoła wymusić. A czemże będzie obowiązek dla takiego zwierzchnika bez przekonań religijnych? a raczej czy może istnieć dla niego obowiązek, jeśli on nie wie o tem, że mu go wyższy jakiś władca nałożył?

Tak samo i naród zachowa się względem władzy. Gdzie duch religii nie zapanuje w sercach, gwałt i samowola będzie jedynem prawidłem jego obowiązków. Czy takie państwo mogłoby być trwałem, nie trudno osądzić, skoro w sercu jego jest widoczny zaród upadku. Czem są wzajemne prawa obywateli bez religijnych przekonań? Skąd ma bogacz prawo do swego majątku, czemu ubogi ma obowiązek zadowalniać się swem ubóstwem? Wyrugujmy religię, a staniemy odrazu wśród labiryntu kwestyj socyalnych, bez sposobu wyjścia i środka ocalenia. Dzisiejszy świat bezreligijny z dojrzewającym już posiewem komunizmu, najwymowniejszym jest tego dowodem.

Religia przeciwnie, ukazuje nam Boga, który nie będąc nikomu winien, duchowne i materyalne dary rozdziela podług swego upodobania, jak mądrości i dobroci Jego stosownem się wydaje. Kto hojniej obdarzony został, chlubić się nie ma: bo wszystko co posiada, od Boga otrzymał. Komu zaś mniej hojna cząstka dostała się w udziale, ten skarżyć się nie powinien, bo i to niezasłużonym jest darem. Bóg umyślnie chciał takiej różności i ustanowił ją, aby wzajemnością potrzeb ludzi ściślej połączyć między sobą. Zresztą każdy przed swoim Stwórcą tylko z otrzymanych talentów ma zdawać rachunek: większe dary połączone są z cięższą odpowiedzialnością, od mniejszych mniej też wymaganem będzie. Wyrównują się w obec Boga ubóstwo i bogactwo [1].

Za ostatni dowód, potwierdzający wszystkie powyższe, niech nam posłuży p r z y s i ę g a. Panujący składa przysięgę swoim poddanym, a poddani panującemu. Przysięgą wierności związuje się urzędnik względem zwierzchnictwa; przysięgę wytrwania pod sztandarem składa żołnierz w ręce wodza. W aktach sądowych, gdy ludzie wymierzają sprawiedliwość, przysięga jest niezbędną pomocą dla krótkiego wzroku sędziów, którzy w głąb serca ludzkiego się-

[1] Steccanella. Il Communismo c. 20 (Roma 1882).

gnąć nie są w stanie, — ostatnią obroną sprawiedliwości i prawa. Otóż przysięga jest z natury swojej aktem religijnym, wezwaniem Boga na świadka, a więc i wyznaniem Boga wszechwiedzącego i karzącego nieprawość. Bez religii, bez wiary w Boga osobowego, przysięga nietylko jest daremną, ale jest zgoła bez sensu. Państwo więc i społeczeństwo używające dotąd przysięgi dla spajania swych kardynalnych węzłów, uznaje dotąd tem samem, że religia jest mu potrzebną do istnienia.

Tak więc niezaprzeczenie uspołecznienie ludzkie na religii stoi. „Religia, mówi Laboulaye[1], jest najważniejszym czynnikiem politycznym, jedyną podstawą państw". Jeśli zaś religia podstawą jest państw wszystkich, to na religii też opierać się musi ich postęp, świetność, udoskonalenie i rozwój zupełny. Bo jak mawiała dawna filozofia: „Co jestestwom daje byt, to samo daje im zachowanie i udoskonalenie".

Cały ten wywód doprowadza nas do koniecznego wniosku, że nowożytna teorya „bezwyznaniowości państwa" jest wręcz przeciwna istocie państwa, sprzeczna z rozumem i sprzeczna z naturą ludzką. Religia, jak widzieliśmy, jest koniecznym wyrazem naszej rozumnej natury, jest najwyższym obowiązkiem człowieka; bezreligijność największym występkiem. Przez religię rozum się uszlachetnia, a wola uświęca prawdziwą moralnością. Słowem religia szczęściem jest całego człowieka. Dla społeczeństwa wreszcie jest ona dobrem nieocenionem, podstawą i korzeniem z którego pomyślność społeczna wyrasta i najpiękniejsze rodzi owoce.

X. Antoni Langer.

[1] La liberté religieuse p. XI.

RELACYA O UPADKU KAMIENCA R. 1672.

I OSTATNICH CZYNACH P. JERZEGO WOŁODYJOWSKIEGO,

przez JMCi pana Stanisława Makowieckiego stolnika Latyczewskiego

(z oryginalnego rękopisu).

(Dokończenie).

Onej nocy po wycieczce po troszę jeno ostrzeliwano się wzajem, nad ranem nawet ogień prawie ucichnął, ale zaledwie pas jutrzenki na niebie zajaśniał, już w Zamku uderzono na alarm. W tejże chwili Turcy „kindyę“ zagrali i wnet całe to mrowie pogańskie jęło się koło namiotów poruszać. Dzień już szarzał, gdy nagle rozległ się grzmot straszliwy artyleryi tureckiej. Na długiej linii wszystkie działa zagrały, a ryk ich był tak okropny, jakoby się na głowy nasze niebo całe w piorunach waliło. Po krótkiej przerwie, po raz wtóry huknęły gromy z przeraźliwem kul przelatujących świstaniem, z trzaskiem pękających granatów i rozpryśniętych kamieni.

Wśród tych hałasów przy mojej kwaterze zostając, spojrzałem na szańce tureckie, alem nic rozpoznać nie mógł, bo mi je dym gęsty od wystrzałów zasłaniał. Wyszedłem tedy na szczyt baszty i tu na spirze stanąłem, a ze mną kilku szlachty i Ormian. Aż tu ci psi po raz trzeci z dział wypalili, a kula półkartanowa prosto na basztę lecąc u nóg moich upadła. Osypany kamieńmi zwaliłem się o ziemię i ci co podle mnie stali upadli, ale wnet porwawszy się chyżo z nad baszty uciekli. Jam martwy na ziemi leżał, oni myśleli, że mnie kula przez pół przerwała. Po chwili dopiero wróciłem do zmysłów; ruszyłem ostrożnie ręką i zadziwiło mię że zdrowa. Jąłem tedy nogę badać, bo mi się koniecznie zdało, że

mam bok ze wszystkiem wyrwany: mogłem i nogą ruszać; więc na obu łokciach stanąwszy, sięgnąłem do ucha bom ci i tu był pewien, że urwane, ale ucho na zwyczajnem miejscu było, choć bardzo bolało, gdyż kamień w sam puls ugodził. Dopiero rękę do twarzy prowadząc, patrzę a tu garść pełna krwi; powtóre sięgam, macam nos, usta, brodę, wszystko jest, tylko srodze od kamieni stłuczone. Wyrozumiawszy tedy żem żyw i cały, zawołałem na swoich. Ci zbiegli się ku mnie zdrowia winszując i wnet rany poopatrywali, a jam po opatrzeniu szedł w skok do kościoła, Bogu za ocalenie dziękować. Właśnie na mszę ranną trafiłem; tej wysłuchawszy pilno do bramy wracałem, bo i onej i tamy strzedz było trzeba. Ciężko mi szło, iżem był potłuczon wielce, a tu nijak leżeć nie było można przy ustawicznem bieganiu. Swoim wszakże zakazałem by o tem co zaszło nie gadali, gdyż i tak pioruny tureckie puszkarzy naszych od armat płoszyły.

Strzelanie chwili prawie nie ustawało, przyczem Bisurmanie, jak mówiłem, naraz z kilkunastu dział, kartanów i półkartanów rychtowali; kula najczęściej brustwery nasze na półtora sążnia szerokie przeniosłszy, w drugi mur na półtora łokcia gruby wpadała; a choć który strzał wałów chybił, to pociski w miasto leciały. Puszkarzów zaś tak sprawnych mieli, iż gdzie który chciał tam ugodził, a była między nimi siła chrześcijan, Francuzów, Niemców, Węgrów i Bułgarów za pieniądze służących. Z naszych, jeno który z działa się ozwał, wnet szwanku na sobie lub dziale doznawał, nieraz po dwóch i trzech razem ginęło. Tak Ojcu Franciszkanowi, który po szańcu chodząc, chwilę się przy armacie zatrzymał, klin z pod tejże armaty nosa urwał i gęby; przy nim dwóch Żydów do rychtowania pomagających upadło. W szaniec miejski zwłaszcza kule straszliwie biły. Powiadał mi Kazimierz Humiecki, jako tam w najgorszym ogniu trwając, ledwie placu dotrzymał; z sotni jego mniejsza jeno połowa i to mocno rannych przy życiu została.

Zwolna w tej nierównej walce puszkarze nasi na sercu słabnąć poczęli, aż w końcu trza nam ich było w on ogień kijami do armat naganiać; pomocnicy zaś to już zgoła z szańców uciekali; co gdy Bisurmanie postrzegli wnet w nich większa jeszcze wstąpiła ochota. W nocy z czwartku na piątek jęli granaty z moździerzów na Zamek miotać, lecz mało co psowali, gdyż w ciemności każdy

granat jest znaczny i człowiek przed nim łatwo umknąć potrafi. Za to nad ranem gdy już ludzi zmordowanych sen morzył, znaczniejsze poczynili szkody. Z Zamku odstrzeliwanie szło uciążliwie, gdyż dwóch jeno fajerwerkierów mieli, Korsaka i Okęckiego, a tym już ręce od pracy ustawicznej mdlały. Ani nam było jeść, ani spać, ani się na chwilę odpoczynku zmienić w straży — taka nas drobna garstka na tę fortecę była. Turcy zaś stokroć liczniejsi często się zmieniali, coraz to nam świeżych przeciwników stawiając. W ogóle porządek jaki u onych Bisurmanów bywa, wątpię by go który chrześcijanin miewał. Samych tam puszkarzów pod jednym znakiem kilkaset chodzi, i ci za jednym razem wszyscy gotowi stają; są osobni którzy szańce kopią; insi co Janczarom jedzenie gotują, co wodę wożą lub chleby pieką. Insi znów w ciemności z kagańcami przodkują, a przed Baszami i Agami całą noc nie śpiąc, świecą, przed ich namiotami kagańce zatknąwszy, w które zapalone knoty z bawełny kładą. Mufci ich też towarzyszą na wojnę i tu nabożeństwo swoje pogańskie odprawiając częstemi posty się morzą. Wszyscy zaś między nimi zgodę jedną kochać zwykli i do tego w trzeźwości trwają, bo gdyby który się upił, wnet od starszych po sto kijów dostanie. Dla tego też, choć przy obozie w Kamieńcu, wszelkich rzemieślników, rzeźników i kupców moc wielka była, żadnych przecie trunków nie sprzedawali, jeno sorbety i kawę.

Tak oni Turcy ziemię na zasłony sypiąc, powoli zbliżali się do Zamku i już aprosze swoje łączyli. Granaty ich, jak mówiłem, przez całą noc i dzień piątkowy na Zamek padały, głównie ku sklepieniom kierowane, kędy proch schowany być mniemali. Ciężki to był dzień pracy; pod wieczór już mnie samemu było nie po myśli; stałem sobie rozważając jakoby do mojej bramy posiłków dostać, gdy wtem przychodzi do mnie ordynans od Lanckorońskiego, bym ze swoich ludzi do Nowego Zamku dodał. Takiż ordynans był i do inszych sotników wysłany. Zrazu gniew mnie wziął, markotno mi było bramę tak bez opatrzności zostawiać; po chwili jednak rozmyśliłem się i strzelców dwudziestu biorąc szedłem na Zamek. W tymże czasie starosta i Wołodyjowski próbowali uczynić wycieczkę, ale nawet wałów tureckich dojść nie mogli, gdyż granaty przed nimi i za nimi strasznie padały.

Ja zaś ludzi moich na basztę szeroką powiódłszy, poleciłem

im ku dołom oko mieć, gdzie się już Turcy szańcowali. Znać było dobrze miejsce kędy w skale kowali, bo je skry wylatujące i echo kilofów wskazywały; tam więc ognia pilno dawać kazałem; poczem jąłem sam do bramy mojej powracać. Zaledwie połowę Zamku przeszedłem, aż tu widzę granat wprost na mnie lecący, uciec było za późno, miałem jeno czas Bogu duszę polecić, gdy niespodzianie granat pękł w górze, a roztrzaskane kawały wkoło upadły, mnie samego w przerażeniu wielkiem, lecz Bogu dzięki zdrowego, zostawiając. Przybywszy do bramy ognie na tamie wystawiłem, wet za wet za nieprzerwane pogańskie strzały oddając, aż echa po wszem mieście od tych piorunów drżały. Naraz jednak zagrzmiał huk stokroć straszniejszy: kula bowiem turecka przy Starym Zamku mur kaplicy luterskiej przebiła. Tu, że sklep był silniejszy, przed kilku dniami z inszych lochów zapas granatów i prochu byli przenieśli; teraz w jednej chwili proch się zajął, granaty, jeden drugiego zapalając wyskakiwały w powietrze, poczem roztrzaskane gdyby grad płomienisty, w sztukach leciały. Sam pan Rzewuski dla tych gęstolotnych pocisków w złożeniu swojem usiedzieć nie mógł i ledwie w mały kącik z dwoma chłopcami się kryjąc, za Bożą łaską żyw został.

Tymczasem Turcy, na widok wylatujących prochów mniemali, że już z nami koniec. Z okropnym wrzaskiem rzucili się do szturmu, najbardziej na Nowy Zamek napierając, od strony Chocima, kędy stał Wołodyjowski; co w obozie tureckim żyło biegło jak trzoda w aprosze, wyłażąc po fosach i szańcach. Wołodyjowski zrazu nie strzelał, dopiero gdy się dobrze zbliżyli, począł ich z dział kartaczowych razić, całe kupy zarazem kalecząc i waląc. Wszyscy trzej rotmistrzowie cudów dokazywali, tak iż ochotnikom i piechocie serca przybyło. Siła też owej nocy tureckiego trupa pokładli. W końcu Bisurmanie widząc, że nie zdzierżą, od szturmu ustąpili. Ze świtem jednak, gdy Turcy kindyę zagrali, a na Zamku odezwały się bębny, strzelanie znowu na dobre się poczęło. Wkrótce musieliśmy na murach, miasto zasłony, worki skórzane z wełną ustawiać; Bisurmanie bowiem fosę na pięćset łokci wzdłuż Zamku wykopując, już się przy samym murze w głąb dobywali.

W tym ciągłym ogniu starszyzna w pilności nie ustawała. Sam generał z rotmistrzami, pan Lanckoroński, Więckowski i Gruszecki Sędzia podolski, dzień i noc czujni, wszędy po Zamku i mie-

ście kwatery obiegali, a własnych sił nie litując każdemu pomoc dawali i radę. Lecz cała ta praca szła na darmo, gdyż w ludziach z ciągłych trudów, niedojedzenia, niewygód, niespania, ochota ustawała. Komunikacye stawały się trudne, gdyż Turcy bili głównie na most, który do Zamku Starego wiedzie, a co kule w dzień zepsowały to w nocy naprawiać przyszło. Żołnierzy co dzień ubywało — działa któreśmy w obu Zamkach rozdzielone mieli były w niebezpieczeństwie, trzeba je było do jednego zgromadzić. Poszliśmy tedy w nocy każdy ze swoją sotnią i wszystkie armaty z Nowego Zamku na Stary przewieźli. Jaką zaś szkodę granaty czyniły, powie piechota pana Wołodyjowskiego, gdyż ich sześciu razem w dzień przy dziale uśpionych naraz trupem poległo. Pozostali żołnierze już od muszkietów krew jak bochny chleba na ramionach pozsiadaną mieli; musiano też choć na noc chłopów ku pomocy najmować. Lecz i to nie pomogło: z rozpaczy dwóch żołnierzy przedarło się do nieprzyjaciela — chodziły wieści, że się czterdziestu inszych do zdrady gotuje. Zwołano tedy radę z propozycyą, by nie mogąc obu Zamków bronić, nowy Zamek całkiem opuścić, wszystkie siły w starym koncentrując. Mniemali że tu i rok cały wysiedzieć będzie można i doczekać się jakowej odsieczy. Tegoż zdania był i pan Wołodyjowski, zawsze dobrej myśli i odwagi pełen; Zamkowi ufał, że na skale był ufundowany, sądził że się obroni jeśli w nim do każdej ściany dość będzie ludzi. Jam temu przeciwny był myśląc, iż skoro się w Nowym Zamku utrzymać nie mogą, to jakoż w starym zdołają.

Turcy wonczas mur na założenie miny coraz dalej kowali. Nasi zganiali ich granaty miecąc, lecz się im samym przy tej robocie dostawało, jako porucznikowi chorągwi pana Krasińskiego Dembińskiemu, któremu gdy już Turków bez liku położył, a jeszcze z fajerwerkami granat rzucał, prawą rękę całkowicie urwało. Takoż ranny był Szmit kapitan pana Łączyńskiego i wielu innych na śmierć postrzelonych. Trupów tych już do miasta nie kazano nosić, lecz je zaraz w wałach na Zamku grzebano, by ich widok drugim z piechoty serca nie psował. Wycieczki były niemożliwe, gdyżby się resztki ludzi wnet postradało. Widząc więc że już nie wytrzymają, w nocy ze środy na czwartek (25 sierpnia) z Nowego Zamku, jak było uradzone na Stary ustąpili, przed odejściem miny w dwóch miejscach założywszy. Gdy Turcy z dniem prawie do opuszczonych

ścian wleźli, miny te zapaliły się lecz jeno część muru bez większej szkody zwalić zdołały.

W Starym Zamku oblężeńcy widząc się w kupie nabrali serca; wkrótce jednak spostrzegli że i tu obrona będzie trudna; z strzelnic bowiem co w murze były nie mogli trafić w miejsca skąd Turcy do wyłomów mierzyli, a mur przy swej wysokości nie dał im widzieć co czynią. W mieście snać zmiarkowano iż ogień na Zamku słabnie; w obawie aby nie uległ złożyli radę, po której Józefa Wasilkowskiego z kartą do generała posłali, pytając azali nie lepiej za wczasu traktować. Co gdy do Ruskiej bramy doleciało, ludzie moi jęli mnie upraszać bym na radę ową szedł i do traktowania nie dopuszczał — biedacy jeszcze się nadzieją polskiej odsieczy łudzili. Poszedłem tedy do biskupa i tu, jak raz poprzednio, złamanie przysięgi i małość serca radzącym wypominałem. Podczas gdym mówił przybyli od generała rotmistrze Humiecki i Wołodyjowski. Zdawali się zdziwieni i nieco gniewni: „Cóż to jest bracie stolniku, spytał mię Humiecki, z czemże to do nas posyłacie? Toż my w Zamku i rok cały wytrwać gotowi". Co Wołodyjowski żywo potwierdzał, najmniejszego nie okazując niepokoju. A ja na to: „Ależ to wy coś tak w tym zamku działacie, że ludzie się straszą — poczem odwracając się do szlachty dodałem — czekajcie jeno a da Bóg hetman z odsieczą przyjdzie". Pan Wołodyjowski jął im znów zaręczać: „Nie o poddaniu, przebóg, lecz o miotaniu kul i granatow załoga myśli, będziem trzymać, póki sił stanie, a może nam i Bóg w końcu sprzyjać fortuną raczy".

Przed wszystkiemi onę deklaracyę dawszy, wracaliśmy do naszych kwater; a że nas droga pospołu wiodła, jeszcze idący rzekłem do Wołodyjowskiego: „Macie-li w Zamku takowe obrony byście i w tył od Ruskiej bramy bili? bo gdyby jeno, uchowaj Boże, Turcy tamę przerwali to się do bramy dostaną, czego jeśli ich z Zamku nie będziecie zrażać snadno dokażą. Ja ze wszystkich sił pilnuję, ale z samymi mieszczany bez żołnierza rady nie dam, skoro wy mnie nie odstrzeliwacie. Nie frasuj się o bramę, rzekł Wołodyjowski, piętnaście ja dział od tej strony wyrychtował. O Zamek takoż nie miejcie troski i sami się w mieście pilnujcie, a gdy wam do której kwatery będzie trzeba to i z Zamku posiłek damy". Mowa ta wiele mi dodała otuchy, ufność taką u oficerów zamko-

wych widząc tuszyłem dobrze, może aż do zbytku. W mieście samem obrony nie było, i Zamek dla nas jedyną stanowił nadzieję, w niego się też każdy z naszych wpatrywał.

Słońce zachodziło gdy rotmistrzów pożegnawszy u bramy stanąłem; Turcy zwykłe nabożeństwo wieczorne odprawiali, które gdy się kończyło, wielki krzyk po całem wojsku się wznosił, poczem się strzelanie nanowo rozpoczynało. Tej nocy znów granaty bez przerwy leciały i kowanie min nie ustawało. Naonczas pod Dymną Basztą kowali, skąd już ich nie można było odpłoszyć; przed paru dniami, bowiem kule tureckie zgruchotały słup środkowy, na którym ściel pod armatami stała; bramy od ciężaru niedługo pękły, a że czasu do naprawy nie było, Dymna Baszta musiała wakować, i Turcy pod nią mogli czynić co chcieli. Niebawem już i na rynku w mieście dla gęstych granatów, ostać się było niepodobno; ludzie to w ten to w ów bok uciekali, nieraz kilku naraz od jednego pocisku ginęło.

Tak nam dnie i noce w onych troskach płynęły. W Zamku już od pocisków i kącika całego nie było, budynki i sklepy poprzebijane a pokoje, które tam drewniane były zgruchotane. Jedna kula siedm aż ścian przebodła, a przeleciawszy, po drugiej stronie stojących raziła. My już myśleli, że to sądny dzień nadszedł, aleć gorsze jeszcze przyjść miały. Jakoż zbliżał się ów nieszczęsny, pamiętny dla nas Piątek. Turcy byli już gotowi minę podłożyć pod ową wielką Basztę, która przy mieście ku nowemu Zamku stała. Na dzień wprzódy strzelanie podwoili, przechodu od nas do Zamku Starego broniąc; gdy jednak czas podłożenia nadchodził, działa umilkły i tylko janczarki odzywały się suchym chrzęstem, jakoby groch twardy o kamienie sypany. Na starym Zamku też wszystko ucichło; ludzi już oficerowie utrzymać nie mogli, z trudu zbytniego na ziemię legli i spali. Naraz hasło z dział tureckich zagrzmiało, na który znak Janczarowie z obozu wskok bronie chwytali i ku Nowemu Zamku przybieżawszy, jęli chorągwie przez towarzyszów na wał wystawione śpieszno wyrywać. Po chwili wszyscy społem ku szańcom nazad zmykali. W starym zamku ludzie pospani ruchu tego nie miarkowali, jeden tylko żołdak, który stał dla przysłuchiwania, wpadł do starosty dając znać, iż Turcy chorągwie porwawszy, co tchu do obozu zmykają. Oficerowie zdumieli się — pierw-

szy z nich ochłonął Wołodyjowski: „Nie darmo to rzekł, jest tu coś nowego, albo nam odsiecz przybywa i dlatego uchodzą, albo miny już do reszty dogorywują. Jest w tem tajemnica, której nie rozumiem".

Ostatnie słowa sam do siebie mówiąc szedł ku drzwiom wyjrzeć dla przekonania — gdy nagle mina z okropnym grzmotem wybuchła. W tejże chwili piorun z dział i janczarek na nowo ryknął, aż się skała w fundamentach zatrzęsła a kłęby kurzawy i dymu jasność niebieską zakryły. W tej grozie Wołodyjowski stanął; potem jak błysk przeleciała mu myśl, iż Turcy z zamieszania korzystając, na Zamek uderzą. Skoczył tedy ku dziurze, kędy napaść przyjść mogła i w istocie już doń sobie pohańcy przez gruz i głazy drogę torowali. Doszedłszy obejrzał się; był sam, gdyż ze snu na w pół zbudzona piechota uciekała w popłochu. Dwóch przecież żołnierzy z muszkietami w ręku nieruchomie na warcie stało. Wołodyjowski rzucił się na nich z tyłu i obu silnie za barki ułapiwszy ku wyłomowi pchnął, poczem sam dobywając oręża do wyłażących Turków strzelać rozkazał. Stali tak we trzech wrogą nawałę wstrzymując, aż stary rotmistrz Kałuszowski spostrzegłszy ich z kilku innemi, na pomoc przyskoczył. Pan Potocki w toż o własne życie nie dbający na wsze strony się rzucał, ludzi co mógł nawołując, prośbą i groźbą do obrony gnając, aż i zlękniona piechota do porządku wróciła. Po chwili nadbiegł z posiłkiem do wyłomu Humiecki a za nim Myśliszewski, Mołodecki i insi oficerowie. Turcy coraz silniej napierali i coraz ich większa kupa przez otwór lazła. Z naszej strony wyłom po części drzewem założono; ci co najbliżej bez przestanku strzelali muszkiety wraz do nabicia oddawając a inne biorąc, które za niemi stojący ładowali. Wojciech Humiecki raz wraz pilnie strzelał, Myśliszewskiego przytem przestrzegając jako się zbytnio naraża. Sam siebie przecież nie strzegł, gdyż wkrótce jęknął i upadł w piersi ugodzon. Skoczyli nasi by go porwać na swoją stronę, ale w gęstwie jaka tam była, szło trudno tak, iż dopiero mocno zdeptanego, choć żywego jeszcze, z pod nóg podnieśli. Po nim padł Kałuszowski wierny Wołodyjowskiego towarzysz, co gdy Pułkownik obaczył, zapomniał o walce i przy nim na kolana się rzucił. W koło nich bitwa wrzała i kule świszczały a umierający starzec ręce wodza swego ściskał, za opiekę tyloletnią

dziękując, i w tem dziękowaniu skonał. Wołodyjowski znów do walki się porwał i walczył zawzięciej jeszcze straszniej niż to zazwyczaj czynił; a jeśli go cudem prawie żaden cios nie dosięgnął, znać jeno, że zegar jego jeszcze nie dochodził.

Bitwa przy wyłomie długo trwała; a do nas od niej wrzask i huk dochodził i dym nad Zamkiem jako mgła się wznosił, aż się mnie samemu z mojej kwatery zdało, iż to nowa mina wybuchła. Z miasta, gdy tę opresyę ujrzeli, wnet ku zamkowi Staremu z pomocą biegli, co Turcy zmiarkowawszy, jęli tak straszne na nich pociski miotać, iż ledwie połowa w rozbiciu nazad w miasto ujść mogła. Garstka jednak żywcem się przedarłszy na Zamek wpadła. Noc się zbliżała, gdy Turcy długim oporem znużeni poczęli ustępować, trupy swoich, a było ich bez liku, na ramiona biorąc, by ich tejże nocy przy obozie pochować. Oblężeńcom poległych liczyć czasu zabrakło; widzieli jeno, iż z oficerów, prócz rannego Humieckiego, Kałuszowskiego i rotmistrza Kijanów Mokoszyckiego nie stało; z żołnierzy też ubyło wielu. Ledwie tedy tchu zaczerpnąwszy Zamek wartami obstawili czekając, co Turcy poczną; i wnet granaty jęły w ciemności, jak błyskawice latać po niebie, a kowanie muru z trzech miejsc się ozwało. Tej nocy na Zamku wcale się nie kładli. Widząc, iż się Bisurmanie na wysadzenie miny gotują, naradzali się, jakoby złemu zabieżeć; poczem wał przez środek Zamku kopać zaczęli, by w razie wybuchu za nim bronić się mogli.

Z miasta od biskupa nad ranem do generała posłano z zapytaniem, co dalej będzie. Odpowiedź była krótka; starosta pisał: „Zamek do wieczora nie wytrzyma; z trzech stron bowiem miny pod nim wykute, które Turcy z południa zapalić mają. Przestrzegam was, by potem na mnie wina nie spadła. Wy radźcie o sobie, co czynić, a do mnie dajcie znać, jeśli się na traktat zgodzicie". Zaraz tedy zacny Pasterz zwołał na radę. Jam wszakże całą noc u bramy strzelania pilnujący nic o niej zrazu nie wiedział; z rana dopiero na czas krótki komendę zleciwszy na mszę św. poszedłem. Już się rozwidniało, gdym z kościoła wychodząc posłańca na oną radę wzywającego zobaczył. Gdym do biskupa śpieszył na środku rynku zdybał mię Grodecki i wraz zapytał: „cóż to nam niesiesz nowego, jakoś przez naszych wiatr płochliwy dziś zawiał: powiadają jakoby Turcy blisko twojej tamy cięli?" — „Ten, co to mówił, odrze-

kłem, nie dobrze widział; byleby jeno Zamek nie uległ, to i moja brama wytrzyma". Pan Grodecki tożsamo i o swojej bramie zapewnił. Zaczem tak rozmawiając weszliśmy do pokojów biskupa. Przybywaliśmy późno — większa część szlachty już się była rozeszła. Ksiądz biskup zaraz mię przyzwał i jął znów o ruską bramę badać, czyli jeszcze bezpieczna? Na co, gdym podobnie jak Grodeckiemu odpowiedział, całą nadzieję na Zamku gruntując, on tylko smutnie głową pokiwał mówiąc: „Czyli zamek wytrzyma nie wiem, gdyż oto złą wieść od starosty przez pana Dunina dostałem. Zamek snać podkopany i miny ze trzech stron podłożone". „To nie może być odrzekłem, choć z ust Waszej Miłości słyszę, nie uwierzę, chyba pisanie obaczę!" „Oto masz pismo, rzekł biskup, list starosty podając, widzisz niestety, że wieść niepłonna". Ale ja z papierem w ręku zwróciwszy się do Rajeckiego, który jako oficer w chorągwi generała znać rzeczy musiał, pytałem jeszcze: „Mówże na Boga, prawda-li to jest?" — „Prawda, odpowiedział chorąży, Zamek i do obiadu nie dotrwa; ni obrony, ni ratunku już nie masz".

Na to insi, którzy tam byli, jęli mi srogie wyrzuty czynić, iżem póki czas był nie dopuścił traktatu; lecz tych ksiądz Biskup w krótce uciszył, sam z dobrocią zaklinając, bym dłużej oporu zaniechał. Mnie już desperacya chwytała: „Nie, Miłościwy Książe, wołałem, niech tu raczej głowa moja poleże a nie pozwolę na ono poddanie, bo mi moja przysięga na oczach! Sameś z Najświętszym Sakramentem w ręku na imię Boga nas wzywał, byśmy przy wierze, królu i fortecy zginęli, myśmy za tobą słowa powtarzali i z własnej woli przysięgę złożyli, jakoż mnie więc teraz z niej absolwujesz?". „Uspokój się, rzekł biskup, i cierpliwie wysłuchaj. Przysięgaliśmy, to prawda, i Bóg widzi, że ani wiary ani króla nie odstępujemy. Co zaś do twierdzy, to nam już chyba w tem miejscu umierać zostaje. Aleć i śmiercią naszą nic krom złego nie sprawim, bo przez nią fortecy dla Rzpltej nie zachowamy, a skoro my zginiemy, to kościoły Boże, niewiasty i dzieci w pogańskie ręce popadną. Widzisz stąd sprofanowane świątynie, panny poczciwe znieważone i niewinną dziatwę w jasyr wleczoną? Z traktatem zaś możem jeszcze los ich zapewnić, możem kościoły od zmazy zbawić, a dla siebie wolny przechód warując, braciom potem do odebrania twierdzy dopomódz!".

Umilkł pasterz a drudzy mowy jego popierając naglili jeszcze: „W czemże wasza nadzieja, pytali, skoro odsieczy niemasz a Zamek upada?“. „Stójcie, dla Boga! przerwałem z rozpaczą, wszakże odsiecz przyjść musi, toć cztery niedziele jakośmy posłali, pospolite ruszenie już skupione być winno, czekajcie jeno a przyjdą“. „Mylisz się bracie, odpowiedzieli smutnie, pospolite ruszenie nie przyjdzie, bo go niemasz. Województwa niektóre trzecich wici nie chciały; toż tam sejmiki zrywano, by się ludzie na wici kupą nie stawiali. Nie, na odsiecz nam już nie liczyć, ale się samym na pieczy mieć“.

Dłużej słuchać nie mogłem, bo mi już gorycz serce zalewała; milczący wyszliśmy obaj z Grodeckim w podwórze i oczy mimowolnie w górę na zamek podnieśli. Dreszcz mię przeszedł — ze szczytu biała chorągiew błyszczała i strzelba z obu stron ucichła: tym razem wiedziałem dobrze, że to już na zawsze. Staliśmy, wzroku od tej chorągwi oderwać nie mogąc, gdy tętent kopyt końskich nas zbudził, w podwórze wjechał Wołodyjowski. Zmieniony był i blady, po raz pierwszy zwątpienie na twarzy jego widziałem. Poskoczyłem ku niemu: „Powiedz mi, spytałem, cóż na zamku się dzieje, czy już traktować będziecie, niemasz już innej rady, innej nadziei? Powiedz mi, jam ci brat, mów szczerze!“. „Do wieczora, odrzekł pułkownik, bok od Nowego Zamku będzie wyrzucony; pod nami prochy we troje podłożone, gdy się zapalą mur nas przywali, lub w powietrze wysadzi; poczem Turcy przejście wolne mając, na miasto się rzucą. Mówię ci, wszystko skończone, trzeba innego ratunku szukać“.

Pod ten czas generał z zamku przyjechał i ze starszyzną się zszedłszy radzili kogo i z jakiemi punktami do Turków posłać; chodziło o to, by nas z żonami i dziećmi wolno puszczono. Jak zawsze wybrany był Myśliszewski a z nim Gruszecki i Rzewuski; do tych żołnierze Janickiego a Ormianie Wojewódkę i starego wójta Grzegorza przydali. Dwa arkusze punktów spisawszy, z niemi onych posłów wyprawili.

Ja na moją kwaterę zbiegłem a choć strzelania nie było, baszty silnie wartami obsadziłem, poczem z kilku innemi poszedłem na Zamek ruiny oglądać, które tam miny i kule zrządziły. Zniszczenie

było okropne. Na moją prośbę major artyleryi Heikink [1] powiódł mię najprzód do pierwszego wyłomu, kędy się była baszta zwaliła; tam się właśnie otwór od jednej miny znajdował, drugi zaś pod basztą w której zwykle prochy chowano. Trzecia mina nie była znaczna dla leżących kupami kamieni i rumowiska; ale major wskazując ku bramie, dał mi znak bym pilnie posłuchał: „ot tam kują, powiedział". Jęliśmy więc tej dziury upatrywać, aż przyszliśmy na miejsce, gdzie już wyraźnie kowanie słyszeć się dało. Tu wziąwszy ciężki kamień mocno o ziemię rzuciłem. W tejże chwili gruzy poruszyły się a z pod nich dwie głowy tureckie na wierzch wylazły. Zoczywszy nas wyszli cali i stanęli, udając jakoby o niczem nie wiedzieli. Na co ja rozgniewany począłem wołać: „Słyszycie tam psu braty, jakoż to w czas traktowania miny pod nami kujecie, myślicie może, żeście nas już wzięli?" Ale on bisurmanin do któregom mówił, snać nic nie rozumiał, bo nie odpowiedział, tylko się uśmiechał ręką kiwając. Po chwili jednak kilku innych nadeszło, których janczar Aga, wołanie moje usłyszawszy z tłumaczem ku nam przysłał, pytając, czy krzywdę jaką od janczarów mamy: „Jakoż nie mamy krzywdy mieć, odparłem, gdy mimo traktowania miny kowają? Powiedzcie sami czy tak powinno być, a tym to z dziury natychmiast każcie ustąpić". A on mi na to: „Ale wy sami czemu drogę do zamku zakładacie i robót w mieście nie myślicie zaniechać, wprzód wasze roboty zaprzestać każcie". „A tobie do miasta co, zawołałem, wam tu pod zamkiem cicho stać a pod miny nic nie kuć dopóki traktaty trwają, bo wiedz, że się łacno rozerwać mogą". Aga tedy kazał swoim ustąpić, którzy na głos jego zaraz się usunęli i już cały dzień nieruchomie pod murem z janczarkami stali.

III.

Posłowie nasi wyruszyli do tureckiego obozu a w zakład za nich sześciu Bisurmanów posłano. Tych nie wiedziono przez bramę, jeno czółnami do miasta wjechali, poczem ich do gospody Lanckorońskiego wprowadzono, przed którą Wąsowicz z regimentem swoim

[1] W manuskrypcie stoi, pewnie przez omyłkę, Helinka. Mógł być więc Heikink, albo Zielonka, gdyż obaj byli majorami artyleryi.

w paradzie straż trzymał. Turkom wszelką wygodę dano, jadło i napitek dla nich sporządziwszy; wielu też ze szlachty z ciekawości dla rozmowy z nimi przychodziło.

Posłowie zaś podobnie jak zakładnicy łodziami z twierdzy wyjechali; za miastem czekali Turcy, którzy za ich zbliżeniem konie im swoje ustąpili, a sami pieszo idąc do namiotów wezyrskich wiedli. Nasamprzód prosił ich do siebie marszałek i w milczeniu kawą i sorbetami częstował, poczem do samego wezyra wstęp mieli. Tu, z wszelką uczciwością przyjęci, poselstwo swoje sprawili, punkta od szlachty spisane czytając. Wezyr spokojnie wysłuchawszy, dał dumną odpowiedź: „Daremne wszystkie pisma te i żądania. Chyba królowi waszemu lub innemu monarsze a nie waszym głowom traktaty takie przystoją! Wierzcie mi, hardością nic nie zyskacie. Nie czujecie snać, że już cale w cesarskim ręku leżycie? — Macie tu nasze punkta spisane, które przysięgą moją zatwierdzam. Oto są na moją wiarę: Dla was wszystkich wolność, kościoły zachowane, ale nie wszystkie i nie te jakie wy, ale jakie cesarz wybierze; na co wam ich tak wiele, w tych kilku dość chwały Bogu oddacie. Z fortecy wolno wam będzie wynijść skoro zechcecie z żonami, dziećmi i całym dobytkiem. Dwory też wasze pozostaną nietknięte — żaden Janczar nogą w nich nie postoi, a któren by się ważył srogo karany będzie. O więcej nie proście, bo nie otrzymacie; dość wam, że z życiem wyjdziecie. Nie godniście nawet takiego zmiłowania iżeście przy pierwszych traktatach wbrew prawu strzelać zaczęli; (tu wezyr czynił wzmiankę o owem strzelaniu, do którego ja Makowiecki byłem pochopem). Ale, dodał, cesarz wam to przebacza. Dalej nie mówcie nic, nie wasza w tem głowa; pamiętajcie tylko, iż miecz na was gotów i przed wieczorem uderzy; a teraz dość! Macie wybór: brońcie się lub poddajcie! powrotu zakładników rychło wyglądam".

Usiłowali jeszcze posłowie przemówić, lecz im nie dano i wyprowadzono z namiotu. Cóż mieli robić? wezyr prawdę powiadał, Kamieniec już był w mocy tureckiej. Wziąwszy tedy pismo wrócili do miasta. Za ich przybyciem szliśmy wszyscy do kościoła Franciszkańskiego, kędy się dawniej, zanim je do Fary przeniesiono, sejmiki odbywały, a gdzie nam teraz publicznie traktaty wygłosić miano. Jakoż posłowie przed zgromadzeniem pismo od wezyra od-

czytali, poczem niektórzy głos zabierali, drudzy stali smutni ze spuszczonemi oczami; inni zaś między sobą szeptali, jakoby się czegoś więcej spodziewać mogli, gdyż w piśmie na różne punkta nasze odpowiedzi nie było. Widząc to posłowie rzekli: „Oto już wszystko, więcej niczego oczekiwać nie można“. Naonczas wszyscy spojrzeli po sobie, co dalej czynić? Gorzko nam było na duszy i gniew brał srogi na nierząd, który nas zgubił, na on nierząd, którym Polska stoi i ginie. Ale czas naglił, musiano więc na on traktat przystać i w ręce posłów zezwolenie na piśmie złożyć.

W chwili jednak, gdy to czyniono z pomiędzy tłumu podniósł się starzec sędziwy Kosakowski, który swój żywot w wojennym trudzie spędziwszy, dziś siwą głowę w bólu i sromocie pochylał: „O Boże, mówił, a głos jego rozlegał się w świątyni żałosny i drżący, o Boże, toćmy już gotowi i wszystko skończone! Więc naszą wolność tu zostawujemy w tym kościele, gdzie przodkowie nasi nabywać jej zwykli. Od nich my ją wzięli a dziś tracim na zawsze!“ Dalszą mowę płacz mu przerwał i w całym kościele nikt już głosu nie wznosił jeno wszyscy w milczeniu stojąc płakali.

Takci to, już po wszystkiemu było, oblężenie skończone a z oblężeniem praca, obrona i nadzieja skończona. Nie było już po co do kwater chodzić, ludzie się rozeszli i każdy o sobie tylko i o swojej chudobie pomyślał. Jeden Wołodyjowski na Zamek jechał, by tam zanim go Turkom odda — po raz ostatni porządek uczynić. Piechotę swoją na szaniec miejski do wójta Cypryjana odesłał z rozkazem, by tam zostawali podczas gdy Turcy Zamek odbierać będą. Inne zaś piechoty, to jest ludzi Biskupa krakowskiego i Referendarza Wąsowiczowi zlecił. Czynił to wszystko rządnie, spokojnie, ale z boleścią na twarzy niesłychaną; od rana chodził tak, często wzdychając i łzy co chwila z oczu mu się puszczały, aż strasznо było na rozpacz tego męża poglądać. „Raczej mi było zginąć, mówił, bym to był wiedział, że nas ta klęska nie minie, niechbym nie patrzał na ono poddanie!“ — Więcej, krom służby, słów z niego trudno było wydobyć, a lubo kto z perswazyą doń przemówił, nie odpowiadał, jeno się w gorszą jeszcze żałość pogrążał.

Wychodząc z kościoła, jako mówiłem, wszyscy się rozeszli; niektórzy zaś za starostą do domu Bobrykiewicza wstąpili dokąd i ja, Wołodyjowskiego na Zamek odprowadziwszy, poszedłem. Tam

my w koło generała siedzieli, o zajściach ostatnich rozmawiając, z dziwnym jakimś spokojem, jakobyśmy już z twierdzy wyjechali a całe olężenie i biedy nasze gdzieś za nami daleko zostały. Z odrętwienia tego zbudził nas huk straszliwy, przeciągły, podobny temu, który się przy wysadzeniu baszty rozlegał; przez okna izby dech jakiś gorący wionął i powietrze napełnił. Obecni spojrzeli w przerażeniu: „Turcy miny zapalili, wymówił któryś, zginiemy wszyscy". Z rynku już gwar i łoskot słyszeć się dawał; kto sam nie widział pojąć nie może, co się wtedy działo — jaki strach, jakie zamieszanie po ulicach i w domach powstały. Jedni jęcząc łamali ręce lub bezmyślnie tu i owdzie biegali, inni broń w nieładzie chwytając krzyczeli: „Brońmy się, bijmy, nie dajmy się niewiernym jak trzoda wybierać". Wszyscy bowiem myśleli, iż Turcy Zamek wysadziwszy z mordem i pożogą na miasto się rzucą. Męże silniejszego serca chcieli przynajmniej z orężem w ręku umierać — ale daremnie, nikt ich nie słyszał, gdyż ludzie z trwogi zmysły potracili.

Myśmy za generałem wypadli byli na rynek, gdy w wielkim pędzie nadjechał Wąsowicz: „Panie Starosto zawołał, w Zamku nasze prochy się zapaliły, niewiedzieć skąd! Trzeba radzić, bo Bóg wie co się stanie. Ja z ludźmi ku Zamku jadę i tam u końca mostu całą noc stać będę. Wy tutaj myślcie o sobie".

Już konia zwracał, gdym go zatrzymał prosząc, by mi do ruskiej bramy dwie roty ustąpił, ale on szorstko ofuknął, że i człowieka nie da i ruszył cwałem. Chciałem tedy swoich mieszczan napowrót do kwatery zagnać by ją na wszelki przypadek mieć na gotowości, ale ludzie byli rozproszeni, a tych których zdybałem zrazu taki popłoch ogarnął, iżby się raczej byli na miejscu dali usiekać. Trzeba było długiej namowy i surowych gróźb oficerów, by choć część onych na posterunki wróciła. Rozstawiwszy ich rządnie u bramy pospieszyłem szukać Wołodyjowskiego, o którego mię niepokój brał iżem go był niedawno na Zamku odszedł.

Starosta tymczasem wysłał był z jednej strony do załogi w mieście będącej, by im dla uspokojenia przyczynę wybuchu wytłumaczyć, z drugiej zaś do wezyra by wedle możności z tego, co zaszło sprawę zdać i posądzenia zamachu jakowego uniknąć. To jednak przyszło po niewczasie. Wezyr albowiem już był ku Zamkowi wyruszył, posłów naszych przodem z Janczarami wysławszy

i ci właśnie w mury wstępowali, gdy prochy w skarbcu zapalone z grzmotem wybuchły. W jednej chwili ujrzeli się wśród zionącego żaru i lecących kamieni; jeden z tych sędziego w głowę ugodził. Lecz zaledwie miał czas zakrzyknąć, gdy się Janczarowie na nich z wściekłością rzucili, porwali i nazad z wrzaskiem i złorzeczeniem jako zdrajców do wezyra powlekli. Posłowie próbowali się bronić ale daremnie, dopiero przed wezyrem stanąwszy Myśliszewski przyszedł do głosu: „O zdradzie żadnej nie wiem, mówił, przekonaj się zacny wezyrze, a jeślim winien ściąć mię rozkażesz. Pójdź sam ze mną na Zamek lub kogo poszlij a uznasz, iż chyba przypadek to sprawił". Wezyr, wysłuchawszy go z uwagą, napowrót do Zamku z kilku starszemi Janczarami wyprawił. Wtedy już niebezpieczeństwo minęło i kamienie lecieć przestały; weszli więc w dziedziniec, lecz tu na samym wstępie Myśliszewski się wstrzymał: przed nim na ziemi leżał trup Wołodyjowskiego. Cała tylnia część głowy była wyrwana, kości z czaszki i mózgu ani znaku, jedna twarz w całości została. Po chwili Myśliszewski zwolna ku Janczarom się zwrócił: „Patrzcie, rzekł, oto oficer, który rząd na tym Zamku sprawował; patrzcie dalej i tam trupów siła — wszyscy od wybuchu polegli".

Więcej mówić nie mógł, a Turcy otoczyli ciało Wołodyjowskiego, wpatrując się z ciekawością i żalem, samym wrogom bowiem cnota jego wiadomą była. — Wezyr gdy mu doniesiono co zaszło, w obóz powrócił; Janczarom zaś tego wieczora wstępu na Zamek wzbronił, a to by chrześcijanom dać poległych swoich pozbierać; posłów też aż do rana w namiocie pod strażą zatrzymał.

Gdy się to działo, ja Makowiecki o niczem niewiedzący, biegałem, Wołodyjowskiego szukając. Trzech nas było przyjaciół, z tych jeden Humiecki leżał ciężko postrzelon, a o drugiego strach mię brał, niby przeczucie nieszczęścia. Ale próżno o niego to u starosty, to u Turków pytałem, próżno ludzi zaczepiałem po drodze, czy go kto nie widział, czy nie wie, azaliż żyw i zdrowy? Janicki wreszcie zatrzymał mię, mówiąc: „Darmo szukasz strapiony człecze, Wołodyjowski nie żyje, samem go widział, leży tam na dziedzińcu zamkowym w kącie za wałem."

Co się ze mną stało, powiedzieć nie umiem; jak szalony puściłem się ku Zamkowi; lkanie dech mi dławiło. Ale zaledwie kawał drogi ubiegłem a już przed sobą zoczyłem pachołków niosących

zwłoki. Szli zwolna, przy nich szedł Kazimierz Humiecki. Zdala już poznał mnie i zawołał: „Dokądże idziesz nieszczęsny, już twój brat leży snem twardym uśpiony, już nam nie cieszyć się jego słodką przyjaźnią!“. Z temi słowy łzy gęste z oczu mu się rzuciły; ja sam dla żalu nie wiedziałem gdzie stoję. Obaj wzięliśmy na barki deskę, na której zwłoki leżały i ponieśli do miasta. Tu matka z krzykiem rozdzierającym przybiegła, a zoczywszy ciało, w objęcia córki mdlejąca upadła. Serce pękało na widok tej boleści macierzyńskiej, na głos jej skarg tęskliwych za postradaną pociechą starości. Lecz któż żale wypowie, jakie zmarłego wspominając, owe niewiasty na sercu miały, wszak nie byłby człowiekiem, ktoby go nie żałował! Tenci każdemu dogodzić umiał, w każdym terminie siebie dla drugich poświęcić i zdrowie swoje dla ich obrony nadstawić. Zawsze szczery, czy wobec przeciwnika, czy którego ze swoich, na sejmikach zawsze brnął środkiem drogi, a gdy mu wotować przyszło, na nic krom prawdy nie zważał. Jako srogi był i nieugięty dla wroga, tak dla przyjaciół przystępny i miły. Chętnie przytem z każdym w konwersacyę wchodził; po wsze czasy ochotny i wesół, życzliwością swoją i obejściem skromnem przy tak świetnych zasługach, nietylko sławę, ale i miłość u wielu pozyskał. Mnie samemu, gdym go utracił zdało się, że mi duszy kawał wydarto. Trzeci z nas, Wojciech Humiecki, gdy na łożu boleści o śmierci Wołodyjowskiego posłyszał, żal go wziął tak wielki i naraz ból w piersi tak mocny pochwycił, iż w tejże chwili ducha wyzionął. Lepiej mu, już nie widzi troski ni kłopotu; miłość ich obu w śmierci na zawsze złączyła. Jam po nich jeden samotny pozostał, na to chyba, abym ich cnotę ku wiecznej przekazał pamięci.

Tego wieczora na Zamku płacz, jęk i lament rozlegał się straszny; prócz Wołodyjowskiego bowiem mnóstwo ludzi zginęło, mnóstwo też rannych gruzami przywalonych leżało. Z samego regimentu Księdza krakowskiego padło trzech chorążych, czwarty Kurowski był ciężko ranny; żołnierzy zaś prostych 290 liczono. Kapitan Król i młodzian generała Horaim zginęli. Regiment pana Krasińskiego więcej jeszcze ucierpiał, bo krom oficerów 500 żołnierzy poległo a z nimi i ci kórzy naonczas właśnie żywność na zamku wybierali. Wszystkich ciał wieczora tego niepodobna było z pod kamieni wydostać; te później dopiero Turcy wyciągnąwszy, wzgardliwie

z murów zamkowych zrzucali. W jaki sposób do tak straszliwego wybuchu przyszło, nie wie nikt, jeno na majora Heinkinka[1], który wszystek cekaus miał w dyspozycyi jest posądzenie, iż to on z desperacyi prochy podpaliwszy, siebie i drugich w powietrze wysadził. W chwili gdy prochy ogień rzuciły, wszystkie działa, które w pośrodku zamku z kartaczami stały, wypaliły odrazu. Młody szlachcic Markowski, którego nawpół żywym opodal zwłok Wołodyjowskiego znaleźli, powiadał nam potem, iż pułkownik stojący właśnie konno w dziedzińcu, widząc te ognie, chciał się za wał usunąć, gdy go kartacz lecący w głowę ugodził.

Przez całą noc Wąsowicz stał w paradzie przed mostem zamkowym, miasto od złego strzegąc. O świcie Turcy wjechali, Wąsowicz zaś ustąpił, bo już ich panowanie początek brało. Była to niedziela, dzień 28 sierpnia; w mieście powoli wzburzenie i strach opadały, zostawując po sobie, w miarę jak się twarda rzeczywistość odsłaniała, niezmierne przygnębienie. Gdy już dobrze rozedniało, przybył do starosty tłumacz Janazet od janczara Agi posłany z żądaniem, by mu klucze od bram złożono. Starosta na to nie odrzekł i słowa, jeno się ku mnie obracając rozkazał: „Oddać mu bramę, poczem ciszej, niemal ze łkaniam dorzucił: biedniśmy człowiecze". Musiałem tedy z tłumaczem iść do Janczara Agi. Był to człek poważny, choć młody, urodą swoją do pana Silnickiego[2] podobny, w żupan szkarłatny z weneckiego atłasu i takąż ferezyę aksamitną sobolami podbitą pięknie przyodzian; za nim dwóch zbrojnych ze straży przybocznej stało. Krótko się ze mną rozmówiwszy, Aga przydał mi rotę janczarów, którzy kwaterę moją objąć mieli, wszelkich im przytem zaczepek lub nadużyć w mieście surowo zakazując.

Dnia tego chyba i po śmierci nie zapomnę. Nasamprzód Turkom Ruską bramę tak krwawo bronioną oddałem. Poczem do gospody wracając, musiałem myśleć nad tem by, póki jeszcze Bisurmanie dozwolą, ciała towarzyszy godnie pogrzebać. Jeden z tych,

---

[1] „Pan major artyleryi, zamknąwszy się w wieży, gdzie było koło dwóchset beczek prochu, siadłszy na beczkę zapalił się lontem i ostatek zamku z gruntu wyrzucił". — Z odpisu tek Naruszewicza. Ob.: Acta historica, Res gestas Poloniae illustrantia. Wyd. F. Kluczycki. Tom II., str. 1060.

[2] Prawdopodobnie Gabryel Silnicki, kasztelan czernichowski, później komisarz przy traktatach buczackich.

chorąży pułku biskupiego Siekierzyński na Zamku też był poległ, a z pod kamieni wydobyte jego zwłoki gołe zostały. Te, wedle możności oporządziwszy, poszedłem do Wołodyjowskiego. Tu stryj zmarłego ksiądz gwardyan Wołodyjowski przy łożu klęczał. Starzec modlił się, łzy gęste po twarzy jego spływały, a oczy zdały się gdzieś daleko w przyszłość spoglądać. Naonczas patrząc w tę twarz natchnioną przyszły mi na myśl słowa dawno już, przed paru laty z ust jego słyszane. On ci wszystkie nieszczęścia nasze w proroczem objawieniu oglądał i wszystkie przepowiedział. My je naonczas za sny błahe mieli, a dziś się widzenia spełniły. Obecność moja przerwała modlitwę Gwardyana; do izby za mną byli pachołcy trumnę przynieśli, którą zbić na prędce i suknem obić kazałem — do niej my ciało rycerza z ostatniem pożegnaniem złożyli.

Od Wołodyjowskiego poszedłem zwłoki Humieckiego odwiedzić, które niepogrzebane jeszcze na stole w mieszkaniu jego leżały. Bóg widzi wiele podczas tej drogi krzyżowej sił mi było potrzeba, by w sobie żal serdeczny hamować. Bóg tak chciał. Jemu niech będzie chwała! Wszakże ten dług śmierci wszystkim nam iścić wypada, taki jest wyrok podany nam z nieba. Otóż ziścili go ci co polegli, nie usunęli się od wykonanej przysięgi — niechże więc tam przed Bogiem dziś za nas się modlą, byśmy, fortecę odebrawszy, w kościołach naszych cześć Mu oddawać mogli.

Koniec dnia tego spędziliśmy radząc o wyjeździe z Kamieńca; wprzód jednak trzeba nam się było cesarzowi pokłonić. Zaczem w poniedziałek rano ruszyliśmy z miasta. Tłumacz z Turkiem, który nas prowadził, jechali przodem, po bokach zaś dwóch Janczarów biegło, Ordę palcatami odganiając, by nam który Tatar czego nie porwał. Wiedli nas wśród ruin i gruzów przez Stary Zamek, fosą w bok od Nowego, a stamtąd nie bramą ale onym wyłomem, gdzie onegdaj jeszcze Wołodyjowski cały szturm turecki odpierał. Dziś już w tem miejscu nieprzyjacielskie moździerze z kupami granatów w gotowości stały. Spuściwszy się z wałów, wkroczyliśmy w obóz. Tu po obu stronach ciągnął się bazar, to jest mnóstwo kramów z towarami wszelkiego gatunku, przy których na ziemi różnorodne pieniądze w kupkach leżały. Siła też owoców było, które gdyśmy kupować chcieli, Turcy nam za darmo ofiarowali, ani szeląga nie biorąc. Po drodze Janczarowie nasi wciąż nas musieli opędzać, taka

się z ciekawości koło nas ciżba garnęła. Chwilę nawet, gdyśmy się już do namiotów wezyrskich zbliżali powstało zamieszanie; jednemu szlachcicowi bowiem, który pojmanego Ordyńca wiódł, chcąc zań żonę z niewoli wykupić, jeńca tego porwano. Szlachcic jął wraz na Janczarów krzyczeć, aż ci, napastników surowo odgromiwszy, Tatara oddać kazali.

Przed namiotem marszałka zsiedliśmy z koni i tu kazano nam szable odpasać. W namiocie z obu stron służba bogato przystrojona stała; cały środek był dywanem usłany, a na nim trzy krzesełka: dla biskupa, generała i podkomorzego; nas zaś na prawo i na lewo podle nich umieszczono. W chwili gdy wszyscy zasiedli spuszczono piękną zasłonę, która namiot na dwie części dzieliła; co za nią było, nie wiem, bom tylko dostrzegł dwa bogate wezgłowia na dywanie leżące. Wszedł tedy marszałek i po kilku oziębłych słowach powitania, dał znak i wnet trzech strojnych młodzieńców weszło niosąc trzy haftowane nakrycia, z których jedno białe generałowi a dwa czerwone biskupowi i podkomorzemu na kolanach złożyli, poczem jęli w czarkach kawę i sorbety obnosić coraz to nakrycia z kolan na bogatsze zmieniając.

Od marszałka prowadzono nas między wielkie płoty do namiotów wezyra. Tu przy drzwiach świeciły piękne białe buńczuki ze złocistemi gałkami zacnej roboty. W pierwszej części namiotu Janczarowie z bronią w ręku milczący stali; tamże po obu stronach niemało sandżaków [1] było. Druga część obszerna, misternym haftem, tak z wierzchu, jako i u ścian bocznych ozdobna, również kobiercem wysłana. Tu nas dziesięciu wpuszczając, tamtym u wejścia czekać kazano. Jedno tylko krzesełko było dla generała przeznaczone, ale ten je natychmiast biskupowi odstąpił, za co go tłumacz upomniał: „Dla ciebie to krzesło dali a nie dla księdza, u nas tu księży nic nie poważają". „U nas zaś, odrzekł generał, biskupów czczą wielce, ten jest biskupem i senatorem, jemu się więc pierwsze miejsce należy".

Zaraz tedy drugi stołek dla generała przynieśli, na którym gdy zasiadł, my po jego prawym boku stanęli a Lanckoroński przy krześle biskupa pozostał. Po chwili ukazał się wezyr — obecni Turcy zamiast ukłonu podnieśli nagły okrzyk, po którym równie

[1] Chorągiew.

nagle ucichli; on zaś szedł zasiąść na przygotowanem wezgłowiu. Nam wonczas kazano iść do przywitania, to jest do całowania wezyrskiej ręki. Powstał tedy biskup i szedł najpierwszy, za nim szedł Generał, potem Podkomorzy, Rzewuski i Myśliszewski. Podkomorzy w tych ceremoniach mylić się nie mógł, miał je bowiem czas dobrze poznać w Krymie, dokąd na zakładnika za niewypłacony haracz posłany, długo przebywał.

Po tem przywitaniu, wezyr życzliwie zapytał, jako się miewamy: „Dobrze, odpowiedział biskup, skoro łaski cesarskiej doznajem, lecz nie dziwota iż po tem co zaszło, jeszcze jakoby w odmęcie chodzimy".

A na to wezyr: „Złego początek bywa nie rzadko środkiem do dobrego, smutek jest początkiem wesela. Skoro dziś na was troska upadła, musi w tem być wola Boska, za czem wy jej sobie za żal nie poczytujcie, jeżeli zaś w czem krzywdę macie, powiedzcie".

„Krzywdy nie mamy, odparł biskup, jeno się o dwory nasze boimy, i że Janczarowie już w niektórych stawają, na cesarski przykaz nie bacząc". „Tak musi być zrazu, rzekł wezyr, ale nie miejcie obawy, paktów dotrzymamy. Teraz podajcie mi rejestr tych, którzy chcą z Kamieńca wyjechać, by im na czas podwód dostarczono". „Wprzód musim się zrachować, odpowiedział biskup, poczem rejestr do rąk twoich poślemy".

Szlachta wtedy jęli o wioski swoje prosić, by w nich spokojnie pozostać mogli, na co im wezyr odrzekł: „Po wsiach bezpiecznie mieszkać możecie i pożytki, jakie z nich macie używać; ale co do chłopów wszelkie wasze prawa ustają, bo są cesarscy. Przykaz ten ściśle zachowujcie!". „Jakoż więc mamy na wsiach pozostać, spytałem, skoro chłopów naszych postradamy? Toż oni na własnych naszych gruntach siedzą, co Turkom pono jeszcze wiadomem nie jest". — Tu jednak tłumacz na mnie skinął: „Darmo mówisz, rzekł, snać Turków nie znasz, byłoby to wręcz przeciwne ich prawom, gdyby wam chłopów pod moc pozwolili".

Wezyr tymczasem zwracając się do biskupa powiedział: „Napróżno napierają, tego od cesarza nie uproszą. W Wołoszech stało się to przez traktaty, tu się ich zaś przez miecz razem z fortecą pobrało. Podajcie mi rejestr wielu was wychodzi i jutro wraz niech wszyscy z miasta wyruszą. Konwój na drogę już gotów". Na dal-

szą prośbę, by konwój wyjeżdżających odprowadził ku Lwowu, wezyr odpowiedział odmownie, dopiero za mojem wstawieniem na to zezwolił, by nas do Stanisławowa powiedli. Przed wyjściem naszem z namiotu przyniesiono siedm złocistych ferezyj w które starostę, biskupa, podkomorzego, Gruszeckiego, rotmistrza Myśliszewskiego i Rzewuskiego odziano; siódmą dano Janickiemu, który nam za tłumacza służył. Potem już żegnaliśmy wezyra i na konie wsiadłszy odjechali; biskup tylko z podkomorzym u wezyra pozostał, ale o czem gadali, nie wiem.

Teraz jak pierwej, tłumacz z wiodącym nas Turczynem jechali przodem. Prowadzili nas przez majdan w prawo ku cesarskim namiotom, nie dając się wszakże więcej jak na pół stai przybliżyć. Cesarz siedząc w pośrodku namiotowej sali, przed którą sześć buńczuków sterczało, zdala się nam przypatrywał. Nam jednak trudno było osobę jego rozeznać zwłaszcza, że naraz okropny widok uwagę naszą odwrócił. Przed nami w majdanie pięć odciętych głów trupich na ziemi leżało, mimo których nam jechać przyszło. Co te głowy miały znaczyć i dlaczego nam je tak przed oczy pokładli, nikt z nas nie śmiał zapytać. Milczący wyszliśmy z majdanu i wały minąwszy napowrót do miasta wkroczyli.

Tu natychmiast jęli się rachować, kto się wynosi a kto w Kamieńcu zostaje. Pierwszy na rejestrze nazwisko zapisałem, za mną zaraz Józef Wasilkowski, rad że się jakbądź z piekła tego dostanie. Dalej Gruszecki, Rzewuski, Dziewanowski, Jarmoliński i Kazimierz Humiecki, który tu zwłoki brata swego zostawił. Oto którzyśmy jechali, krom generała, biskupa i licznej gromady wdów z sierotami i księży i czeladzi. Grodecki i Myśliszewski po długiem wahaniu postanowili pozostać; obawiając się w drodze zdrady jakowejś od Turków, jadących przestrzegali by ich miasto konwojowania, w jasyr nie powleczono. Nas atoli Bóg ustrzegł; tych za to, którzy później z komisarzami po traktatach z Kamieńca wyjechali, wszystkich prawie okropna śmierć od zimna i niedostatków spotkała.

Nazajutrz ledwie dzień zaświtał, już na rozkaz wezyra kilkaset podwód zgromadzonych na rynku stało. Pieczę nad niemi panu burgrabiemu zlecono, by wozy między jadących wedle potrzeby rozdzielił. Pomimo tego stworzył się nieład, co kto mógł z domu wynosił i wśród płaczu i zgiełku na wóz ładował, większą część rzeczy

jednak trzeba było zostawić, a z niemi i całe zapasy żywności, których sprzedać już czasu nie stało. Około południa zjawili się przewodnicy tureccy; regimenty też nasze w gotowości do wyjścia stanęły. Wtedy gwar niesłychany nastąpił, zmieszane jęki, wrzaski i przeklinania, jedni żegnali się z płaczem, insi jakoby pijani krzyczeli wiwaty. Nareszcie ucichło; wozy długim rzędem między nieruchomemi szeregami zbrojnych janczarów ku Ruskiej bramie ruszyły. Przy bramie stał na koniu sam Janczar Aga, bogato przybrany, gromadą inszych Agów otoczon; gdy już część wozów wyjechała w pole, dano mu znać od wezyra, by tabor na chwilę zatrzymał; co uczyniwszy jechał ludzi swoich szykować, co pod wodzą trzech baszów konwojować nas mieli. Zda się, iż rozkaz ten od samego cesarza pochodził, który kędyś z boku w małym namiocie ukryty, chciał się dowolniej pochodowi naszemu przyglądać. Nas czekających w tyle, wstrzymanie to niepokoić poczęło, aż na znak nowy reszta wozów ruszyła, za niemi regimenta nasze bezbronne; a w końcu my ze starostą i biskupem na koniach. Z obu stron kopijami najeżon stał mur Janczarów, za nim zaś patrzące się i dziwujące niezliczone mrowie pogaństwa.

Za bramą zboczyliśmy nieco, by Janczara Agę pożegnać, a potem na ubocz wprost ku Jańczyńcom ciągnęli. Tu u przeprawy mostku czekał nas Kaymakan, a z nim muzyka turecka, to jest bębny, trąby i szyposze w które za zbliżeniem starszyzny uderzyli, kindyę oną grając, której dźwięk wśród oblężenia tylekroć nas budził. General, jak mówiłem, z nami w tyle jechał, pieczę nad taborem Rajeckiemu zleciwszy. Przed nami byli baszowie, Hussein i Bosna-Basza, ten ostatni z oddziałem Bośniaków; najstarszy zaś między nimi Kapłan-Basza, ten sam, który później pod Lwowem hetmanił, zawierał pochód. Janczarowie w bok od taboru szli koszem; lecz z tych ledwie stu w koszyku było, luźne konie prowadzących — reszta na samym przedzie jechała, o wszystkiem co zaszło baszom wiadomość dając. Uzbrojeni byli w krótkie janczarki z rogiem do prochu, czapki zaś mieli ze skóry łosiowej, sterczące i jakoby rogate, z wierzchu których sztywne płaty po plecach wisiały. W koło taboru i Janczarów komunik bezładnie latał, jako się djabłu godzi, po drodze siano w kopicach paląc, tratując ogrody a po wsiach za kurami goniąc. Wszystkich razem do 3.000 było.

Otoczeni tym rojem pogaństwa jechaliśmy tak w dal na wygnanie; a w trop za nami kindya turecka nieustannie brzmiała, jakoby kruków złowieszczych krakanie. Po drodze dwa zamki, to jest Kudryńce, przy którym i ja kawał ziemi miałem, i Krzywiec, własność generała Kąckiego, poddały się Turkom. Tu i owdzie dolatywały nas wieści, iż kędyś w pobliżu wojsko polskie widziano. Bisurmanie niepokoili się, a nam aż serce od nadziei rosło; mimo to jednak nic nie spotkawszy, po paru dniach dotarliśmy do Stanisławowa, gdzie nas konwój turecki opuścił. Odtąd już ja sam wraz z Dziewanowskim dalszy kierunek taboru objąłem.

Dnia 18 października Jan Lubowiecki, kasztelan wołyński, Gabryel Silnicki kasztelan czernichowski i Szomowski podskarbi nadworny koronny, komisarze Jego Królewskiej Mości w Buczaczu, smutnej pamięci traktat podpisali, w moc którego Podole tureckim paszalikiem się stało.

Oto relacya moja obrony Kamieńca, do końca wierna; może przeczytawszy ją niejeden z was inaczej nas osądzi. Wszak my już dosyć i bez tego cierpimy. Może Bóg się zlituje i zdejmie z nas sukienkę tej wiecznej niesławy; za co Mu tu i po śmierci chwałę wiekuistą oddamy. Amen.

T. W.

JEDNOSTKA W OBEC PAŃSTWA.

(Dokończenie.)

(*Les Origines de la France contemporaine* par H. Taine: *La Révolution.* Tome III. Paris 1885. Livre deuxème: *Le Programe Jacobin*).

„Nie mam żadnych zasad politycznych... proponowano mi nieraz, żebym został rojalistą albo republikaninem, demokratą albo konserwatystą, socyalistą albo bonapartystą... nie byłem niczem i nie jestem niczem... a jednak chciałbym mieć to szczęście, żeby przecie raz czemś być... Pierwej jednakże, nim zdecyduję się zająć jakie stałe miejsce w gmachu, muszę wiedzieć jak powstał ten gmach, jak zbudowano dzisiejszą Francyę, na jakich fundamentach...? Pozwólcie więc, że przedewszystkiem innem będę historykiem stu lat ostatnich życia Francyi... ale historykiem — naturalistą... niby zoologiem badającym metamorfozę owadu".

Gdy w podobny sposób opowiadał p. Taine genezę swej książki: *Les Origines de la France contemporaine* w przedmowie do 1-go tomu tegoż dzieła, publiczność znając autora z dzieł poprzednich, mogła się spodziewać, że ujrzy „metamorfozę" przedstawioną żywo, z talentem godnym jeśli nie Owidyusza, to przynajmniej Apulejusza — i to metamorfozę poczwarki — Francyi przedrewolucyjnej, spowitej w pętach włókien dawnego porządku rzeczy — w skrzydlatego motyla, zwiastuna nowej ery wiedzy, postępu, rozumu... we Francyę odrodzoną przez rewolucyę.

Wiele ustępów 1-go tomu dzieła, mianowicie rozdziały „o duchu i doktrynie" przed rewolucyą, mogły jeszcze utwierdzić nas w tem przekonaniu, że taka a nie inna będzie w oczach Taine'a ostateczna treść matamorfozy. Autorowi już tak dobrze, tak swojsko było

w towarzystwie Encyklopedystów i tych wszystkich uczonych 18-go wieku, którzy podkopywali „przeszło-wieczne budowy myślicieli jak Bossuet, Descartes, Fénelon, Malebranche, Pascal, Labruyère... oparte zawsze jeszcze na przesądach dogmatu i czerpiące w religii swe natchnienia i na świat poglądy“ [1]. Podziwia on bez miary „tych mędrców, co już w przeszłym wieku zarysowali w ogólnych konturach gmach dzisiejszej nauki co do porządku planów i rozkładu mas tak trafnie, że do dziś dnia, choć mamy jeszcze wiele do dodania, nie ma tam nic do wymazania, oprócz chyba szczegółów mniej znaczących“ [2].

Wszak już w XVIII. wieku powszechnie wiedziano [3], „że pośród bezdennych przestrzeni i milionów archipelagów słonecznych, jakże małą cząstką jest nasz system słoneczny, a jakiemże ziarnkiem piasku nasza ziemia!... Czemże więc wszystko życie na niej, chociażby najbujniejsze?... ilością prawie w rachubę nie wchodzącą, przemijającym wypadkiem, pleśnią powierzchni ziarenka... a ludzkość? — cząstką tej pleśni... a człowiek, jednostka w naturze bezmiernej?... przelotnem zjawiskiem atomowej małości. Nie zapominajmy o tem w naszych doktrynach o początku człowieka, o jego ważności i jego wielkich przeznaczeniach... arcyśmiesznem myśleć, że cały świat koło niego się kręci... robak prawie nieskończenie mały okazuje pychę nieskończenie wielką... choć przyszedł na świat tak późno! — Ileż miliardów wieków upłynęło między pierwszem oziębieniem się planety, a początkiem życia na jej powierzchni!... Czemże są hałasy naszego mrowiska obok dawniejszej, olbrzymiej tragedyi mineralnej, której świadkami nie byliśmy... obok tych walk tytańskich ognia z wodą z których wyszedł podział i ostateczne ukształtowanie się stałych lądów i oceanów... Przed naszemi dziejami jakaż długa historya roślinna i zwierzęca, ileż przemian flory i fauny... zanim nareszcie na szczycie drzewa życia na ziemi zawiązał się pączek ostatni, człowiek, by wegetować przez czas jakiś, dopóki fatalnie obniżająca się ciepłota ziemi nie zmrozi go razem z całem drzewem“... „A i ten człowiek... nie przyszedł wcale na świat od razu, jako wyższa istota, ze światłem rozumu z góry

[1] l'Ancien Régime l. 3. L'esprit et la Doctrine str. 230.
[2] Ibid str. 225.
[3] Ibid str. 227—231.

mu świecącem, lecz jako dziki, żarłoczny, nagi nędzarz, najwolniej się rozwijający, ze wszystkich zwierząt najnieudolniejszy, najwięcej potrzebujący opieki i pomocy, i dlatego towarzyski jak bóbr albo pszczoła z instynktami do życia w gromadzie i do małpiego naśladownictwa“... I tak dalej i dalej snują się podobne obrazy bez końca, a znać z werwy autora, że taki nowy pogląd na świat wszechrzeczy razem z człowiekiem atomem, wysnuty z dzieł Lamarka i Woltera, a zaostrzony jeszcze i zabarwiony osobiście w jego wyobraźni, niezmiernie mu się podoba, skoro uważa, że i do dziś dnia nauka „nie ma tu nic do przekreślenia i to samo znajdujemy dziś w dziełach Darwina i Spencera“ [1].

W obec tego, rewolucya natchniona takim świetnym „duchem“ i tak mądrą „doktryną“, jeśli ma być „metamorfozą owadu“ czyż może w oczach autora być czem innem, jak metamorfozą nędznej poczwarki w barwnego motyla, strojnego w blaski rozumu olśniewające, i niesionego na skrzydłach nowego ducha i nowej doktryny coraz wyżej i wyżej aż do słonecznych archipelagów, aż do szczytu wiedzy i szczęścia na ziemi?

Tak by się zdawało — lecz wprost przeciwnie się stało! Prawda zwyciężyła naukowe zaślepiania, obraz Taine'a pozostał wiernym naturze przedmiotu, w ramy jego dzieła ujętego. W obrazie tym panowanie świetnych, choć lekkomyślnych motyli z *Ancien regime*, bujających swobodnie z kwiatka na kwiatek w raju najwykwintniejszej cywilizacyi, a przedstawionej nam tu w całym blasku swej okazałości, — zmienia się nagle w cmentarzysko z rojami „żarłocznych wężów i krokodyli“. Wcale nie przemienia poczwarki w motyla, lecz naodwrót, Francya przedzierzgnięta w ohydną poczwarkę, oto treść ostateczna zapowiedzianej przez p. Taine'a opowieści przeszłowiecznej „metamorfozy owadu“ — i w tem właśnie największa wartość jego dzieła.

Przedtem zawsze jeszcze do pewnego stopnia apoteozowano sobie rewolucyę, zasady r. 89. „Sto lat mówi autor, nadto już wielką odległością dla wyobraźni wstecz zapatrzonej... Widzieliśmy na horyzoncie poza nami niepewne jakieś zarysy kształtów upięknionych, które jeszcze dalej przystrajaliśmy sobie według upodo-

[1] Ibid str. 237.

bania... Lecz on „przypatrzył się zbliska tym mglistym postaciom... przeniósł się całą duszą w drugą połowę XVIII. wieku... przeżył tam lat dwanaście... dotarł do jądra świątyni i zrozumiał teologię jej kapłanów: zasady 89 r., .. wszechwładztwo ludu... społeczny kontrakt... prawa człowieka... i odkrył na dnie to samo, co niegdyś Klemens aleksandryjski z wielkiem zdziwieniem swojem znalazł w zamkniętem sanktuaryum egipskiego teremu — ludożerczego krokodyla w purpurze". Opisał nam go więc „tego bożka-potwora", jego budowę, grę jego organów i jego krwiożerczy apetyt bez miary, pochłaniający wszystko, aż do własnych dzieci, by nie być przez nie pożartym[1]"...

„Ale, dodaje, publiczność o rewolucyi ma swoje utarte opinie, swój myt, swoją legendę między 1825 a 1830 rokiem usnutą. Kiedy brakło już żywych naocznych świadków katastrofy, wmówiono w poczciwą publiczność, że krokodyle były filantropami, że wielu z nich było geniuszami, że zjadały tylko winnych, a jeśli czasem zjadały za wiele, działo się to pomimo ich woli i wiedzy, albo z poświęcenia, i ofiarności dla dobra publicznego"[2]. Pan Taine zdarł z owego mytu do szczętu maskę i purpurę. — Chciałby on być koniecznie zoologiem, naturalistą, a w rzeczy samej pokazał się uczciwym psychologiem-moralistą, i znakomitym pisarzem-artystą.

II.

Po długiej, niby Liwiuszowej *oratio obliqua*, w której uosobiona Francya jakobińska z r. 1793, sama rzuca nam w oczy swój program działania, obliczając sumiennie wszystko co już zabrała albo zniszczyła, a co jeszcze zabrać lub zniszczyć wypada w imię jedynie zbawiającej państwowej wszechwładzy, płynącej ze społecznego kontraktu, zatrzymuje się autor na chwilę, by dać czytelnikowi ochłonąć z wrażenia, i z gruzów własnej ojczyzny wydobywa swoje polityczne *Credo*. Potrzeba mu było aż tak silnych, całem jestestwem wstrząsających wrażeń, widoku morza krwi, steku zbrodni najohydniejszych i cierpień bez miary, aby dojść nareszcie do

---

[1] La revolution. Tome III. Préface.
[2] Ibid.

zasad, których, jak sam mówił, rozpoczynając dzieło nie miał wcale.

„Zupełne przywłaszczenie sobie jednostki przez państwo [1], wkraczanie władz publicznych we wszystkie sfery prywatnego życia, przymus rozciągnięty do wszystkich form pracy i własności, do rodziny i wychowania, do religii i obyczajów, aż do uczuć osobistych, słowem zupełne zagarnięcie i oddanie jednostki na pastwę omnipotencyi państwa, oto, mówi autor, jakobinizm w swej istocie. A nie masz nic bardziej wstecznego, jak wciskać człowieka siłą mocą we formy ustroju społecznego, z którego dawno już wyrósł.

„W starożytności jednostka należała do państwa, jak pszczoła do ula, mrówka do mrowiska. Lecz od ośmnastu wieków, od czasu, gdy sam Chrystus oddzielił państwo od Kościoła, wyrzekłszy słowa: „Oddajcie cesarzowi co jest cesarskiego, a Bogu co boskie", jednostka z każdym wiekiem rozszerzała coraz bardziej granice swojej wolności osobistej. Nietylko wewnętrzne okoliczności lecz i dusze ludzkie zmieniły się do gruntu; obudziły się w człowieku uczucia nowe. Dzisiaj na podpisanie z dobrą wolą kontraktu społecznego, na całkowite oddanie się jednostki na własność państwa, nie pozwala ani jej honor, ani jej sumienie. Sumienie i honor, oto nowe słowa wyrażające dwie rzeczy nieznane starożytnemu światu, nie mające nawet nazwy odpowiedniej w starożytnych językach. Starołacińskie (nie scholastyczne) wyrazy: *conscientia*, *dignitas*, *honos*, zupełnie co innego znaczą niż nasz głos sumienia i nasze poczucie honoru, wyrobione w nas przez chrześcijaństwo i rycerski feudalizm. Przez nie jednostka poza państwem jakoby sama w sobie i dla siebie się zakorzeniła i stała się osobą... Przepaść niezmierna dzieli duszę chrześcijańską od duszy świata starożytnych [2].

„Chrześcijanin czuje się sam niejako przed obliczem Boga, twarzą w twarz ze swym sędzią, a ten sędzia nieomylny, widzi dusze, jak są same w sobie, nie zbiorowo, lecz każdą z osobna. Przed jego trybunałem nie pomoże solidarność z drugimi, każdy odpowiada za siebie, za swe własne czyny. A te czyny mają doniosłość

[1] La revolution. Tom III. Livre 2. Le Programe Jacobin Chap. II. od str. 120—148, skąd wyjęte wszystkie następne cytaty i streszczenia.

[2] Ibid., str. 126.

nieskończoną, bo dusza odkupiona krwią Boga-Zbawiciela, ma też nieskończoną cenę. Według tego więc czy korzystała lub nie korzystała z Bożej ofiary, jej na groda lub kara będą wieczne. Bramy wieczności otworzą się dla niej na ostatecznym sądzie do wiecznej męki lub wiecznego uszczęśliwienia... W obec takiej perspektywy, maleją wszystkie ziemskie interesa do znikających rozmiarów, a najważniejszą sprawą ponad wszystko, własne usprawiedliwienie, nie w obec ludzi, lecz w obliczu Boga... Codzień powtarza się z Bogiem tragiczna rozmowa, sędzia pyta, grzesznik odpowiada... a że ten dyalog trwał już wieków ośmnaście i dotąd trwa jeszcze, nic dziwnego więc, że sumienie ludzkie zaostrzyło się i wydelikaciło aż do pojęcia bezwzględnej sprawiedliwości... Ona to rozkazuje tonem wyższym po nad wszystko, że Boga więcej słuchać trzeba, aniżeli ludzi, że są powinności, od których żadne ludzkie zobowiązania uwolnić nie mogą, bo żadną miarą nie wolno człowiekowi ani przyjmować na się ani narzucać komu zobowiązań do zbrodni i grzechu, i oddawać się na pastwę własnych wyrzutów sumienia[1]"... „Obok tego inne jeszcze wyrosło w naszej epoce w duszach ludzkich uczucie, mniej cenne, lecz bardziej ludzkie, więc żywsze i jeszcze skuteczniejsze... Szlachcic-rycerz w swoim zamku i na swojej ziemi był przez długie wieki prawie udzielnym panem przyzwyczajonym liczyć tylko na siebie i swoich i ponad wszystkich się szanować. „Zajrzyjcie na prowincyę odległą od Paryża, pisze „Montaigne[2], zaglądnijcie np. do Bretanii i przypatrzcie się szlachci„cowi wiejskiemu, jego życiu pośród sług i poddanych w jego wła„snym zamku, a poznacie polot jego wyobraźni... Nie ma nic bar„dziej królewskiego. Słyszy on o swoim królu i panie zaledwie raz „na rok, ciężar poddaństwa dotyka szlachcica francuskiego zaledwie „parę razy w całem życiu... a jeśli który umie obwarować się „w swojem gnieździe i prowadzi dom swój bez procesu i zwady, „niemniej wolnym jest jak wenecki Doża..." Nietylko każe się szanować przez drugich, lecz i szanuje sam siebie, ma poczucie honoru nie znoszące najmniejszej obrazy, szlachetną dumę i miłość własną w tem się zasadzającą, że jako szlachcicowi nie wolno mu

[1] Ibid str. 127.
[2] Essais L. I. Ch. XLII.

dopuścić się nieszlachetnego czynu. Nieraz prawda, pomyli się, pociągnięty próżnością lub modą, nieraz popełni szaleństwo lub głupstwo, fałszywie kierując swym „punktem honoru“... Lecz pomimo wszystkiego, temu jedynemu, stałemu punktowi zawdzięcza, że utrzymał się na nogach nawet w monarchiach absolutnych za Filipa II. i Ludwika XIV.... A ten monolog szlachcica zaufanego w swoją godność osobistą, trwał także wieków dziewięć — i tradycya honoru od feudalnego barona, przez szlachcica-dworzanina przeszła aż do dzisiejszego gentelmana, idąc dalej aż do gruntu społeczeństwa coraz niżej i niżej... Dziś już każdy uczciwy człowiek z charakterem, mieszczanin, chłop, robotnik, pośród napierających nań zewsząd prądów społecznych, ma swój punkt honoru, rodzaj moralnej twierdzy, choćby najszczuplejszej, gdzie składa swoją wiarę, opinię i upodobania, swe obowiązki ojca, męża, syna i cały skarb swej osoby. Od tej fortecy wara! nikomu tam wkroczyć nie wolno, a poddać ją komukolwiek dobrowolnie, jest podłością, lepiej dać się zabić w jej obronie... A gdy takie poczucie honoru odda się w służbę znanemu nam już głosowi sumienia — mamy szczyt cnoty [1]“...

„Te są, kończy autor, dwa główne filary europejskiej moralności. W sumieniu swojem jednostka poznaje obowiązki, od których nic jej zwolnić — a w poczuciu honoru przychodzi do poznania praw swoich, z których nic jej wyzuć nie może... i z tych dwóch korzeni wyrosła i zakwitła nasza cywilizacya... Rozważcie głębokość i rozległość gruntu historycznego, w którym tkwią obydwa te korzenie, a osądzicie ich siłę. Uprzytomnijcie sobie wzrost nieograniczony żywionego przez nie drzewa cywilizacyi, a ocenicie ich zdrowie. Wszędzie indziej gdzie brakuje tych dwóch rdzeni, w Chinach, w państwach Islamu, nawet w starym Rzymie, drzewo upadło albo znikczemniało, u nas, pomimo burz chwilowych, tam gdzie one są, ciągle żyje, rośnie i rozwija się, puszczając konary najbujniejsze, i najszlachetniejsze wydając owoce. Cała piękność rodzaju ludzkiego zależy od czystości soków ożywczych, zamkniętych w sanktuaryach sumienia i twierdzach honoru jednostek“ [2].

Czyż można głębiej odczuć i wypowiedzieć wspanialej całą

---

[1] Ibid. str. 128—129.

[2] Ibid. str. 130.

moralną wielkość człowieka, wieczystą piękność i niespożytą wartość duszy i cywilizacyjną rolę chrześcijańskiego społeczeństwa na ziemi! Kto raz zdołał podnieść się do takiej wyżyny, temu już, myślę, chyba trudno będzie potem znowu równać człowieka z bydlęty, lub z „cząsteczką pleśni na powierzchni ziarenka piasku“, albo rozwój ludzkości na ziemi nazywać „zjawiskiem podrzędnem, w obec dawiejszej tragedyi mineralnej, przy której nie byliśmy“. Dwa sumienia sobie przeciwne, inne chrześcijańskie, a inne „naukowe“ w jednej piersi chyba się nie zmieszczą, zwłaszcza gdy bije w niej serce gorące i przychylne wszystkiemu co piękne, prawdziwe i dobre. Skoro nasz autor widzi tak jasno, że jest coś w człowieku z czego mu nie wolno wyzuć się całkowicie nawet na rzecz państwa, oddając się na własność ludzkiej społeczności, o ileż mniej wolno mu mieć się za własność bezrozumnej natury, za ślepą igraszkę siły, większości równych mu skądinąd atomów materyi, i wartość człowieka ważąc na funty, w obec bezmiernego ogromu całości natury uważać się prawie za nic. Wszak ten sam głos, co woła do mnie z głębi duszy: nie jesteś i nie możesz być rzeczą, własnością państwa, — wyraża także głębsze przeświadczenie, iżem na całym świecie nie jest własnością niczyją, jeno sługą Bożym, prawą własnością mego Stworzyciela i Odkupiciela! — i w tym głosie dopiero cała siła jednostki w obec państwa.

Lecz wróćmy do przerwanego toku wyznań politycznych naszego autora. „Cała piękność rodzaju ludzkiego, mówił, zależy od czystości soków zamkniętych w świątyniach sumienia i twierdzach honoru jednostek“. A dalej, „według nowego programu wszechwładzy większości, pyta, komuż wydajemy na pastwę te nasze twierdze i świątynie?“. I tu autor właściwie przestaje być historykiem, bo już nie tyle jakobińską przeszłość rewolucyjną, ile raczej teraźniejszość, budującą się na tychże samych zasadach, krom gilotyny, i przyszłość ma na oku, rozwijając nam przekonania swoje, doświadczeniem nabyte, o stosunku rządu do społeczeństwa, jednostki do państwa. Rozumie się, że przedewszystkiem Francyę autor ma na myśli.

Odpowiadając na powyższe pytanie, mówi: „Oddajemy się większości społeczeństwa, gdzie bezimienny impuls zastępuje najczęściej sąd indywidualny, gdzie akcya jest zbiorowa, a więc bezo-

sobista, i nikt za nią osobiście nie czuje się odpowiedzialnym, gdzie jestem ziarnkiem piasku, porwanem wirem wiatru i gdzie każdy zamach na moją osobę, z góry usprawiedliwiony jest najwyższą racyą stanu. Podlegam liczbie, większości głów, których głosy po prostu liczą się tylko a nie ważą, większości, która walką roznamiętniona łatwo nadużywa swojej siły, by gwałcić mniejszość, do której i ja łatwo, nie dziś to jutro należeć mogę. Mówiąc jeszcze ściślej, oddaję się liczbie 600—700 deputowanych, mając prawo głosowania na jednego z nich między 10 000 głosujących na jednego posła, a na wybór wszystkich innych już nawet w $^1/_{10\cdot000}$ części nie wywierając wpływu, chociaż powierzam im nad sobą niczem nieograniczoną władzę, w najwyższych sprawach dotyczących mego życia i mojej osoby. Powierzam im sprawy nie mniej dla mnie ważne od tych, które oddaję dziesięciu innym osobom, które sam wybrałem jak: adwokatowi, nauczycielowi moich dzieci, lekarzowi, spowiednikowi, przyjaciołom, egzekutorom mego testamentu, lub świadkom mego pojedynku. Jakież to porównanie mojej osobistej ingerencyi w pierwszym a w drugim wypadku? zwłaszcza gdy głosowałem na kandydata, który przepadł, lub *haute de mieux* na tego, który wydał mi się najmniej złym z pośród proponowanych, znając go ledwie z powierzchowności, z opinii dziennikarstwa, salonów, kawiarni, ulicy i widząc go po raz pierwszy w życiu, aby tylko usłyszeć jego emfatyczne wyznanie wiary i widzieć, jak pięknie rękę kładzie na sercu w odpowiednych miejscach swojej mowy... Jakiż to tytuł do oddania mu mandatu zaufania, skoro na takiej podstawie wahałbym się przyjąć lokaja do służby!.. I w takie to niepewne ręce, na rzecz tak mało imponującej osobistości mam ja abdykować z mojej woli i wolności politycznej! Czyż w obec tego nie jest o wiele mniej niebezpiecznie oddać się w ręce króla i arystokracyi, chociażby nawet dziedzicznej? mieć reprezentantów, zalecających się bijącą w oczy powagą tradycyjną i zdolnością do rządzenia, w każdym razie prawdopodobniejszą, bo wypróbowaną przez dłuższą praktykę? Demokratyczny porządek rzeczy, z natury i struktury swojej, jest tego rodzaju, że w nim jednostka najmniej może mieć zaufania i uległości dla swych reprezentantów, dla tego też powinna jak najmniejszą powierzać im władzę... nigdzie tak mało jak tutaj nie można z osobistej ustąpić wolności*.

Po tych sumiennych wyznaniach, które porwanemu prądem czasu wydadzą się zapewne z jednej strony wstecznemi, z drugiej anarchicznemi, wypływa autor na szerokie pole socyologii, gdzie już gorąco i nerwowo pulsujące okresy Taina ze znanemi nam z pierwszej połowy tej pracy flegmatyczno-żylastemi zdaniami Spencera w tych sprawach, żywo podają sobie ręce. Autor pyta przedewszystkiem: „czem jest publiczna władza państwowa w europejskich społeczeństwach, jaki jej cel, i w jaki sposób spełnia swe zadanie? — W samej istocie swojej, odpowiada, jest ona wielkim mieczem, dobytym z pochwy na poskromienie mniejszych szpad i małych noży, jakiemi w dawniejszych czasach jednostki wzajemnie się mordowały prawie bez wytchnienia. Pod grozą wielkiego miecza, szpady i noże pochowały się i wreszcie zardzewiały, tak że dziś, z wyjątkiem prostych złoczyńców, u zwykłych ludzi prawie wyszły z używania.

Odtąd w społeczeństwie tak uspokojonem, miecz publiczny jest tak potężny, że opór jednostki stał się niczem w obec niego. Dwa interesa społeczne ukuły ten miecz w tych rozmiarach: najprzód przeciwko podobnym mieczom państw sąsiednich, grożącym na granicach, następnie przeciw nożom, któremi wewnątrz kraju nie przestają posługiwać się dzikie namiętności. Chciano obrony na zewnątrz przeciw najazdom, i wewnątrz przeciw rabusiom i złoczyńcom, i powoli, z trudem, po wielu próbach i udoskonaleniach, z dobrą wolą wielu generacyi ukuto wreszcie broń jedyną, zdolną zabezpieczyć jednostkom własność i życie — nowożytne państwo. Póki ono nie służy innym celom, jestem dłużnikiem państwa, ono daje mi bezpieczeństwo, którego inaczej bym nie miał; za to, w części na mnie przypadającej, winienem mu dostarczyć środków do utrzymania w pogotowiu jego broni. Jest więc pomiędzy państwem a jednostką, nie kontrakt wyraźny, lecz z natury rzeczy płynące nieme zobowiązanie wzajemne, podobne do tego, jakie wiąże dziecko z rodzicami, wiernego z Kościołem, a z obu stron to zobowiązanie jest ścisłe: państwo strzeże mego bezpieczeństwa, ja zaś z mojej strony winienem mu wdzięczność, poszanowanie, posłuszeństwo, gorliwość obywatelską, służbę wojskową, podatki... słowem wszystko czego potrzeba do utrzymania armii, marynarki, dyplomacyi, trybunałów, do spraw cywilnych i karnych, żandarmeryi, policyi, władzy cen-

tralnej i władz miejscowych, tworzących harmonijny organizm, który się żywi moją krwią i moją wiernością. A te jestem mu tak dalece winien, iż gdy np. żąda ode mnie zapłaty godziwych podatków, to właściwie upomina się o swoje, i w razie oporu z mej strony, może słusznie zabrać siłą co mu się należy, lecz pod warunkiem, że nie żąda nic ponad to, co mu się należy. A dzieje się to zawsze, gdy tylko państwo, przekraczając owo pierwsze, wyżej określone nieme zobowiązanie, podejmuje nadto zadania i dzieła, bądź fizycznej, bądź moralnej natury, o jakie go wcale nie proszę: gdy robi się sekciarzem, moralistą, filantropem albo pedagogiem, gdy narzuca mi u siebie i w koło siebie rozszerza pewne doktryny, łącznie z pewnym ustrojem politycznym lub społecznym. Każdy z nas, jak chleba powszedniego, potrzebuje publicznego bezpieczeństwa, potrzebuje państwa przeciw gwałtowi i zdradzie. Pod tym względem, głos jeden, zgoda w całem społeczeństwie; i na tej powszechnej zgodzie wszystkich, z wyjątkiem złoczyńców, gruntuje się powaga i siła władz publicznych. Ale po za tem ja mam swoje przekonania i opinije, swój własny pogląd na świat, swoją praktykę życia. To wszystko razem stanowi we mnie osobę; więc honor i sumienie nie pozwalają mi nic z tego uronić na rzecz państwa, które właśnie jest na to, by moją osobę ochraniać i zasłaniać przed czyimkolwiek w tych rzeczach uciskiem. A więc najmniej do tego jest ono powołane, by mię swym własnym ciężarem gniotło i prześladowało. Jakto? gdy państwo, nietylko rozszerza swój zakres działania ponad powszechną potrzebę, zabiera mi pieniądze ponad miarę, ale jeszcze w dodatku obraca te fundusze na to, aby mię coraz bardziej uciskać — ja mam wówczas się dać spokojnie obdzierać, na to, by za moje własne pieniądze być prześladowanym! Czyż można wymyślić ucisk bardziej krzyczący, większą niesprawiedliwość?... a przecież jest ona dzisiaj na porządku dziennym u nas i nietylko u nas".

I tu dobywa się z piersi autora desperacki krzyk, który jest dziś głosem wołającego na puszczy: „Nie dajmy się wszechwładzy państwowej! niczem więcej państwu być nie pozwólmy jak psem strażnikiem!... to jego rola! — inaczej staje się ono wilkiem domowym, najżarłoczniejszym" i t. d. W takich chwilach nerwowego uniesienia, chciałoby się do bujnych przenośni Taine'a dolać nieco

poważnej lub jowialnej, a zawsze ciętej flegmy Spencera, z jaką o tym samym mówi przedmiocie w niektórych udatniejszych miejscach swej broszury *The man versus the state*. Bo i cóż tu krzyk dzisiaj pomoże? Na moc trzeba mocy; na moc złego jest moc dobrego; na moc brutalną — moralna... a w krzyku boleści, zawsze niemoc woła!

Lecz i autor wnet się mityguje, i zwinny jak kot, przerzuca się za chwilę w swej wyobraźni na wprost przeciwne stanowisko. „Państwo, mówi, staje dziś na nowej zasadzie... ukonstytuowane jako zbiorowa, moralna osoba, z instynktem samozachowawczym by żyć jak najdłużej, bez końca... czyliż nie jest obowiązane sięgać wzrokiem daleko i szeroko, i po nad chwilowy interes jednostki przekładać trwały interes ogólny?.. Czyż to nie cel wyższy, w obec którego wszystkie inne maleją i ustępować muszą? Czyliż można interes ogólny poświęcać instynktom jednostek, które tak często są bezrozumne i niebezpieczne, albo sumieniu jednostek, które tak łatwo wpadają w szał mistycyzmu, albo wreszcie temu honorowi, który zapomina się nieraz aż do zbrodni pojedynku?... Wszakże ze zgodą społeczeństwa, bez żadnej uzurpacyi, państwo bije monetę, przepisuje miary i wagi, zaprowadza kwarantanny, wywłaszcza jednostki dla publicznej komunikacyi, buduje porty, tamy, kanały i drogi, podejmuje naukowe ekspedycye, zakłada muzea i biblioteki. Społeczeństwo i to nawet toleruje, gdy państwo funduje i utrzymuje uniwersytety, kościoły, szkoły i teatra, apelując do sakwy jednostek na publiczne cele... Dlaczegożby więc państwo nie miało być uprawnionem do każdego przedsiębiorstwa w imię publicznego dobra: do wprowadzania, nakazem i przymusem swoim, rzeczy pożytecznych, a do wstrzymywania szkodliwych? Rozważcie to, że w społeczeństwie ludzkiem każdy czyn lub błąd jednostki, nawet najściślej osobisty, przynosi zysk lub stratę całości społeczeństwa. Jeśli nie dbam jak należy o swoją własność, o swoje zdrowie, o swoje wykształcenie, o swoją duszę, tem samem rujnuję albo osłabiam społeczeństwo, którego bogactwo, zdrowie i siła redukuje się do bogactwa, zdrowia i siły pojedynczych członków: tak dalece, iż z tego punktu widzenia każdy mój czyn osobisty jest publicznem dobrodziejstwem lub publiczną szkodą. Dlaczegożby więc państwo miało mieć skrupuły w nakazywaniu jednych a w zakazywaniu drugich? dlaczegoż

nie ma ono wykonywać swej powinności z pełnem użyciem swej siły, i zrobić się powszechnym przedsiębiorcą, rolnikiem, przemysłowcem, kupcem, słowem: jedynym właścicielem i kierownikiem Francyi?“

„Dlatego, odpowiada autor, że byłoby to wprost przeciwnem interesom i szczęściu wszystkich jej mieszkańców, a więc i całego państwa. Argument utylitaryzmu podnoszony przez państwo przeciw niezawisłości jednostki, zwraca się ostrzem swojem przeciw niemu samemu najsilniej, i zamiast być bronią przeciw wolnościom indywidualnym, jest tychże najdzielniejszym obrońcą... Rozważmy bowiem, na czem zasadza się powszechny interes wszystkich, w imię którego to niby państwo wszystko zagarnąć może czy powinno — tkwi on przecież w istotnym interesie indywidualnym każdej jednostki z osobna. O tem zaś co mię boli lub co mię uszczęśliwia, chyba nikt inny tyle wiedzieć nie może, co ja sam, który to osobiście czuję, i dla tego określić arbitralnie z góry, co jest w interesie wszystkich, tj. każdego z osobna, jest dla państwa i prawodawcy istnem niepodobieństwem. Pod tym względem, każdy wie, że *quot capita, tot sensus*. Na jedno tu tylko zawsze jest powszechna zgoda, że z pomiędzy wszystkich dóbr na świecie, najpożądańszym skarbem — wolność osobista. W tem jednem każdy jednako czuje swój interes po nad wszystkie inne: żeby w państwie jak największą cieszyć się wolnością, jak najmniej doznając przymusu. Dlatego też to jedno powszechne uczucie także i przez państwo uwzględnione być winno, jako pierwszy powszechny interes. Bo chociaż społeczeństwa w rozwoju swoim wytwarzając państwa, temsamem dobrowolnie nałożyły sobie same poniekąd srogie jarzmo przymusu, stało się to, jak każdy wie, jedynie w tym celu, żeby się z pod większej niewoli, od obcych lub swoich okupić dobrowolnie mniejszą, a jeśli kiedy państwo o tem zapomina, wówczas samo staje się głównem źródłem tego złego, przeciw któremu lekarstwem być miało. Pierwszym więc obowiązkiem państwa: tyle tylko względem swych poddanych używać przymusu, ile potrzeba koniecznie do ochrony jednostek od przymusów gorszych, z zewnątrz i wewnątrz im grożących. Ograniczyć się do minimum żądań i wymagań, nałożonych mu konieczną troską o publiczną karność i bezpieczeństwo, a zostawić maximum inicyatywy i wolności jednostkom w ich fizycznym jakoteż moralnym roz-

woju, oto czego w pierwszym rzędzie wymaga od państwa powszechny interes poddanych, i co jest też zarazem pierwszym warunkiem rozwoju i najwyższym objawem żywotnej siły samegoż państwa jako pełnego wyrazu całości tegoż społeczeństwa, które je z siebie wytworzyło.

„Pierwszym obowiązkiem rządu, mówił Spencer, warowanie przyrodzonych praw i wolności osobistej jednostek w społeczeństwie; gwarancya praw indywiduów, pierwszym warunkiem rozwoju całego społeczeństwa"; otóż jak widzimy, i Taine do tejsamej dochodzi zasady. W ustach Anglika brzmi ona całkiem naturalnie, boć w każdym prawdziwym Angliku, obok poszanowania dla władzy, tkwi to przekonanie, że rząd w gruncie nie jest niczem innem, jak *malum necessarium*, które ile możności ograniczyć trzeba do *minimum*. Ale we Francyi, gdzie w instynktach narodu panuje skłonność do mechanicznego centralizmu, gdzie pospolicie równość wyżej jest ceniona niż wolność, a wolność pojmowana raczej jako puszczony wolno chwilowy zapęd mas w pewnym kierunku, aniżeli jako osobista swoboda jednostek; podobne zdanie, jak powyższe, rzadkiem jest zjawiskiem. U Taine'a jednakże większa połowa jego przeszłości autorskiej i literackiej, przed rozpoczęciem ostatniego dzieła „O początkach dzisiejszej Francyi", złożyła się na to, żeby pomimo swoich mechanicznych teoryj o świecie, doszedł do pojmowania wolności po angielsku, organicznie. Należy on do wyjątkowych Francuzów, bo zamiast żartować płocho z Anglików, wziął sobie ich za przedmiot gruntownych studyów i wiele też od nich skorzystał. Stąd też nietylko w polityce, ale i w socyologii, Taine równe wyznaje *credo* z angielskimi myślicielami i równie jak Spencer dowodzi przykładami wyższości pracy z wolnej inicyatywy jednostek od oficyalnej przedsiębiorczości państwowej, społeczeństwu z góry narzuconej.

„Przyglądnijmy się [1], mówi, rolnikowi, fabrykantowi, kupcowi pracującemu na swój własny rachunek... chodzi tu o zapewnienie sobie i rodzinie lepszego w świecie stanowiska, inaczej bowiem grozi zależność, ruina, a może nędza i szpital... Jakżeż on, w obec podobnej alternatywy, pracuje sumiennie i szczerze! Nie dośpi nie doje, a sił mu przybywa i sprytu, i wszystko rośnie mu w rękach:

[1] Ibid str. 142—149.

bo zna swój interes, nie po wierzchu tylko, nie teoretycznie, lecz według miejscowych warunków, praktycznie, w szczegółach najdrobniejszych, obliczając wszystkie szanse i trudności dnia każdego, co dla kogoś innego, niewtajemniczonego w czysto osobisty kapitał wiedzy przedsiębiorcy, byłoby do obliczenia lub do zwalczenia zgoła niepodobne. A teraz, przedsiębiorcy, z taką wypróbowaną powagą głośny daniu pracującego na swoją rękę, porównajmy przeciętne uzdolnienie rządowego szefa administracyjnego, chociażby uczciwego, i dobrze w swoim fachu wykształconego. Pewny swej pensyi, gdy tylko jako tako pełni swoją służbę, pełni ją też jako tako, bo wie, że gdy tylko odsiaduje w biurze przepisaną liczbę godzin, pisze poprawne referaty i jest w zgodzie z tradycyjną rutyną, nikt mu nic zarzucić nie może. I pocóż miałby łamać sobie głowę nad czemś więcej, skoro gdyby nawet miał nowe pomysły ulepszeń i oszczędności, wprowadzenie ich w życie nie przyniosło by mu żadnej osobistej korzyści; a zresztą i tak mu przecież nic nowego samodzielnie wprowadzać nie wolno; co najwięcej, mógł by napisać i podać piękny projekt, który niezawodnie poszedłby *ad acta*. Maszyna za wielka, żeby można ją narażać na ciągle nowe próby, niechże więc idzie sobie dalej swym utartym trybem automatu, prawda, dosyć kosztownego, ale za to miernie się opłacającego. — Nawet w kraju, w rzeczach pieniężnych względnie uczciwym, jak Francya, obliczono, że każde przedsiębiorstwo prowadzone przez państwo, potrzebuje kapitału o czwartą część więcej, a daje dochodów o czwartą część mniej, niż gdyby było w rękach prywatnych. Dosyć więc oddać państwu wszystkie warsztaty — w myśl ideału socyalistów, aby wartość bogactwa narodowego od razu spadła na połowę.

„A jest to prawem rządzącem wszelką ludzką pracą, tak materyalną, jako i duchową — nietylko w dziedzinie handlu i przemysłu rolnego i fabrycznego, lecz i w nauce i w sztuce, gdzie motorem nie sam interes, lecz także i bezinteresowna potrzeba odkrycia nowej prawdy, wydobycia na jaw nowego piękna, rozszerzenia wiary, rozbudzenia religijnego zapału do szlachetnych czynów i dzieł miłości, bądź w szerszem pojęciu, bądź w ciaśniejszym kółku przyjaciół i bliźnich — zawsze i wszędzie siła działania motoru tylko wtedy jest niezmierna, prawie niewyczerpana, nieograniczona, gdy nią jest dusza wolnej jednostki szczerze oddana swej pracy. Z natury rzeczy

matka myśli wciąż o swojem dziecięciu, uczony o swej nauce, artysta o swej sztuce, wynalazca o swych wynalazkach, dobroczyńca o swych fundacyach, Faraday o elektryczności, Stefenson o lokomotywie, Pasteur o mikrobach, Lesseps o swych przekopach, Siostra miłosierdzia o swych biednych. I właśnie ta nieustanna, w jednym kierunku wytężona uwaga, dobywa z istoty ludzkiej zdolności i usługi ponad wszelką miarę, i napróżno chcianoby tych zdrojów żywych nieobliczoną potęgę, zastąpić jedną, wielką, sztuczną centralną cysterną, której wody płytkie i stojące, nie mogą mieć nigdy ani dosyć zapędu, ani dosyć obfitości, aby skutecznie poruszać koła ogromnej państwowej maszyny, tak iżby wydołać mogła pracy ku zaspokojeniu wszystkich potrzeb publicznych... Chociażby się człowieka nie miało za nic więcej, jak za narzędzie do produkowania walorów, to i w tym zakresie lepiej on sam sobą pokieruje, i prędzej wyrobi się na doskonałe narzędzie idąc za osobistym interesem i upodobaniem, aniżeli zostając pod kontrolą rządu.

„Dlatego też, kończy, przedewszystkiem innem niech państwo szanuje jednostkę i pielęgnuje u siebie wolny rozwój indywidualnych sił żywych, a już przez to samo obudzą się w nich i w koło nich talenta i dobra wola do produkcyi na każdem polu coraz większej i coraz lepszej, aż póki nie dojdzie do największej i najlepszej na jaką stać całą pełnię ludzkiej energii i zdolności. — W przeciwnym zaś razie, gdy państwo w duchu naszych jakobińskich programów zagarnia wszystkie naturalne siły i popędy na rzecz swoją, stawiając się jako bożyszcze absolutne, którego kult przytłumić winien wszystkie inne, wnet wysusza ono na swoim gruncie wszystkie dobroczynne źródła ludowej siły. My kochamy państwo, w miarę usług jakie nam oddaje, w miarę dobrodziejstw bezpieczeństwa i wolności, jakie nam zapewnia. Ale gdy ono z umysłu obraża nasze najżywsze interesa, i najświętsze uczucia, gdy gwałci nas na honorze, sumieniu i mieniu, naówczas z powszechnego dobroczyńcy staje się publicznym złoczyńcą i wnet nasza miłość zmienia się w nienawiść... ginie patryotyzm i wszystkie jego dobre dzieła... a gdy taki stan potrwa dłużej, w końcu kraj nikczemnieje i większość społeczeństwa stanowi szajka urzędników, i tłumy zbrodniarzy“.

Powyższe słowa Taine'a, na których zamykamy nasze wyciągi i streszczenia, główny cel niniejszej pracy, ostatnie te słowa nie potrzebują dzisiaj komentarza. Chociaż nie dla nas pisane, i nie na dzisiejszą chwilę, my jednakże dzisiaj najlepiej wiemy gdzie i do kogo je zaadresować. Ja zaś oddając pod sąd i rozwagę naszej publiczności wszystkie powyższe skargi i *pia desideria* dwóch pierwszorzędnych dziś filozofów Zachodu, Spencera i Taine'a, nie wiem, czyli one mają przeznaczenie wejść z czasem w krew i życie europejskich społeczeństw i być zadatkiem lepszej przyszłości, czyli raczej są one śpiewem łabędzim europejskiej wolności jednostek, w obec państw rządzonych bez chrześcijańskiego sumienia i bez szlachetnego poczucia honoru.

Dr. Ignacy Skrochowski.

SZKOLNICTWO WE FRANCYI.

(Dokończenie).

III. Rezultaty szkół wolnych czyli prywatnych [1].

Stosownie do rozkładu, którego trzymaliśmy się w dwóch poprzednich częściach tego studyum nad szkolnictwem francuskiem, podzielimy tę ostatnią część na trzy punkta. W pierwszym skonstatujemy wysiłki, na jakie się zdobyli katolicy, dla nadania szkołom ludowym pożądanego kierunku i rozwoju, zakłady, jakie ufundowali, powodzenie uczniów tych zakładów w publicznych konkursach i egzaminach. W drugim omówimy szkoły średnie, jakie katolicy założyli od sławnej ustawy z r. 1850 i sukcesa uczniów tych zakładów przy konkursach, otwierających wstęp do wysokich szkół rządowych. W trzecim wreszcie zastanowimy się nad stanem uniwersytetów katolickich i nad przyszłością jaka je czeka.

1. Rezultaty szkół ludowych katolickich.

Nie możemy lepiej skreślić szerokiego rozwoju nauczania ludowego katolickiego pod wpływem stowarzyszeń i kongregacyj religijnych od początku tego wieku, jak wymieniając poczet zgromadzeń, uznanych przez państwo za instytucye publicznej użyteczności. Trzeba wiedzieć, że takie uznanie kongregacyi poświęcającej się nauczaniu ludowemu, nadaje jej charakter osoby cywilnej, tj. prawo posiadania, nabywania, postępowania sądowego i t. d.; członkowie i nowicyusze takiej kongregacyi są zwolnieni od służby woj-

[1] „Patrz: „Przegl. pow.“. Styczeń 1886, str. 57 i luty, str. 182.

skowej, pod warunkiem jednak, że się zobowiążą w obec miejscowego rektora Akademii poświęcić się przez 10 lat nauczaniu w zakładzie rządowym albo wolnym, liczącym więcej niż 30 uczniów [1].

Otóż więc spis kongregacyj poświęcających się nauczaniu ludowemu, z datami państwowego ich uznania, jako „instytucye publicznej użyteczności".

Clercs de St. Viateur, dits: Frères de St. Jean de Lyon,	uznani	10	stycznia	1830.
Frères de la croix de Jesus,	„	4	maja	1854.
— de Lamennais, dits Freres de l'Instruction chrétienne,	„	1	maja	1822.
	i	9	maja	1876.
— de la Sainte Famille,	„	10	stycznia	1874.
— de la Société de Marie (Marianisles),	„	16	listopada	1825.
	„ i	18	sierpnia	1860.
— de N. D. de l'Annonciation,	„	20	lutego	1874.
— de N. D. de Bon-Secours,	„	16	kwietnia	1853.
— de St. Antoine,	„	33	czerwca	1823.
— de St. François d'Assise,	„	4	maja	1854.
— de St. François Regis,	„	19	sierpnia	1856.
— de St. Gabriel, dits Frérés, de l'Instruction Chrétienne et du St. Esprit,	„	17	września	1823,
	i	3	marca	1853.
— de St. Joseph (Rhône),	„	6	maja	1853.
— de St. Joseph (Le Mam),	„	25	czerwca	1833.
— de St. Joseph (Somme),	„	3	grudnia	1823.
— de St. Vincent de Paul,	„	27	stycznia	1876.
— de Sion Vandemont,	„	17	lipca	1822.
— des Ecoles Chrétiennes de la miséricorde,	„	4	września	1856.
— de la Doctrine Chrétienne,	„	4	grudnia	1803.
— du Sacré-Coeur,	„	10	marca	1823.
	„ i	29	listopada	1829.

[1] Ustawa z 28 lipca 1872, art. 20.

Frères du St. Esprit et du S. C. de Marie,	uznani	20	lutego	1874.
— Maristes, dits frères de l'Instruction Chrétienne,	„	11	czerwca	1823.
— Petits frères de Marie,	„	20	czerwca	1851,
	i	12	listopada	1862.

W szczególny sposób wypada nam się zastanowić nad kongr. „Braci szkół chrześcijańskich“, czyli „Braci nauki chrześcijańskiej“ (Frères de la doctrine crétiènne), najwięcej we Francyi rozpowszechnioną i w wielu nawet gminach szkoły rządowe utrzymującą. Widzieliśmy bowiem w 2-giej części naszej pracy, że prefekt departamentu może zastąpić nauczyciela zakonnego świeckim i odwrotnie, i że na mocy art. 6 ustawy z 19 lipca 1875 r. „zgromadzenia religijne, poświęcające się nauczaniu i uznane przez państwo, mogą dostarczyć, przy oznaczonych warunkach, do gmin któreby takowych żądały“. Aż do tych ostatnich lat Bracia szkół chrześcijańskich zawiadowali szkołami publicznemi we wszystkich niemal gminach Francyi; obecnie nie zostawił im rząd ani jednej szkoły publicznej w Paryżu; ale za to w wielu miejscowościach, gdzie ich zastąpiono przez świeckich nauczycieli, rady gminne przynaglone od rodziców zażądały powrotu Braci do szkół rządowych. Zawiadują więc Bracia szkołami ludowemi dwojakiego rodzaju: publicznemi czyli rządowemi — i wolnemi, czyli prywatnemi.

Szkoły ludowe rządowe pod opieką Braci.

Takie są na podstawie ministeryalnego okólnika z 30 lipca 1858 r. warunki założenia pomienionych szkół. Personał w rezydencyi Braci wymaga najmniej 3 osób. Przy szkole obejmującej 4 lub 5 klas, potrzeba takiejże liczby nauczycieli dodatkowych, ponieważ Brat dyrektor nie powinien być żadną klasą obarczony, ażeby mógł wszystkich klas doglądać i w razie potrzeby Brata chorego lub nieobecnego zastąpić.

Gdzie jest więcej klas, a zwłaszcza gdzie takowe stanowią osobne szkoły, musi być oprócz Brata dyrektora, drugi suplent, a nawet i trzeci, według rozmiarów zakładu. Oprócz personału nauczycielskiego, potrzebny jest w każdym domu Brat ekonom, dla którego należy się pensya taka sama, jak dla braci nauczycieli.

Pensya na utrzymanie Braci oznacza się na podstawie cen zboża w miejscowościach gdzie się szkołę zakłada; nie może jednak być mniejszą niż 700 fr. na brata, nawet w gminach wiejskich. Znaczna zmiana w cenach żywności może być powodem odpowiedniej zmiany pensyi pierwotnie umówionej.

Dom mieszkalny dla Braci ma być zastosowany do ich zakonnego życia i zawierać odpowiednie ubikacye jako to: kaplicę, izbę wspólnych zebrań, rozmównicę, celki dla braci, infirmerye, pokój dla przełożonych wizytujących, refektarz, kuchnię, piwnicę, podwórze, ogródek. Zabudowania mieszkalne i szkolne, oraz szkolne ruchomości są dane i utrzymywane przez miasta lub fundatorów. Jeżeli utrzymywanie ruchomości złożone jest na koszt Braci, wówczas ci nabywają co roku 10 część wartości tych rzeczy, które im przy otwarciu zakładu powierzono. Przedmioty przez nich samych nabyte, zostają oczywiście ich własnością.

Zgromadzenie nie mając środków na kształcenie przyszłych nauczycieli w swoich nowicyatach, żąda na ten cel 500 franków, jako jednorazowy datek na głowę każdego Brata przy założeniu nowej szkoły.

W interesie wychowania i naukowego postępu, pojedyńcze klasy Braci liczą najwięcej 50 do 60 uczniów, a nie przyjmują ich przed 6 rokiem ukończonym.

Ażeby Bracia mogli zachować ducha swego stanu i jednostajność w nauczaniu, muszą mieć wolność zachowywania swego instytutu, co do życia zakonnego i co do sposobu prowadzenia klas, o czem generał zgromadzenia dokładnie informuje władze w układach, które z niemi zawiera. Od paru lat jednak Bracia musieli się zastosować do wymagań regulaminu rządowego, zakazującego im uczyć katechizmu w szkole publicznej. Gdy odwiedzając Brata dyrektora scholastykatu objawiłem mu swoje zdziwienie nad tem drakońskiem rozporządzeniem — powiedział mi: „jesteśmy zmuszeni dla uczenia katechizmu naszych dzieci gromadzić je w osobnej miejscowości po za szkołą. Jeden z Braci naszych, na którego szkolnym biórze inspektor znalazł katechizm, był niedawno temu suspendowany od swoich funkcyj".

Generał Zgromadzenia ma prawo zmieniania Braci, zachowując przytem rozporządzenia praw szkolnych; może ich nawet wycofać

z zakładów w którychby nie znaleźli warunków i swobód w układach z władzami państwowemi umówionych. Na mocy ustaw z 15 marca 1850 art. 31 i 34, oraz ustaw najnowszych, generał prezentuje władzom kompetentnym nauczycieli zwyczajnych do zamianowania, a nauczycieli pomocników sam mianuje.

Bracia trzymają się w swoich szkołach metody nauczania, zwanej: symultanną wzajemną (simultené-metuel), wyłożonej w książce p. t.: *Conduite des ecoles chretiennes*. Program nauczania obejmuje w szkołach ludowych wszystkie przedmioty obowiązkowe, w szkołach o większych rozmiarach może nadto objąć w części lub w całości przedmioty dowolne, jeżeli gminy funduszów na to dostarczą.

Gminy któreby chciały w przypadkach prawem przewidzianych na miejsce Braci sprowadzić innych nauczycieli do zarządu swoich szkół lub niektóre z tych szkół rozwiązać, obowiązane są do zachowania prawnych formalności jako to: uprzedniej notyfikacyi w terminie 6 miesięcy, odszkodowania fundatorów, zapłacenia Braciom po 300 franków na koszta przeniesienia się, i t. d.

Szkoły wolne Braci nauki chrześcijańskiej.

Oprócz szkół ludowych publicznych i bezpłatnych, Bracia utrzymują szkoły ludowe wolne, zakłady wychowawcze dla sierót, szkoły realne, szkoły agronomiczne; wreszcie aż do tych ostatnich lat kierowali szkołami normalnemi (seminaryami nauczycielskiemi) w Rouen, Aurillac, Quimper.

Bracia pełniący obowiązki nauczycieli wolnych, opatrzeni są dyplomami uzdolnienia, tak samo jak ci co w szkołach publicznych nauczają. Ci co nie mają tego dyplomu, przyłączeni są do nauczycieli jako pomocnicy; w taki sposób i ustawa się zachowuje i do pracy użyć można więcej Braci. W szkołach wolnych Bracia nie trzymają się ściśle programu rządowego, nauce religii więcej dają miejsca. Świadectwa końcowe tych szkół udzielają się przez komisye Braci, podczas gdy w szkołach publicznych przez Braci utrzymywanych komisya świecka te świadectwa rozdaje.

Szkoły specyalne. W St. Etienne założyli Bracia szkołę dla młodzieży przygotowującej się do wyższej rządowej szkoły górniczej w temże mieście istniejącej. Zakład ten cieszy się wyjątkowem powodzeniem. Z 30 uczniów, których co roku drogą konkursu szkoła

górnicza przyjmuje, największa część pochodzi ze szkoły przygotowawczej Braci, a między 10-ma pierwszemi lokacyami ledwo kiedy uczeń z rządowych liceów zasiądzie.

Do każdej gałęzi handlu i przemysłu kształcą Bracia doborową młodzież: w Lyonie posiadają zakład gdzie młodzi terminatorowie tkactwa uczą się swego rzemiosła. Widziałem w rozmównicy ich domu macierzyńskiego w Paryżu przy ulicy Oudinot tkaninę cudownej delikatności przysłaną przez uczniów lyońskiej szkoły *de la Salle*. Szkoła ta jest w kwitnącym stanie. Ale ze wszystkich szkół założonych przez Braci największą zapewne usługę oddaje ludności roboczej szkoła paryska przy ulicy Vaugirard znana pod imieniem zakładu św. Mikołaja. Założona roku 1827 przez biskupa de Bervanger i hr. Wiktora de Noailles, kierowana przez Braci nauki chrześcijańskiej od r. 1859 uznana za instytucyę publicznej użyteczności dekretem z tegoż roku, szkoła ta jest prywatnym zakładem kierowanym przez własną radę pod prezydencyą biskupa paryskiego, a mającym na celu wychowywać młodych ludzi religijnie, udzielając im naukę zawodową.

Pensya tego internatu jest bardzo skromna. Rodzice przy oddaniu chłopca wnoszą jednorazowo 112 franków, a potem miesięcznie 32 franki płacą. Trzeba wielkiej ekonomii i mądrej administracyi, żeby tak tanio utrzymać tę młodzież i udzielać im nauk fachowych wymagających tylu nakładów. Państwo próbowało stworzyć podobny zakład w Paryżu, ale w końcu musiało odstąpić od zamiaru. Szkoła św. Mikołaja liczy 100 uczniów a co roku do 500 kandydatom musi odmawiać.

Są w zakładzie różne warsztaty, kierowane przez poważnych i znakomitych majstrów. Rodzice umieszczając tam dzieci mogą im dobrać zawód odpowiedni do ich zdolności i chęci. Każdy chłopiec pracuje najprzód miesiąc w warsztacie dla próby, a potem rodzice podpisują z majstrem kontrakt terminu. Terminowanie trwa 3 do 4 lat, według wymagań zawodu, a potem znów przez rok majstrowie zamiast rodziców, płacą zakładowi pensye terminatorów, którzy w ich warsztatach na ich korzyść pracują. Bracia zaś codzień udzielają tym młodym ludziom lekcyj rysunku, modelowania i innych, odpowiednio do ich potrzeb.

Posiadają Bracia jeszcze dwa inne zakłady w tym rodzaju,

w *Issy* pod Paryżem i w *Igny* w departamencie *Seine* et *Oise:* pierwszy liczy 1000 uczniów, drugi 500.

W tych trzech zakładach daje się uczniom dosyć kompletne wykształcenie. Program studyów obejmuje naukę religii i moralności, czytanie i pisanie, elementarną historyę i geografię, gramatykę. wstępne pojęcia z literatury francuskiej, arytmetykę, początki algebry i geometryi, modelowanie, buchalteryę, śpiew, gimnastykę, język angielski i niemiecki, wreszcie elementarną fizykę i chemię.

Troskliwi nadewszystko o przyszłość swoich wychowańców i o przechowanie zasad religijnych, które w ich serca wszczepili — Bracia wpadli na myśl założenia niby domu rodzinnego, w którymby młodzi ludzie wychodzący z zakładu znaleźli za niską możliwie cenę domowe ognisko, w zastępstwie rodzinnego, którego im często niedostaje. Dom ten założony został 1877 w Paryżu, i wielkie już oddaje usługi młodym czeladnikom dobijającym się uczciwego stanowiska, a nie mającym w pobliżu familii. Uczciwe rozrywki czekają ich tam co wieczór po pracy; są tam biblioteki, bilardy, gry rozmaite, odbywają się wieczorki muzykalne i deklamacyjne i t. d. Od izby płaci się 12, 15, 17 i 20 franków. Wdajemy się umyślnie w te szczegóły dla wykazania pieczołowitości, jaką Bracia otaczają swoich dawnych uczniów, których pragną pozostać przyjaciółmi i dobroczyńcami.

Powodzenie ludowych szkół Braci. Temu parę lat, kiedy Bracia Nauki Chrześcijańskiej zawiadywali kikoma szkołami publicznemi w Paryżu, corocznie wysyłali swoich uczniów na tak zw. wielki konkurs stolicy, na którym rozdzielają się liczne bursy czyli stypendya od gminy zależne.

Pierwszorzędne szkoły rządowe jak szkoła Turgot'a, starały się z niemi współzawodniczyć, ale nadaremnie — uczniowie Braci zdobywali konkursem wszystkie stypendya. Dziś, kiedy Bracia zostali od tego współzawodnictwa usunięci, rezultaty egzaminów są nierównie niższe.

Szkoły średnie Braci. Bracia mają także internaty należące do rzędu szkół średnich, ale oddane wyłącznie kierunkowi realnemu, bo nauczanie łaciny wykluczone jest regułą zgromadzenia. W niektórych jednak zakładach mają uczniów gotujących się do najwyższych szkół państwowych, a potrzebujących w tym celu egzaminu

dojrzałości, ci uczniowie więc biorą lekcye łaciny i greki u dochodzących korepetytorów i w paru latach zdają z powodzeniem egzamina. Sorbona zaprotestowała przeciwko temu postępowaniu jako przeciwnemu instytutowi Braci, ci ostatni jednak sądownie wygrali sprawę.

Nauka języka francuskiego udziela się w sposób bardzo gruntowny w tych pensyonatach; uczniowie z nich wychodzący otrzymują zwykle godne stanowiska w społeczeństwie, mianowicie poszukiwani są jako zdolni kasyerzy i rytownicy. Niektórzy z nich aspirują do szkoły Centralnej, o której niżej słówko powiemy, i zwykle do niej od razu bywają przyjęci.

Takie są wyniki pracy Braci w szkołach niższych. Zresztą inne zgromadzenia, o których wspomnieliśmy na wstępie tej rozprawy zawiadują wielką liczbą szkół gminnych i w wielu miejscach zbawienny a szeroki wpływ wywierają. Tak, Bracia Maryści, których dom macierzyński znajduje się w *St.-Paul-Trois-Chateaux* w departamencie Drôme mają we Francyi 127 szkół i różnych zakładów. Zgromadzenie Braciszków Maryi z domem macierzyńskim w *St.-Genis-Laval* w departamencie Rodanu zawiaduje 243 szkołami rządowemi a posiada 218 własnych zakładów we Francyi, 7 w Belgii, 5 w Anglii, 2 w południowej Afryce, 3 w Australii, 2 w Nowej Zelandyi, 7 w Nowej Kaledonii. Instytut Braci Nauki Chrześcijańskiej z Ploermel, założony przez ks. La Mennais r. 1820 w celu wychowywania dzieci klasy roboczej, bardzo się też rozwinął i do dziś dnia, mianowicie w koloniach, kwitnie. W koloniach francuskich w Afryce, Ameryce i Australii, zgromadzenie to kształci obecnie w 362 zakładach 48.630 uczniów. Prócz tego posiada:

W Guadalupie	zakładów	31,	uczniów	7·000.
W Martynice	„	1,	„	700.
W Rzeczyposp. Haiti	„	12,	„	3·000.
W Gujanie francuskiej	„	2,	„	670.
W Senegalu	„	3,	„	700.
W Tahiti	„	2,	„	400.
W St. Pierre et Miquelon	„	3,	„	450.

W Tahiti i w Martynice rząd im świeżo odebrał szkoły aby z nich zetrzeć cechy katolickie, ale biskup Axiery wik. Apostolski w Australii otworzył tam od razu szkoły wolne naprzeciw rządowych. Instytut ten zatem daje chrześcijańskie wychowanie prze-

szło 61 tysiącom chłopców. Z radością zapisujemy tu ten wspaniały plon z roboty tych mężnych pracowników, których nie odstrasza żaden trud i żadna ofiara, gdy idzie o ratowanie dusz od zakały szkół bezwyznaniowych.

2. Rezultaty szkół średnich wolnych.

Zaczniemy i tu od wyliczenia zakładów wolnych czyli prywatnych dla nauk średnich.

Należą one do trzech kategoryj. 1 właściwe małe seminarya biskupie, 2 małe seminarya, przyjmujące także innych uczniów niż seminarzystów, 3 zakłady nie mające na celu przygotowywać do kapłaństwa. Dwiema ostatniemi kategoryami wyłącznie się zajmiemy.

Małe seminarya zakładane przez biskupów, mają w ogóle wszystkie klasy gimnazyalne aż do filozofii włącznie. Seminaryów takich, przyjmujących innych uczniów prócz seminarzystów jest we Francyi 42, liczących po 150 do 200 uczniów, co wynosi sumę 8.400 młodych ludzi, nie zamierzających się poświęcić kapłaństwu a otrzymujących wychowanie w tych zakładach.

Innych szkół średnich, kierowanych przez kapłanów lub zgromadzenia zakonne, jest około 280. Licząc przeciętnie 250 uczniów na szkołę, mamy ich razem 70.000; a liczba ta jest raczej niższą niż wyższą od rzeczywistości. Wielka część tych zakładów, kierowana wprzódy przez OO. Jezuitów, ma dzisiaj na swojem czele księży świeckich, a do profesury posługuje się przeważnie cywilnymi. W niektórych jednak z tych konwiktów, kilku ojców nie mieszkających w samym zakładzie, przybywa o pewnych godzinach dla udzielania lekcyj.

Inicyatywę do otwierania tych konwików dali przeważnie biskupi, pragnąc dostarczyć swym dyecezanom środków wychowania religijnego dzieci. Ale przyszły im w pomoc osoby, najwyższe stanowiska w społeczeństwie zajmujące, zasilając ich funduszami i nawet darowując grunta, na którychby zakłady wychowawcze stanęły.

W egzaminach dojrzałości, do których uczniowie szkół wolnych zasiadają przed temi samemi komisyami uniwersyteckiemi, co uczniowie liceów rządowych, pierwsi mają zwykle znacznie większe powodzenie.

Zakłady przygotowawcze do najwyższych szkół rządowych.

Młodzi ludzie, którzy przebyli klasyczne studya, idą zwykle jednym z tych dwóch kierunków: albo udają się na kursa prawa lub medycyny, albo też przygotowują się do szkoły wojskowej St. Cyr, do szkoły marynarki, do szkoły politechnicznej, leśnej lub centralnej. O pierwszych przyjdzie nam mówić niżej, z okazyi uniwersytetów — teraz słowo o drugich.

Szkoła politechniczna przyjmuje uczniów tylko w oznaczonej liczbie i drogą ścisłego konkursu. Przebieg jej kursów trwa lat 2, a uczniowie jej, którzy zadość uczynili końcowemu egzaminowi, otrzymują zaraz po wyjściu wysokie posady i stanowiska wojskowe i rządowe, i takowe nawet sami wybierają podług lokacyi, jaką w szkole politechnicznej otrzymali. Z tej szkoły zasilają się mianowicie: artylerya armii i artylerya floty, inżynierya wojskowa, marynarka narodowa, korpus inżynierów hydrografów, komisaryat marynarki, instytucya dróg i mostów, górnictwo państwowe, fabryki rządowe, prochownie, dyrekcya telegrafów.

Istnieją też rozmaite zakłady przygotowujące specyalnie do tej wysokiej szkoły, otwierającej wrota do najkorzystniejszych zawodów. Między temi zaś przygotowawczemi zakładami, pierwsze miejsce zajmuje, i z całej Francyi ściąga synów najzacniejszych rodzin szkoła św. Genowefy (rue des Postes), niegdyś OO. Jezuitów, dziś kierowana przez kapłana świeckiego. Kilku jednak Jezuitów zdawna zaprawionych do tego specyalnego nauczania, udzielają tam lekcyj, jak np. uczony O. Joubert, znany w całym świecie, miewa prelekcye dla kandydatów do politechniki. Uczniowie tej szkoły św. Genowefy zdobywają więcej miejsc w szkole politecznicznej niż wychodzący z jakichkolwiek innych podobnych zakładów. Znane też jest, i w przysłowie przeszło ich powodzenie w szkole wojskowej St. Cyr. Ostatniemi jednak czasy drugi zakład wolny, *Le College Stanislas*, zaczyna w tej mierze współzawodniczyć z św. Genowefą, a daleko za sobą zobą zostawia rządowe licea paryskie. Zakład ten jest kierowany jest przez Braci Towarzystwa Maryi.

Szkoła wojskowa St. Cyr kształci oficerów do piechoty, kawaleryi i korpusów marynarki. Kurs jest także dwuletni.

Szkoła Centralna założona r. 1829, przemieniona w instytucyę

państwową prawem z 19 czerwca 1857, kształci inżynierów do wszystkich gałęzi przemysłu i do robót i zarządów publicznych, których kierunek niekoniecznie należy do właściwych inżynierów państwowych. Po 3-letnim kursie uczniowie otrzymują dyplom inżynierów *des arts et manufactures* albo świadectwo uzdolnienia, stosownie do powodzenia z jakiem egzamin końcowy zdali. Wstęp do tej szkoły otrzymuje się także drogą konkursu, a otwartym jest dla obco-krajowców zarówno jak dla Francuzów. Rzadko który kandydat ze szkoły św. Genowefy nie znajduje tu przyjęcia.

Szkoła leśna kształci inspektorów wód i lasów; założoną została przez Ludwika XVIII. w roku 1824. OO. Jezuici nie przygotowują specyalnie do tej szkoły, ale uczniowie, którzy słuchali u nich kursu przygotowawczego do szkoły centralnej, są już tem samem odpowiednio wykształceni.

Szkoła marynarki w Brest, założona jest na okręcie *le Borda* w zatoce bresteńskiej zostającym. Dawniej OO. Jezuici mieli też w Brest szkołę przygotowawczą do egzaminów wymaganych na pokładzie Bordy; obecnie przenieśli te kursa do Jersey. Kandydaci, których oni przedstawiają, są prawie zawsze przyjęci.

W obec tak pięknych rezultatów możnaby sądzić, że wolność nauczania zdobyła sobie na zawsze grunt we Francyi. Niestety zamachy i bezprawia rządu w tych ostatnich latach niepomyślną rokują przyszłość. Niezawodnie, inspektorowie uniwersyteccy są mniej wymagalni, od kiedy zgromadzenia zakonne uchylone zostały od zarządu szkół wolnych i zastąpione przez księży świeckich; jednak dążności rządu są zawsze niekorzystne dla tych zakładów, i według nich sądząc, można rokować nauczaniu wolnemu we Francyi co najmniej ciężkie walki i dotkliwe próby.

3. Uniwersytety katolickie.

Wszechnica katolicka w Paryżu założoną została przez 7 arcybiskupów i 25 biskupów. Personał składa się z rektora, którym jest obecnie Mgr. Hulst, prałat domowy Ojca św. i wikaryusz generalny paryski, z trzech administratorów, sekretarza generalnego i sekretarza pomocnika. Ten uniwersytet posiada tylko fakultet prawa,

ale istnieją obok niego kursa literatury i nauk ścisłych i przyrodniczych w tak zw. szkole Karmelickiej, która także do tegoż uniwersytetu należy, a jest właściwie: „Szkołą wolną wyższych nauk ścisłych i literatury“. Wykłady zaś wyższe teologii odbywają się w *St. Sulpice.*

Fakultet prawniczy posiada dwóch profesorów prawa rzymskiego z jednym suplentem, 4 profesorów prawa cywilnego, 1 profesora prawa karnego, 2 profesorów historyi prawa, 1 procedury cywilnej, 1 ekonomii politycznej, 1 prawa administracyjnego, 1 prawa handlowego, 1 prawa międzynarodowego prywatnego i 1 profesora prawa narodów. Dla doktoratu jest kurs pandektów, kurs zasadniczy prawa rzymskiego, takiż kurs prawa cywilnego, kursa prawa zwyczajowego, historyi prawa, prawa konstytucyjnego, prawa narodów, są nadto konferencye o prawie rzymskiem, o prawie francuskiem i kurs dowolny ekonomii społecznej. Słuchaczów 250 uczęszcza na kursa fakultetu prawniczego.

Szkoła Karmelicka jest, obok szkoły normalnej paryskiej i fakultetu literackiego w Angers, najlepszą szkołą przygotowawczą do uniwersyteckich stopni: licencyi z nauk ścisłych i przyrodniczych i licencyi z literatury. Słuchacze wykładów przygotowawczych do tych stopni, przeważnie duchowni, są w liczbie mniej więcej stu; a dwa lata zwykle do każdej licencyi się przygotowują.

Uniwersytet katolicki w Angers miał za założycieli dwóch arcybiskupów i 6-ciu biskupów, — jest też jednym z najświetniejszych i najlepiej administrowauych. Ma 4 wydziały: teologiczny, prawny, filologiczny i nauk ścisłych. Teologia ma 7 katedr, prawo 17, literatura 8, nauki ścisłe 7. Sześć katedr prawa uposażyły osoby prywatne, i dla tego te katedry zachowują imiona fundarów, każda z nich wymagała 80.000 fr. kapitału.

Na prawo uczęszcza 140 do 150 słuchaczów. Na wykłady filologiczne od 60 do 70, tak świeckich jak kleryków; na nauki ścisłe 20; na teologię także 20.

Uniwersytet w Lille, jedyny z katolickich posiadający wydział medyczny, a 60 do 80 słuchaczów uczęszcza na te wykłady z wielkiem powodzeniem. Prawniczy wydział liczy 80 słuchaczów; teologiczny 20 do 30; wykłady filologii i nauk ścisłych jeszcze mniejszą mają frekwentacyę.

Uniwersytet lyoński posiada wydział prawniczy, na który uczęszcza 80 do 100 słuchaczów, wydział filologiczny z 30-ma mniej więcej słuchaczami i wydział nauk ścisłych i przyrodniczych z 50-ma; wynik egzaminów pomyślny.

Uniwersytet tolozański na wydziale prawniczym liczy 50 słuchaczy; wydziały filologii i nauk ścisłych istnieją także, ale z małą frekwentacyą.

Z tego widać, że przyszłość katolickich uniwersytetów jest bardzo zagrożona. Po zamachu, który im odjął prawo udzielania stopni uniwersyteckich, ich siła żywotna jest podcięta, liczba uczniów jest w paru miejscach niedostateczna i coraz bardziej się zmniejsza; w skutek tego i środki materyalne zaczynają niedopisywać; w końcu grozi obawa, że państwo je lada dzień skasuje. W każdym razie katolicy francuscy dali wiekopomny przykład swej ofiarności i przedsiębiorczości w interesach czystej nauki i chrześcijańskiego wychowania.

H. Rodde du Vernet.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Pojedynek, jego reguły i przykłady. *Witold Bartoszewski*, prezes klubu szermierzy w Wiedniu. Kraków 1885.

Wiek nasz XIX. chełpi się, że cywilizacyą i humanitarnością prześcignął chrystyanizm, którego siłę socyalną za zużytą jeszcze w wiekach średnich uważa. Pogardą piętnuje wszystko jako przeciwne oświacie, co tylko trąci choćby z daleka średniowieczem. A jednak resztka z barbarzyństwa średniowiecznego przechowała się wśród nas, a ten właśnie zabytek uważa ucywilizowane pokolenie za jedyny trybunał czci, i uszlachetnić go usiłuje pozorem koniecznej obrony honoru osobistego. Czyż to nie gorzka ironia losu? Kościół od tysiąca lat walczy przeciw pojedynkowi, a nasz wykształcony wiek broni go jako świętej spuścizny rycerskich czasów, jako środka jedynie skutecznego do zachowania lub rehabilitacyi swej nadwerężonej godności lub sławy.

Wprawdzie dziś nie giną tysiące od kul pistoletowych lub pchnięć szpady, jak u schyłku XVI. wieku i przez cały XVII. we Francyi, nie „krzeszą się w szabelki“, jak się to działo za czasów hetmana Mieleckiego, króla Jana i t. d., jednak jak świadczy p. Hausner, „pojedynek istnieje, ma ciągle miejsce i to przeważnie w kołach najwyższych, najbardziej wykształconych“. Owszem bezprawie to kultywuje się i jak wiele innych staje się zbrodnią systematycznie i wedle pewnego regulaminu prowadzoną. Pierwszy kompletny kodeks prawideł pojedynkowych pojawił się we Francyi *Essai sur le duel par Chateauvillard* (Paris 1836). W ślad za nim ukazały się inne: *Le duel ses lois, ses regles — son histoire, par Henri*

Vallée (Paris 1877). *Nouveau code du duel par Comte du Verger de St. Thomas*, w Niemczech i Austryi pojawiły się: *Der Zweikampf ehedem und heute, Aleksandra Majera* (Wiedeń 1866), i *Duell-Regeln, Rajmunda Sebetica* (Debreczyn 1880). Nasza literatura dotąd nie posiadała jeszcze czegoś podobnego. Ale znalazł się wreszcie autor, a jest nim prezes klubu szermierzy w Wiedniu p. Witold Bartoszewski, i zapełnił ten brak wykładem reguł pojedynkowych. O pojedynku i jego historyi, znaczeniu, pisali dawniej Czacki i Lelewel, a w nowszych czasach Maurycy hr. Dzieduszycki, Dr. Rosenblatt, Hausner i Morelowski. Żaden jednak z wymienionych autorów nietylko nie był bezwzględnym pojedynku chwalcą, ale każdy starał się okazać jego niegodziwość ze stanowiska, z jakiego się nań zapatrywał, tj. religijnego, humanitarnego lub prawniczego. Żaden z nich nie uznał konieczności tego zła, jeden tylko p. Hausner choć z zasady mu przeciwny, był względniejszy, dla pojedynku: „Każdy, „powiada on w ciągu swej rozprawy, kto tylko cokolwiek dba „o siebie, przywiązany jest do czegoś, albo chce być do czegoś „zaliczonym, może przyjść w każdej chwili przeciw swemu przekonaniu i z powodów bardzo błahych w takie położenie, że zmuszony będzie zdać swoje życie na los szczęścia".

P. Bartoszewski nie chciał zostać apologetą pojedynku, nie wykrzykuje za Chateauvillardem, „że to arka niepokalanego honoru uratowana z rycerskiej przeszłości", ani za Hobesem „że to najlepszy dowód siły i odwagi", ani z Moserem nie upatruje w pojedynku „kształcenia dzielnego iście i męskiego charakteru i tęgości", nie roztrząsa czy pojedynek jest godziwym, owszem niejednokrotnie przyznaje nawet, że jest złem i bezprawiem. Głównym przedmiotem pracy p. Bartoszewskiego jest zaznajomienie czytelników z metodą pojedynkowania, wtajemniczenie w cały proceder mordu honorowego. Przechodzi więc trzy rodzaje broni używanej w podobnych walkach i podaje przepisy stosowne we wszystkich przypadkach. „Pragnie„niem naszem, oświadcza autor w przedmowie, było przedstawienie „reguł pojedynkowych, tych przepisów uświęconych przez zwyczaj, „a zagwarantowanych przez opinię publiczną". Ale samo traktowanie reguł byłoby zanadto obrażającem uczucia religijne i humanitarne, autor więc występuje w roli filantropa, co nie mogąc złego usunąć, pragnie je umniejszyć. „Pojedynek, wedle niego, stał

„się intelektualną potrzebą dla ludzi z poczuciem honoru". A w rozdziale o zadosyćuczynieniu „są wypadki, mówi, gdzie ono nie może „być inne, jak tylko pojedynkiem". Przyznaje więc autor konieczność pojedynku i pragnie tylko pracą swą ograniczyć to „złe, które jest nieuniknionem". Że autor jest w istocie zwolennikiem pojedynków, pokazuje się najlepiej ze spisu znakomitszych osób, „które, jak „mówi, choć może przeciwne w swych zasadach pojedynkowi, mu„siały go jednak podjąć, by raczej popełnić grzech, niż okryć się „hańbą w obec tej wszechwładnej opinii". A podawszy spory zastęp tych zapaśników z różnych epok i czasów kończy, że wiele więcej mógłby przytoczyć przykładów, ale uważa to za zbyteczne, gdyż przytoczone aż nadto udowadniają o co mu właściwie chodziło, „że „są obrazy, które jeżeli nie zostaną odpowiednio „ukarane, zabijają moralnie obrażonego". Czytając to kategoryczne oświadczenie autora, a pomnąc, jak z początku nazwał pojedynek „złem i bezprawiem" mimowolnie pytamy się za jakie zło i bezprawie uważa on pojedynek?

Autor poprzestał na gołosłownem twierdzeniu, inaczej nie miałby celu cały jego wykład reguł i przepisów pojedynkowych. Zastanawiać się nad niemi, roztrząsać czy są słuszne, nie myślimy; bo jeżeli rzecz sama jest złą i niemoralną w sobie, żadne reguły i przepisy uświęcić jej nie zdołają. A ponieważ dla wielu jest rzeczą niejasną, w czem się to bezprawie mieści, nie od rzeczy będzie dopełnić to, co autor z umysłu pominął. Wielkiego mozołu, uczonych dedukcyj tu nie potrzeba, gdyż z samego określenia, które zresztą autor dobrze podaje, łatwo zło wykazać można.

Przez pojedynek rozumiemy zwykle walkę dwóch osób z prywatnej przyczyny, pod umówionemi warunkami osobistą powagą podjętą, a bronią zabójczą prowadzoną. Walka ta musi być pomiędzy przeciwnikami ułożona z góry. To obustronne przyzwolenie i zgodzenie się zawarte jest w wyzwaniu i przyjęciu, które w imieniu swych klientów uskuteczniają sekundanci ustnie, lub wręczeniem kartelu. Przez ten element wykluczoną bywa obrona natychmiastowa wywołana napaścią, czyli tak zwany pojedynek nagły *(rencontre)*. Taki bój, choćby bronią morderczą stoczony, choćby się skończył nawet śmiercią jednego z zapaśników, nie podpada pod kategoryę pojedynków. Umowa uprzedzająca pojedynek jest więc istotnym

elementem pojedynku a obejmuje prócz samej walki, także jej sposób. Przeciwnicy przyrzekają sobie nietylko stanąć osobiście do walki, ale określają czas i miejsce jej odbycia, dalej broń, granice i sposób jej użycia. Broń użyta ma być morderczą, tj. zdolną do zadania śmierci, jakiemi są: pałasz, szpada i pistolet. Walka ta nie z innej przyczyny podjętą bywa, tylko z prywatnej, w przeciwstawieniu do dawnych pojedynków za sprawy publiczne, jakiemi były walka Goliata z Dawidem, Horacyuszów z Kuracyuszami i t. d., gdzie na ostrzu miecza walczących ważyły się losy dwóch wrogich sobie narodów. A jak prywata wszczyna tę walkę, tak i osobista powaga ją dekretuje. I tem się różnią pojedynki obecne od dawnych „sądowych“. które nakazywała zwierzchność państwowa w wiekach średnich, jako jednę z prób tak zwanych „ordaliów“, sądów Bożych.

Cel tej walki może być i bywa różny. Dawniej pojedynku używano na okazanie swej odwagi i męstwa. Był to jakiś zabytek średniowiecznych turniejów. Junakowi zawołanemu nie wystarczało pole bitwy do popisu, albo świerzbiała go dłoń w czasie pokoju, szukał więc zaczepki, wyzywał i przyjmował wyzwania, byle się rąbać lub strzelać. Ta żądza walki przechodziła nieraz w jakieś tygrysie pragnienie krwi, junactwo przechodziło w zuchwałość i bezczelność. Takich Dufay i Lignano o których wspomina p. Hausner, były setki, co tylko szukali okazyi, byle kogoś wyzwać, a wtedy biada temu kto im stawił czoło — żywy nie wrócił z boju. I dziś po większej części mensury niemieckich burszów na taki rodzaj junactwa zakrawają. Zdanie Welkera przyjęło się tam widać znakomicie, „że bez pojedynku upadłoby podobno wszelkie ćwiczenie „w broni, tak zbawienne nietylko dla zdrowia, ale dla wyrobienia „męskości, odwagi i uczucia honorowego“. Nasz autor potępia takie pojedynki. „Celem pojedynku jest przywrócenie nadwerężonej czci „i to przez otrzymanie, względnie danie zadosyćuczynienia“. Trzy stopnie obrazy rozróżnia autor: piórem, słowem i czynem. Honorowego człowieka obowiązkiem jest, przyznaje p. Bartoszewski, jeśli się komu krzywdę wyrządziło, odwołać ją i przyznać się do winy, ale to nie zawsze możebne. „Za uwiedzenie żony, córki i t. p., „jako też obrazę przez uderzenie, nie ma usprawiedliwienia ani „przeproszenia“, pojedynek więc nieodzowny dla człowieka z poczuciem honoru. Czemże więc jest pojedynek w takim przy-

padku? Zamanifestowaniem, zaprzeczeniem najsolenniejszem, że takim nie jestem, za jakiego mnie mój przeciwnik uważał. Policzek, napiętnowanie o oszustwo, złodziejstwo, lub jakiś inny hańbiący występek przez człowieka z wpływem i znaczeniem, ubliża godności człowieka, który się do tego nie poczuwa, milczenie byłoby potwierdzeniem jego słów i czynu, przyznaniem się do tego, co mi zarzucają. Pojedynek ma temu zaradzić. To zahazardowanie swego życia ma być oznaką niewinności. Bo czyż to nie bijący dowód, że kto na sam zarzut się wzdryga i tak go odczuwa, że woli życie stracić, niż żyć zhańbionym, ten nie zdolny popełnić podobnego występku. I to jest jedyny moralny moment w pojedynku. Człowieka niewinnego samo posądzenie rani boleśnie i krzywdzi go we własnem jego przekonaniu i w opinii bliźnich. Ma więc prawo dopomnieć się o swą krzywdę; prawo nawet chrześcijańskie nie zabrania mu szukać rekompensaty. I dotąd zgadzamy się z p. Bartoszewskim. Ale kiedy twierdzi, że ta rekompensata ma się pojedynkiem uskutecznić — stanowczo przeczymy.

Pojedynek sam w sobie jest czynem niemoralnym, jest złem i bezprawiem, gdyż się wspiera na umowie, wedle której odbiera przeciwnik moc godzenia na życie swego przeciwnika, kosztem podobnej ofiary ze swej strony. Obaj zapaśnicy obiecują wystawić swą pierś na razy, nie używając na obronę swą niczego, tylko co umowa wyraźnie przyzwala. Po takim układzie wzajemnym, z tem przekonaniem: mogę zabić mego przeciwnika i mogę sam życie położyć, z tą gotowością: uśmiercę drugiego lub sam polegnę! stają na placu i chwytają za broń, niepewni komu życie, komu śmierć zapisana. A takie przyrzeczenie czemże jest jeśli nie umową pozwalającą czyhać na cudze życie a oraz nadaniem władzy na zadanie sobie śmierci. Jest to więc kontrakt obustronny, na mocy którego przeciwnik oddaje życie swoje w ręce drugiego pod warunkiem, że ten jemu podobnie się odda.

Wedle prawa przyrodzonego wolno mi życie odebrać bliźniemu wtedy, jeśli chodzi o życie moje, a którego inaczej obronić nie jestem w stanie. W takim przypadku za wylanie krwi napastnika nie odpowiada się ani przed sądem ludzkim ani Bożym. Ale honoru w ten sposób bronić mi nie wolno. Inaczej wolnoby mi było szarpiącego mą sławę, lub znieważającego mię czynnie, uśmiercić na

miejscu. Najgorliwsi nawet pojedynków zwolennicy nie przystaną na to, i wedle nich natychmiastowe zabicie potwarcy, oszczercy lub napastnika będzie mordem i niecną zbrodnią. Czyż więc zamordowanie przeciwnika w pojedynku przestanie być zbrodnią? zamieni się w godziwą i szlachetną obronę czci prywatnej, nie obarczy sumienia wyrzutami wylanej krwi brata, ale owszem podniesie zabójcę w oczach własnych i w opinii, i uczyni z niego męża nieposzlakowanego charakteru?“

Czuje to dobrze pojedynkujący się, by więc zmyć ohydę mordu prostego, jakaby spadła po zabiciu przeciwnika, na równej życie swe składa szali, zdaje je w ręce przeciwnika i tą ceną okupuje moc nad jego życiem. Tę chęć zbrodniczą przysłania pozorem niby szlachetnym: możesz i mnie zabić, w równem tobie stawam położeniu w jednakie się wdaję niebezpieczeństwo. Ale czyż to narażenie życia swego ściera z pojedynku zbrodnię zabójstwa? Bynajmniej! W takich warunkach zamach na życie drugiego przestaje być skrytobójczym, nie będzie w nim zdradnego knowania i podstępnego mordu, ale istota zbrodni pozostanie, i wydarcie życia drugiemu będzie zawsze niecnym mordem zarówno zakonem Bożym jak i prawem ludzkiem wzbronionym i potępionym.

To oddanie życia swojego pod razy i moc przeciwnika jest nadto samo w sobie czynem zbrodniczym, jest bowiem targnięciem się na życie własne, którem nikt szafować nie ma prawa. Jeden tylko Bóg, który człowieka życiem obdarza jest wyłącznym panem jego życia i śmierci, przywłaszczenie sobie tego prawa jest wykroczeniem przeciw najistotniejszemu z praw przyrodzonych, przeciw prawu samego Twórcy, zbrodnią zarówno ohydną i ciężką jak zamordowanie drugiego. Tak więc pojedynkujący chcąc uniknąć zbrodni zabójstwa, drugim czynem zarówno niemoralnym, bo narażeniem życia własnego uświęca swą zbrodnię.

Do tej kategoryi pojedynków noszących na sobie piętno dwojakiej zbrodni moralnej, należą także tak zwane pojedynki „do pierwszej krwi“. Umowa bowiem poprzestania na pierwszej krwi nie wyklucza możności ani prawa, żeby pierwszy cios nie był śmiertelnym. Każdy z tem przekonaniem staje do walki, że może swoje życie stracić, lub przeciwnika życia pozbawić. I zamiar, jaki mają nie za-

dawania rany śmiertelnej nie znosi umowy, wedle której każdy z przeciwników swoje i cudze życie na szali miecza stawia.

Z góry zastrzegliśmy się, że nie chcemy oceniać reguł i przepisów pojedynkowych, gdyż zbrodnia pozostanie zbrodnią czy będzie pod wrażeniem chwili, czy też wedle reguł i przepisów spełnioną. Autor jak wszyscy patronowie pojedynku, uważa go za sprawę honorową, co przywraca godność człowiekowi w jego własnem przekonaniu i rehabilituje go w opinii publicznej, ale wtedy tylko, jeśli jest „prawidłowy", tj. jeśli jest prowadzony wedle przepisów przez niego podanych. Strzał chwilę później, zboczenie choćby na krok od wytyczonej linii, przekroczenie najmniejsze baryery — a pojedynek będzie „gwałtem publicznym", „zdradą", „podstępnem morderstwem", „czynem hańbiącym i obrażającym sprawiedliwość Bożą i prawdziwie „honorowych ludzi". To samo już jest najlepszym dowodem błahości powodów, jakiemi uniewinniają pojedynek. Jakto? p. Bartoszewski — Kto zachowa do joty przepisy przez ciebie podane, ten spełni czyn honorowy, a kto od nich na włos odstąpi, ten popełni mężobójstwo? Kto się bije na szpady, ten postępuje po bohatersku, a kto wybiera pojedynek amerykański, ten się dopuszcza czynu niemoralnego, a któż ma prawo, taką cienką granicę między zbrodnią a czynem szlachetnym pociągnąć. Czy moralność lub niemoralność czynu zawisła od widzimisię piszących o pojedynku, lub od opinii czasu i kraju? Każdy widzi, że takie dowolne stanowienie i przenoszenie granic moralności suponuje u wszystkich obrońców pojedynku i w samej jego teoryi dziwną względność w moralności suponuje, że moralność ostatecznie od zmiennych opinij ludzkich zależy. Kto zaś w moralności widzi prawidło bezwzględne, na którem człowiek nawet przeciwko falom opinii opierać się powinien, ten przyznać musi, że skoro pojedynek jest moralnie zły, to go żadna opinia uświęcić, żadne formy i przepisy uprawnić, żadna wrzekoma potrzeba usprawiedliwić nie może.

Ale niejedyna to sprzeczność, w którą p. Bartoszewski popada. „Pojedynek, jak on twierdzi, może tylko mieć miejsce między ludźmi niepokalanego honoru". Z drugiej strony, mówi tenże autor, że prawdziwy zarzut, wzgarda zasłużenie okazana, nie może i nie powinna spowodować pojedynku. W takim więc razie kiedyż będzie pojedynek możliwy? Jeśli zarzut przeciwnika jest uzasadniony, nie wolno

go wyzywać, bo prawdę powiedział, jeżeli zarzut jest fałszywy, również się nie godzi go wyzywać, bo jako kłamca i potwarca nie jest honorowym człowiekiem. Jeśli kradzież materyalna upadla człowieka, czyż targnięcie się na cudze dobre imię, droższe nad bogactwa i mienie, splugawienie swych ust fałszem nie rzuca żadnej plamy na honor. Czy może ten, co mnie bezwinnie ciężko ukrzywdził, co zerwał najświętsze związki krwi lub przyjaźni, co zakłócił spokój domowy, co mężowi wydarł ukochaną nad życie małżonkę, ojcu najdroższe dziecię, czyż to człowiek bez skazy, czy to ma być mąż niepokalanego honoru? Z kimże więc będziesz się pojedynkował?

Wreszcie sam autor nazywa pojedynek złem, złem oczywiście moralnem. Jak więc p. Bartoszewski może utrzymywać, że to zło jest koniecznem i nieuniknionem? Co jest moralnie złem zawsze jest takiem i nigdy koniecznem być nie może. Sumienie ludzkości uznaje, że człowiek powinien raczej życie i wszystko utracić, aniżeli zło moralne popełnić. Mówić więc o konieczności w obec zła moralnego, jest po prostu sprzecznością. I na to szczególną zwracamy uwagę, bo wielka część autorów, co o pojedynku piszą na tem samem stanowisku stoi, uznają w pojedynku zło moralne, nawoływają do wyrugowania go ze społeczeństwa a zarazem nadmieniają, że w pewnych okolicznościach jest nieuniknionem, potrzebnem i t. d. Wieczny relatywizm! nawet w moralności, nawet w sprawie mężobójstwa!

Ale któż te przepisy i reguły pojedynku ustanowił, kto je sankcyonował? Prawa te, mówi autor, uświęcił zwyczaj, a ustaliła opinia publiczna, czyli jednem słowem prawa te od ludzi się wywodzą. A jeśli tak wielkim występkiem jest przestąpienie przepisów dowolnie przez ludzi postawionych, że jest w stanie napiętnować człowieka jako zdrajcę i mężobójcę, jakżeż wykroczenie przeciw prawu przyrodzonemu „Nie zabijaj!“ będzie mogło być rzeczą bezwinną, a owszem prawą i szlachetną? Wszakże występek rośnie w miarę im się wyższe, świętsze, o większej doniosłości prawo przestępuje. A czyż jest świętsze prawo nad to, które jest podwaliną i fundamentem wszelkich ustaw i praw ludzkich, do którego apelujemy, ilekroć chcemy wykazać godziwość lub bezprawie jakiejkolwiek ustawy przez zwierzchność ludzką postanowionej. Jestże jakie prawo o większej doniosłości nad to, które dotyczy samego życia

człowieczego i ochrania je przed zbrodniczym zamachem lub krwawą zemstą wroga?

Ale obok tego, że pojedynek jest podwójną zbrodnią moralną, zdeptaniem jednego z najkardynalniejszych praw przyrodzonych, jest on nadto ciężkiem wykroczeniem przeciw porządkowi społecznemu. Za taki uważają go wszyscy bezstronni. I tak Dr. Rosenblatt w rozprawie swojej o pojedynku mówi: „Pojedynek jest „wyłamaniem się z pod juryzdykcyi sądów przez państwo ustano„wionych, które państwo we własnym interesie musi ukarać, jest „wyrządzeniem sobie sprawiedliwości na własną rękę, którego pań„stwo nie może ścierpieć; jest wojną domową, której państwo musi „zapobiedz. Pojedynek, krótko mówiąc, jest przestępstwem przeciw „wymiarowi sprawiedliwości w państwie, jest zatem w pierwszem „rzędzie przestępstwem przeciw państwu, przeciw porządkowi spo„łecznemu".

W państwie należycie urządzonem nikt nie potrzebuje i nie może praw swoich dochodzić siłą, bo wszelka egzekucya należy do zwierzchności. Ona jedna ma rozsądzać spory i karcić wykraczających. Ale p. Bartoszewski uważa sprawy honorowe jako usuwające się z pod kompetencyi sądów zwykłych. „Sąd jak powiada nie ma „odpowiednych kar na to, co jest właściwie podstawą i powodem „do pojedynku, to znaczy na pogardliwość i obrazę delikatności uczuć" i przytacza zdanie Benthama, „pojedynek „jest uzupełnieniem w prawodawstwie". Innemi słowy, sąd nie może dać odpowiednego zadosyćuczynienia za krzywdę wyrządzoną honorowi. Jakto? czyż orzeczenie zwierzchności ludzi bezstronnych, że ktoś jest niewinnym zarzuconego mu występku, nie równoważy słów jednego człowieka? Czy w samym wyroku sądowym, w napiętnowaniu krzywdzącego honor jako potwarcy, kłamcy, naruszającego spokój publiczny, gwałtownika, nie otrzymuje się moralnej satysfakcyi? „Sąd nie ma kar odpowiednych", a czyż proporcyonalną karą za jedno złośliwe słówko, za skrzywdzenie czynne choćby za policzek, odebranie życia przeciwnikowi, kara śmierci, która się wymierza za największe zbrodnie?

Zresztą jeśli prawodawstwo w tym kierunku jest niedostateczne to potrzeba je ile możności uzupełnić, ale nie można odstąpić od zasady, że prawo sądzenia i karania należy do państwa. Wielu rze-

czy i praw możemy zaprzeczyć państwu, ale monopolu siły dla obrony praw jednostek zaprzeczyć mu nie możemy, państwo choćby chciało, zrzec się go nie może, bo to jest najistotniejszem jego zadaniem według starej i nowej filozofii: od tego państwo jest, ażeby było siłą ku obronie prawa. Nie ma więc nic tak przeciwnego istocie państwa i porządkowi cywilnemu, jak żeby prywatni mogli siłą dochodzić swych praw i karać jedni drugich śmiercią lub ranami. Wszelka ustawa państwowa, któraby pojedynek uprawniała, byłaby tem samem nieważną, bo i prawu moralnemu, jakeśmy wyżej powiedzieli, i samej istocie państwa jak tu widzimy przeciwną.

Jeden jeszcze zarzut mamy przeciw p. Bartoszewskiemu, który pojedynek nazywa instytucyą chrześcijańską, gdyż pochodzi on, jak mówi autor, w prostej linii od sądów Bożych. Nie wdając się w rozprawę, to tylko nadmienimy, że wielu poważnych autorów, zwłaszcza niemieckich, zadaje kłam temu. I tak autor dzieła: „*Das Duell als Emancipation der Ehre oder Beleuchtung des Duels vom geschichthtlichen, moralischen und politischen Standpunkte. Freiburg in Breisgau* 1846, i *Historisch-politische Blätter* 1885. *Stimmen aus Maria-Laach* 1882, wykazują, że pojedynek o wiele późniejszy jest niż dotąd mniemano, że nie sięga nawet germańskiej przeszłości, ale jest raczej płodem XIV. wieku, a formalne jego ukonstytuowanie przypada na wiek XVI. Jakiekolwiek atoli materyalne pokrewieństwo istniałoby między pojedynkiem a ordaliami, stanowczo przeczymy, żeby jakiś element chrześcijański znajdował się jeszcze w pojedynku. Przodkowie nasi w średnich wiekach mieli żywą wiarę w Boga, jako wiecznego Sędziego. Myśl ta, prawdziwa i podniosła, wyrodziła się jednak w opaczne mniemanie, że Bóg już na tej ziemi w każdym wątpliwym wypadku przez swe pośrednictwo wyświeca prawdę i okazuje sprawiedliwość, a to było fałszywe i pogaństwem tchnące mniemanie. Z tych dwóch przesłanek, jednej prawdziwej a drugiej fałszywej wyciągano wniosek, że można pośrednictwo Boże uzyskać przez środki nie mające żadnego związku z prawdą. Takiemi środkami było rzucanie losów, próba ognia lub wody, takim środkiem był wreszcie pojedynek.

Dziś nie myślą o bezpośredniem wkraczaniu Boga w rozsądzenie sprawiedliwości, i przez to resztka podstawy moralnej, na której się wspierał dawny pojedynek, runęła, a pozostało to, co

w tej ustawie było niedorzecznego, niemoralnego, barbarzyńskiego, tj. walka pozostała, a ta niemoralnością o tyle przewyższa ordalia, o ile jest walką nieprawą, przez należytą zwierzchność nie usankcyonowaną, ale czysto prywatną sprawą, pomszczenie osobistego honoru na celu mającą.

Dr. Rosenblatt, kończąc swą rozprawę o pojedynku wyraża nadzieję, „że pojedynek niedługo jeszcze utrzyma się w opinii po„wszechnej, że nadejdzie wreszcie czas, gdzie nastąpi ogólne uznanie, „że pojedynek w czasach naszych jest anachronizmem, że jest za„bytkiem wieków średnich, niemającym dziś żadnej racyi i pod„stawy". Ale kiedy nadejdzie ten czas błogi? Pan Bartoszewski nie wierzy w jego zjawienie. „Chcieć w kraju lub narodzie jakim, po„wtarza za Libeltem, jedności opinii — jest to chcieć niepodobieństwa". Ale doświadczenie uczy nas inaczej. Opinia, kapryśna i zmienna to pani! Jeśli w Anglii, przy współdziałaniu energicznem lordów i oficerów wyższych stopni wojskowych zniknął pojedynek po trzydziestu latach, jeśli w Portugalii pojedynkujący się zamyka sobie wstęp do każdego lepszego towarzystwa, i nawet opuszczonym zostaje od dawnych przyjaciół, czemużby u nas do takiego postępu przyjść nie mogło? O, nastąpi niezawodnie podobny zwrot opinii, jeśli tylko wszyscy ludzie dobrej woli łącznie do wyrugowania tego zła ręki przyłożą. Każdy chrześcijanin powinien go bezwzględnie potępić, każdy nawet prawdziwy filantrop wedle sił swoich powinien w imię humanitarności wojnę mu wypowiedzieć, szczerze i bezwzględnie — a nie dwuznacznie, jak p. Bartoszewski, potępiając pojedynek a zarazem podając jego reguły, mówiąc, że pojedynek zły, a zarazem wykrzykując: „Nic nie zdołało powstrzymać pojedynku, „który w czasie swym i godzinie potrafi przełamać i wywrócić naj„silniejsze zapory... ...Przyjmijmy więc to złe, skoro „jest nieuniknionem".

Z. B.

Księżniczka, powieść uwieńczona nagrodą konkursową, napisała *Zofia Urbanowska*. Kraków i Warszawa nakł. Gebethnera i Wolffa.

Pomysł zdrowy, użyteczny i na czasie; przeprowadzenie powieści treściwe i zwięzłe, styl poprawny, w niejednem miejscu prawdziwego pełen wdzięku, głęboka znajomość stosunków społecznych naszego kraju i niemniejsza znajomość ludzkiego serca; wszędzie prawda, w oczy nieraz boleśnie kłująca pra-

wda, która niejednego czytelnika do żalu i skruchy pobudzić powinna. Czyż po takiej ocenie „Księżniczki“ potrzebujemy dodać, że naszem zdaniem, konkursowa nagroda ku uczczeniu pamięci ś. p. P. Krakowowej, nie mogła w bardziej zasługujące na takie odznaczenie dostać się ręce. Ramy obrazu trafnie i z talentem dobrane. A sam obraz? obraz, jak zwykle bywa z dziełami z pod kobiecego pióra pochodzących, zbyt wyraźnie osobiste zdradza autorki sympatye; stąd pewna w zdaniach i sądach przesada, a w skutek tego, w całej powieści brak proporcyi. Ręką pani Urbanowskiej trzymana waga, gdy ocenia różne warstwy społeczeństwa, zawsze po jednej nachyla się stronie, na czem i rzeczywistość i słuszność uszczerbek ponieść muszą. P. Marcin Orecki, gościnny, serdeczny, dobry i usłużny do ostatnich granic słabości człowiek, przedstawia w książce żywioł szlachecki. Są jeszcze inni na drugim planie szlachcice, nierównie od p. Marcina gorsi. Pani Orecka, wykwintna dama, odznacza się lekkomyślnością, oraz zupełnym brakiem rozsądku i sumienności; mąż jej się trochę boi i w sekrecie przed nią weksle dla przyjaciół podpisuje. W innych moralnych warunkach, byłoby tych na wszystkie strony rozpożyczanych pieniędzy szkoda, u pp. Oreckich nie byłyby one i tak ani w kasie pozostały, ani na dobry poszły użytek. Oboje małżonkowie jedno tylko wspólne mają uczucie miłości dla jedynaczki, ale zarazem i jedno wspólne dążenie — zupełne tejże jedynaczki, posagu i przyszłości zmarnowanie. Mianowanie p. Oreckiego agentem nowo założonego domu komisowego ku wyswobodzeniu właścicieli ziemskich z rąk lichwiarzy, jest żywcem wziętą ilustracyą krajowych naszych stosunków; im kto gorzej swoje własne prowadził interesa, im kto szybciej ku ruinie dążył, tem mu zwykle snadniej przychodzi, wysoki otrzymać urząd w przemysłowej lub finansowej instytucyi. Po pierwszych miesiącach, czy paru nawet latach, zapału i pracy, p. Marcin, z braku ładu w głowie i życiu, oraz z nadmiaru miękkiej ku bliźniemu dobroci serca, interesa powierzonej sobie agentury, do opłakanego doprowadza chaosu, resztę własnego majątku tracąc do szczętu, ku największej radości czyhających na niego Żydów, oraz Niemca, Ofmana. Charakter tego ostatniego, znakomicie przez autorkę *in anima vili* schwycony, również znakomicie utrzymuje się do końca. Oddawna wisząca nad głową pp. Oreckich katastrofa, lada chwila spaść musi; probuje się jeszcze od krewnych i przyjaciół odebrać, w pomyślniejszych czasach pożyczone im sumy; lecz i krewni i przyjaciele (naturalnie, równie jak p. Marcin szlachcice) ani mogą, ani chcą się z należytości wypłacić. W tem to groźnem będąc położeniu, tak dla rozerwania stroskanej myśli, jak i w celu zamydlenia ludziom oczów, a bardziej może jeszcze, ku popisaniu się przed sąsiedztwem śliczną, dobrą, i jak się rodzicom dotąd zdawało, wielce wykształconą córką, sprowadzają dla niej z Warszawy prześliczne ubranie i jadą na bal do brata. Bal ten, w życiu Heleny jedynem będzie wspomnieniem światowych rozkoszy, dla używania których właściwie ją wychowywano. Wróciwszy z balu, zastają wiadomość, że agentura zwinięta, i że nazajutrz przybędzie z Warszawy, urzędnik, w celu odebrania papierów i zlustrowania rachunków. Ostateczny to jest cios, gdyż pp. Oreccy żyli już tylko z pensyi wypłacanej im za prowadzenie agentury. Znajdą się więc nazajutrz w obec niedostatku, co mówię, w obec nędzy!

Lecz od czegoż Opatrzność. Opatrznością zaś, w oczach p. Urbanowskiej, zawsze i wszędzie, dziś i jutro, w każdej życia okoliczności lub potrzebie, jest:

stan miejski; *la haute bourgeoisie*. Otóż, tego stanu miejskiego zacny, bogaty, lecz wielce sztywny przedstawiciel, p. Radlicz, przybywa z Warszawy dla załatwienia sprawy domu komisowego, którego jest pełnomocnikiem. Instynktem szlachetnego serca wiedziona (niewiedzieć doprawdy, skąd jej się takie serce w udziale dostało) zwierza się nieśmiało Helena panu Radliczowi z zamiaru podjęcia się jakiejkolwiekbądź pracy, byle rodzicom przyjść w pomoc. Po rdzennem wyegzaminowaniu do czego jest zdolna, pokazuje się (także na prawdzie osnuta ilustracya), że Helena potrochu uczyła się wszystkiego, ale że nic gruntownie nie umie. Wszelako, ponieważ ma zdolności wrodzone i najszczerszą do pracy ochotę, lituje się nad nią Opatrzność (*vulgo*, p. Radlicz) i zabiera ją z sobą do Warszawy, gdzie jej w swoim domu komisowym daje płatne miejsce i utrzymanie. W domu pp. Radliczów, biedną Helenkę, moralnie i fizycznie w puchu dotąd chowaną, wszystko razi, drażni, boli okropnie, od surowej postaci pani domu zacząwszy, a skończywszy na kawałku szarego mydła na umywalni do osobistego jej użytku przygotowanego. Mydło czemprędzej oknem wyrzuca, ale reszty, mianowicie: pp. Radliczów, ich dwie córki, nad wszelki wyraz niesympatycznego syna, Andrzeja, niegrzeczną służbę, twarde meble, ordynarne potrawy, tego wszystkiego oknem wyrzucić nie można. Zaczyna się więc bezustanna, okropna walka tej biednej rozdelikaconej istoty, ze srogą rzeczywistością, walka, pod ciężarem której byłaby upadła, gdyby nie ciągła myśl o rodzicach (ci, co prawda, nie zbyt się troszczą o tę jedynaczkę, która się im ciągle poświęca). Cała ta część książki z niepospolitym oddana talentem i tylko żałować recenzentowi przychodzi, że nie może niejednego ustępu, niejednej sceny, podać *in extenso*. Ta rodzina, ten dom, gdzie od rana do nocy wszyscy zawsze pracują z wesołem sercem i pogodną myślą, z początku wstręt wzbudzający w Helenie, zwolna wzbudza w niej podziw, potem uszanowanie, wreszcie ogólną, wielką ku nim wszystkim (*inclusive* ku p. Andrzejowi) miłość. Czyż potrzeba dodawać, że ta ostatnia miłość jest wzajemna i że się „rybeńki pobiorą". Cel książki i sens jej moralny, jest apoteoza pracy; zbudzenie, odrodzenie duszy do wszystkiego, co szlachetne i dobre, za pomocą pracy; wreszcie osiągnięcie przez pracę, prawdziwego szczęścia jeszcze na tej ziemi. W polskiej literaturze powieściowej, nie zdarzyło mi się nic lepszego w tym rodzaju przeczytać; w niektórych ustępach dorówna „Księżniczka" sławnej ongi francuskiej powieści Juliusza Sandeau „Madeleine", gdzie także (upadłą tym razem) duszę ludzką, praca, do uczciwości i bohaterstwa doprowadza. Taki hołd oddawszy pannie Urbanowskiej, niech mi wolno będzie i ujemnej strony tej książki z lekka dotknąć. Jest w niej o ile mi się widzi rażący, bo niedokładny podział światła, i jedna warstwa społeczeństwa, stan szlachecki, zawsze pozostaje w cieniu i to w bardzo niekorzystnym dla siebie cieniu; druga warstwa, mieszczaństwo, zawsze na pierwszym świeci planie, w najwspanialszych słońca promieniach. Tu jest błąd i pod względem społecznym, i pod względem artystycznym. Ani szlachta nie jest tak szalona, egoistyczna i ku bliźniemu nieludzka, jak ją nam autorka „Księżniczki" przedstawia; ani stan miejski nie składa się z samych doskonałości, z samych pereł najczystszej wody, bo czyż w rodzinie pp. Radliczów można się spotkać choćby z najmniejszem źdźbłem czegoś nie zupełnie doskonałego? Drugi błąd powieści, innego jest rodzaju, ale nie mniej od pierwszego rażący: Helena, ta szlachetna, i bądź co bądź, pomimo lekkomyślności rodziców, w wykwintych uczuciach wycho-

wana istota, co chwilę popada w nieszczęśliwą ostateczność dowiedzenia się różnych, mniej więcej nieprzyjemnych rzeczy, pode drzwiami. Najmocniej przekonana jestem, że z umysłu podsłuchiwać nie chciała, inaczej i książka straciłaby w oczach naszych całą swą wartość, ale czyż doprawdy nie mogła autorka szkopułu tego ominąć? raz, dajmy nawet, dwa razy w życiu, może się taki nieszczęsny wypadek dobrze wychowanej osobie zdarzyć, ale u „Księżniczki" powtarza się ten wypadek siedm czy ośm razy; to już zakrawa na stan chroniczny.

Zadosyć uczyniliśmy obowiązkom sprawiedliwości, wytknąwszy te dwa mankamenta w książce p. Urbanowskiej; teraz przychodzi nam zakończyć sprawozdanie, tak jakeśmy je rozpoczęli, to jest najszczerszem dla autorki i dla dzieła uznaniem, oraz życzeniem, aby się „Księżniczka" w każdym polskim domu, w rękach każdej polskiej dziewicy znajdowała. Książka, ze wszechmiar na to zasługuje, a że jest przytem niezmiernie zajmująca, nikt się z nabyciem jej ociągać nie powinien. *A. M. L.*

Rys oświaty i funduszów edukacyjnych w Polsce, napisał *Aleksander Bossakiewicz.* Kraków 1886. str. 101.

Kto zwiedziony tytułem, a bardziej jeszcze długiem wyliczeniem rozlicznych źródeł, które wedle upewnienia autora: w tej pracy pomocą mu były, szukałby w tej broszurze jakiego rysu oświaty, czy funduszów edukacyjnych w Polsce, ten gruboby się zawiódł. Wierzymy chętnie, iż autor, a raczej kompilator, miał w swych ręku wszystkie książki, o których wspomina, ale chyba po to tylko, aby z każdej na chybił trafił wyciągnąć parę zdań, zmieszać je później, mniejsza o to w jakim porządku, a następnie dziwny ten, żadnym niemal wspólnym węzłem niezłączony amalgamat, opatrzyć własnem imieniem i puścić na los szczęścia w handel księgarski. Już pierwsze piętnasto wierszowe zdanie o człowieku „dzikim osobniku w stanie pierwiastkowej natury swojej", ostrzega czytelnika niemożliwą swą składnią i niezrozumiałymi zwrotami, aby dalszych kartek nie przecinał; za to też, ale wyłącznie za to ostrzegające zdanie, należy się p. Bossakiewiczowi wdzięczność. Na następnych kartkach czytamy szerokie poglądy o Grecyi, Babilonie i Rzymie; o arytmetyce i kuchni polskiej o bardzo dobrych Jezuitach i bardzo złym ich wpływie; o Pijarach i potomkach Hunnów; długie jakieś rozporządzenie Walentyniana Starego a obok dowcipne słówko Zamojskiego; historye powstania Prus i rozkład godzin szkolnych za czasów W. Księstwa Warszawskiego; słowem, kto chce wiedzieć, jak się jakiej książki kompilować nie powinno, temu śmiało polecić można broszurę p. Bossakiewicza.

Pod koniec zapewnia autor, iż rok przeszło czasu poświęcił gromadzeniu materyałów i pisaniu swej broszury. Jeśli tak jest rzeczywiście, radzimy mu szczerze, aby na przyszłość pisaniem się nie męczył; widocznie idzie mu ono trudno, a prawdziwie szkoda fatygi, czasu i atramentu. *B.*

Dziedzic na pustkowiu. Powieść przez *Fr. Ksaw. Tuczyńskiego.* Poznań 1885.

Brzmiące przeciągłem echem słowa ks. Bismarka wypowiedziały zagładę imieniowi polskiemu, wywołując pewne zdziwienie w Europie mało znającej

istotny stan rzeczy. Dla wielu zaś z pomiędzy nas były one nowem przygniatającem brzemieniem, istnienia którego nie domyślaliśmy się wcale. Wina to jednak naszej nieświadomości, gdyż wyrzeczony z rozmyślnym naciskiem werdykt Żelaznego księcia dawno znalazł już wykonawców w pruskich kolonistach, którzy wyłudzeniem i demoralizacyą wypierali z ojczyzny biedny ludek Boży, na równinach wielkopolskich osiadły.

Odmalowanie walki tej znajdujemy w książce p. Tuczyńskiego, oddającej jak szyby zwierciadlanych owych jezior, po nad któremi toczą się opowieści jego, życie kmiotka pełne usiłowań, aby odepchnąć ów germanizacyjny żywioł, zalewający dawną lechicką ziemię.

Piękna praca p. Tuczyńskiego, nosząc na tytułowej karcie miano powieści, wymogom jej nie odpowiada zupełnie, akcya bowiem bohaterów niewyraźna, ledwie odnaleść się dająca wśród obrazów szerokich a poczutych z miłością, rodzi rój głębszych myśli.

Położenie kraju, nad którym cięży żelazna ręka przemocy i charakterystyka ludu bogobojnego i prawego, pochłaniają całą niemal uwagę czytelnika. Przygody zaś Frącka, zapierającego się za namową Niemca kolonisty wiary ojców i mowy rodzinnej, równie jak serdeczne dzieje Jagusi, o tyle zajmują czytelnika, o ile one się wiążą z całością opowiadania w którem rozbite jej szczęście jest cząstką demoralizacyjnych spraw kolonisty, który ojca jej obdziera, rozpaja i podpala, wyłudzając na kwitki a następnie na hipotekę, skropioną potem przodków ojcowiznę.

Po wielu bolesnych rodzinnnych przejściach, Frącek jak syn marnotrawny powraca do domowego ogniska: poczciwi Dężowiacy wydobywają kalety i wykupują sąsiadowi zagrabioną przez Niemca ojcowiznę — kolonista nawet napakowawszy swoją kiesę, znika pokryjomu z sioła; niedola jednak i ból Jagusi tak głęboko zapadają w duszy, że to cząstkowe zwycięstwo nie starczy czytelnikowi, któremu autor szerszy a tęskny ukazał widnokrąg.

Pomimo jednak powyższych zarzutów, jako powieści, praca p. Tuczyńskiego nie traci wcale na wartości. Autor *Dziedzica na pustkowiu*, nie uciekając się do efektów zapożyczonych z cudzoziemskiej literatury, rzeźbi postacie pełne prostoty i wdzięku, a nie szukając dla nich idealizującej krasy, umiał w tychże swojskich typach odnaleść tę nić poetyczną, która z prawdy tylko wysnuć się daje.

Dwuletnie prawie dzieje polskiego sioła opowiada nam p. Tuczyński językiem poprawnym, ale właściwym w ustach polskiego kmiecia, a myśl poważna i prawda wpleciona w opowiadanie spokojne i równe, rozlewają wdzięk na całą pracę, zniewalając czytelnika, aby przewróciwszy ostatnią kartkę, myślą nieraz jeszcze do książki powrócił. *M. S.*

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Z dziedziny historyi kościelnej w r. 1885. Poważanie literatury jakiegoś narodu przez postronne ludy, choć nie jest miarą jej znaczenia, zawsze jednak jest niemylną oznaką wielkiej jej war-

tości. Historycznym dziełom niemieckiej literatury trudno odmówić uznania. Nie mniejszej od nich wartości są dzieła we Francyi wydawane. Nad jednemi i drugiemi się zastanowimy głównie, bo badaczom historyi kościelnej najbardziej te języki są znane.

Żaden okres nie był tak obfity w dzieła źródłowe, jak nasz. Na pierwszem miejscu przytaczamy dzieło, wydane staraniem wydawcy Bolandystów p. t.: *Sacrorum Conciliorum nova et amplissima collectio, quam edidit Mansi* (V. Palmé. Berlin i Paryż). Olbrzymie to a nader ważne dzieło dotąd prawie niedostępnem było dla teologów, kanonistów i historyków, gdyż i trudno było się z niem spotkać i nie łatwo je nabyć dla wysokiej ceny. Nowe to a zupełne wydanie konciliów jest pierwszem po 1759 r., w którym po raz ostatni wyszło. Jestto reprodukcya fotolitograficzna w 31 tomach. Nowem zupełnie źródłem historycznem są *regesta* papieży. Kiedy Jaffé, za którym poszli inni pod kierunkiem Waltenbacha, wydawał w Berlinie swoje *Regesta Pontificum Romanorum ab condita Ecclesia*, musiał się ograniczyć na materyale, jaki mu dostarczały książki już drukowane, dzisiejsi atoli wydawcy w nierównie korzystniejszem znajdują się położeniu, gdyż mogą wprost czerpać z archiwów papieskich. Pierwsza część nowej edycyi ukazała się już dawniej za staraniem Kaltenbrummera, który się do tej pracy przez studya chronologiczne i dyplomatyczne dostatecznie przygotował. Część drugą (od str. 590 do 882) wydał Ewald zaszczytnie znany z badań w *Britisch Museum* i prac w dziele *Monumenta Germaniae*. Szczególniej zajmujące są regesta Grzegorza I. tak, że w pobieżnym nawet przeglądzie regestów dostrzega się jego niezwykły talent administracyjny, co troszczy się zarówno o wielkie jak i o drobne rzeczy i jednym i drugim podołać potrafi. Porównując z pierwszem wydaniem widzimy, że liczba listów Grzegorza wzrosła o 46. Jan VIII. liczy zamiast 372 aż 433 numerów. Zaiste, trud wielki jakiego podjęli się wydawcy, ale i niemała zasługa, jaką sobie zjednali.

Nie mniejszej doniosłości, choć nie tak żmudnej pracy jęli się ci, którzy w wydawanych przez się regestach papieży mają przystęp do aktów watykańskich. W pierwszym rzędzie stoi drugi kustosz watykańskiego archiwum: *O. Palmieri O. S. B.* Wydał on: *Manuductio ad Vaticani Archivi Rom. Pont. Regesta. Romae.* Papieskie regesta liczące ogółem 2019 rozdziałów, poczynają się od

Inocentego III. a sięgają aż do Piusa V. Druga serya obejmuje czasy Jana VIII. i Grzegorza VII., pontyfikat Sykstusa V. i Klemensa VIII. Od czasów Sykstusa V. właściwe regesta ustają, gdyż tenże ustanowił 15 kongregacyj, między które akta rozdzielono. Co za niepowetowana strata, że archiwum założone zaraz po edykcie Konstantyna Wielkiego utraciło najdawniejsze akta!

Wszystkie niemal narody zabrały się do wydawania pojedyńczych regestów, skoro Ojciec św. bullą *Proprio motu* z 13 sierpnia 1883 otworzył archiwum watykańskie. Pięciu Benedyktynów, a pomiędzy nimi dwóch Morawców, pracują nad regestami Klemensa V., które 10 tomów obejmują. W pierwszym roku wydano 1.146 regestów. Do tego trzeba dodać *Reg. litterarum de Curia primi anni Clementis V.* (1147—1153) i *Reg. litter. commun.* (1147—1512). Obok państwowo-prawniczych stosunków, pierwszą gra rolę w tych regestach prawo beneficyów i prawo o małżeństwie. Z Francyą w tych regestach współzawodniczy Anglia. Węgierscy biskupi wydali w dwóch tomach *Monumenta Vaticana Hungariae* (Buda-Pest), które są dalszym ciągiem Theinera: *Vetera monumenta historica Hungariam sacram illustrantia* (Romae 1859). Pierwszy tom zawiera 135 depesz kardynała Campeggio i Barona de Burgio, z których pierwszy bawił w Węgrzech jako nuncyusz od grudnia 1524 do czerwca 1525, drugi od 1524 do 1526. Trzech ważnych kwestyj dotyczą te dokumenta, wyjaśniają bowiem zatargi Polski z Prusami, połączenie czeskich utrakwistów z Kościołem i obronę Węgier przeciw Turkom. Znakomita zwłaszcza jest krytyka wewnętrznych stosunków Węgier. Drugi tom również jest nader ciekawy dla historyi kościelnej Polski. Odnosi się on do czasów 1307—1311 i zawiera 88 dokumentów, szczególnie z czasów legacyi kardynała Gentile, w którego zakres działania wchodziła Polska, Galicya, Serbia, Kroacya i Dalmacya. Wielkiego dla Polski znaczenia jest zakaz zawierania związków małżeńskich z grekami nieunitami, wydany 8 maja 1309 r., a następnemi umotywowany słowy: *Sicut didicimus ab experto, viri ab unitate fidei catholici separati uxores suas, quantumvis catholicas, instigante diabolo, ad infidelitatis errorem trahunt potius quam trahuntur.* Francuska *Ecole de Rome* publikuje regesta wielkiego kanonisty Inocentego IV., Benedykta XI. i wielkiego Bonifacego VIII. Ciekawem jest to, że właśnie Francuzi wydają Bonifacego

VIII. Na czele szkoły niemieckiej stoi archiwaryusz Stolicy papieskiej, kardynał *Hergenröther*. Oddawna zajmował się ten książe Kościoła pracami wstępnemi. Chodziło tu o okres, który nawet katolicy zbyt czarno przedstawiali, mianowicie o czasy Leona X. (Freiburg). Według tego, co już posiadamy, możemy tylko przyklasnąć słowom kardynała: *Leonis X. litterae et documenta probant, quantum ei cordi fuerit religionis sacrae tutandae, conservandae et amplificandae studium quantum decorem domus Dei dilexerit et candorem animarum quovis externo splendore adhuc pretiosiorem.* Jak olbrzymiem było pole, na którem papież działał, pokazuje się z tego, że zeszyt I. C. (od 19 marca do 30 kwietnia 1513), obejmujący sześć tygodni, liczy aż 2.348 numerów. Między ukazaniem się pierwszego i drugiego zeszytu odkryto przy ponownem porządkowaniu archiwum 120 tomów z dokumentami, których zbadaniem obecnie się zajęto. Dotąd ukazały się trzy zeszyty, obejmujące w 6.036 num. dziesięć miesięcy. Całość będzie liczyć do 50.000, na które złożą się 869 tomów. Jak wiele zyska na tem osoba Leona X.! Tu w całym blasku jaśnieje jego pobożność i pokora, tu starania jego podjęte w celu odwrócenia grożącego niebezpieczeństwa ze strony Turków, zabiegi o zjednanie Czech Kościołowi, czwarty sobór Lateraneński, dają miarę jego pasterskiej działalności. Do dzieł źródłowych zaliczyć także wypada: *Monumenta saeculi XVI. historiam illustrantia,* przez Balana (Innsbruck). Pierwszy tom zawiera listy Klemensa VII. Listy te przywracają honor okrzyczanej polityce papieża. Klemens dwojaki miał cel na oku: niepodległość Włoch i stanowisko papieża jako ojca wszystkich chrześcijan. Nim przejdziemy do opisów historyi kościelnej, wymienimy jeszcze jedno dziełko, małe wprawdzie co do objętości, wielkiej jednak wagi co do treści: *Documents relatifs aux Eglises de l'orient et a leurs rapports avec Rome par Adolphe d'Avril. Avec tableau synoptique de ces Eglises unies et non unies* (Paris). W dziele tem mamy nietylko zupełny zbiór odnośnych dokumentów od Jana VII. aż do Leona XIII., ale nadto zawiera ono dosyć dokładny przegląd dzieł tym przedmiotem się zajmujących.

Historyę Kościoła podaje nam kardynał *Hergenröther* w wydaniu trzeciem. Jestto bezsprzecznie najlepszy podręcznik jaki posiadamy w nowszych czasach. Nowe wydanie zostało przerobione

w kilku miejscach, i tak: literatura znajduje się w tekście a nie w osobnym tomie, a niektóre kwestye zostały uzupełnione. Istotnych zwłaszcza zmian doznały wieki średnie i nowożytne. We francuskiem tłumaczeniu niestety znajdują się dodatki, nie zgadzające się z myślą autora i zeszpecone wielu błędami. O wiele mniejszym jest „Podręcznik historyi kościelnej“ przez *Dr. H. Brücka*. Stanowisko ściśle kościelne łączy z poglądowym wykładem. Wykaz autorów wprawdzie nie obfity, ale wyborowy. Książka ta przyjętą została we wszystkich katolickich fakultetach Niemiec. Współzawodnicząca z nią *Lehrbuch der Kirchengeschichte von Dr. Kraus* odznacza się lepszym może jeszcze systemem, (po części z luterskiej historyi kościelnej Kuntza przejętym), lecz nie może liczyć na prędkie rozpowszechnienie, gdyż musi wprzód od rzymskiej kongregacyi Inkwizycyi uzyskać aprobatę na trzecie wydanie. Jeśli w tem nowem wydaniu dzieło to równie przepełnione będzie jadem liberalizmu, jak poprzednie, to umieszczą je (według uchwały z marca 1885 r.) na indeksie i nowe wydanie nie przyjdzie do skutku. W łacińskim języku ukazała się: *Historia ecclesiae catholicae* (Olomucii vol. I.) Autor Dr. Jos. Kupallik, chlubnie jest znany z dzieł o św. Cyrylu Aleksandryjskim, jako i z drobniejszych prac historycznych o dyecezyi Wiedeńskiej. Dzieło to sięga aż po koniec pontyfikatu Inocentego VIII. (1303). Podział okresów niezły, choć autor chrześcijańskie wieki średnie zaczyna od r. 800. Bo też i cały rozwój chrześcijańskich wieków średnich obraca się przeważnie koło stosunku *imperium* do *sacerdotium* (Hergenröther I. 506). Na szczególne uwzględnienie zasługuje wymowne podniesienie zasług Kościoła na polu cywilizacyi, wyliczenie zaś kilkuset synodów reformacyjnych jest rzeczą nową i na czasie. Co się tyczy rozkładu, lekkości stylu i dokładności, zasługuje ono na pierwszeństwo przed Vascolti'ego: *Historia ecclesiastica* (Viennae. IV. edit.). Znana: *Geschichte der Kirche* przez Rohrbachera, występuje w samodzielnem opracowaniu. Przeszłego roku wyszedł tom XVII., obejmujący czasy od św. Bernarda aż do Inocentego III., czyli drugą połowę XII. wieku. Niemieckie opracowanie tego tomu przez Dr. Netelera, na pierwszy rzut oka okazuje się owocem obszernych i samodzielnych studyów.

Dissertationes selectae in Historiam ecclesiasticam auctore Bernardo Jungmann, wydanie w Ratysbonie u Pusteta, przerzucają

nas na pole monografii. Dzieło historyczne, jeśli chce dopiąć swego celu, powinno dzieje kreślić jasno i zajmująco, nic go tak nie szpeci jak fałsz, suche traktowanie i zboczenie od przedmiotu. Celem rozpraw historycznych jest wyjaśnienie ciemnych i zawiłych kwestyj i podniesienie wartości nowych odkryć i wynalazków. Cały zbiór podobnych rozpraw można znaleść w niniejszem dziele, którego tomy IV. i V. niedawno prasę opuściły. Tom czwarty zaczyna się od wyliczenia papieży w wieku X. Najpiękniejszą jest praca o Grzegorzu VII., którego cel trafnie określa: *Ut sancta Ecclesia, sponsa Dei, ad proprium rediens decus, libera, casta et catholica permaneret.* Tom piąty mówi o stanie Kościoła w pierwszej połowie XII. wieku. Oprócz wypraw krzyżowych jest mowa *de donatione constantiniana.* Prawdziwą perłą tego tomu jest historya Innocentego III.

Dzieło J. Laines'a: *Disputationes Tridentinae. Ad manuscriptorum fidem edidit et commentariis historicis auxit. Grisar S. T.* (Oeniponte), należy po części ze swej treści do dzieł źródłowych, po części do monografij z powodu cennych rozpraw, które się w niem znajdują. Niewiele dotąd drukowano prac Lainesa, bądź dlatego, że w manuskryptach jego znachodzi się wiele niezrozumiałych skróceń, bądź, że autor nie miał czasu wszystkiego należycie uporządkować. O. Schrader miał już kilka dziełek jego wydać. Z jego rozpraw na szczególniejszą zasługuje uwagę: *De origine iurisdictionis episcoporum, et de Romani Pontificis primatu.* Partya hiszpańska z galikańską postawiła na soborze Trydenckim tezę, że biskupi posiadają juryzdykcyę z prawa Bożego. Zdawało się, mówi Paleotto, że ta sprawa nigdy się nie skończy (Theiner II. 640). O dumę Jezuitów, którzy wystąpili przeciw tej tezie oskarzano, a O. Laines nieraz musiał słuchać jak go nazywano heretykiem. Tu znajduje się cała jego mowa z 20 paźdz. 1562, o której twierdzi jeden z naocznych świadków: *Lainez solus totam Synodum occupavit.* W dodatku podaje p. Grisar całą korespondencyę między św. Karolem Boromeuszem a legatem Stolicy papieskiej, odnoszącą się do tej sprawy, z której Palavicini zamieścił tylko wyjątki. W drugim tomie znajdują się ważne poglądy O. Lainesa o Komunii pod dwiema postaciami, jego wykłady do Hugenotów, i rozmaite tychże żądania. Inne też ważne do soboru się odnoszące sprawy są tu traktowane tak np. kwestya, w której chodziło, czy sobór Trydencki ma dalej trwać,

czy też nowy należy zwołać, co tem ważniejszem jest, że o tej rozprawie w obecności samego papieża odbytej, ani Pallavicini, ani Sackel nie wspominają.

Niemniej ważne są: *votum* o odpustach wystosowane do Piusa IV. (1564) i drugie *de iustitia imputata*. Nadto w niniejszem dziele podaje Grizar wiele dokumentów odnoszących się do Lainesa, jego działalności i dzieł teologicznych. Dzieło to znakomicie wzbogaca historyę soboru Trydenckiego, a choć niełatwą było rzeczą zebrać te akta, mimo to wydawca wywiązał się znakomicie z tego zadania.

Inny znowu członek Tow. Jezusowego O. Nilles, wydał dla uczonego świata część III. *Kalendarium manuale: Symbola ad illustrandam historiam ecclesiae orientalis in terris coronae S. Stephani* (Oeniponte). Nas zwłaszcza obchodzi szkic historyczny *Historya unii Rumunów, Serbów, Rusinów i Ormian*. Z mrówczą iście pilnością zebrał tu autor nieskończony prawie szereg dokumentów rozjaśniających historyę Greków-unitów w obrębie Węgier. Liczne zarzuty podnoszone przeciw Jezuitom, jakoby chcieli pozbawić Greków ich obrządku, są tu należycie odparte. Około Serbów kardynał Kolonich, jakoteż troskliwy o dobro dusz O. Rawasz S. J. niespożyte położyli zasługi. I przy unii Ormian i Rusinów gra Kolonich niemałą rolę. Jedynie długoletnie studya w archiwach umożliwiły dokonanie podobnego dzieła. Porzuciwszy Węgrów napotykamy dzieła *O. Pierling'a S. J.* p. t.: *Le Saint Siége, la Pologne et Moscou* (1582—1587), (Paris), które jest niejako dalszym ciągiem dzieł, które dawniej się ukazały: *Rome et Moscou* (1547—1579); *Un Nonce du Pape en Moscovie*. O. Załęski w artykule: *Wojenne plany Stefana Batorego*, korzystał z powyższych dzieł, a stąd obeznał dostatecznie z niemi czytelników.

Zwróćmy się do Prus, *Lehmann* wydał swego dzieła: *Publicationen aus preussischen Staatsarchiven* tom XVII., który nosi tytuł: „Prusy i kościół katolicki od roku 1640. Część V. Fryderyk II." Smutny to obraz nieprzyjaciela wszystkiego, co należało do kościoła katolickiego. Z wydanych dotąd aktów Lehmanna najważniejsze punkta zestawił *J. Bachem* w cennem dziełku: *Preussen und die katholische Kirche* (Köln). Po raz pierwszy rozwija się przed nami całkowity obraz tradycyonalnej polityki pruskiej od czasów reformacyi aż po dni nasze. Przedmiotem pierw-

szego ustępu jest czas od przejścia Joachima II. na protestantyzm aż do wcielenia Szląska do Prus. Przez zdobycie bowiem Szląska ludność katolicka Prus ośm razy się zwiększyła, a Prusy dostały po raz pierwszy biskupa katolickiego. Drugi ustęp poświęcony jest zupełnie Fryderykowi II., trzeci walce religijnej, począwszy od kolońskich zamieszek aż po dziś dzień. Najlepszą częścią dzieła jest skreślenie kulturkampfu. Dzieło to przetłumaczono już na język francuski i włoski.

We Francyi nigdy nie brakło specyalnych historyj kościelnych. *Henault* opisuje *Origines chrétiennes de la Gaule Celtique* (Paris). Oddawna budzi zajęcie kwestya apostolskiego początku kościoła galijskiego. Że chrześcijanizm w Gallii od czasów apostołów liczył wiernych, nie ulega wątpliwości, ale czy był to kościół? Henault zwraca się przeciw tym, którzy powstanie tegoż odnoszą do połowy III. wieku. *Histoire du Protestantisme et de la Ligue en Bourgogne* (Auxerre), to tytuł dzieła *P. M. Baudein'a*. Szczególne zajęcie budzi Noc św. Bartłomieja w tej prowincyi. W dwa dni po 24 sierpniu 1568 r. zjawiają się tajemniczy posłowie z Paryża, którzy podają się za tajnych wysłańców króla nakazującego ogólną rzeź protestantów. Gubernator Charny nie dowierza im i zwleka z wykonaniem. Wkrótce otrzymuje w istocie list Karola IX. z poleceniem, by prowincyę ustrzegł od podobnych zaburzeń, jakie wstrząsnęły stolicą. Polityka więc dworu była chwiejną, informacye sprzeczne, pogłoski więc o długich przygotowaniach do nocy św. Bartłomieja żadnej historycznej nie mają podstawy. Inną część tej walki z protestantyzmem opracowuje *H. de la Garde* w dziele: *Le duc de Rohan et les Protestants sous Louis XIII.* (Paris). Polityczna egzystencya protestantów kończy się w Francyi dopiero z rokiem 1629 przez pokój w Alais. Bohaterem trzech poprzedzających wojen był książe Rohan, którego ambicyą było aby zostać postrachem.

Edykt Nantejski najzupełniej zadowolnił żądania protestantów. Gdy ci się jednak chcieli narzucić za panów narodowi na wskróś katolickiemu, sami sobie zgotowali upadek. Roku 1621 postanowili protestanci zburzyć wszystkie dla siebie niedogodne kościoły katolickie. Szkoda wielka, że autor nie zawsze wymienia źródła, z których czerpał. Po protestantach następują we Francyi Janseniści, których historyę podaje nam *Mgr. Ricard* w dziele: *Les premiers Janséni-*

stes et Port Royal (Paris). Dzieło to zawiera wiele rzeczy zupełnie nowych, nie zawsze jednak czerpie z dobrych i pewnych źródeł. I styl, jak na dzieło historyczne zanadto polemiczny i gwałtowny.

Prawdziwie benedyktyńską pracą jest: *Pouillé historique de l'ancien diocèse de Vannes par l'abbé Luco* (Vannes). Po dziesięciu latach mozolnej pracy dojrzał ten owoc. Zawiera on historyę wszystkich probostw, ich duszpasterzy i wybitne zdarzenia. Biograficzne notatki sięgają poważnej liczby 3000. Pierwsze miejsce jednak pomiędzy francuskiemi dziełami zajmuje *Kervyn de Lettenhove*, który wydał IV., V. i VI. tom dzieła swego: *Les Hugenots et les Gueux* (Bruges). Z szóstem tomem ukończył olbrzymie dzieło, obejmujące wprawdzie tylko 25 lat, ale takich, któreby w innych czasach co do ważności i liczby wypadków odpowiedziały całemu wiekowi. Wykonanie odpowiada też najzupełniej ważności zadania i zjednało mu pochwały uczonych całej Europy. Główną jego zaletą jest to, że każdą rzecz umieszcza na swojem miejscu i że na wszystko zapatruje się z jednego a wysokiego punktu widzenia.

Nigdy tak dobrze nie przedstawiono dziejów prześladowań w pierwszych wiekach we Francyi, jak w dziele *O. Allarda* p. t.: *Histoire les persécutions pendant les deux premiers siècles* (Paryż). Prześladowania te trwały od r. 64—313, a więc lat 249, z których 129 przypada na same prześladowania a 120 na przerwy między niemi. A więc w pierwszym wieku było 6 lat prześladowań, 86 w drugim, 24 w trzecim, 13 w czwartym. Jakaż więc była przyczyna tak licznych ofiar? Autor wykazuje, że nie polityka, którą chrześcijaństwu niektórzy niesłusznie zarzucają, że tworzyło niejako państwo odrębne w państwie, ale oszczerstwa, nienawiść i chciwość Żydów i pogan. Allard w ogóle opiera się na archeologicznych odkryciach w katakumbach, i aktach męczenników, dzieło jego nie zawiera wiele nowych rzeczy, ale podaje je w nowej i powabnej formie. Jako monografie w swoim rodzaju, które obiecują być dla badaczy historyi kopalnią ciekawych wiadomości, można słusznie uważać historyę pojedyńczych zakonów. Kapucyni wydali w roku 1711 kronikę sięgającą po rok 1636, której dalszy ciąg ma się obecnie pojawić. Wyznaczony dla prowincyi szwajcarskiej annalista *O. Pius* rozpoczął pierwszym poszytem dzieło: *Chronica Provinciae Helveticae Ordinis S. Fr. Capucinorum* (Solothurn). I zakon Kaznodziejski pracuje nad

swoją historyą. Z ich pomocą wypracował *C. Donais* pierwszy tom: *Essai sur l'organisation des études dans l'ordre des frères Precheurs au XIII. et au XIV. siècle*, 1216—1342, (Paris). Najciekawszą jest część druga, zajmująca się podziałem i przedmiotem studyów. Nie zamilczał też autor o opozycyi, jakiej doznawał św. Tomasz od r. 1276 w filozofii, a którą jedynie powaga zakonu usunęła, w którym też czasie św. Tomasz począł w szkole dominikańskiej zastępować Piotra Lombarda.

Zamknijmy wyliczanie monografij dziełem, które nie mogło być bardziej na czasie jak dziś: *Ratzinger: Geschichte der Kirchlichen Armenpflege.* (Freiburg). W pierwszej części przedstawiona opieka Apostołów nad gminami, z której w skutek prześladowań wyrodziła się piecza nad ubogimi po domach, a w czasach pokoju Kościoła od Konstantyna, opieka po zakładach. Powstanie probostw w Galii i idąca za tem zmiana w zarządzie opieki nad ubogimi, stanowi początek części drugiej. Z początku opieka gminna (Karolingowie), potem opieka panów nad ubogimi (aż do Hohenstaufów), następnie opieka klasztorna i korporacyjna (do reformacyi). W nowszych czasach wytworzyła się obok wielkich reform kościelnych i świetnego rozwoju dobrowolnej opieki nad ubogimi, opieka przymusowa. Dzieło to dowodzi, jak w kościele żył duch Chrystusowej miłości, opartej na jego przykładzie, a który tak wiernie Kościół przechował.

Historya kościelna potrzebuje obok ogólnej historyi i monografii nadto życiorysów, a to z powodu szczególnej roli, do jakiej powołani są w Kościele święci, by być patronami i wzorami dla innych. Na pierwszem miejscu wymieniamy dzieło brewem Ojca św. zaszczycone: *Saint Gregoire de Nazianze*, par Benoit (Paris). E. Bonnejoy napisał życie św. Iwona, według rękopisu z XIV. w. (St. Brien), podczas gdy *Verlague* zajął się żywotem św. Ludwika, biskupa z Angers, czerpiąc z nieznanych dotąd dokumentów. Autor obznajomiony jest z historyą, gdyż niespełna przed dwoma laty wydał: *Jean XXII. sa vie et ses oeuvres.* Manuskryptem z którego Verlague korzystał, jest dzieło spowiednika Ludwika św., Jana de Orta. Uszło ono uwagi Bolandystów. Żywot św. Karola Boromeusza znajduje się w kilku opracowaniach; żadne jednak z nich nie posiada historycznej wartości. Inaczej się rzecz ma z życiorysami osobistości, znanych w historyi kościelnej. *Gasparo Contarini*, przez Dittricha

(Braunsberg), jest szkicem skreślonym na podstawie zebranych przez autora we Włoszech, niedrukowanych jeszcze materyałów. Contarini jest równie wielkim jako dyplomata morskiej republiki weneckiej i jako pisarz teologiczny. Z całego tego ciekawego dziełka wspomnieć warto o posłuchaniu Contarini'ego na dworze Klemensa VII., podczas którego obaj wzajemnie objawili sobie swoje poglądy o ważności świeckiej władzy papieżów. Podczas gdy mistycznie usposobiony Wenecyanin żąda zupełnego zrzeczenia się takowej, Klemens obstaje za jej koniecznością. Klemensa VII. jednak za surowo sądzi autor. Niezmordowany badacz historyi Kościoła w Anglii, który niedawno napisał historyę kościoła szkockiego w dwóch grubych tomach, *A. Bellesheim* wydał bibliografię: *Kardynała Allen* (1532—1594). Był to człowiek, którego Opatrzność obrała, by podtrzymać Kościół w Anglii. Planem jego było przywrócenie katolickiej dynastyi i całego kraju do wiary katolickiej. Tymczasem założył seminaryum w Douon dla wykształcenia angielskich księży. Inny Anglik Wiclef, obchodził w tym roku 500 rocznicę; Ruddesing, wybitny badacz Wiclefa, uczcił go dziełem: *Joh. Wiclef und seine Zeit* (Götha), poprzednio wydawszy jego dzieła. Dwa fakty szczególnie w niem uderzają: cała rodzina Wiclefa pozostała wierną religii katolickiej i od lat dziesiątka odprawia się w Lutterworth, probostwie Wiclefa Msza św.

Chociaż Janssena dzieło: *Geschichte des deutschen Volkes* nie ma tytułu historyi kościelnej, to przecież słusznie tamże zaliczonem być może. Chociaż o niem mówić nie będziemy, to w literaturze historyi kościelnej nie można się bez niego obejść. Kiedy Janssen rozpoczyna walkę z całą reformacyą, wydaje Evers biografię Lutra. Listy Lutra wydał już z początkiem tego wieku De Wette, lecz nikt sobie dotąd pracy nie zadał skreślić Lutra własnemi jego słowy. Wcale to nie przyjemny obraz, który nam *Evers* podaje w dziele: *Martin Luther* (Mainz). Do życzenia byłoby, żeby się Evers nie był przejął tym tonem, w jakim po większej części pisane są same listy. Również inne postacie z czasów reformacyi jak np. Filip heski doczekały się obszernych biografij.

Działalność na polu historyi kościelnej w r. 1885, jak się to z tego krótkiego przeglądu okazuje, była bardzo ożywioną i wyka-

zała prawdę słów Ojca św., że Kościół i papieże zyskują, gdy się historyą ich pisarze zajmują. *A. Arndt.*

Pamiętniki Wasyla Łużyńskiego, archiepiskopa Połockiego, *wydanie akademii duchownej kazańskiej,* Kazań 1885 in 8-o maj. str. 312. Cena $1^1/_2$ rs

Wasyl Łużyński, pomocnik Siemaszki w sprawie zjednoczenia kościoła unickiego z panującem w Rosyi wyznaniem, miał się rodzić pomiędzy rokiem 1788 i 1789 na Białej Rusi i był synem unickiego księdza, parocha w Starej Rudni w powiecie Rohaczewskim; uczył się najprzód w świeckich szkołach, później w seminaryum unickiem, które otworzył arcybiskup Herakliusz Odrowąż Lisowski, a nakoniec był w t. z. głównem seminaryum w Wilnie i w r. 1819 został kapłanem i jednocześnie komisarzem *ad latus* biskupa Krasowskiego, którego gorliwie bronił w jego znanych zatargach z duchowieństwem. Po roku 1833, gdy Metropolicie Bułhakowi powierzono zarząd archidyecezyi Połockiej, to on posłał Łużyńskiego w charakterze swego administratora do Połocka. Lecz już w 1834 r. otrzymał sakrę, jako biskup Orszański i sufragan Białoruski. W sześć lat potem Łużyński przyjąwszy prawosławie został episkopem, (następnie archiepiskopem) Połockim i Witebskim już panującego wyznania, i dotrwał na tem miejscu do roku 1866; umarł w Petersburgu 1879. Pamiętniki swoje napisał w roku 1866 i rękopis darował 1871, kazańskiej duchownej akademii, która teraz wydała go swoim kosztem.

Autor Pamiętników powiada, że w interesie prawdy wziął pióro do ręki, aby skreślić dzieje zjednoczenia kościoła unickiego z prawosławiem na Wołyniu i Białej Rusi, i wykazać że w tej sprawie nie należy wyłącznej zasługi przypisywać Siemaszce, który podług autora, działał tylko na Litwie, polem zaś czynności autora była Białoruś i Wołyń. (Jak wiadomo, Siemaszko bardzo sobie lekceważył te czynności Łużyńskiego). Pamiętniki Łużyńskiego można podzielić na dwie części: w pierwszej, od str. 15—66, autor stara się dowieść, nie zawsze jednakże to mu się udaje, że poprzednikami jego w sprawie zjednoczenia unitów z panującem wyznaniem w Rosyi byli Herakliusz Lisowski i Jan Krasowski (po części pisze się na to ks. Prałat Likowski, poważny badacz dziejów Unii; przeczą temu ks. biskup. Pełesz i Theiner) i dlatego kreśli dzieje tych dwóch dostojników kościoła unickiego; w drugiej, od str. 67—281, opowiada znacznie obszerniej i gruntowniej, własne czyny, zabiegi, zamiary i rządy swoją dyecezyą. Od str. 281—312 *piéces justificatives.* Ta część pamiętników jest ciekawą i więcej pouczającą, bo chociaż Łużyński nie odznacza się taką jak Siemaszko w swoich pamiętnikach prawdomównością i o niektórych faktach i osobach wypowiada zdanie zupełnie przeciwne, jednakże wiele tam jest rzeczy nowych, nieznanych, z których sprawozdanie byłoby ważnem do dziejów Unii przyczynkiem. *Wołyniak.*

Reformacya i katolicka w Polsce reakcya przez *N. Kariejewa,* w języku rosyjskim, drukowano w Wiestniku Europy. 1885, VIII. 523 do 565, IX., 1 - 49, X., 433—465, XI., 145—184.

Od niejakiego czasu kwestya t. z. reformacyi bywa traktowaną, jakto mówią ze stanowiska naukowego: pobudki religijne zbywają, najczęściej, kilku

słowami, prawią o tem mimochodem tylko, a szukają w ruchu reformacyjnym czynników innych, przyczyn z religią mało, albo nic nawet nie mających wspólnego, zwracają szczególną uwagę na motywy ekonomiczne, socyalne, które kierowały tym ruchem, i starają się tym sposobem wykazać, jaki był początek t. z. reformacyi, i co ją właściwie zrodziło. Taka historyczna metoda została zastosowana przez niektórych uczonych rosyjskich do reformacyi w Polsce, i pan Kariejew poświęcił tej kwestyi swoją pracę. Autor, co prawda, nie zbadał swego przedmiotu ostatecznie, nakreślił raczej program do dalszego badania i wytknął drogę, po której, podług jego zdania, powinni iść historycy piszący o reformacyi na ogół, a o polskiej w szczególności, i trzeba przyznać, że w ten sposób jeszcze nikt u nas. — jeżeli się nie mylimy — o polskiej reformacyi nie pisał, i z tego stanowiska na nią się nie zapatrywał. Studyum p. Kariejewa odznacza się wielkiem wczytaniem się w źródła, potrzebne które mu do tej pracy; autor zna wszystkie ważniejsze dzieła o tem, jak polskie, tak i rosyjskie (sympatye jego są widocznie po stronie protestanckich pisarzy; taki Szujski, ks. Bukowski, Maurycy hr. Dzieduszycki, rozumie się, nie wiele mają u niego łaski, ale z odznaczeniem wyraźnem mówi o pracach profesora Bobrzyńskiego, Łukaszewicza nadewszystko, a także profesora Zakrzewskiego) i umie z nich dobry dla siebie i swego systematu wybór zrobić. Niektóre też wnioski i postrzeżenia autora są bardzo trafne, starannie obrobione i kategorycznie przeprowadzone. Tak np. p. Kariejew twierdzi, że t. z. reformacya w Polsce była to walka stanu szlacheckiego, gdy już ten przyszedł do swojej potęgi — z duchowieństwem, mającem w Polsce swoje osobne prawa, przywileje i tworzącem poniekąd osobną rzeczpospolitę, która na mocy tego wszystkiego, mogła się stanowi szlacheckiemu opierać i rzeczywisty stanowiła mu opór. Humanizm zaś z jednej strony z Włoch do Polski przybyły, upadek moralności duchowieństwa ze szczątkami husytyzmu z drugiej, wywołały, tak powiada autor, reformacyę w Polsce, która schwyciła w swoje sidła tylko wyższą warstwę społeczeństwa, więcej intelektualną, tj. szlachtę; do ludu prostego ona ani przenikła, ani przylgnęła, to też gdy nastąpiła reakcya katolicka, pracami Jezuitów wzmocniona, to szlachta powróciła prędko do wiary ojców i zaledwo ślad został owego niegdyś tak silnego różnowierstwa polskiego. Nadto reformacya zawitała do Polski, tak mniema autor, w tym czasie, gdy średniowieczna organizacya państwa zaczęła się już rozkładać, Polska poczęła właśnie wyrabiać sobie nowy, właściwy organizm państwowy i nie można twierdzić, aby reformacya sprzyjała tym nowym przeobrażeniom państwa, żeby mu pomogła w tych reformach, któreby z czasem mogły być dla niego pożyteczne.

Reformacya w Polsce, tak dalej powiada p. Kariejew, nie miała także wewnętrznej siły żywotnej, ponieważ nie było tu narodowej, wszystkich klas społeczeństwa, opozycyi przeciw Rzymowi; państwo, tj. rząd nie miał przyczyny występować przeciw kuryi rzymskiej, tylko szlachta miała w tem swój interes kastowy, aby walkę toczyć z duchowieństwem i dlatego uchwyciła się zrazu bardzo ochoczo tej opozycyi. Z reformacyą połączyła się także kwestya naprawy rzeczypospolitej; posłowie na sejmach, protestanci przeważnie, prowadzili tę sprawę, która, jak wiadomo, nie przyprowadziła prawie do żadnych rezultatów, a razem z tem upadło znaczenie tych posłów, a z nimi upadła sama reformacya. Kwestya soboru narodowego i chwiejność charakteru Zygmunta Augusta, zabiegi protestantów różnych odcieni przedstawione tu bar-

dzo dobrze; walki wewnętrzne pomiędzy różnowiercami i krańcowy ich kierunek, aryanizm, oddane we właściwem świetle. I cała ta epoka, że tak powiemy, rozwijającego się w Polsce protestantyzmu, opisana ze spokojem i dość objektywnie; autor przyznaje, że w Polsce, w tym czasie, była swoboda religijna i tolerancya, jakiej w całej Europie ówczesnej nie było i na ogół przychylnie o Polsce sądzi, lecz gdy się zbliża do czasów reakcyi katolickiej, to subjektywność bierze górę i autor staje się coraz więcej strasznym: skrzętnie bardzo notuje wszelkie wystąpienia żaków katolickich przeciw różnowiercom, zamilczając, albo zbywając kilku wyrazami, profanacye kościołów katolickich i starając się nie mówić o tych zniewagach, jakie nieraz cierpiało duchowieństwo katolickie od protestantów; coraz to częściej bywa dodawany epitet katolikom — fanatycy (ów fanatyzm, podług autora, zaszczepili Jezuici), tymczasem protestanci są tylko „gorliwi". Jeżeli mówi np. o tem, jak dyssydencka szlachta przemocą zapędzała włościan swoich do „zborów", przypisuje to nie fanatyzmowi protestanckiemu, lecz owej swawoli szlacheckiej, która we wszystkiem chciała mieć tylko własną wolę i nią się tylko rządziła... Ta samowola szlachty polskiej, po części, miała być, według autora, przyczyną upadku protestantyzmu: szlachcic bowiem chciał tak się rozporządzać wszystkiem w rzeczach nowej wiary, jak w rzeczypospolitej, stąd więc brak porządku, organizacyi, rozprzężenie, a wszystko to nie mogło się przyczynić do wzrostu reformacyi. Dalej autor, w bardzo już jaskrawych skreśliwszy barwach niemoc episkopatu polskiego w obec protestantów i jego antykatolickie tendencye, rozwodzi się szeroko „nad odnowionym przez Jezuitów i zreformowanym przez sobór Trydencki katolicyzmem" i zadaniem Jezuitów w Polsce. Intrygi, przemoc, podejście, zfanatyzowanie ludu, miały być podług autora, główną katolickiej reakcyi cechą. Wielki nasz kardynał Hozyusz, ostatecznie, u pana Kariejewa jest przeważnie intrygantem, chociaż mu autor nie odmawia zdolności, gorliwości i religijnych uczuć. — Autor nie chce, czy nie może zrozumieć tego, że mogły być — i rzeczywiście były — prawdziwe, z przekonania nawrócenia protestantów na katolicyzm, powrót do dawnej ojców wiary! Każdy taki powrót do katolicyzmu panów polskich jest przypisywany podejściu Jezuitów, którzy mieli natychmiast zawładnąć wychowaniem i polityką w Polsce, używając tego na swoją tylko korzyść. Po opisaniu formowania się partyi katolickiej, działalności biskupa Karnkowskiego i misyi nuncyuszów Apostolskich, autor bardzo obszernie opowiada historyę paktów konwentów, kwestyę przysięgi królewskiej, i opisuje szczegółowo obranie Henryka Walezyusza, co ostatecznie miało nastąpić, jak mniema autor, w skutek intryg katolickiej partyi i ciemnoty szlachty zaściankowej tj. tej, która się wiernie trzymała wiary katolickiej. Intrygi Jezuitów i katolików, podług p. K., nie ustawały podczas panowania Stefana Batorego, szczególnie Zygmunta III. i dalej idą ciągle *crescendo*.

Całą swoją żółć autor wylewa na Jezuitów i powtarza przy tej sposobności nieraz już słyszane zarzuty, (które teraz niejednokrotnie zostały zwycięsko odparte, jak to bardzo wiadomo tym wszystkim którzy się chcieli tego dowiedzieć) wymierzane przeciw Towarzystwu Jezusowemu, i kończy swoje studyum temi słowy: „Ożywiwszy w XVI. wieku polityczne życie i oświatę w Polsce, reformacya spowodowała wezwanie do Polski Jezuitów, którzy zniszczyli wszystko co było postępowego, żywotnego w społeczeństwie polskiem w XVI. stuleciu. I taki był ostateczny koniec reformacyi w Polsce".

My zaś myślimy, skoro reformacya w Polsce, jak to autor sam wyznaje, była sprawą tylko jednej klasy społeczeństwa i miała służyć jego kastowym interesom; jeżeli ona nie mogła sobie skaptować całego narodu, a nawet przeszkadzała jego zbawiennym reformom, jak się pozwala tego domyślać p. K., to już dlatego samego należy się niewygasła wdzięczność dla wielkiego zakonu Towarzystwa Jezusowego, który tak gorliwie pracował w Polsce i umocnił sam katolicyzm, uczyniwszy go naszą narodową religią.

Wołyniak.

Albrecht Pruski i Reformacya w Polsce przez *Lubowicza* (Żurnał narodnaho proświeszczenia. Srpn. 1885 od str. 173—203).

Na podstawie korespondencyi Albrechta z polskimi dysydentami, którą autor niedawno w Królewieckiem odszukał archiwum, i swego dawnego dzieła o Aryanach i Kalwinach w Polsce, a także uwzględniwszy inne prace polskie i niemieckie, skreślił p. Lubowicz ten szkic bardzo udatnie i zajmująco. Na początku opisawszy akt lenniczej Albrechta przysięgi na rynku krakowskim, Zygmuntowi I. złożonej, autor przystępuje potem do wyłożenia planów księcia pruskiego na przyszłość, który dążył do tego, aby się umocnić we własnem państwie i zjednać sobie partyę w Polsce, przy pomocy której mógłby się oswobodzić od zależności. Dla tej więc centralizacyi państwa swego postanowił Albrecht wynarodowić swoich poddanych polskich, starając się im narzucić wiarę luterską, którą bardzo gorliwie popierał w Polsce, aby następnie opierając się na dysydentach, wywalczyć sobie zupełną niezależność. Bardzo szczegółowo opowiedziana tu taka księcia pruskiego usilność, który znalazł sobie pomocników w osobie takiego Seklucyana, Trepki, Marcina Kwiatkowskiego, Andrzeja Samuela, a następnie Vergeryusza i Lismanina; opisana dalej ich literacka działalność skierowana przeważnie ku tłumaczeniu Pisma św. i innych ksiąg religijnych, nakreślono potem wiernie stanowisko nowo założonego uniwersytetu w Królewcu, którego zadaniem było szerzyć protestantyzm w ziemiach polskich i przysyłać dla nich predykantów; dosadnie też są przedstawione zabiegi Albrechta, aby skłonić Zygmunta Augusta do przyjęcia protestantyzmu. Jednakże chwiejny z początku król Polski i sprzyjający niby różnym nowinkom religijnym, nie posłuchał podszeptów Albrechta i jego doradców — dysydentów, którzy ciągle z księciem korespondowali i donosili mu o tem wszystkiem, co się naówczas w Polsce działo, a chytry Prusak starał się wszystko na swoją korzyść wyzyskać.

W cieniu postawiona dzielnego kardynała Hozyusza osobistość, której autor słów kilka poświęca i tylko mimochodem o niej wspomina, przeszkadza zwycięsko Albrechtowi, niweczy jego plany i tem samem, dodajemy to od siebie, ratuje na jakiś czas Polskę.

Marek Gozdawa.

Julia Baronowa Krüdener przez *W. N.* (Rus. Archiw, 1885, od str. 305—331, tom I.).

O tej sławnej i bardzo znanej swego czasu pietystce i wizyonerce protestanckiej (Julia Krüdener, z domu Vietinghoff, ur. w Rydze 1764 r. † w Krymie 1824 r.) pisano już nieraz i autor zebrał wszystkie, mniej więcej, te

wiadomości, opisawszy dokładnie jej wychowanie, zamęście, literacką działalność, religijny mistycyzm, stosunki z różnymi głośnemi naówczas mistykami (np. z Jung-Stillingiem), znajomość z Aleksandrem I. określiwszy wpływ jej na cesarza Rosyjskiego i na t. z. *heilige Allianz*, dodał do tego kilka nowych i nieznanych szczegółów z jej życia, które nas interesować mogą. Tak np. dowiadujemy się z jej korespondencyi z księciem Golicynem (minister oświaty), że pani Baronowa, mieszkając w swoich dobrach Kosse w Inflantach, chciała tam zbudować cerkiew i prosiła o pozwolenie, na co jej książę Golicyn odpowiedział: podług praw rosyjskich tam tylko można cerkiew budować, gdzie jest najmniej 100 domów tego wyznania, albo, gdy właściciel tej miejscowości należy do religii prawosławnej i dla ważnych przyczyn chce mieć blisko siebie dom modlitwy.

Marek Gozdawa.

Adam Kisiel, Wojewoda Kijowski, 1580 (?) do 1653, szkic historyczno-biograficzny, przez *Iwana Nowickiego* (Kijewskaja Starina, 1855, t. III., 51—73, 204—220, 408—430, 612—638).

Może to jest jedyna, z większych monografij, poświęcona Adamowi z Brusiłowa Nizkinickiemu Kisielowi, wyprowadzającemu ród swój od kniazia Sniatołda, na którą warto zwrócić uwagę naszej publiczności: napisana bowiem ze spokojem, dość objektywnie, bardzo szczegółowo i obszernie, uwzględniająca działalność Wojewody Kijowskiego w zupełności. Autor przychodzi do takiego przekonania o swoim bohaterze: dewizą Adama Kisiela, powiada, było: *salus Reipublicae — suprema lex*; Wojewoda Kijowski miał siebie za ruskiego, był gorliwym wschodniego kościoła, niezjednoczonego obrządku, wyznawcą, lecz zarazem czuł się obywatelem Rzeczypospolitej, po za obrębem której nie mógł siebie przedstawić, ani swego patryotyzmu ruskiego wykazać; przyznawał on egzystencyę kozactwa — często jednak jako *malum necessarium* — lecz tylko pod pewnemi warunkami i w określonej liczbie; Kozacy, mawiał wojewoda, niech wojują, ale chłopi niech orzą w polu. Kisiel, podług autora, myślał, że Polska nie da sobie rady z Tatarami bez wojska kozackiego, lecz także Zaporoże, niewspierane przez wojska regularne Rzeczypospolitej, nie mogłoby się oprzeć dziczy tatarskiej; dla tego więc doradzał rządowi polskiemu tolerować Kozaków, a Kozakom zalecał posłuszeństwo Polsce. Pan Nowicki utrzymuje, że u Adama Kisiela narodowość w znaczeniu etnograficznem nie łączyła się z nacyonalnością w sensie państwowym tego wyrazu. To jest: rodziną Kisiela była — Ruś, lecz ojczyzną — Polska. Autor przyznaje swemu bohaterowi wszelkie przymioty na męża stanu, który rozumiał potrzeby państwa, ale jego planów w części nie chcieli, a w części nie mogli wtedy zrozumieć, jak mniema autor, który kończy swoją ciekawą i pouczającą monografię słowami T. T. Jeża (z ciężkich dni, Biesiada Literacka, 1877) twierdzącego, że ludzie, którzy nie mogli się stać wielkimi w Polsce, mogliby być takimi w każdem państwie innem...

Do napisania tej pracy posłużyły p. Nowickiemu źródła historyczne wydawane przez rząd rosyjski, dzieła Kostomarowa (Bohdan Chmielnicki, wyd. drugie, przeważnie), *Volumina Legum*, Niesiecki, księga pamiętnicza Michałowskiego, kronika Piaseckiego i niektóre inne.

Marek Gozdawa.

Z pism peryodycznych.

Biblioteka warszawska. Rok 1885.

Najdawniejsze z zbiorowych czasopism nie przestało być ogniskiem dla poważnych pracowników. Pod kierunkiem p. J. K. Plebańskiego *Biblioteka warszawska* utrzymuje ustaloną tradycyę. Wśród mnogich pism zbiorowych, w jakie obfituje Warszawa, nie znać współzawodnictwa, a tem mniej antagonizmu; powstaje raczej podział zadań i tych sfer, do których każde z tych pism przemawia. Kiedy *Kronika rodzinna* ma ustalone koło swych czytelników i odpowiednio do swego tytułu dostarcza gronom rodziny, otaczającym wieczorem okrągły stół z lampą, zajmującej lektury z zacną zawsze tendencyą utrzymania dobrych tradycyj literackich, kiedy młodsza *Niwa* chwyta przedmioty bieżące i staje się organem obywatelstwa ziemskiego, *Bibliotece warszawskiej* przypada zadanie i zasługa dostarczenia strawy poważniejszej, już więcej naukowego zakresu. Spełnia ona takowe w podwójny sposób: obszernemi sprawozdaniami z ruchu naukowego i literackiego, tak zagranicy jak kraju, oraz doborem samoistnych prac z różnych działów.

Z ostatniego rocznika powstanie kilka książek poważnych i cennych. W dziale historycznym dwie prace przechodzą zwykłą miarę monografii. P. Kazimierz Waliszewski opracował na podstawie źródeł rękopiśmiennych, jakie znalazł w archiwach francuskich, wizerunek Maryi mantuańskiej, królowej polskiej, która pod imieniem Maryi Ludwiki, małżonka dwóch z kolei królów, tak ważne i zaszczytne zajmuje w dziejach naszych stanowisko. Są tu przedstawione stosunki rodzinne księżniczki, która była wychowanką hotelu Rambouillet, zaręczoną brata królewskiego, Gastona orleańskiego, a za sprawą kardynała Mazarina dostała się na tron polski. Dowiadujemy się tu mnóstwa ciekawych szczegółów o układach dyplomatycznych, o poselstwie polskiem, któremu przewodził wojewoda Denhof, o sferze, w jakiej żyła księżniczka, o jej urodzie, wykształceniu, o posagu znacznym, który wniosła, zgoła: jest to artystycznie wykonany portret z lat młodych tej dzielnej monarchini. Miesza się tu także i jakaś intryga, która oskarżyła narzeczoną królewską o intrygę miłosną z słynnym ze swych przygód Cinq Mars'em, in-

tryga i oszczerstwo podniesione przez powieściopisarzy francuskich a przez p. Waliszewskiego datami i dokumentami odparte. Pracowity wydawca dokumentów historycznych archiwum francuskiego, odnoszących się do epoki Sobieskiego, nadał swemu opowiadaniu o Maryi Ludwice wdzięk powieściowy.

P. Leon Chrzanowski podjął zadanie, niemałego wymagające trudu. „Odsiecz Wiednia w bitwie walnej z 12 września 1883“ będzie ważną książką, przedstawiającą z niezmierną ścisłością przebieg tej wielkiej w dziejach świata batalii, która rozstrzygnęła losy środkowej Europy. Wiadomo, jak tendencyjnie do niedawna historycy niemieccy przedstawiali udział króla i wojsk polskich w odsieczy wiedeńskiej, bądź to zaprzeczając, aby Sobieski sprawował naczelne dowództwo, bądź zmniejszając zasługę oręża polskiego. Z powodu 200-letniej rocznicy wiekopomnego wypadku, wydobyto mnóstwo materyałów, a obszerny wolumin wydawnictwa Akademii, opracowany przez p. Franciszka Kluczyckiego, stanowi granitową podwalinę dla pomnika zbawcy Wiednia i chrześcijaństwa. P. Chrzanowski z niezmierną jasnością i ścisłością oblicza siły nieprzyjaciela i wojsk skoalizowanych, przedstawia plan batalii i przeprowadza nas przez wszystkie jej momenta, gdy Sobieski wąwóz po wąwozie zdobywa po kolei, wszystkie wzgórza okalające Wiedeń, i kiedy rzuca się na główny obóz Kara Mustafy. Dzieło to p. Chrzanowskiego, które niebawem ukaże się w osobnem wydaniu, będzie pierwszem zużytkowaniem niezmiernie już bogatego materyału źródłowego, jaki zasługą Akademii się nagromadził.

Do bliższych nas czasów przybył bardzo ważny i obfity w szczegóły pamiętnik Leona Dembowskiego, który od roku drukuje *Biblioteka warszawska*. Sięga on swym początkiem do czasów przedrozbiorowych, maluje Warszawę i Puławy z czasów Pruskich i księstwa warszawskiego, potem przechodzi w epokę królestwa kongresowego i przebieg wypadków 1831 roku. Dębowski, wychowanek Puław, następnie ważne zajmujący stanowiska urzędowe i polityczne, wmieszany w najważniejsze sprawy kraju, pamiętnikiem swym dorzuca wiele światła do dziejów wewnętrznych pierwszej połowy naszego stulecia, obok pamiętników Kajetana Koźmiana, niewątpliwie pamiętniki Dembowskiego najważniejsze zajmują miejsce. Wiele innych cennych prac monograficznego zakroju mieści ostatni rocznik

Biblioteki warszawskiej, jak „Tykocin“ przez Jana Jarnutowskiego, „Towarzystwo Iksów“, „O pieśniach gminnych łotewskich“ Gustawa bar. Manteuffla, „O poezyach Zbigniewa Morsztyna“ Dr. Jana Rzepeckiego i t. d.

W dziale beletrystyki mamy powieść na tle stosunków obecnych w Irlandyi, ale oryginalnie napisaną przez Działosza. Jest to studyum stosunków agraryjnych i społecznych, obleczone w nieco rozwlekłą formę powieściową. I poezya nie została wykluczoną z programu *Biblioteki*. Przedstawiają ją od czasu do czasu świetne przekłady Horacego przez Felicyana Faleńskiego. Satyra 6 przypomina przekłady Lucyana Siemieńskiego, tak zbliża świat klasyczny do naszych czasów i obyczajów niezmiennością natury ludzkiej.

Biblioteka nie zaniedbuje działu ekonomicznego, zbyt dziś zaniedbanego w innych pismach zbiorowych. Obok obszernych sprawozdań z ruchu ekonomicznego, w każdym niemal zeszycie znajdują się od czasu do czasu rozprawy specyalne, jak np. „Schäffle contra Schäffle“.

W zakresie filozofii spotykamy trzy nazwiska: poważanego i znanego Kazimierza Kaszewskiego, którego stanowisko spirytualne zbliżone do chrześcijaństwa czyni dobrym sprawozdawcą z publikacyj współczesnych, wszelako nie dość, zdaniem naszem, wystarczającą daje on odprawę pozytywistycznemu doktrynerstwu, grasującemu w Warszawie. Dr. Raciborski jest nową siłą zrywającą się już, co rzecz dzisiaj rzadka, na pewną samodzielność systematu. Broni on przeciw Stuart Millowi pojęcia przyczynowości w systemie logiki indukcyjnej i dedukcyjnej, lub rozwija plan nowego rozkładu nauki filozofii i jej poszczególnych gałęzi. Wreszcie p. J. T. Hodi w artykule „Zarys filozofii rodzinnej“ chce naznaczyć przeciętną między tem, co stawiał niegdyś Supiński — a Augustem Comte, czyli między tak zwaną filozofią słowiańską, jeszcze od Hoene Wrońskiego biorącą początek, a kategoryami dzisiejszych pozytywistów. Wiele dałoby się powiedzieć o próbach tych dwóch pisarzy. Obracają się oni w kole zagadnień co do metody, nie docierając do rdzenia; w każdym razie ten ruch filozoficzny wśród pisarzy warszawskich, wolny od krańcowości pewnej grupy *Przeglądu tygodniowego*, ma swoją dobrą stronę, bo utrudnia harcowanie samą tendencyą i świadczy

o pewnem szukaniu drogi i obliczaniu się z tem, co przynosi krytyka filozoficzna w różnych swych odcieniach.

Jedną z głównych zalet *Biblioteki warszawskiej* jest dział sprawozdawczy. Są wyborne korespondencye paryskie i londyńskie i liczne recenzye, utrzymujące czytelnika w świadomości z najświeższymi objawami umysłowości współczesnej; może stosunkowo dział krytyki polskiej jest mniej wyczerpujący.

L. D.

Revue Philosophique. Rok 1885.

Jak w poprzednim, tak i w tym roczniku najwięcej artykułów psychologicznej treści. Zaznaczyłem to już w poprzedniem sprawozdaniu z tej samej Revue [1], w jaki sposób nauka o duszy weszła w nową fazę. Badania fizyologiczne, postępy fizyologii mózgu, nerwów i zmysłów, obserwacye chorób umysłowych, chorób pamięci i woli, analiza objawów duszy zwierzęcej, ścisła kontrola rozwoju umysłowego dziecka, jakoteż badania nad rozwojem umysłowym ludzkości w dziejach etc. rozszerzyły niezmiernie zakres tej nauki tak, że syntezy nagromadzonych faktów w jedną doktrynę nie prędko spodziewać się można. Dawniejszą metodę obserwacyi wewnętrznej faktów własnej świadomości, dopełniono najprzód obserwacyą zewnętrzną faktów życia, objawów fizyologicznych i patologicznych, w najnowszym zaś czasie psychologia usiłuje wejść w poczet nauk doświadczalnych. „Czem dla fizyologa eksperyment wiwisekcyi, tem mają być dla psychologa eksperymenta z hipnotyzmem, zawieszające, wywołujące i modyfikujące u pacyentów sztucznie i dowolnie różne objawy psychiczne, w celu, by naturę tychże objawów i wzajemny ich związek ze sobą ściśle określić i lepiej zrozumieć można! Oto program nowej szkoły. Rzecz zbyt świeża, żeby już dziś wyrokować, jak daleko psychologów w poznaniu natury duszy ludzkiej zaprowadzi. Poprzestanę więc na prostem zdaniu sprawy z najnowszych na tem polu prób i usiłowań. We Francyi dwa są dziś główne laboratorya do eksperymentów psychologicznych: szpital *La Salpetrière* pod dyrekcyą D-ra Charcot'a w Paryżu, gdzie pracują także

[1] Zeszyt „Przegl. Powsz." z kwietnia 1885 r.

pp. Paul Richer, A. Binet, Ch. Féré i wielu innych, jakoteż klinika panów D-rów Bernheim'a i Beaunis'a w Nancy. Z obydwu tych źródeł stowarzyszonych w ogólną *Societé de Biologie*, popłynęły do *Révue phil.* w ubiegłym roku liczne artykuły sprawozdawcze, nieraz ze sobą polemizujące; mianowicie: *Le transfert psychique* — *L'hypnotisme et responsabilité* — *La polarisation psychique* (Binet et Féré) — *L'expérimentation en psychologie par le somnambulisme provoqué* (Beaunis) — *Sur l'hypnotisme chez les hysteriques* (Bernheim) — *Sensation et mouvement* (Féré).

Najprzód cóż to jest: *le transfert psychique?* W Paryżu zrobiono odkrycie, iż u osób podlegających łatwo hipnotyzmowi, czyli jak dawniej mówiono magnetycznemu uśpieniu, chwilowe stany porażenia członków jednej, np. prawej strony ciała, przenoszą się pod wpływem przybliżonego do niej silnego magnesu na członki lewe, ustępując z prawych lub na odwrót, i że dzieje się to zarówno we śnie wywołanym, jak i bez poprzedniego uśpienia. Zjawisko to w szkole p. Charcot nazwano *le transfert psychique*, po polsku możnaby nazwać to samo psychicznym lub magnetycznym przerzutem. Panowie Binet i Féré podają mnóstwo przykładów takiego przerzutu z osobistej praktyki eksperymentalnej na różnych pacyentach a przeważnie pacyentkach, które nietylko że w stanie bezprzytomnego uśpienia i kataleptycznego porażenia np. ręki lub nogi, mają podlegać wpływowi magnesu, lecz także i w zwykłych normalnych warunkach tak dalece są nań czułe, że np. dosyć zbliżyć nieznacznie bez wiedzy pacyentki magnes do jej ręki lewej, gdy pisze ręką prawą, aby ona po chwili przełożyła pióro do ręki lewej i zaczęła nią pisać w odwrotnym kierunku, albo żeby, gdy siedzi przy stole podparta na łokciu prawym, wnet pod wpływem tegoż magnesu zmieniła pozycyę i wsparła głowę na łokciu lewym, tłumacząc się tem, że jej tak wygodniej. A że ma ona przytem zupełną illuzyę, jakoby robiła to co jej się podoba, nie wiedząc wcale, że do tej czynności przez zewnętrzny wpływ magnesu została zmuszoną, więc panowie Binet i Féré wyprowadzają z tego faktu dalekie wnioski, jakoby mieli już w rękach niezbity bo eksperymentalny dowód na to, że w ogóle wszelkie poczucie wolnej woli w człowieku jest takąż samą illuzyą, i że zawsze to, co mienimy czynnością własną, zupełnie dowolną, jest w gruncie owocem fizycznego przymusu, pocho-

dzącego od jakiegoś nieznanego fizycznego wpływu, jakiejś niewiadomej przemiany bądź w łonie organizmu naszego, bądź też po za jego obrębem w pobliżu się odbywającej. Ciekawy jestem jaki też magnes, czy inny pierwiastek fizyczny zmusza tych panów do koniecznego tyloletniego już eksperymentowania w szpitalu *de la Salpetrière?* Czyż i to u nich tylko złudzeniem, że szczere, osobiste zamiłowanie do naukowych zdobyczy przy tej pracy dowolnie obranej ich trzyma?

W ogóle ci panowie medycy zdają się czasem zapominać o tem, że świat cały nie jest szpitalem histeryczek i że zdrowi ludzie zachowują się w obec magnesu dosyć obojętnie. Wszak w tym samym artykule czytamy, że Lord Lindsay włożył głowę między dwa bieguny bardzo silnego elektro-magnesu, nie doznając przytem najmniejszego wrażenia, co i Sir William Thomson słynny fizyk angielski potwierdza, ale pp. Binet i Féré nie koniecznie chcą temu wierzyć. W następnym artykule p. t.: „Polaryzacya psychiczna“ [1] pp. Binet i Féré idą jeszcze dalej, magnes w ich rękach dochodzi do potęgi iście czarodziejskiej; już nie tylko że p r z e r z u c a porażenia z prawej strony ciała na lewą lub na odwrót, że wywołuje agrafię ręki prawej na korzyść lewej, lub sprawia częściową afazyę do pewnych słów przywiązaną, albo chwilową ślepotę przerzucającą się z jednego oka na drugie i t. d. — magnes prócz tego zdolny także p r z e m i e n i a ć u osób zostających pod jego wpływem: paraliż, nieruchomość pewnych członków w ruch tychże członków, a ruch w spokój, nadaną pozę klęczącą zmienia w stojącą i na odwrót, co więcej, magnes przemienia pamięć, wspomnienie w zapomnienie, widzenie koloru czerwonego we widzenie dopełniającego koloru zielonego, przemienia radość w smutek, dobroć w złość, miłość w nienawiść i na odwrót, jednem słowem magnes doprowadza pp. Binet i Féré do wielkiego i całkiem nowego odkrycia! do odkrycia p s y c h i c z n e j p o l a r y z a c y i dopełniających się nawzajem w życiu człowieka sprzecznych wrażeń, czynów i uczuć. „Jak mamy dopełniające się barwy, tak też są i dopełniające się nawzajem uczucia“ jak barwa zielona w gamie optycznej odpowiada czerwonej, tak w gamie uczuć smutek odpowiada radości i t. d.“ oto konklu-

[1] Zeszyt z kwietnia.

zya artykułu: „polaryzacya psychiczna“, a stąd łatwy wniosek dalszy (choć nie wypowiedziany przez autorów, lecz zostawiony domyślności serca czytelników, tak wyraźnie iż sobie go każdy sam łatwo w duszy może dośpiewać) że psychologia jest w gruncie rzeczy niczem więcej, jak częścią fizyki, dopełnieniem jej rozdziałów o magnetyzmie i elektryczności etc.... skoro jak widzieliśmy z pomocą magnesu zbliżonego do ciała ludzkiego, można rozporządzać dowolnie całą gamą ludzkich uczuć. Że uczucia ludzkie nieraz najsprzeczniejsze łatwo się alternują czy polaryzują, tj. mienią się w duszy ludzkiej jedne w drugie, jestto prawdą niezaprzeczoną, ale też i dawno znaną. Wszak już Sokrates woła w Platońskim Fedonie, uczuwszy błogość w nodze po zdjęciu okowy: „Cóż za dziwna rzecz to, co ludzie nazywają przyjemnością! jakże cudowny związek jej z bólem! chociaż ból niby przeciwieństwem przyjemności,... a jednak ten kto znajdzie jedno ma i drugie, jak gdyby te dwie rzeczy były ze sobą związane końcami“... Co zaś do samego faktu, czyli że magnes rzeczywiście może siłą swoją wywołać to, co nazwano przerzutem *(le transfert)* jakoteż polaryzacyą uczuć, choćby nawet tylko u histeryczek, posłuchajmy co sądzi grono medyków tak samo eksperymentujących w Nancy, o tem paryskiem odkryciu. P. Bernheim, profesor fakultetu medycznego w Nancy krytykując eksperymenta panów Binet i Féré w artykule swym *L'Hypnotisme chez les Hysteriques* w tejże samej *Révue*[1] utrzymuje, że na podstawie własnych doświadczeń do wprost przeciwnych doszedł rezultatów i dowodzi, że jak zawsze tak i tu wcale nie magnes, lecz poprostu wyobraźnia pacyentek pobudzona słowami lub czynami eksperymentujących, jest powodem tych wszystkich zadziwiających fenomenów przerzutu etc.... „Eksperymentowałem nie wiem wiele razy, mówi p. Bernheim, z różnemi pacyentkami i pacyentami, w obecności kolegów moich pp. Beaunis i Charpentier, i przekonaliśmy się wszyscy, że w każdym stanie choćby najgłębszej hypnozy, czy letargu, czy lunatyzmu, czy katalepsyi, u histerycznych jest zawsze pewna doza samowiedzy takiej, że pacyentka słyszy i rozumie dobrze, co się w koło niej dzieje, chociażby po przebudzeniu się tego nie pamiętała. Dlatego też mówić, że t. zw. przerzut jest fenomenem czysto

[1] Zeszyt z marca 1885.

fizycznym, mechanicznie wywołanym w ciele ludzkiem siłą magnesu, jest mijać się z prawdą. Hipnotyzowana nie jest nigdy automatem bezsamowiednym, słyszy ona dobrze głos operatora, chociaż zda się nieruchoma, nieczuła, z twarzą jak maska bez życia. Najlepszym dowodem tego, że bez dotknięcia jej ciała, bez dmuchania w oczy, jak się to robi w Paryżu u p. Charcot, na prosty rozkaz słowny: zbudź się! raz dany lub kilkakrotnie powtórzony, — przynajmniej u nas w Nancy — każda się budzi, a magnes tylko wtedy wywołuje u nich zjawiska przerzutu etc. — jeśli przy nich najprzód je zapowiem, ale też wtedy nie trzeba magnesu, wystarcza prosty ołówek albo nóż zbliżony do ciała, by sprowadzić te same zjawiska, byle pacyentka miała przekonanie, że operuję magnesem. Nie magnes więc, lecz jak we wszystkiem u histerycznych tak i tu suggestya słowna i niesłychanie podległa tejże suggestyi względem operatora, wyobraźnia pacyentki, oto jedyny klucz do zrozumienia tych zjawisk, o jakich mówią pp. Binet i Féré. Róbcie próby z osobami nowemi, zupełnie niewtajemniczonemi w następstwa, do jakich zmierzają wasze eksperymenta, strzeżcie się słów choćby najciszej mówionych o tej rzeczy w czasie operacyi, a zobaczycie, że magnes czy inny metal będzie dla nich całkiem obojętny"...

Oto główna treść odpowiedzi p. Bernheima, na którą ze strony pp. Binet et Féré dotąd repliki nie było. W ogóle szkoła medyków hipnotyzujących w Nancy przedstawia mi się jako oględniejsza, więcej licząca się z indywidualnością osobistą pacyentów w tłumaczeniu zjawisk hipnotyzmu, aniżeli szkoła paryska przesądami materyalistycznemi zaślepiona tak, że człowiek jest dla nich prostym automatem. Ale bo też dziwna, prawdziwie zastraszająca jest moc operatora nad osobą przezeń usypianą, staje się ona w jego rękach ślepem narzędziem posłusznem każdemu skinieniu. Bogaty materyał dowodowy pod tym względem daje nam obszerny artykuł w *Revue Phil.*[1] Dra Beaunis z Nancy i *L'expérimentation en psychologie par le somnambulisme provoqué,* a że eksperymenta tego rodzaju praktykują się we Francyi już nietylko w kołach lekarskich, w celach czysto naukowych, lecz także i w kółkach towarzyskich mniej do tego powołanych, więc też Dr. Beaunis słuszne

[1] W zeszytach z lipca i sierpnia 1885 r.

wyraża życzenie, żeby prawodawstwo obwarowało tę sprawę odpowiedną ustawą, żeby np. nie było wolno eksperymentować inaczej jak w obecności osób trzecich i t. d. Sama natura rzeczy chroni wprawdzie poniekąd społeczeństwo od plag, jakieby bez własnej jego winy w skutek nadużyć w tym kierunku na nie spaść mogły o tyle, że jak świadczą wszyscy rzeczoznawcy: „nikt nie może być uśpionym pomimo własnej woli, bez dobrowolnego poddania się tej operacyi, bo właściwie usypia każdego jego własna wiara a nie hypnotyzer". Jednakowoż łatwo uledz tej pokusie choćby z ciekawości, czy z innych powodów. Dlatego też nie można dosyć ostrzegać, żeby się lekkomyślnie tego rodzaju eksperymentom nigdy nie poddawać, zwłaszcza iż ma to być faktem doświadczonym, iż kto raz lub kilkakrotnie uległ tej pokusie i dał się usypiać, do tego stopnia traci moc rezystencyi osobistej, iż potem nawet pomimo swej woli, przez zręcznego operatora uśpionym być może, tak że każdej jego suggestyi ulegać musi. W ogóle cała ta sprawa właściwie nie powinna wychodzić po za granice kliniki i szpitali, gdyż inaczej łatwo wyrodzić się może w jedną z chorób wieku, w obłęd niemniej wstrętny od orgij konwulsyonistów w przeszłym wieku. Pozytywnych wiadomości o zjawiskach hipnotyzmu i suggestyi etc. dostarcza dziś najwięcej książka p. *Paul Richer'a: Etudes cliniques sur la grande hystérie,* 2-me ed. Paris 1885, z której Révue zdaje sprawę w zeszycie z listopada. Jestto niejako suma wszystkich doświadczeń nabytych w szkole p. Charcot na tem polu, zrozumiałą jednakowoż i nauczającą jest tylko dla fachowych. Być może, iż na polu terapii hipnotyzm odda swe usługi i stanie się ważnym środkiem leczniczym w niektórych cierpieniach ludzkiego rodzaju — ale na polu psychologii zdobycze hipnotyzerów są dotąd bardzo wątpliwej wartości, zwłaszcza gdy ci co robią doświadczenia, z małemi wyjątkami ulegają mimowolnej suggestyi prądów materyalistycznych, któremi przepełniona jest dziś atmosfera paryskiego świata naukowego.

Inna atmosfera panuje dziś w niemieckiem głównem ognisku uprawy nauk psychologicznych, w Lipsku w szkole prof. Wundta. Jak widać Lipsk do dziś dnia nie przestał być *klein Paris, es bildet seine Leute!* Przy laboratoryum fizyologicznem słynnego prof. Ludwiga, rozwinęła się także szkoła psychologów pod kierunkiem Wundta, posługująca się całym aparatem fizyologicznej wiedzy,

a niemniej przeto dochodząca coraz wyraźniej do głównych zasad pełnego animizmu. Przed dwudziestu laty w książce „o duszy ludzkiej i zwierzęcej“ tłumaczonej także i na nasz język, jeszcze dowodził p. Wundt „identyczności psychicznego i fizycznego bytu“, lecz już w drugiem wydaniu swej „Psychologii fizyologicznej“ z r. 1880, krytykując przy końcu różne systemy, skłania się do animizmu Arystotelesa: *zu jener uralten animistischen Auffassung... als der einzigen die das Problem der geistigen und der leiblichen Entwicklung gleichzeitig zu erleuchten verspricht.* Wychodzące w Lipsku pod dyrekcyą Wundta Roczniki: *Philosophische Studien*, z których właśnie p. H. Lachelier zdaje sprawę w *Révue phil.* w artykule: *Les lois psychologique dans l'école de Wundt*, są zbiorem artykułów streszczających prace na polu psychologii podjętych w powyższym duchu animistycznym szkoły Wundta. „Czem dla nauk fizycznych mechanika, tem dla nauk moralnych, człowieka i jego działań dotyczących powinna być psychologia, gdyż tak samo jak we wszystkich zjawiskach fizycznych panują prawa mechaniczne, tak znowu wszelkiemi objawami natury ludzkiej rządzą prawa psychologiczne“. Oto jedna z głównych zasad programu szkoły Wundta, w której dusza pojęta jest jako „siła twórcza“ jako „energia zdolna świadomości samej siebie, samowolnego działania i postępu wiedzy“... Wbrew opinii coraz bardziej rozpowszechnianej przez dzisiejszą „psychologię bez duszy“, jakoby fakta psychiczne były li objawami organizacyi fizycznej naszego ciała, zajął Wundt stanowisko wprost przeciwne temu kierunkowi, mówiąc w ostatniem dziele swojem [2]... *Nicht das psychische Leben ist ein Erzeugniss der physischen Organisation, sondern diese ist... eine psychische Schöpfung.* Żywy organizm jest pierwszem dziełem duszy jako siły twórczej! oto prawda najgłębsza a tak prosta, że do jej uznania powszechnego, nowożytna psychologia fizyologiczna czy eksperymentalna, prędzej czy później dojść musi, pomimo panujących w niej chwilowo materyalistycznych przesądów. Pan Lachelier kończy swój artykuł o szkole Wundta nadzieją, że znajdzie ona coraz więcej uznania we Francyi. W ogóle znajdujemy w tym ostatnim roczniku *Revue phil.* wiele

[1] W zeszycie z lutego 1885 r.

[2] Logik, eine Untersuchung der Principien der Erkenntniss etc. Tom II. str. 471.

artykułów z obozu przeciwnego dawniejszym pozytywistycznym tendencyom tegoż pisma. Świadczy to o wielkiej bezstronności redaktora *en chef* p. Ribot, który niestety w tym roku nie zasilił swego pisma żadną nową pracą.

Dr. Ignacy Skrochowski.

Rozmaitości.

Dzieło ks. Stanisława Załęskiego p. t.: **Zniesienie zakonu Jezuitów i jego zachowanie na Białej Rusi.** Lwów 1874 opracowane przeważnie na dokumentach archiwum Jezuitów polskich i archiwum Watykańskiego, wyjdzie niebawem w francuskim przekładzie w dwóch sporych tomach w Paryżu. Ks. Vivier, który mieszkając lat kilka w Tarnopolu, jako profesor języka francuskiego, wyuczył się dobrze po polsku, dokonał tego przekładu pod okiem autora, tekst objaśnił notami przydatnemi cudzoziemcom, dla zrozumienia niektórych dawnych instytucyj polskich, uzupełnił dokumentami przy końcu tomu II., i przyozdobił rycinami pięciu ostatnich jenerałów zakonu. Z końcem maja książka opuści prasę, cena 10 fr. czyli 5 złr. nabyć ją będzie można w administracyi *Przeglądu powszechnego.*

Maksymy św. Ignacego, tłumaczył *ks. Antoni Chmielowski.* Warszawa 1886 w 8-ce, str. 732. — Wyborna to lektura duchowna, oraz podręcznik do codziennej medytacyi, na miesiące i dnie roku całego podzielony. Tekst wyjęty z pism, reguł i konstytucyj św. Ignacego, objaśnia go trafnie a dziwnie pięknym, zwięzłym stylem ks. Chmielowski. Polecamy usilnie tę książkę wszystkim, którym praca wewnętrznego udoskonalenia siebie leży na sercu. Wydanie staranne, ozdobione drzeworytami Chrystusa Pana i 12 Apostołów.

Krótki rys dziejów powszechnych. Przerobienie *Karola Ploetza,* dokonane przez *Alojzego Szarłowskiego* i *Juliana Sutowicza* profesorów gimnazyalnych. Kraków 1886. — Podręcznik historyczny Ploetza, który w Berlinie już 7 doczekał się wydań, świadczy dobre usługi młodzieży gotującej się do matury, nauczycielom szkół średnich, słowem wszystkim, którzy znając już dobrze historyę, zoryentowania się w niej, lub przypomnienia daty potrzebują. Ponieważ napisany był przeważnie dla Niemców, z punktu widzenia niemiecko-

protestanckiego, przeto dzieje Austro-Węgier niesłychanie pobieżnie, dzieje Polski prawie zupełnie pominięte zostały, a średnie i nowsze wieki ocenione niedosyć bezstronnie. Tym brakom zapobiegło polskie wydanie Ploetza, ale za to opuszczono w niem rzeczowy i imienny rejestr, który w niemieckiem wydaniu bardzo ułatwia poszukiwanie. Szkoda wielka, że tej luki się nie dopatrzono, pomimo to przerobiony na polskie Ploetz jest konnotatą ludzi i wypadków chronologicznie i umiejętnie zestawioną, a niemałej dla polskiego społeczeństwa praktycznej wartości.

Zegar Monarchów z życia M. Aureliusza, cesarza Rzymskiego, przez *J. W. X. Antoniego Guevara,* Biskupa Akcitaneńskiego, Karola V. cesarza chrześcijańskiego, spowiednika, kaznodzieję i dziejopisa r. 1424 złożony. W r. 1611 z Kastelskiego języka na łaciński przełożony. — Teraz przez urodzonego *Antoniego Feliksa Roszkowskiego,* polskim tłómaczony językiem przedrukowany r. 1759. — Z powodu wyczerpania tego dzieła powtórnie przedrukowany staraniem i kosztem *ks. Jana Nepomucena Prawdzic Policzkiego,* 1885 r. we Lwowie. Str. 659.

Przedługi ten tytuł, zawiera w streszczeniu całą historyę książki, a zwłaszcza w jaki sposób, kiedy i przez kogo w polskim języku się ukazała. W swoim czasie *Relox de principes* czyli *Marco Aurelio,* używał wielkiej popularności i stał się przyczyną zaciętej walki między autorem, a profesorem z Soria: Piotrem de Rua, który nie bez silnych dowodów, utrzymywał, że „Zegar Monarchów" zawiera w sobie zaledwie mikroskopijną cząstkę prawdy. Guevara, zbyt przyciśnięty, odwołał się do paradoksu, iż cała historya starożytna nie mieści w sobie więcej prawdy, niż jego powieść o Marku Aureliuszu. Nieszczęśliwa ta obrona przymnożyła mu jeszcze nieprzyjaciół pastwiących się na wyścigi nad poetycznym historykiem; nie umniejszyła jednak zbytecznie jak widać, liczby zwolenników, kiedy w sto lat jeszcze po śmierci autora ukazało się tłumaczenie łacińskie, a dziś — niemal w czterechsetletnią rocznicę urodzin Guevary — drugie wydanie w języku polskim.

Wydawca nie zmienił w niczem ani dawnego stylu, ani nawet ortografii. Miłośnicy dawnych zabytków będą mu za to wdzięczni; czy równie wdzięczni będą kaznodzieje, dla których zdaniem wydawcy „Zegar Monarchów" bardzo miałby być pożytecznym, o tem wątpić sobie pozwalamy.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Uwagi nad stanem finansów krajowych [1].

Położenie obecne społeczeństwa polskiego do poważnych i smutnych pobudza rozmyślań. To też ich nie brak i trudno jakąkolwiek publikacyę wziąść do ręki, by na temat biedy ogólnej, czy trenów, czy dydaktycznych nie znaleść wywodów; nie brakło i lekarzy, których według nieboszczyka Stańczyka, zawsze dużo na świecie bywało. Ci ostatni jednak niewiele wskórają, bo w sprawie rządzenia kieszenią, jak w sprawie rządzenia sumieniem, częściej wola chora niż rozum. Lekarstwa są odwiecznie znane, cóż kiedy niesmaczne: pracuj i oszczędzaj; prawda że w stanie wielkiego wycieńczenia i te nie poruszają, ale innych nie znam; kto ma, niech powie. Gdy jednak smutne położenie ogólne wynika nietylko ze stanu finansowego jednostek, ale i ze stanu finansów krajowych, niech mi będzie wolno o tych ostatnich uczynić kilka uwag, z których obrok duchowny, jeśli w nich jest, sam się wyłuszczy.

Po latach dwudziestu pięciu dość znacznej wolności, jakiej zażywamy, spojrzyjmy po za siebie i spytajmy co wydaliśmy i co też to mamy? Fundusz krajowy wydał przez ten czas koło ośmdziesiąt milionów, rady powiatowe koło 30, gminy miejskie i wiejskie

[1] Otrzymujemy te „Uwagi" z poważnego i kompetentnego źródła; a choć nie mamy zamiaru solidaryzować się z całą ich zawartością, umieszczamy je bardzo chętnie, z powodu doniosłości roztrząsanej kwestyi — o której bądź co bądź, śmiało i z różnych stron mówić trzeba — i z powodu ważności argumentów o której niech czytelnik sądzi. *(Przyp. Redakcyi).*

koło 60, razem 150 milionów. Odtrąćmy z tego bardzo obficie, bo koło połowy na zwykłą administracyę bez żadnych inwestycyj, nowych zakładów, robót publicznych i t. d., to pozostanie na te cele koło 75 milionów i te rachujemy jako przewyżkę nad koszta dawnej administracyi całkiem państwowej, która wypełniła i obecną służbę państwową i autonomiczną. Za te 75 mil. mamy szkoły ludowe, drogi, szpitale, szkoły rolnicze, melioracye wszelkiego rodzaju, wreszcie pomoc pieniężną, dawaną rozmaitym zakładom, instytucyom, wreszcie i osobom, a to w celach mających dla kraju nie materyalne ale moralne znaczenie. Indemnizacyi nie dotykam naturalnie bliżej, boć na niej nie ma możliwej oszczędności, ale przypomnieć nie zawadzi, że ona w ogóle do powyższych wydatków rachowaną nie jest, ale że kraj za nią zapłacił od 25 lat koło 60 milionów. Zacznijmy od szkół ludowych. Założono ich w przeciągu lat trzynastu, tj. od wejścia w życie ustawy szkolnej z r. 1873, koło tysiąca a dotychczas istniejące uległy reorganizacyi; obecnie ma ich kraj wszystkich koło dwa tysiące czterysta, a ma także i odpowiednią ilość seminaryów nauczycielskich. Ile razy spotkam starszego wojskowego, który kilkanaście warstw corocznych rekrutów naszych miał pod ręką, pytam go, czy znajduje jaką różnicę między rekrutem z lat ostatnich a dawniejszym. Odpowiedź odbierałem dotąd zawsze tę samą, tj. iż jest różnica, bo co rok rekrut jest mniejszy, mizerniejszy, gorzej fizycznie rozwinięty. Gdy spytam dalej, jaka różnica co do stanu oświaty między obecnym a dawnym rekrutem, odpowiadają mi, iż nie widzą żadnej. Przyznać trzeba, iż jeśli to mało dotykalne, jako owoc z naszego szkolnictwa ludowego, to jako owoc z systemu podatkowego i państwowego i krajowego, aż nadto dotykalne i komentarzy nie potrzebuje. Ale lubię także pytać i sędziów; otóż prokuratorowie twierdzą, iż liczba zbrodniarzy i przestępców czytać i pisać umiejących, ma się do ogółu karanych, jak liczba ludności czytać i pisać umiejącej ma się do ogółu ludności kraju, a zważmy iż bardzo wielka liczba czytać i pisać umiejących, jest w wieku sądowo niepoczytalnym. Co do sędziów karnych odbierałem nieraz od nich odpowiedzi, z których możnaby wyciągnąć konkluzyę naturalnie fałszywą, iż oświata jest czemś złem, bo wprost twierdzili, iż większa stosunkowo jest liczba skazanych oświeconych niż nieoświeconych; musi naturalnie ta rzecz zależeć od tego, czy sędzia miał głównie

z miejską, czy głównie z wiejską ludnością do czynienia Od obywatelstwa i duchownych ze wszystkich stron kraju słyszę skargi na wielkie dziatwy szkolnej wiejskiej nieuctwo, które doprowadzałoby na domysł, że źle uczą, ale przyznać także z drugiej strony wypada, że znaczny dość procent dzieci, bo koło 12% odpada w pierwszym roku nauki, czyli na drugi już nie uczęszcza, trudno więc, by się w jednym roku wiele nauczyły.

Niemniej trudno się obronić myśli, że jakaś kardynalna organizmu wada tkwi w nauczaniu. Zdawałoby się, iż wadą tą może być tylko opieszałość lub brak wykształcenia u nauczycieli. Bliższe badanie rzeczy przekonuje, że te zarzuty byłyby bezzasadne; dozór władz szkolnych nad nauczycielami jest bardzo surowy nawet drobiazgowy, opieszałych i niemożebnych mały tylko procent utrzymać się może, a o brak wykształcenia pomawiać nauczycieli z pewnością nie można, wymagania pod tym względem są bardzo wysokie. Gdzież więc błąd? Zdaniem mojem tam gdzie go nikt nie szuka, w ustawie szkolnej. Oparta na dwu fałszach, owoce dobre wydaje ona tylko przypadkowo, a stosunkowo do usiłowań małe. Pierwszą wadą naszego szkolnictwa ludowego nazwę przymus szkolny, choć się niejeden na taką herezyę oburzy. Czy społeczeństwo ma prawo żądać, by jego członkowie byli oświeceni. Czy w obec rzeczywistej prawdy, że naturalnymi a więc i najlepszymi opiekunami dzieci są rodzice, słuszną jest rzeczą, by nauczyciel państwowy wciskał się między rodziców a dzieci? Czy oświata jest dobrem bezwzględnem i na czem ona istotnie polega? Wszystko to są pytania, na które twierdząco odpowiedzieć, a dowieść twierdzenie jest bardzo trudno. Rozwiązuje je w znacznej części Europy poprostu *via facti*, tak jak *via facti* rozstrzyga kwestyę powszechnego obowiązku służby wojskowej. Ale pominąwszy tę kwestyę ogólną, co najwięcej zrozumiećby można, godziwość szkolnego przymusu w tem, w czem szkoła jest nieomylną, a taką jest ona tylko w samych rudymentach, w samych elementach, tj. nauczyciel rzeczywiście mylić się nie może, ucząc iż *b* i *a* jest *ba*, a *dwa* i *dwa cztery*. Dalej iść z przymusem, gdzie już wszelka nieomylność ustaje, to sprzeciwia się najprostszej logice. Zatem szkoła przymusowa w najciaśniejszym zakresie nauki mogłaby pozornie przynajmniej uprawioną być, szkoła w zakresie nauki dalej sięga-

jąca nigdy. Nam dano zakres nauki szkolnej daleko szerszy, niż elementarny, daleko dalej sięgający niż na stan cywilizacyi ludu odpowiada, zgwałcono w tym względzie prawa rady szkolnej i sejmu do oznaczenia zakresu nauki; i do szkół według tej modły rządzonych, kazano pod karą dzieci pędzić — *compelle intrare*, ile wlezie. Rezultat nie mógł być, jak tylko, ogólnie mówiąc, ujemny i twierdzić śmiem, iż przymus szkolny przynajmniej u nas nie posłużył prawdziwym oświaty interesom, ale im zaszkodził. Albowiem trzeba było albo zniszczyć materyalnie na szkoły jedno pokolenie, by wykształcić ogólnie drugie, jak to robią Prusacy z naszym ludem w Poznańskiem, gdzie w skutku szkół dodatki gminne wynoszą często wyżej 300% podatków stałych — albo się od przymusu szkolnego wstrzymać. Materyał ludzki do nauczania przychodzi, w obecnem przynajmniej pokoleniu, do szkoły jeszcze całkiem surowy; takich dzieci 40, jest to już liczba przechodząca to, czemu nawet tęgi nauczyciel może dać radę, my musieliśmy do 80 na jednego nauczyciela rachować, a w praktyce było podobno i więcej; skutkiem tego musiał nauczyciel licho uczyć, bo dobrze uczyć nie mógł, a uczyć jeszcze tem gorzej, im więcej przedmiotów w zakres nauki szkolnej wmieszczono, lub może wtłoczono. Stąd dziwny skutek, iż w porównaniu do warstw dawniejszych uczonych, bez przymusu szkolnego, warstwy młodsze gorzej umieją to, co umieją. Dalej w obec tegoż zakresu nauki, ta mała liczba dzieci które jako zdolniejsze i pilniejsze lepiej z takowej korzystają, stają się pod względem wiadomości o tyle od swych rodziców wyższemi, iż z natury rzeczy nabywają pewnego gatunku pogardy dla ciemnoty rodziców; uczucie bardzo niebezpieczne, nietylko moralnie ale nawet i materyalnie, bo chłopiec któremu wieś zaczyna się przykrzyć, z niej wyjść pragnie nietylko do szkół średnich, (i cóżby w tem było absolutnie złego), ale pragnie się z nią rozstać na zawsze. Natłok do gimnazyów coś o tem mówi, a robi się taki, iż ile wiemy, pan minister oświaty na seryo zamyśla o utrudnieniu egzaminów gimnazyalnych w Galicyi, by uniknąć tak zwanej hyperprodukcyi inteligencyi; smutno to, kiedy się do takich środków uciekać trzeba, zwłaszcza gdzie jak u nas przy bardzo niedostatecznej nauce gimnastyki i tak już młodzież fizycznie przy nauce karłowacieje.

Pozostanie także ciężkim zarzutem przeciw naszemu szkol-

nictwu ludowemu, iż uposażając w szkoły wsie ludniejsze i bogatsze, nie myślało przedewszystkiem o tem, by w nie zaopatrzyć wsie posiadające kościoły, i że zakładając szkoły nie obmyślało zarazem dla każdej stosownej opieki duchownej. Nauka, najważniejsza dla każdego który ateuszem nie jest, nauka, której się dzieci z ludu najtrudniej uczą, nauka religii, dostała miejsce, że tak powiem, drążkowe. Katechetów nie obmyślano a przynajmniej nie dotowano, po wsiach zostawiono rzecz duchowieństwu, a w braku jego poruczono naukę religii nauczycielowi z tem słusznem zastrzeżeniem, iż mu tylko uczyć według katechizmu wolno, ale nie tłumaczyć; równie dobrze możnaby i ód Horacego dzieci na pamięć uczyć. Duchowieństwo zaś postawione po zerwaniu konkordatu obok nauczyciela, zamiast nad nim, straciło (czemu nie dziwować się, ale jednak żałować wypada), wszelki do szkoły zapał, kiedy w niej jest tylko cierpianem i ogranicza się po większej części do bardzo niedostatecznej nauki katechizmu w kościele. Takie skutki pociągnęło za sobą zaniedbanie względu, iż choćby kto był nawet zwolennikiem przymusu szkolnego, jeszcze trzeba było dla nas na jakiś czas od niego odstąpić, bośmy i nadto biedni i ludność nasza do tego zakresu nauki nie dorosła. Nie trudno nawet byłoby wykazać, że szkoły nasze nietylko kraj ubożą o tyle, ile go kosztują, ale i to, ile mu sił roboczych ujmują.

Wszystko to dobrze, odpowiedzą mi, cóż kiedy przymus szkolny jest prawem państwowem, darmo nam z tą przeszkodą walczyć. Najprzód, że przeszkoda jaka ciężka, to jeszcze nie tłumaczy tego, który jej ani razu usunąć nie usiłował, a potem czyż już nigdy nad biedną Austryą nie ma zaświecić jutrzenka swobody nauczania, i czyż my się mamy koniecznie uważać za niezdolnych do inicyatywy, choćby zrazu bezowocnej w tym względzie. Dziwna rzecz, że my, którzy, przynajmniej dziś, z pewnością nic z tak zwaną sektą masońską wspólnego mieć nie chcemy, zgodziliśmy się tak łatwo na to, co ona zawsze i wszędzie gdzie występuje, wypisuje na swym sztandarze: „Nauka bezpłatna i przymusowa“. Ten podwójny fałsz nikomu szkodliwszym być nie może jak nam; inne narody i bogatsze i więcej oświecone, nie tak ciężko jak my biadają na jego skutki; my od lat piętnastu blisko patrzymy, jak szkoły ludowe geniuszowi narodu i jego stopniowi cywilizacyi nieodpowiednie, mało

przynoszą korzyści a dużo kosztują. A teraz zastanówmy się nad bezpłatnością szkół.

Za darmo jest tylko śmierć, jak mówią Niemcy, i każdy wie, iż bezpłatność jest kłamstwem i że płaci całe społeczeństwo za naukę ludu. Płaci ono jak u nas wcale niemało, i dla jednych tylko szkół ludowych zrobiono u nas wyjątek od ogólnego prawidła, które przez cały organizm administracyjno-społeczny jak nić czerwona się przewija, mianowicie iż na utrzymanie tego organizmu płacą wszyscy, ale za pewne przysługi które on czyni, płacą jeszcze osobno ci, którzy z takowych korzystają. I tak płacimy wszyscy na drogi, ale oprócz tego płacą myto ci, którzy po nich jeżdżą. Na utrzymanie sądów płacą wszyscy, ale oprócz tego i ci, którzy mają własne sprawy po sądach. Na szkoły średnie i wyższe płacą wszyscy, ale oprócz tego i ci, którzy do nich chodzą. Dla jednej szkoły ludowej zrobiono w tej zasadzie wyłom, i to kto go zrobił? może bardzo bogate społeczeństwo np. czeskie lub niższo-austryackie? Nie, najuboższe w całej monarchii austryackiej, my. I to w imię czego? w imię frazesów pięknie brzmiących o czarze oświaty, którą ludowi do ust spragnionych przychylić trzeba i t. d., a wyrzeczonych albo przez ludzi dobrej woli ale ludu nieznających, albo przez fanatyków rewolucyjnych teoryj. Piękne o tem rzeczy prawiono w r. 1872, i jak niestety nieraz to bywa, zwyciężyły piękne słowa nad zdrowym rozsądkiem. Nie wiedzieli albo też wiedzieć nie chcieli autorowie bezpłatności w szkole ludowej, iż lud w swym rozsądku tak prostym a pewnym, darowizny nie rozumie i nie szanuje. Ten sam chłop który dziś (i to często i niemało) płaci nauczycielowi, by chłopaka do szkoły nie wykazywał lub o nieuczęszczającym nie donosił, ten sam chłop jutro jeśliby płacić za dziecko musiał, będzie go pilnował by do szkoły chodziło. „Ucz się bo ja za to płacę“, oto jak mu powie. I tu nie można powiedzieć, że nam ustawa państwowa stała na przeszkodzie, bo opłaty szkolne w większej części krajów monarchii istnieją, i to w najbogatszych, np. w samych Czechach opłaty w szkołach ludowych przynoszą z górą milion reńskich rocznie. Samochcąc tracimy najsprawiedliwszy, najmniej półmilionowy dochód roczny a pod brzemieniem podatków upadamy i upadać będziemy, bo nietylko że ustawa państwowa przynagla nas do tworzenia coraz nowych szkół, ale gdyby jej nawet nie było, szkoły

zakładać należy, i snać się społeczeństwo nasze do tego obowiązku poczuwało, kiedy więcej szkół ludowych założyło dobrowolnie przed ustawą 1873 r. niż po jej wejściu w życie. W desperacyi o fundusze na potrzeby kraju rzucono podczas ostatniej sesyi sejmowej myśl dość ponętną a w gruncie potworną o zaprowadzeniu opłat konsumcyjnych na rzecz kraju, które delikatnie i nieznacznie wysysałyby głównie mniej majętnych, i mało kto się na ten wniosek wzdrygnął, ale niechby kto śmiał wystąpić z wnioskiem opłat szkolnych choć nizkich, choć po 50 c. kwartalnie od dziecka, nietylko okrzyczanoby go, ale nawet uwierzonoby, że to jest wszelkiej oświaty serdeczny wróg i wszelkiej reakcyi patron, tak wielką jest potęga utartych frazesów. Niemniej taka opłata będzie konieczną, jeśli nasze szkolnictwo ludowe ma się dalej rozwijać bez nadto ciężkich szkód dla stanu finansów kraju. Wydatki na szkoły bez przerwy rosnąć będą, rosnąć muszą; by w obecnych czasach rósł majątek mieszkańców kraju mocno wątpić wypada, ale co rośnie niewątpliwie to pretensye nauczycieli, i nawet nie powiem by niesłusznie. Zważywszy wysokie wymagania władz szkolnych co do ich wykształcenia, zważywszy że im nie pozwalamy na żadne uboczne zajęcia, zważywszy na bardzo żmudny i twardy ich zawód, czego dowodzi ogromna w stanie nauczycielskim śmiertelność, rzeczywiście wynagrodzenie ich obfitem nie jest. Że do stanu tego natłoku nie ma dowodzi zmniejszająca się ciągle frekwencya w seminaryach nauczycielskich tak, iż potrzebna co rok ilość nowych nauczycieli tylko na dwa najbliższe lata zapewnioną jest. Przeciw zaprowadzeniu opłat szkolnych istnieje jeden tylko argument, a to ten, iż ich nie zaprowadziliśmy od razu; reszta są czcze frazesy, ogólniki aż nadto już oklepane. I to nienajtwardszy z orzechów, jakie mamy do zgryzienia, znajdą się i twardsze jak obaczymy niebawem.

Gdy powiedziałem, że upadamy pod ciężarem podatków, wtórowałem tylko wołaniu całego kraju, które się rozlega od lat wielu, ale przypatrzmy się tym podatkom bliżej. Najprzód idą bardzo liczne, bardzo ciężkie, stałe i niestałe, a ostatnie zdaniem mojem gorsze; podatki państwowe, a z nich chyba najbardziej rujnujące tak zwane należności skarbowe *alias* stemple. Ale nad tem darmo się rozwodzić dzisiaj, rada państwa do której i my należymy uchwala takowe i prędzej chyba danoby nam swobodę wzajemnego

zabijania się, niżby nam na tym punkcie sfolgowano. Dalej idzie powoli ale stale rosnący dodatek krajowy do podatków stałych. Że przy większej oględności nie byłby urósł tak dalece jak urósł, rzecz pewna, ale rekryminacye poczęści daremne, sami uchwaliliśmy. Niepodobna wszystkiego burzyć, co się zrobiło i nikt rozsądny o tem nie myśli, jednak oszczędności możliwe, o których poniżej, mogłyby przynieść najmniej pół miliona. Zostają dodatki powiatowe i gminne, i tu zdaniem mojem zbłądzono ciężko przy urządzeniu administracyjnem kraju, a wina jest i rządu i nasza. Liczba powiatów w kraju jest zdaniem mojem więcej niż dwa razy za wielka, a stąd i liczba rad powiatowych! Nietylko wynika stąd ogromne powiększenie kosztów ale i niedołęstwo administracyjne, spowodowane tem, iż w tak szczupłych terytoryach niepodobna jest znaleść sił odpowiednich do autonomicznej administracyi powiatu. Stąd te skargi nieustające na niektóre powiaty, które mieszcząc w sobie latifundia albo też prawie samych tylko dzierżawców Żydów, nie posiadają wcale odpowiednich do służby autonomicznej osobistości; inne powiaty znowu są nadto ubogie i nieludne, by zadaniom swym sprostać mogły. Tłumaczyć szeroko nie potrzeba iż rada powiatowa na 60 mil kraju będzie więcej trochę kosztować niż na 30 mil, ale bardzo znacznie mniej niż dwie takie rady. Wiem dobrze, iż reorganizacya kraju pod tym względem przedstawia trudności olbrzymie, ale kto chce rzeczy, chce środków; kto chce oszczędności, a pragnie ich chyba większość w kraju, ten się trudnościami zastraszać nie powinien. Ustawa gminna, której pierwszym defektem jest, iż ma fałszywy tytuł, bo się powinna nazywać ustawą dla wsi i miast, z fałszywych wychodząc pierwiastków musiała do ujemnych w znacznej części doprowadzić skutków.

Co powiedzieliśmy o radach powiatowych, to w równej a nawet i większej mierze do gmin naszych się stosuje. Nietylko brak im odpowiednich do zarządu osobistości, ale dzieje im się jak małemu majątkowi i gdy się go obsadzi oficyalistami, to administracya zje wszelki dochód. Małe gminy nasze rujnują się po prostu na swoją administracyę, widzimy nieraz na jak potworne dodatki do podatków przyrastać im trzeba, nie dziw że trudno im płacić nadto państwowe i krajowe podatki. Niepodobna, o gminach mówiąc, nie dotknąć obszarów dworskich. Wiem ile tu drażliwych materyj, nie-

mniej jednak gdy już piszę, pisać muszę to, co w sumieniu za prawdę mam. Ta relikwia patrymonialnych czasów, ten eksterrytoryalny obszar dworski przedewszystkiem krzywdzi od dwudziestu przeszło lat gminę o tyle, iż żadnych na jej zarząd podatków nie płaci, z zarządu tego pod wieloma względami korzysta, a własny jego zarząd nic prawie nie kosztuje, bo też i prawie nie istnieje. Żaden rozsądny człowiek nie myśli o tem by jednostkę wyżej wykształconą jaką jest, ogólnie mówiąc, właściciel obszaru dworskiego topił w jeziorze równości gminnej. Ale roztropność zdawała się wskazywać, iż dopiero połączenie obszarów dworskich z gminą zbiorową z odpowiedniej ilości mieszkańców złożoną, może gminę i finansowo i moralnie o tyle wzmocnić, ile dla spełnienia tak różnorodnych funkcyj potrzeba. Inaczej rozstrzygnęły krótkowidzące zwykle przesądy. Niechęć do przykładania się do ciężarów gminnych, obawa majoryzacyj włościańskich, obawa zwłaszcza na Rusi wpływu duchowieństwa, nieraz mniej przychylnego, nauczycieli, pisarzy, djaków i t. d., wreszcie wstręt nie tak bardzo dziwny u tych, którzy mieli dawniej stanowiska uprzywilejowane do równania się z ogółem, wstręt do wójtowskiego burmistrzowania na własnem podwórzu, wszystko to razem sprawiło, iż postanowiono odłączenie obszaru dworskiego od gminy a raczej gromady. Tym sposobem odgrodziło się obywatelstwo ziemskie, od chłopa murem chińskim, i aby przynajmniej na oko być od niego niezależnem (a któż od drugiego na prawdę jest niezależnym) zgodziło się by mu się stać obcem. Dwadzieścia kilka lat upłynęło, a obszar dworski wyłączony od gminy nietylko stał się złym, bo tym był od początku, ale nawet śmiesznym. Śmiesznym, bo przy wolności nabywania i dzielenia gruntów, dostał się na obszar dworski Izrael, a ten pewno nie ma najmniejszego z przeszłości ani teraźniejszości tytułu do miejsca uprzywilejowanego; śmiesznym powtóre, bo doprowadził w konsekwencyi do absurdu tak zwanych „wirylistów".

Dziś obszar dworski przez wejście do rady w gminie zbiorowej mógłby ją ratować finansowo, bo się przy zmniejszeniu liczby gmin, a zwiększeniu gminy zmniejszą ogólne koszta administracyi; ratować ją mógłby moralnie, bo pierwiastek więcej cywilizowany wchodząc do rady gminnej podnieść ją umysłowo i moralnie musi; ratować się przytem będzie sam. Od niczego tak człowiek nie kar-

łowacieje jak od myślenia tylko o sobie, a tak obecnie jest. Dawniej za pańszczyzny dziedzic chcąc nie chcąc o swych poddanych myśleć musiał, dziś jeśli chce zasklepić się, może to uczynić jak nigdy, ale też i wpływ utraci jak nigdy. Przeciwnie w związku z gminą wpływ zyska i to wnet, bo korzyść z jego bytności w radzie wnet włościanin poczuje na własnej kieszeni. Co mnie zaś utwierdza w mniemaniu, iż chwila do rozpoczęcia akcyi za gminę zbiorową jest dobrą, to okoliczność, że myśl ta wskrzeszoną została na nowo, choć jeszcze z cicha, ale z tej właśnie strony, skąd dawniej zawsze przeciw niej największa powstawała opozycya, mianowicie ze wschodu. — Ale to wniosek Dunajewskiego *redivivus*! — Nie mam ja „Zarysu organizacyi administracyi“ czyli tak zw. wniosku Dunajewskiego za ewangelię, ale sądzę, iż zawiera bardzo wiele rzeczy zdrowych, i roztropny wybór myśli trafnych w nim zawartych i przeprowadzenie ich w czyn, wyprowadzić nas może, choć niestety późno, z obecnego położenia, w którem ponosimy ofiary pieniężne nad siłę, by utrzymać porządek spraw krajowych, ani dostateczny, ani zadowalniający.

Interesa komunikacyj, z czysto ekonomicznych najważniejsze, sprawuje już oddawna ręka tak wprawna i doświadczona, iż na pierwszy rzut oka zdawałoby się, że przynajmniej co do tego działu służby publicznej nie ma jak tylko się radować. I tak byłoby zaiste, gdyby tylko pytać, czy uchwały sejmowe są wykonane i czy są wykonane dobrze, boć za to tylko szef departamentu drogowego odpowiada. Ale tu idzie niestety o coś więcej a mianowicie o to, czy uchwały sejmowe w tej materyi były dobre. Otóż zdaje mi się, iż uchwały sejmowe były w tem złe, iż dekretowano drogi nadto prędko i nadto kosztowne. Przekonani i słusznie, iż dobre komunikacye są jednym z warunków materyalnego dobrobytu kraju, zrobiliśmy jak właściciel ziemski, który przekonany o dobrym skutku melioracyj gruntowych, zaprowadza je na wielką skalę i według najlepszych, zwyczajnie też najdroższych systemów, a nim z nich cel osiąga, suchot finansowych dostaje. W porównaniu z dochodem namacalnym, który dają, drogi nasze zbyt wielkim są dla kraju ciężarem, a przy równoczesnym rozwoju sieci kolejowej, pewna część ich stała się zbyteczną jako drogi handlowe, utrzymywać je zaś, jako drogi spacerowe i odwiedzinowe, na to nas nie stać. Choć sieć drogowa bliską

jest ukończenia, sądzę, że ona jeszcze kilka milionów pochłonie. Przy skromniejszej dróg pod każdym względem na przyszłość konstrukcyi da się oszczędzić niemało a jednocześnie przy zmniejszonej na nich częścią w skutek kolei, częścią w skutek stagnacyi handlowej frekwencyi, wiele z nich możnaby kontentować daleko mniejszą niż dziś konserwacyą. Droga dobra jest potrzebna, droga arcydobra jest zbytkiem dozwolonym w bogatym kraju; drogi nasze są, wyznam to z chlubą i pochwałą, ale i z krytyką, arcydobre. W dziale zdrowia publicznego postąpiliśmy podobnie jak co do szkół ludowych. By odrazu rozprawić się z zarzutami braku uczucia ludzkości, powiem otwarcie iż miłosierdzie uważam za dzieło prywatne, jedno z najważniejszych i najszczytniejszych, ale nie za sprawę publiczną; sprawą publiczną jest hygiena. Leczenie ubogich chorych pochłania kwoty bardzo znaczne, a pod ubogich podszywają się zbyt łatwo tacy, którzy nimi nie są Nadto obrażoną jest tym sposobem zasada, iż ludowi nic darmo dawać nie należy, urzędowo, publicznie; lud datku publicznego nie ceni i datek taki jego pojęcia wykrzywia. Dawać wpół do dwóch trzecich darmo, nieraz wypada i należy, całkiem darmo rząd nigdy dawać nie powinien, rzecz to prywatnych. Albo więc trzebaby, żeby gminy pewną część kosztów kuracyi za tych swoich członków, którzy żadnego nie mają majątku zwracały, i wtedy nie będą wydawać niezgodnych z prawdą świadectw ubóstwa, albo zaprowadzić tak zwany system asekuracyjny, który w innych krajach tak wyborne daje skutki. Polega on na tem, iż każdy mieszkaniec kraju płaci corocznie kwotę, równającą się kosztowi jednego dnia leczenia, przeciętnie ze wszystkich szpitali wziętego i za to nabywa prawa w razie choroby uleczalnej do bezpłatnego leczenia się w najbliższym swego mieszkania szpitalu krajowym. Zapłata ta nie jest przymusowa, ale jeśli jej kto nie uiszcza, musi on lub gmina jego płacić cały koszt kuracyi. System ten w innych krajach monarchii przynosi tak znaczne korzyści, iż, jak np. w Wiedniu obrachowują, z czasem i ta opłata ustać będzie mogła, albowiem powstanie fundusz odpowiedni.

Dalszym błędem naszej administracyi szpitalnej jest wielka jej kosztowność. Nie mówię o utrzymaniu chorych, bo to choć mi się zdaje na nawyknienie naszego ludu zbyt wykwintne, ale uchylić muszę czoła przed powagami lekarskiemi, które twierdzą, iż właśnie

ten wikt doborowy przyczynia się do skrócenia kuracyi. Ale zdaje mi się, że obsługa chorych, a pod nią rozumiem koszta utrzymania całego zarządu od rządcy szpitala i prymaryuszów aż do stróża i maszynistów, jest nadto znaczną, bo wynosi mniej więcej tyle co całe wyżywienie chorych. Na tym punkcie nic odrazu uczynić nie można, bo się tu ma do czynienia z etatami ustanowionemi, zapewnionemi, a więc z prawami uczciwie nabytemi. Niemniej przy koniecznych wakansach redukcyę tak co do ilości osób, jak też co do ich pensyi uczynić można i należy. Zwłaszcza pensye lekarzy szpitalnych zdają się wygórowane, bo kiedy w Poznaniu wynoszą takowe do 300 tal., a w Warszawie do 600 rs., u nas dosięgają 2500 złr. z dodatkami porachowawszy. Rachunkowość szpitali również zatrudnia zbyt wielką liczbę indywiduów.

Administracya szpitali przez Siostry Miłosierdzia przyniosłaby budżetowi krajowemu ulgę znaczną, a mówię tu nie z teoryi, ale z praktyki. Zmiana ta jednak dużo potrzebowałaby czasu, nimby się uskutecznić dała, a do tego głosy lekarskie są jej wręcz przeciwne, wreszcie w każdym razie dwa działy po szpitalach głównych z natury rzeczy zawsze w ręku męskich pozostać będą musiały. Dla tego mimochodem tylko nadmieniam, iż szpital św. Kazimierza we Lwowie jest około 30% taniej administrowany, niż powszechny, ale też lekarska pomoc w nim bardzo mało kosztuje. Co do szczegółów służby zdrowia, w te z natury uwag niniejszych wdawać się nie będę.

Oszczędności możliwych w kosztach reprezentacyi i zarządu kraju nie dotykam bliżej, bo się składają z oszczędności w samych szczegółach a musiałyby być stopniowo i bardzo ostrożnie przeprowadzone; oszczędność w tych rubrykach więcej niż 50.000 złr. wątpię by uczynić mogła.

Co do szkół rolniczych przyznam, iż odpowiedniej korzyści z najkosztowniejszej z nich, tj. szkoły Dublańskiej dopatrzeć się dotąd nie mogłem, a co do średnich i niższych, to na nie grosza żałować nie należy, byle ludzi odpowiednich na ich kierowników dostać.

Dziwna rzecz, że się nieraz miarami nierównemi mierzy, a nikt na to nie krzyczy. Gdyby się miasto jakie domagało subwencyi bezzwrotnej, *alias* darowizny, na budowę koszar lub inny bezpośre-

dnio produkcyjny cel, każdyby się rozśmiał, gdy zaś niektóre okolice, i to wcale nierozległe, biorą grosz publiczny na melioracye wodne ich tylko użytkowi służące, nikt się nie dziwi. Przy ogólnem zbliżeniu kraju regulacye wód mniejszych, kosztem samych tylko interesowanych rzadko są możliwe i pomoc kraju w tym razie pewno chwalebna ale czemuż bezzwrotna! Systemat obecny zaprowadzi nas do tego, że wykosztowawszy się ciężko na jednych by im było lepiej, drugich samym sobie pozostawić będziemy musieli i w tym razie jak i w wielu innych więcej znaczyć będą dobre płuca, dobry język i dobre stosunki, niż rzeczywista potrzeba. Nadto nad braniem subwencyi zwrotnej zastanowią się dobrze interesowani i nie będą się mnożyć wypadki regulacyj, a takich pokaże się wiele, tyle szkodliwych dla niżej położonych, ile korzystnych dla leżących wyżej.

Co zaś do regulacyi wód znaczniejszych, sprawę tę uważam za państwową. bo nadto na kraj olbrzymią. Boję się, że na ponętę pomocy państwowej resztę grosza w niej utopimy a skutek błogi, o którym bardzo powątpiewano przyjdzie zapóźno. Obwałowanie rzek niszczących mam za bezwarunkowo pożyteczne, co do regulacyi, to sprawa, w której jeszcze nejmędrsi macają. Na północ od Karpat mało dotąd regulowano; regulacye włoskie i tyrolskie nie dają nam dokładnego przykładu, bo tam z lodem mało albo wcale nic do czynienia nie mają, zresztą o tych regulacyach opinie są bardzo różne, a o węgierskich mówi Szegedyn ale jakoś ponuro.

Wspomagać przemysł krajowy musi każdy rząd roztropny, i w obecnych zwłaszcza czasach widzimy jak wiele i skutecznie czynią na tem polu Rosya i Węgry. I my tak chcemy, ale zapominamy, że tylko rząd samodzielny może skuteczną w pełni przemysłowi przynieść pomoc. Kwota, którą przeznaczamy corocznie na wsparcie dla przemysłu krajowego jest stosunkowo do naszej możności dość znaczna, stosunkowo do potrzeb przemysłu znikająca. Mimo tego mógłby przemysł tę pomoc uczuć, gdyby ją całą choć przez kilka lat jednej tylko gałęzi przemysłu poświęcił; rozdrobniona na kilkanaście celów co rok, niemal straconą jest, i jestem zdania by ją albo całkowicie z budżetu wykreślić, co stanowi oszczędność koło 50.000 złr. rocznie albo ją poświęcać na cały szereg lat jednemu tylko przemysłowi np. nafcianemu albo też tkackiemu.

Są wreszcie niektóre, budżet stale obciążające wydatki na pierwszy rzut oka bardzo zbyteczne; nie chciałbym być pomówionym o chęć oszczędzania na nich. Mam tu mianowicie na myśli subwencye dawane teatrom. Nie jestem bezwzględnym wielbicielem teatru i wiem, iż nieraz miasto *ridendo castigare, ridendo depravat mores*. Mimo tego sceny polskie są potrzebne i dla języka i dla utrzymania ducha narodowego i jako pole dla pisarzy a wreszcie i głównie dlatego, by publiczność chronić od sprosności *café-chantant* i tym podobnych przedsiębierstw, które i obyczaje i ducha narodowego psują i smak dobry każą. Sceny przyzwoitsze na całym świecie subwencyi potrzebują a więc i u nas. Oprócz tego cały szereg dotacyj o znaczeniu narodowem lub moralnem utrzymanym być musi, bo tu zachodzą względy wyższe niż finansowe. Dotykać ich ani myślę: oszczędność na tem polu byłaby mała, a złe wielkie. Podczas ubiegłej sesyi widać było w komisyi budżetowej sumienną do oszczędności dążność; pewne pismo piętnowało ją jako praktykę niektórych panów, gotowych dla swych celów egoistycznych poświęcić zdobycze cywilizacyi. Ale spytam tych, którzy tak piszą, gdzie byli, gdy się ratowało banku włościańskiego ofiary, gdzie stali, gdy akcya ratunkowa po powodzi wymagała ofiary nietylko z grosza, ale i ze zdrowia? Pokąd na to nie dadzą dostatecznej odpowiedzi, niech ścierpią, że więcej będziemy wierzyć tym co czynią, niż tym co krzyczą.

Rzecz to godna zastanowienia, że wniosek posła Kozłowskiego, by wydział krajowy złożył ankietę, celem przedstawienia możliwych w administracyi kraju oszczędności i ułożenia preliminarzy już z uwzględnieniem tychże, że wniosek ten umarł, że tak powiem, przy urodzinach. Poczytywanie takiego wniosku za krytykę czynności wydziału krajowego uważam za niesłuszne, boć wydział krajowy wtedy tylko na krytykę zasługuje, gdy uchwał sejmu nie wykonuje, albo je wykonuje źle, albo też nadto na własną rękę działa. Mówiono słowa wielkie o środkach ratunku, nawet i komisya celem ich szukania ustanowiona, a nawet słowo *moratoryum* wyrzekły usta bardzo wymowne, ale wniosek jeszcze do niczego nie obowiązujący, wniosek poruszający tylko myśl, że wartoby na seryo zastanowić się, gdzieby i w czemby można na przyszłość oszczędzić, wniosek taki uduszono ledwo się narodził, a nie wiem, czy wniosek ten

nie byłby może najdodatniejszym ubiegłej sesyi owocem. Ale był to wniosek reakcyjny, czyż więcej o nim mówić warto!

Słyszy się nieraz wymówkę, iż nietylko my, ale wszystkie kraje Europy, wszystkie większe miasta źle gospodarują i w długi brną. Nie wiem czy to tak ogólnie prawdą, ale nigdy nie słyszałem, by należało iść za złym przykładem. Że ogólnie mówiąc, finanse państw europejskich chorują, i to nie na pletorę, ale na suchoty, o tem wiem. Jaka tego przyczyna? Rzadko kiedy bywa jedna przyczyna zjawisk społecznych, ale za jedną z głównych mam równie prosty jak genialny plan spisku międzynarodowego socyalno-politycznego *wulgo* masonii. Polega on zdaniem mojem na tem, by jednocześnie zadłużyć rządy w głównych domach bankierskich świata, które wszystkie do masonii należą, z celem, by je mieć w swej mocy, a domy te przez korzystne, rządom czynione pożyczki i inne świetne interesa zbogacać ku dalszej ich potędze. *Auri sacra fames* małą tu gra rolę, a główną *fames imperii*. Stąd to Mars, bożek tem poważniejszy im się kompletniej prawdziwego Boga ruguje ze świata, zabiera połowę rocznych dochodów a Merkury z Minerwą drugą. Stąd melioracye olbrzymie a niepewne, stąd koleje, dla tych tylko którzy je stawiają korzystne, stąd budynki olbrzymie i wspaniałe, odpowiadające wielkości skrzyń rządowych, ale nie potrzebom ludności, stąd łechtanie próżności narodowej hasłami oświaty i postępu. Że się własność zamieniła w dzierżawę a więcej prawie już jest ciężarem niż prawem, a komuż z tem lepiej, niż temu spiskowi; wszak się to wszystko na panujących skrupić ma. Tych co nie wierzą, proszę aby mi powiedzieli, jakich szkód doznali Rotszyldowie i inne wielkie domy paryskie podczas saturnaliów komuny? Kto chce spostrzedz wpływ masonii i żydowstwa na finanse państw, niech spojrzy na Włochy i Węgry. W Belgii ci ludzie pokąd byli u steru, bezwzględnie wydawali miliony za milionami na szkoły, o których z góry wiedzieli, iż będą stać pustkami, bo się ludność kraju niemi brzydzi. W Austryi ten nieprzyjaciel jest uszeregowany i niedawno był u władzy, ale się kryje, bo mu z otwartą przyłbicą występować broni stara katolicka Habsburgów tradycya. Wiem, że niejeden przeczyta te słowa z uśmiechem politowania, ale wiem także, iż niejeden, który lat temu kilkanaście, mówił o masonii, jako o mycie z uśmiechem, dziś ma troskę na twarzy nie uśmiech, gdy mu ją wspomnieć.

Wszędzie i zawsze gdzie ona występuje, ten sam ucisk Kościoła przez niecne ustawy, ścieśnienie praw rodziny przez szkoły i kodeks, ten sam ucisk własności przez nadmierne podatki, to samo panowanie plutokracyi. Ależ u nas masonów nie ma! Zapewne, że musi ich być mało, kiedy nas tak cała Europa nienawidzi. Niedawno temu byliśmy „narodem męczenników, męczennikami wolności", dziś jesteśmy „trutniami" (i jako tacy bez żądła), których z europejskiego ula wykłuć coprędzej należy. Tak — bo dawniej siedzieliśmy po lożach i wentach, a teraz nas tam widać, na gust tych panów, za mało. Jeden to dla mnie symptom pocieszający wśród tej powodzi i bólu i sromu, która na nas przyszła. Niemniej zasypiać nie trzeba i pod tym względem. Wśród nas są i żyją dobrzy zapewne i gorący Polacy, którzy bodaj czy nie dla mniemanego dobra kraju zaprzedali masońskiemu dobrą swą wolę, i którzy kraj kochając zgubiliby go, jeśli się nad nimi czuwać nie będzie. Teorye tych ludzi zawsze te same, czy, jak temu blisko 80 lat, piszą podróż do Ciemnogrodu, czy gryzmolą szpaltę „Prawdy" i „Przeglądu tygodniowego", lub innych follikułów, czy w sejmie wołają tak, że włosy na głowie stają, gdy się myśli, kto to taki tak wotuje. Na kraj nasz, polityką ich jest tworzyć jak największą liczbę ludzi z grosza publicznego żyjących i pieniężnie od nich zależnych, jako swoją na skinienie gotową armię. Stawa ona do wyborów i twarda tam z nią rozprawa; dotąd zwycięża się groszem i przez rząd, ale to Pyrrusowe zwycięstwo, a podczas gdy grosz się wyczerpuje, a rząd odmienia, liczba zależnych od tych panów finansowo wotantów coraz się zwiększa. Sami nawet ci panowie corocznie w swych sprawozdaniach podają nam ile im posłusznych, bo pieniężnie od nich zawisłych co rok przybywa, a my to za postęp mamy i cieszymy się! Baczność tedy co do oszczędności. Ze środków materyalnych ten dla nas najgłówniejszy, raz, że nam zdobywa słuszne zaufanie ludzi, a powtóre, bo tym panom broń z ręki wytrąca. Pamiętajmy, że nasz i ludu pieniądz to tych panów oręż.

W końcu wspomnieć wypada jeszcze i na jedną ważną do oszczędności pobudkę. Mówiąc o oszczędności pewien poseł (zapewne miał na myśli oszczędność przesadną, absolutną) przyrównał jej stosowanie do rozrzynania sobie dobrowolnie żywota, czyli do tak po japońsku zwanego *harikiri*. Otóż boję się i ja, by nas takowe

kiedy nie spotkało, ale innej natury. Ustawa finansowa dająca nam prawo do pobierania dodatków do podatków musi jak wiadomo być corocznie uchwalaną i sankcyonowaną; zważmy zaś, że rząd czerpie z tej samej studni co i my; jeśli się zacznie obawiać by mu nie brakło, bo my czerpiemy nadto, to nam wiadro po prostu odbierze; innemi słowy, sankcyi dla ustawy finansowej odmówi i tu dopiero będzie *harikiri*, ale wcale sromotniejsze niż to, o którem wspominał dostojny poseł. Wiadomo bowiem, iż płatanie sobie żywota w Japonii jest bardzo honorowe jeśli dobrowolne, ale hańbiące kiedy się odbywa po ukazie. Starajmy więc ograniczyć się bo i przykro i wstyd nam będzie jeśli nas ograniczą. Obawa zaś płonną nie jest, każdy spokojnie na rzeczy patrzący widzi, że ku bankructwu idziemy; prawa arytmetyki są jedne, czy dla pojedyńczych ludzi, czy dla całych krajów. Że zaś oszczędności są możliwe, wykazałem to powyżej, nie przeczę iż pobieżnie. Wykazanie dokładne możliwych oszczędności byłoby operatem nie artykułem przeglądowym.

P. C.

Cechy w Wielkopolsce i wykonywanie procederu.

Rzemieślnicy za granicą: we Francyi, we Włoszech, Belgii i Niemczech zawiązywali się w bardzo odległych czasach w stowarzyszenia dla bronienia swego mienia, a później w celu coraz większego zyskiwania praw i przywilejów. Rawenna ma statut rybacki z r. 943, cech rzeźnicki w Paryżu ma go z r. 1282; w Niemczech zdaje się być najstarszym cech szewski w Strasburgu; sięga on XIII. wieku.

Nie ulega wątpliwości, że kraj położony nad Wartą i Gopłem, kraj, którego główne miasto Poznań już w X. wieku ery chrześcijańskiej było stolicą Mieczysława I. i biskupa Jordana, miał już wówczas swoich rzemieślników a zwłaszcza najpotrzebniejszych, jak szewców, krawców, młynarzy i t. d. Z epoki tej nie mamy jednak w tej mierze pewnych wiadomości. Dopiero w wieku XIII. znajdujemy liczne ślady, świadczące że Poznań napełniony był w tym czasie rzemieślnikami różnego rodzaju, a niewątpliwie i inne miasta miały ich także. Kroniki miasta Poznania wspominają o młynarzach

z czasów Przemysława I.; przywilej Bolesława, księcia kaliskiego, z r. 1267 mówi o podatkach w Poznaniu: szewskich, rzeźnickich, kuśnierskich, piekarskich i t. d. Mamy też dowody na to, że w wieku XIII. byli u nas po wsiach rzemieślnicy; Przemysław II. darował dziekanowi gnieźnieńskiemu wieś przez bednarzy zamieszkałą.

Poznań miał nawet już w wieku XIII. cechy; w r. 1288 przy zakupnie młyna występują cechmistrze (jurati) jako świadkowie. W wieku XV. już niemało spotykamy cechów w całej dzisiejszej Wielkopolsce, a ze statutów tychże cechów okazuje się widocznie, że już przed wiekiem XVIII. były ustawy cechowe, na które odwołują się rzemieślnicy z tego czasu. W ustawach z wieku XV. znajdujemy i pisane zwyczaje cechowe, których, jakkolwiek nie były zawsze ujęte w formę statutów spisanych, ściśle przecież przestrzegano.

Zewnętrzne walki w wieku XII. i XIII. tamowały niewątpliwie przemysł rodzinny; podnieśli go Niemcy, których w wieku XIII. niemało do nas napłynęło; dzisiejsza Wielkopolska graniczącą bezpośrednio z krajami niemieckiemi, była pierwszym etapem, na którym szukający chleba i zysku Niemcy osiadali. Gościnnie ich przyjęto, pozwalając im osiedlać się na mocy praw niemieckich. Królowie polscy gorliwie zajmowali się przemysłem; w wieku XVI. już coraz wybitniejsze mamy tego dowody, a opieka ta nie ustawała aż do ostatnich czasów przedrozbiorowych. Z wieku szesnastego najliczniejsze o opiece rządu polskiego nad rzemiosłem świadczące dokumenta znajdują się w skarbcach (ladach) cechowych. Dokumenta z wieków poprzednich, które były niewątpliwie także, poginęły; bardzo ich wiele jest natomiast z czasów Zygmunta I. i jego następców. Od tego też wieku (szesnastego) przybierają cechy wielkopolskie coraz bardziej charakter polski, który już od wieku piętnastego się pojawiał: statuta, które z razu w łacińskim lub niemieckim spisywano języku, widzimy coraz częściej w języku polskim, w tym języku już w XVII. wieku zasadniczo spisywano statuta, w tym też języku korespondowano z władzami i pisano protokoły. Rzadko gdzie znajdują się z tych i późniejszych czasów ustawy niemieckie i protokuły niemieckie. To przestrzeganie języka polskiego w cechach utrzymało się aż do początku bieżącego stulecia. Po zabraniu Wielkopolski na rzecz Prus, starał się rząd wpro-

wadzić nawet do protokułów cechowych język niemiecki, ale cechy opierały się temu, i dziś bronią się przeciw obradom w nieznanym im języku tam, gdzie Polacy stanowią przewagę liczebną. Tyle pewna, że od wieku XVI. zaczęły się cechy polszczyć, a w końcu wieku XVIII, już całkiem były spolszczone, oprócz kilku nad granicą szląską, lub też przy granicy brandenburskiej.

Z ustaw cechu bednarskiego w Poznaniu pokazuje się, że jeszcze w wieku XVI. był Poznań centralnym punktem wszystkich cechów tego rodzaju dla całej Wielkopolski; listy wyzwolenia dla czeladników tegoż zawodu z wszystkich miast Wielkopolski, w Poznaniu wystawiano. Dokument ten wyraźnie przepisuje, że każdy członek cechu bednarskiego (do którego zwykle należeli bednarze, kołodzieje i t. p. pokrewne z sobą zawody), chcący wyzwolić ucznia, zobowiązany był karą 12 groszy sprowadzić go do Poznania, gdzie ucznia egzaminowano, i jeżeli złożył egzamin, wręczano mu list wyzwolenia, podobnie i czeladnicy tego cechu chcący złożyć popis na majstra, musieli jeździć do Poznania. Król Zygmunt August zwolnił cech bednarski w Kościanie od tego obowiązku, statutem z dnia 1 marca 1570 r., stanowiąc ażeby „każdy towarzysz czechu przerzeczonego miastha Koscziana iezlize robotki rzemiesla swego w themtho mieszczie w Kosczienie uzywacz będzie chrział i w nim się postanowicz i t. d.“, przed cechem Kościańskim egzamin składał. W końcu mówi tenże statut o wyzwalaniu uczni, że „także tesz y o uczniach rzemiozł czestokrocz mianowanych, który się kolwiek rzemiosla wyuczy, rozumiecz chczemy“.

Czy inne cechy na prowincyi miały te same obowiązki co cechy bednarskie, czy zatem tylko w Poznaniu było można wyzwalać ucznia na czeladnika, i wydawać listy na majstrów, o tem kroniki nie piszą.

Charakter wyznaniowy cechów był chrześcijański. Żydów i cyganów nie przyjmowali bracia cechowi. Dopiero „komisya dobrego porządku“, reformując w r. 1780 statuta cechów poznańskich, wpisała w nie przepis, przyzwalający przyjmować uczni wszelkiego wyznania w naukę. Chłopiec poddany wiejski, wstępując w naukę u brata cechowego, przestawał być poddanym; z zapisków cechowych wykazuje się nieraz, że o takich chłopców zacięte toczył spory cech z panem chłopca; — zwykle cechy wychodziły zwycięsko

z tego zatargu; już w najdawniejszych czasach znajdujemy wyraźne żądanie cechów, aby uczni tylko na mocy piśmiennego, w cechu zawartego kontraktu przyjmowano w naukę i tej zasady też się trzymano. Nauką uczni zajmował się sumiennie majster, bacząc zarazem na ich religijne i moralne wychowanie. Po ukończeniu nauki zostawał czeladnik jeszcze przez pewien czas u majstra swojego, albo u innych braci w robocie, poczem wychodził na wędrówkę, inaczej bowiem nie miałby znaczenia jako majster. Religijnego i moralnego życia przestrzegały bardzo cechy nasze, rzadko który cech nie miał swego ołtarza w kościele, o którego staranne utrzymanie i obsługę się troszczył. Niektóre cechy miały swego księdza ałtarzystę. Przy procesyach, solennych nabożeństwach, pogrzebach, na Mszach św. brackich i innych obchodach kościelnych, występowały cechy z chorągwiami, z własnem światłem, które lały z wosku składanego przez członków skazywanych na karę.

Niemcy przynieśli nam do Polski dużo wad, które w cechach zakorzenili: sobkostwo, zazdrość procederową i t. p. ujemne strony, o których pomówimy niżej, oto pasożytne rośliny z Niemiec sprowadzone, a do najszkodliwszych należy niewątpliwie nieszczęsne poniedziałkowanie „guter Montag“, „Blaumontag“. Czeladnicy cały poniedziałek próżnowali, pijąc po szynkowniach. Surowe kary były wyznaczone na taką czeladź. Majster miał zakazane na resztę dni tygodnia brać do roboty czeladnika, który w poniedziałek próżnował w szynkowni, wszystko to nie pomagało; nieszczęsuy ten nałóg, mimo wszelkich zakazów, od XV. wieku utrzymuje się między czeladzią po dziś dzień.

Szczytną stroną cechów była ich religijność, ale ta cnota nie jest niemieckiego pochodzenia, bo słowiańska łagodność jej rodzicielką. W Polsce cechy były zarazem bractwami religijnemi; w Niemczech trzeba je było zmuszać, aby się łączyły z towarzystwami religijnemi, lub pomagały im w danym razie. Tym to cechom naszym zawdzięczało społeczeństwo, religijne i przykładne życie małżeńskie mieszczan; ta religijność i moralność sprawiały, że rzemieślnik polski był sumiennym, rzetelnym, a z tych zalet był dumnym, bo miał i z czego. Bardzo znaczna część statutów cechowych nakazuje przyjętemu do cechu bratu ożenić się w czasie przez cech oznaczonym. Jeśli tego nie uczynił, podpadał karze. Dodatnią stroną cechów była troska

o braci, potrzebujących pomocy materyalnej, której z kasy cechowej udzielano w formie pożyczki; o wdowach i niedorosłych sierotach pozostałych po członkach cechu, troskliwie radzono. Wdowom pozwalano prowadzić proceder, zasilano je radą i pomocą. Te i inne zalety cechów pochlebnie świadczyły o ich zadaniu, i gdyby niegodne nieraz środki, z któremi występowano przeciw wszelkiej konkurencyi, to niewątpliwie byłyby ówczesne cechy średniowieczne milsze po sobie pozostawiły wspomnienie. Cechy z tych czasów nie znały i nie chciały znać konkurencyi, biły też w nią systematycznie, tłumiąc w samym zarodku. Wszelkie te środki, ta ujemna strona cechów aż do ostatnich czasów, bo do początku bieżącego stulecia, a nawet w latach późniejszych utrzymujaca się w cechach, to zabytki z wieku XIII. i XIV., kiedy Niemcy przychodząc do nas, zastrzegali sobie szczelnie granice monopolu warsztatowego. Dziś konkurencya jest najważniejszą dźwignią w przemyśle; w dawniejszych cechach usuwano ją: 1) niedopuszczaniem jej z zewnątrz i 2) przez ograniczenie wewnątrz.

Nie miały wprawdzie cechy wyraźnie określonej liczby członków cechowych, ale ograniczenie to jasno wykazuje się z tych cechów, które miały osobne dla członków jatki, budy i kramy. Dopiero wtenczas, gdy takie miejsce było wolne przez śmierć członka, lub z innych powodów, przyjmowano nowego członka do cechu. Takie miejsca sprzedaży, miały zwykle cechy rzeźnicze, szewskie, garncarskie, kramarskie i inne; w tych tylko miejscach wolno było sprzedawać, po za niemi żadną miarą. Każdy członek mógł mieć jeden tylko stół, na którym towar na sprzedaż wykładał. Zamiejscowi rzemieślnicy mieli zwykle wzbroniony wstęp do miasta z towarem; wyjątkowo pozwalano im za opłatą dość znaczną towar na sprzedaż przywozić w dni targowe i na jarmarki. Niektóre cechy wyrobiły sobie przywileje, zabraniające obcym przybywać do miasta z towarem w dni targowe, i chyba w jarmarki było to dozwolone. Towar nieprawnie wyłożony, zabierano na rzecz cechów i szpitali. Powszechnym był zwyczaj, że na milę w obrębie miasta nie wolno było partaczowi lub szkodnikowi, (tak nazywano nieuczonych rzemieślników), trudnić się rzemiosłem lub sprzedawać swój wyrób warsztatowy. „Takim, mówią ówczesne statuta, ma być robota brana, gdziekolwiekby ją pokazał, bądź w rynku, wsiach, na przed-

mieściu, bądź w szlacheckich dworach, kamienicach, duchownych domach, gruntach i indziej, z czego część do skrzynki brackiej, a część na ubogie obrócić mają".

Robotę przywiezioną z innych miast rewidowali miejscowi bracia, biorąc za to wynagrodzenie, które wpływało do kasy cechowej. Przy takich rewizyach nie obywało się bez szykan, co się okazuje ze sporów wytaczanych przed magistratami. Nie podobały się miejscowym rzemieślnikom jarmarki i targi; jarmarki jako tylko początkowo raz, a później 2—4 razy powtarzające się w roku, mniej szkodziły swoją konkurencyą, ale targi nietylko w dnie targowe zniżały cenę, ale regulowały ją na cały tydzień. Niektóre cechy na szczególny brały się w tym względzie sposób. Otóż miejscowi wcale nie sprzedawali towaru w dni targowe, pozostawiając zamiejscowym wolne pole. Ci znowu, nie widząc współzawodnictwa miejscowego, trzymali się przy wysokich cenach, a ponieważ nie zawsze mogli swym towarem zaradzić potrzebom konsumentów, przeto nazajutrz po targu do miejscowych wracali konsumenci i płacili za towar, ile żądano. Na tem konsumenci bardzo źle wychodzili, to też magistraty ustawicznie walczyły z cechami, zmuszając je do zaniechania tych już wówczas znanych straik. W obec takich stosunków były jarmarki prawdziwem dobrodziejstwem dla rzemieślników, stojących po za cechami i dla konsumentów. W czasie jarmarku stawała wszelka konkurencya do walki procederowej. Z wszystkich stron z bliska i z daleka zjeżdżali się na ten czas do miasta rzemieślnicy z towarem, a ludność z całej okolicy przybywała po towar. Nietylko zewnętrznej konkurencyi zapobiegały cechy, ale ograniczały ją także wewnątrz miasta w cenach samych. Przystępowanie do cechów było bardzo utrudniane. Przepisy cechowe ścisłe były w tym względzie i trzymano się ich zasadniczo. Stanowiły one zwykle, „aby żaden nie śmiał rzemiosła robić, ażby pierwej miejskie prawo, potem bractwo miał, jeśliby takowy był, to jest partacz, aby ani we wsi, ani w ziemiańskich domach, ani na przedmieściu, ani w mieście nigdzie okolicznie około miasta w mili nie śmiał robić". Pierwszym zatem warunkiem było nabycie praw obywatelskich, ale dużo to kosztowało, to też nie każdy czeladnik mógł się zdobyć na ten wydatek, za którym szedł drugi nie mniejszy, wkupne do cechu, i poczęstne. Przy tem wszystkiem trzeba było złożyć egzamin na

majstra, a w tej mierze stawiały cechy niezmierne trudności. W kronikach czytamy liczne skargi czeladzi na cechy utrudniające złożenie egzaminu; — nie chciały cechy przypuścić do cechu konkurenta, którego się ten lub ów obawiał i to było wystarczającem, aby go się pozbyć i zamknąć mu drogę do uczciwego zarobku.

Co się to musiało dziać w owych przedzeszłowiekowych czasach; na jakie szykany i trudności byli wystawiani dobijający się do cechów! Nie trudno wystawić sobie ten obraz. Niech wypadek z nowszych czasów, choć może w przybliżeniu da nam miarę tego postępowania cechów: Za czasów cechów przymusowych w Prusach, tj. przed 21 czerwca 1869 r. zaniemógł na zdrowiu pewien rządca gospodarczy z powiatu pleszewskiego. Znał on dobrze introligatorstwo, którego się za młodu przy ojcu wyuczył. Nie mogąc jako gospodarz utrzymać rodziny, chciał zostać introligatorem. Ale trzeba wpierw egzamin złożyć! Udaje się do jednego cechu, ale tam mu powiadają że dosyć jest w mieście introligatorów, (a byli tam sami Niemcy) i nie puszczono go do sztuki. Udaje się do innego cechu, a tam go odprawili (znowu Niemcy) tym argumentem, że najwięcej roboty mają introligatorzy od dworów i księży polskich — gdyby więc u nich osiadł Polak, to by robotę tę stracili. Kandydat zaklina się, że nie osiędzie w tym powiecie, ale i te zaręczenia nie pomogły. Coraz większa bieda w domu, stanowisko we dworze stracone, nasz kandydat udaje się pod protekcyę zamożnego kupca w trzeciem z kolei mieście. Ten protektor sprasza cech, leje się wino, kandydat daje na piśmie zaręczenie, że w powiecie i sąsiednich miastach powiatu konkurencyi robić cechowym nie będzie, i ci (znowu Niemcy) przepuścili biedaka w egzaminie. Takie stosunki sobkowskie, sprowadzone z zagranicy, utrzymywały się całe wieki w cechach naszych!

Wielkich doznawali jednak od cechów względów synowie majstrów cechowych (mistrzowicze), bo ci tylko połowę, a nawet mniej opłacali wkupnego, a egzamin ich był tylko dla formy. Dalej uwzględniano tych, którzy żenili się z wdowami lub córkami majstrów cechowych. Reszta czeladników nie mogła się tak łatwo dostać do cechu i całe życie się obcym wysługiwała. Żony i dzieci członków cechowych uważano także jako należących do cechu. Tak więc wyrabiały się po miastach rzeczywiste kasty cechowe.

Szczególnym w swoim rodzaju był przepis ustanawiający

liczbę czeladników i uczniów dla warsztatów. Ktoby się nie był zastosował do tych przepisów, podpadał znacznej karze. Było to ograniczenie wolności rzemieślniczej, któregoby dzisiejsi przemysłowcy sobie nie pozwolili. Takiemi to środkami zagradzano konkurencyi, nie pozwalając nawet majstrom rozporządzać większemi siłami w warsztacie. Taki przepis szkodził zarazem czeladzi, która nie mogąc znaleść zatrudnienia, wałęsała się od miasta do miasta, szukając roboty; szkodził on także młodzieży, która mając pociąg do tego lub owego zawodu, nie mogła mu się poświęcić, bo miejsca były zajęte.

Nie wolno też było łączyć się w spółki, aby prowadzić interes połączonemi siły, wspólnym kapitałem. W wielu statutach jest ten zakaz wyraźnie zapisany. W niektórych cechach nie wolno było, aby brat cechowy pomagał drugiemu przez zakupywanie dla niego surowego materyału, lub aby pomagał mu w sprzedawaniu towarów; zakazywano wreszcie zakupywania gotowych wyrobów w innych miastach, aby je potem sprzedawać u siebie.

Pod względem politycznym nie miały cechy u nas, a więc i w Wielkopolsce, tego znaczenia, jakie sobie przywłaszczyć umiały we Francyi, w Belgii i Niemczech. Znaną jest rzeczą, że w Niemczech w wiekach średnich wywierały cechy znaczny wpływ na sprawy miejskie, nieraz z bronią w ręku praw tych się dobijając. Tutejsze cechy wielkopolskie stawiły sobie za zadanie przemysł, i tego pilnowały jak umiały, i jak im na to pozwalały władze miejskie, starościńskie lub królewskie. Spory między braćmi po największej części załatwiano w cechu, godząc ich między sobą, pośredniczące w sprawach między cechowymi a czeladzą, uczniami lub ich rodzicami. „Żaden mistrz tegoż rzemiosła nie śmiał przez posła miejskiego do wójta pozwać pierwej, niźliby naskarżył przed starszymi, pod funtem wosku“. Taki i podobny przepis znajdziemy w każdym statucie. Spisywano też w niektórych cechach czynności dobrej woli, a takie protokuły miały moc obowiązującą. W Wielkopolsce nie mogło przyjść do tego, aby cechy wywoływały walki z władzami politycznemi; tu i owdzie widoczne są porywy niektórych cechów, żądających większych przywilejów w administrowaniu sprawami miejskiemi, ale to czasy w których jeszcze żywioł niemiecki lub zabytki jego uroszczeń odzywały się w cechach. Królowie polscy

rychło zapobiegli tym nadużyciom, wziąwszy w swą rękę potwierdzenie ustaw. Pod karą śmierci nie wolno było zmieniać w cechach poznańskich samowolnie statutów, a wieku XVI. już było zasadą, że ustawy niepotwierdzone przez króla, nie miały znaczenia. Na Poznań jako stolicę Wielkopolski dzisiejszej, zwrócił rząd głównie uwagę, bo tam było w wiekach XIII.—XVI. najważniejsze siedlisko rzemieślników niemieckich, pragnących rządzenia się podług cechowych przepisów w Niemczech, a chętnie dążących do wyłamania się z pod władzy państwowej. Na Poznań też zapatrywały się inne cechy na prowincyi. Z historyi cechów poznańskich widzimy, że w drugiej połowie wieku szesnastego królowie polscy już wykonywali nadzór nad sprawami wewnętrznemi cechów, wtedy to ustał też zupełnie wpływ niemczyzny na życie cechowe w Poznaniu i na prowincyi, gdzie od najdawniejszych czasów były różne cechy w każdem miasteczku. (C. d. n.)

Socyalizm chrześcijański w Austryi.

(*Nouvelle Revue.* Le socialisme chrétien, par le C-te Paul Vasili)[1].

Połączenie dwóch tych wyrazów zadziwić musi i niejednego może oburzyć gotowe, gdyż w naszych czasach słowa socyalizm, socyalista, przywodzą na myśl ideę gwałtownych przewrotów i postacie podziemnych konspiratorów i dynamitardów. Dla uspokojenia więc czytelnika, nie mogąc tu wdawać się w definicye i omówienia naukowe, poprzestanę na wzmiance, iż twórcą tego kierunku polityczno-społecznego i nazwy samej, jest zgasły niedawno znakomity książę kościoła biskup Moguncki Ketteler. Dzielny również katolik Maxen, profesor Getyngski, późniejszy ochmistrz syna detronizowanego króla Hanowerskiego, zaszczepił kierunek ten w Austryi. Żyjąc zdala od zapasów politycznych w Wiedniu, przyjmował u siebie młodzież z wielkiego świata i wtajemniczał ją w poważnych pogadankach w idee niemieckich katolików konserwatystów o kwestyi

[1] Głośny dziś w Europie autor, podpisujący *Comte Paul Vasili*, umieścił w *Nouvelle Revue* szereg artykułów o „towarzystwie wiedeńskiem“, z których jeden nosi tytuł: *Le socialisme Chrétien.* Z tego rozdziału jako najbliżej obchodzącego nasze pismo, zdajemy tu sprawę.

socyalnej. Prawie jednocześnie pod koniec ministeryum Auersperga, gorliwi członkowie stronnictwa katolickiego, co od lat 15 jałową wiodło opozycyę przeciwko t. zw. partyi niemieckiej, ujęli ster kierunku reformy społecznej.

Skłaniało ich do tego nietylko ogólno-ludzkie chrześcijańskie głęboko zrozumiane poczucie obowiązku ale i patryotyczna myśl gruntownego dźwignienia zagrożonej rozstrojem i upadkiem ekonomicznym ojczyzny. Wiadomem jest powszechnie jak ciężka kryzys ekonomiczna po smutnej pamięci 1848 r. zaciężyła nad Austryą. Znanemi też są usiłowania Bruck'a i Stein'a ku ratunkowi opłakanego stanu finansów. Dzięki reorganizacyi ich kompletnej, wytworzeniu instytucyj kredytowych dla większej własności, której, skutkiem uwolnienia włościan i braku gotówki na najemnika, nagle rąk do pracy zabrakło, niemniej organizacyi kredytu dla przemysłu, poparcie takich przedsiębierstw jak zawiązanie kompanii Tryesteńskiego Lloyd'a i t. d. zasoby kraju w lat dziesiątek o tyle wzrosły, iż bank państwa był w stanie bilety swe gotówką płacić. Zamierzonemu wielkiemu krokowi naprzód na drodze politycznej i ekonomicznej tj. wejściu do unii cłowej przez Prusy od lat wielu utworzonej, stanął na przeszkodzie, jak złośliwie się wyraża autor ciekawych artykułów *Revue Nouvelle*, „zręczny jak zawsze i przezorny cesarz Napoleon". Wywołując wojnę włoską i w ślad za nią ponowne pogrążenie Austryi w finansowy nieład, spowodował wytrącenie tej unii cłowej, w którejby była niewątpliwie, przy liczebnej przewadze ludności, osiągnęła hegemonię nad Prusami. I tak Francya hegemonię Prusom zapewniła.

Zniszczenia dzieła swego Bruck przeżyć nie potrafił, a rządzące następnie stronnictwo mieszczańsko-biurokratyczne, co absolutyzm cesarski zastąpiło konstytucyjnym absolutyzmem, zapragnęło liberalną swą firmę usprawiedliwić reformami społecznemi. Ogłoszona więc wolność pracy, nie obliczywszy następstw i dotkliwych szkód, co stąd na robotnika spaść miały. Kwestya socyalna otwarta dzięki kłopotom finansowym i nieudolności środków do jej załatwienia, trwała mimo radykalnych zmian gabinetu i dwukrotnego ustąpienia niemieckich liberałów, za Belcredi'ego i Hohenwarta. Ten ostatni, mimo wstrętu do wszystkiego co się ludu tyczyło, widząc wzrastające niebezpieczeństwo, z pomocą profesora Shaeffle, Szwaba

rodem, próbuje reformy społecznej popierając organizujące się wówczas stowarzyszenia zawodowe robotnicze. Brak samodzielności i ducha inicyatywy u ostatniego, a istotnej miłości ludu u pierwszego, jałowemi czynił te próby.

Dopiero inicyatywa nauczyciela księcia Cumberland, Marrena, żywotniejszą rozwija działalność jednając dla reformy ks. Aloiz. Lichtensteina i redaktorów *Vaterlandu*. Zwołany przez nich kongres katolików t. zw. *Katolikentag* w Wiedniu, ogłosił że Kościół sam jeden jest w stanie rozstrzygnąć kwestyę socyalną, że należy społeczeństwo zreorganizować na podstawach wieków średnich. Potępił też kongres lichwę, dając wyraz doktrynie kościoła o tym przedmiocie, w dziele specyalnem Maxen'a wyłożonej.

Zasady te podjęli się rozpowszechniać i rozwinąć w praktyczny program: Meklemburczyk bar. Vogelsang i Berlińczyk Meyer. Pierwszy z nich luteranin z rodu, katolik od 1848 r. żarliwy i pełen zapału popularyzator idei reformy socyalnej, szwankujący jednak zdaniem naszego autora, na brak gruntownej wiedzy w dziedzinie ekonomii politycznej i prawodawstwa o własności. Drugi protestant znany autor niepospolitych prac w kierunku socyalnym, kierownik polityczno-społecznego pisma organu partyi konserwatywnej, ściągnąwszy na się gniew ks. Bismarka wspólnie z hr. Harry Arwinem — podjął się trudnego zadania wypracowania programu praktycznego reformy, w kraju który uchodzącemu przed więzieniem udzielił gościny. Do dzieła wziął się bardzo poważnie i gorliwie, liczne podróże po Europie i Ameryce wzbogacały je studyami i przygotowywały zwolna. Klucz do całości autor zachował przy sobie, odsłaniając częściowo program w artykułach *Vaterlandu*. Zrażony do ks. Lichtensteina za niechęć okazaną mistrzowi jego Maxem'owi, inspirował raczej hr. Egberta Belcredi, u którego często miesiącami całemi przebywał.

Do wybitniejszych członków zgrupowanego około *Vaterlandu* stronnictwa katolickiego należą ks. Jul. Falkenhayn, dzisiejszy minister bar. Revertera, zasłużony i wytrwały pracownik bar. Dipauli i szwagier jego Zalinger, który tak znakomity wpływ wywarł na współczesne prawodawstwo społeczne, oraz wielu posłów. Zbierano się w redakcyi przez całą zimę i roztrząsano na dobie będące kwestye socyalne. Nie brali w zebraniach tych udziału lecz zjednoczeni

z ich uczestnikami też byli hr. Bloome, eksdyplomata najwykształceńszy człowiek wśród austryackiej arystokracyi i hr. Leo Thun eksminister, szwagier bar. Clam-Martinitza twórcy konkordatu z Rzymem.

Przygotowawcze do działania roboty były ukończone, gdy minister Taaffe przyszedł do władzy. Wprowadził on system pojednawczo-narodowościowy, wytworzył większość ze Słowian: Czech, Morawii, Galicyi, Karyntyi i Dalmacyi, tudzież z właścicieli większych, i zjednał sobie głosy Belcredich Zallingerów, Lichtensteinów i części duchowieństwa, co za nimi stało; zdezorganizował tym sposobem grupę socyalistów chrześcijańskich. Nie miał on nigdy skłonności ku reformom socyalnym lub ideom zachowawczo-katolickim, lecz potrzebując tej wpływowej grupy, przybrał sobie z niej ministra rolnictwa w osobie dymisyonowanego kapitana hr. Jul. Falkenhayn'a, który przez żonę swą był *persona grata* u dworu, lecz zdaniem autor był najmniej znaczącym grupy członkiem i najmniej przygotowanym do roli, którą miał odegrać.

Grupie socyalno-chrześcijańskiej, rząd rzucił na strawę obszerny projekt do prawa mający zreorganizować wielki i drobny przemysł, więc ilość godzin pracy, pracę dzieci i kobiet, kasy pomocy etc.; program jego obszerniejszą sferę obejmował niż całe prawodawstwo robotnicze w Anglii bieżącego stulecia. Projekt w tym stanie i rozmiarach niepodobnym był do przyjęcia. Hr. Belcredi, przywódca grupy udaje się o poradę co do sposobów przeprowadzenia go, do przywódcy arystokratycznej partyi czeskiej hr. Clam-Martinitza, ale źle trafił. Czeski magnat niechętny reformie społecznej doradza hr. Belcredi'emu rozdzielić projekt ministeryalny na czworo i powierzyć każdą ćwiartkę specyalnej komisyi. Belcredi poszedł za tą radą i został referentem tej części, co o organizacyi korporacyjnej drobnego przemysłu traktowała. Okazało się pod koniec sesyi parlamentu, iż tylko ta jedyna komisya coś opracowała, inne utonęły w płonnych, drobiazgowych dyskusyach.

Grupa jednak reformatorów socyalnych nie dała za wygraną, na przyszłej kadencyi postanowiła ograniczyć swe prace do wygotowania przynajmniej przymusowej organizacyi korporacyjnej drobnego przemysłu. Mozolnym pracom komisyi przewodniczył Zallinger; referentem zaś mianowano hr. Belcrediego. Niemieckie „Liberały“ bu-

rzyły lud przeciwko rzekomo wstecznemu projektowi drogą dziennikarską i meetingów. Prasa zaś katolicka, a zwłaszcza *Vaterland*, nie ustawała w prowadzeniu propagandy, aż wreszcie baczność majstrów drobnego przemysłu obudzono — Belcredi i Meyer „mieli czucie“ z Bernem, tamtejsi też majstrowie pierwsi oświadczyli się z całem zaufaniem dla projektu. Wkrótce też wielki meeting majstrów w Wiedniu, na który dużo miast wysłało reprezentantów, poparł też rządowy projekt. Nielada to był tryumf dla hr. Belcredi. Liberali zadecydowali byli, iż nie jest on zdolnym podobnego dzieła dokonać. Wprawdzie bardzo pożyteczną była mu pomoc pruskiego wygnańca, wykształconego przez Wagnera twórcę szkoły konserwatystów pruskich, kontynuatora Lassalle'a — w teoryi i praktyce kwestyj socyalnych; lecz niezaprzeczenie posiadał on niezbędne przymioty do przeprowadzenia zaczętego programu: energię wielką, niezmordowaną pracowitość i cierpliwość bez granic.

Powodzenie projektu tak było stanowcze, iż zaważył w rządzie. Zawotowany został tak w izbie deputowanych jak w izbie panów, gdzie referował go znów hr. Belcredi, pokładano też wielkie nadzieje na organizacyi powszechnej obowiązkowej całego drobnego przemysłu w korporacye, będącej odtąd prawem. Pozostawało wykonanie.

Brak instrukcyj ogólnych dość jasnych dla władz lokalnych był zapewne powodem, iż w ciągu dwóch lat po ogłoszeniu prawa, opieszale ono w życie wchodziło.

Powołany autor łączy niewygotowanie tych instrukcyj z usunięciem się p. Meyera, który do 1882 r. tak cenną i umiejętną pomocą był hr. Belcredi'emu i szczerze mu był oddany — i podaje niedyskretnie takie powody jego ustąpienia z redakcyi *Vaterlandu*. Mianowicie, kiedy p. Bontoux protegowany przez ministra Dunajewskiego założył w Wiedniu *Länder Bank* pomimo, iż w skład gabinetu wchodził członek grupy katolickiej hr. Falkenhayn, *Vaterland* powstał przeciw hr. Taaffemu w artykule pióra p. Meyera. Rząd wtedy wymógł na pozostałych jego przyjaciołach parlamentarnych, iż poświęcą niekarnego redaktora.

Wkrótce powstała nowa kwestya, co do reszty rozbiła jednolitość dyrekcyi dziennika: kwestya ceł rolniczo protekcyjnych. Ministeryum Taaffego, popierane przez reformatorów socyalno-chrześci-

jańskich, stworzyło tedy organizacyę pożyteczną drobnego przemysłu; ale dla robotnika rolnego, ani dla wielkiego przemysłu nic nie zrobiono, przeciwnie położenie w tych obu gałęziach znacznie się pogorszyło. Cena tytoniu i cygar najniższych gatunków, które robotnik od państwa kupuje, w obec monopolu, podniosła się; podniesiono też cła od kawy, nafty i mięsa. Zaprowadzono cła konsumcyjne w wielu miastach, wzbroniono przywozu solonego mięsa z Ameryki, a bydła z Rosyi. Podniosło to finanse państwa i miast, wywołało jednak drożyznę artykułów żywności dla robotnika. Protestował przeciw tym ciężarom bezustannie p. Meyer w *Vaterlandzie*, przemyśliwał i pisał o nędzy robotnika austryackiego, a br. Vogelsang ujął te prace w całość i streścił w ciekawej broszurze.

Wielcy posiadacze też, co zajęci byli reformą społeczną, zwolna porzucili swe zasady w obec interesu osobistego, wotując prawo o przywozie zboża. W latach nieurodzaju przynosi ono ogromne sumy dziedzicom latyfundyów, ale stanowi za to ruinę ludu uboższego i robotników. Z ustaniem prądu do reform z góry, socyalizm stał się w Austryi radykalniejszym niż w Niemczech, gdzie Bismark usiłuje zeskamotować go pozorami i gdzie zresztą robotnik jest mimo wszystkiego mniej nieszczęśliwy, niż w Austryi.

Wyraża w końcu autor nadzieję, że hr. Taaffe, humanitarny szlachetny zda sobie sprawę, prędzej czy później, z naglących potrzeb całej masy robotników i że wskrzesi dzieło socyalistów chrześcijańskich, dzieło streszczające się w starej formułce: „Zainteresować mających dużo, losem tych co nic nie mają“. Kończy wreszcie epifonematem: „Ktokolwiek się zastanawia nad dzisiejszemi stosunkami, „wie że ludom dziś do niczego polityka dyplomatyczna lub wojo„wnicza — i że kwestye ekonomiczne idą nawet p r z e d „siłą“.

A. Breza.

Sprawy Kościoła.

Rewizya praw majowych i Centrum. — Nowela szkolna we Francyi. — Sprawa Des Dorides.

Przed pruską Izbą panów wniósł rząd projekt rewizyi praw majowych. Szeroko się nad tym projektem dziś jeszcze rozpisywać nie warto. Ażeby mógł być przez Kościół przyjęty, potrzeba zmian licznych, bo tak jak się dziś przedstawia, nie stanowi zwrotu do dawniejszego stanu rzeczy, ale jest, jak go słusznie prasa katolicka nazwała, nową państwową ustawą kościelną. O ile i w jakiej mierze się rząd na konieczne modyfikacye zgodzi — przyszłość okaże. Rozprawy w tej mierze już otwarte i komisye prace swe rozpoczęły. Drugie czytanie przecież jeszcze dostatecznych zmian nie przyniosło, bo rząd ustępstw skąpi. Tymczasem zaś całą taktykę zaczepną kieruje przeciw stronnictwu Centrum. Układy pokojowe zaczęto w Izbie wyższej, żeby wpływ partyi Windhorsta na razie usunąć, a tymczasem wyraźnie z wyższej inspiracyi mnoży prasa liberalna zaczepki przeciw Centrum, by raz na zawsze tę największą potęgę antyrządową złamać. Wywołało to stanowcze oświadczenia Schorlemera i Windthorsta, że stronnictwo ich żąda tylko pokoju kościelnego, choćby i bez ich udziału miał przyjść do skutku. Kategoryczne to orzeczenie mieści w sobie przeciw zarzutom odpowiedź, że dopóki się Kościołowi krzywda dziać będzie, stronnictwo to sztandaru nie opuści.

Im smutniej i czarniej dokoła, tem silniej daje się czuć brak dawnej katolickiej Francyi a stąd tem tęskniej śledzi oko za każdym na Zachodzie postępem. Na nieszczęście jednak nic tam pocieszającego nie dopatrzy. Niwelujący wszystko pseudoliberalizm zaciera wszędzie ducha chrześcijańskiego, a niwecząc tradycye, sieje zatrute ziarno na przyszłość. Dotkliwy cios dotknął świeżo szkolnictwo francuskie. W marcowym zeszycie *Przeglądu* napomknęliśmy już o tej nowej szkolnej reformie. Dziś mamy bliższe szczegóły, które całą sprawę w gorszem jeszcze przedstawiają świetle. Zmonopolizowanie nauczania przez państwo, nigdzie i nigdy pono jeszcze w tym kraju tak daleko przeprowadzonem nie było. Nauczyciel szkółek niższych, początkowych miał być po wszystkie czasy niejako przedstawicielem

i zastępcą ojca rodziny. Obecne prawo oddaje dzieci w ręce ajenta politycznego, który nie obywateli dla kraju, ale wolnomyślnych stronników republiki wychowywać będzie. Już ustawa z r. 1882 wprowadziła nauczycieli świeckich; obecna idzie dalej, bo świeckim prawo nauczania przyznaje. Ten świecki nauczyciel ma być do tego mianowany przez prefekta. Kto w ostatnich latach śledził wewnętrzną politykę francuską, kto uważał jak za każdą zmianą ministeryum zmieniano zarazem wszystkich niemal prefektów, dla tego rozporządzenie to nie potrzebuje komentarza. Ale nie na tem koniec. Nowe prawo skierowane jest nietylko przeciw szkołom publicznym; niebezpieczeństwo grozi również wolności nauczania prywatnego. Artykuł 35 nowej ustawy poddaje bowiem juryzdykcyi rady departamentalnej nauczycieli prywatnych na przypadek przekroczenia prawa. Rada departamentalna składa się zaś z prefekta, inspektora Akademii, dyrektora szkoły normalnej, dwóch nauczycieli i nauczycielek publicznych i dwóch prywatnych, mianowanych przez ministra. Nauczyciel prywatny podlegać więc będzie trybunałowi czysto rządowemu, a na domiar złożonemu z samych współzawodników. Do jakich to nadużyć i szykan doprowadzić musi, odgadnąć łatwo. Że ta nowela szkolna przeszła, to w obec dzisiejszego rządowego prądu i obecnego składu Izby, nic dziwnego. Podniosły się przecież poważne protestacye, nawet ze stronnictwa republikańskiego, a umiarkowana prasa jednogłośnie niemal reformę tę potępiła.

Niezmierną wrzawę wywołał w prasie włoskiej list bezimienny odnoszący się do procesu Des Dorides, który się obecnie w Rzymie toczy. Rzecz ta ma się jak następuje: W miesiącu sierpniu ubiegłego roku przyaresztowano w Rzymie hr. Des Dorides, oskarżonego o wydanie pewnemu z mocarstw zagranicznych tajemnic marynarki włoskiej. W kilka dni później schwycił rząd list bezimienny adresowany z Wiednia do onegoż Des Dorides, z którego okazywało się wspólnictwo oskarżonego z Watykanem, z osobą Ojca św. i całego jego otoczenia. Już w listopadzie stwierdziły osoby w sądzie śledczym w tej sprawie przesłuchiwane, że pismo to było sfałszowane. Tymczasem w końcu lutego pojawił się list ten w *Tribunie*, za *Tribuną* powtórzyły go inne dzienniki i powstała burza w całej liberalnej prasie, miotającej obelgi i oszczerstwa przeciw Watykanowi. Doszło aż do interpelacyi w izbie. Przedstawiciel rządu

p. Tajani, dał odpowiedź niejasną, dwuznaczną, zasłaniając się argumentem, że rząd nie może przesądzać sprawy, zanim w niej wyrok trybunału zapadnie. Przyczyniło się to oczywiście do większego jeszcze zamętu i usprawiedliwiło niejako napaść liberalnej prasy na Watykan. Bez przesądzania wyroku mógł i powinien był rząd wystąpić przeciw bezprawiu wydania pismom publicznym dokumentu spoczywającego w sądzie; mógł zaczepić autentyczność rzeczonego listu. Tajemniczością w odpowiedzi usankcyonował niejako napaści liberalnej prasy, a cała sprawa nabrała jeszcze bardziej cechy sztucznie przeciw Watykanowi ukartowanej intrygi.

K.

Listy z nad Bałtyku.

IV.

Przymioty moralne Łotyszów — ich zatrudnienia i wyroby — przysłowia — ubiór — zwyczaje.

Łotysze, zwłaszcza kurlandzcy i szwedzko-inflanccy, zachowują prastare obyczaje i zwyczaje, mają liczne podania i pieśni ludowe, troskliwie zbierane i ogłaszane przez uczone Towarzystwo łotewsko-literackie, które w przechowaniu śladów tak zwanej narodowości łotewskiej, kształceniu języka Łotyszów i oczyszczaniu go z obcych naleciałości, niezaprzeczone położyło zasługi.

Lud ten z natury swej więcej dobrych niż złych posiada skłonności; gdzie nie uległ demoralizującemu wpływowi sąsiednich plemion, jest religijnym, wiernym i usłużnym. Przywiązuje się do tych, którzy mu dobrze czynią, a rzadko bywa mściwym. Ta ostatnia okoliczność wyróżnia go pochlebnie od ludu estońskiego. Przymioty dobre przyćmiewa niekiedy gnuśność i opieszałość, a ostatniemi czasy i brzydki nałóg pijaństwa.

Lud ten od roku 1817, w którym, jak już wspomnieliśmy, miało miejsce usamowolnienie włościan w Kurlandyi i Inflantach szwedzkich — niemałe zrobił postępy. Został pracowitym, dbającym o podniesienie i ulepszenie gospodarstwa, o porządniejsze, wygo-

dniejsze i zdrowsze pomieszkanie, o oświatę, o zaoszczędzenie sobie grosza, i o zaopatrzenie się w ziarno.

Kurlandzcy i szwedzko-inflanccy kapitaliści Łotysze nabywają nietylko znaczniejsze obszary ziemi na wsi, ale i nieruchomości po większych miastach. Wielu z zamożniejszych włościan-Łotyszów wysyła obecnie swych synów nietylko do szkół powiatowych i gimnazyów, lecz nawet do uniwersytetu dorpackiego lub do szkoły politechnicznej w Rydze. W Dorpacie istnieje od lat kilku osobna korporacya łotewskich studentów, nosząca nazwę „Lettonia".

W ogóle zaś Łotysze, podobnie jak Żmujdzini, z natury bardzo są spokojni i pobożni. Gdzie nie ulegli obcym wpływom nihilistyczno-agitatorskim, tam i dotąd chętnie uczęszczają do kościołów, a ulubionem ich zatrudnieniem jest rolnictwo.

Zajmujący się rolnictwem i utrzymujący się z dochodów rolnictwa wynoszą około 85% całej ludności kraju przez ich szczep zamieszkałego, zatrudnieni zaś w sferze przemysłu i handlu tylko 11%; liczba utrzymujących się z usług osobistych wynosi zaledwie 4%.

Kobiety wiejskie zajmują się wyrobem płótna, pstrych płócienek i pończoch, robią także smaczne sery i gomółki. Celują Łotewki zwłaszcza w tych ostatnich, cenionych najbardziej w Mitawie i w Rydze a znanych pod nazwą: *lettischer Knappkaese.*

Łotysz z natury nie jest ani złym, ani głupim, do wszystkiego okazuje wrodzone zdolności, łatwo przyjmuje oświatę, umie pomódz sobie w trudniejszych okolicznościach. O bystrości jego umysłu świadczą trafne przysłowia: *Diws dewie zûbus, Diws duś un majzi,* „Bóg dał zęby, Bóg da i chleba"; albo:. *Ar odotu newur karu apkaut,* „igłą wojska nie zwyciężysz"; albo: *Slimiba rajtu atjoj, kôjom nuit,* „choroba przyjeżdża na koniu, odchodzi zaś pieszo"; albo: *Mozi barni spîż klêpi, leły spîż sirdi,* małe dzieci gniotą kolana, a dorosłe gniotą serca; albo: *Dudi draugam, atprosi inajdnîkam,* „dajesz, tj. użyczasz przyjacielowi, żądasz zwrotu u nieprzyjaciela"; *Apesta majzie gryuta ir pelnit,* „chleb zjedzony z trudnością się odrabia".

Łotysz jest wcale przebiegłym, posiada wiele talentu i zręczności; rozwój wszakże umysłowy, zwłaszcza w Inflantach polskich, długo powstrzymywały więzy poddaństwa. Ubiór nosi prosty, ale

dogodny; głowę pokrywa sukienną czapką, na zimę obłożoną futrem; kapelusz pilśniowy obecnie już mniej często się widzi i to tylko w Kurlandyi i niektórych okolicach Inflant szwedzkich czyli gubernii inflanckiej. W Inflantach polskich zaś widzimy go zaledwie tu i owdzie na samem pograniczu gubernii inflanckiej. Wyższą część ciała okrywa koszula; (w górnej Kurlandyi i Inflantach polskich) dolna część tej koszuli przykrywa zwierzchu spodnie Łotysza i wąskim paskiem jest spiętą. Na wierzch się wkłada latem długa sukmana zwana swejtą (świta) z szarego samodziału, zimą kożuch barani. W Inflantach zaś szwedzkich i w niższej Kurlandyi dolna część koszuli ginie w spodniach, a wierzchnią przykrywa kaftanik lub kamizelka, których krój nie różni się niczem od tych, jakich używają osadnicy niemieccy.

Zarost ogolony, prócz bakenbardów w Kurlandyi niższej i Inflantach szwedzkich, a prócz wąsów w Kurlandyi wyższej i Inflantach polskich. Na nogach noszą skórzane buty niedochodzące do kolan. Biedniejsi, obyczajem dawniej powszechnym, nogi od kolan obwijają gałganami (onuczki), które podtrzymywane są sznurkami od łapci, czyli postołów, idącemi. To ubranie nóg obecnie już się tylko rzadko daje napotykać; buty od lat wielu w ogólne weszły użycie.

Stan zamożniejszych Łotyszów-gospodarzy nosi się o ile możności z pańska; zwłaszcza tych co przebywają po miastach trudno od mieszczan rozróżnić. Kobiety wiejskie noszą w zimie pod ciepłym kożuchem, pokrytym u bogatszych ciemnem lub granatowem suknem, długie różnobarwne spódnice, tudzież kaftaniki z ciemnej wełnianej jednokolorowej materyi, w lecie zwyczajne suknie, uszyte z kwiecistego perkalu, a także dochodzące do kolan fartuszki, również z materyi bawełnianej, jak można najbardziej pstrej i jaskrawej; w górnej Kurlandyi i Inflantach polskich na wierzch kładą kolorową kwiecistą chustkę, zastępującą w lecie kaftan, z pod której wyglądają białe od koszuli rękawy.

Dziewczęta łotewskie w dni niedzielne i świąteczne zdobią głowę w różnobarwne wieńce, na które tu i owdzie narzucają lekką przejrzystą chusteczkę, zamężne zaś kobiety zawiązują na głowie chustkę w formie czepca, na której umieszczają stosownie do pory roku jednę lub więcej, bo aż do sześciu, jednakowo złożonych chociaż

coraz mniejszych pstrokatych chust; śpiczasto na czole wystająca część wszystkie widzieć dozwala. Małe dzieci chodzą zwykle w jednej koszulce, przepasanej na biodrach wąskim paskiem zwanym *jûsta*. Dawniejsze ubrania Łotewek były nierównie bogatsze i bardziej skomplikowane. Opisuje one szczegółowo i podaje ich wizerunek książka nasza „Inflanty“ [1].

Dzisiejszy Łotysz nie dba o ozdoby; rzadko szklane perły zdobią szyję młodej dziewczyny, u katolickich Łotyszów dostrzedz się wszakże daje zarówno u mężczyzny, jak i u kobiety różaniec, szkaplerz, mały krzyżyk, obok medalika z wyobrażeniem Chrystusa lub Bogarodzicy.

Rękawiczki, pięknie farbowane pończochy, oraz z dwóch krańców czerwoną bawełną upstrzone lub frendzlą przyozdobione ręczniki, wielkie mają znaczenie i zwyczajnie używają się na podarki w czasie chrzcin, wesela lub innych uroczystości.

Do hucznych zabaw Łotysz bardzo jest skłonny. Żaden interes, żaden kontrakt, żadne kupno nie zostaje załatwione bez poczęstunku. Wódka wkradła się do Łotwy z obczyzny. Narodowym i ulubionym napojem Łotysza jest tak zwany *oło* lub *alus* rodzaj piwa wyrabianego przez nich samych z chmielu i jęczmienia. Ten, jak przedtem, tak i dzisiaj jeszcze, obok wódki i wina, przy weselu, przy zrękowinach, przy chrzcinach i pogrzebach, słowem przy wszystkich uroczystościach niepoślednią odegrywa rolę. O dziewczynie już komuś zaręczonej wyraża się Łotysz: *jau ar winiu pujszu ir ajzdzarta*, to znaczy: już z owym chłopcem jest zapitą. Lecz zwłaszcza wesela bardzo hucznie wyprawiają. Bawią się niekiedy trzy dni; całe pokrewieństwo bierze w nich udział, tańczą późno w noc, a nad rankiem znowu się schodzą do gościnnego domu.

O zwyczajach łotewskich, zwłaszcza przy weselach dotąd ściśle zachowywanych, można powziąć niejakieś wyobrażenie ze swad weselnych *kâzu runas*, które kalendarze ludowe łotewskie obok pieśni weselnych *(kâzu dziśmieś)* częstokroć zawierają. Przy końcu ostatniej zwrotki powtarzają obecni za każdym razem: *Byuś wasałs*, tj. bądź nam zdrów; albo: *Dzieryt wasały*, tj. pijcie zdrowo.

[1] Obacz „Inflanty“ (Poznań 1879) wydanie J. K. Żupańskiego, str. 36.

Obchody weselne kurlandzkich Łotyszów tem się mianowicie od inflanckich wyróżniają, że tam drużba towarzyszy konno weselnemu orszakowi, trzymając w ręku małe jodełki, długiemi różnobarwnemi wstęgami całkowicie przykryte, oraz trąbki weselne czyli tak zwane *taury*. Już to w ogóle Łotysz kurlandzki bardziej niż inflancki zachowuje prastare obyczaje i zwyczaje; wszakże w stroju od swych inflanckich spółbraci obecnie mało się wyróżnia.

Gustaw Manteuffel.

Druk ukończony dnia 27 marca 1886.

JANSSEN I HISTORYA REFORMACYI.

„Gęste ciemności zaległy niemiecką ziemię; wiedza, literatura, sztuka drzemały, przytłoczone ciężarem scholastyki, lub wyrodziły się w śmieszne subtelności. Poczucie religijne skarłowaciało, jeśli nie znikło zupełnie. Duchowieństwo świeckie i zakonne, począwszy od papieża, aż do ostatniego kleryka, głęboko było pogrążone w występkach, oddane całą duszą zabiegom o rzeczy doczesne a przedewszystkiem o pieniądze. Tak — nawet odpustem i świętościami posługiwał się kler, aby zaspokoić swą chciwość. Socyalne stosunki w Niemczech straszne były i upokarzające zarazem. Czarna noc niewoli ducha, naukowej stagnacyi, upadku religii i wszelkiego rodzaju nędzy, panoszyła się wkoło na schyłku średnich wieków. Jęk bolu i tęsknoty za wyzwoleniem brzmiał od Morza Północnego aż po brzegi Adryatyku!... Któż będzie tym upragnionym wybawcą? Oto on powstał w osobie Marcina Lutra, który nauką swą świat wyswobodził, narodom dał pokój i szczęście, Niemcy uwolnił spod jarzma chciwego Rzymu i podniósł do dzisiejszej wielkości". Tak mniej więcej wygląda krajobraz Niemiec w świetle zachodzącego słońca średnich wieków, skreślony malowniczem piórem protestanckich dziejopisarzów. A biada, stokroć biada temu, ktoby o wiarogodności tego obrazu śmiał powątpiewać; bo wyłącznie nieomylna historyozofia niemiecka rzuci na jego głowę nieodwołalną klątwę potępienia! I rzecz dziwna, nieledwie rzekłbym cudowna: groźny ten anatemat przez trzy wieki trzymał wszystkich jakby na uwięzi pod wpływem czarodziejskiego zaklęcia. Reformacya uchodziła za dzieło Boga, którego wybranem, opatrznościowem narzędziem był Luter. Kościół Chrystusowy spaczył się i zeszpetniał:

konieczną więc było rzeczą, aby Luter odświeżył go i sprostował. Dogmat to był historyczny, który nietylko protestanccy pisarze i kaznodzieje głosili, ale i wielu katolików czerpało z tych baśni, jakby ze źródeł najwiarogodniejszych, szerząc już i w katolickich kołach niechęć i wstręt ku własnemu Kościołowi. Nadeszła wreszcie chwila, gdzie bojaźń klątwy straciła swą władzę. Dzieła *Möhlera* i *Döllingera* wydały o reformacyi sąd wprost przeciwny dziełom protestanckim. W końcu uderzył w nie grom najpotężniejszy, zjawiło się historyczne dzieło, źródłowo a sumiennie opracowane, które spokojną krytyką i przedmiotowem zestawieniem faktów, wywracało po kolei wszystkie kłamstwa nieomylnych doktrynerów. Były to „Dzieje narodu niemieckiego *(Die Geschichte des deutschen Volkes)* od końca wieków średnich", napisane przez *Dr. Janssena*. Jak nowy a rozległy widok roztacza się tu przed okiem czytającego! „Gore! gore!" zawołali na to protestanccy historycy; „po przeczytaniu tego dzieła runie cała nasza budowa, ogień przepali ją i zniszczy aż do fundamentów. Pomocy! Tak — rządowej nawet wzywamy pomocy: boć przecież sami nie możemy zamknąć ust Janssenowi". Koryfeusze dziejopisarstwa epoki reformacyjnej, dobyli najostrzejszych piór, by zwalczyć strasznego przeciwnika. Kaverau, Ebrard, Köstlin ważyli każde słowo Janssena na szali najsurowszej krytyki. Ale niestety! wszystkie jego źródła, przeważnie protestanckie nawet, były nieposzlakowanej czystości — i dlatego pp. pastorom nie pozostało nic innego, jak krytykować a raczej łżyć jezuickie tendencye, jezuicką logikę, jezuicką obłudę i t. p. Ale wkrótce ukazał się tom II., i oto aureola, okalająca dotychczas czoło nieśmiertelnego reformatora, rozsypała się w proch, a Luter, ów pogromca papizmu, stanął teraz w całej brzydocie swych sprzeczności i błędów z własnych jego pism wykazanych. Krytyka jeszcze zacieklej zaczęła szarpać autora, lecz dzieło jego szło wciąż naprzód a naprzód, i dziś stanęło już przy 4 (włącznie) tomie „Dziejów". W dalszym toku nieco bliżej w tem dziele rozpatrywać się będziem, nie tak ze stanowiska krytycznego, jak raczej badając jego osnowę i prawdziwość i architektoniczny ustrój całokształtu. Bo wszystkie cztery tomy razem wzięte, stanowią jakoby jeden obraz mozaikowy religijnych, socyalnych i naukowych stosunków w Niemczech. I ta właśnie przyczyna usprawiedliwia dotychczasowe milczenie pisma naszego o tem dziele.

Aby choć w części wykazać konieczność reformacyi a raczej, aby ją naukowo usprawiedliwić, potrzeba było wieki średnie a przedewszystkiem ostatni ich okres przedstawić w jak najgorszem świetle. Tak zwani reformatorowie wystąpić mieli na kartach dziejowych, jako narzędzia Boże, których posłannictwem była naprawa Kościoła. Potrzeba więc było nimbem chwały otoczyć ich skronie, a stan Kościoła najczarniejszemi skreślić kolorami. Wspomnieliśmy już, że w istocie tak też się stało, a pierwszy lepszy podręcznik protestanckiej historyi kościelnej naocznie przekona nas o tem. Czy też to wszystko jest prawdą? Takie pytanie nieraz zadawali sobie katolicy a nawet i sumienniejsi protestanci. Czy to wszystko jest prawdą? takie też pytanie postawił sobie Dr. Janssen. Odpowiedź na nie stała się dlań zadaniem życia całego. Przez lat 20 badał on wszystkie źródła i to nietylko archiwa państwowe we Frankfurcie, ale i wszystkie urzędowe, protestanckie pisma. Dopiero po tyloletniej pracy przyszło na świat dzieło, które, jak to przyznają sami protestanci, usunęło piedestał z pod nóg reformatorskiej legendy i doszło do tego rezultatu, że reformacya w naukowym i religijnym kierunku, przynajmniej tak, jak ją przedstawia protestancka legenda o opatrznościowem posłannictwie Lutra, najzupełniej była zbyteczną: bo już przedtem zaprowadził ją był sam Kościół katolicki. To udowadnia czcigodny autor jasno i treściwie. Idźmy w ślad jego dowodów.

Okres zdrowego rozwoju i nowego życia w Niemczech, rozpoczynający się od połowy XV. w., stoi w ścisłym związku z działalnością niemieckiego kardynała Mikołaja Cues, zwanego także *Cusanus*, jak również z wynalezieniem sztuki drukarskiej. Kardynał stoi na schyłku średniowiecza, jak olbrzym duchowy, jak prawdziwy reformator Kościoła i szkoły na ojczystej niwie. Już w r. 1451 rozpoczął on z rozkazu papieża swą czynność reformacyjną, tylko nie od zachwiania papieskiej powagi, ale przeciwnie od jej umocnienia. Opat Tritemius porównuje go do „Anioła pokoju i światłości, który w cieniach nocy i zamętu przywrócił jedność Kościoła, powagę najwyższej jego głowy umocnił i zasiał ziarno nowego życia". Nie naruszał on w niczem kościelnego organizmu a tem mniej wiary, bo trzymał się tej zasady, że „nie człowiek oczyszczać ma i odnawiać świętość, ale przeciwnie świętość człowieka odnawiać powinna".

Dla tego więc zaczął reformować najprzód samego siebie. „Niezmordowany w pracy, pełen prostoty i skromności, miłosierny ojciec ubogich, przebiegał on Niemcy, pouczając i każąc, podnosząc i pocieszając. Wówczas to dźwignął on karność kościelną, podniósł kształcenie duchowieństwa i katechetyczne nauki ludowe, rozwinął czujność nad kaznodziejskim urzędem i wystąpił z nieprzebłaganą surowością przeciw nadużyciom“. Tak skreślił Janssen na podstawie współczesnych świadectw postać rzeczywistego reformatora kościelnego w Niemczech. Nadto kardynał, jak świadczy Tritemius, posiadał całą wiedzę swego wieku, i dlatego to zwrócił on się najprzód do teologii, którą na nowo odbudowywać zaczął na podstawie mistrzów prawdziwej scholastyki; mistykę oczyścił z panteistycznych pojęć, któremi, niestety, przesiąkła była na wskróś, i zażądał wreszcie umiejętniejszego traktowania dogmatyki. W naukach przyrodniczych on pierwszy na 100 lat przed Kopernikiem, tyle miał odwagi, że sklepieniu niebieskiemu pozorny tylko przypisywał obrót. Jego to wpływ natchnął Jerzego Feurbacha i Jana Müllera do głębszych badań przyrody, szczególnie w dziedzinie astronomii. On wreszcie pierwszym był w Niemczech odnowicielem gruntownych studyów klasycznej starożytności, studyów łączących w sobie dowcip z prostotą i swobodę z umiarkowaniem. W tym celu popierał wszystkiemi siłami szkoły i stowarzyszenia naukowe a w szczególności związek „Braci wspólnego życia“, których zadaniem było udoskonalać i rozpowszechniać znajomość oczyszczonych klasyków (Janssen 3—5). Wiekopomnemu dziełu katolickiego reformatora był szczególniejszą pomocą wynalazek sztuki drukarskiej. Wielu protestantów utrzymuje, że Kościół katolicki był, i jeszcze teraz jest nieprzyjacielem tego wynalazku. Jedno to tylko z całego katalogu kłamstw historycznych, którym Janssen tak jasną i dobitną daje odprawę.

Kościół w tej pięknej zdobyczy ludzkiego ducha bynajmniej nie upatrywał zyskownego interesu, ale tylko nowy środek do rozwinięcia działalności misyjnej w duchu chrześcijańskim. Tak ją pojmował znakomity pedagog Jakób Wimpheling (1450—1528), profesor literatury i dziekan katedralny w Heidelbergu. „Jak niegdyś wysłańcy Zbawiciela w świat wyruszali, tak i dziś z niemieckiej ziemi uczniowie sztuki świętej rozchodzą się po wszech krajach, a ich księgi drukowane, będą jakoby nowymi heroldami Ewangelii,

kaznodziejami prawdy i umiejętności". Kościół był właśnie jednym z pierwszych opiekunów i protektorów tej sztuki. Za rozpowszechnianie książek nadane były odpusty, a duchowieństwo świeckie i zakonne najczynniej popierało ich wydawnictwa. Tak np. trudno było w Niemczech w znaczniejszem jakiemś mieście znaleść drukarnię, w którejby duchowni nie mieli jakiegokolwiek udziału. W Rzymie, bezpośrednio po wynalezieniu sztuki drukarskiej, zakładano drukarnię jednę po drugiej. W r. 1445 znajdujemy ich tam dwadzieścia; a największa ich część zawdzięcza swój byt fundacyom kleru. Pośrednictwo i wpływ duchowieństwa był też najgłówniejszym środkiem ułatwiającym a raczej umożebniającym wszechstronne i równoczesne prowadzenie handlu książkowego. To miało miejsce przedewszystkiem w Niemczech. Na pierwszym planie stała tu Biblia. Po r. 1500 wydano Wulgatę blisko 100 razy; a przed zawichrzeniem Lutrowem Kościoła wyszło z pod prasy przynajmniej 15 zupełnych wydań Biblii w narzeczu *hochdeutsch* i 5 w narzeczu *niederdeutsch*; prócz tego 25 osobnych wydań Ewangelii i Listów powszechnych. Śmiesznem więc jest twierdzenie, że „dopiero Luter Biblię z pod ławy wyciągnął". Obok Pisma św. wyszło staraniem kleru dokładne wydanie Ojców Kościoła, dawnych scholastyków i współczesnych teologów, a wydawnictwo to liczy się po dziś dzień do najwspanialszych i najcenniejszych zabytków. Ilość dzieł wydanych po r. 1500 a dotychczas jeszcze istniejących, można bez żadnej przesady podnieść do poważnej liczby 30.000! Bazylea miała 16, Augsburg 20, Kolonia 21 drukarń, U norymberskiego drukarza Koburgerta pracowało 100 czeladników, wprawiając w ruch 24 prasy drukarskie, a to jeszcze tak dalece było niedostatecznem, że nieraz musiał dawać dzieła do druku po za swą pracownię. Że zaś w istocie czytywano wówczas książki, tego dowodzi piękna książeczka p. t. „Przewodnik dusz" *(Der Seelenführer)* w której czytamy te słowa: „W dzisiejszych czasach każdy chciałby i czytać i pisać". Możnaż w obec takich faktów powtarzać zużyte już formułki o ciemnocie i zacofaniu wieków średnich?!

Szlachetny zapał do wszelkiej wiedzy rozbudził się wszędzie, nie wyjmując żadnej klasy społeczeństwa. Spostrzegamy to i w niższych nawet szkołach i w religijnem pouczaniu ludu. Po miastach i po wsiach ulepszają się dawne szkoły a powstają nowe. Kościół

nie pozostał tutaj bezczynnym. Rodziców upominał i nakłaniał, by wysyłali swe dziatki do wiejskich szkółek; ustanowił nagrody za pilność w nauce i uczęszczaniu; postarał się o wystarczającą płacę dla nauczycieli, a z drugiej strony przypominał tym ostatnim całą doniosłość zadania, całą szczytność ich posłannictwa I zaprawdę zrozumiał lud te ojcowskie upomnienia Kościoła. Szan. autor na poparcie tego przytacza jeden z wielu podobnych przykładów.

W miejscowości Weeze pod miastem Goch, dostawał nauczyciel od gminy: 4 złr., 3 ćwiertnie żyta, 2 pszenicy, 2 owsa i 60 wiązek słomy. Nadto miał wolne pomieszkanie, sad i ogród warzywny a przytem rozległe łąki. Każde też dziecię winno było płacić mu w zimie 5 a w lecie 3 sztybery (28 takich sztyberów = 1 złr.) szkolnego. Wreszcie za służbę w kościele otrzymywał on 2—3 złr. Tymczasem obaj burmistrze w Goch mieli tylko 5., katedralny zaś budowniczy we Frankfurcie 10 złr. rocznej pensyi. Więc stosunkowo wiejski nauczyciel miał się lepiej od miejskich burmistrzów i t d. Podobne stosunki istniały prawie w całych Niemczech.

Co zaś do religijnego wychowania, to z woli i z rozporządzenia Kościoła w domu rodzicielskim zaczynać się miało, w szkołach rozwijać, a uzupełniać przez kazania, nauki katechetyczne i czytanie religijnych książek. Zasady te nie pozostały tylko teoryą w kościele katolickim, lecz przeszły w wykonanie praktyczne. Dość przypomnieć jakim był wykład religii w szkołach katedralnych, w *Trivium i Quadrivium*. Nie gorzej też, lubo w skromniejszych rozmiarach, wywiązywały się ze swego zadania szkółki elementarne po parafiach. Jak wielką zaś była cześć słowa Bożego — tego dowodzą statuta w tym czasie odbytego dyecezalnego synodu, liczne zakłady fundacyjne dla kaznodziejów, i nadzwyczajny pokup zbiorów kazań drukowanych. Tak np. do r. 1500 kazania Dominikanina Herolta rozszerzyły się w 40.000 egzemplarzy. Świadczą też o tej czci słowa Bożego liczni pisarze ówcześni, świadczą i książki do nabożeństwa z owych czasów, pełne gorącej zachęty do słuchania słów Bożych, np. *Das Weihegärtlein* i t. p. W Lubece domagano się nawet, aby niesłuchający w niedzielę kazania, karany był klątwą kościelną. Pisma katechetyczne odznaczają się znakomitemi naukami, szczególnie w tych punktach i kwestyach, które spowodowały podjęcie reformy w katolickim Kościele. Lecz nie ma tu ani cienia

nawet przesadnej czci świętych, lub błędnej nauki o odpuście. Wszystkie książki przez Kościół używane, zawierają czysty, nieskażony depozyt apostolskiej wiary. Z pomiędzy wielu przykładów przynajmniej jeden tutaj przytoczymy.

W Bazylei wyszedł drukowany „Wstęp do św. Kanonu", w którym taki znajduje się ustęp: „Wnijdź do skrytości serca twego, znajdź w niem Jezusa i zamknij się w świętych Jego ranach. Dalekiem niech będzie od ciebie zaufanie w twych własnych zasługach, bo całe zbawienie twoje zawisło na krzyżu z Jezusem, w którym wszystką nadzieję pokładać winieneś[1]".

Gdzież więc ów tryumf Lutra, przywłaszczającego sobie monopol ufności w Zbawicielu świata? Nie mniej błędnem jest zdanie, że dopiero Luter otworzył ludziom karty Pisma św. i czytać w nich nauczył. Janssen przytacza wiele ekshortacyj w języku staroniemieckim napisanych[2], a zachęcających do czytania Pisma św. Czytanie to podówczas nie miało niebezpieczeństwa, bo przed Lutrem jeszcze nie było tylu błędnych przekładów i podmiotowych objaśnień, w których podsuwano osobiste swoje pojęcia i zasady. I z tej właśnie przyczyny musiał Kościół zakazać czytanie Pisma św. w ogólności. Pozwalał jednak, i dziś pozwala ludziom świeckim czytać Biblię w języku ojczystym, ale tylko taką, która i odpowiednemi notami jest zaopatrzona i uzyskała aprobatę kościelną. Więc pod tym względem Luter nic nie wniósł nowego, lecz owszem popsuł zwyczaj już istniejący, w którego obronie sam później przeciwko własnym przyjaciołom wystąpił, kiedy ci opierając się na zasadach jego subjektywizmu poczęli tłumaczyć Pismo św. samowolnie i niezgodnie z jego duchem.

Przejdźmy teraz do ówczesnych szkół średnich. Gerhard Groot założył w Deventer wzmiankowane już „Bractwo życia wspólnego" *(Fratres de communi vita)*. Stowarzyszenie to wywierało potężny wpływ na szkoły średnie. Pod koniec XV. wieku szkoły te sięgały od Renu aż w głąb Szwabii, od Skaldy aż do Wisły. Oczywiście rdzenną częścią zadania tych szkół było chrześcijańskie wychowanie, tj. religijne kształcenie serca i rozumu, i gdyby system ten był przetrwał aż do naszych czasów, nie zaznalibyśmy

[1] Patrz inne przykłady: Janssen str. 20—24. [2] Str. 45.

w szkołach tej strasznej nędzy moralnej, na jaką nieraz patrzymy. Lecz nie tu kończyła się czynność szkół średnich. Nauki nie były bynajmniej zaniedbane, lecz owszem bujnie się rozwijały pod wpływem czujności i prawdziwie wzorowej metody. Zobaczmy tylko, jakich uczniów wydała ta szkoła. Kardynał Cusanus, Rudolf Agricola, Ludwik Dringenberg i t. p. są to imiona czcicielom klasyków, a nawet i zwolennikom humanizmu z pewnością nie obce. Oni byli ojcami prawdziwego humanizmu — nie owego humanizmu młodo-niemieckiego, który po r. 1510 otwarcie przeciw Kościołowi wystąpił. Starsi czyli pierwotni humaniści poświęcali się wprawdzie studyom języka łacińskiego, ale przytem nie zapominali mowy rodzinnej i ojczystej literatury, która u ich młodszych następców istotnie poszła w pogardę. Pierwsi także walczyli przeciw chorobliwym objawom scholastyki, ale nigdy przeciw scholastycznej teologii, a tem mniej przeciw wierze i organizacyi Kościoła. Przytem byli to mężowie nieposzlakowanego charakteru i nieskażonych obyczajów, różni zupełnie i pod tym względem od młodszych humanistów takich jak L. Hutten *et consortes*. Świetnie kwitły nauki szczególnie nad Renem i w Westfalii. Autor ukazuje nam ten ruch i to życie, jakiem wrzały ówczesne zakłady naukowe [1].

Podobnie i wychowania dziewcząt nie zostawiono odłogiem. Miasto Ksanten miało wyższe szkoły żeńskie, a Wormskie klasztory przepełnione były uczonemi mistrzyniami [2]. Rozumie się samo przez się, że szkoły te w owych czasach niepodobne były w niczem do szkół dzisiejszych, bo ... jeszcze nieznaną była emancypacya kobiet, ani jej szalone wybryki. Starzy pedagogowie trzymali się tej zdrowej zasady, że władze i zdolności dziecka nietylko rozwijać należy, ale też uszlachetniać i udoskonalać. Oni wszczepiali w młodociane serca ochotę i zamiłowanie do nauk i nie przeciążali mnóstwem niepotrzebnych, a często wprost szkodliwych przedmiotów, które w życiu praktycznem i na stanowiskach socyalnych żadnego zastosowania nie mają. Taktyka tych mistrzów zasadzała się na zaprawianiu młodzieży do właściwych czynności i nauk przydatnych w całem późniejszem życiu. Studyum starożytnych klasyków służyło za „gimnastykę samodzielnego sądu".

[1] Str. 75. [2] Str. 46—64.

Taki system doprowadzał w końcu do tego, że uczniowie opuszczali szkoły z jakiemś pojęciem i zrozumieniem całości i szli z zapałem na studya specyalne do uniwersytetów.

Jedna tylko Brandenburgia pozostała w tyle. W ogóle zaś o całem szkolnictwie niemieckiem wyraził się sam Erazm Rotterdamczyk: *tot fere sunt academiae, quot oppida.* Czyż więc potrzeba więcej jeszcze dowodów na odparcie zarzutu, że przed reformacyą głęboka noc ciemnoty średniowiecznej pokrywała Niemcy?

Jeśli już w szkołach średnich nauki tak bujnem tryskały życiem, cóż powiedzieć o uniwersytetach! W okresie czasu od roku 1460–1510 wzniesiono 9 nowych uniwersytetów[1], a że do nich licznie uczęszczano, o tem przekonują nas liczne przykłady. Tak np. Kraków miał 15 000, Wiedeń 7 000 słuchaczów i t. d. Dyplomy fundacyjne wszystkich uniwersytetów, oprócz Wittenberskiego, nadawał papież, i wtedy dopiero przysługiwały im wielkie prawa i przywileje. „Papieże byli pierwszymi i największymi patronami uniwersytetów". Takie świadectwo dają sami przeciwnicy i nieprzyjaciele nasi. Papieże nadawali wszechnicom, tym „wiernym córom Kościoła" bogate posiadłości, zachęcając do podobnej hojności duchowieństwo, szlachtę i książąt. Zawdzięczały one także szczodrobliwości papieskiej wolną jurysdykcyę sądową, „swobody i przywileje w które żadnemu królowi ani kanclerzowi nie wolno było wkraczać" (r. 1445. Mowa wstępna Rektora Magn. Lipsk). Miały one pewien międzynarodowy charakter, od Ojca wszech-chrześcijaństwa im nadany, i jako taki powszechnem cieszący się uznaniem. Jako niezależne „zamki wolności" wyszły one z rąk Kościoła i nikt im tej niezawisłości nie zaprzeczał. Dopiero rządowa organizacya kościoła na zasadach protestantyzmu oparta i heglowska omnipotencya państwa *(Staatsomnipotenz)* zepchnęła je do rzędu instytucyj państwowych tak, że dziś nawet pedela samodzielnie przyjąć im nie wolno; a cóż mówić o wyborze profesorów! *Ab initio non fuit sic.* Jaki to ruch, jakie życie niegdyś tam wrzało! Najwybitniejsze stanowisko zajmowała Kolonia. W teologii system scholastyczny

[1] W Greifswalden 1456, w Bazylei 1461. W tymże roku i we Fryburgu. W Ingolstadzie i Trewirze r. 1762. W Tybindze i Moguncyi r. 1477. W Wittenberdze 1502 r. We Frankfurcie n. O. 1506 r. Nadto dawniej już założone: w Pradze, Kolonii, Wiedniu, Heidelbergu, Erfurcie, Lipsku.

panował, ale i klasycyzm nie był na ostatnim planie. Z uniwersyteckich matrykuł przekonać się można, że wszyscy znakomitsi humaniści kształcili się w Kolonii. Od r. 1484 Wilhelm Raymund Mithridates wykładał tu języki: grecki, hebrajski, arabski i chaldejski. Katedrę języka łacińskiego zajmował Andrzej Cantor (1487). Erazm Rotterdamczyk utrzymywał wielkie stronnictwo literackie (1496), a Franciszkanin Diderich Coelde, znakomity kaznodzieja ludowy i autor niemieckiego katechizmu, powszechnej zażywał wzięłości. Do znakomitości należał też Bartłomiej z Kolonii, i dziełem: *Litterae obscurorum virorum* osławiony Ortuin Gratius. Sam nawet Melanchton wyznał otwarcie, że studya w Kolonii pod kierownictwem znakomitych mężów, w pełnym były rozkwicie. Jedna jeszcze postać zasługuje na osobne wyszczególnienie: Werner Rovelnik, przeor Kartuzów, który piastując katedrę teologii, egzegezy i prawa politycznego, wielu nawet profesorów do grona swych słuchaczów zaliczał.

Siedliskiem ruchu na polu naukowem niemniej ożywionego, był także Heidelberg. Przedewszystkiem kwitły tu studya historyczne, które Rudolf Agricola swą Historyą Powszechną użyźnił i uświetnił. Głównym motorem ruchu naukowego jak świadczą zgodne zdania współczesnych pisarzy, był biskup Wormski Jan de Dalberg, który pełniąc urząd kuratora akademii, podniósł ją do szczytu świetności. Drugą gwiazdą był Jan Reuchlin, mąż europejskiej sławy, którego wiedzą karmią się po dziś dzień nasi filologowie. Gorący współudział znalazła ta wszechnica w „nadreńskiem towarzystwie literackiem“ a szczególnie u opata Tritemiusa, łączącego w sobie głęboką wiedzę z niemniej głęboką pobożnością.

Na uniwersytecie Fryburskim należał do pierwszorzędnych gwiazd naukowych Ulryk Zasius, zwany reformatorem jurysprudencyi. Wimpheling jako pedagog, Reuchlin jako hebreolog a Zasius jako jurysta — to trzy reformatorskie meteory wieków średnich, w zakresie tych umiejętności specyalnych. Wszyscy trzej lubo humaniści, pozostali wiernymi synami Kościoła. Zbyt daleko odwiodłoby nas od zamierzonego celu, gdybyśmy chcieli podawać szczegółowe sprawozdania o naukowej działalności wszystkich uniwersytetów. Wskazujemy więc tylko odnośne miejsce u Janssena: tom I. str. 30 – 129, gdzie znajduje się dokładny, ciepły i przedmiotowy rysopis najcelniejszych sił każdej wszechnicy z osobna.

Do jakich więc wniosków upoważniają nas te wszystkie dowody?... Czyż możemy jeszcze wierzyć protestantom, że w końcu średniowiecza literacko-naukowe zaćmienie ogarnęło niemieckie krainy i dopiero zjawić się musiał Luter, aby je rozproszyć? Czyż jeszcze można naiwnie dawać temu wiarę, kiedy już Cusanus przeprowadził naprawę Kościoła, a od lat 50 dawniejsi humaniści reformowali wszystkie niedostatki w naukach? Fałsz więc to oczywisty. W Berlinie tylko i w Marchii Brandenburskiej panowały ciemności, a wyjaśnienie tego faktu podaje nam uczony Elektor Brandenburgski Joachim: „Nie ma zakątka na niemieckiej ziemi, w którymby można znaleść tyle niezgód, okrucieństw i morderstw, co w naszej Marchii". Dopiero w r. 1539 powstała w Berlinie pierwsza drukarnia a w 1659 pierwszy pojawił się księgarz.

Jak w naukowem zakresie tak i w dziedzinie sztuki jarzyło się od dziennego światła. Tu występuje wspaniała postać Cesarza Maksymiliana jako głównego na tem polu kierownika i organizatora. Nietylko był on zapalonym miłośnikiem, ale też i hojnym protektorem nauk i sztuki, nie szczędząc niczego gdy chodziło o ich podniesienie. Teologów, historyków, poetów gorąco popierał i opiekował się nimi, ale artyści i humaniści szczególniejszej doznawali od niego łaski i pomocy. Najlepszy dowód jego artystycznego smaku i znawstwa sztuki daje nam wspaniały grobowiec w Insbruku, którego plan był własnem jego dziełem. Żaden kraj nie posiada podobnego mauzoleum ani co do pomysłu, ani co do wykonania. Za przykładem cesarza szedł cały naród, i właśnie wówczas w dzieła sztuki wszczepiał rdzeń ducha i treść życia swego. Dzieła takie — to najlepszy termometr moralnej wielkości narodu, to najwznioślejsze świadectwo jego wiary i patryotyzmu. One dowodzą też jasno, że Kościół jak na polu naukowem, tak i tutaj był jeszcze panem serc i umysłów; i nie powstrzymując bynajmniej ich polotu, podawał im właśnie w tajemnicach wiary, przedmiot, siły i środki do wykonania najwspanialszych i najidealniejszych utworów malarstwa i architektury. Stąd pochodzi, że właśnie w tej wzgardzonej epoce tak żywo się uwydatnia najszlachetniejsze poświęcenie się dla wyższych, nadprzyrodzonych celów, które dawnym kapłanom sztuki świeciły przewodnią gwiazdą ideału. Kościół oddawał sztukę na służbę Boża, upatrując w niej uzupełnienie ustnego i pisemnego wykształcenia

narodu — a prawdziwie wielcy mistrzowie zrozumieli to święte posłannictwo sztuki, i ujmując myśl swą w kształty cielesne, chwałę Bożą i pożytek ludzi mieli zawsze na myśli. Świętością i majestatem przedmiotu chcieli obudzić i rozkrzewić poczucie i miłość dóbr wyższych, idealnych... i dlatego unikali powszedniego poziomu. Takich obrazów skandalicznych, jakie odsłonił przed nami niedawny proces Graeve'go w Berlinie lub najświeższy w Wiedniu, okazując straszny upadek uroczej niebios mieszkanki — takich potwornych płodów wyobraźni, ciemnota wieków średnich oczywiście nigdy nie wydała! A jednak i dziś jeszcze ze zdumieniem przypatrujemy się średniowiecznym arcydziełom w Dreźnie lub Monachium. Twórcy tych arcydzieł poświęcali się sztuce nie by zadowolnić własne żądze lub schlebiać namiętnościom drugich, lecz by wolę Bożą jak najdoskonalej spełnić. Wszystkie gałęzie sztuki wiązały się razem w jedną, harmonijną całość. Architektura, rzeźba, muzyka, malarstwo, z jednego wyrastały korzenia i z jednej zasadniczej snuły się myśli. Budowniczy, rzeźbiarz, muzyk i malarz nie pracowali odrębnie, niezawiśle od siebie, ale przeciwnie, wspólnemi siłami w jednym dążyli kierunku, owiani tem samem tchnieniem religijno-narodowego uczucia. Ta jedność sztuki tworzyła arcydzieła, a wnikając we wszystkie warstwy narodu, budziła wszędzie żywe zajęcie, jakiego próżnoby szukać w czasach późniejszych. Niemiecka sztuka zawdzięcza całą swą siłę temu właśnie religijno-narodowemu charakterowi; a w miarę jak ten charakter się zacierał, i ona też z swych wyżyn spadała. Jak potężnie tętni życie religijne na obydwóch wielkich zjazdach niemieckich kamieniarzy w Regensburgu (1459) i Spirze (1464), gdzie na mocy wspólnych statutów, poddali się oni pod zarząd i kierownictwo czterech miast głównych: Strasburga, Kolonii, Wiednia i Berna. Jak piękne postawili tam zasady życia: „Bóg, sztuka, sprawiedliwość, cnota niech będą naszem godłem — a z daleka chrońmy się pijaństwa i próżnych przysiąg, przekleństw i złych obyczajów“. I dlatego nie dziw, że Włosi naonczas Strasburskich sprowadzali mistrzów do pomocy przy budowie Medyolańskiego tumu (1490). Florencya, Orwieto, Asyż były pod kierownictwem mistrzów niemieckich, a Włoch Paweł Jovius domagał się, aby ziomkowie jego do Niemiec na naukę budownictwa jeździli. Według jednozgodnych świadectw, niemieckiemi wzorami posługiwały

się do budowy katedralnych kościołów: Salisbury, Ely, Lincoln, Winczester, Glocester, Exeter i inne — w Anglii, a Barcelona, Leon, Oviedo, Sewilla — w Hiszpanii i Portugalii. W Burgos wzniósł mistrz koloński najwyższą fasadę tamtejszej katedry. Aż do Polski i Węgier sięgał duch sztuki niemieckiej, czego najlepszym dowodem sama stolica Jagiellonów.

W tymże okresie (1450—1515) i w północnych Niemczech wznosiły się wspaniałe kościoły i tumy. W Berlinie, Brandenburgu, Wrocławiu i Gdańsku, słynne świątynie: N. Maryi P., św. Jana i t. p. Elbing, Havelberg, Saksonia i Turyngia, Budziszyn, Brunświk, Chemnitz, Koburg, Duderstadt, Eisleben, Fryburg, Hildesheim, Lipsk, Magdeburg i t. d., posiadają w kościelnych budowach najwspanialsze pomniki architektury [1]. Niepodobna tu wymieniać wszystkich znaczniejszych budowli, które podówczas w Niemczech powstały. Samych tylko większych a świeżo wystawionych kościołów liczono więcej niż 200, a między temi znajdowały się też budowy pierwszorzędne jak np. w Ulmie, Pradze, Kolonii i t. d. Na budowę takich dzieł sztuki składał się cały naród: rycerz dawał na ofiarę swój pancerz, dziewica swe klejnoty, mieszczanin lub kupiec znosili pieniądze. Jakiś parobek złożył 6 drobnych denarów, jakaś staruszka 14 i t. p. Częstokroć ofiary takie nadchodziły w postaci kur, cieląt, nierogacizny, co wszystko karmili piekarze aż do zupełnego ich utuczenia. Znoszono też narzędzia, domowe sprzęty, ubrania — słowem wszystko co tylko spieniężyć się dało. Z takich składek powstał tum frankfurcki. W podobny też sposób wzniesiono i Ulmską katedrę, której budowa pochłonęła 9 beczek złota; a olbrzymią tę sumę złożyli sami tylko obywatele, „bez obcej pomocy".

Tym to sercom pełnym żywej wiary, temu zgodnemu współdziałaniu całego ogółu, tej powszechnej ofiarności ze strony najbogatszych i najuboższych, mieszczan i wieśniaków, duchowieństwa i szlachty, stowarzyszeń, cechów i bractw, zawdzięczały domy Boże nietylko swe istnienie ale i całą ozdobność wewnętrzną, całe bogactwo najznakomitszych dzieł sztuki.

Czyż więc te wszystkie pomniki artyzmu, te skarby średnio-

[1] Str. 135, 136.

wiecznych arcydzieł nowym mają być znakiem zacofania i ciemnoty, skreślonej w reformatorskich legendach z tak niezachwianą pewnością siebie? Czy też może istotna wartość reformacyi ma polegać na druzgotaniu lub obracaniu w perzynę owych drogich zabytków wiarą i sztuką wzniesionych, w czem przecież spokojni i rozsądni protestanci nawet, upatrywali barbarzyństwo i zupełną sztuki niemieckiej zagładę. Norymberski radca, w r. 1552 kazał 900 funtów najpiękniejszych, srebrnych kosztowności skruszyć i przetopić. Cudzoziemcy, dzieła Albrechta Dürera wywozili furami. W Ulmie obliczono tylko na wagę, wartość złupionych skarbów kościelnych, na 300.000 zł. ówczesnej monety. W St. Gallen 40 wozów naładowanych dziełami sztuki, od razu wrzucono na stos! W Zurychu przez 13 dni trwało pustoszenie najcenniejszych pamiątek!... Tym sposobem zaginęły tysiące dzieł niemieckiej sztuki ze szkół: Kolońskiej, Brygskiej, van Eyk'a, Memlinga, Ruisdael'a, Holbeina, Dürera [1].

Obok sztuk plastycznych, nie zapominano też o starannej uprawie muzyki i śpiewu. Potrzeba ich wypływała z ducha Kościoła, czyli jak powiedział Reichensperger, były one koniecznem „uzupełnieniem średniowiecznego stylu kościołów" a jako styl ten nastrajał duszę do głębszej rozwagi i wznioślejszych uczuć, tak i średniowieczne pienia płynęły majestatycznie wzdłuż naw gotyckich a wzbijając się pod strzeliste sklepienia, i ducha ludzkiego wraz z sobą w górę unosiły.

Przedstawicielami poniekąd wszystkich następnych szkół muzycznych byli: Jakób Obrecht i Jan Orkenheim. Łatwo się domyśleć, że i w śpiewie i w muzyce przeważała melodya gregoryańska. Do pierwszych w tym względzie znakomitości należał Henryk Fink (1492) królewski kapelmistrz w Krakowie, i Mahn, cieszący się sławą przesłańca Palestriny [2].

Poważnie rozlegał się śpiew śród kolumn wyniosłych tumów, ale za to tem weselej, tem lotniej brzmiał po za ich ścianami: na zamkach rycerzy, na kiermaszach i na wszystkich uroczystościach ludowych. Skoczno, komicznie lub szorstko dźwięczała muzyka i płynęły pieśni w przedstawieniach dramatycznych — a szczególnie w grze zapustnej. Z wyrazem ironii i satyry w „Okręcie głupców" *(Narren-*

[1] Str. 150—173. [2] Str. 179—204.

schiff) dobrze znanego Sebastyana Brandta i w „Zwierciedle rządów dla dworów książęcych". *(Spiegel des Regiment für Fürsten-Höfe)*, gdzie obłuda i pochlebstwo stoją pod pręgierzem pogardy [1]. Podniosłą i pełną szlachetnej godności, była muzyka w tak zwanych przedstawieniach religijnych. Treścią ich bywały tajemnice wiary, np.: Narodzenie Chrystusa P., gdzie wszystko około żłobka się skupia, śmierć Jego i t. p. Osoby alegoryczne rozpoczynały grę. Najznaczniejsza sztuka nosiła tytuł: „O powstaniu i upadku Antychrysta".

Przedstawienia takie dawano najprzód w kościołach, później na cmentarzach a w końcu na rynkach. Dla studentów przedstawiano komedye poetów łacińskich w tymże języku, lub też studenci sami je odgrywali. Wydawnictwem podobnych dzieł zajmowali się zwykle duchowni (1223—1235 r.) [2].

Nie mniej pisano też prozą. Ale najbujniej i najdoskonalej rozwinął się w tym czasie rodzaj prozy opowiadającej, historycznej i powieściowej. Koloński *Seelentrost* zamieszczał nowelle i bajki, tchnące naiwną prostotą i szczególnym wdziękiem. Temiż zaletami odznaczały się bajki i podania *(Sagen)* Hermana Corner'a, Dominikanina z Lubeki. A owe kroniki, w każdem naówczas spisywane mieście, z jakąż dzisiaj czytamy rozkoszą. Np. kronikę Austryacką proboszcza Jakóba Unrèsta, Norymberską i inne. Za przedmiot do opowiadań ludowych brano zwykle wypadki z życia wielkich bohaterów, jak: księcia Ernesta, Wilhelma austryackiego, Fryderyka Rudobrodego, Tristana i Izaldę albo Meluzynę, wzór najwierniejszej macierzyńskiej miłości, i t. p. [3]. Kiedy więc w żyłach niemieckiego narodu życie naukowe i religijne najsilniejszem uderzało tętnem, wtedy na widnokręgu politycznym smutny przedstawiał się widok. Niezmordowany kardynał Cusanus skierował całą swą uwagę na przebieg i stan życia publicznego. Przejęty zapałem dla idei państwa rzymskiego w niemieckim narodzie, pracował bez wytchnienia, przedstawiając na sejmach projekty reform. Wprawdzie zarządzono tu niektóre ulepszenia, i była nadzieja, że nieszczęście, którego groźne zbliżanie się, dla niezgód niemieckich książąt, przepowiadał już Machiavelli, da się jeszcze odwrócić. Cesarska egzeku-

---

[1] Str. 237 i nast. [2] Wyśmienity artykuł o średniowiecznych teatrach, ob. w „Historisch-polit. Blätter t. VI. 9—37. [3] Str. 244—260.

tywa straciła swoją moc przez to, że naruszanie krajowego pokoju *(Landfriede)* i pogwałcanie praw wszelkich uchodziło bezkarnie. Przedewszystkiem zażądał kardynał przywrócenia niemieckiego prawa; lecz tego nigdy uzyskać nie zdołał: bo nowe prawo rzymskie nabyło wzięcia u książąt, i już nawet na zewnątrz objawiać się zaczynało w wielu cezaro-papistycznych zachciankach.

Na początku XVI. w. kolosalne bogactwo kraju znacznie się zmniejszyło pod wpływem rzymskiej idei koncentrowania majątków w jednem ręku. Podniosły się skargi na ubytek pieniędzy, na drożyznę żywności i szkodliwe jej podrabianie — słowem na uciemiężanie klasy roboczej przez właścicieli. Jeden tylko Kościół działał wytrwale a łagodząco na stosunki socyalne. Stanęło mnóstwo dobroczynnych instytucyj, szpitalów, domów przytułku, gospod i ochronek. Na pokrycie kosztów starczały dobrowolne datki i fundacye kościelne i szkolne, tak że ani rząd ani obywatele łożyć na to nie potrzebowali. Kościelne zakony i stowarzyszenia bez żadnych ostentacyj, rozwinęły olbrzymią działalność w niesieniu pomocy ubogim i pielęgnowaniu chorych. Wspierać i osładzać los ubogich było zadaniem wielu klasztorów. To też wieki średnie nie znały piekących kwestyj socyalnych. Kościół występował z całą energią i stanowczością przeciw lichwie i wszelkim nadużyciom, jak tego dowodzą liczne sobory prowincyonalne i synody między r. 1451 a 1515 odbyte. A jednak w początkach XVI. w. i duchowieństwo, szczególnie w wyższych swych członkach, prądem czasu porwane innemi poszło drogami... Chętnie to przyznajemy: bo nie urząd i godność ale człowiek wikła się w błędach. Zresztą reformatorski duch niestrudzonego kardynała nie mógł przecież wszystkim zapobiedz nadużyciom. Ale pomimo zwykłych pojawów ludzkiej słabości, historyczny obraz dogorywającego średniowiecza był i zawsze pozostanie w zupełnej sprzeczności z karykaturą protestanckich baśni. Słusznie też i sprawiedliwie wołają oburzeni krytycy: „Jeśli to prawda co mówi Janssen o drugiej połowie XV. stulecia, to reformacya nie ma żadnej logicznej podstawy!“. Że zaś faktów przez Janssena przytoczonych nikt jeszcze odeprzeć nie umiał — z przyjemnością więc trzymamy się wniosku: *Ergo* Janssen zburzył podstawę reformacyi.

(C. d. n.) *A. Kraetzig.*

CHRZEŚCIJAŃSKI MĄŻ STANU.

Don Gabryel Garcia Moreno.

(Dokończenie).

Wszędzie sięgało czujne oko i czynna dłoń Prezydenta; jak doświadczony lekarz, umiał dokładnie oceniać każde tętno dobrego czy złego, odkrywać rdzeń choroby, kłaść rękę na najdrażliwszą ranę. Ameryka podobnie jak Europa cierpi na nadmiar adwokatów. Oni i tam w parlamentach kują anty-kościelne ustawy, i tam powtarzają rzucone przez adwokata z Cahors hasło, iż klerykalizm głównym wrogiem państwa. W Rzpltej Ekwadoru zawód prawniczy najliczniejszych ściągał kandydatów, z powodu łatwości egzaminów, i szybkości ewentualnej karyery. Że jednak szczupła tylko ich liczba zdołała się wcisnąć na rządowe posady, większa część skończonych jurystów utrzymywała się z procesów zręcznie przeciąganych i wikłanych, a jednocześnie wśród nich powstawał najznaczniejszy kontyngens spiskowców i apostołów idei przewrotnych. Ferment rewolucyjnych zakusów, przeważnie tam w kołach adwokackich dojrzewał. Dwojaka więc stąd szkoda dla kraju płynęła: raz sztucznem podniesieniem niezgód prywatnych, z których żyli pozbawieni publicznych posad prawnicy, a powtóre zaklętem kołem politycznych deklamacyj, spaczonych ambicyj, niedowarzonych pojęć, w którem się obracali ci niebezpieczni agitatorzy społeczni. Utrudnieniem zbyt łatwych dotąd egzaminów, zaostrzeniem praw, zreformowaniem sądów, i na tej drodze doszedł Moreno do skutecznej naprawy niemoralnych i nienormalnych stosunków. Jak zwykle i w tym kierunku umiał przykładną, a nawet bezwzględną rozwinąć surowość.

Mąż ten litościwy i miłosierny wiedział i rozumiał, że tylko sprawiedliwem wymierzaniem kary, można rozbudzić sumienie w upadłem społeczeństwie. Niejeden wyrok śmierci przeciw sprawcom buntu lub nieporządku własnoręcznie podpisał, i nie dał się przebłagać żadną prośbą ni groźbą. Ale zarazem bywało iż skazując małżonka lub syna na wygnanie, z własnej kieszeni pensyonował tymczasem rodzinę banity.

Jednym z pierwszych jego zachodów było wybudowanie gmachu więziennego, uchodzącego po dziś dzień za doskonały wzór praktycznych i zdrowych urządzeń, w miejsce dawnych zabójczych lochów i kaźni. Dla małoletnich przestępców otwierał prawdziwe domy poprawy pod kierunkiem zakonnych zgromadzeń; upadłe kobiety powierzał miłosiernym wpływom sióstr Dobrego Pasterza. Wszystkie te jego usiłowania, błogosławieństwem Bożem widocznie poparte, jawnemi były uwieńczone skutkami. Niegdyś w Ekwadorze nie można było się ruszyć z domu inaczej jak zbrojno, teraz i w lasach odległych podróżny czuł się bezpiecznym. Ustały rozboje i kradzieże, a nie łatwa była to odmiana, zważywszy, iż lud w tych strefach gorących nad wszelki wyraz bywa leniwy, próżniaczy, brudny i złodziejski. Obejmując rządy, Don Gabryel znalazł się na czele iście żebraczego narodu; na tysiąc obywateli, zaledwie jeden posiadał dostateczne utrzymanie. Głęboki badacz i znawca kwestyi socyalnej, Moreno genialnie obmyślił środki dwustronnego ratunku. Tysiące rąk zajmował codziennie przez cały czas swego urzędowania, tysiącom robotników dawał chleb i pracę, przy mądrze wybranych przedsiębierstwach, które ratując ubogich robotników od próżniactwa i głodu, i zarazem bogactwo kraju dźwigały. Powstawały więc bite gościńce, drogi żelazne, wijadukty, nie bywałe środki komunikacyi; rozszerzały się dawne porty, otwierały nowe, latarnie morskie rozświecały drogę opływających wybrzeża żeglarzy; w Quito pod nazwą *El Protectorado* bracia szkolni zakładali wyborną szkołę handlową. Rolnictwo coraz się bardziej rozwijało wśród coraz też pomyślniejszych warunków odstawy, a niezrównana stref tych urodzajność teraz dopiero w całej pełni się ujawniała. Wszędzie osobistym świecąc przykładem, Don Gabryel przodował i wśród gospodarzy ekwadorskich jako pierwszorzędny *haciendato*, założyciel

wzorowej *ferme modèle*, gdzie obok innych gałęzi postępowego gospodarstwa, znajdowała się i przędzalnia i farbiarnia wełny.

Cierpiąca ludzkość wyjątkową w tem szlachetnem sercu budziła troskliwość: wszędzie zakładał on piękne, dogodne szpitale pod kierownictwem Sióstr Miłosierdzia. Sam w nich nieraz służył chorym, wypytywał o ich potrzeby, kosztował z ich kuchni; zwłaszcza w samej stolicy, gdzie przekonawszy się o niepoczciwości świeckiego zarządcy miejskiego szpitala, oddalił go i sam stanął na czele miłosiernej instytucyi. Upiększenie miast ekwadorskich także miał na oku, bo w tej duszy harmonijnej, piękno obok prawdy stale pobrzmiewało. Wznosiły się tedy wspaniałe gmachy, ulice zostały wybrukowane, parki i aleje powstały wśród placów niegdyś brudem i gruzami zaległych. Nie łatwem było to zadanie. Nowo założone ogrody każdej nocy doraźnemu ulegały zniszczeniu. Motłoch uliczny wyrywał posadzone kwiaty, łamał drzewka, niszczył krzewy. Nie małej potrzeba było wytrwałości, by opornych i swawolnych zwalczyć. Przez długie lata straże wojskowe rozstawione wśród nowych plantacyj czuwać musiały nad ich bezpieczeństwem, a cofnięto je wtedy dopiero, gdy drzewa już były dość grube i silne, aby się same obronić przed napaścią niszczycieli.

Reforma wojskowa musiała oczywiście zwrócić też na siebie uwagę tak bystrego męża stanu. Dotąd armia Ekwadoru była raczej hałastrą z awanturników kosmopolitycznych złożoną: zbieraniną murzynów i Indyan, wyrzutków społecznych z Francyi, Hiszpanii i Niemiec; a to wszystko bose, nie odziane, nie opłacone, utrzymujące się rabunkiem, zaprzedające się więcej dającemu. Garcia Moreno rozpuścił te niesforne żywioły, zaciągnął nowych żołnierzy, ubrał ich w porządne, na wzór francuskich mundury; dobrał tęgich i wykształconych oficerów, założył wzorową szkołę kadetów, a sam nietylko surowym i mężnym hetmanem, ale też ojcem dla żołnierzy być umiał.

Już raz wspomnieliśmy o jego genialnej finansowej gospodarce. Umiał podwoić dochody państwowe, bynajmniej nie obciążając swego ludu. Osobista jego uczciwość i bezinteresowność nie mało się przyczyniła do tak pomyślnych rezultatów. Poprzednicy jego na najwyższym urzędzie do tego stopnia posuwali chciwość i żądzę łupu, iż obdzierali gmachy publiczne z posągów, filarów i schodów,

aby własne niemi upiększać pałace. Moreno zostawił kasę państwa napełnioną, a własną kieszeń pustą. Gdy mu przyjaciele robili wyrzuty, iż o przyszłości dzieci swoich nie myśli, zwykł był odpowiadać: „Nie zostałem prezydentem aby się wzbogacić, ale aby ojczyźnie mej służyć“.

W tem pobieżnem wyliczeniu dzieł i przedsiębierstw wielkiego męża stanu, znaleźć każdy może głęboką naukę: życie jego i czyny dowodzą jawnie, czem stać się może dobra wola ludzka, gdy się oprze o Boga i dla nieba ziemskich dopełnia obowiązków. Urzeczywistniała się bowiem jawnie dla prezydenta Ekwadoru obietnica Pańska, iż temu co szuka sprawiedliwości i królestwa Bożego, reszta przydaną zostanie. Zbadawszy jego publiczne życie i pracę, przypatrzmy się teraz bliżej jego postaci, charakterowi, prywatnym stosunkom i uczuciom.

Don Gabryel górował nad swem otoczeniem wysoką, rosłą postawą, muszkularną siłą zaprawionych do wszelkiego trudu nerwów. Kształtna i szlachetna głowa osłonięta była przedwcześnie od troski posiwiałym włosem. Rysy twarzy nieco zaostrzone, łagodził wyraz błękitnych, pełnych ognia źrenic. Czoło szerokie, głos dźwięczny, ruchy pełne godności, wszystko odrazu zdradzało niezwykłego człowieka, podnoszącą się nad zwykłą miarę duszę.

Charakter jego żywy, a nawet gwałtowny, miarkowała cierpliwa wytrwałość, a serce gotowe zawsze było na wszelkie ofiary i zapały dla Piękna i Prawdy. Znawca ludzi, umiał ich jednem spojrzeniem na wylot przenikać, i nigdy omylić ani oszukać się nie dawał. W stosunkach z ludźmi pełen był dobrotliwości i pociągającego uroku. Dla maluczkich i biednych okazywał współczucie i serdeczność, w obec przyjaciół bywał czuły i ożywiony, w urzędowych sprawach i kołach małomowny i stanowczy. Szeroka jego kultura, rozum i wykształcenie, najmilszym go czyniły towarzyszem. Obok hiszpańskiego języka, posiadał dokładnie francuski i angielski. Z każdym umiał fachowo i świetnie się rozmówić. Nie trudno przychodziło skłonić przed nim głowę, nagiąć się do uległości. Jednem błyskawicznem spojrzeniem zniewalał do posłuszeństwa, a zarazem jednał sobie serca. Mąż ten ze wszech miar nie po-

spolity, uwieńczał swe przymioty pokorą. Nigdy o sobie, o swych zasługach nie mówił, nie dał mówić. Skuteczność swych zabiegów przypisywał błogosławieństwu Piusa IX., modlitwom ubogich, przyczynie swej niewidomej siostry. Pewnego razu profesor botaniki przyszedł do niego z prośbą, aby mu pozwolił nowo odkrytą wspaniałą Pasyflorę ochrzcić mianem *Taxonii Garcyi Moreno.* Don Gabryel ofuknął się na to: „Zostawcież moją nędzną osobistość w pokoju, jeśli zaś mi chcecie zrobić przyjemność, a kwiat ten prawdziwie jest rzadki i piękny, to go nazwijcie: *Taxonia Mariae.* Tak też się stało wedle pobożnego życzenia pokornego czciciela Maryi.

Pokora ta uwydatniała się i w rozmowie z uczonymi i fachowymi ludźmi. Zasięgał ich rady, sam własne usuwał zdanie, mawiając: „Lepiej się ode mnie znacie na rzeczy, mogłem się omylić". Pewnego kapłana, który ostro jego rządy krytykował, z czego nawet nieprzychylne mu gazety hiszpańskie korzystały, zaszczycił listem obszernym i serdecznym, w którym mu oświadczał, iż sam najlepiej czuje swe niedostatki i słuszność poczynionych mu zarzutów. Uszanowanie dla charakteru kapłańskiego posuwał do najwyższych granic. Gdy raz, zaprzątnionego znacznemi zmianami planów budowniczych, pewien ksiądz własnym próbował zająć interesem, Don Gabryel niecierpliwie się odezwał, iż ma przed sobą ważniejsze sprawy, aby się takiemi drobnostkami zaprzątać. Ksiądz wyszedł nieco zafrasowany. Aż oto nazajutrz ujrzał wchodzącego do swego mieszkania prezydenta, który na klęczkach jął zdumionego kapłana przepraszać za wczorajsze uchybienie.

W codziennem życiu, Moreno zachowywał prostotę i umiarkowanie, graniczące z ubóstwem. W domu jego ład był wielki, ale dopatrzeć się zbytku nikt nie potrafił. Sam Moreno prawie nigdy wina nie pijał, nie wydawał obiadów, nie przyjmował zaproszeń; sypiał na gołej ziemi, co najwięcej na rozciągniętym kocu; w czasach wojny lub objazdów kraju zaledwie dwugodzinnego zażywał spoczynku. W takich razach kilka haustów czarnej kawy, sucharek z czekoladą wystarczały mu za całe pożywienie. Gardził wygodą, lękał się wszystkiego coby mu hartu przyrodzonego i zdobytego ująć mogło. Pracował iście za dziesięciu, sam olbrzymią z całym światem prowadząc korespondencyę, wypracowując sprawozdania dla kongresu i senatu, kontrolując rachunki, przeglądając wszelkie pro-

jekty i plany. Silny to był nad wyraz i wytrzymały organizm; a jeśli dla drugich nieraz okazywał się wymagającym, od siebie jeszcze stokroć więcej żądał. Wśród ustawicznej pracy, jeśli niekiedy uczuł potrzebę wytchnienia, dosiadał konia, pędził lotem strzały, aby świeżego zaczerpnąć powietrza, i jeszcze w tej przejażdżce doglądał robót publicznych, śledził postępy w budowie dróg i mostów, lub niespodzianie zjawiając się wśród podwładnych, dochodził azali każdy pilnie swego obowiązku przestrzega.

Jak pomiędzy tylu przeróżnemi zajęciami wystarczył siłami i czasem? — zagadką to dla ludzi małej wiary; pobożnym zaś nie jest tajnem, iż Bóg nietylko środki ale i czas rozmnażać zwykł cudownie w ręku sług swych wiernych. Garcia Moreno wprowadził też w życie maksymę wielkich ludzi i wielkich świętych, stawiając sobie za zasadę i powinność, aby nikogo nigdy nie odpychać. Każdy tedy, ubogi czy bogaty, maluczki czy wielki mógł się do niego docisnąć, przedłożyć swą sprawę, zanieść prośbę, każdego przyjął łaskawie, cierpliwie wysłuchał, pomódz obiecał; a jak umiał dźwigać, krzepić, pocieszać, wiedzą nieszczęśliwi, którzy się do jego progów cisnęli.

Mąż takich cnót publicznych i prywatnych, nie mniejsze posiadał przymioty w domowem, rodzinnem życiu. Dość późno, i w wyjątkowych okolicznościach zawarł on dozgonne śluby. Było to w r. 1860; Don Gabryel liczył już wtedy czwarty krzyżyk, gdy poznawszy młodą panienkę w Quito, postanowił o jej rękę prosić. Żądanie to rozbiło się o uprzedzenia rodziców, którzy nie chcieli o tym związku słyszeć. Zwątpiwszy o pozyskaniu zezwolenia rodziców, a przekonawszy się, że lękliwy pleban bez tego warunku nie dopełni ślubnego obrzędu, zakochana para inaczej sobie poradziła. Pod pozorem oglądania katedry i jej skarbca, liczne towarzystwo udało się do kościoła, z prośbą, aby proboszcz zechciał sam oprowadzić gości. Nie domyślający się niczego kapłan, zajął się rozkładaniem kosztownych aparatów w zakrystyi — gdy w tem wystąpił naprzód Garcia Moreno, a chwytając za rękę wybraną swego serca wyrzekł: „Zaślubiam cię w obec przytomnych tu świadków“. Oblubienica te same powtórzyła słowa, zanim kapłan ochłonąć zdołał z pierwszego zdziwienia. Powiadomieni o tej sprawie rodzice panny młodej nie sprzeciwiali się już dokonanemu faktowi, przy bliższem

poznaniu cnót energicznego zięcia, dawne uprzedzenia stracili. Małżonka prezydenta zapewniła mu kilkanaście lat prawdziwego szczęścia, dodawała mu serca w cięższych życia chwilach, czułą otaczała go troskliwością. Z kolei dwoje powiła mu dziatek, córeczkę, której śmierć przedwczesną ojciec krwawemi oblał łzami, i syna, który był pociechą, osłodą i chlubą jego lat ostatnich. Ale i ta miłość nie wzięła w nim góry nad miłością i obowiązkami dla kraju, z wyjątkiem domu i maleńkiego ogródka, nic zgoła synowi i małżonce nie zostawił.

Znaleźli się oszczercy, którzy odważyli się twierdzić, iż Garcia Moreno w religii upatrywał tylko środek polityczny, w kościele narzędzie władzy i porządku, wbrew osobistym praktykom i przekonaniom. Wszystko cośmy dotąd o nim powiedzieli, aż nadto zbija owe mętne oskarżenia. Warto jednak przytoczyć jeszcze kilka dowodów i rysów jego serdecznej i szczerej pobożności. Mąż ten tyloma doniosłemi sprawami obarczony, codziennie słuchał mszy św., codzień też odmawiał różaniec, gdziekolwiek się znalazł, w domu, obozie czy podróży. Nieraz gdy w lesie dziewiczym na noc przyszło mu do szałasu indyańskiego się schronić, przed udaniem się na spoczynek klękał na gołej ziemi i wespół z adjutantami głośno odmawiał różaniec, do którego przyłączali się i biedni u progu pozostali Indyanie. Niekiedy po dłuższej dniem i nocą wycieczce, gdy nad ranem do stolicy wracał, odsyłał adjutantów z końmi do pałacu, a sam wstępował do katedry, aby wysłuchać mszy św. Postów pilnie przestrzegał, nawet w chorobie wymawiając się od dyspensy. Jeśli dawniej raz w miesiąc do Sakramentów św. przystępował, to pod koniec życia co niedziela i święto łączył się z swym Zbawicielem w tajemnicach Ołtarza. W procesyach i obchodach religijnych nietylko sam uczestniczył, ale i ministrów, oficerów i urzędników zapraszał do towarzyszenia mu w publicznem oddawaniu czci Bogu, a w dniu Wielkopiątkowym wzywał wszystkich członków rządu do wspólnej adoracyi Krzyża i pobożnego całowania ran Ukrzyżowanego.

Że to wszystko wprost z serca płynęło, dowodem wrażenie, jakie sprawiał widok modlącego się prezydenta. Budował on i rozgrzewał patrzących, skupieniem i żarliwością swoją. Pewien Niemiec, profesor politechniki, który dłuższy czas w Quito bawił, tak swe stosunki z prezydentem Rzpltej opisuje: „Miewałem częstą sposo-

bność widywania go wtedy, a zawsze odchodziłem zbudowany. Kilkakrotnie na jego życzenie odwiedzałem go na wsi, gdzie wśród rodziny swej krótkie przepędzał chwile. Z rana Don Garcia Moreno sam udawał się do zakrystyi, przyspasabiał kapłańskie szaty i przybory, ubierał księdza i niosąc mszał, klękał na stopniach ołtarza, aby jak studencik do mszy służyć, w obec czeladki i mieszkańców wioski. Wystawcie sobie tę wyniosłą marsową postawę, siwe włosy, piękne oblicze, żelazną tchnące wolą, a zmierzycie wrażenie, jakie ten widok na obecnych sprawiał. Promieniał on wiarą, pobożnością i bojaźnią Bożą, gdy klękał aby się modlić. Należało go widzieć i słyszeć, gdy co niedziela wykładał katechizm swej czeladce, towarzyszył małżonce i małemu synkowi na nabożeństwo, z odkrytą głową uczestniczył wespół z urzędnikami państwa w procesyach, lub postępował za niesionym do chorego wiatykiem, — aby sobie zdać jawnie sprawę, iż korzeń jego potęgi i geniuszu tkwił w gorącej jego wierze i pobożności".

Piekło i ludzie z piekłem sprzysiężeni dłużej na tak wielką cnotę patrzeć nie chcieli. Wyszedłszy obronną ręką z tych przeróżnych niebezpieczeństw, na lądzie i morzu, z ręki obcych czy swoich, Garcia Moreno nie znał bojaźni śmierci. Dwadzieścia z kolei zamachów na jego życie chybiło; oswoił się więc z myślą, że mu się nic stać nie może; a gdy go naglono o zachowanie pewnych środków ostrożności, odpowiadał stale: „Jestem w ręku Boga", dodając nieraz: „Nie ośmielą się już na mnie targnąć". W głębi serca jednak szczerze pragnął krwią własną przypieczętować swe poświęcenie dla Kościoła i ojczyzny.

Drugi okres jego prezydentury kończył się w roku 1875. Garcia Moreno pragnął wycofać się z życia publicznego. Zewsząd wrzały intrygi aby nie dopuścić ponownego wyboru. Mimo nacisku przeciwników, olbrzymią większością przeszedł Don Gabryel, a uproszony przez przyjaciół i delegata papieskiego, nie zszedł z posterunku lecz ponownie przyjął ofiarowane sobie zaufaniem ludu przewodnie stanowisko. Zasiadłszy na krześle prezydentowem, wystosował natychmiast list do Piusa IX., w którym między innemi tak się wyrażał:

„Ojcze święty, uciekam się pod apostolskie Waszej Świątobliwości błogosławieństwo, gdy wybór narodu ponownie na lat sześć mi rządy tego kraju oddaje. Choć nowy okres rządowy dopiero z dniem 30 sierpnia się rozpocznie, wraz z składaniem przysięgi na konstytucyę, zaczem urzędowo Waszej Świątobliwości donieść mi o tem wypadnie, już dziś czuję potrzebę zgłoszenia się doń, aby Jego błogosławieństwem konieczne sobie światło i siłę zapewnić. W dzisiejszych czasach, kiedy loże masońskie krajów ościennych poduszczane przez Niemcy, ciskają na mnie najsroższe obelgi i najsromotniejsze potwarze, szukając tylko sposobu jakby mię zgładzić, tem bardziej mi trzeba Bożej opieki, aby żyć i umierać w obronie naszej świętej wiary i tego ukochanego ludu, którym z woli Bożej rządzić mi przyszło. Jakież to dla mnie szczęście, Ojcze Święty, iż jestem znienawidzony i spotwarzony dla miłości naszego Zbawiciela! a stałoby się ono jeszcze nieskończenie większem, gdybym mógł krew moją wylać za Tego, który na krzyżu swoją do ostatniej kropli za nas wysączył!“

Miał tedy Garcia Moreno przeczucie swego losu, a nawet żądzę męczeństwa w najświętszej sprawie. Zresztą zewsząd przychodziły ostrzeżenia, iż śmierć jego przez nienawistną sektę nieodwołalnie postanowioną została. Gdy delegat apostolski dla Ekwadoru, Mgr. Serafin Vannutelli przeniesiony do Belgii, przyszedł się z prezydentem pożegnać, Don Gabryel mu oświadczył, iż właśnie otrzymał był pewną wiadomość, jako na walnem zgromadzeniu lóż masońskich w Limie zapadł wyrok jego śmierci. I w Europie sprzysiężenie masonów godziło na to zacne życie. Pewien młody uczony, z Niemiec przez Garcię Moreno zaproszony do Ekwadoru, przed opuszczeniem Europy wybrał się z pożegnaniem do jednego z swych profesorów. Ten, starzec oddawna z sektą związany, jął mu życzliwie przekładać, iż jeżeli na wezwanie Moreny śpieszy, daremnie przedsięweźmie podróż daleką. Młodzieniec zrazu nie baczył na te słowa, których znaczenie dopiero wtedy zrozumiał, gdy niebawem nadeszła wiadomość o zamordowaniu prezydenta Ekwadoru.

Tymczasem coraz bliższe i dokładniejsze nadchodziły ostrzeżenia. Szlachetna małżonka Don Gabryela z trudnością mogła zwalczyć rosnący o męża niepokój, i daremnie się siliła na okazywanie mu pogodnego oblicza, podczas gdy ustawiczna troska i trwoga co-

raz ją dotkliwiej wewnętrznie trawiły. Przyszło nawet do tego, iż wskazano prezydentowi gotowego do czynu mordercę. Był to siodlarz nazwiskiem Rayo, niegdyś kapitan i rządca prowincyi Napo, którego dla przeniewierstwa Garcia Moreno od służby publicznej usunął. Miał to być człowiek podejrzany i niebezpieczny. Chcąc zbadać istotną prawdę, prezydent kazał go do siebie przywołać, niby dla obstalowania sobie nowego siodła, a w rzeczy samej aby go wypróbować i przeniknąć. Rayo żadnem się nie zdradził słowem. Chociaż więc zauważano wyraźne objawy podziemnych robót, a nad granicą Peruwii snuły się jakieś podejrzane figury, Moreno żadnych nie przedsiębrał środków ostrożności.

Rano dnia 6 sierpnia 1875 r. otrzymał Garcia nowy list zaklinający go, aby się strzegł, bo mu grozi bliski a niebezpieczny zamach. Mężny prezydent pogardliwie rzucił na bok owo pismo, i dalej zajął się pisaniem sprawozdania jakie miał przedłożyć kongresowi, a które się jego testamentem stało. O 1 z południa zawiózł swą małżonkę w odwiedziny do jej sędziwych rodziców, synka zostawiając w domu; nie mógł bowiem przypuścić iż nieprzyjaciele jego potrafią i na niewinne dziecię mordercze podnieść ręce, a jednak dwukrotnie się na to później odważono. Rozstawszy się z żoną, Moreno w towarzystwie swego adjutanta wracał do swej rezydencyi w gmachu rządowym. Przechodząc około katedry, gdzie z powodu pierwszego piątku miesiąca dla uczczenia Najświętszego Serca Jezusowego, trwało całodzienne wystawienie, wstąpił aby się pomodlić u stóp ołtarza. Bóg jeden wie co za modlitwa wzbiła się po raz ostatni z duszy wiernego sługi Kościoła; tajemnicza ta i gorąca rozmowa z Stworzycielem przeciągała się długo, za długo dla niecierpliwości morderców czyhających na swą ofiarę w pobliskiej kawiarni. Rozstawili się oni niebawem pod filarami gmachu rządowego, a gdy prezydent jeszcze przeciągał swą modlitwę, wysłali doń chłopaczka z wiadomością, iż ministrowie go oczekują z nader ważnemi depeszami.

Wstał Don Gabryel, pokrzepiony na duchu, wyszedł z kościoła i zwrócił się ku gmachowi rządowemu. Ulice były puste, jak zwykle, w onej godzinie niezmiernego upału: kilka kroków tylko było do zrobienia przez plac, ponieważ katedra blisko sali radnej się znajduje. W chwili gdy prezydent wszedł na schody prowa-

dzące do drzwi, wychylił się z za filaru Rayo, podchodząc niby z uprzejmem powitaniem. Zaledwie Don Gabryel w nim utkwił wzrok przenikliwy, aliści ten niegodziwiec utopił w jego karku nóż wyostrzony. Prezydent, aczkolwiek na śmierć ranny, postąpił o kilka schodów wyżej, atoli mordercy przypadli z rewolwerami i sztyletami, naprzemian kulą i żelazem dobijając swą ofiarę. Garcia Moreno padając pod razami, wsparł się jeszcze dłonią o kolumnę, i gasnący wzrok ku zabójcom zwracając, wyrzekł ostatnie słowo: *Dios no muere!* „Bóg nie umiera“, a otrzymawszy jedno jeszcze cięcie w głowę, powalił się na ziemię, obficie już krwią jego zbryzganą.

Tymczasem adjutant prezydenta, straciwszy głowę, a przytem będąc dnia tego, wbrew prawom służbowym, zupełnie bezbronnym, zamiast piersią swą zasłaniać swego hetmana, wpadł do sąsiednich koszar, aby pomoc przywołać. Sam otrzymał ranę od kuli pistoletowej, ale gdy przypadł z garstką żołnierzy, już było za późno — nurzający się we krwi własnej Garcya Moreno konał. Jednego tylko Rayo pochwycono w ucieczce, a zaciągnąwszy go na miejsce zbrodni, doraźną wymierzono mu karę: rozwścieklony murzyn wystrzałem karabinowym położył go trupem. Dwóch jeszcze spiskowców później ujęto i stracono. Reszta się rozbiegła.

Oddychającego jeszcze prezydenta, mimo dwudziestu dwóch okrutnych ran, złożono na kocu, i przeniesiono do otwartej w pobliżu katedry. Tam u stóp ołtarza, przed którym co dopiero modlitwą się zasilał, nie przeczuwając, iż była to jego stacya w oliwnym ogrodzie — kapłan dał mu ostatnie rozgrzeszenie i Olej święty, otrzymawszy poprzednio od umierającego rzewne znaki przebaczenia dla morderców. O godzinie 3 Don Gabryel Garcia Moreno raz jeszcze głębiej westchnąwszy, oddał piękną duszę Bogu.

Taka wspaniała, męczeńska śmierć należała się takiemu rycerskiemu i chrześcijańskiemu życiu. Dając życie za Boga i ojczyznę, Don Garcia Moreno padł w chwili spełniania swych obowiązków, po przyjęciu Sakramentów św., tuż po gorącej modlitwie, w dniu piątkowym i godzinie, w której Chrystus na krzyżu ducha oddał. Po nad złością ludzką unosiła się Opatrzność i uwieńczyła swego sługę.

Dios no muere, to ostatnie słowo, wielkie i potężne jak życie tego męża, przypominające słowo Archanioła: *Quis est Deus?* — Wy na mnie godząc — mówił tem słowem do wrogów — Bożą

sprawę chcecie we mnie zabić; ale Boga nie zabijecie: kruszycie tylko jedno narzędzie Jego, ale wszechmocna Jego prawica wznieci ich ile zechce. Bóg nie umiera i sprawa Boża nie umrze. — Dla nas w szczególności ten testament wielkiego sługi Bożego i sługi ojczyzny, naukę i pociechę zawiera. Walą się raz po raz filary, które w oczach naszych utrzymują stropy królestwa Bożego u nas. Przejmuje nas nietylko żałość, ale nieraz i dreszcz przerażenia, by się gmach nie zawalił. W takich to chwilach zwątpienia niech nam wraca na myśl hasło umierającego Moreny: '*Dios no muere!* Boga nie zabraknie, choć ludzkich ubędzie narzędzi — Bóg żyje i złość ludzka go nie dosięże.

Jak dalece cały naród ubóstwiał swego prezydenta, dowiodła rozpacz miasta i kraju. Zaledwie Garcia Moreno zamknął oczy u stóp krzyża misyjnego, który sam na swych barkach przed rokiem zaniósł był do kruchty katedralnej w Quito, aliści głośny płacz wybuchł na ulicach stolicy. Ministrowie, żołnierze, uczeni cisnęli się szlochając do krwawych zwłok zamordowanego prezydenta. Przeciwnicy nawet jego polityczni od łez wstrzymać się nie mogli, wśród objawów powszechnego żalu. Żal ten był tak szczery, tak ogólny, jak po utracie ojca rodziny. Biedni Indyanie najgłośniej rozpaczali, czując dobrze, jak sprawiedliwego tracą obrońcę i rzecznika. — „Dopóki ten wielki wódz rządził krajem, i my byliśmy bezpieczni; głośne zawodzili skargi. Szałasy nasze drzwi nie mają, a nikt nas nie okradł, nikt bydełka nie uprowadził, nikt żniwa nie naruszył. Jeśli nam kazał pracować, suto nasze roboty wynagradzał, próśb naszych słuchał, o biedach radził! Teraz wszystko do dawnego wrócić gotowe porządku!“.

Na sercu ofiary nienawiści rewolucyjnych, znaleziono krwią szlachetną zbroczony papier. Był to rękopism mowy, jaką Don Garcia Moreno miał powitać zgromadzone Stany. Wszystkie te jego orędzia mianem: *Mensages del Presidente del Ecuador al Congreso* oznaczone, tchną stale najgorętszą wiarą i najtrafniejszym rozumem politycznym. Słowa, których nie danem mu było wygłosić, po jego tragicznym zgonie tem większego nabrały znaczenia. Oto główne ustępy owego ostatniego *Mensage*, tak różnie brzmiące od zwykłych jałowych deklamacyj, zagajających niby od tronu sejmy europejskie:

„Senatorowie i deputowani! Wśród wszystkich wielkich dobrodziejstw, jakie Bóg spuszcza na naszą Rzpltę w niewyczerpanej miłosierdzia swego obfitości, kładę na pierwszem miejscu szczęście oglądania was połączonych pod Jego opieką, w zupełnym i bezpiecznym pokoju, którego nam Bóg udziela i utrzymuje, choć nie jesteśmy niczem, nie zdolniśmy niczego, nie umiemy nawet odpowiedzieć inaczej, jak niewdzięcznością na niezmierzone i niezasłużone Jego łaski.

„Kilka lat temu, jeszcze Ekwador codziennie powtarzał smutne wyznanie, które nasz oswobodziciel Boliwar w ostatnim swym orędziu składał kongresowi z r. 1830: „Rumienię się to powiedzieć i przyznać, ale niepodległość jedynem jest dobrem, któreśmy zyskali kosztem wszystkiego innego".

„Atoli odkąd w Bogu złożywszy naszą nadzieję, zboczyliśmy z torów bezbożności i niewiary, któremi dziś świat na oślep pędzi, a w roku 1869 zreorganizowaliśmy się w naród szczerze katolicki, odtąd też wszystko się odmieniło na lepsze i na pomyślność naszej ukochanej ojczyzny.

„Ekwador dawniej był ciałem, z którego wycofało się życie; trupa tego ssały owe nieprzeliczone robactwa, które się w nocy grobu i zepsucia lęgnąć mają sposobność. Dziś jednak na głos zwycięzki tego, który Łazarza wywiódł z grobowca, i kraj nasz powraca do życia, choć jeszcze nie zrzucił z siebie całunu i związek śmiertelnych, to jest nie pozbył się wszystkich resztek nędzy i rozkładu, będących do niedawna naszym udziałem.

„Aby słowa moje usprawiedliwić, wystarczy sprawozdanie pobieżne z postępów dokonanych w ciągu dwóch lat ostatnich, wedle poszczególnych każdego ministerstwa raportów, — a celem zmierzenia tego, co się już dało zrobić, porównamy obecny stan rzeczy z dawniejszym; nie aby siebie chwalić, lecz aby wysławiać Tego, któremu winniśmy wszystko i którego czcimy jako naszego Odkupiciela i Ojca, naszego Opiekuna i Boga".

Tu znajdował się referat z otrzymanych korzyści, w ciągu lat ostanich, zaczem mowca kończył w tych słowach:

„Zupełnej swobodzie kościoła w kraju naszym, oraz gorliwości apostolskiej naszych pasterzy zawdzięczamy reformę kleru, poprawę obyczajów, zmniejszenie liczby zbrodni, tak dalece, iż wśród

milionowej ludności, nie znajduje się dość przestępców aby zapełnić mury penitenzeryi. Kościołowi również winniśmy owe korporacye zakonne, które wydają tak błogie owoce, bądź dla wychowania dziatwy i młodzieży, bądź w niesieniu pomocy opuszczonym i cierpiącym. Im to zawdzięczamy odrodzenie duchowe w tym roku jubileuszowym, im pozyskanie dla wiary i życia społecznego 9.000 dzikich mieszkańców wschodnich prowincyj, skąd wypadnie tam nowy założyć wikaryat apostolski. Jeśli mię uprawnicie do wyproszenia tej łaski u Jego Świątobliwości, naradzimy się następnie wspólnie co zrobić wypada, aby podnieść handel tych prowincyj, wykluczając spekulacye i wyzyskiwania niegodne, na które biedni Indyanie są wystawieni ze strony nieludzkich handlarzy. Wszędzie w winnicy Pańskiej robotników za mało; aby ich sobie zapewnić, słuszna jest przyjść w pomoc naszemu czcigodnemu arcypasterzowi, dla ułatwienia budowy wielkiego seminaryum, które wznosić rozpoczął, licząc na opiekę Bożą i nasz chętny spółudział".

„Nie traćcie nigdy z oka, o prawodawcy! że wszystkie nasze drobne usiłowania pozostałyby marne i jałowe, gdybyśmy nie byli oparli porządku społecznego w naszej Rzpltej na skale zawsze atakowanej a zawsze zwycięskiej, katolickiego Kościoła. Jego to Boża nauka, której ludzie i narody nie mogą się wyrzec bez zguby własnej, jest regułą naszych instytucyj, prawem praw naszych. Wierni i ulegli synowie nieomylnego arcykapłana, dostojnego starca, którego możni tego świata opuszczają, podczas gdy go nikczemna i podła bezbożność uciska i więzi, nie przestaliśmy słać mu co miesiąc naszej drobnej ofiary, wedle postanowienia waszego z r. 1873. Skoro słabość nasza skazuje nas na bezczynne zdala przypatrywanie się jego powolnemu męczeństwu, maluczki datek będzie mu przynajmniej dowodem naszej miłości i przywiązania, zadatkiem wierności naszej i posłuszeństwa.

„Za dni kilka upłynie sześcioletni mandat, któryście mi powierzyli w r. 1869. Rzeczpospolita używała przez sześć lat pokoju, przerwanego zaledwie przelotną zamieszką w Riobamba, a podczas tych sześciu lat, kraj jawnie szedł drogami postępu, pod wyraźną Opatrzności opieką. Skutki byłyby z pewnością jeszcze pomyślniejsze, gdybym lepsze posiadał zdolności rządzenia, a zwłaszcza gdyby dla spełnienia dobrego, wystarczała gorąca onego żądza.

„Jeśli popełniłem jakie błędy, tysiąckrotnie was za nie przepra szam, i ze łzami błagam ziomków moich o przebaczenie, zapewniając iż nigdy dobrowolnie zawinić nie chciałem. Jeśli zaś przeciwnie, mniemacie, iż udało mi się cośkolwiek pomyślnie, zasługę tego przypisać chciejcie najprzód Bogu i Niepokalanej Rozdawczyni skarbów Jego miłosierdzia a powtóre i sobie samym, ludowi, wojsku, oraz tym wszystkim, którzy w przeróżnych gałęziach administracyi, wiernie i mądrze mi dopomagali w spełnianiu trudnych moich zobowiązań".

Quito w sierpniu 1875. *Gabryel Garcia Moreno.*

Orędzie to tchnące taką wiarą, pokorą i siłą, ze łzami żałoby i oraz z zapałem przyjętem zostało przez mieszkańców Ekwadoru. Zajęto się oddaniem ostatniej czci zwłokom wielkiego wyznawcy. Na wspaniale przybranym katafalku stanął w katedrze tron, na którym posadzono zmarłego, w mundur generała i prezydenta Rzpltej przybranego, z pałaszem przy boku. Po nad żałobną estradą obiegał napis, który niebawem i grób bohatera ozdobił: Odnowicielowi Ekwadoru, żarliwemu obrońcy wiary katolickiej, Gabryelowi Garcii Moreno, wdzięczna na wieki ojczyzna. Obszerny kościół nie mógł pomieścić mnóstwa uczestników pogrzebowego obchodu. Niezapomniany był to widok. Z góry promieniało blade oblicze zmarłego dla sprawy Bożej rycerza, ponura pieśń: *Dies irae* rozbrzmiewała pod sklepieniami świątyni, a tłum w niemej pogrążony żałości, łzawą modlitwą próbował się ukoić.

Rząd Ekwadoru pośpieszył w tej bolesnej okoliczności wydać proklamacyę, w której czując niejako, że wielkość zmarłego męża przerasta rozmiary małej amerykańskiej Rzpltej, przemawia w końcowym ustępie do całego świata: „Jako synowie jednego Kościoła zostajemy w świętych obcowaniu w spólności cierpień, usiłowań i nadziei z szermierzami prawdy, gdziekolwiek się oni znajdują. Jako taki, Garcia Moreno nie jest zaszczytem i własnością samego Ekwadoru, ale cały Kościół się nim chlubi. Wy zaś synowie ziemi, która krwią Garcii Moreno, założyciela naszej wolności i niepodległości użyźnioną będzie, dziękujcie zań Bogu! Wielkiego męża, który tylko dobrze nam czynił, nie ma już pośród nas. Dziś waszym obowiązkiem czcić jego pamięć a dzieło odrodzenia przezeń rozpoczęte

dalej prowadzić. Oddaliście mu już hołd łez i bolu, winniście mu dziś naśladownictwo jego wielkich cnót, a mianowicie miłości ojczyzny, gorliwości wiary i wyrzeczenia siebie. Zachowujcież troskliwie każdy w swojem kółku ład i pokój, bo one są podwalinami, na których Garcia Moreno szczęście narodu zbudował, odrzućcie precz od siebie potwór anarchii, spętany łańcuchem i silną Jego nogą zdeptany, bądźcie podporą wiary, którą on całą mocą szlachetnego serca bronić umiał, a wszystkie inne dobra tem obficiej wam będą przydane".

I w istocie krew męczeńska Garcii Moreno, wylana przez sektę masońską, aby Kościół nasz pozbawić tak dzielnego sługi, użyźniła ukochaną jego Ekwadorską ziemię. Utrwalił się tam kierunek przez niego nadany, nie upadły jego szlachetne roboty, owszem po dziś dzień ta cząstka Ameryki południowej nie przestaje stanowić dodatniego wyjątku w ogólnym, bezbożnym świata nastroju. Następcą Garcii Moreno obrano Dra Antonio Borrero, który rozpoczął swe urzędowanie od własnoręcznego listu do Papieża, z prośbą o apostolskie błogosławieństwo i poparcie. Parlament zaś w grudniu 1875 r. następne pismo złożył u stóp Piusa IX.

„Ojcze święty! senatorowie i deputowani Rzpltej Ekwadoru, rozpoczynając swe obrady w chwili najgłębszej boleści, zapragnęli pierwszą swą czynnością uczcić pamięć wielkiego męża, którego ojczyźnie zbrodnia i bezbożność wydarły. Dziś przy zamknięciu owych narad nie umieliby ich kończyć inaczej, jak okazując się godnymi wielkiej szkoły moralnej, politycznej i religijnej, którą wśród nich założył duch znakomitego Garcii Moreno.

„A więc wyznajemy się być katolikami rzymskimi, uznajemy w osobie Waszej Świątobliwości Namiestnika Chrystusowego i nieomylną głowę jedynego prawdziwego Kościoła.

„Taką jest wiara nasza, a chcemy aby nasze uczynki, tak w życiu publicznem jak i prywatnem, nigdy z tą wiarą nie były w sprzeczności.

„Nasze zasady polityczne ugruntowane są na doktrynie katolickiej, w której odwieczna prawda i odwieczna sprawiedliwość się wcieliły, a która dla narodów jedynem jest źródłem postępu i ustalonej przyszłości. Pragniemy być wolnymi Bożą wolnością; chcemy aby nasze prawa zgadzały się z prawidłami ewangelii, aby nasz postęp materyalny nie wykluczał obyczajowego postępu, nasz ziemski dobrobyt nie odwracał nas od szukania niebiańskiej szczęśliwości.

„Postęp idei przewrotnych, bezbożności i zepsucia wzmaga się i całą ziemię zalewa. Garcia Moreno, ów mąż opatrznościowy, którego wielkość uczciła i wsławiła bezstronna opinia w Europie i Ameryce zarazem, wytężył wszystkie siły swego geniuszu, aby od tej klęski zasłonić Ekwador: dziś niestety! ten wzniosły i nieznużony pracownik zniknął, i kto wie azali fale tego potopu nie zaleją z czasem i naszej ojczyzny. Przed dniem 6 sierpnia wschodziła jak zorza, świetna naszej Rzpltej przyszłość, ale zorza ta krwawą zaszła chmurą, i dziś złowrogie znów gromadzą się chmury.

„Żywimy niezłomną nadzieję, iż Bóg nie dozwoli aby ten cios, który obecnie nam zadał piekło, zaszkodził powszechnej sprawie krzyża. Przeminą ciemności, runie potęga złych, i da Bóg, że się nigdy wśród nas nie rozwielmoży. Alboż krew męczeńska bezpłodną być może? czyliż duch Jego, szczęśliwy u stóp tronu Najwyższego, zapomnieć zdoła swych Ekwadoryanów? Nie, to niepodobną byłoby rzeczą! Utwierdzamy się w nadziei, iż zasiane wśród narodu żywioły moralności i rzetelnego postępu nie zaginą, lecz się rozszerzą, i coraz pomyślniejsze warunki przyszłości nam zgotują. A ta ufność nasza rośnie na myśl, iż nam Wasza Świętobliwość nie odmówi swego błogosławieństwa ani mieć nas za najwierniejszych sług Kościoła.

„Racz tedy, Ojcze Święty, błagamy, pobłogosławić lud, który się chlubi z swej wiary, szczyci tem, iż do Ciebie należy. Pobłogosław i nowemu naszemu prezydentowi, aby jako katolik prawdziwy, i gorący patryota zdobył sobie wdzięczność Ekwadoryanów rządami swymi, tak jak już ich głosy w wolnej sobie zjednał elekcyi; błogosław nareszcie i nas, którzy w dniu dzisiejszym opuszczamy dziedzinę prawodawstwa, aby na łono rodzin naszych powrócić".

15 grudnia 1875. (następują podpisy).

Tak się odzywa zgromadzenie prawodawcze katolickiego państwa. Wpływ i duch Garcii Moreno nie przestaje unosić się nad jego umiłowaną ojczyzną. Wprawdzie kilkakrotnie rewolucya próbowała dawny sprowadzić tam zamęt, ale ostatecznie rząd i naród powracały zawsze na tory wskazane przez swego nieśmiertelnego odnowiciela. Pod rządami mianowicie prezydenta Salazara i obecnie rządzącego Caamana, Ekwador nie przestał być perłą wśród innych rządów świata, i godnie nosić swój zaszczytny tytuł: Republiki *del Sagrado Corazon*. Niedawno uchwalono w Senacie wznieść na naj-

wyższym szczycie Pichinchy, w pasmie Kordylierów, wspaniałą Bazylikę na cześć Najśw. Serca Jezusowego, której podwaliny założyć chciano w rocznicę męczeńskiej śmierci Garcii Morena. Pomyślność doczesna idzie w parze z niewzruszonością religijnych zasad i robót w tym uprzywilejowanym kraju. Podróżnik znużony nieładem i brakiem bezpieczeństwa, które cechują sąsiednią Peruwię i Kolumbię, z podziwem patrzy na cywilizacyę, porządek i bogobojność promieniejące z granic Ekwadoru. Różnica poziomu obyczajów odrazu bije tam w oczy, duchowieństwo mianowicie, zupełnie inne, aniżeli niestety w ogóle w innych Ameryki stronach. Ludzie tego zakroju nie całkiem umierają, sprawdza się na nich *non omnis moriar* rzymskiego poety. Zasiew ich ducha utrwala się i przyjmuje, i w długie przechodzi pokolenia jako spuścizna szlachetnych miłośników i szermierzy dobrej sprawy, użyzniona ich znojem i krwią.

Skreśliliśmy ten życiorys, bo należało się wskrzesić u nas z zapomnienia albo raczej z niewiadomości tę promienną postać — bo zwłaszcza, jak wspomnieliśmy na wstępie, życie to jest n a u k ą n a d z i s i a j, faktem zadającym kłam dzisiejszym błędom o państwie, a świadectwo doktrynie Encykliki. Zły duch czasu usiłuje wmówić w ludzkość, że świat dzisiejszy nie może iść jak dawniej zaśniedziałemi torami, że zgoda i łączność między państwem a Kościołem za dni naszych są utopią. Nieomylny Pasterz głosi przeciwną naukę, rozwijając ideał społeczności chrześcijańskiej. Otóż ten ideał uiszcza i w czynie objawia dzielny prezydent Rzpltej Ekwadoru, rządząc państwem na zasadach katolickich. W łączności z Kościołem i za jego pomocą dźwiga swą ojczyznę z ostatecznego upadku, podnosi ją ekonomicznie, odradza w niej oświatę, ład, moralność, nawet siłę zbrojną. . .

A więc i o naszym złym wieku, nie rozpaczać! ale pamiętać, że żyje Bóg, który wskrzesza mężów według serca swego i daje ich każdemu wiekowi i każdemu narodowi, który przez łzy lub cnotę na miłosierdzie Jego zasługuje. *Dios no muere.*

M.

ŚWIĘTY CYPRYAN KARTAGIŃSKI

I KARNOŚĆ KOŚCIOŁA W III. WIEKU.

Niektórym z wybitnych postaci historycznych ten nieszczęsny przypada los, że w każdej nowo podjętej walce z Kościołem bez żadnej winy ze swej strony, służą za sztandar przeciwnikom. Jedną z takich postaci, jest umęczony w połowie trzeciego wieku, biskup Kartagiński: św. Cypryan. Stulecie zaledwo upłynęło od śmierci tego wielkiego Doktora kościoła, a już bronić go musiał Augustyn św. przeciw nadużywającym powagi jego imienia Donatystom. Protestanci wszystkich odcieni, Janseniści, później Febroniusz, a przed dziesięciu laty Reinkens[1] poszli śladami Donatystów: w dłuższych i krótszych rozprawach udowadniali mozolną argumentacyą, długiemi, sztucznie sklejonemi cytatami, że Cypryan, „wielki zwolennik kościelnej demokracyi", trzymając się systemu „pełnego miłości" Jana, najsroższym był wrogiem „nietolerantnego Piotra", względnie rzymskiego prymatu. Szkoła dzisiejszych pogan, której najgłośniejszym, a może i najzdolniejszym przewódcą jest Renan nie mogła z tak pięknej nie korzystać tradycyi. W zeszytach wrześniowych *Revue des Deux-Mondes* z r. 1885, pojawił się artykuł *Cyprien, évêque de Carthage* przez Ernesta Havet'a, autora książki *Le christianisme et ses origines*, której rozprawa ta jest tylko naturalnym dalszym ciągiem. Jansenistom i Reinkensowi chodziło o wykazanie, że męczennik kartagiński nie uznawał nad sobą władzy papieskiej; dla Havet'a całe życie Cypryana ma służyć za dowód,

[1] „Die Lehre des hl. Cyprian von der Einheit der Kirche". — Würcburg 1873, str. 62.

że dawni chrześcijanie, zwłaszcza uczeńsi i mędrsi, nie brali chrześcijaństwa tak bardzo na seryo; że wyznawanie wiary było rodzajem rzemiosła, miłosierdzie kwestą kasty, męczeństwo czemś nakształt pieniężnego interesu. I stąd też zasadnicza różnica między pismami i tendencyą np. Jansenistów, a Haveťa, między rodzajem wojny prowadzonej dawniej a dzisiaj: Kto dał się przekonać Jansenistom, wyrzekał się katolicyzmu; kogo omamią frazesy Haveťa zrzec się musi nazwy chrześcijanina.

Odmienna walka i odmienna taktyka wojenna. Protestanci: Luter, Kalwin, De Dominis, Otius, Spanheim, Forbesius, magdeburscy centuryatorowie; janseniści: Dupin, Deschamps, Gilbert i mnogi zastęp innych, występują w pole z ciężkim rynsztunkiem, cytują łacińskich i greckich uczonych, sobory powszechne i prowincyonalne synody, dawne i nowe martyrologia, brewiarze rzymskie i hiszpańskie, litanie nawet używane w różnych kościołach, ważą na łuty każde słówko, zastanawiają się nad możliwym przecinkiem lub kropką [1]. Havet nie troszczy się o takie uczone przybory; gdzie Dupin lub Spanheim zapisawszy długie arkusze, do jasnej konkluzyi przyjść nie mogą, tam wierny uczeń Renana, pisze jak mistrz bez ogródki i bez dowodów: „Rzecz jest jasna“ — „Wątpliwości nie podlega“. — „Jedność kościoła, wziąwszy wszystko razem, była tylko jednością moralną, idealną“ [2]. „W zasadzie, Cypryan uważał biskupa rzymskiego za równego sobie“ [3]. „Oczywistą jest rzeczą, że w ustępie, przytaczanym zazwyczaj na poparcie rzymskiego prymatu, Cypryan nie odstępuje w niczem od swych zasad“ [4]. A o parę wierszów dalej: „Powtarzam raz jeszcze [5], Kościół w wieku III. nie miał jedności zewnętrznej, bo nie miał uznanego wspólnego naczelnika“. A więc Kościół nie miał wspólnej głowy, bo mu bra-

[1] O literaturze za i przeciw Cypryanowi, por. *Migne.* Opera Cypriani. t. I. p. 1325 sq.

[2] Revue des Deux Mondes z 1 września 1885; p. 46.

[3] Tamże p. 46. Jako jedyny dowód tego twierdzenia, podaje Havet, że Cypryan w listach do papieża, nazywa go „bratem“, *frater*. O dwa wiersze dalej sam Havet, cytując Tertuliana, pokazuje, że biskup rzymski uważał się już wtedy za zwierzchnika innych biskupów, za „biskupa biskupów, i że świat katolicki bynajmniej mu tej władzy nie zaprzeczał.

[4] Tamże p. 67.

[5] Tamże p. 687.

kowało jedności; brakowało mu jedności, bo nie miał wspólnej głowy.

Wierzyć się nie chce własnym oczom, by można tak sypać zapewnieniami: „pewną, oczywistą, jasną jest rzeczą“ w kwestyach bynajmniej nieoczywistych i niepewnych, a w dodatku żadnym, i to zgoła żadnym słów swoich nie poprzeć dowodem. Natomiast w innych ustępach, krytycznym nie ma końca; „Sądzę, mniemam, wyobrażam sobie, rzeczą jest naturalną, można przyjąć, zdawałoby się“ [1]. Nie wydaje się, ale rzeczą jest istotnie oczywistą, że metodą Havet'a jest, utwory własnej wyobraźni podawać za niezbite pewniki, świadectwa całej starożytności osłabiać sceptycznem „zdawałoby się“, lub wprost kategorycznie im przeczyć, nie tłumacząc się przed publicznością z tajemnych swych racyj i ukrytych powodów. Prawda, że samowolne to postępowanie doprowadza czasem do dziwnych sprzeczności. Tak np. zganiwszy Cypryana, że w czasie prześladowania opuścił Kartaginę (str. 33), przyznaje Havet na następnej stronie, że w danych okolicznościach najrozsądniej sobie postąpił (str. 34), a dalej przytacza list kleru kartagińskiego, pochwalający ucieczkę swego biskupa (str. 35). Biskupi hiszpańscy udali się do Rzymu, aby otrzymać sprawiedliwość u papieża Stefana (str. 64); a zatem (sic!) pewną jest rzeczą, że w wieku III. biskup rzymski nie był naczelnikiem Kościoła, nie dzierżył żadnej przyznanej powszechnie władzy, choć z drugiej strony zaprzeczyć niepodobna, że niemałą miał władzę moralną (str. 64). Wreszcie, jak Renan ostatnim górnolotnym frazesem „życia Jezusa“ zaprzecza całej swej książce; tak Hawet końcowem zdaniem swego artykułu, zadaje kłam całemu poprzedniemu opowiadaniu. Męczeństwo Cypryana było owocem pychy i dobrze zrozumianej polityki; „można suponować, że Cypryan zostając chrześcijaninem, wiedział do czego zdąża — do biskupstwa“ (str. 30); Cypryan w mowach swych przesadzał (str. 291); w mowach tych, jak w nasieniu mieściła się już przyszła nietolerancya (str. 293); „męczy on nas w nich czasami konwencyonalnemi formułkami chrześcijańskiej pokory“ (str. 295), w innych pismach „zbyt zajęty jest sobą“, „dochodzi do dziwnych subtelności i śmie-

[1] „Revue des Deux Mondes“ z 1 i 15 września, p. 30, 50, 53, 62, 291, 300 i t. d.

szności“ (str. 299). Cypryan zatem był człowiekiem pysznym, o miernych zdolnościach, sam pozostawał w błędzie, a w każdym razie był dla innych zwodzicielem! Bynajmniej odpowiada Havet, przy końcu swej rozprawy: „Cypryan zaczerpnął widocznie swą wymowę, z wyższych i czystszych nad te uczuć, któremi świat zewnętrzny się zadowalniał. Biskup kartagiński był mówcą, bo cały lud żył jego słowem, każde jego kazanie, każde pismo było czynem, aż do tej ostatniej godziny, w której odpowiadając prokonsulowi, odnalazł wymowniejsze nad wszelkie słowa milczenie, i w jedno „nie“ włożył całą duszę, która dotychczas żyła w jego mowach“ (str. 311).

Czy to tylko nie jaka mistyfikacya? Niestety, nie! Życie Jezusa Renana, Chrześcijanizm i jego początki Hevet'a, nie były, ani z większą logiką, ani z większą uczciwością skreślone, a przecież rozeszły się po świecie, wiele złego zrobiły, i głośne swym autorom zdobyły imię. Dziś kiedy oczy świata całego, jak uważa Havet, zwracają się ku świeżo wskrzeszonej stolicy biskupiej w Kartaginie; nie od rzeczy będzie przypatrzyć się życiu, nauce i walkom biskupa męczennika z Kartaginy.

I.

Pierwsze prace Cypryana.

O młodzieńczem życiu Cypryana nader szczupłe przechowały się wiadomości. Długie lata żył w pogaństwie, uczył podobno retoryki, wreszcie tknęła go łaska Boża [1]. „Leżałem w ciemnościach, pisze w jednym z późniejszych listów, przypominającym „wyznanie“ św. Augustyna, noc ciemna otaczała mię, rzucany falami świata, nie wiedziałem dokąd skierować błędne i chwiejne kroki; drogi nie znałem, prawda i światło kryły się przede mną, obyczaje me malowały mi spełnienie dobrotliwych obietnic Bożych, jako rzecz twardą i trudną: nie chciałem wierzyć, by mógł się ktoś odrodzić, by mógł wzmocniony obmyciem zbawczej wody, złożyć z siebie dawne życie, pozostać tym samym co do ciała, lecz umysł i ducha przemienić...

[1] Ad Donatum n. 3 et 4. — *Migne.* Opera Cypriani t. II., p. 201 sq.

Kiedyż nauczy się oszczędności przyzwyczajony do wspaniałych biesiad, do wykwintnych potraw? Jakże wejdzie w plebejuszowskie szeregi mąż, co przywykł jaśnieć złotem, błyszczeć purpurą? Cieszy się władzą, do zaszczytów dąży; bez sławy, bez władzy żyć nie może. Otoczony zazwyczaj gromadą klientów, całym szeregiem pochlebiających przyjaciół, samotność uważa za karę. Dawne pokusy z ułudą szczęścia odstąpić nie chcą: wabią ku sobie kubki pełne wina, nadyma pycha, gniew rozpala, drapieżność niepokoi, krwiożerczość bodźca dodaje, ambicya łechce, rozpusta o ziemię obala.

„Tak często i długo rozmyślałem. Przeróżne błędy i grzechy przeszłego żywota, tak już do mnie przylgnęły, że nie wierzyłem, bym je mógł kiedy z serca wyrwać; słuchałem każdego rozkazu wszczepionych namiętności, rozpaczając o poprawie, błędy swe głaskałem, uważałem je za część własnej swej istoty. Dopiero gdy odradzająca woda obmyła plamy poprzedniego życia, jasne i czyste światło zawitało do oczyszczonego serca; dopiero gdy niebieski gość, duch Boży do mej piersi wstąpił, gdy mię powtórne narodzenie nowym człowiekiem uczyniło, dziwnie a odrazu znikły wątpliwości, opadły zasłony z tajemnic, ciemności rozjaśniły się, okazało się łatwem, co przedtem trudnem się wydawało, możliwem, co przedtem było niepodobnem".

Narzędziem łaski, którego użył Bóg do nawrócenia Cypryana, był kapłan Cecylius, „mąż sprawiedliwy i chwalebnej pamięci", jak go zwie Pontius [1], sam niedawno z bałwochwalstwa wyrwany. Na cześć gorliwego tego kapłana, złączył nowonawrócony jego nazwisko ze swojem i odtąd zwał się *Thascius Caecilius Cyprianus*. Ledwie przyjął chrzest św. (r. 243), otworzył całe serce napływającej łasce [2] i cały czas poświęcał modlitwie, studyom Pisma św. i rozczytywaniu się w dziełach pierwszych apologetów i Ojców Kościoła. Ognistej wyobraźni i sercu Cypryana najbardziej przypadł do smaku, pełen erudycyi, gorący, często subtelny Tertulian. Wielki ten geniusz, autor najwspanialszej w owe czasy apologetyki chrześcijaństwa, trawił od czterdziestego roku życia wielkie umysłowe siły w po-

[1] *J. Pontii*, diaconi Carthaginensis. *Vita S. Cypriani* n. 4.

[2] „Niech tylko serce nasze łaknie i otworem stoi: ile w niem miejsca zrobimy, tyle otrzymamy spływającej łaski". (Epist. I. ad Donatum n. 5).

nurej sekcie Montanistów, broniąc jej zasad więcej może z pychy, niż z przekonania. W chwili nawrócenia Cypryana, już dwa lata tylko przedzielały Tertuliana od grobu, do którego miał zstąpić trwając w swych błędach ze zwykłą sobie zaciętością. Smutny jednak upadek wielkiego apologety nie odejmował wartości dawniejszym jego pracom, i Cypryan tak niemi się zachwycał, że do sekretarza swego nie mówił nigdy inaczej, jak tylko: „Podaj nauczyciela“, tj. Tertuliana, i każdego dnia jakiś ustęp z niego odczytywał [1]. Obaj Afrykanie rodem z Kartaginy, obaj z natury popędliwi i do pewnej przesady skłonni, obaj obdarzeni znakomitym talentem. Nieszczęściem mistrz spędziwszy młode lata na obronie Kościoła, przeszedł otwarcie w szeregi jego odstępców [2]; szczęśliwszy a pokorniejszy uczeń krwią męczeńską obmył winę, jeśli się jakiej w zbytnim zapale walki dopuścił.

Cypryan za nadto był mężem czynu, by mógł długie miesiące spędzać nad foliałami, które tyle mu nowych odkrywały tajemnic, a nie zapragnąć udzielić tych skarbów osobistym swym przyjaciołom i tym wszystkim, których od dnia chrztu nazywał, lub chciał nazywać b r a ć m i. Spoglądając w około siebie widział jasno, że tylko chrześcijanizm zdolen jest wlać nowe życie w ową strupieszałą pogaństwem ludzkość. Sam Cypryan stanąwszy, jak się wyraża, na szczycie stromej góry, wzniesionej nad całą ziemią, skreśla nam z niej smutny obraz ówczesnego rzymskiego świata [3]:

„Spojrzyj: tu zbójcy zamykają drogi, tam po morzach grasują, wszędzie obozy wojenne, wszędzie krwawy strach ludzi rozłącza. Ziemia przesiąkła krwią; zabójstwo popełnione przez jednego, zowiemy zbrodnią; popełnione publicznie i przez wielu, męstwem. Nie niewinność, ale wielkość zbrodni zapewnia występkom bezkarność.

„A teraz zwróć oko na miasta, a spotkasz się z gwarem, z przepychem, stokroć smutniejszym od ciszy pustyni. Gotują gladyatorskie igrzyska, by krew nasyciła rozpustę okrutnego wzroku.

---

[1] Hieronimus. „De viris illustribus“ c. 53.

[2] Do dziś dnia nie jest zupełnie roztrzygniętą kwestyą, czy Tertulian umarł w montanizmie; najprawdopodobniej uznał przed śmiercią swój błąd i wyrokom Kościoła katolickiego się poddał.

[3] Ad Donatum n. VI.—XV.

Pożywniejszemi pokarmami tuczą ciała, by śmierć, utuczonego drożej kosztowała. Mordem jednego człowieka rozweselają drugich; umieć zabijać jest nauką, rzemiosłem, sztuką, a zabijać — chwałą... Żyjący stroją się na dobrowolny pogrzeb; nieszczęśliwi ze swych nieszczęść się chełpią. Walczą ze zwierzętami nie dla popełnionej zbrodni, ale dla szaleństwa patrzących. Ojcowie przypatrują się synom: brat na arenie, a między widzami siostra".

„Spojrzyj na teatralną scenę, a również zabolejesz i zawstydzisz się. Koturn tragiczny zależy na opowiadaniu wierszem dawno minionych występków. Dawne obrzydliwości i ojcobójstwa stają przed okiem wiernie skopjowane, byśmy snać nie zapomnieli na zbrodnie popełnione przed wiekami, ucho napomina każdy czas i wiek, że dziać się może, co się już działo... Przeszłe, minione zbrodnie za przykład służą. Raduje się serce ucząc się od aktorów bezeceństw i przypomina sobie na ich widok domowe swe występki, lub na przyszłość bierze naukę... Wstydliwa matrona poszła na widowisko; powraca z widowiska niewstydliwą...

„A teraz wejdźmy na forum. Wiszą prawa na dwunastu wyryte tablicach, czytają wszyscy różne przepisy w stali wykute: czytając prawa łamią je; chodząc między przepisami, pomiatają niemi. Niewinność i prawo wygnane stąd nawet, gdzie ma być bronione. Podnoszą się w górę wściekłe głosy kłócących się; wszędzie widać togi, ale nie masz pokoju, całe forum, jakby w szale, gniewem zionie; tam topór, tu miecz i kat, narzędzie do bodzenia ciała, narzędzie do rozciągania, do rozrywania w kawałki, ogień wypalający, więcej tortur na ciało jednego człowieka, niż członków. I któż przyjdzie z pomocą? Może adwokat? Oszukuje i kłamie. Sędzia? Wszak wyrok sprzedaje. Siedzący na trybunale mściciel sprawiedliwości sam zbrodnią się kala, i żeby zginął niewinnie oskarżony, on sam winnym się staje... Ten, testament podrzuca, ów akta fałszuje; tu dzieci odsądzają od dziedzictwa, tam dają majątek ludziom obcym; nieprzyjaciel sypie słowa kłamliwe, oszczerca staje do walki, świadek oczernia. Wszędzie króluje sprzedajna potęga głosów zaprzedanych w niewolę kłamstwu, a tymczasem zbrodniarze, nawet razem z niewinnymi nie giną. Nikogo prawa nie straszą; kwestor i sędzia dla nikogo nie groźny. Trudno lękać się tego, kogo możesz przekupić...

...„Widzisz tego, z daleka jaśniejącego strojem, któremu zdaje się, że blask go purpury otacza. Jakąż podłością blask ten okupił; ileż musiał wprzód znieść upokorzeń od pysznych wyborców; do iluż dumnych progów z rannem powitaniem się czołgał!... Ale i bogacze, co wypędziwszy ubogich z ich granic, zajęli lasy po lasach i rozciągnęli w nieskończoność swe łąki i pola... nie siadają spokojnie do uczty, sen od nich ucieka. Wzdycha przy biesiadzie, choć wychyla kielichy sadzone perłami, a gdy miękkie łoże, wzdąwszy się wysoko, pokryje ich ciało wychudzone ucztami, czuwa, przewracając się w puchu. Nie rozumie biedak, że to tortury — choć pięknie osłonione; że okuty w złote łańcuchy, nie właścicielem jest, ale niewolnikiem bogactw i dostatków.

„Otóż obraz dni dzisiejszych, kończy Cypryan. Jedynym ratunkiem, jedynym bezpiecznym portem, wznieść oczy do nieba, a światem wzgardzić. Niczego już żądać, niczego pragnąć od świata nie może ten, kto stanął po nad światem. Chciejmy tylko a będziem szczęśliwymi, staniemy po nad światem, bo Duch Boży wnijdzie do naszego serca. „Jak samo z siebie słońce rzuca promienie, dzień oświeca, źródło wypuszcza wodę, deszcz orzeźwia, tak Duch Boży do nas wstępuje. Gdy dusza spoglądając na niebo, poznała swego Stwórcę, wtedy wyższa nad słońce, wznioślejsza od wszelkiej ziemskiej potęgi, zaczyna żyć życiem jej przynależnem".

Do tego celu doprowadzić świat cały, przekształcić i tak go ocalić, stało się jedynem marzeniem gorącej duszy Cypryana. Jednocześnie niemal rozpoczął polemikę przeciw poganom i żydom, a zarazem pracował nad usunięciem pewnych nadużyć przechowanych z pogaństwa, lub świeżo kiełkujących w chrześcijańskich koloniach Afryki. W polemicznych i tetycznych rozprawach styl Cypryana zmężniał i dojrzał. Św. Augustyn bardzo ostro krytykuje list do Donata[1]: „Może naumyślnie zachował w tym liście błogosławiony Cypryan nadętość słów, aby późniejsze pokolenia wiedziały, jaki język i styl zdrowa nauka chrześcijańska z niesmacznej napuszystości wyleczyła". Natomiast o następnych pismach wyraża się z wszelkiem uznaniem: „W późniejszych dziełach przebija się skromna

[1] *Augustinus.* „De docrina christiana" lib. IV. c. 14.

a poważna wymowa, bezpiecznie się można w niej rozmiłować, dobrze jest do niej zdążać, ale bardzo trudno ją osiągnąć".

„Istotnie wielką czuć różnicę między datowanym r. 246 listem do Donata a ledwie o rok późniejszą polemiczną rozprawą *De vanitate idolorum* [1]. Idąc śladem ulubionych swych mistrzów: Tertuliana i Minucyusza, udowadnia Cypryan, „że bałwany nie są bogami, że Bóg tylko jest jeden i przez Chrystusa spłynęło zbawienie na wierzących". Św. Hieronim nie znajduje słów na pochwałę tego pisma [2].: „Złączył tu Cypryan treściwość i niezmierną historyczną erudycyę z świetnością mowy i myśli". Załatwiwszy się z poganami zwrócił się Cypryan, już wyświęcony na kapłana przez biskupa kartagińskiego Donata r. 247, przeciw zapamiętałym „Pisma św. nierozumiejącym" Żydom [3], w księgach *Testimoniorum adversus Judaeos*. Wybrany biskupem kartagińskim po śmierci Donata r. 248, jął się niezbędnej reformacyi życia i obyczajów wielu dziewic chrześcijańskich.

Dziewictwo, ów „kwiat chrześcijaństwa, klejnot i ozdoba łaski duchowej, obraz Boży", jak wyraża się Cypryan [4], rozrósłszy się bujnie w chrześcijańskiej Afryce, nieznacznie tracić poczęło pierwotny nieskalany swój blask i świetność. Mimo największej czujności, pogańskie nawyknienia i obyczaje wciskały się do pałaców i domków, w których Bogu zaślubione dziewice wieść miały życie ubogie, poświęcone wyłącznie modlitwie, dobrym uczynkom i pokucie. Poganie wskazywali z ironicznym uśmiechem na chrześcijańskie dziewice błyszczące od złota, uginające się pod ciężarem drogich kamieni; przypatrywali się z złośliwem zadowoleniem sztucznie umalowanym twarzom, utrefionym włosom, powleczonym delikatną farbą powiekom. Gorsze nawet pogłoski rozchodziły się po Kartaginie. Opowiadano głośno, że chrześcijańskie dziewice, unikające z pewną ostentacyą teatralnych widowisk, nie uważały sobie bynajmniej za skrupuł brać udział w rozpustnych biesiadach weselnych, że widziano je nawet w owych przybytkach zepsucia: łaźniach publicznych.

---

[1] *Migne*, Opera Cypriani t. II., p. 583—603.

[2] *Hieronimus*, Epistola ad Magnum.

[3] *Migne*, Opera Cypriani t. II., p. 703—810.

[4] „De habitu virginum" n. 3. *Migne*, Opera Cypriani t. II., p. 455.

Zgorszeniu temu należało położyć tamę. Z powagą biskupią, z otwartością możliwą tylko w owe czasy, a która sama wskazywała na wielkość złego, domagającego się energicznego lekarstwa, wystąpił Cypryan przeciw szerzącej się zarazie w bardzo silnie napisanej księdze: *De habitu virginum* [1]. Znający się dobrze na rzeczy Hieronim, sam reformator a raczej założyciel życia klasztornego, polecał gorąco i radził czytać „wyborne“ to dziełko [2], będące widocznie równie na czasie w Kartaginie, jak w Rzymie — w trzecim, jak w czwartym wieku. „Dziewica, ostrzega Cypryan, nie tylko powinna strzedz się grzechu, ale każdego cienia grzechu, wszystkiego co do grzechu może doprowadzić. „Nie dość być dziewicą; niech każdy wie, że nią jesteś; . . . niech duchowych bogactw strój ciała nie zaciemnia. . . Czemuż przechadza się ustrojona, utrefiona, jak gdyby miała lub szukała sobie męża. Dziewica niech się obawia ludziom podobać; niech nie wystawia się na niebezpieczeństwo, jeśli pragnie się zachować dla rzeczy wyższych i Bożych. . . Żadnemu chrześcijaninowi nie przystoi, a tem mniej dziewicy szukać dla siebie czci i chwały z wdzięków cielesnych; dziewica winna jedynie łaknąć słowa Bożego, pożądać dóbr nigdy nie zmiennych. A jeśli już z ciała mamy chwały szukać, to chyba wtedy, gdy dla wyznania wiary męki cierpimy, gdy kobieta zwycięża stałością umysłu męczących ją mężów, gdy znosi ogień lub krzyż, gdy poddaje szyję żelazu, lub kłom dzikiego zwierza, aby otrzymać wieniec. Te są najdroższe naszyjniki; ten najpiękniejszy strój ciała“.

Kartagińskie dziewice wymawiały swe stroje i cały sposób postępowania koniecznością prowadzenia domu i życia odpowiednego dostatkom i stanowisku. Jak wszędzie, tak i tutaj niemało ważyła moda, wzgląd na przyjaciółki, na sąsiadki trzymające się dawnych bożków i obyczajów. „Mówisz, odpowiada Cypryan, żeś zamożna, żeś bogata. Aleć nie wszystko co w twej mocy, toś powinna czynić, i nie należy przekładać ambitnych, światowych mamideł nad wstyd i cześć dziewictwa. A jeśli rozczesawszy włosy w wykwintne pukle, z pompą przechadzać się poczniesz po ulicy, a tak przyciągniesz na

[1] *Migne*, Opera Cypriani t. II.; p. 451—478.

[2] *Hieronimus*, Ad Eustochium. „De custodia virginitatis“. Ad Demetriadem „De virginitate servanda“.

siebie oczy młodzieży, dodasz pokarmu pożądlidliwości, rozniecisz ogień grzechu, i choć sama nie zginiesz, innych zatracisz i staniesz się dla patrzących mieczem i trucizną, — wymawiać ci się nie wolno, że twe serce czyste i wstydliwe... Mówisz, żeś bogata i zamożna; że możesz używać darów od Boga ci użyczonych. Używaj — ale na rzeczy pożyteczne; używaj — ale na dobre uczynki; używaj — ale na wypełnienie rozkazów Bożych, napomnień Pańskich. Niech ubodzy czują, żeś bogata; zostający w nędzy niech się dowiedzą, żeś zamożna: dziedzictwo swe daj Bogu na lichwę, Chrystusa niem nakarm. Wielu modlitwami uproś sobie zachowanie chwały dziewictwa, abyś nagrodę Pańską osiągnęła... Wszak i głos Bóg dał człowiekowi, a przecież nie wolno śpiewać miłosnych lub bezecnych piosnek; i żelaza użyczył Bóg na uprawę roli, a nie na zabójstwa; i nie godzi się składać ofiar bałwanom, choć kadzidło i wino i ogień od Boga pochodzi"...

Niedaleki czas miał okazać, jak słuszne były przestrogi, rady i groźby Cypryana. Ówczesnym chrześcijanom nie wolno było trzymać się środkowej drogi między nawyknieniami pogaństwa a łaską Bożą; kto próbował iść tą śliską ścieżką, tego wnet prześladowanie spychało w rzędy bałwochwalców; lub gdy jawnego prześladowania nie było, bądź schyzma, bądź nowa jaka herezya odłączała od Kościoła. W chwili gdy Cypryan pisał wymowne słowa o obyczajach dziewic, obie te klęski: prześladowanie i schyzma, wisiały już nad kościołem kartagińskim.

II.

Prześladowanie. — Kwestya „upadłych". — Schyzma Kartagińska.

Od samego niemal początku trzeciego wieku, bo od śmierci cesarza Sewera r. 211, cieszyli się chrześcijanie pokojem. Wprawdzie Maxymin z Tracyi wydał nowe edykta r. 235, ale rządy tego cesarza trwały niedługo, i już w trzy lata po podpisaniu krwawego edyktu, poszedł on w zapomnienie. Obyczaje w wielu chrześcijańskich koloniach zmiękły; z pewnem niedowierzaniem opowiadano sobie o bohaterstwie męczenników, których bardzo niewielu osobiście znało. Wtem rozeszła się pogłoska, że dwaj Decyusze,

ojciec i syn, pokonawszy pod Weroną cesarza Filipa pod koniec r. 249, objęli rządy cesarstwa rzymskiego, i z pewną gorączkową niecierpliwością, odnowili dawne wyroki przeciw „wrogom państwa“ — chrześcijanom. Pogłoski zmieniły się w pewność, gdy w lutym r. 250 przybyli wysłańcy do Afryki z edyktem, wystawionym od kilku miesięcy na placach Rzymu. W Kartaginie powstał popłoch nie do opisania. Dotychczasowe prześladowania wychodziły zazwyczaj od ludu, a rząd kierował tylko, jak za Marka Aureliusza, uśmierzał, jak za Hadryana, lub podniecał, jak za innych cesarzów, dziki fanatyzm tłumów; obecnie, uważa współczesny Orygenes [1], wydawało się, jakby wszyscy możni i potężni, ksiązęta, senat, wszystkie miasta i stany, wzajemnie się sprzysięgły, aby wykorzenić z ziemi imię i lud Jezusowy. Wielu sądziło, że nadchodzi dzień sądu ostatecznego. Sam widok tortur, opowiada św. Grzegorz Nisseński [2], był przerażający. Urzędnicy odłożyli na bok wszystkie inne sprawy, aby oddać się jedynie badaniu i katowaniu chrześcijan. W domach, po ulicach rozmawiano tylko o nowych uwięzieniach; gromady wyznawców ciągnęły z domów do więzień, z więzień do sądów, z sądów na plac męczeństwa.

W Rzymie rozpoczęło się prześladowanie męczeństwem św. Fabiana papieża 20 stycznia r. 250. Babylas, słynny przyjaciel Orygenesa, Ambroży, Krzysztof, dziewica sycylijska Agata, Akacyusz, Numidicus i krocie innych, padli ofiarą pogańskiej zaciekłości. Wielu chrześcijan, pamiętnych na napomnienie Chrystusowe, kryło się w lasach, po pustyniach, niedostępnych pieczarach. Między innymi schronił się w górach biskup z Neo-Cezarei św. Grzegorz cudotwórca; Cheremon biskup z Nicopolis i mnóstwo innych chrześcijan, chroniąc się miecza, zginęło z głodu i nędzy w niedostępnych pustyniach Arabii; z Aleksandryi i całego Egiptu ruszyły procesye wiernych do Tebaidy, którą miały wsławić blaskiem cnót heroicznych i nadziemskiej niemal pokuty.

Prokonsul Afryki zadowalniał się z początku więzieniem chrześcijan, ale wnet ustąpić musiał przed prądem domagającym się natarczywie użycia energiczniejszych środków. Lud zgromadzony

[1] *Tillemont* „Mémoires“. III. 309 sq.

[2] *Tillemont*. l. c. — Por. *Cyprianus*. „De lapsis“ n. 4 sq.; *Eusebius* „Historia eccles.“ VI. 41.

w cyrku, rozwścieklony widokiem krwi, domagał się coraz częściej i głośniej krwawych widowisk, a przedewszystkiem śmierci Cypryana. Okrzyk „Cypryana lwom“, stał się hasłem, ogólnym wyrazem nienawiści przeciw kartagińskim chrześcijanom. Nie chcąc niepotrzebnie narażać siebie i wiernych, nadto snem tajemniczym ostrzeżony, opuścił Cypryan Kartaginę i niedaleko od miasta bezpieczne znalazł schronienie.

Wnet poczęły go dochodzić choć przewidziane, ale nie mniej przeto bolesne wieści. Podobnie jak w bogatej Aleksandryi, tak i w Kartaginie, znaleźli się chrześcijanie, co na sam odgłos o zbliżających się śledztwach i torturach, w panicznej trwodze śpieszyli do prokonsula z zapewnieniem, że nie są i nie chcą być wyznawcami nienawistnej boskim cesarzom religii. Wielu wyprzedzało się do ołtarzów bogów i na wyścigi składali swe ofiary; inni chcąc uniknąć wstydu publicznej apostazyi, zaopatrywali się w urzędowe książeczki, rodzaj paszportów, chroniących ich od poszukiwań. I pierwsi i drudzy, tak zwani „libellatici“, w gruncie rzeczy wyrzekali się chrześcijaństwa; przynajmniej władze rządowe i opinia publiczna obie te klasy zaliczała do tej samej kategoryi odstępców. Na domiar złego, niektórzy ze statecznych wyznawców wiary, uniesieni pychą, czy jakimś szałem, rzucali się w przepaść występku, mażąc złem życiem, kłótniami i zazdrością poprzednie cnoty.

„Raczej łzami, pisał rok później Cypryan w księdze „De lapsis“ [1], niż słowy wyrazićby należało boleść nad tą raną ciała naszego, nad różnorodnym licznego niegdyś ludu upadkiem... Z bolejącymi boleję, z płaczącymi płaczę, z upadłymi wydaje mi się, że sam upadłem“. Grzechy ludu i kapłanów, główną są przyczyną prześladowania: miękkość obyczajów z męczeństwem się nie zgadzała. Jakiż to okropny widok przedstawiali ci, co przedtem zwali się Chrystusowymi wyznawcami?

„Nie czekali by ich ujęto, by zapytani wyrzekli się Chrystusa. Przed walką wielu już było zwyciężonych, przed potyczką wielu zabitych; tego nawet zbytku sobie nie dozwolali, żeby się wydawało, iż z niechęcią przystępują do ołtarzy. Sami, z własnej woli biegli na rynek, w ramiona śmierci się rzucali, jak gdyby już dawno jej

[1] *Migne*, Opera Cypriani. t. II. p. 482 sq.

pożądali, jak gdyby chwytali się sposobności oddawna oczekiwanej. Iluż to musieli urzędnicy z powodu późnego wieczora odprawić do następnego rana; iluż błagało i prosiło, aby zguby ich nie odkładać... Powiedz, gdyś dobrowolnie wstąpił na kapitol, gdyś z własnej woli poddał kark pod jarzmo okrutnego występku, wszak zachwiały się pod tobą nogi, wzrok mgłą zaszedł, wstrzęsły się wnętrzności, opadły ramiona? czyż zmysły cię nie odstąpiły, język nie stężniał, słów nie zabrakło? I mógł tam stać sługa Boży, i mógł mówić i Chrystusa się wyrzec, ten, który już wyrzekł się szatana i świata? Czyliż ołtarz, do którego przystępował ów na śmierć skazany nie był dlań stosem? Czyliż nie powinien był wzdrygnąć się i uciec jakby przed własną swą trumną, przed owym ołtarzem djabelskim, wypuszczającym z siebie dym czarny, smrodliwy? Pocóż nieszczęśliwy, kładziesz na ołtarz ofiary i bydlęta? Sameś do ołtarza, jako ofiara przystąpił: ofiarowałeś tam swe zbawienie; nadzieję swą nieszczęsnym tym ogniem spaliłeś.

„Ale dla wielu nie dość było samym sobie śmierć zadać. Wzajemne namowy pchały lud do przepaści; jeden drugiemu podawał zatruty puhar śmierci, i żeby nic nie brakowało do pełności zbrodni, rodzice ciągnęli dzieci swe do ołtarzy... czyż nie przemówią owe niemowlęta, gdy dzień sądu nadejdzie: „Nic złego nie uczyniłyśmy: nie z własnej woli zaraziłyśmy się pogańską nieczystością, opuściwszy pokarm i kielich Pański. Wiarołomność innych zgubiła nas; rodzice zmienili się dla nas w morderców. Oni wydarli nam Kościół-matkę; oni ojca-Boga za nas się wyrzekli“...

Wielu upadło, lecz równie wielu chrześcijan okazało się godnymi ukrzyżowanego Wodza, którego imię nosili. Z tymi wyznawcami Chrystusa pozostawał Cypryan ze swego ukrycia w ustawicznym listownym stosunku. Stałość ich i wytrwałość w mękach napawa go niebiańską radością: „Przypatrywały się z podziwem tłumy ludu, pisze do męczonych już wyznawców [1], niebieskiej walce, walce Bożej, walce duchowej, Chrystusowej bitwie; przypatrywały się stojącym sługom Bożym, niewzruszonemu ich umysłowi, wolnemu głosowi, mocy Bożej; obnażonym na ziemskie strzały, lecz w broń wiary uzbrojonym. Męczeni stali silniejsi od męczących; rozszarpywane i bite członki

[1] *Migne* t. II. p. 251 sq. Epistola VIII. Ad Martyres.

zwyciężyły rozszarpujące i bijące knuty. Raz po raz powtarzane razy nie mogły pokonać niepokonanej wiary, choć zdarłszy ciało i do wnętrzności przeniknąwszy, nie uderzały już w członki sług Bożych, lecz w rany... O jakże szczęśliwy nasz Kościół, blaskiem zmiłowania Bożego oświecony, kąpiący się w świetle, wylanej za dni naszych, chwalebnej krwi męczenników. Świecił dawniej Kościół nieskalaną białością dobrych uczynków braci; teraz ustroił się w purpurową szatę krwi męczeńskiej: w wieńcu jego nie brak ni lilij, ni róż. — Lecz ciesząc się z odniesionego zwycięstwa, nie zapominajmy o przyszłych walkach. Nie dość, dobrze zacząć, ostrzega po wielekroć, trzeba i dobrze skończyć. Nie dość zwyciężyć torturę; trzeba zwyciężyć i wczołgującą się do serca pychę, nie dawać zgorszenia wzajemnemi kłótniami, nieprzykładnem życiem [1]. Módlmy się tylko ciągle, wytrwale, a Bóg zeszle światło po burzy [2]. Do upomnień tych dołączał często Cypryan jakiś zasiłek pieniężny dla ogołoconych z wszystkiego wyznawców, i raz po raz polecał kartagińskim kapłanom, aby prześladowanym dostarczali niezbędnych przynajmniej potrzeb życia [3]. Chrześcijanie kartagińscy nie pozostawali w tyle za swym pasterzem. „Cieszę się, mógł pisać Cypryan do wyznawców [4], gdy się dowiaduję, że wielu przepełnionych miłością braci naszych prześciga się wzajemnie, aby licznemi składkami potrzebom waszym zaradzić".

Pod koniec roku prześladowanie wzmogło się; nawet kilku kapłanów odpadło od wiary. Przerażeni tem chrześcijanie z pewną natarczywością domagali się powrotu Cypryana. Ale święty Biskup nie chciał odstąpić od raz powziętego planu, tem bardziej, że w nadziemskiem widzeniu otrzymał wiadomość o zbliżającym się końcu prześladowanej burzy. Istotnie Decyusz zajęty uśmierzaniem wewnętrznych rozruchów i przygotowaniami do wojny przeciw hordom coraz śmielszych barbarzyńców, nie miał czasu, zwracać równie pilnej, jak poprzednio, uwagi na rozrastający się wbrew cesarskim edyktom chrześcijanizm. Prokonsulowie znudzeni monoton-

[1] *Migne* t. II. p. 240 sq. Epistola VI. ad Rogatianum presbyterum et caeteros confessores.

[2] *Migne* t. II. p. 246 sq. Epistola VII. ad Clerum.

[3] T. II. p. 245. Epistola VI. n. 6.

[4] Tamże p. 246.

nem przesłuchiwaniem wrzekomych spiskowców, nie otrzymując naglących wskazówek z góry, coraz rzadziej zasiadali na trybunale, aż wreszcie około Wielkanocy r. 451, można było powiedzieć, iż torazowe prześladowanie już się zakończyło. Jak tylko mógł najśpieszniej powrócił Cypryan do Kartaginy, gdzie obecność jego była niezbędną, w obec coraz groźniej występującej, kwestyi „upadłych".

Znaczna liczba apostatów, ledwie wyrzekła się publicznie Chrystusa, śpieszyła do więzień lub domów męczonych poprzednio wyznawców, zatrzymywała ich w pochodzie męczeńskim, aby za ich wstawieniem się, bez odbycia przepisanej kanonami pokuty, otrzymać zupełne przebaczenie i powrót na łono Kościoła. Wyznawcy nie dawali się w ogóle długo prosić, i bez różnicy i namysłu rozdawali żądane „listy pokoju". Wszelką atoli miarę w tym względzie przeszedł niejaki Lucyan. Odpowiadając [1] zamieszkałemu w Rzymie przyjacielowi Celeryanowi, który prosił wyznawców kartagińskich o udzielenie pokoju dwom upadłym swym siostrom Numeryi i Kandydzie, Lucyan nietylko zadość uczynił jego żądaniu, ale nadto opierając się na przebytych męczarniach i zasługach swych towarzyszy, udzielał ogólnego przebaczenia „nietylko dwom tym osobom, ale i wszystkim, o których wiesz, iż przebaczyć im chcemy". Jednocześnie przesyłał Cypryanowi, w imieniu kartagińskich wyznawców, następny przechowany dotąd, ułaskawiający manifest [2].

„Wszyscy wyznawcy społem Cypryanowi, biskupowi, pozdrowienie".

„Wiedz, iż wszystkim, o których się wywiesz, jak się po swej apostazyi sprawowali, udzieliliśmy pokoju i postanowiliśmy, by to pismo doszło do wiadomości twojej i innych biskupów. Życzymy pokoju tobie i świętym męczennikom. W obecności kapłana i egzorcysty i lektora, Lucyan napisał".

Biskupowi więc zostawiał Lucyan tylko obowiązek sprawdzenia, jak się upadli po swej apostazyi sprawowali; zresztą, nie oglądając się na władzę kościelną, sam wszechwładnie uwalniał od kar kanonicznych. Podobnej protestanckiej demagogii wkradającej się do

---

[1] *Migne*, Opera Cypriani t. II. p. 281 sq. Epistola XX. et XXI.
[2] Tamże p. 275. Epistola XVI.

kościelnej dyscypliny, Cypryan nie chciał i nie mógł ścierpieć. „Bezwątpienia, mówił i pisał, należy uwzględniać prośby męczenników, którzy krwią swą i zasługami mogą wyjednać zmniejszenie, lub zniesienie kar ciążących na odstępcach; ale prośby te powinny być rozsądne i poddane pod sąd i potwierdzenie biskupa. Jednakowo odpuszczać wszystkim, bez względu na okoliczności w których od wiary odstąpili, i na dzisiejsze ich usposobienie, nie znaczy to ranę leczyć, lecz ją zakrywać. Tacy zakrywają rany konających; kładą zewnętrzny plaster na śmiertelny wrzód, który tkwi w wnętrznościach i serce roztacza. Powracając od ołtarzów szatana przystępują do świętości Pańskich z skalanemi, tłustością przesiąkniętemi rękoma. W ustach jeszcze mają śmierć przynoszące kęsy z bałwochwalczych ofiar, czuć jeszcze od nich tę zarazę, jeszcze ciepła para z ust się dymi, a na ciało Pańskie się rzucają... Przed pokutą, przed spowiedzią, przed oczyszczeniem sumienia ofiarą i słowem kapłana, przed ubłaganiem gniewającego się i grożącego Pana, siłą zdobywają ciało Jego i krew, i większej teraz zbrodni przeciw Panu rękami i ustami swemi dopuszczają się, niż kiedy się Pana wyrzekali. I to nazywają kłamliwie pokojem. Nie pokój to, lecz wojna; nie łączy się z Kościołem, kto się od Ewangelii odłącza [1].

„Kto sądzi, tłumaczy dalej Cypryan w temże samem, po mistrzowsku napisanem dziełku: *De lapsis*, że wszystkim bez różnicy i wyjątku dać może przebaczenie, ten samymże upadłym najwięcej szkodzi. Rozkazują coś męczennicy; spełnimy ich rozkazy, jeśli będą słuszne i sprawiedliwe, jeśli nie będą wymagać od kapłana, by przeciw woli Bożej postępował; jeśli otrzymujący je bez trudności na nie się zgodzi, jeśli proszący zachowa chrześcijańską pokorę. Wszakże i Mojżesz i Job prosili, a nie zawsze otrzymywali, o co prosili. Dopieroś upadł, a gniewasz się na kapłanów, że cię do ołtarza nie przypuszczają... Pokutujcie, spowiadajcie się z grzechów waszych; po odpowiedniej pokucie otrzymacie przebaczenie. Przestań przynajmniej w tym smutku włosy swe farbą powlekać; a ty, co powieki czarnym proszkiem malujesz, teraz przynajmniej łzami swe oczy obmyj. Gdybyś kogo z swych bliskich przez śmierć straciła, zawodziłabyś płacze i jęki, wielkość swego smutku okazy-

[1] Liber de Lapsis n. 15, 16; *Migne* t. II. p. 492 sq.

wałabyś twarzą zasępioną, zmienioną szatą, zaniedbanym włosem, pochyloną głową. Nieszczęsna! własną swą duszę straciłaś; umarłaś na duchu, przeżyłaś siebie i własną trumnę na barkach nosisz: a nie zawodzisz jęków, nie wzdychasz bez przerwy, nie ukrywasz się przed ludźmi ze wstydu, byś się lepiej mogła wypłakać? Otóż gorsze rany grzechu, otóż większa zbrodnia: zgrzeszyć a nie zadośćuczynić; zgrzeszyć a grzechów swych nie opłakiwać [1].

„Pokutuj, płacz, pość, noś włosiennicę, a otrzymasz litościwe przebaczenie. Dopiero jeśli sam będziesz pokutował, kończy Cypryan, będziem mogli uważać na prośby męczenników, skutecznem się okaże kapłańskie rozgrzeszenie. A wtedy Bóg doda sił: żołnierz stanie na nowo do walki, nie ustąpi z szeregu, wyzwie nieprzyjaciela, pokrzepion do bitwy skruchą i żalem. Kto tak Bogu zadośćuczyni... wysłuchany i wspomożony od Pana, jak teraz zasmucił, tak naonczas uweseli Kościół; i nietylko przebaczenie wysłuży sobie u Boga, ale i koronę“ [2].

Z zapatrywaniami temi zgadzał się najzupełniej kler rzymski, któremu w czasie długo wakującej po śmierci Fabjana, stolicy Piotrowej, zdał Cypryan dokładną sprawę z wymagań upadłych, gwałtownych postulatów ludu i nierozsądnego zachowania się Lucyana [3]. „Postępowanie twoje pisali rzymscy kapłani, mądre i roztropne nam się wydaje. Z pewnością źleby było, gdybyśmy zbyt łagodnie postępowali. Wyznawcy rzymscy [4] tegoż samego trzymają się zdania. Wszakże nie chcemy powziąść stanowczej jakiej decyzyi przed wyborem nowego papieża; przypominamy tylko, że śmiertelnie chorym nie należy nigdy utrudniać pojednania z Kościołem“.

Co do tego ostatniego punktu, kler rzymski niepokoić się nie potrzebował. Cypryan, jak z jednej strony stał twardo przy zachowaniu kościelnej karności i ostro upominał, by nikt przez zbytnią łagodność w niewłaściwym czasie „kwaśnych jeszcze jabłek nie strzą-

---

[1] Liber de Lapsis n. 18—30. *Migne* XII. p. 495—505.

[2] Tamże p. 508 sq.

[3] *Migne* t. II. Epistola 22, 30.

[4] *Migne* t. II. Epist. 31. Wyznawcy rzymscy: Mojżesz, Rufin, Nikostrat, Maxym i wielu innych, w osobnym liście do Cypryana (epist. 26) chwalili jego sposób widzenia.

sał“ [1] — tak znów z drugiej strony nie ociągał się z przyjęciem na łono Kościoła tych, którzy na to sobie pokutą zasłużyli [2], owszem, sam napominał kartagińskich kapłanów, by nie ociągali się z uwolnieniem od wszelkiej kanonicznej kary przyciśniętych chorobą, zwłaszcza jeśli męczennicy za nimi się wstawiają [3]. Nie można zatem było skarżyć się na wygórowaną surowość Cypryana; domagał się on jedynie, by listy odpustowe otrzymały potwierdzenie biskupa; przyjmując najzupełniej całą katolicką naukę o możności zadośćuczynienia za grzechy drugich, dopuścić nie mógł, aby męczennicy i wyznawcy służyć mieli za narzędzie schyzmatyckiej partyi dążącej do obalenia władzy i podkopania wpływu prawowitego biskupa. W kilku afrykańskich miastach Upadli wzniecili formalny rokosz przeciw swym biskupom i siłą wymogli od nich potwierdzenie owej ogólnej przez męczenników udzielonej amnestyi [4]. W Kartaginie od dawnego już czasu, bo od wyboru Cypryana na stolicę biskupią, istniała szajka złożona z pięciu niecnych kapłanów, wrogich Cypryanowi, a czyhających tylko na sposobność, aby obalić gorliwego biskupa, którego wyborowi nie mogli przeszkodzić. Trudno było o lepszą sposobność nad obecną. Upadli sarkali na zbytnią surowość Cypryana; sami nawet wyznawcy z pewnym rodzajem niechęci pytali się, w jakim celu i dlaczego biskup kartagiński tak mało waży sobie cenę krwi za Chrystusa przelanej. Zarzuty te i oskarżenia szerzyli na wszystkie strony spiskujący kapłani, a zwłaszcza smutnej później sławy Nowat i Fortunat. Pierwszy „głowa niespokojna, a pyszna“, jak go charakteryzuje św. Cyprian [5], miał już na sumieniu rozmaite nieczyste sprawki, a obawiając się wyroku mającego się niebawem zebrać synodu, w schyzmie szukał ratunku i zasłony. Fortunata wyświęciła później schyzmatycka szajka na kartagińskiego biskupa, czem jednak miasto się wzmocnić, rozdzieliła się, zwykłym losem wszystkich schyzm i herezyj na dwa wrogie obozy.

Ale ten rozdział i wynikający z niego powolny upadek karta-

[1] „Ad plebem carthaginiensem“ Epist. 11.
[2] „Ad Caldonium“. Epist. 9.
[3] „Ad clerum“. Epist. 13.
[4] Epist. 14; 22.
[5] Epistola 49. „Ad Cornelium“.

gińskiej schyzmy, później dopiero miały nastąpić. Z początkiem r. 251, gdy jeszcze zewnętrzne prześladowanie nie przestało się srożyć, wewnątrz toczył chrześcijańską kolonię ohydny rak niezgody. Na pierwszy ogień pchnęli schyzmatycy człowieka świeckiego, wpływowego i bogatego Felicissima. Gdy koło niego coraz liczniejsza partya niezadowolonych poczęła się kupić, wystąpili z swej kryjówki występni kapłani i stanęli na czele ruchu przeciw Cypryanowi. Opodal od miasta w domu Felicissima odbyli przewódzcy naradę. Owocem jej było złożenie Cypryana z urzędu biskupiego, a wyniesienie Fortunata na jego miejsce. Cypryanowi nadto w razie oporu klątwą zagrozili.

Boleść przytłaczającą serce po odebraniu tych wiadomości, wylał Cypryan w liście do swych delegatów w Kartaginie i w pasterskiej odezwie do ludu[1]: „Błagam was bracia, miejcie się na straży przeciw djabelskim zasadzkom, czuwajcie pilnie w obec śmierć niosącego kłamstwa. Drugie to prześladowanie — wtóra to pokusa. Pięciu owych kapłanów, to pięciu przywódzców sprzysiężonych z rzymskimi urzędnikami, na zgniecenie naszej wiary, na wyrwanie prawdy z słabych serc braci, na napojenie ich jadem kłamstwa. A oto grozi nam ta sama zaguba: zbawienie nasze podkopuje pięciu kapłanów z Felicissimem związanych. Zakazują Boga przepraszać; niepotrzebnem sądzą, by ten, który Chrystusa się zaparł, tegoż Chrystusa przebłagał; pragnęliby znieść winę zbrodni, znieść pokutę, znieść przebłaganie Boga przez pośrednictwo biskupów i kapłanów... Pokój ofiarują, ci co pokoju nie mają. Przyrzekają wprowadzić do Kościoła upadłych, ci co Kościół zdradzili. Jeden jest Bóg i jeden Chrystus i jeden Kościół i jedna Katedra na skale głosem Bożym ufundowana. Prócz jednego ołtarza i jednego kapłaństwa nie może istnieć inny ołtarz, nowe kapłaństwo. Ktokolwiek gdzieindziej zbiera, rozrzuca. Nowość zrodzona szałem ludzkim, jest wbrew rozporządzeniu Bożemu, jest płodem cudzołóstwa, bezbożności, świętokradztwa. Uciekajcie od tych wilków, oddzielających owce od pasterza. Unikajcie zatrutego czartowskiego języka, który od początku świata

[1] Epistola 38. 40. *Migne.* II. 338 sq.

wiecznie fałszywy i nieprawdomowny, kłamie by oszukać, pochlebia by zaszkodzić, obiecuje szczęście by w przepaść zepchnąć, życie obiecuje by śmierć zadać. I teraz wabią słowa jego, nęci trucizna: przyrzeka pokój, by nikt nie mógł dojść do pokoju; przyrzeka zbawienie, by grzesznik zbawienia nie osiągnął; na Kościół wskazuje, a ma na celu, by ten, który mu uwierzy dla Kościoła zginął".

W miesiąc po ostatecznem uciszeniu się prześladowania, bo już w maju r. 251, zebrał się w Kartaginie synod, złożony z wielu biskupów, kapłanów i dyakonów, dla ostatecznego załatwienia kwestyj upadłych i uroczystego potępienia schyzmy Felicissima. Naczelnika buntu i pięciu kapłanów, głównych jego doradców, obłożył synod klątwą. Owocem długich narad nad upadłymi był dziś zatracony, obszerny kodeks karny, pierwszy może w rzędzie licznych późniejszych, tak zwanych k s i ą g p o k u t n i c z y c h *(libri poenitentiales)*. Za tło i podstawę tego kodeksu wziął sobie synod zasady, jasno poprzednio już wyrażone w listach, odezwach i rozprawach Cypryana. Nie odejmując nikomu nadziei przebaczenia, inaczej sądzić należało tych, którzy dobrowolnie pośpieszyli do ołtarzy; a inaczej tych, którym niezwykła trwoga, widok tortur, długie więzienie, posty i męczarnie wepchnęły do rąk kadzielnicę. Na inną również karę zasługiwali *sacrificati*, którzy bożkom ofiary złożyli; a *libellatici*, którzy za pomocą fałszywego zaświadczenia unikali ciężkich skutków prześladowania; pierwsi, po długiej dopiero pokucie, w godzinę śmierci mogli pojednać się z Kościołem, drudzy natychmiast otrzymywali zupełne przebaczenie [1].

Dla nadania większej powagi swym uchwałom, wysłał je synod kartagiński do potwierdzenia do Rzymu. Jeszcze w Kartaginie nie ucichła schyzma Felicissima, a już w Rzymie podniosła głowę wręcz jej przeciwna herezya Nowacyana. Nie widząc dogodnego pola dla swych intryg w Afryce, pośpieszył do wiecznego miasta najczynniejszy wróg Cypryana Nowat, i jakby dla okazania, że w Kartaginie chodziło mu o coś zupełnie innego, niż o prawdziwość głoszonych przez siebie zasad, przerzucił się odrazu na stronę No-

[1] *Hefele.* Conciliengeschichte. I. 86 sq. Por. „Opera *Cypriani*". Epistola 52, 55, 68.

wacyana. Ten sam dramat co w Kartaginie, tylko w zwiększonych rozmiarach i z donioślejszem znaczeniem, miał się teraz rozegrać w Rzymie; po prześladowaniu pogańskiem schyzma uderzyła w skałę Piotra, oblała ją potokiem szumowin, obmyła z pasożytnych narośli, lecz skały w swych posadach wzruszyć nie zdołała.

(Dok. nast.)

Ks. Jan Badeni.

BAZYLIKA LITEWSKA.

I.

Apostolstwo na Litwie.

Istnieje powszechne przekonanie, że Litwa przyjęła wiarę św. zaledwo pod koniec wieku XIV. Tak nie jest. Starożytni Prusowie, Łotysze, Żmudzini i właściwi Litwini stanowią jeden szczep litewski. Pod nazwą „Litwa“ nie należy rozumieć tylko krainę, gdzie była mowa litewska. Było to nazwanie zbiorowo-państwowe, polityczne. A chociaż Prusacy oderwani od swoich pobratymców, ulegli przemocy niemieckiej, Litwini już od w. XIII. zostają w tak ścisłem połączeniu z Rusią, przeważnie Rusią połocką i nowogrodzką, że oddzielać ich od siebie nie podobna. W XIII. w. nie samej tylko Litwy właściwej panem, ale i znacznej części Rusi widzimy księcia, następnie króla, Mendoga, którego stolicą był Nowogródek, w ziemi Czarnorusów. W w. XIV. Gedymin już się tytułuje wielkim księciem Litwy i Rusi, a sławny Witold panuje nad rozległą krainą, od Baltyku do morza Czarnego, zawierającą czternaście dzisiejszych gubernij, pod berłem rosyjskiem zostających [1].

Już Długosz wspomina o wielkiej przed Gedyminowej przeszłości Wilna. Zdawało się jednak Długoszowi, że Rzymianie byli jego założycielami, zapewniał, że i książęta litewscy pochodzili od Rzymian. Dorywcze tylko mamy szczegóły o książętach litewskich z XI. i XII. wieku. Faktycznie jednak stwierdzono, że już w XI. w.

[1] A mianowicie: Wileńska, Kowieńska, Suwalkska, Grodzieńska, Mińska, Mohylewska. Witebska, Kijowska, Czernihowska, Ekaterynosławska, Chersońska, Podolska, Wołyńska i Smoleńska.

byli udzielni książęta wileńscy. Wiemy, że około roku 1070 siedział na Wilnie Rościsław, syn Rohwołoda, księcia połockiego, słuckiego i druckiego. Po nim nastąpił syn jego Dawid, jako książe udzielny, dalej syn tego Dawida, także Dawid. Tu chronologiczny wątek przerywa się, wiemy jednak, że u tego ostatniego był syn Gerden, albo Erden, książe na Połocku (1264). Do dni ostatnich twierdzono, że Gedymin, był synem Witenesa. Niemcy przypisywali mu nawet niskie pochodzenie. Tymczasem faktem jest, że Gedymin był nie synem, ale bratem rodzonym Witenesa, a mieli oni jeszcze trzeciego brata, Woina, księcia na Połocku, wszyscy zaś trzej byli synami owego Gerdena, albo Erdena połockiego. Widzimy stąd łączność rodową z przeważnym domem połockim. Następnie widzimy, że gdy jedni z Rurykowiczów, siedzących na Połocku, lub udzielnych księstwach ruskich (zasławskiem, druckiem, słuckiem, łohojskiem, mścisławskiem, mińskiem, witebskiem i t. d.), jeszcze od czasów Włodzimierza wielkiego, są wyznawcami wiary Chrystusa, obrządku wschodniego, inni, panując nad bałwochwalczą Litwą i Żmudzią, pozostają, lub może udają tylko, że są czcicielami Perkunasa, jak i sam Gedymin, Kiejstut, nawet Olgierd.

O starożytnych Litwinach-Prusach mamy ciekawe szczegóły, spisane w IX wieku przez współczesnego żeglarza Wulfstona, którego Alfred w. posłał na pomorze Baltyckie dla odszukania nowych ziem. Wulfston opisuje ich byt, zwyczaje pogrzebowe, obrzędy religijne. Widzimy kraj zamożny, podzielony pomiędzy wielu królikami (Reicus). Każdy z nich ma swoje miasto z zamkiem, pije kobyle mleko, a poddani jego, nawet niewolnicy, piją miód i piwo.

Wśród tych Prusów pierwszym apostołem był św. Wojciech, zamordowany przez nich 23 kwietnia 997 r. Znane są groźne następstwa, jakie śmierć tego męczennika wywołała. W r. 1015 Bolesław Chrobry podbiwszy słowiańskie Pomorze, mieszkańcy którego zmuszeni byli do przyjęcia wiary św., ruszył na Prusów i zniewolił ich do wyrzeczenia się błędów pogańskich. Wtedy to świątynia ich Romowe obaloną została; dąb poświęcony ścięty; wiecznie płonący ogień zgaszony, bałwany pokruszone; potęga Kriwe-Kriwejta zniszczoną została i nigdy już do tego czasu ten despo-

tyczny władca duchowny, któremu ulegać musieli sami książęta, nietylko w sprawach duchownych, ale nawet i świeckich nie wrócił do dawnego znaczenia, gdy przeciwnie powaga książąt, chociaż panujących na niewielkich udziałach, wzrastać poczęła, torując drogę następcom do zjednoczenia odrębnych części i zlania się w jedno potężne państwo.

Niemcy, z czasem, pochłonęli Litwinów-Prusów, ale pozostałe litewsko-żmudzko-łotewskie szczepy, rozproszone na drobne ucząstki, zależne od książąt połockich, walczą o swój byt, bronią jeszcze starej wiary aż do czasów Mendoga, który w ścisłem połączeniu z podwładnemi mu Rusinami, tworzy już jednolite państwo, staje się groźnym dla sąsiadów, a w końcu przyjmuje wiarę św. rzymsko-katolicką (1252) i z woli papieża zostaje królem litewskim.

Po św. Wojciechu apostołował na Litwie św. Bruno, zakonu św. Benedykta, z 18 innemi zakonnikami; wielu oni nawrócili, lecz w końcu wymordowani zostali (1009). W tymże wieku Olaus, król norwegski, wygnany z ojczyzny, z kilku zakonnikami opowiadał słowo Boże między Niemnem a Dźwiną.

Następnie na wybrzeżach Dźwiny, wśród Liwów i Łotyszów zjawiają się nowi apostołowie: Mejnhard, Berthold, Albert. Wszyscy oni usiłują ugruntować chrześcijaństwo, używając do tego rozmaitych środków, często okrutnych. A chociaż na właściwą Litwę działalność ich nie miała bezpośredniego wpływu, wszelako pobratymcze ludy coraz więcej zaznajamiały się z wiarą chrześcijańską, pogaństwo coraz bardziej traciło swoją dawną powagę i urok jaki wywierało, gdy sam najwyższy kapłan, Kriwe-Kriwejte, osądzony był na tułaczkę. Romowe z Pruss przeniósł on na Litwę i osiadł nad Dubissą, przy ujściu jej do Niemna, następnie do Kiernowa pod Wilnem, w końcu do samego Wilna, gdzie ostatecznie kult pogański pogrzebiony został.

Mejnhard, mnich augustyański, rozpoczął swoją działalność w r. 1186, mianowany biskupem, pracował stale i gorliwie aż do śmierci w r. 1196. Po nim biskupem mianowany został mnich zakonu Cystersów, Berthold. Gdy Mejnharda lubiono i ojcem powszechnie nazywano, bo umiał zjednać miłość ogólną, przeciwnie Berthold odrazu wzbudził niechęć ku sobie. Przyszedł on z silnym zastępem zbrojnych Niemców, którzy dopuszczali się wszelkiego rodzaju nadu-

żyć, swawoli, rabunku. To wywołało zajście, przyszło do utarczki, Niemcy i sam Berthold byli wymordowani.

Po nim biskupem został Wojciech (Albert) von Appeldern Bukshewden. Był to dyplomata, rozumny prawodawca, czynny administrator. On to założył Rygę, wzniósł dużo obronnych zamków, ogłosił statut przez siebie ułożony, umiał rządzić, nie spuszczając z oka głównego swego zadania: zaszczepienia wiary. Jakoż w ciągu trzydziestoletniego swojego pasterstwa (1198—1229) zdołał do szczętu wyniszczyć pogaństwo wśród Liwów, Estów i w znacznej części wśród Łotyszów. Główna taktyka jego zasadzała się na tem, ażeby nauczać lud za pomocą wybrańców z tegoż ludu. Dla tego wybierał on uzdolnionych młodych ludzi, posyłał ich do Niemiec na naukę, a ci gdy wracali do kraju, stawali się najdzielniejszymi szermierzami w szerzeniu wiary św. wśród swoich rodaków. Umiał on nawet przywiązywać ich do siebie, czego mamy dowody w kronice Henryka Łotysza, który tak samo był wysłany przez biskupa do Niemiec, a gdy powrócił, stale zostawał na dworze biskupim, spisując troskliwie każdy fakt z życia i działalności swojego dobroczyńcy, jak go nazywał. Kronika Łotysza ma dziś dla nas wielką historyczną doniosłość.

Dalej nastąpiły groźne i straszne nawracania na wiarę przez Krzyżaków, ogniem i mieczem.

W r. 1289 Krzyżacy ostatecznie zawładnęli całemi Prusami, a nazwa tego szczepu litewskiego, przywłaszczona przez Niemców, dziś znamionuje jedno z najpotężniejszych państw w Europie.

Św. Jacek Odrowąż był na Rusi i opowiadał słowo Boże. Częściowo zwiedził i Litwę[1].

Błogosławiony Wit, kanonik krakowski, spowiednik Bolesława Wstydliwego, Dominikanin[2] był na Litwie i Rusi, a zaprzyjaźniony z Andrzejem Kijanem z Kijowa, bojarzynem króla Mendoga, przy

---

[1] Na pamiątkę apostolskiej misyi św. Jacka na Litwie, wileńscy Dominikanie wznieśli mu pomnik w Wilnie, na przedmieściu Pohulance, do dziś dnia istniejący.

[2] Forteca Monarchów-Pruszcza, 1737, 118. Wiadomości zaczerpnięte z annalistów dominikańskich. Ob. o błogosławionym Wicie w moich „Pamiętnikach Umysłowych", t. III., 24. Toż samo powtórzył T. Narbutt z uzupełnieniami w pomniejszych pismach historycznych, 31.

jego pomocy założył w Lubczu nad Niemnem [1] kościół katolicki i przy nim misyę dominikańską.

W r. 1252 Mendog uroczyście przyjął wiarę katolicką, nie w Nowogródku Czarnoruskim (albo jak inni piszą Krywiczańskim), jak powszechnie twierdzą, ale w Neuenpille, czyli po rusku Nowogrodzie, i koronowany na króla litewskiego. Biskupem litewskim był już wtedy Chrystyan (Krzyżak), którego katedra biskupia była w Neuenpille, na Litwie [2]. W roku zaś 1253 Wit został biskupem lubczańskim. Tak więc, nie mówiąc już o poprzednich litewsko-pruskich i łotewskich biskupstwach, w połowie XIII. wieku widzimy dwóch biskupów katolickich, z tych jeden we właściwej Litwie, drugi na Rusi. Błogosławiony Wit miał przy sobie kilkunastu dominikanów. Zdaje się jednak, że działalność ich w krainie, gdzie większość ludności była już obrządku wschodniego, nie była ani płodną, ani długotrwałą. Wit umarł w Krakowie w r. 1269. O Chrystyanie zaś nie znajdujemy żadnych bliższych szczegółów. Wiemy tylko, że w r. 1254 z dóbr nadanych biskupstwu litewskiemu przez Mendoga, biskup Chrystyan odstąpił dziesięciny zakonowi Krzyżaków [3].

Za Gedymina byli już Franciszkanie na Litwie i mieli swój kościół w Wilnie (na Piaskach) pod wezwaniem św. Mikołaja, zbudowany przez Niemców katolików sprowadzonych przez Gedymina z miast ganzeatyckich. Jest na to oczywisty dowód w liście Gedymina do papieża Jana XXII. Za Olgierda zaś, bojarzyn jego Ga-

---

[1] Lubcz, w ziemi Nowogrodzkiej nad Niemnem, starożytne miasto, niegdyś sławne handlem.

[2] Neuenpille, dziś Liszkow, w gubernii Suwałkskiej. Historycy mylnie mówią o tych Nowogródkach, mieszając jeden z drugim. Dwa są Nowogródki: jeden na Rusi, nad Niemnem górnym; drugi po litewsku Neuenpille, czyli Nowogródek na Litwie, na lewym brzegu Niemna. Udowodnienia, że tu była stolica Erdziwiłła (1065—1089), że tu był koronowany Mendog, że tu była katedra biskupa litewskiego, znajdzie czytelnik u Narbutta, Pom. pis. hist., 26. (Bulle papieskie, donacye Mendoga i t. d.)

[3] Biskup Wit w r. 1254 był na kanonizacyi św. Stanisława w Krakowie. Długosz mylnie nazywa go *episcopus Lithvanorum*, gdyż był on biskupem lubczańskim, litewskim zaś był Chrystyan. Długosz wspomina jeszcze o biskupie Gerhandzie, obecnym na kanonizacyi i mianuje go *episcopus Ruthenorum*. Nigdzie najmniejszej wzmianki o tym biskupie nie znajdujemy.

sztold, ożeniony z polką Buczacką, przyjął wiarę katolicką (1368), sprowadził do Wilna czternastu Franciszkanów, i osadził ich w domu własnym (gdzie dziś pałac cesarski, przedtem biskupi, i klasztor Bonifratrów). Lecz gdy niektórzy z nich za daleko posuwali swą gorliwość i publicznie urągali się z obrzędów pogańskich, rozjątrzony lud, korzystając z nieobecności w. księcia Olgierda i bojarzyna Gasztolda, zamordował ich. Nie zraziło to Gasztolda. Sprowadził znowu większą ilość Franciszkanów (podobno 36) i osadził ich na Piaskach przy kościele już istniejącym z czasów Gedymina, św. Mikołaja, zbudował dla nich klasztór, a następnie i kościół wspaniały (zamknięty po roku 1863). Tak więc za Olgierda były już trzy kościoły katolickte w Wilnie: św. Mikołaja, N. M. Panny i kaplica przy poprzednim klasztorze Franciszkanów gdzie dziś kościół św. Krzyża (bonifratelski). A więc szerzyło się wyznanie katolickie w samem sercu Litwy.

Jednocześnie i wschodni obrządek był już bardzo rozpowszechniony. Nie zapominajmy, że dwór wielkiego księcia otaczali bojarowie z podległej mu Rusi, z Kijowa, z Witebska, z Połocka, i t. d., a byli to wszystko wyznawcy obrządku wschodniego. Nadto przyczyniały się do takiego rozpowszechnienia związki małżeńskie, zarówno wyznania greckiego, jak i katolickiego. Córka księcia gdy wychodziła za mąż za katolika, uroczyście przyjmowała wiarę swego małżonka, a z nią i całe gromady jej dworzan i służby, jeśli jeszcze zostawali w bałwochwalstwie. Tak samo, gdy książe żenił się z księżniczką ruską, całe jej otoczenie, wraz z duchowieństwem, było obrządku wschodniego.

Jeszcze córka księcia Trojnata (Trojdena), Predysława-Zofia była za Bolesławem księciem mazowieckim (1272). Dwie małżonki Olgierda, Marya, księżniczka witebska i Julijania, księżniczka Twerska, obie wyznania greckiego, protegowały swoich współwyznawców i były fundatorkami czterech cerkwi w Wilnie. Córki Gedymina, Olgierda, Kiejstuta wychodziły za mąż za królów i książąt polskich i przyjmowały wiarę rzymsko-katolicką. Aldona córka Gedymina była za Kazimierzem W.; Marya Ofka, za Bolesławem ks. mazowieckim (zamordowana przez Rusinów w r. 1342), i Elżbieta Damilla za Wacławem ks. płockim († 1364). Córka Olgierda, Ale-

ksandra za Ziemowitem ks. mazowieckim; córki Kiejstuta, Anna Damuta i Elżbieta Ryngala za Januszem i Henrykiem kss. mazowieckimi. Widzimy więc, że chociaż wielcy książęta litewscy, w oczach litewskich swoich poddanych, uchodzili za pogan; wszakże w otoczeniu ich widzimy przeważnie chrześcijan, stosunki rodzinne wyłącznie z chrześcijanami; w stolicy państwa widzimy już kościoły i cerkwie. Olgierd sam był założycielem dwóch cerkwi w Witebsku, który mu się dostał jeszcze za życia ojca po żonie Maryi, ostatniej z książąt witebskich. Podług latopisów ruskich pogrzebiony nawet w katedralnej cerkwi Bogarodzicy w Wilnie, co nie przeszkadzało, jak opowiadają krzyżackie kroniki, ażeby na stosie, zwyczajem pogańskim, spalono rynsztunek, konia i inne przedmioty, które za życia księciu służyły, a lud mógł myśleć, że i ciało książęce jednocześnie spłonęło.

Pomimo to wszystko za panowania Olgierda stał się wypadek, którego historyczna krytyka dokładnie wytłumaczyć nie zdoła. Oto, podług latopisów, w latach 1342 i 1347 trzech Litwinów, dworzan wielko-książęcych, z rozkazu Olgierda, w skutek nalegań Kriwe-Kriwejte, na śmierć skazano, za to, że przyjęli wiarę obrządku greckiego. Kościół wschodni uznał ich za świętych męczenników wileńskich pod imionami Antoniego, Jana i Eustachego (Czet-Minei, 14 kwietnia). Podług latopisów zamordowani mieli być pogrzebieni w cerkwi św. Mikołaja. Gdzie i kiedy ciała św. Męczenników z tej cerkwi przeniesiono, nie mamy faktycznych danych, a dopiero w r. 1826 przypadkowo znalezieni w cerkwi św. Ducha i dziś tam spoczywają w osobnym sklepie grobowym w bogatych trumnach (rakach). Nie wątpiliśmy i nie wątpimy ani na chwilę (jak nam to zarzucano), że owi Litwini ponieśli śmierć męczeńską i że przez kościół uznani za świętych. Gdzieindziej wyraziliśmy tylko nie wątpliwość, ale zdziwienie nasze, że Olgierd znany tolerant i protektor chrześcijańskich wyznań, władca wielu milionów swoich poddanych wschodniego obrządku, że Olgierd, który tak surowo ukarał winnych za morderstwo Franciszkanów, ten sam Olgierd tak srodze osądził swoich dworzan za przejście na wiarę grecką, a przy krytycznem zestawieniu faktów i ocenieniu dziejów całego życia tego

sławnego księcia, wolno nam przecie było wypowiedzieć nasze zdziwienie [1].

Z tego cośmy wyżej powiedzieli zdaje się widocznem jest, że gdy ruska ludność państwa litewskiego, już od X. wieku wyznawała wiarę obrządku wschodniego, w litewskich Prusach, na Żmudzi, w Inflantach i we właściwej Litwie wyznanie rzymsko-katolickie w ciągu trzech wieków szerzyło się coraz bardziej, w stanowczej chwili Litwa była już na wpół chrześcijańską, tak, że gdy przyszło do chrztu ogólnego w r. 1387, tylko połowa ludności potrzebowała zaszczepienia wiary św., bo druga połowa była już chrześcijańską. Apostolstwo na Litwie, w początkach szczególnie było zadaniem ciężkiem w obec zawziętości poganizmu i tej tradycyjnej przewagi, jaką mieli w początkach Kriwe-Kriwejtowie i ich podwładni Kriwe pogańscy. Ale widzieliśmy, że już od zgonu św. Wojciecha, ich Romowe ze zwierzchniczym kapłanem, tułać się musiało, przenosząc się z miejsca na miejsce, za Olgierda zaś powaga i znaczenie Kriwe-Kriwejty nikną coraz bardziej, a w końcu widzimy, że na całej przestrzeni Litwy gorliwość Jagiełły w nawracaniu na wiarę św. nie napotkała nigdzie żadnego oporu. Ostatni Kriwe-Kriwejte, Gintowt, przeniósł się z początku z Wilna do Kiernowa pod Wilnem, a następnie do Okajnia pod Kownem, gdzie umarł.

Apostołowie na Litwie napotykali tem większą trudność, że nie rozumiejąc języka narodowego, musieli używać pośrednictwa

---

[1] Cerkiew, w której ciała tych świętych męczenników miały być złożone, dawno nie istnieje. Ale w Wilnie inna jest cerkiew, także pod wezwaniem św. Mikołaja. Otóż w r. 1864, gdy szło o przebudowanie tej cerkwi i wzniesienie przy niej kaplicy św. Michała Archanioła, protojerej Pszczołko przedstawił Jen. gub. Murawjewowi, że jakoby w tej cerkwi miały pierwotnie spocząć szczęty świętych. Twierdzenie najfałszywsze: cerkiew ta założoną została przez Julianię, drugą małżonkę Olgierda, którą zaślubił w roku 1349, gdy tymczasem męczeńska śmierć świętych nastąpiła w latach 1342 i 1347, a więc nie było wtedy tej cerkwi, ale, jak powiedzieliśmy, istniała już inna cerkiew św. Mikołaja, w której mogły być złożone owe szczęty. Na tej tedy podstawie, mówiąc o Wilnie w obszernej pracy naszej o Litwie i Białej Rusi (Żywop. Ros. t. III.), wyraziliśmy się, że „od r. 1347—1826 żadnych pewnych wiadomości o relikwiach św. męczenników nie posiadamy“. Skorzystał z tego nasz krytyk, niejaki „Białorus“ i cisnął insynuacyę, jakobyśmy powiedzieli, że żadnych wiadomości nie mamy o męczennikach, a więc twierdzi, jakobyśmy podejrzywali samo istnienie tych świętych!

tłumaczów, a i tych często brakowało. Pod tym względem może największa zasługa księży Franciszkanów, którzy przedewszystkiem uczyli się języka litewskiego, i w mowie rodzinnej opowiadali ludowi słowo Boże.

Jak wszędzie i zawsze było, tak i na Litwie religia nie mogła być odrazu ugruntowaną, bo na to trzeba wieków. Dawne wierzenia, zwyczaje, nawet obrzędy pogańskie długo jeszcze przejawiały się wśród Litwinów. Rostowski powiada, że kiedy w r. 1618 Jezuici założyli kolegium w Krożach, to musieli zacząć swoją działalność od obalenia świętych dębów i bałwanów, którym lud jeszcze wtedy cześć oddawał. W okolicy Rossień, Dyneburga, Kiejdan, Jezuici zastali jeszcze sześć ołtarzów, na których ofiary starym bogom składano. Między rokiem 1565 a 1582 Stryjkowski na własne oczy widział, jak się dokonywały rozmaite obrzędy pogańskie, w Ławaryszkach zaś, pod Wilnem, lud ubóstwiał czarnych wężów [1].

Znane są szczegóły, jakim sposobem w. ks. lit. i król polski Władysław Jagiełło, po ożenieniu się w Krakowie z Jadwigą, dopełnił w Wilnie i na całej Litwie w r. 1387 wielkiego aktu obalenia bałwochwalstwa i wprowadzenia wiary św. rzymsko-katolickiej. Wtedy to na miejscu świątyni Perkunasa wzniesiono kościół katedralny, utworzono biskupstwo wileńskie, a pierwszym biskupem papież Urban VI. mianował Andrzeja Wasiłło, mnicha Franciszkańskiego, później biskupa nominata cereteńskiego. Kapituła w początkach składała się z dwóch prałatów i dziesięciu kanoników. Jagiełło nadał bogate dobra biskupowi i kapitule, jak Taurogi z zamkiem murowanym i całym powiatem, Łabonary, Malaty, Trebuny, Jarynicze, Wehelnicze, Hermaniszki, Dąbrowę i pod Wilnem Werki i Bakszty. Oprócz kościoła katedralnego, jednocześnie w Wilnie Jagiełło fundował dwa kościoły na miejscach, gdzie były świątynie pogańskie: św. Jana (później Jezuicki) i św. Marcina na górze zamkowej, a nadto

[1] W Ławaryszkach i dziś, jak to sami widzieliśmy przed 20 laty, mnóstwo wężów przez lud bardzo szanowanych. Ale i na całej Litwie do dziś dnia nikt się nie poważy zabić węża, przekonany, że zabicie spowodowałoby nieszczęście. Opowiadają jako fakt, że gdy pewna Niemka na Żmudzi kazała zabić węża, który przez długie lata był w domu przy poprzednim właścicielu, w ciągu jednego roku troje dzieci tej Niemce umarło.

w Litwie i na Białej Rusi dziesięć kościołów a mianowicie: w Niemenczynie, Mejszagole, Miednikach. Krewie, Obolcach, Hajnie, Lidzie, Wiłkomierzu, Oszmianie i Bystrzycy. Jeśli dodamy do tego dawniej już istniejące kościoły na Litwie, św. Mikołaja, N. Maryi Panny i kaplicę św. Krzyża (Bonifratrow) w Wilnie, kościoły w Lubczu i Nowogródku będziemy mieli piętnaście świątyń katolickich w samych początkach utworzenia dyecezyi wileńskiej, następnie zaś liczba ich z każdym rokiem wzrastała, z wyjątkiem Białej Rusi, gdzie dopiero za czasów Zygmunta III. zaczęto wznosić mnogie świątynie i klasztory. Dyecezya wileńska była nader rozległą i obejmowała całą Litwę, Ruś Białą i Czarną, z wyjątkiem Żmudzi, gdzie w r. 1417 w. książe Witold założył osobną dyecezyę ze stolicą biskupią w Worniach, albo Miednikach. Mińska rzymsko-katolicka dyecezya założoną była już po rozbiorze kraju w r. 1798 przez Katarzynę II., a jeszcze przed tem, w r. 1782, arcybiskupstwo mohylewskie.

II.

Kościół katedralny. — Wielki ołtarz. — Ołtarze: Bożego Ciała i św. Krzyża. — Świetność kapituły, obrzędy i zwyczaje.

Nie jest naszem zadaniem pisać dzieje Bazyliki litewskiej, z wielu względów z dziejami całego kraju związane. Miała już ta Bazylika swoich dziejopisów. Chcielibyśmy potrącić tylko o niektóre ważniejsze szczegóły, ze źródeł nieznanych naszym poprzednikom, albo zupełnie przez nich opuszczone, albo też błędnie opowiedziane. Głównym materyałem do tego posłużą nam akta kapituły wileńskiej, z których, przy łaskawem pośrednictwie ś. p. pralata Mamerta Herburta, przez wiele lat robiliśmy wyciągi, nadto z not i uwag także przez długie lata przyjaźnie udzielanych nam przez znakomitego badacza dziejów wileńskich, profesora Michała Homolickiego. Posiłkowaliśmy się też aktami wójtowstwa wileńskiego, wizytami kościoła katedralnego biskupów i kanoników wileńskich, w końcu znanemi aktami i przywilejami drukiem ogłoszonemi [1].

[1] Mniej lub więcej dokładne opisanie kościoła katedralnego wileńskiego znajdzie czytelnik w Dziejach Litwy *Teodora Narbutta*, w pomniejszych pi-

Bazylika litewska poświęconą została przez arcybiskupa gnieźnieńskiego Bodżentę d. 7 maja 1388 r. pod wezwaniem św. Trójcy, N. Maryi Panny, św. Stanisława i św. Władysława, nazajutrz zaś arcybiskup instalował na stolicę biskupią pierwszego biskupa wileńskiego Andrzeja (Wasiłłę).

Pierwsza ta świątynia katedralna nieokazała, znacznie uszkodzoną została przez pożar w r. 1399; ale wielki książe Witold niebawem przystąpił nietylko do jej odrestaurowania, lecz i powiększenia. Tak odbudowany kościół w stylu gotyckim konsekrowany został w r. 1407 na czwartej niedzieli po wielkiej nocy. Kościół witoldowski istniał do r. 1530, kiedy nowy wielki pożar w Wilnie bardzo go nadwerężył. Szczodrobliwością Zygmunta I. i staraniem biskupa wileńskiego Jana z książąt litewskich już w r. 1538 był zupełnie odrestaurowany. W r. 1632 kościół został odnowiony. Istniał w tym stanie do 7 września 1769 r., w tym zaś dniu, jedna z wież i sklepienie runęły, przyczem czterech wikaryuszów jeden kleryk i kapłan idący ze mszą św. zostali zabici.

Potem nastąpiło zupełne przerobienie kościoła, dokonane przez architektę Gucewicza i ukończone zaledwo w r. 1801. Nowy ten gmach poświęcony został 29 września tegoż roku przez biskupa wileńskiego Jana Nepomucena Korwin Kossakowskiego. W takim stanie kościół katedralny wileński i do dziś dnia istnieje.

Nie mamy pewnych i dokładnych opisów, jaką była stara katedra wileńska. Tyle tylko wiemy, że po przebudowaniu za Zygmunta I., był to gmach poważny, w samem urządzeniu wnętrza, dla równej długości i wzniosłości trzech naw swoich dla planu regularnie prostokątnego, nie zaś krzyżowego i dla niemałej obszerności dobrze zastosowany do przeznaczenia głównej katedralnej

smach historycznych tegoż; w Historyach Wilna *Kraszewskiego* i *Balińskiego*, w bardzo wyczerpujących artykułach o Wilnie, w Wizerunkach i Roztrząsaniach naukowych *M. Homolickiego;* w Żywotach biskupów wileńskich *ks. Przyałgowskiego* (Żywoty biskupów wil. *ks. Osińskiego*, jedyny tylko egzemplarz posiada ks. kanonik Polkowski), w Starożytnej Polsce *Balińskiego*, w opisaniu statystycznem m. Wilna *Balińskiego;* w wybornym artykule o Wilnie w Encyklopedyi powszechnej Orgelbrandta — *W. Korotyńskiego;* wreszcie w moich „Przechadzkach po Wilnie" (drugie wydanie), w „Przewodniku po Wilnie" (drugie wydanie), oraz w kilku odrębnych moich artykułach.

świątyni, chociaż nie we wszystkich szczegółach odpowiedni wymaganiom. Zewnątrz zaś dla rozmaitej postaci i rozmiarów licznych przybudowań nieujętych w odpowiednią całość, przedstawiał widok różnorodny i różnokształtny. W XVII. wieku, cudna z ciosu i marmuru kaplica św. Kazimierza, na jednym boku wystająca, błyszczała w tym skołatanym gmachu, jakby drogi kamień w lichym zaśniedziałym i nadłamanym pierścieniu. Dopiero w rękach Gucewicza ten drogi kamień zyskał godną siebie oprawę. Gdy Gucewicz przystąpił do restauracyi kościoła, była to poważna swoją starożytnością, wspomnieniami wieków ubiegłych i minionej swietności świątynia, ale nie pierwotna, już przedtem odbudowywana, wielekroć przerabiana, a w końcu zawaleniem się wieży na wpół zburzona. Nic już w niej pierwotnego charakteru nie nosiło; nic dawnego jej nastania, lub historyi w dotykalnych oznakach wyrażać nie mogło. Kilkowiekowa starożytność Jagiellońskiej katedry ściągać się tylko mogła do samego miejsca i posady, na której i teraz stoi, nie zaś do kształtu i rozmiarów, w jakich ją czasy Jagiełły i Witolda zostawiły. Gucewicz nie mógł zatrzeć żadnej cechy, jak o to go niektórzy obwiniali, żadnych w składzie samego gmachu śladów lub wyraźnych zabytków czternastego lub piętnastego wieku sięgających, bo te już oddawna były w nim zgładzone.

Po odbudowaniu świątyni przez Gucewicza, wyszła z rąk mistrza całość okazała, symetryczna i szykowna, a tak w postaci swej jednorodna i jednolita, że wszystko, rzekłbyś, jednocześnie, za jednym razem i podług jednej, od samego już początku powziętej myśli, stanęło. Gucewicz, tak przedziwnie zastosowawszy styl całości do porządku doryckiego kaplicy św. Kazimierza, nadając przybudowom odpowiednie z obu stron głównego gmachu kształty i rozciągając pomiędzy czterema w rogach wystającemi kaplicami, dwa piękne portyki bokowe, a czoło kościelne ozdobiwszy trzecim wspaniałym portykiem i wystawą, rozwiązał zagadnienie w oznaczonym składzie warunków sobie podane, najprostszym, czyli co na jedno wychodzi, najwłaściwszym i najlepszym sposobem. Prostota i wzniosłość prawdziwa też cecha genialnego naszego budownika.

Wiele bez wątpienia kościołów w klasycznym smaku wzniesionych, albo tylko przetworzonych i przybranych przewyższa katedrę wileńską ogromem budowania, bogactwem marmurów, granito-

wych kolumn, złoconych bronzów, drogich mozaik i rzadkich dzieł sztuki. Ale czystością, prostotą, a razem wspaniałością stylu może niewielu tylko ustąpi, a wiele z nich przewyższy. Wszyscy prawdziwi znawcy i uczeni architekci nie wahają się uważać jej za arcydzieło. Opowiadają, jak w pamiętnym 1812 r. grupy wyższych wojskowych i inżynierów przy głównej kwaterze Napoleona gromadziły się przed katedrą, jak ciekawie jej się przypatrywali i najwyższe pochwały oddawali. Sami nieraz widzieliśmy, jak obcy turyści, a znawcy prawdziwi, byli zachwyceni budową wileńskiej świątyni.

Teraz, kiedy kościół katedralny po zniesieniu wszystkich otaczających go dawniej budowli, stoi na rozległym placu odsłoniony zewsząd i odkryty, niektórzy robią uwagę, że głębokość portyku naczelnego jest za mała w stosunku do tak wysokich słupów, na których się jego szczyt opiera. Uwaga zapewne słuszna; wszakże zapominają, że wysokość tych kolumn z opartem na nich brutowaniem, musiała być ściśle zastosowaną do wysokości dawnej ściany przodowej. A nie mógł Gucewicz nadać większej głębokości portykowi, bo w owym czasie przeszkadzała przyległość domu wikaryuszów, który lewą stronę czoła dawnej katedry, niemającego żadnej wystawy, ukośnie od zachodu i północy, a dosyć zbliska oskrzydlał.

Słuszniejszem daleko prawem możnaby się użalać na zatracenie w czasie przedługiej restauracyi wielu pomników, obrazów i innych pamiątek przypominających dawną katedrę, a w końcu zamurowanie i zagładzenie nawet śladu, gdzie były wejścia do sklepów grobowych [1]. Nie mamy jednak dokładnych opisów, jakie jeszcze w owym czasie istniały pomniki i inne zabytki, a dość jest przypomnieć jak okropnym klęskom i przejściom ulegała stara katedra. Dość jest przypomnieć co ucierpiała katedra w czasie wojny z Moskwą za Jana Kazimierza, albo straszne napady i barbarzyńskie niszczenie przez Szwedów. Po zdobyciu Wilna w r. 1655 i przez cały czas sześcioletniego zajęcia zamków, katedrę odarto z bogatych ozdób i rozmaitych cenniejszych przedmiotów i sprzętów, jakie jeszcze w niej zostawały. Kościół zamieniono na stajnię i konie tam trzymano. A chociaż samo miasto Michał Pac odzyskał w r. 1660 (11 lipca), ale zamki zostawały jeszcze przez rok i pięć miesięcy

[1] O sklepach powiemy niżej.

w roku nieprzyjaciół, burzących większe gmachy, a przedewszystkiem katedrę z dział na zamkową górę zatoczonych [1]. Sami członkowie kapituły zaledwie w połowie 1662 r. do Wilna wrócili. Cóż więc dziwnego, że wtedy i niejeden pomnik uległ zniszczeniu.

Ale wróćmy do dawnych czasów, do starożytnej Bazyliki litewskiej.

Wspaniały był wielki ołtarz w kościele katedralnym, bogato przyozdobiony. W r. 1686 prałat scholastyk ks. Kotowicz wielki miłośnik i znawca sztuk pięknych, ułożył plan i sam kierował wystawieniem nowego ołtarza wielkiego, który aż do ostatniego przerobienia kościoła przetrwał.

Za wielkim ołtarzem, po za którym jest swobodne przejście, znajduje się górny, albo wikaryuszowski ołtarz przy ścianie, do którego wstępuje się po schodach, z obrazem św. Stanisława męczennika. Na dole zaś pod tym ołtarzem, z wejściem od tyłu wielkiego ołtarza, jest niewielka dość niska kapliczka, półokręgowo na kształt groty sklepiona, pięć łokci szeroka. Tło jej o dwa stopnie niższe od podłogi całego gmachu. Służyła ona jak przed restauracyą kościoła, tak samo i dziś za posadę wikaryjskiemu ołtarzowi. Na pewnej części sklepienia widoczne szczątki jakiegoś kolorowego malowidła, wyraźnie dymem z wierzchu zakopcone. O tej tedy kapliczce, właściwie grocie, krążyły i krążą najrozmaitsze podania. Istnieje niemal powszechne przekonanie, że jest to pozostałość dawnej świątyni Perkunasa, i że właśnie jest tą samą grotą, w której świętych gadów (giwojtów) przechowywano, domysł zaś ten stwierdzała okoliczność, że podług jakiejś kroniki legowisko owych świętych gadów odległe było o 150 kroków od sławnej wieży Kriwe-Kriwejta, a i dziś odległość tej groty od dzwonnicy katedralnej wynosi jak raz 150 kroków. Dodają w końcu, że Tadeusz Czacki w Wilnie w r. 1811, zwiedzając z ks. Adamem Czartoryskim, ówczesnym kuratorem, katedrę, miał jakoby orzec, że ta okopcona kapliczka musiała być ogniskiem Znicza [2].

---

[1] *Rostowski*, Historiarum Part. 1. Lib. X. 413. — *Dubieński*, Zbiór praw, p. 224, 228, 232.

[2] Nie wiedział wtedy Czacki, że i *ognisko Znicza* nigdy nie istniało. Nowoczesna bowiem filologia dowiodła, że wyraz *Znicz* tak popularny w poezyi, jako *wieczny ogień*, wcale wiecznego ani w ogóle żadnego ognia nie ozna-

Tymczasem podług wyczerpujących badań prof. M. Homolickiego, grota ta albo kapliczka utworzoną została po pożarze 1530 roku, ponieważ zajmuje sam środek tylnej ściany kościelnej, a wiadomo, że po tym pożarze cały kościół ku stronie południowej, czyli prawej rozszerzono. Nie była zatem, powiada Homolicki, ani w katedrze Jagiellońskiej, ani w katedrze od Witolda po pożarze 1399 roku wybudowanej, bo niepodobna nawet wyobrazić taką nieforemność, tj. żeby przypadała na samym środku tylnej ściany. Pod koniec XVII. wieku, gdy ks. Eustachy Kotowicz (prałat, następnie biskup smoleński) podwyższył wikaryuszowski ołtarz, ażeby stół jego po nad ziemię przodową czyli kapitulną mógł górować, przeznaczeniem tej niskiej, małem okienkiem słabo oświeconej pieczary było, wyobrażać grób i przypominać powstanie Piotrowina na świadectwo prawdziwe. Jakoż stał w niej aż do czasów Gucewicza mały snycerski ołtarz ze statuą św. Stanisława wskrzeszającego Piotrowina. Ale niezręczny do niej przystęp między kapitulnym a wikaryuszowskim ołtarzem i zbyteczna ciasność, spowodowały, że biskup Zienkowicz nabożeństwo obowiązkowe, jakie się odbywało w tej kapliczce, przeniósł do kaplicy Januszowskiej. Gdy zaś nastąpiła restauracya katedry pod kierownictwem Gucewicza, urządzony był w niej kominek, z dymnikiem ukośnie przeprowadzonym dla ogrzania się stróżów, którzy dzień i noc pilnowali kościoła i materyałów fabrycznych. Stąd pochodziło i zakopcenie sklepienia, które Czacki aż do czasów Perkunasa stosował. Tak samo mylne były domysły niektórych, jakoby na tym kominku organiści przygotowywali opłatki.

Do najstarożytniejszych ołtarzów w katedrze wileńskiej, oprócz wymienionych, należały: ołtarz św. Krzyża i Bożego Ciała.

---

czał, że w litewskim języku nie *Znicz* ale *Zinicze* oznacza miejsce gdzie stała bałwochwalnia i gdzie palił się ogień. Tak sądzą Akielewicz i prof. Mierzwiński. Karłowicz zaś, głęboki badacz i znawca języka, sądzi, że *Zincz (Żiniczus* albo *Żinczius)* oznacza kapłana, który podtrzymuje ogień i czuwa, ażeby nigdy nie zgasł. Długosz, mówiąc, że Zincz (a nie Znicz) znaczy kapłan, który czuwa nad ogniem, bliski był prawdy. Miechowita powtórzył to samo. Dopiero Stryjkowski i Gwagnini wyraz *Znicz* podnieśli do znaczenia wiecznego, nigdy nie gasnącego ognia, a stąd przez kilka wieków pocci nasi, nawet historycy, mówiąc o Perkunasie, mówili i o wiecznym ogniu Zniczu; w poezyi Znicz stał się emblematem wieczności, trwałości, niezmienności! (Ob. moją *Litwę* i *Białoruś*, str. 32).

Pierwszy, z czasów Witoldowskich, na samym środku kościoła wzniesiony i kratą żelazną w około opasany. Od początków szesnastego wieku zwano go też ołtarzem dziesięciu tysięcy rycerzy męczenników, dla tego, że papież Aleksander VI. nadesłał z Rzymu przez Erazma Ciołka prałata katedralnego mnogie relikwie, a w ich liczbie i dziesięciu tysięcy męczenników, które w wielkiej skrzyni, pod mensą tego środkowego ołtarza złożone były, a zarazem udzielił rok jeden odpustu dla tych, którzy w dzień wielkopiątkowy wysłuchają nabożeństwa przed tym ołtarzem [1]. W pewne uroczystości częściami wystawiano je na ołtarzu przed ludem, który liczne ofiary, bądź w gotowym groszu, bądź w wyrobach, żywiołach i surowych płodach pobożnie składał [2].

Biskup Waleryan Protasewicz, wskrzesiwszy ozdobniej i okazalej dawny ołtarz św. Krzyża i odnowiwszy kratę żelazną, uposażył przy nim altaryę dla kaznodziei katedralnego, odtąd biskupim zwanego, na dobrach własnych Borodzicze, albo Borowicze z częścią innemi wsiami, zapisanych kapitule w r. 1559 [3]. Mając prawo opieki i podawania ołtarza, kapituła winna była wybierać na kaznodzieję męża zdolnego, w naukach duchowych dobrze ćwiczonego i w nich na stopnie uczone posuniętego, wypłacać mu corocznie po 40 kop groszy litewskich, a także obracać 8 kop na światło i przybory kapłańskie. Nadto biskup Protasewicz na tegoż kaznodzieję w r. 1575 nadał kamienicę pewną, przeznaczając część przychodu z niej na utrzymywanie światła w kolosalnym świeczniku ze złoconego bronzu, który niemałym kosztem sporządziwszy, na trzech mocnych łańcuchach żelaznych od sklepienia kościelnego spuszczonych w górze przed ołtarzem św. Krzyża zawiesił. Wszakże dla zbytecznego ciężaru łańcuchy pękały, a przeto z obawy nadwyrężenia samego sklepienia i dla zagrażającego niebezpieczeństwa obecnym w kościele, w dziesięć lat po śmierci biskupa świecznik ten monstrualny zdjęto i sprzedano, a inny lżejszy i kształtniejszy, także ze złoconego bronzu, zawieszono. Umierając biskup na pokrycie i przyozdobienie ławek czyli stallów w około ołtarza co najlepsze makaty i szpalery

---

[1] Bulla papieża d. 13 maja 1501 r.

[2] Acta V. C. V., l. 12—15.

[3] Zbiór przywilejów kapitulnych, księga pargaminowa f. 30—32. Księga wypisów Dogiela z metryki litewskiej. C. 166—169 i 286—29[illegible].

swoje zapisał, a i zwłoki swe złożyć pod tym ołtarzem zalecił. Starowolski podaje napis, jaki istniał przy ołtarzu na tablicy marmurowej, a miał być i wizerunek biskupa w biuście marmurowym [1].

Nie bardzo dbała kapituła o wykonanie woli zmarłego pasterza, skoro wiemy, że po wyjeździe biskupa-kardynała Jerzego księcia Radziwiłła z Wilna do Krakowa, w r. 1594 z polecenia nuncyusza papieża Klemensa VIII., Aleksander Comulei, arcypresbiter kościoła św. Hieronima w Rzymie, naznaczony wizytatorem nadzwyczajnym dyecezyi wileńskiej, wymawiał kapitule niedbałe utrzymanie ołtarza św. Krzyża (Waleryańskiego) i zalecił wszystkie jego ozdoby i przybory podług myśli fundatora odnowić [2].

Pożar 1610 r. znacznie uszkodził ołtarz św. Krzyża. Jakby cudem ocalała figura ukrzyżowanego Zbawiciela, miejsce obrazu w nim trzymająca. Kapituła w części tylko go restaurowała, zamierzając stopniowo, co roku odkładać po sto złotych (660 dzisiejszych) z dochodów dóbr Borodzicze na doprowadzenie go do pierwotnego stanu.

W r. 1653 podczas grasującego morowego powietrza, z polecenia biskupa Jerzego Tyszkiewicza, dla zabezpieczenia kapłanów od zarazy, wyłącznie tylko przed tym ołtarzem, za kratą żelazną, odprawiano nabożeństwo.

Niedługo już potem, w czasie wojny i zajęcia Wilna przez Rossyan, ołtarz św. Krzyża wraz z innemi zburzony został i już nie powstał więcej.

Niektórzy, a nawet niekiedy kapituła, ołtarz św. Krzyża mianują W i t o l d o w s k i m, stąd znów powstaje zawikłanie, a nawet wynikały spory duchowne (wikaryuszów) z powodu zmieszania tego ołtarza z innym Witoldowskim, Bożego Ciała, albo św. Michała. Tradycya może mieć słuszność iż ołtarz św. Krzyża, albo trzydziestu tysięcy męczenników, powszechnie od czasu uposażenia go przez biskupa Waleryana Protasewicza zwany Waleryańskim, pierwotnie mógł być fundowany przez sławnego Witolda; wszakże w aktach kapitulnych o tem nie ma wzmianki (bo też i same akta ocalały

[1] Rostowski L. II., p. 63.
[2] Acta V. C. V. 1595 f. 232—233.

tylko od r. 1500). Istniał inny sławny na całą Litwę ołtarz witoldowski, o którym tu wiarogodne szczegóły podamy.

Wielki książę litewsko-ruski, Witold, przeczuwając bliski zgon swój, gdy będąc już chorym w skutek spadnięcia z konia, otrzymał wiadomość o porwaniu przez agentów Zbigniewa Oleśnickiego korony posłanej przez cesarza rzymskiego Zygmunta, którą, za zgodą Ojca św. miał być koronowany na króla litewskiego, przekonany, że tego ciosu nie przeżyje, przywilejem danym w Trokach d. 21 października 1430 roku, a który jakby za testament jego duchowny uważanym być może, nadając obszerne dobra Ihumeń (dziś w gubernii mińskiej, miasto powiatowe) w dwóch trzecich częściach przychodów na biskupa wileńskiego, a w jednej trzeciej części na kapitułę wileńską, położył warunek, ażeby wieczyście obchodzono przez całe grono kapituły, w każdą ze czterech pór roku, wielkie i solenne anniwersarze za duszę swą i dwóch żon swoich, Anny zmarłej i Julianii w życiu jeszcze natenczas zostającej. Na biskupa zaś wileńskiego włożył obowiązek wypłacania corocznie z tych dóbr po ośmdziesiąt kóp groszy litewskich (około 5 800 dzisiejszych złotych polskich), na psałtarzystów, tj. na odprawiających ustawicznie psałterz w kościele katedralnym, a po dwadzieścia kóp groszy (1450 zł.) na kapelana altarzystę, przełożonego ołtarza św. Michała w tymże kościele, stojącego przy grobie żony swej Anny, w którym i dla siebie samego miejsce pogrzebienia wybiera [1].

Ołtarz ten uległ wraz z innemi pożodze r. 1530. Wznowiono go i umieszczono obraz św. Michała Archanioła na pamiątkę pierwotnego ołtarza. Położony w głębi północnej nawy, po prawej stronie wielkiego ołtarza, oddzielony był od jej reszty kratą żelazną, przez co do osobnej kaplicy stawał się podobny, jak go niekiedy i nazywają akta kapitulne, ołtarz witoldowski przez długie lata był jak najstaranniej utrzymywany i bogato przybrany. Naczynia, sprzęty i przybory kościelne jak to widać z wizyty dziekańskiej prałata Mikołaja Diciusza z r. 1598, były nader liczne i cenne, złote, srebrne, w perły i drogie kamienie zdobne, a wszystkie u spodu pogonią litewską opatrzone.

W tymże ołtarzu Sakrament przenajświętszy chowano, skąd

[1] Przywilej ten wpisany do akt kapitulnych, t. I., list 20.

poszło i nazwanie jego: „ołtarz witoldowski Bożego Ciała". W bogatych srebrnych lampach, miernej wielkości do powszechnego użycia, większych i ozdobniejszych w dni uroczyste, ustawicznie światło przed ołtarzem utrzymywano; papież zaś Klemens XIII. nadał wielkie odpusty tym, za których wieczny pokój przed tym ołtarzem ofiary spełniane będą. W takim stanie przetrwał ołtarz witoldowski do roku 1610, kiedy pożar straszliwy zniszczył go do takiego stopnia, że już nabożeństwo przy nim odbywać się nie mogło i przenajświętszy Sakrament przeniesiono do wikaryuszowskiego ołtarza. Od tego czasu ołtarz witoldowski Bożego Ciała, albo św. Michała Archanioła, nigdy już restaurowany nie był [1]. Na tem zaś miejscu stanął w r. 1710 nowy ołtarz św. Rocha, patrona od morowej zarazy, wzniesiony po ustaniu srogiej tej klęski w owym roku Wilno trapiącej. Znikł w końcu i ołtarz św. Rocha w czasie ostatniej restauracyi kościoła katedralnego, a na jego miejscu Gucewicz postawił kolosalny posąg allegoryczny „Miłości Boga", pięknie i wspaniale zdziałany przez Righiego.

Jeżeli pod względem architektonicznym stare gmachy świątyni wileńskiej, czterokrotnie odbudowywane, nie odznaczały się sztuką i pozostawiały wiele do życzenia, za to wewnętrzne urządzenie, bogactwa skarbca, świetne aparata, a co najwięcej wspaniałość obrzędów i mnogość duchowieństwa, wyłącznie do katedry należącego, nadawały Bazylice litewskiej wielką powagę, wzbudzały cześć i zachęcały do gorliwości pobożnej. Biskupi i kapituła rozrządzali znacznemi dobrami, a nawet młodsze duchowieństwo nietylko dostatnio, ale rzec można nawet zbytkownie było uposażone. O tej dawnej świetności i znaczeniu kapituły wileńskiej z tego już miarkować można, że niekiedy trzecia jej część z samych biskupów złożona była. Tak naprzykład za biskupstwa Aleksandra Kotowicza, w r. 1686 zasiadało w kapitule pięciu biskupów, a w ich liczbie dwaj senatorowie litewscy. Byli to: Kazimierz Pac, prałat proboszcz wileński, biskup żmudzki, Konstanty Brzostowski, kanonik wileń-

[1] W pożarze 1610 r. razem z ołtarzem zniszczony został i pomnik sławnego Witolda. Przywiedzione przez nas położenie ołtarza witoldowskiego z jego nagrobkiem i szczętami stwierdza Albert Wijuk Kojałowicz, gdy mówi o uczczeniu przez Bonę pamięci Witolda.

ski, biskup smoleński; Władysław Silnicki, prałat kantor i sufragan wileński, biskup tarnopolitański; Mikołaj Słupski, prałat archidyakon wileński, biskup gracyanopolitański, sufragan białoruski; Benedykt Zuchorski, prałat dziekan wileński, biskup malleński. Ten sam biskup Kotowicz i inni, jak poprzednicy jego, tak i późniejsi uchwalali porządek procesyj całego kleru dyecezalnego. Oto np. podług uchwały biskupa Michała Zienkowicza (1743) w procesyi na pierwszem miejscu postępuje z laską srebrną mistrz obrzędów; na drugiem miejscu penitencyaryusz katedralny i regens seminaryum dyecezalnego, w komżach i stułach; na trzecim notaryusze, konsystorski i kapitulny, w dalmucyach; na czwartem, poddziekani i wicekantor, a przed nimi dziesięciu innych wikaryuszów, podług dawności swej posługi, parami, wszyscy w komżach i dalmucyach popielicowych; na piątem, proboszcz kollegium dyecezalnego z proboszczem katedralnego szpitala Rochitańskiego, przed nim zaś wiceregens seminaryum, poprzedzony od wszystkich kleryków parami. Klerycy nosili zwierzchnią suknię fioletowego koloru, z długiemi rękawami, od barków aż po ziemię spadającemi. Na czele przed całym tym klerem niesiono albo znak srebrny Imienia Maryi, albo krzyż procesyjny drewniany. Za krzyżem zaś kapitulnym srebrnym najbliższe, tj. najniższe miejsce zajmowali: archidyakon białoruski z kanclerzem dyecezalnym; dwunastu kanoników katedralnych, podług dawności swojego wstąpienia do kapituły; za nimi sześciu prałatów, dając pierwszeństwo sufraganowi wileńskiemu, tudzież biskupom senatorom w składzie kapituły znajdować się mogącym, lub przypadkowo obecnym. Zamykał procesyę biskup dyecezalny. Niechętnie kapituła wileńska dawała miejsce w procesyach i w stallach obcym, nawet biskupom, oprócz sufraganów wileńskich, wymagając, ażeby biskup, chociażby członek kapituły uczestniczył w procesyi i zasiadał w stalli niżej od tych prałatów i kanoników, którzy pierwej tej godności dostąpili. Żaden obcy kanonik lub prałat, chociażby biskup *in partibus*, nie mógł obrzędować u wielkiego ołtarza kapitulnego. To wyłączenie nie rozciągało się wszakże do biskupów-senatorów, ani też do arcybiskupa kijowskiego, metropolity całej Rusi[1], ale źle widziano, jeśli kanonik wileński innym bi-

[1] Acta V. C. V., 1687, f. 33, 34.

skupom, oprócz miejscowego, dyecezalnego, w obrzędach asystował. W końcu nawet takie uczestnictwo zupełnie zabronionem zostało[1]. Kanonicy smoleńscy nie inaczej mieli w katedrze wolność używania rokiety i mantoletu, jak pod warunkiem, że w procesyach przed krzyżem iść będą. Ze szczególną względnością przyjmowała kapituła tylko kanoników żmudzkich, ile razy przybywali do Wilna, jako gości, zapraszając ich do chóru i stallów kapitulnych.

Obrzędowy strój wikaryuszów stanowił biret, zamiast używanych dawniej mycek jedwabnych, komża ozdobna, a na niej dalmucye, tj. krótkie płaszczyki popielicowe, pospolicie koszki nazywane, z kapicą całą głowę okrywającą. Koszki te czyli płaszczyki, albo paleryny popielicowe, włosem do góry, jedwabiem podbite, przetrwały u wikaryuszów do dni naszych, ale już bez kapicy. Strój ten niezwykły i dość okazały przeszedł na wikaryuszów z prałatów i biskupów, którzy go w początkach utworzenia kapituły używali[2]. Koszki, prałaci i kanonicy zastąpili bogatemi kapami kościelnemi, które przetrwały aż do czasu, kiedy papież Inocenty X. udzielił prawo członkom kapituły noszenia togi rzymskiej na rokiecie. Purpurowe te togi, gronostajami podbite, naśladujące purpurę książęcą, były bardzo ozdobne, a i dziś są w użyciu w Wilnie, ale już z gronostajami spotkać się nie łatwo, chociaż jeszcze biskup książe Massalski koniecznie wymagał ich używania[3].

Powiedzieliśmy już, że liczba duchowieństwa przy kościele katedralnym zwykle była znaczną. Tak na przykład za biskupstwa Michała Zienkowicza około roku 1743, oprócz biskupa na usłudze kościoła, zostawało: dwóch biskupów sufraganów, trocki i kuroński, sześciu prałatów, dwunastu kanoników, mistrz obrzędów, penitencyaryusz, regens seminaryum, dwóch notaryuszów: konsystorski i kapitulny, poddziekani i wice-kantor, dziesięciu wikaryuszów, proboszcz kollegium dyecezalnego, proboszcz szpitala rochitańskiego, wice-regens seminaryum, archidyakon białoruski, ośmiu kaznodziejów, razem pięćdziesiąt osób; nie licząc kleryków, świeckich psałterzystów, zakrystyanów, orkiestry katedralnej. Przed tem samych altarzystów bywało z górą czterdziestu. W ogóle przed wojną za

[1] Ibid. 1685, f. 190.
[2] Acta V. C. V., 1554, f. 62, 1557, f. 75, 1560, f. 298.
[3] Acta V. C. V. 1653 f. 82.

Jana Kazimierza liczba duchowieństwa wyłącznie katedralnego dochodziła do stu osób.

Kościół był dzień i noc otwarty, a modły i śpiewy w nim nigdy nie ustawały. W kaplicy św. Kazimierza, oraz w niektórych innych przez całą noc paliły się lampy [1].

Akta kapituły i wizyty kościołów wyświecają wiele szczegółów w zwyczajach obrzędowych i przyborach kościelnych. Niektóre z nich później zaniedbano, lub wyszły z użycia. Tak naprzykład podczas mszy wielkiej dyakon śpiewał Ewangelię, która leżała na pulpicie żelaznym, przykrytym zasłoną adamaszkową, z galonami, której barwa, podług dnia lub uroczystości zastosowaną była. U niektórych ołtarzy świeczniki srebrne lub mosiężne były o trzech, pięciu, lub sześciu, albo nawet, jak w jerozolimskim niegdyś kościele, o siedmiu ramionach; używane zaś do mszału były dwuramienne i czteroramienne. W kaplicy Trojeckiej stały na ziemi trzy duże świeczniki żelazne do lepienia świeczek ofiarnych, które lud przynosił ze sobą, albo na miejscu kupował [2]. Dziś na całej Litwie nigdzie już takich świeczników nie ma i zwyczaj ten upadł zupełnie, a zachowuje się tylko w świątyniach wyznania prawosławnego. Tak samo palenie lamp przed obrazami, powszechne dawniej na Litwie, jak i w całej słowiańszczyźnie, a i dziś bardzo rozpowszechnione w Krakowie i innych miastach polskich; obecnie na Litwie nietylko wyszło z użycia, ale nawet pod pewnym względem uważane byłoby za naganne. Prałat, lub kanonik, tydzień trzymający, nie inaczej szedł do ołtarza kapitulnego na mszę świętą, jutrznię, nieszpory, jeno z krzyżem w ręku. Używano do tego małego krzyża ręcznego, srebrnego, pozłocistego, kanoniczym zwanego. Starożytny ten zwyczaj jeszcze się w wieku XVII., a nawet XVIII. utrzymywał [3].

Wspominaliśmy już o bogatem uposażeniu duchowieństwa litewskiego. Przytaczamy tu ciekawy dokument, dosadnie malujący ducha wieku i obyczaje. Oto altarzysta ołtarza św. Michała Archanioła, prałat-proboszcz katedry wileńskiej, ks. Walenty (honorabilis

[1] Narbutt. Pom. pis., 115.

[2] Protokół wizyty Diciusa, f. 12, 35, 51, 72.

[3] Acta V. C. V. 1698, f. 4; 1743, f. 262. — Mój skarbiec kat. wil. 192.

Valentinus), w r. 1499 otrzymał od wielkiego księcia Aleksandra Jagiellończyka potwierdzenie dawnych przywilejów przez Witolda altaryi św. Michała nadanych. Na mocy tego przywileju kapelan Witoldowski oprócz dwudziestu kóp groszy litewskich (około 1450 dzisiejszych złp.), posiadał dworek z ogrodem, dwie karczmy dochodne, wolne od wszelkich skarbowych opłat, a nakoniec ordynaryę zupełnie w takiej ilości, jak uchwalił poprzednik jego wielki książe Witold[1]. Otóż, powiada wielki ks. Aleksander: „że każdy klucznik zamkowy dawać będzie prebendarzowi altaryi Witoldowskiej i jego następcom corocznie półtora ustawu miodu praśnego, a co tydzień czternaście świec woskowych zwyczajnej wielkości. Tiwon (ciwun), albo zawiadowca dworu naszego *(praefectus curiae nostrae)*, ma co ćwierć roku dawać dla tegoż kapelana cieląt troje, baranów dziesięć i kur dwie kopy. Swirzenny *(Factor noster, dictus Swirzenny)*, dostarczy co rok dwanaście połciów słoniny. dwie miary soli, cztery kamienie masła, dwie miary krup, dwie miary jagły i jednę miarę grochu. Horodniczy zamkowy co ćwierć roku wyda po trzy miary żyta, a corocznie wypłaci na ryby cztery kopy groszy litewskich".

Nieźle więc działo się wielebnemu księdzu Walentinusowi! A nie zapominajmy, że był on zarazem prałatem-proboszczem, godność, z którą związane były daleko znaczniejsze dochody kapitulne.

Przy dawnej świątyni Perkunasa istniała wieża, z której, podług podania, Kriwe-Kriwejte miał wolę bogów ogłaszać. Po zniesieniu bałwochwalstwa i założeniu kościoła katedralnego, wieżę tę obrócono na dzwonicę katedralną. Biskup Jan z książąt litewskich, między rokiem 1522 a 1524 przebudował dzwonicę, a przy końcu XVI. wieku kapituła jeszcze o jedno piętro ją podwyższyła. Wszakże sam spód dzwonicy, czyli owa pogańska wieża, nieregularnie zaokrąglona, falowata i niekształtna, zostawiona nietkniętą i do dziś dnia stanowi bodaj jedyny ocalały szczątek z pogańskich jeszcze czasów. W czasie restauracyi dzwonicy wzniesiono tymczasową drewnianą, na której dzwony zawieszono. Istniała ona aż do r. 1561, kiedy Zygmunt August kazał napowrót zaciągnąć dzwony na starożytną wieżę.

Na tej tedy dzwonicy, oprócz mniejszych, trzy były wielkie

[1] Zbiór przyw. kap. ks. parg. f. 1—2.

dzwony: królewski, tak samo jak w Krakowie zwany Zygmuntowskim, albo prosto Zygmuntem, biskupi i kapitularny. Pewien niemiecki podróżnik, który zwiedził Wilno w XVI. wieku[1], tak mówi o dzwonie królewskim: „Kościół katedralny, stojący w dolnym zamku, ma dzwon jeden, podobnie jak w Krakowie, tak ogromny, że do poruszenia go w dzwonienie, więcej niż dwudziestu silnych ludzi potrzeba“. Wielki ten dzwon pochodził ze szczodrobliwości Zygmunta Starego, w który tylko na uroczyste święta i na pogrzebie znakomitych osób dzwoniono, na co za każdym razem potrzebne było zezwolenie prałata-kustosza. Przy pożarze 1610 r. budowniczy królewski Wilhelm Pohl spuścił na dźwigniach ze dzwonnicy i pokruszył spiż stopiony w ogniu z dzwonu Zygmuntowskiego. Zdjęto i inne dzwony, a po przelaniu i odnowieniu znowu na wieżę zaciągnięto, wraz z największym dzwonem, tj. Zygmuntowskim. Po niejakim jednak czasie, widocznie źle osadzony i nierówno w jeden i drugi bok bijący, wkrótce na nowo oprawiać przyszło. Do dawnych dużych dzwonów przybył jeszcze czwarty, zwany Moskiewski, ze Smoleńska zabrany, i przez Zygmunta III. podarowany. W czasie nieszczęsnej wojny za Jana Kazimierza, i zajęciu Wilna, dzwony były spuszczone, spiż nadpalony do zbrojowni królewskiej zawieziony, a dopiero po odzyskaniu Wilna przez hetmana Paca, z rozkazu Jana Kazimierza przystąpiono do odebrania pokruszonego spiżu. Z tych resztek tedy ulano trzy dzwony, jeden większy a dwa mniejsze, pod kierownictwem Jana Delamarsa, w kilka lat zaś później zawieszono jeszcze czwarty, nadpsuty, nabyty od fary słonimskiej, który przelany przez tegoż Delamarsa zawieszony został[2]. Tak znikł sławny dzwon Zygmuntowski! (C. d. n.)

A. H. Kirkor.

[1] Rękopis tego podróżnika, po niemiecku pisany, bez imienia autora, był własnością Antoniego Marcinowskiego, a w wielu razach korzystał z niego znany badacz prof. Michał Homolicki.

[2] Podług badań prof. Homolickiego: Wiz. i Roz. nauk, tom XXIV. (poczet drugi) 98—101.

SPRAWA IRLANDZKA.[1]

„The Parnell Movement, with a Sketch of Irish Parties from 1848, by T. P. O'Connor, M. P. Author of Lord Beaconsfield, a biography, Gladstone's House of Commons — etc. London, Kegan Paul, Trench, and Co, 1 Paternoster Square. 1886".

I.

Pod tytułem wyżej wskazanym ukazała się książka, która daje nam sposobność zaznajomienia czytelników ze sprawą irlandzką. Książka O'Connor'a jest historyą tej sprawy zacząwszy od r. 1848 aż do obecnej chwili, a autor dobrze znany w kółkach literackich londyńskich, będąc od lat kilku jednym z najbardziej zaufanych pomocników i kolegów Parnella, w walce parlamentarnej o irlandzkie swobody, jest w możności przedstawić nam ją ze strony najwiarygodniejszej. Wyznajemy jednak, że stosunkowo zanadto się rozszerzył w opisie wypadków, które poprzedziły zjawienie się Parnella na scenie życia irlandzkiego. Dzieło jego jest grubem *in octavo*, o więcej niż 550 stronnicach, a zaledwie na 250-tej spotykamy się z nazwiskiem bohatera książki, Parnellem. Bez wątpienia szkic poprzedzających wypadków był koniecznym, lecz niepotrzebnie przybrał tak wielkie rozmiary.

O'Connel umarł w r. 1847, a z nim razem zgasły nadzieje ludu irlandzkiego, co do otrzymania krajowego parlamentu. Syn jego daremnie lat kilka walki poświęcił, by prowadzić dalej zaczęte przez ojca dzieło. Naród przestał wierzyć w możliwość przeprowadzenia tego aktu sprawiedliwości, skoro nawet wielki O'Connel dojść do tego nie mógł. Pod wpływem tego rozpaczliwego zniechęcenia, stron-

[1] Podziwiając wyborne zachowanie się katolików irlandzkich wśród ważnych wypadków jakie obecnie Irlandya przechodzi, a widząc w ich stosunkach niemało podobieństwa do naszych, udaliśmy się do znajomego nam członka uniwersytetu dublińskiego z prośbą o udzielenie nam wiadomości o obecnym stanie Irlandyi. Artykuł z tego źródła otrzymany w dosłownym przekładzie podajemy. *(Przypisek Redakcyi).*

nictwo narodowe rozpadło się na dwa stronnictwa. Jedni utrzymywali, że środki, któremi O'Connel chciał dojść do celu, były niedostatecznemi, uważali za konieczne zastąpić pokojową i legalną agitacyę siłą fizyczną — i podniecali naród do zbrojnego powstania. Drugie stronnictwo sądziło, że cel do którego dążył O'Connel, to jest narodowy parlament, był celem niemożliwym do osiągnięcia w obec siły i potęgi przeciwników, lecz że się trzymać należy wskazanej przez niego drogi, by na niej uzyskać choć niejakie ulgi dla życia ludu irlandzkiego konieczne, jakoto: złagodzenie i reformę prawa własności (Land-law) — zaprowadzenie systemu wychowania publicznego, zgodniejszego z zasadami katolickiego Kościoła, i wreszcie zniesienie prerogatyw kościoła protestanckiego. W ciągu lat 20 po śmierci O'Connella, było kilka prób powstania zbrojnego, wywołanego przez partyę ruchu, noszącą nazwę z początku: młodej Irlandyi, następnie: Fenianów; łatwo było ono przez rząd angielski stłumione: stronnictwo zaś legalnej agitacyi, w ciągu tego czasu potrafiło uzyskać okolicznościowe mało znaczne ulgi, w ustawach rolnych. W ogóle jednak nic ważnego nie zaszło w ciągu tych lat dwudziestu. Z końcem tego jałowego okresu, nagła i szczęśliwa zmiana nastąpiła dla Irlandyi. Gladstone podniósł na nowo w parlamencie kwestyę protestanckiego kościoła w Irlandyi — zmusił swego rywala d'Izraelego do ustąpienia, a zająwszy jego miejsce, jako pierwszy minister królowej, przeprowadził zniesienie protestanckiego kościoła jako państwowego, zniósł przymusowe kontrybucye na utrzymanie duchowieństwa tegoż wyznania, przeprowadził ważne ulgi w prawach własności ziemskiej (Land-law reform). Co więcej, chcąc zadosyć uczynić trzeciej ważnej kwestyi stojącej w programie stronnictwa moralnej siły, przedstawił rozmaite projekta dążące do reformy szkół w duchu narodowo-liberalnym; lecz one nie zadowalniając żadnego stronnictwa, nie otrzymały potwierdzenia parlamentu. Nie można zaprzeczyć, że kilkakrotne wybuchy zbrojne partyi fizycznej siły, skłoniły Anglików do przyjęcia szerokich i liberalnych reform Gladstona. Lecz i z drugiej strony stronnictwo fizycznej siły przekonało się, że można wiele zyskać drogą legalną; stronnictwo zaś moralnej siły zaczęło wierzyć, że program i cel O'Connela, uzyskanie narodowego parlamentu, nie jest znów rzeczą tak niemożliwą do osiągnięcia. Stąd najważniejszym

rezultatem tej chwili było zlanie się obydwu stronnictw w jedno „irlandzko-narodowe“ stronnictwo, które zgodnie iść zaczęło drogą przez O'Connella wskazaną, i nadzieje ludu Irlandyi raz jeszcze oparły się na pokojowej i legalnej metodzie postępowania. Na czele tego stronnictwa odrodzonego, stanął niejaki *Izaak Butt* — irlandczyk rodem, choć wyznania protestanckiego — prawnik, znany ze swych zdolności, a który już dawniej był członkiem parlamentu. Wybrany ponownie w r. 1871, to jest wtenczas, kiedy Gladstone przeprowadził był szczęśliwie swoją reformę agrarną, ujrzał się po ogólnych wyborach w 1874 r. na czele imponującego zastępu sześćdziesięciu członków rodem z Irlandyi i do jej narodowego stronnictwa należących. W następnym roku Parnell, naówczas młody i nieznany, wstąpił do parlamentu i przyłączył się do partyi Butta.

O'Connor w sposób nader zajmujący opisuje życie i charakter tych dwóch przywódzców tego stronnictwa, które nazwać możemy stronnictwem odrodzonem O'Connella; skromne rozmiary tego sprawozdania, dozwalają nam tylko niektóre wyjątki czytelnikom przedłożyć.

Obydwaj mężowie tworzyli zupełną sprzeczność. Siłą Butta były jego prawie genialne zdolności, słabością, charakter miękki, wspaniałomyślny lecz nieoględny. Oto jak Mr O'Connor o nim pisze: „Butt był człowiekiem niepospolitych politycznych zdolności, jednym z tych ludzi, którzy — dzięki swemu rozumowi — mają prawo dojścia do najwyższego stanowiska w społeczeństwie. Lecz nieprawidłowość jego życia zamknęła przed nim drogę urzędowych godności; inni, mniej warci pod każdym względem doszli do stanowiska i majątku, podczas gdy on pozostał zapoznanym i ubogim.

„Pracował wiele, lecz dorywczo, głęboko zamiłowany w nauce, obdarzony umysłem szerokich pojęć i niezmiernej pamięci, gruntownie obznajomiony z wszelkiemi arkanami swego zawodu, przez całe życie był uważanym za nader biegłego prawnika. Wybrany do parlamentu z miasta Harwich w Anglii, należał do tak zwanej: „protekcyonistowskiej partyi“, i dał się poznać jako bardzo zręczny i biegły mówca. Lecz wejscie jego do parlamentu niekorzystnie oddziałało na materyalne sprawy Butta; zmuszony będąc do porzucenia swych zajęć w Dublinie, tracił dochody, co pogorszyło i tak już znaczne kłopoty pieniężne. Charakter jego pod wielu względami był dziwnie szlachetny lecz zarazem i słaby. Zapożyczał się na

wszystkie strony i rozdawał na wszystkie strony; w najkrytyczniejszem sam będąc położeniu, gotów był oddać innym ostatni grosz, którym mógłby się sam uratować. Lecz wróćmy się do jego czynności politycznych.

„Niespodziewane rozwiązanie parlamentu przez Gladstona w 1874 r., acz szczęśliwe w skutkach dla Irlandyi, nową i ciężką trudność do zwalczenia sprowadziło. Trzeba było przeprowadzić powszechne wybory; a choć Butt wiedział, że większa część kraju jest za nim, że może liczyć na masy, które poprą kandydaturę stronnictwa samorządcy narodowego *(Home-rule party)*, jednakże przeprowadzenie w całym kraju wyborów w tym duchu, bez wielkich kosztów obejść się nie mogło, a on pieniędzy nie miał. Z dobrego źródła wiem, pisze dalej Mr. O'Connor, że w sam dzień, gdy się dowiedział o rozwiązaniu parlamentu, i z gorączkowym zapałem brał się do układania listy kandydatów — został aresztowanym za długi! Rzecz się jakoś załatwiła, lecz naturalną jej konsekwencyą było, że osobiste kierowanie wyborami wymknęło mu się z ręki, a choć miał sobie powierzoną sumę kilku tysięcy funtów od Towarzystwa narodowego *(Home-rule association)*, w porównaniu do tak wielkiej sprawy, nie wystarczyło nawet na konieczne wydatki.

„Stąd też ostateczny wynik powszechnego głosowania nie był bardzo zadawalniającym. Gromadkę świeżo wybranych posłów, którzy Butta uznali za swego wodza i kierownika, stanowiły różnorodne żywioły. Byli między nimi prawdziwi patryoci i polityczni dorobkowicze; byli ludzie młodzi, żarliwi, z zapałem gotujący się do walki, i ludzie fizycznie wycieńczeni a moralnie upadli; byli narodowcy życie całe ideałowi wolności poświęcający i wysłużone figury rządowe.

„Liczebnie więc tylko silna ta partya wielką przedstawiała sprzeczność z wzniosłemi nadziejami i gorącą żądzą swobody ludu Irlandyi! Ten fakt trzeba mieć zawsze na uwadze, chcąc poddać krytyce politykę Butta".

Mr. O'Connor, oddając następnie głęboki hołd niezwykłym zdolnościom kierownika partyi narodowej, mówi: „Wiedzą swą, gorliwością i talentem, przewyższał Butt o wiele najzdolniejszych członków swego stronnictwa, a jako mowca dorównywał Gladstonowi w sile i jędrności. Przytem umiał sobie tak zjednywać umysły, tak pozyskiwać i przekonywać każdego co się doń zbliżył, iż

jedynie czarowi swej wyższej intelligencyi zawdzięczał on wpływ, który go na kierownika stronnictwa wyniósł; nie miał bowiem ani posad, ani pieniędzy do rozdawania, którym to środkom zazwyczaj kierownicy stronnictw politycznych wpływ swój zawdzięczają. Pełen skromności i prostoty, któremi się prawdziwa wyższość odznacza, przypuszczał wszystkich do siebie, każdego darząc dobrem słowem i miłym uśmiechem, a wybranych kilku gorącą i tkliwą przyjaźnią. Stąd też Butt był kochanym i wielbionym przez wielu, a niejeden z jego politycznych przeciwników, w chwilach najsroższej walki, z boleścią w sercu, ulegając obowiązkom przekonania, ciosy swe nań wymierzał".

Zarówno własne jego usposobienie, jak i ówczesne okoliczności, nakazywały Buttowi trzymać się drogi legalnej opozycyi. Był on przekonanym, że jedynie okazywaniem dobrych chęci względem rządu, a odwoływaniem się do zacności i uczucia sprawiedliwości narodu angielskiego, można mieć nadzieję wyjednania tak wielkiej koncesyi, jakąby był osobny irlandzki parlament. Ale Gladstone nie był już wtedy pierwszym ministrem, a zdolne i wymowne wywody Butta nie czyniły żadnego wrażenia na konserwatywnym d'Israelim, którego zdanie popierała wtedy większość w obydwóch Izbach prawodawczych. Nareszcie kilku młodszych i czynniejszych członków stronnictwa narodowo irlandzkiego znużyło się tą łagodną a bierną opozycyą swego kierownika, a na czele ich stanął Parnell, którego tak opisuje Mr. O'Connor: „P. Parnell nie miał wcale tych błyskotliwych zdolności, któremi zazwyczaj odznaczają się przewódzcy irlandzkiej narodowej partyi, a jeżeli dzisiaj stał się znamienitym mowcą parlamentarnym, to jedynie zawdzięcza przywilejowi, jaki posiada, wypowiedzenia zwięźle i jasno tego właściwie, co chce powiedzieć. Stało się to jednak prawie pomimo jego woli. Parnell do dziś dnia ma wstręt nieprzezwyciężony do oratorskiej swady; jeżeli tylko może znaleść jaką wymówkę aby nie mówić — milczy. Przytem pierwsze kroki jego na arenie życia politycznego, nie były poprzedzone odpowiedniemi studyami. Bez wprawy i bez dostatecznego przygotowania, pierwsze jego oratorskie próby nie były zbyt szczęśliwe. Obejście jego zimne i sztywne, robiło wrażenie braku zapału i wznioślejszych uczuć, a akcent angielski, który zawdzięcza wychowaniu w szkołach angielskich, nie usposabiał dlań korzystnie

serc słuchaczy irlandzkich, przyzwyczajonych łączyć ten akcent z bezwzględnym despotyzmem sfer rządowych i wojskowych. Ale Parnell gorąco kochał swą ziemię rodzinną!

„Nie łatwo jest mówić o uczuciach i życiu umysłowem człowieka, który się nie wynurza. Jedną z głównych odrębności charakteru Parnella jest, że nietylko nigdy o sobie nie mówi, ale nawet nie daje poznać, aby się sam kiedykolwiek nad sobą zastanawiał. Umysł jego jest, jak mówią, czysto objektywny. Mało jest ludzi, którzy po bliższej znajomości nie zwierzą się ze stanem swego serca, swego żołądka, lub swej kieszeni; którzy nie obznajmią ze swemi nadziejami, celami i obawami. Parnell nikomu nigdy się nie zwierzył. Każda alluzya do jego osoby lub działalności, czy to wypowiedziana w zapale przyjaźni, lub w celach pochlebstwa, przechodzi zupełnie niepostrzeżona, a zaufani jego zwykli mówić żartobliwie, że „dla pana Parnella, pan Parnell nie istnieje".

„Matka Parnella była córką znanego amerykańskiego admirała *Stewarta* i utrzymują ci, co bliżej tę rodzinę znali, iż wnuk wiele podobieństwa do znakomitego dziada swego posiada. W każdym razie powierzchowność jego więcej zbliża się do typu amerykańskiego aniżeli irlandzkiego albo angielskiego. Drobne rysy, bladość cery, silnie rozwinięty system nerwowy, przy delikatnej powierzchownie postaci, są to wszystko wybitne cechy nowożytnej rasy amerykańskiej, odziedziczone po dziadku, którego też nazwę Parnell nosi — i być może, że tej to krwi amerykańskiej zawdzięcza jednostajność humoru, chłodny i rozważny sąd o rzeczach, jakiemi się odznacza.

„Bądź co bądź, pisze dalej Mr. O'Connor, Parnell urodził się w samem sercu Irlandyi, w Avondale, hrabstwie Wicklow, w czerwcu 1846 r.; okolica w której światło dzienne ujrzał i dotąd żyje, stosunki i ludzie, którzy go otaczali, wpłynęły w znacznej części na rozbudzenie w młodym Parnellu gorącego uczucia miłości dla kraju rodzinnego, dla dobra, któremu już i ojciec jego pracę całego życia poświęcił. Miejscowość sama Avondale, pełna historycznych wspomnień, tradycye przeszłości żyjące w sercach i ustach ludu, sympatye polityczne i przeszłość własnej rodziny, dostatecznemi były do ugruntowania w dziecinnym umyśle Parnella prawdziwego patryotyzmu, którego nawet wpływ tyloletni wychowania wyrugować nie zdołał".

Rzecz dziwna bowiem, ten przyszły obrońca swobód irlandzkich, odebrał całe wychowanie w Anglii i w duchu czysto angielskim. Tak pisze o tem Mr. O'Connor. „W szóstym roku życia swego Parnell został wywiezionym do Anglii i umieszczonym w szkołach w Yeovil, hrabstwie Lomersetshire, gdzie całą pierwszą swą młodość przebył. Następnie uczęszczał do uniwersytetu w Cambridge, lecz się nie ubiegał o żadne stopnie uniwersyteckie i zdaje się że nie bardzo wiele skorzystał z tamtejszych wykładów. Nie jest on bowiem wielce biegłym w klasycznej literaturze; umysł jego surowy i badawczy, więcej się skłaniał do nauk ścisłych, a głównie matematyki i zajęć mechanicznych. Twierdzą, że po każdem wystąpieniu publicznem w Irlandyi, uciekając przed owacyami, któremi go rozentuzyazmowany lud pragnie otoczyć, zamyka się w swej pracowni by się oddać ulubionym zagadnieniom matematycznym, lub studyować nowy jaki wynalazek w dziedzinie mechaniki".

Tak więc ten młody człowiek, Irlandczyk z urodzenia i sympatyi, lecz Anglik z wychowania i usposobienia nieśmiałego, skrytego, a zimnego obejścia, z angielsko-arystokratyczną nieprzystępnością w układzie — postanowił wstąpić na drogę śmiałej i bezwzględnej opozycyi przeciw polityce konserwatywnej, z którą genialny i wymowny Butt walczył dotąd łagodnemi słowy i pełnym wytwornej grzeczności wystąpieniem. Z początku jednego tylko zdołał sobie zyskać towarzysza; był nim Mr. Biggar, członek parlamentu z wyboru hrabstw północnej Irlandyi, tak jak Parnell wyznaniem protestant, lecz wkrótce później na katolicyzm nawrócony. W przeciwieństwie do Parnella, był to człowiek bez żadnej ogłady i powierzchownego wykształcenia, zdolny pracownik, lecz niewprawny mówca, szczery aż do brutalstwa, był zupełnie pozbawionym parlamentarnego talentu a nawet taktu, zarówno w obcowaniu jak mowach.

Dziwna rzecz! tych dwóch ludzi, na pozór tak z sobą sprzecznych i nie kwalifikujących się do żadnej wybitnej politycznej roli, wspartych nieco później przez kilku członków z partyi Butta, potrafiło wprowadzić kilkakrotnie rządy d'Izraelego w ciężkie opały. Żeby zrozumieć jak się to stać mogło, musimy tu objaśnić niektóre zwyczaje angielskich parlamentów.

W onym czasie, członek parlamentu miewał poniekąd taką władzę, jak każdy poseł w dawniejszych sejmach polskich. Nie miał

co prawda możności zrywania jednem słowem sejmu — ale mógł nie dopuścić, a przynajmniej nadzwyczaj utrudnić poddanie ustawy pod głosowanie. Ścisła większość dostateczną była w głosowaniu do przeprowadzenia ustawy, lecz nikt w angielskim parlamencie nie mógł zmusić do zamknięcia debatów. Każdy członek miał prawo mówić tak długo, i o ile to uważał za konieczne, przeciwko każdej ustawie, która się jego przekonaniom sprzeciwiała. Dotąd używano tego przywileju bardzo względnie, Butt nawet wtedy tylko sprzeciwiał się projektom rządowym, kiedy je wręcz szkodliwemi uważał. Pierwszy Parnell wraz z swym towarzyszem, postanowili wyzyskać służący im przywilej do ostatecznych granic, to jest sprzeciwiać się każdemu rządowemu przedłożeniu, większej lub mniejszej wagi, zupełnie nawet obojętnemu w następstwach, by tym sposobem utrudnić możność rządzenia krajem, nieprzyjaznemu sobie stronnictwu. Tak powstała tak zwana „polityka obstrukcyjna“; oto jak o jej twórcach pisze O'Connor:

„We dwóch stanęli do walki przeciw 650; mieli przeciw sobie nieprzyjaciół, którzy zapominali własnych wewnętrznych kłótni i niezgód, by się złączyć przeciw nim węzłem wspólnej nienawiści. Mieli we własnem stronnictwie ludzi niegodnych, którzy ich nienawidzili dla ich zacności i prawości — i ludzi uczciwych, którzy powątpiewali o ich rozsądku i łączyć się z nimi nie chcieli. Musieli stanąć twarzą w twarz z władzą wykonawczą jednego z najpotężniejszych nowożytnych mocarstw. Byli oskarżeni o chęć zdeptania powagi Izby niższej, mówiono, że sześć wieków wspomnień rządów parlamentarnych spogląda na nich z groźbą i oburzeniem. W przeprowadzeniu swego przedsięwzięcia Parnell i Biggar podjęli się prac i ofiar, które tylko ludzie wtajemniczeni w wewnętrzne parlamentarne życie ocenić są w stanie. A najprzód ci, którzy chcieli zwalczyć Izbę niższą, musieli zwalczać skłonności i słabości ludzkiej natury. Zasłużyć sobie na uznanie Izby jest najwyższym celem dumy każdego Anglika. Lecz właśnie pierwszą zasadą polityki „obstrukcyjnej“, inaczej zwanej „polityki czynu“, musiała być zupełna obojętność na opinię Izby; miłość własna nie mogła wejść w grę. Powtóre, „polityka czynu“ wymagała nieustającej czujności, a zatem ciągłej obecności w Izbie, co groziło wyczerpaniem sił fizycznych. Następnie, wymagała niezmiernego przygotowania — a więc nieusta-

jącej walki z lenistwem każdemu człowiekowi mniej więcej wrodzonem. A nakoniec, wymagała zupełnego zaparcia się wszelkich uczuć przyjaznych i towarzyskich, i bezwzględnego występowania słowem i czynem, przeciw wszystkim i każdemu, chociażby najbliższemu sobie.

Trzy lata tej srogiej walki, tej pracy dniem i nocą, i żelaznego oporu groźbom lub błaganiom — niezatarte ślady moralne i fizyczne pozostawić musiało. „Parnell zdziałał wielkie rzeczy“ rzekł raz jeden z jego stronników widząc go jak wchodził do Izby z twarzą bladą i wyraźnie oznaki wycieńczenia noszącą, „ale by je zdziałać, przeszedł przez ogień i wodę“!

Ci irlandcy *duumvirowie* żadnej kwestyi nie uważali za zbyt małej wagi, by jej się czepić nie omieszkali; zarówno czynni w rannych mniej uczęszczanych godzinach, jak i na wieczornych pełnych sesyach, nigdy się na braku czujności złapać nie dali, i ciągłą swą obecnością i ciągłemi przemowami, cały parlament trzymali w ciągłem wahaniu i rozdrażnieniu. Poklaski nie wzbijały ich w dumę, pochlebstwa nie łagodziły, groźby nie odstraszały. Głosy ich ciągle się podnosiły; gdy Izba szemrała, czekali aż się uspokoi, i znów rzecz dalej ciągnęli; gdy była w wesołem lub ironicznem usposobieniu, oni jej tymże samym sposobem odpowiadali; gdy była wściekłą i hałaśliwą — grzmiące głosy dwóch Irlandczyków, wszystkich przekrzyczeć usiłowały. Mówili przy pustych ławach z równem — zdawało się — wewnętrznem zadowoleniem, jak i wtedy, gdy oczy tłumów w nich wlepionemi były; mówili ciągle i zawsze. Ten nowy sposób wojowania, był z początku dość lekko traktowanym przez stronnictwo rządowe; dopiero sesya 1877 roku okazała, że tkwi w nim niebezpieczeństwo, z którem się liczyć należy!

Parnell i Biggar trzymali się tej zręcznej taktyki, że wtedy zwłaszcza interweniowali w debatach, skoro wniosek postawiony sprzeciwiał się dążeniom stronnictwa liberalnego. Rzadko kiedy pozwalali sobie występować z jałową gadaniną; większa część poprawek przez nich wniesionych była donośnej treści, i zyskiwała uznanie i poparcie angielskiego stronnictwa liberalnego. W tym czasie właśnie przywódzca dotychczasowy stronnictwa narodowo-irlandzkiego Butt, który nie pochwalał wcale planów i taktyki Parnella, umarł, a wkrótce potem parlament został rozwiązany.

Gdy nadszedł czas na ogólne wybory w 1880 r. okazało się, że rząd konserwatywny, który daremnie usiłował oprzeć się polityce naszych dwóch obstrukcyonistów, stracił zupełnie zaufanie narodu. Ogromna liberalna większość zasiadła w parlamencie, Gladstone mianowany został po raz wtóry pierwszym ministrem, Parnell zaś powołany został na przewodniczącego (laeder) przez całe irlandzkie narodowe stronnictwo. Działalność, jaką okazał na tem wysokiem i wpływowem stanowisku, zwróciła nań oczy całego świata.

II.

W roku 1880 Parnell został nietylko kierownikiem Stronnictwa irlandzkiego, ale jednocześnie stanął on na czele o wiele ważniejszej partyi, został mianowicie obrany prezydentem „irlandzkiej rolnej ligi". (Irisch land-leagne). Oto jak O'Connor opisuje powstanie i pierwsze kroki tego potężnego stowarzyszenia.

„W poprzedzających latach kilkakrotnie już *meetingi* zostały zwoływane w Irlandyi, w celu wymuszenia na właścicielach obniżenia czynszu dzierżawnego. Otóż na jednym z tych *meetingów*, który miał miejsce w Irisch-town, w hr. Mayo, 20 kwietnia 1879 r. utworzył się pierwszy zawiązek „Ligi rolnej". Meeting ten zwołany został w celu zaprotestowania przeciw kilku faktom zbyt bezwzględnego postępowania właścicieli ziemskich tego okręgu.

Stowarzyszenie wzmocniło się i rozszerzyło na kilku następnych meetingach. Zwiększająca się nędza między dzierżawcami, coraz częstsze wypadki wyrzucania ich przez właścicieli z ziemi i chat, dotąd przez rolników za własne uważanych, nadało wielki rozrost całemu ruchowi. Ruch jednak był jeszcze czysto miejscowy; rzadkie o nim wzmianki w dziennikach stolicy, nie zwróciły nań były uwagi ogółu. Przyczyna małego rozgłosu leżała głównie w tem, że nazwiska ludzi stojących na jego czele, były dotąd zupełnie nieznane na szerszym widnokręgu. Zwrócono zatem oczy na Parnella, jako człowieka, który stojąc na tak wysokiem stanowisku w obec rządu, posiadając przytem miłość i zaufanie swoich rodaków, mógł jedynie ten ruch spotęgować i uczynić groźnym.

Lecz Parnell, zajęty w parlamencie, nie zaznaczył był jeszcze swego stanowiska w tej kwestyi. Podnosił on nieraz głos w spra-

wie własności ziemskiej w Irlandyi, przekonania jego znane były pod tym względem; lecz nie wiadomem było, jak daleko one szły w sprawie reform koniecznych — nie wiedziano czy przystąpić zechce do ruchu, który w programie swoim stawiał konieczność chwycenia się rewolucyjnych i groźnych środków dla zaradzenia obecnemu złemu, a w przyszłości miał doprowadzić do celu, którego doniosłość o wiele przewyższała najśmielsze nawet marzenia patryotów irlandzkich. Pierwszy instygator ruchu Davitt, acz wiele zasług i pracy swej poświęcił, czuł sam, że bez współdziałania tego, ku któremu się oczy i serca całej Irlandyi zwracały — dzieło jego upadnie, zanim cośkolwiek zdziałać zdoła. Trzeba nadto wiedzieć, że właśnie stanowisko zajęte przez Parnella i Biggara, w obec Izby niższej, było pobudką, która zrodziła ruch, uczyniła go możebnym i natchnęła nadzieją wywalczenia lepszej przyszłości. Zajścia przez nich w Izbie wywołane, które Anglikom wydawały się tak drażniące, daremne, nieprzyzwoite a nawet grubiańskie, były dla ludu irlandzkiego elektrycznymi zwiastunami świetnych nadziei. Każde sprawozdanie z tych scen parlamentarnych bywało rozrywane i czytane z niepojętym zapałem. Po raz to pierwszy widziano przedstawicieli narodu, przez trzy wieki deptanego, którzy w samem sercu nieprzyjacielskiego obozu, zajęli stanowisko zaczepne i groźne. Ten sam parlament, który przez tyle pokoleń z ironią i pogardą odrzucał każdy głos z Irlandyi się odzywający, dziś z nerwową i bezsilną wściekłością miotał się przeciw wzrastającej potędze dwóch mężów silnej woli. Tak jest; trzeba to dobrze zrozumieć, że mowy i polityka tych dwóch obstrukcyonistów były iskrą, która zapaliła ruch 1879 r., która nie dozwoliła dzierżawcom irlandzkim upaść z nędzy i głodu w niemej rozpaczy, bezsilnie i bezwładnie, w obec arbitralnych eksmisyj, jak to się stało z ich ojcami w latach 1846—47. Z tego tedy powodu nazwisko Parnella było na wszystkich ustach; stawał się on bożyszczem kraju i w nim jedynie lud pokładał swą ufność.

Przez czas jakiś Parnell się wahał..., ale nareszcie przeszedł Rubikon i stanął w rzędzie tych, którzy utrzymywali, że kwestya agrarna skończyć się może jedynie wywłaszczeniem obcych właścicieli ziemskich, a oddaniem gruntów na własność dzierżawiącemu je dotąd ludowi, ma się rozumieć za wykupnem czyli indemnizacyą.

Pierwszy meeting, w którym Parnell uczestniczył, miał miejsce w Westport w czerwcu 1879 r.; wygłosił tam programową mowę i wyraźnie zarysował dążność. „W Belgii, w Prusiech, we Francyi i Rosyi, mówił Parnell, grunt został oddany wieśniakowi na nim osiedlonemu. W niektórych wypadkach, jak we Francyi naprzykład, ziemia została wydartą większym właścicielom żelazną ręką rewolucyi, w innych została ona od nich wykupioną. Gdyby układ tego rodzaju, nie ukrzywdzając większych właścicieli, mógł oddać na własność wieśniakom grunta dziś jeszcze przez nich za czynszem uprawiane, byłby to krok zbawienny i sprawiedliwy dla nich, a sprowadzający w przyszłości dobrobyt dla całego kraju".

Nie chodziło jednakże na razie o przeprowadzenie tego wielkiego, lecz oddalonego jeszcze celu; szło tu głównie o zaradzenie obecnemu złemu, które w owej chwili w całej Irlandyi groźnem bardzo było. Stąd Parnell postawił wniosek, który stał się hasłem całego ruchu. Hasłem tym były słowa: Opór eksmisyom! Oświadczył on, że w skutek nieurodzaju na kartofle, czynsz dawniej płacony stał się dziś niemożebnym do uiszczenia „Cóż więc mamy czynić, mówił on, aby przymusić właścicieli do uwzględnienia naszego położenia? Oto okazać, że całą siłą trzymać się będziecie ziemi waszym potem zlanej, że się nie dacie wyrzucić z chat waszych za byle jaki zaległy czynsz". Słowa te „trzymać się siłą na waszej ziemi", *kepp a firm grip of your homesteads and land,* powtarzane tysiącem ust, znalazły odgłos w całej Irlandyi i stały się hasłem i prawem dla całego ruchu.

Od tej chwili liga rolna rozszerzała się z błyskawiczną szybkością i przybierała zadziwiające rozmiary. Następowały meetingi po meetingach i wkrótce widocznem było, iż Parnell stanął na czele narodowego ruchu, potężniejszego niż poprzednie z czasów O'Conella. Tymczasem rząd i angielska prasa spoglądała niespokojnem okiem na całą agitacyę. Odezwy Parnella do irlandzkich dzierżawców, aby się sami bronić usiłowali od grożącego im niebezpieczeństwa utraty mienia i dachu przez samowolę właścicieli, nie znalazły sympatycznego echa, nawet w liberalnej prasie. Rząd rozkazał aresztować pierwszych instygatorów ligi, panów: Davitt, Brennen, Kellen i Day z Castlebar, lecz wytoczony im proces, bez dostatecznych dowodów, wkrótce zaniechanym został.

We wrześniu 1879 postanowiono utworzyć centralny komitet do kierowania ligą i uregulować jej organizacyę. Cyrkularze, powołujące naród na ogólne zebranie, zostały zredagowane i podpisane przez panów: Parnell, Brennen i Davitt. Zebranie to miało miejsce dnia 21 października 1879 w hotelu Imperial w Dublinie, pod prezydencyą A. Kettle; powzięto na niem następujące rezolucye:

1. Głównym celem zawiązania ligi jest dojście do zmniejszenia rat czynszowych, zanim się przeprowadzi wykup ziemi od właścicieli.

2. Obmyślenie środków, któremi by powyższe cele najprędzej osiągniętemi być mogły, a więc: *a)* rozszerzanie związku na całą Irlandyę i zachęcanie wszystkich dzierżawców, aby doń przystępywali; *b)* obronę tych, którzy są zagrożeni eksmisyą, za zaległe raty czynszowe; *c)* dopominanie się o takie reformy w prawodawstwie tyczącem się posiałości ziemskich w Irlandyi, któreby wprost dążyły do uwłaszczenia obecnych czynszowych dzierżawców (rent-tenants).

Parnell został obwołany prezydentem, a pp. Kettle, Davitt i Brennen honorowymi sekretarzami, pp. Biggar M. P., O'Sullivan i Egan zostali przeznaczeni na podskarbich, nadto Parnell wraz z John'em Dillon zostali wysłani do Ameryki, by tamże postarać się o środki materyalne. Pierwszy to raz naczelnik narodowego ruchu w Irlandyi udawał się do irlandzkich wychodźców w Ameryce, by od nich żądać środków dla wywalczenia swobody rodzinnej ziemi i cała podróż Parnella była nieprzerwanym ciężarem entuzyastycznych owacyj. Gdziekolwiek się ukazał, tysiące ludzi się zbiegało, by słuchać jego gorących przemówień. Urzędnicy Stanów Zjednoczonych byli obecnymi a nawet przewodniczyli na mettingach; co więcej doczekał się zaszczytu, który w całej historyi amerykańskich Stanów, raz tylko jeden przed nim Kossuthowi udzielonym został, mianowicie dozwolonem mu było przemówić w Izbie deputowanych w Waszyngtonie.

Finansowy rezultat podróży Parnella był znakomitym. Ponieważ nędza panująca wówczas w Irlandyi coraz się groźniejszą stawała, postanowiono zatem zbierać składki, tak na cele organizacyi ligi rolnej, jak i na przyjście z materyalną pomocą ludności śmiercią głodową zagrożonej. Na obydwa te cele Parnell zebrał przeszło 72.000 funt. szterl. Podczas meetingeu zwołanego w Montréal, (działo się to w marcu 1880 r.) nadeszła wiadomość, że parlament angielski

ma być rozwiązany i na nowo wybory rozpisane. Nie skończył zatem Parnell objazdu Ameryki, lecz z pośpiechem wracał do Europy; po drodze tylko założył w Nowym Yorku wydział ligi rolnej dla amerykańskich Irlandczyków. Dalszą działalność Parnell'a tak opisuje O'Connor:

„Parnell przybył do Irlandyi 21 marca, 24-go parlament został rozwiązany, a pierwsze wybory naznaczono na dzień 1 kwietnia. Mało czasu zostawało na wyborczą kampanię. Ale z chwilą wylądowania w Queenstown, Parnell zabrał się do dzieła nadzwyczaj dzielnie. Przebiegał wzdłuż i wszerz całą Irlandyę, miewał niezliczoną ilość przemówień, wszystkich kandydatów odwiedzał, poznawał, przekonywał. Jego samego kandydatura z trzech naraz okręgów postawioną była. We wszystkich tych gorączkowych zabiegach miał zawsze przy swym boku dzielnego, pełnego ognia i zapału, młodego sekretarza, w podróży amerykańskiej mu przydzielonego, który wszystkie trudy jego dzielił, a często połowę pracy wykonywał.

„W szczęśliwem przeprowadzeniu tej kampanii wyborczej brak funduszów był szkopułem, o który się wiele rzeczy rozbiło. Trzeba bowiem wiedzieć, że jedną z pierwszych uchwał, które powziął centralny komitet ligi rolnej, był zakaz używania funduszów tejże ligi na cele forytowania kandydatów do parlamentu. Zakaz ten wypłynął z nieufności, z jaką do tej pory spoglądał lud irlandzki na członków parlamentu, którzy po większej części stawali się po krótkim czasie słabymi obrońcami swych współbraci — lub, co gorsza, wprost rządowemi figurami, a nawet zdrajcami własnej sprawy. Bądź co bądź, zakaz ten był powodem, że Parnell mając powierzone swemu patryotyzmowi i honorowi owe wielkie w Ameryce zebrane fundusze, nie mógł ich użyć na walkę wyborczą i tym sposobem dokazał rzeczy nadzwyczajnej, przeprowadziwszy ją za własną niewielką sumę 1.250 funt. szter".

Stanowisko Parnella w nowym parlamencie w 1880 r. różniło się wielce od tego, jakie posiadał, gdy we dwóch tylko z Biggarem tworzyli partyę obstrukcyonistów. Nadto przyszedł do władzy Gladstone, który dał już tyle dowodów szczerego zadosyćuczynienia sprawiedliwym żądaniom Irlandyi, chociaż ani on, ani żaden z jego ministrów, nie mieli dokładnego pojęcia o stanie krytycznym, do jakiego Irlandya wówczas doszła — przyznał to sam Gladstone na

meetingu w Mindlothian w jesieni r. 1884. „Dlaczego, mówił on, wtedy nie wiele zdziałałem dla Irlandyi, to wam powiem. Ludzie, którzy wtedy stali u steru rządu, nietylko, że nie przedstawiali parlamentowi, ale owszem ukrywali przed nim prawdziwy stan rzeczy w Irlandyi aż do dnia rozwiązania parlamentu i przemowy Lorda Beaconsfielda. Szczerze przyznaję, iż jakkolwiek miałem w ręku wiele szczegółów odnoszących się do postępowania rządu, nie miałem najmniejszego wyobrażenia, ani ja, ani żaden z moich kolegów o niebezpiecznej burzy, która się już na horyzoncie Irlandyi zbierała i wkrótce później z taką siłą wybuchła".

Trudne było zadanie Parnella; z jednej strony we własnym kraju tysiące ludzi głodem zagrożonych, którym trzeba było spieszną nieść pomoc, inni pod grozą niesprawiedliwie wymuszanego czynszu, oczekujący z dnia na dzień wygnania z swych siedzib, dalej, ruch rewolucyjny wzrastający w namiętność i siłę, a w obec tych groźnych wskazówek sfery rządowe niechętne, słabo i mało ze sprawą obznajmione.

Na pierwszem zaraz zebraniu nowego parlamentu Parnell przestrzegał rząd, aby się nie dał nakłonić do użycia siły zbrojnej mającej poprzeć żądania właścicieli ziemskich wymuszających zaległe czynsze, albowiem opór będzie niechybnym, a skutki jego nieobliczone... Przestroga ta jednak nie zrobiła żadnego wrażenia na ministrach; pełni ufności w siłę swego stronnictwa, w doniosłość swych nadziei, nie mogli uwierzyć, aby mało znacząca dotąd partya, była zdolną pokrzyżować ich plany. Przytem nie było jeszcze wojny wypowiedzianej między nimi a Irlandyą — i jej możliwość nie była nawet przypuszczalną, zwłaszcza gdy na czele ministrów stał taki Gladstone i Bright, którzy tak śmiało zawsze zaznaczali swoje sympatye dla kwestyi irlandzkiej.

Wtedy Parnell postanowił zrobić krok jeden dalej. Dla odwrócenia klęski od irlandzkich dzierżawców, z powodu przymusowych egzekucyj i eksmisyj, partya irlandzka wniosła bill o „zawieszenie wywłaszczeń". Wniosek ten został przyjęty nadspodziewanie przez liberalną większość, ku niesłychanemu zdumieniu i przerażeniu członków konserwatywnego stronnictwa i zarządu skarbu.

Tak więc dzięki śmiałej stanowczości Parnella i jego partyi, kwestya rolna irlandzka, o której wzmianki nawet nie było w ore-

dziu królowej przy otwarciu parlamentu, o której nikt nie wspomniał na pierwszej radzie gabinetowej, a mało nawet kto wiedział, wyszła na jaw, jako jedna z pierwszych i ważniejszych kwestyj. To była pierwsza wygrana w parlamencie ligi rolnej. Rząd usiłował zmniejszyć doniosłość udzielonej koncesyi, postawiono poprawkę utrzymania egzekucyi czynszu i eksmisyi tam, gdzie takowe już sądownie rozpoczęte były, poprawka jednak nie przeszła.

W codziennych w Izbie o tej sprawie debatach, wiele szczegółów zostało przytoczonych, wiele spraw ciemnych na jaw wydobyto. Sam Gladstone na jednem z posiedzeń wyraził się: „że w okolicznościach w jakich się obecnie Irlandya znajduje, przeprowadzenie i wyegzekwowanie wyroku eksmisyi, równałoby się wyrokowi śmierci". Bill przeszedł przez Izbę niższą przyjęty znaczną większością; lecz w Izbie lordów został odrzuconym z pogardą i oburzeniem.

Pierwszy minister, pomimo swych najlepszych chęci i sympatyi dla kwestyi agraryjnej irlandzkiej, nie mógł wtedy posunąć się do walki z Izbą lordów, albowiem wtedy tylko spodziewać się można było, iż zgodzi się na orzeczenie Izby gmin, skoro opinia całego narodu na to się zgodzi. Tymczasem kwestya irlandzka nie była jeszcze dosyć znaną, a wcale nie była popularną u narodu angielskiego. Gladstone zdołał więc tylko przeprowadzić utworzenie komisyi, mającej zbadać gruntownie całą sprawę i przyjmować skargi świadczące o nieznośnem położeniu Irlandyi; postawił zarazem wniosek: „Pomocy nędzą zagrożonym" — w formie pożyczek dawanych wieśniakom, dla załatwienia rat zaległych. Bill ten został przez obydwie Izby przyjętym i przez królowę zatwierdzonym.

Posłuchajmy co dalej mówi O'Connor.

„Ostatecznym rezultatem tych sesyj parlamentu był: *Relief of Distress Bill*, mocą którego pieniądze miały się dostawać nędzarzom irlandzkim, przechodząc przez ręce właścicieli; nadto komisya była wysadzoną do zbadania tej smutnej kwestyi agrarnej w Irlandyi. Kilkakrotnie panujące głody, nie były jeszcze dostatecznemi dowodami; trzy miliony mieszkańców, których nędza skazała na wygnanie, nie były jeszcze dostatecznymi świadkami niegodziwości i nieludzkości dotychczasowego systemu. Anglia wymagała większych jeszcze dowodów i świadectw.

Tymczasem liga agraryjna rosła w liczbę i siłę; znakomite mowy

Dillona poruszyły umysły, w całej Irlandyi duch się podniósł, lecz nie uspokoił. Zaczęły się pojawiać nieliczne jeszcze wypadki morderstw agrarnych, lecz temu dziwić się nie można. Jest to objaw towarzyszący zawsze każdemu ruchowi społecznemu, zarówno w Irlandyi, jak w każdym kraju równie jak ona przez wieki ciemiężonemu. W pierwszych chwilach zemsta oswobodzonych bywa okrutną i dziką.

Tymczasem wyż-wspomniana komisya zwolna bardzo w swej pracy postępowała, zgromadzając żądane wskazówki; rząd nie dawał znaku życia. Położenie było krytyczne i wymagające ze strony Parnella i jego stronnictwa niezmiernej stanowczości i przezorności. Z jednej strony milczenie, a nawet niechęć ministrów, której jawnym dowodem było znane przemówienie lorda Hartingtona, usposabiało do pessymistycznego przypuszczenia, że nie łatwo wytargować przyjdzie jakieśkolwiek ważniejsze ustępstwa, lub reformę bardziej stanowczą, niż chybione prawo rolne (Land-Act) z 1870 r. Z drugiej strony agitacya i rozruchy ludowe w Irlandyi nietylko wzrastały, ale występywały systematycznie, organizując się w pewien ład i karność, których dotąd zawsze brakło w peryodycznych rewolucyjnych wstrząśnieniach irlandzkich. Chodziło więc o to, aby temu tak silnie się objawiającemu ruchowi, nie dać zejść na marne, jak to dotąd bywało, lecz utrzymując jego grozę i potęgę, wywalczyć stanowczą reformę praw rolnych *Land-Act-Reforme* i jak najszerszy samorząd narodowy".

Parnell z natury swojej był skłonny zawsze i wszędzie prowadzić rzeczy do ostateczności, tembardziej w sprawie swego ludu, gdzie sama polityka okazywała najwięcej szans temu, który potrafi być nieubłaganym. To też w biegu następujących miesięcy największem staraniem jego było, aby żadnym czynem, ani jednem słówkiem nie zmniejszyć doniosłości żądań ludu, którego był przedstawicielem.

Agitacya agraryjna weszła w nową fazę i poszła nowym kierunkiem po meetingu zwołanym przez Parnella w Ennis 19 września 1880 r., i mowie którą wtenczas był wygłosił, wielkim naprzód krokiem; postawił kwestyę jasno i dobitnie, nie oglądając się na nic, ani na nikogo, zalecił ludowi, aby nie pokładał zaufania w rządzie, nie łudził się jego obietnicami, dopóki te faktami stwierdzonemi nie

zostaną; następnie ostrzegał dzierżawców, aby się zbyt nie rozgadywali przed komisyą, dla zbadania stanu rzeczy przez rząd wysłaną, gdyż zwierzenia mogłyby w następstwie niebezpieczeństwo na ich własne głowy ściągnąć; nakoniec w obec nie przystępujących do związku agrarnego, jako środek postrachu i zgrozy, zalecił tak zwane *Boy cotting* [1].

„Co macie czynić, pytał Parnell, z włościaninem, który chce wziąść folwark, z którego dopiero co właściciel wyrzucił poprzedniego dzierżawcę? Głosy: Zabić go! — Parnell: Zabić go? Ja wam wskażę sposób bardziej chrześcijański i miłosierny, który da mu możność odpokutowania za jego haniebny uczynek. Odwracajcie się odeń gdy go spotkacie na drodze lub ulicy, niech niczyja noga nie przestąpi progu jego domu, niech mu nikt szklanki wody nie poda lub kawałka chleba nie sprzeda, odwracajcie się od niego wszędzie i zawsze, niech w kościele nawet on stoi sam, unikajcie go, jak trędowatego w średnich wiekach unikano, a tym sposobem zmusicie go do ukorzenia się przed wolą i opinią narodu".

Te słowa i ta rada Parnella sprowadziły nań całą burzę ostrych krytyk, gorzkich wyrzutów, nagan i złorzeczeń. Napadali na niego w Izbie gmin prawnicy, doktorowie, mężowie stanu, literaci, słowem wszystkie prawie klasy społeczeństwa, które, samo akże często używało pewnego rodzaju ostracyzmu względem ludzi nawet wyższych i genialnych, lecz nie idących zwykłym utartym torem!

Rady dawane przez Parnella miały za sobą słuszność przedmiotową. Jedną z głównych przyczyn wzajemnej nienawiści między właścicielami a czynszownikami, była walka o posiadanie ziemi. Ziemia, która przez wieki pozostawała w używaniu jednej i tej samej rodziny, z powodu niemożności zapłacenia wygórowanego czynszu miała przejść w obce ręce, rodzina miała być wyrzuconą

[1] Środek ten zależał na trzymaniu opornego indywiduum w rodzaju cywilnej i moralnej ekskomuniki, to jest wstrzymanie się od wszelkich z nim stosunków; nikt nie mógł doń przemówić, nic mu sprzedać, nic odeń kupić; on i cały dom jego, był uważanym jakby zostający pod klątwą, lub niebezpieczną zarazą, dopóki do związku nie przystąpił. Pierwszy dzierżawca, przeciw któremu ten środek ze skutkiem został użytym, nazywał się Boycot; obecnie to *boycot* stało się nowym wyrazem angielskim, mającym znaczenie wyżej określone.

z siedziby, którą przez tyle pokoleń za swoją uważała! Ludność wiejska w Irlandyi usiłowała — po raz setny może — zrzucić z siebie to jarzmo od wieków ją przygniatające, lecz siły jej były tak małe, iż w obec całej potęgi Anglii, jedynie karnością, jednolitością postępowania mogła dojść do jakiegoś rezultatu. Zapewne, że nadużywano środka *Boycotting*, często służył on za pokrywkę osobistej zemście, stał się czasami powodem zbrodni, ale w każdym razie był bardziej ludzkim środkiem niż morderstwa, które wtedy dopiero szerzyć się zaczęły, gdy się prześladowania wzmogły, gdy siły zbrojnej użyto dla przeprowadzenia zamiarów eksmisyi biednych dzierżawców. Bądź co bądź, jak wyrzekł John Dillon, boycottowanie zalecone przez Parnell'a, rzucając postrach na złych patryotów, pozwoliło tysiącom rodzin pozostawać w spokoju pod dachem, z pod którego wyrzucać ich chciano, aby na rozstajnnych drogach z głodu ginęły.

Rząd postanowił uważać Parnella jako burzyciela pokoju publicznego i wytoczył przeciw niemu i kilku innym osobistościom proces, oparty na wyżej wspomnianych jego mowach i radach.

Wedle wniosku rządowego, namowa do bojkottowania równała się spiskowaniu, a zatem gwałtowi publicznemu. Sąd przysięgłych jednakże uznał Parnella i jego wspólników za niewinnych. W tym czasie właśnie zaczęto się dopuszczać w całej Irlandyi wielu czynów zbrodniczych i tajnych morderstw. Gladstone postanowił uzyskać od parlamentu bardzo rozległą władzę arbitralną dla przywrócenia porządku, równocześnie przedstawić projekta nowej reformy agraryjnej, któraby raz na zawsze położyła koniec smutnym zatargom i peryodycznym wstrząśnieniom. Jak te zamiary jego zostały przeprowadzone, zobaczymy w następnym artykule.

(C. d. n.)

Si nemo ex me quaerat, quid sit tempus, scio, si quaerenti explicare velim, nescio.
St. Aug.

O PROJEKTACH
WPROWADZENIA CZASU WSZECHSPÓLNEGO.

Już przeszło od roku toczy się walka, głośna po za murami naszego kraju, a wszczęta przez uczonych w sprawie całego społeczeństwa. Walka ta prowadzoną jest w różnych zagranicznych, specyalnych i ogólnych, naukowych i politycznych pismach, pociągnęła za sobą szerokie, różnego munduru i uzbrojenia kółka walczących, oparła się nawet o najwyższe sfery. Powód do niej dała szlachetna w teoryi, lecz nie we wszystkiem fortunna w praktyce myśl zbliżenia ludzi całej ziemi do siebie na polu ich ogólnych społecznych urządzeń, zamknięta ona została w trzech wnioskach, przez uczonych rządom świata postawionych, i żądających: 1) wprowadzenia do atlasów, kart geograficznych i map, jakoteż wszelkich czynności z geografią styczność mających, południka przez Grynuicz (Greenwich) idącego, jako głównego czyli pierwszego, i liczenia nadal od niego długości geograficznych w miejsce dotychczasowego, powszechnego przynajmniej u nas, zwyczaju liczenia ich od Ferro; 2) wprowadzenia w miejsce zegarów, czas lokalny jak dotąd pokazujących, innych, któreby na całej ziemi o każdej chwili tę samą godzinę wskazywały, mianowicie zaś godzinę lokalną grynuicką, a co nazwano czasem wszechwspólnym, uniwersalnym albo światowym, wreszcie 3) usunięcia dotychczasowego sposobu liczenia godzin 2 razy po 12 na dobę, a wprowadzenia natomiast jednociągłego liczenia od 1 do 24.

Jak widzimy, jest się nad czem zastanowić, bo pomijając wniosek pierwszy, który możnaby powiedzieć, dotyczy tylko sfer szkolnych i naukowych, dwa drugie sięgają głęboko w codzienne nasze zwyczaje, na obronę których każdy z nas może stanąłby jeżeli nie w szeregu, to przynajmniej w rezerwie, gdyby o tej walce wiedział. Powinniśmy zaś o niej wiedzieć, jeżeli nie chcemy, aby nas później jakie nowości nieprzygotowanych na to zaskoczyły, i nie wciągając się w wir walczących, ani uprzedzając z góry do jednej lub drugiej strony; wysłuchać, z jaką amunicyą wystąpili do boju zwolennicy i przeciwnicy proponowanych reform, — a tym sposobem choć pośrednio przyczynimy się do ich przyjęcia lub odrzucenia. Zaczynamy od aktu oskarżenia.

I.

Wiadomo wszystkim, że położenie miejsca jakiegoś na ziemi wyznaczanem bywa za pomocą jego szerokości i długości geograficznej. Gdy atoli przy obliczaniu szerokości naturalnym punktem wyjścia w rachunku, jednym i jedynym, a więc i powszechnie używanym, jest równik, — nie tak się rzecz ma z obliczaniem długości, do jej bowiem wyznaczenia wchodzą 2 dowolne warunki, a mianowicie dowolny wybór południka, od którego ma się rachunek zaczynać, i kierunek, w którym ta rachuba ma postępować. Nigdzie natura nie dała nam na ziemi wyróżniającego się od innych miejsca, któreby bezsprzecznie za początek rachuby długości geogr. było wskazanem; południk każdego punktu ziemi może być uważany za pierwszy czyli za punkt wyjścia w rachunku, i każdy ma do tego równe prawo, a o wyborze jego stanowić może mniejsza lub większa wygoda w jego użyciu skutkiem przyzwyczajenia się, lub też nieusprawiedliwiony tu partykularyzm i ambicya narodowa. To też ta niekrępowana niczem dowolność w wyborze stałego początku rachuby, doprowadziła z czasem do wielu pierwszych południków, mnożących się ciągle od najdawniejszych czasów. Starzy geografowie, a między nimi Ptolomeusz, prowadzili swój pierwszy południk przez wyspy Kanaryjskie zwane podówczas Szczęśliwemi, leżące na zachód od afrykańskich brzegów; Eratosthenes,

grecki geometra, naznaczał go przez słupy Herkulesa, i tego jako głównego, trzymali się Arabi. Po opłynięciu południowych krańców Afryki i odkryciu Ameryki zamęt w tym kierunku stał się jeszcze większy. Gerhard Mercator, słynny matematyk i geograf, na swoich kartach wydanych w r. 1628, a po nim J. Riccioli, astronom włoski 17-go stulecia, rachowali go przez wyspę kanaryjską Palma, a w szczególności przez port St. Cruz na pamiątkę odjazdu stąd Krzysztofa Kolumba na odkrycie Ameryki, Wilhelm Bläu, sławny drukarz i wydawca map w Amsterdamie († 1638), znaczył ten południk cokolwiek dalej ku zachodowi, tj. przez wyspy azorskie Corro i Flores, a to ponieważ igła magnetyczna za jego czasów nie miała tu żadnego zboczenia, sam jednak posunął go później na wyspę Teneriffę, za nim zaś poszli Holendrzy. Gdy ostatecznie obfitość tych i innych jeszcze pierwszych południków, a która wkrótce w kwestyi tak ważnej ciężarem tylko była, dała się we znaki robiąc zamięszanie i nieporozumienie, kardynał Richelieu, minister Ludwika XIII., zwołał w r. 1630 międzynarodowy kongres astronomów do Paryża, iżby tenże stanowczo na jeden południk, jako pierwszy, się zgodził i takowy wszystkim państwom do użytku polecił. Kongres zaproponował ku temu południk idący przez wyspę Ferro, co potwierdzone zostało aktem parlamentu w lipcu t. r. wydanym, później zaś przypomniane rozkazem Ludwika XIII. d. 25 kwietnia 1634, aby francuscy geografowie i żeglarze prócz ferryjskiego żadnego innego południka nie używali. Ani uchwała jednak kongresu, wrzekomo inne państwa obowiązująca, ani zachody Ludwika XIII. dotychczasowego zamięszania stanowczo nie usunęły, a to z powodu nie dość ścisłego wyznaczenia tegoż południka. Przyjęto bowiem i do dziś przyjmują, że ten południk okrągłe 20^0 na zachód od Paryża leży, czyli że wschodnia długość Paryża tyleż wynosi, co atoli nie jest, gdyż wschodni kraniec wyspy Ferro leży właściwie o 20^0 17′, zachodni zaś 20^0 30′ zachodniej długości od Paryża, a więc ten południk zupełnie tej wyspy nie przecina, tylko mimo niej przechodzi, — czyli inaczej mówiąc, południk przez Ferro idący, jestto poprostu zakapturzony południk paryski. Do tej czysto naukowej kwestyi przyłączyła się naturalnie później i obrażona duma narodowa, co razem sprawiło, że prawie każde państwo używało swego specyalnego pierwszego południka; Portugalczycy rachowali długo-

ści geogr. od Lizbony, Hiszpania od Kadyxu, nawet Francuzi od Paryża i t. p. Liczba tych narodowych południków w najnowszych czasach wprawdzie znacznie się zmniejszyła, bo pozostały tylko w użyciu prawie wyłącznie południki idące przez Ferro, Paryż, Berlin, Grynicz i Waszyngton, ale i tego pono za wiele, i nie potrzeba nawet dowodzić, jak wielką niedogodność sprawia ta rozmaitość w rachubie dziś jeszcze, tym wszystkim, którzy zmuszeni są używać map geograficznych różnego pochodzenia.

Tyle co do kwestyi geograficznej, o której tu jako w związku z naszym przedmiotem będącej, wspomnieć musieliśmy, ona to bowiem dała inicyatywę do zastanowienia się nad naszemi zwyczajami rachuby czasu i podniesienia coraz dokuczliwszych jej niedostatków.

Rachuba czasu różne w ciągu wieków przechodziła koleje. Człowiekowi na niskim stopniu oświaty stojącemu, i mało uwagi na wielki a odwieczny zegar wszechświata zwracającemu, wystarczał pierwotnie podział doby na dzień i noc, a następstwa faktów i zdarzeń, które mu minioną przeszłość uprzytomniały i w ogóle pojęcie czasu w nim wyrabiały, grupowały się tylko w granicach tych dwóch, jego zmysły tak silnie uderzających odstępach czasu. Był to podział czasu zbyt gruby i nie wystarczający. Zwolna, w miarę łączenia się ludzi w społeczeństwa i zawiązywania między nimi stosunków towarzyskich, prowadzących ich wspólnemi siłami do wspólnych celów, otwarła się konieczna potrzeba bliższego i dokładniejszego określania czasu, i tak powstały pojęcia: rano, południe i wieczór, a później także i północ, któremi się chociaż rozwlekłemi i dowolnie rozszerzać dającemi, rządzono. Dopiero gdy człowiek tę wspaniałą i majestatyczną gwiazdę, która mu swego ożywczego światła i ciepła udziela, lub też przed jego oczyma się kryjąc, ciemnościom nocy go oddaje, zaczął uważniej w jej ruchu śledzić, stawał się coraz więcej świadomym ciągłego i nieprzerwanego związku między tym pozornym, lecz naówczas prawdziwym w jego mniemaniu ruchem, a biegiem coraz więcej dlań wartości nabierającego czasu, i nazwyczaił się uważać słońce jako rządcę i reprezentanta każdej nawet najmniejszej cząstki jego. W cieniu przez słońce kierowanym znalazł on cenną dla siebie wskazówkę i miarę czasu w ciągu dnia, a zmiana pór roku nauczyła go baczniejszą zwracać uwagę także i na zmienne ciągle stanowisko gwiazd, z któremi

się zapoznawszy, nauczył się również liczyć godziny nocy, bez żadnej miary dotychczas dlań upływającej. I odtąd, od wyboru słońca, jako regulatora czynności ludzkich, datuje się używanie czasu słonecznego, miary, która przez długie wieki potrzeby ludzi zaspokajała, aczkolwiek brakowało jej jednego z najważniejszych warunków, a mianowicie niezmienności, z czego bliżej wytłumaczyć się musimy.

Były czasy, gdzie nietylko u nieoświeconych i dzikich, ale nawet u szczycących się oświatą ludów, uważano księżyc za najlepszego kierownika rachuby czasu. Chociaż pozornie do takiego dlań honoru dają mu na pierwszy rzut oka zupełne prawo jego ciągłe, tak wyraziste odmiany światła, to przecież przy dokładniejszem z czasem zbadaniu własności jego ruchu i tegoż praktycznem zastosowaniu przekonano się, że między wszystkiemi ciałami niebieskiemi, właśnie on, że tak powiemy, do tego urzędu ma najmniej talentu i zdolności. Dowodem tego te ogromne zamięszania, jakie w chronologii wszystkich ludów napotykamy, i które mimo całych bibliotek nad chronologią spisanych, z tego labiryntu, zbudowanego niefortunną myślą naszych przodków, aby jego właśnie tym kierownictwem obdarzyć, wyjść na jasne światło nie dozwoliły. Dość tu podobno wspomnieć o żyjącym do dziś kalendarzu Żydów, w którym księżyc najważniejszą zajmując rolę, z powodu wielu nieregularności w swym biegu, doprowadził także swe rządy do tego, że muszą oni nie mniej, jak tylko 6 gatunków lat, różniących się od siebie więcej niż o 30 dni, używać, — tak, że rzeczywiście ich kalendarz, jeżeli mu to tylko za zasługę poczytać można, jest arcydziełem w swym rodzaju, zrozumiałym wyłącznie dla uczonych.

Toż samo co o księżycu, który wbrew nawiązywanych doń nadziei, zamiast regulować i w porządku trzymać wymiar czasu, zamęt tylko robi; można omal powiedzieć i o słońcu, ktoremu jak poprzednio wspomnieliśmy, podział dnia na godziny, minuty i t. p. pozostawiono, i które, mimo że nam jasny dzień ze sobą wnosi, a więc prawdopodobnie także najlepiej go dzielić powinno, i mimo że ono nam tak wyraźnie początek i koniec dnia wyznacza, to przecież już tak stanowczo chwili południa, jakoteż początku i końca każdej innej godziny wyznaczyć nie jest w stanie, — czyli jest ono do tej pozornie z natury jak najsprawiedliwiej oddanej mu roli tak

mało zdolne, jak księżyc na kierownika kalendarza. O tem przekonano się najlepiej i najwyraźniej, skoro zegary sztuczne rozpowszechnione zostały, zboczenia bowiem między temi ostatniemi a zegarami słonecznemi były ciągłe i usunąć się nie dające, a stawały się one tem widoczniejsze, im bardziej pierwsze się udoskonalały. Przyczyną tego jest, że dni słoneczne, mierzone czasem od jednego przejścia słońca przez południk do drugiego, są zmiennej ciągle długości, a więc także i poddziały ich, tj. godziny lub minuty słoneczne wypadają z dnia na dzień, już to większe, już mniejsze. Słońce bowiem odbywa swój pozorny ruch wzdłuż elipsy, na której ono w zimie więcej ku ziemi się zbliża, aniżeli w lecie, i skutkiem tego przy końcu grudnia i w styczniu ruch ten jest najchyższy, dzień więc słoneczny, a właściwie mówiąc, doba słoneczna najdłuższa, w lipcu zaś i sierpniu ruch ten najpowolniejszy, dzień więc słoneczny o tej porze najkrótszy. Ale nawet gdyby słońce nie po elipsie, ale po kole, a więc jak tego natura koła wymaga, ruch swój zupełnie jednostajnie odbywało, to mimo tego jeszcze dziś godziny przezeń znaczone byłyby nierównemi, a to z powodu, że płaszczyzna ekliptyki, na której droga słońca leży, do płaszczyzny równika naszego pod kątem $23\frac{1}{2}^0$ jest pychyloną, my zaś mierzymy czas, odnosząc się do płaszczyzny równika, cyli wyznaczanie czasu opiera się na nader jednostajnym, pozornym obrocie nieba, czyli faktycznym obrocie ziemi około osi świata, albo około osi równika, przez północ i południe idącej. Gdybyśmy zatem nawet przyjęli, że słońce jednostajnie po ekliptyce, a więc np. codzień jak najdokładniej o jeden stopień się posuwa, to przecież ten stopień ekliptyki, mierzony na równiku, będzie zawsze o jednę, lub więcej minut mniej wynosić, a więc ruch słońca wydawać nam się musi niejednostajny, zatem i do wymiaru czasu nieprzydatny. Krótko kończąc, nieregularności czasu słonecznego, albo t. z. prawdziwego, aczkolwiek sposobem rachunkowym mogą być usunięte, to jednakże w życiu praktycznem i codziennem, przy wyznaczaniu czasu będąc uciążliwe, wywołały potrzebę obejrzenia się za jakąś regularniejszą miarą czasu dla użytku publicznego, która astronomów w środku przeszłego stulecia na myśl wprowadzenia t. z. czasu średniego wprowadziła, a mianowicie:

Ponieważ prawdziwe słońce w praktyce do codziennego a ści-

słego wymiaru czasu okazało się nieprzydatnem a przynajmniej niewygodnem, z drugiej atoli strony uważane, ono właśnie, jako odwieczny a tak dobroczynny władca naszego systemu, działalnością i potęgą swoją wciska się nam z usługami swemi natarczywie i przemawia za niem także tradycya, bo od najdawniejszych wieków do mierzenia czasu go używano; to astronomowie obrali inne słońce, które ani światłem, ani ciepłem nas nie darzy, i którego nawet na niebie zupełnie nie ma, za regulatora naszych zegarków. To słońce, nazwane średniem, albo urojonem, dla odróżnienia go od prawdziwego a widzialnego, porusza się wrzekomo w płaszczyźnie równika po kole jednostajnie, i to tak, że z prawdziwem a poruszającem się niejednostajnie w ekliptyce słońcem, w tym samym czasie jak najdokładniej peryod swego rocznego obiegu kończy. Znając stanowisko prawdziwego słońca, potrafimy każdego czasu dowiedzieć się, gdzie się nasze średnie słońce znajduje, które daje nam jednostajną miarę czasu, zwanego odeń średnim, tak jak znów dzień tą miarą wyznaczony nazywa się średnim, albo cywilnym dniem słonecznym. Dzień taki, wyznaczony rachunkiem, jest niczem innem, jak tylko przeciętną wartością z wszystkich prawdziwych dni słonecznym całego roku, tak, iż suma dni średnich słonecznych co do czasu, wyrównywa w roku całym najzupełniej takiejże sumie dni słonecznych prawdziwych. Gdy średnie słońce przez południk miejsca jakiegoś przechodzi, mówimy, że jest południe, a chwila ta od prawdziwego południa w ciągu roku bywa więcej nawet niż o kwadrans różną. Że atoli ustępy czasu między dwoma po sobie następującemi średniemi południami, czyli, ponieważ średnie dni słoneczne przez cały rok zawsze i stale są równe; to zegarki nasze, nie mogąc inaczej, czyli nie mogąc być zastosowane do czasu słonecznego prawdziwego, z całą i wielką, przy wysoko dziś zwłaszcza rozwiniętej w tym kierunku technice, dokładnością do wymiaru czasu średniego służą.

Zbierając w krótkości to, cośmy dotychczas o wymiarze czasu powiedzieli, napotykamy w dziejach rozwoju ludzkości trzy w tym kierunku epoki, a mianowicie: 1) bezwymiarową, kiedy to człowiek mało jeszcze obeznany z ruchem odwiecznego na niebie zegaru, mierzył tylko czas zmienną ciągle miarą dni i nocy, dzielącą co najwięcej na niedające się dokładnie określić części: rano, południe

i wieczór; 2) epoką czasu słonecznego prawdziwego i 3) czasu słonecznego średniego. I zdawałoby się, zwłaszcza nam wzrosłym i żyjącym w tej ostatniej epoce, że wymiar czasu przez wprowadzenie czasu średniego stanął już u kresu doskonałości, a wyraźnie mówiąc, że mając dobry zegarek zawsze i wszędzie jesteśmy pewni nietylko dnia, ale nawet i godziny. Tak atoli, ściśle rzecz biorąc, nie jest. Wprowadzając bowiem czas średni, uwolniono się co prawda od niejednostajnej a trochę uciążliwej miary i co ważniejsza, wprowadzono tak ulubiony wrodzonej gnuśności człowieka mechanizm, bezwiednie krokami jego kierujący i uwalniający go od ciągłego obzierania się za słońcem, ale nie otrząśnięto się z wielkiej nawiązanej doń wady, tj. lokalności, lub nazwijmy rzecz dobitniej, partykularyzmu. Jak bowiem dawniej tak i obecnie podstawą tej pierwszej i naturalnej miary czasu tj. dnia, a ściśle mówiąc doby, pozostał dzienny obrót ziemi w koło osi, czy to ten dzień jest dniem słonecznym prawdziwym, czy też sztucznie z niego wyrobionym dniem średnim. Skutkiem tego obrotu każda, lub pewna pora doby, np. wschód słońca czyli początek dnia, lub też południe i t. p. na każdem miejscu ziemi o innej chwili przypada, a mianowicie coraz wcześniej w miejscach coraz dalej ku wschodowi posuniętych, zaś coraz później w miarę ich wysunięcia ku zachodowi; tak np. gdy u nas jest godzina południowa, w Ameryce jest dopiero poranek, w Australii jest współcześnie już wieczór, na wyspach Hawajskich północ, a zarazem zmiana daty dnia. Chociaż okoliczność ta z powodu wielkości ziemi przy małych zmianach miejsca pobytu jest nieznaczną, a omal niedostrzegalną, to przecież przy dalekich podróżach jest ona ważną, a przy podróżach na około ziemi prowadzi nawet do następstw na pierwszy rzut oka trudnych do uwierzenia i z rozumem sprzecznych. I tak, podróżując ciągle w kierunku ku wschodowi, za każdem posunięciem się o 15^0 długości geograficznej znajdziemy czas o całą godzinę wcześniejszy, a chcąc swój zegarek przynajmniej w takich odstępach w zgodzie z czasem lokalnym utrzymać, potrzeba po każdych przebytych 15 stopniach długości skazówkę zegarka o całą godzinę naprzód posuwać, a po ukończeniu więc podróży na około ziemi o całe 24 godzin czyli dzień jeden. Z tego wypada dalej, że podróżny w ciągu takiej drogi o jeden raz więcej widział wschodzące i zachodzące słońce, aniżeli jego

współobywatele w domu pozostali, czyli inaczej mówiąc, chociaż to z rozumem się nie zgadza, że on o jeden dzień więcej żył w czasie podróży, aniżeli oni. Gdyby zaś przeciwnie on tę swoją podróż w kierunku ku zachodowi odbywał, musiałby także przeciwnie swój zegarek zwolna o 24 godzin czyli o cały dzień w tył przesunąć, a ostatecznie jednego dnia w rachunku a pozornie i w życiu musiałoby mu zabraknąć.

O tych rzeczach dowiedzieli się ludzie dopiero przy pierwszej szczęśliwie do skutku doprowadzonej podróży na około ziemi, a wiadomość ta naturalnie z początku z niedowierzaniem przyjęta, była powodem nawet niemałych kłopotów dla znękanych podróżą wędrowców. Gdy bowiem towarzysze Magellana powrócili ze swej podróży, którą oni w kierunku zachodnim odbyli, a brakowało im w rachubie czasu, ku wielkiemu ich zdziwieniu, jednego dnia, poczytano im to na karb opieszałości i niedbałości w prowadzeniu dzienników okrętowych, bo inaczej tego sobie podówczas wytłumaczyć nie umiano, sami zaś żeglarze, ponieważ skutkiem fałszywej rachuby dni, święta uroczyste i posty nie w właściwym czasie według swego mniemania święcili, a więc w czasie świąt pracowali, tak byli zaniepokojeni w swem sumieniu, że nawet publiczną pokutę kościelną w katedrze sewilskiej odprawili.

Ale zobaczmy, jakie jeszcze dalsze tego następstwa.

Skutkiem różnicy w długościach geogr. dwóch miejscowości, może zachodzić nietylko różnica w godzinach, lecz także, jeżeli czas jednego na wschód leżącego miejsca jest bliskim północy, może być także różnica w dniu tygodnia i dacie miesięcznej a nawet i roku. Tak np. podczas gdy w Krakowie mieliśmy już 1 godzinę po północy w dniu Nowego Roku, czyli datę 1 stycznia 1886, piątek, współcześnie w Chicago była to dopiero 6 godz. wieczorem dnia 31 grudnia 1885, w San Francisco w Kalifornii 3 godz. po południu dnia tegoż i t. p.; i odwrotnie znów, podczas gdy my tu liczyliśmy jeszcze 31 grudnia 1885 tj. czwartek np. o godz. 11 wieczorem, na innych ku wschodowi położonych miejscach był to współcześnie już dzień 1 stycznia r. b., i tak np. w Kalkucie była to już 4 g., w Sydney 8 godz., na Ost-Cap w Nowej Irlandyi 10 godz. rano dnia Nowego Roku, a więc dnia 1 stycznia 1886 i t. p. W ogóle, posuwając się myślą o północy dnia Nowego roku od Krakowa ku

zachodowi przez Amerykę, napotkamy miejsca, gdzie zmiana roku i zmiana dnia tygodnia jeszcze nie nadeszła — zaś przeciwnie, posuwając się ku wschodowi, zmiana ta już minęła.

Posuwając się o 180° i więcej, tak ku zachodowi jak wschodowi, dojdziemy do miejsc, gdzie w wyznaczeniu czasu w porównaniu do czasu krakowskiego będziemy w kłopocie, nie tyle co do godziny, jak więcej co do daty i dnia tygodnia. Jakiego bowiem sposobu miejscowość jaka leżąca np. na Wielkim Oceanie, gdzie chrześcijańska kultura już istnieje i zwyczaj używania dni tygodniowych i kalendarza gregoryańskiego jest wprowadzony, a gdzie mieszkańcy chrześcijanie z Europy lub Ameryki nadpłynęli, użyto, aby dni tygodnia, lub daty kalendarskie obliczać, zależy wyłącznie od tego, czy tam chrześcijańskie zwyczaje i daty do tubylców z Zachodu czy też Wschodu przyniesione zostały. Portugalczycy i Holendrzy szli koło przylądka Dobrej nadziei, przyszli więc do swoich odkryć i kolonij od Zachodu; przeciwnie Hiszpanie, żeglując przez cieśninę Magiellańską, później zaś od zachodnich amerykańskich brzegów ku Zachodowi, przyszli do odkrytych przez siebie a po części i zajętych wysp od wschodu, musieli więc oni o jeden dzień mniej w swej dacie kelendarskiej i tygodniowej liczyć, aniżeli tamci. Tak np. miasto Makkao na wybrzeżach chińskich i Manilla na jednej z wysp Filipińskich, są od siebie około $7,^{50}$ w dług. geogr., czyli o nie całe pół godziny w czasie odległe, ale Makao, będąc pierwotnie przez Portugalczyków zajęte, liczy datę o jeden dzień większą, aniżeli ją liczą Hiszpanie w Manilli.

Cała Ameryka otrzymała od wschodu europejski dzień tygodnia, wyjąwszy rosyjkich posiadłości w półn.-zachodniej Ameryce, które od Rosyi a więc od Zachodu datę i dzień tygodnia przejęły, i takowych do niedawna jeszcze używały. Rosyjscy i angielscy kupcy, blisko siebie nawet nad granicą mieszkający, różnili się od siebie w oznaczaniu dnia tygodnia, — Anglik miał poniedziałek, Rosyanin tego samego dnia wtorek i t. p. Dopiero gdy Rosya po zawarciu traktatu w r. 1867 ze Zjednoczonemi Stanami Ameryki półn., odstąpiła tym ostatnim wszystkie swoje posiadłości na północno-amerykańskim kontynencie leżące, wtedy rząd Stanów Zjed. w nowo nabytym kraju Alaska, usunął dotychczasową rosyjską datę tygodnia,

jakoteż juliański kalendarz, a zastąpił je swojemi, zgodnemi z datami i kalendarzem gregoryańskim.

Na wszystkie te i tym podobne okoliczności nie zwracano, możnaby powiedzieć, aż dotychczas wiele uwagi, ni przypisywano im wiele znaczenia, a każden radził sobie jak mógł. Tak np. żeglarze przy zapisywaniu daty i dnia tygodnia w swoich zapiskach okrętowych trzymają się tego zwyczaju, że za każdem przekroczeniem 180° stopnia licząc od Grynuicz, powiększają lub zmniejszają jedność tej daty, a mianowicie przy podróży od wschodu ku zachodowi jeden dzień tygodnia i jedna data miesiąca przeskoczone bywają, zaś przy podróży od zachodu ku wschodowi dwa dni po sobie mają daty jednakowe. A więc po poniedziałku np. 9 stycznia stycznia następuje nazajutrz u nich środa dnia 11 w pierwszym razie, — w drugim zaś powtarza się poniedziałek i 9 stycznia, znacząc tylko w tym razie cyfrę rzymską, czy to był pierwszy, czy drugi z powtarzających się po sobie dni, czyli piszą 9 (I) stycznia i 9 (II) stycznia. I w ogóle wszystkie te pozorne niekonsekwencye podziału czasu uważano aż po ostatnie lata, jako dziwactwa niepotrzebne, choć nikomu nieszkodliwe, nie przeczuwając wcale, że one kiedyś dotkliwie w stosunkach codziennych a zwłaszcza komunikacyjnych zaznaczyć się mogą. W dzisiejszych czasach przerzucających ludzi kolejami o setki mil w ciągu jednego lub dwóch dni, z jednego końca świata na drugi, a telegrafem wymieniających w jednej omal chwili wzajemną myśl obu półkul ziemi, nie wystarcza snać już owo stare: *tempus est fugax*, którego nas jako jodynej długo dewizy tego ważnego czynnika w życiu ludzkiem uczono, i które było moralnem uzmysłowieniem tej nieskończoności, której liczbę Stwórca sobie samemu zachował. Dziś już nie pomyka świat jak dawniej powolnemi kroki w przyszłość, lecz pędzi w szalonym ruchu pary i iskry, jakby mu wstyd było straconego wiekami czasu; sięgnąwszy według swego mniemania okiem w nieskończoność przestrzeni, tam, gdzie jednem słowem Przedwiecznego w milionach rozsiane cudy niebieskie mimo tylu wysiłków rozumu i pracy dotąd niezbadane, a nawet jak dotąd tak i nigdy niezliczone, i zadowalniając się tem, że na zmierzenie tej nieskończoności i ogromów wrzekomą tylko, bo niepochwytną zmysłami wynalazł miarę, widzi coraz dobitniej, że to, co mu dawniej wystarczało, dziś już nie starczy, — że także i miara

przesuwającej się przed jego oczyma nieskończoności czasu, chociaż kierowana wielką skazówką odwiecznego zegaru, nigdy nieomylną i całemu światu wspólną, jak dawniej tak i do dziś nosi na sobie cechę właściwą dziełom ludzkim, cechę zmienności i niepewności. Tak też stało się i z naszym czasem średnim, który zdawało się na długie wieki ma byt zapewniony, i przez długie wieki potrzebom ludzi zadosyć czynić będzie; po krótkim stosunkowo jego do dziś żywocie zaczynają się już obzierać za czemś lepszem, coraz więcej zarzutów i kwasów przeciw niemu się tworzy, i coraz więcej prób i projektów zastąpienia go jakąś miarą wszystkim wspólną, któraby wątpliwości i niewygody z jego lokalnością połączone, usunęła. Czy pragnienie to należycie usprawiedliwione i czy spełnienie jego byłoby z istotnym pożytkiem dla społeczeństwa, ocenimy częściowo i sami, jeżeli przywiedziemy sobie jeszcze na pamięć te wątpliwości i niewygody, jakie z pewnością każdego z nas bez puszczania się z żeglarzami na dalekie morze dotknęły, i jeżeli w domu u siebie rozważymy, czy one już gwałtem lekarstwa potrzebują.

(C. d. n.)

Dr. Wierzbicki.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Ludwik Nabielak. Opowieść historyczna przez *Władysława Zawadzkiego*. Lwów 1886, str. 202.

Biografia zgasłego przed dwoma laty w późnej starości Nabielaka, to nowa kartka do dziejów Listopadowego powstania i długiej, smętnej i ciężkiej emigracyi paryskiej. Z powołania i pociągu literat, a raczej historyk, należał Nabielak do słynnego napadu na Belweder, później walczył w wojennych szeregach, dosłużył się stopnia majora i krzyża *virtuti militari*, a wreszcie za licznym szeregiem przełożonych swych i kolegów pociągnął do Francyi, nie spodziewając się z pewnością, że raz ledwie wśród długiego życia, i to tylko przez parę tygodni, wolno mu jeszcze będzie ojczystem odetchnąć powietrzem. Z przekroczeniem granicy francuskiej rozpoczyna się druga, męska epoka Nabielaka. Twarda rzeczywistość wołała do pracy na kawałek chleba; z żalem w sercu zagrzebał Nabielak na samem dnie duszy świetne marzenia o różnych na wielką skalę zamierzonych literackich dziełach; wstąpił do szkoły górniczej, podjął się zarządu fabryki gazu w Barcelonie i w Nimes; w późnej starości pracował przy jednym z paryskich banków, a tak choć nieraz jeszcze niedostatek zagościł u niego, to dzięki sumiennej, ciągłej pracy nie stał się nigdy stałym domownikiem, nie zmusił nigdy hardego żołnierza do wyciągnięcia ręki o pomoc.

Wytrwała, zmudna praca, podjęta jedynie z uczucia obowiązku, stanowi najpiękniejszy rys w charakterze Nabielaka. Serce rwało się do pióra, każdej wolnej chwilki używał skrzętnie do wypisywania długich notatek i dokumentów odnoszących się do czasów konfederacyi Barskiej, której dzieje wszechstronnie i gruntownie zamyślał opracować; ale rozumiał, że obowiązek zabezpieczenia bytu żonie i dzieciom stoi na pierwszem miejscu, i dla tego zostawił po sobie, miasto wymarzonego dzieła, stosy zgromadzonych zewsząd materyałów, które dziś nabyła na własność Biblioteka Ossolińskich. Nieliczne jedynie odłamki, luźne kartki wyjęte z przyszłego dzieła, wydrukował za staraniem dozgonnego przyjaciela, Augusta Bielowskiego. Kilka tych rozpraw, przeważnie literackiej treści, umieszczonych w „Bibliotece Ossolińskich“, stanowi dziś niemal całą spuściznę duchową po Nabielaku: szczupły owoc tylu gorących chęci i tak żelaznej

pracy, ale nazbyt wielki, jeśli zważymy czas i okoliczności, w jakich ten owoc dojrzewać musiał.

Obok Nabielaka zarysowuje się w półcieniu idealna postać dozgonnej jego towarzyszki życia, wszystkich nadziei i niedoli. Francuzka rodem, przyswoiła sobie język polski, ukochała całem sercem ojczyznę męża, słowem spełniała w całej rozciągłości tego wyrazu, obowiązki kochającej, zapobiegliwej żony. Miło dziś odnaleźć taki typ, i wdzięczni jesteśmy p. Zawadzkiemu za sposób w jaki go przedstawia. Zbytnie naciskanie pendzlem mogłoby tylko zepsuć ogólny koloryt; występująca natomiast w pewnej oddali, przedstawia się nam żona Nabielaka niby dobry Anioł, niby geniusz opiekuńczy, czuwający z równą troskliwością w złej i dobrej doli, nad pełnym życia i zapału, jak i nad ociemniałym i chylącym się do grobu małżonkiem.

Czy wierna ta żona potrafiła przynajmniej pod koniec życia przywieść starego wiarusa do szczerego, katolickiego pojednania się z Bogiem? Odpowiedzi na to w książce p. Zawadzkiego nie znajdujemy, a odpowiedzi tej ciekawiśmy tembardziej, że Nabielak ślepo niegdyś przylgnął do towianizmu, a z toku opowiadania wydawaćby się mogło, że do ostatnich lat życia wiary w mistrza nie stracił. Jeszcze roku 1871 energicznem swem, niemal zuchwałem żądaniem sprawiedliwości u władz francuskich, uwolnił Towiańskiego z więzienia i od grożącej mu śmierci; czy krok ten był wynikiem prostej szlachetności serca, czy wmieszało się tu jeszcze inne jakieś wpół-mistyczne, wpół-religijne uczucie dla apostoła ery lepszej przyszłości? Jeśli komu, to Nabielakowi wielkiej szlachetności serca nie brakło, jak dał tego dowód w tym samym czasie, żywiąc — sam prawie bez grosza — na wpół już zagłodzonego Goszczyńskiego; ale raz jeszcze powtarzamy, szkoda, że autor dokładniej nam nie wyjaśnił stosunku Nabielaka w ostatnich latach życia do towianizmu, a przynajmniej do Towiańskiego: czy, kiedy i jak zerwał Nabielak ostatecznie z błędnemi zasadami, potępionemi przez Kościół, a prowadzącemi może mimowolnie do bolesnych skutków, tak słusznie a sprawiedliwie wytkniętych w memoryale księcia Czartoryskiego? Na wyjaśnieniu tego, bądź co bądź ciekawego punktu, zyskałaby niemało sympatyczna ta i w ogóle bardzo zajmująca biografia zmarłego niedawno Belwederczyka, literata, emigranta, męża zawsze gorącego i gotowego do ofiar, choć nie zawsze dość szczęśliwie i rozumnie kierującego się sercem.

X. B.

Zarys literatury polskiej z ostatnich lat dwudziestu, przez *Piotra Chmielowskiego*. Warszawa 1886.

Otwierając tu i owdzie jeszcze nieprzeciętą książkę, widzę że sz. autor pozwala sobie oceniać rozmaite książki, których wcale nie czytał, a ze spisu spostrzegam, że wielu znaczniejszych autorów z tej najnowszej epoki zupełnie pomija, a nieraz podnosi takich, o których dopiero z jego książki czytelnik się dowie. Słowem, wygląda mi to na pęk zapisków, niekompletnych i po większej części z drugiej ręki zbieranych, które autor, będąc przy lepszym humorze posłał pewnego poranku do drukarni. Mniemając, że mam wszelkie prawo sądzić autora, tak jak on innych, piszę niniejsze sprawozdanie, nie przeczytawszy książki.

X. M. M.

Z życia. Nowelle przez *z Hr. Łosiów Br. M. Hagen.* Str. 275. Lwów 1886.

Drobiazgowy jaki krytyk tych nowel znalazłby może właściwszym tytuł „Z salonu“, niż „Z życia“, ale ponieważ i w salonie jest życie, choć nie zawsze naturalne, o tytuł tych nowel, czy też mrzonek, jak je autorka nazywa, sprzeczać się nie będziemy. Natomiast trudno nie przyznać, że zbiór ten zyskałby niemało, gdyby czytelnik wyszedł choć raz za, bardzo gustownie, ale nieco jednostajnie umeblowane buduary i salony dystyngowanych, ale ostatecznie nieco nudnych hrabin i hrabianek, gdyby czasami nowy jakiś oryginalny motyw pobudził go do głębszej zadumy, a choćby tylko dodał bodźca ciekawości. Tak jak są, nowele te robią wrażenie konwersacyi bardzo przyzwoitej, nawet nie bez pewnego dowcipu i wdzięku, ale obracającej się w ciasnem bardzo kółku, banalnej, bez celu i poważniejszej treści, słowem, konwersacyi której często przysłuchać się można w karnawałowym czy zwykłym salonowym świecie, ale która w książce nie zawsze się podoba, a nieraz znuży, choćby rozciągała się tylko „na dwudziestu czterech stronicach“.

X.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

The Punishment and Prevention of Crime. (Ukaranie i zapobieżenie zbrodni), by *Sir Edmund du Cane.* London, Macmillian and C°.

Jeśli wiek XIX. słusznie szczycić się może wszelakiego rodzaju postępem, nie wyjąwszy może i postępu w niejednem złem, jedną z pięknych kart historyi społeczeństwa nowoczesnego, będzie niezaprzeczenie, staranna i rozumna opieka, jaką starał się otoczyć los więźnia. Gdy się pamięcią sięga do czytanych za młodych lat opisów o więzieniach, a raczej o lochach w których rok rocznie, najczęściej nie doczekawszy się wymierzonej kary, czasem i nie doczekawszy się nawet sądu, z głodu, zimna i choroby tysiące ginęło ofiar, chciałoby się wdzięczność okazać każdemu z osobna z ludzi, co choćby w najmniejszej cząstce przyczynili się do zwalczenia tej, z czasów średnowiecznych okropnej pozostałości. Zmienić los uwięzionych przestępców, stanowić miało pierwszą jakoby stacyę na drodze zamierzonych reform w całym istniejącym systemie karnym. Lecz zadosyćuczynienie sprawiedliwości, wymierzając karę za popełnioną zbrodnię, nie jest jedynym celem chrześcijańskiego prawodawstwa; prócz wykonania dekretu ma ono jeszcze obowiązek starania się wszelkiemi sposobami o poprawę przestępcy, oraz o za-

pobieżenie rozwielmożnienia się zbrodni. Gdyby tak nie było, czemże by się różniły prawa starożytnych od naszych praw? gdzieby się podział, nakazem Bożym na chrześcijańskie społeczeństwo nakazany obowiązek: nigdy grzesznika za zupełnie straconego nie uważać? Najwinniejszy zbrodniarz nie przestaje być człowiekiem w obec prawa, bliźnim w obec sędziów chrześcijańskich. Kara zatem na niego nałożona, nie wyjąwszy kary śmierci, winna być uważaną, tak przez winowajcę, jak przez społeczeństwo, nie jako zemsta publiczna za doznaną krzywdę, lecz jako wymiar chrześcijańskiej i społecznej sprawiedliwości. Przestępca zaś powinien być doprowadzony do przekonania, że sprawiedliwość nie wyklucza miłosierdzia i ostatecznych środków używa tylko wtedy, gdy do tego siłą zbrodni jest zmuszoną.

Innego jeszcze rodzaju ciężą na prawodawstwie obowiązki, czysto duchowej natury, mianowicie: w duszy skazańca wzbudzić żal za występną przeszłość, oraz szczerą chęć rozpoczęcia uczciwego żywota po ukończonej więziennej karze. Wzniosłą tą myślą powodowane najszlachetniejsze umysły naszych czasów, zajęły się z gorliwością, na największe zasługującą uznanie, przeprowadzeniem reform w procedurze karnej na całą niemal Europę. Badał w tym celu więzienia w Ameryce w r. 1831 pan de Tocqueville; w Hollandyi pan Van der Brüggen, ówczesny minister sprawiedliwości, lata spędził na pisaniu dzieł o reformie systemu karnego. Sir Walter Crofton, przez wielu ludzi za idealistę, za marzyciela uważany, niezmiernie się przyczynił do rozbudzenia między kryminalistami zagubionego zmysłu moralnego. „Pracę i karę, mawiał Sir Walter Crofton, powinien przestępca uważać za początek rehabilitacyi, nie za hańbę. „Nie w pokucie za zbrodnie, ale w zbrodni tkwi hańba“. Przestępcę przerobić na człowieka, nie tylko nieszkodliwego dla społeczeństwa, ale uczciwego, pracowitego i temuż społeczeństwu użytecznego, oto był cel główny, ku któremu ci szlachetni dążyli reformatorowie. Książka Sir Edmunda du Cane, którą tu streścić zamierzamy, podaje obszerny, jasny, sumienny pogląd na procedurę karną w Anglii i zaprowadzone w niej reformy od początku naszego stulecia, całą rzecz w najciekawszy oświeca sposób. Gruntowna znajomość nietylko wszelkich kryminalnych spraw (Sir du Cane zajmuje kilka najwyższych urzędów, tyczących się więźni, jako to: *Chairman of Com-*

missioners of Prison; Chairman of directors of Prison; Inspector-General of Military-Prison; Surveyor-General of Prisons) ale i natury ludzkiej, którą *in anima vili* studyuje, oraz przeróżnych manowców, któremi zacząwszy od drobnostek, przechodzi delikwent do największych zbrodni, nauka zatem i doświadczenie nadają całemu dziełu Sir du Cane niepomierną wartość psychologiczną. Streszczenie dawnego i dzisiejszego systemu karnego w Anglii, trudności różnego rodzaju, które reformatorom przychodziło po kolei zwalczać; wprowadzenie zwolna uczuć chrześcijańskiej ludzkości w obchodzeniu się z przestępcami; wpojenie w społeczność przekonania, że umoralnienie zbrodniarza, bezpośrednio obraca się na tejże społeczności korzyść; zbliżenie się wreszcie do więźnia, zawsze z natury niedowierzającego, aby w nim zbudzić choćby iskrę, jeśli nie odrazu żalu, to woli, Sir du Cane utrzymuje bowiem, po wieloletniem doświadczeniu, że w kryminałach większość stanowią ludzie pozbawieni energii równie do złego, jak do dobrego, *a low retentiveness for good and evil.* Wszystko to czyta się z największem zajęciem. Wedle autora, ogromna zatem większość więźniów składa się w ogóle z ludzi o bardzo ciasnej głowie; tą większością powoduje garstka sprytnych, skończonych wisusów, naprowadza ich na drogę gruntownego zepsucia, a przytem wystawia ich na różne srogie kary, które się właściwie ich przewódcom należały. Najbardziej zatem upragnioną, a dziś już po części i otrzymaną reformą, jest rozdzielenie więźniów, nietylko wedle rozmiaru ich przestępstw lub zbrodni, lecz nawet wedle stopnia ich umysłowego rozwinięcia.

Nie mniej psychologiczno ciekawym faktem jest szczegółowa statystyka więzienna, tycząca się wieku przestępców, statystyka dowodząca, że największy kontyngens winowajców dostarczają lata od 20 do 30 roku życia, u kobiet o parę lat później, skąd autor następujące wnosi spostrzeżenia: że po dwudziestu, odnośnie trzydziestu latach, dwa składają się powody zmniejszające ilość przestępstw: 1. Nader późno rozwijający się zmysł moralny u ludzi od dzieciństwa pozbawionych wszelkich zasad i wszelkiego wychowania. 2. Dążność mimowolna, często mimowiedna nawet, a powiększająca się z latami, do spokojnego życia, do wypoczynku, zwłaszcza po mniej więcej burzliwej egzystencyi, nieodłącznej od zbrodniczych czynów. — Otóż fakta te, cyframi stwierdzone, pro-

wadzą Sir du Cane najprostszą drogą do konkluzyi, że należy z młodymi przestępcami używać niemal wyłącznie środków poprawczych; gdy zaś ze starszymi, bardziej w zbrodni zatwardziałemi grzesznikami, kara główną winna odgrywać rolę. Co się tyczy niepoprawnych, obowiązkiem jest społeczeństwa, tak dla własnej obrony, jak i dla publicznego przykładu, całkiem ich ze świata usunąć. Wszak za pogańskich jeszcze czasów, mówił sędzia do winowajcy, oznajmując mu dekret śmierci: „Jesteś skazany na „szubienicę, nietylko dla tego, żeś konia ukradł, ale dlatego, żeby „zapobiedz kradzieży koni przez innych".

Po tych kilku wstępnych rozdziałach, przez nas tylko w zwięzłem streszczeniu podanych, przechodzi autor, jędrnem schwyciwszy piórem fakta, cyfry i daty, do historycznego przeglądu procedury karnej w Anglii i zastosowania tejże w więzieniach od czasów Rzymian aż do lat obecnych. W ogóle rzymskie prawo wyznaczało kary „krótkie a ostre" *short and sharp;* pastwienie się nad skazańcem, przedłużanie jego męki, tortury i okrucieństwa, na samą myśl ktorych natura ludzka się wzdryga, dopiero z najazdem barbarzyńców weszły w życie, i tak się niestety! z obyczajami ówczesnemi zrosły, że jeszcze z końcem wieku XVI-go, za niektóre zbrodnie, urzynano ręce, nogi i uszy winowajcom, a w r. 1788, spalono żywcem na stosie kobietę, za bicie fałszywej monety. Aż do r. 1868, zbrodniarz na śmierć skazany, prowadzony był procesyonalnie przez większą część miasta z wielką pompą, przy ogromnym udziale ludu, zawsze i wszędzie takich wrażeń chciwego, aż na miejsce stracenia. Przekonano się wszakże z czasem, że to co miało służyć za zbawienny dla publiczności przykład i od popełniania zbrodni ją odstraszać, zupełnie celu chybiało. Ludzie się tłoczyli z czczej ciekawości, a widok egzekucyi zamiast, żeby ich naprowadzać na poważne myśli, wzbudzał w nich tylko zmysł okrucieństwa. Od owego więc roku (1868) tracą skazańców w murach więziennych, w obec urzędników zmuszonych *ex officio* stwierdzić wykonanie kary ostatecznej, ale całkiem bez udziału widzów z ciekawości.

Kogo sprawy karne w Anglii i przebieg ich interesuje, niech odczyta grube dzieło pod tytułem, *The Chronicles of Newgate, by Major Griffith.* Włosy na głowie powstają na samą myśl czem był los przestępcy, raz w kleszcze sprawiedliwości chwyconego, i to

do bardzo niedawnych czasów, tak niedawnych, że są jeszcze żyjący świadkowie tego pastwienia się nad, bądź co bądź ludzką istotą. Taki stan rzeczy, przeciwny prawom natury, a cóż dopiero prawom Bożym, pociągał za sobą w skutek rozpaczy ostateczne zepsucie, zepsucie bez granic ni miary wśród więźniów obojej płci, bo mężczyzn od kobiet nie oddzielano, i srogo ciąży na sumieniu narodu, a raczej na sumieniu ludzi narodem owym rządzących. Dziś, trudno nam przychodzi wierzyć, że w Anglii, w tym kraju *de la justice et de l'equité par excellence* takie o pomstę do Boga wołające bezprawia istnieć mogły, i to w czasach tak do naszego stulecia zbliżonych. Zachowały się na wieczną hańbę angielskiego społeczeństwa, sztychy Hogarth'a wielkiej artystycznej wartości, ale zgrozą przejmujące duszę, przedstawiające dozorców więziennych pastwiących się nad przestępcami im powierzonymi. Jedną z najsroższych moralnych i fizycznych tortur, było nielitościwe przedłużanie do nieskończoności terminu między ogłoszeniem dekretu śmierci a tegoż wykonaniem. Dantejskiego chyba trzebaby nam zapożyczyć pióra, żeby oddać czem być musiały te tygodnie, miesiące, czasem i lata, w ciągu których nieszczęśliwy skazaniec, za każdem zgrzytnięciem klucza w zamku z przerażeniem sobie mówił, że może ostatnia wybiła godzina. Skrócenie tego terminu, stanowi jedną z pierwszych reform przeprowadzonych w naszych czasach. Lecz wrócić nam jeszcze do przeszłości wypada.

Do panowania królowej Elżbiety, żywność więźnia polegała dziennie, na ośmiu uncyach chleba zalanego wrzącą wodą; resztę, miłosierdzie publiczne dostarczać miało, a dostarczało wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, bardzo rzadko. Dodajmy do tego rodzaju wolnej, głodowej śmierci, moralną rozpacz więźniów, których z małą tylko na sumieniu winą, np. włóczęgostwa, w jednej i tej samej umieszczano izbie z najokropniejszymi zbrodniarzami, a przekonamy się dosadnie że rylec Hogarth'a, to ziemskie przedstawiający piekło, przedstawiał rzeczywistość. Przekonaliśmy się więc dostatecznie, że uczucie miłosierdzia było się gdzieś całkiem zapodziało; ale może jeszcze więcej podziwiać należy, że jeśli stan ten opłakany mógł się tak utrzymać, wbrew wszelkim uczuciom ludzkości, to społeczeństwo byłoby powinno temu zaradzić przez sam zmysł zachowawczy, bo więzienia, w których tysiące

ludzi marniało z głodu, zimna, braku powietrza i odzieży, musiały być nieustającem źródłem najsroższych chorób i zarazy. W czasie sądów w Oxford r. 1577, Lord Chief Baron, Sheriff i 300 osób z personalu rządowego wymarło na tyfus, wymownie wówczas nazwany gorączką więzienną *goal fever*. Dopiero za panowania Elżbiety opatrzono się, że ze wszechmiar korzystniej by było, użyć więźniów do robót publicznych na świeżem powietrzu, zamiast ich trzymać pod kluczem w próżniactwie, złem życiu, a przez panujące wiecznie między nimi choroby, na cały kraj też choroby roznosić. Lecz nie odrazu zdołano zmianę tę zaprowadzić, mającą wielu bardzo przeciwników; był to wszelako w zarodzie pierwszy wyłom zadany całemu istniejącemu do owych czasów systemowi więziennemu, wyłom któremu dzisiejsza Anglia zawdzięcza najwspanialsze swoje budynki, porty, doki.

Nazwiska Lorda Howard, księcia Richmond, Sir. G. O. Paul, świetnie się przedstawiają ludzkości, oni to bowiem w pierwszej połowie XVIII. wieku, stanowczo i wytrwale pracują nad zaprowadzeniem zmian w opłakanym stanie więziennej populacyi. Oni pierwsi kołaczą o pomoc duchowną dla tych ze wszechmiar nędznych ofiar własnej przewrotności, i grzesznej nad ich losem obojętności społeczeństwa; urząd kapelana stał się wszakże dopiero r. 1814 obowiązkowym we wszystkich znaczniejszych domach karnych.

Jaki jest wpływ, jakie są błogosławione owoce mnogich katolickich stowarzyszeń miłosiernych, tak męskich jak żeńskich, ku niesieniu moralnej, oraz materyalnej pomocy wszelkiego rodzaju przestępcom, bez względu na płeć i wiek, bez względu również na rozmiary popełnionej zbrodni, wie mniej więcej każdy należący do naszej wiary; ktoby zaś tego nie wiedział, niech przeczyta kilkotomowe dzieło francuskiego publicysty p. Maxime du Camp, pod tytułem: *La charité privée en France*, a przekona się, że żadne, choćby najdoskonalsze prawo, nie zastąpi błogiej działalności chrześcijańskich przytułków, chrześcijańskich ochron, chrześcijańskiej wszechsięgającej nad nieszczęśliwymi opieki. Prawo, to rozum, to nauka, to doświadczenie, to wreszcie dobre chęci i dobra wola, ale dzieło miłosierdzia chrześcijańskiego, to przedewszystkiem serce, a bądź co bądź, jeśli nie zawsze sercem się karze, to sercem się nawraca, a o cóż ostatecznie chodzi, jeśli nie o zastosowanie do

życia społecznego słów zbawiciela: „Nie chcę śmierci grzesznika“. Inne wyznania mniej się poczuwają do tej pobożnej misyi opiekowania się owemi duszami, szybko ku ostatecznemu chylącemi się upadkowi. Są wszakże wyjątki wszędzie, są więc i w Anglii serca miłosierne, których szczerze obchodzi bliźniego niedola. Jedno z takich serc gorących a wytrwałych biło w łonie kobiecem. Pani Fry, pierwsza zdobyła się na moralną odwagę przestąpienia progów kobiecego więzienia w Newgate; czekał ją tam widok przerażający kobiet: *begging, gaming, fighting, dancing and dressing up in mens clothes, in Hell above ground*[1]. Nie zraziło to mężnego serca Mrs Fry. Napominając, łagodząc, ucząc, do pracy i czystości zwolna wdrażając te nieszczęśliwe, od Boga i ludzi opuszczone istototy, tak niespodziewany otrzymała rezultat, że zwróciła wreszcie na siebie uwagę sfer rządowych. Do niej się o radę udawali filantropi z różnemi noszący się projektami reform; ona im wskazywała najpraktyczniejsze środki, najpewniejsze drogi ku zaprowadzeniu dobroczynnych zmian w systemie karnym, i śmiało twierdzić można, że ona pierwsza poruszyła tę piekącą sprawę, i ludzi do czynu zagrzała.

Około r. 1840, rozpoczęto w Pentonville budowę więzienia o kolosalnych rozmiarach, dzieło zdaniem znawców, doskonałe w swoim rodzaju, które odtąd służyć miało za wzór do wszystkich domów karnych w Anglii, a z czasem i w angielskich zamorskich koloniach. Pięćset dwadzieścia cel oświetlonych, ogrzanych, czystych służyło przestępcom; każdy miał swoją izdebkę. W przeciągu sześciu niespełna lat, na model więzienia w Pentonville, pięćdziesiąt cztery wybudowano w Anglii domów karnych, w których jedenaście tysięcy więźniów pomieścić można. Lecz nie na samych materyalnych skończyło się reformach; chwycono się duchowych i umysłowych środków, zaprowadzając stałą służbę Bożą, oraz naukę elementarną obowiązującą. Oparta na tle nadużyć popełnianych na więźniach w Birmingham Goal, a przez autora naocznie stwierdzonych, powieść Karola Read *Never to late mend* (Nigdy nie za późno się poprawić) niebywałe w całem angielskim narodzie wywołała oburzenie. Ze wszystkich stron, kompetentni i nie kompetentni lu-

[1] Żebrały, szulerowały, biły się, tańcowały, w męskie przebierały się ubrania. Istne piekło na powierzchni ziemi.

dzie- zaczęli wglądać w sprawy więzienne, aby stwierdzić o ile powieść Karola Read mieści w sobie prawdy. Przekonano się, że wszystko niemal oparte było na faktach. Tym to sposobem, reformy i naglące zmiany, od tak dawna przez licznych reformatorów zalecane, a nie mogące do rzeczywistego dojść rezultatu, do upragnionego doszły celu za pomocą pióra powieściopisarza. Dla czego? Dla tego że mądre dysertacye filantropów różnego autoramentu, oraz fachowe artykuły umieszczane w pismach wyłącznie sprawom sądowym poświęconych, przez bardzo ograniczone kółko ludzi czytywane, nie wtajemniczały szerszej publiczności w rzeczywisty stan rzeczy; prócz tego, wszelkie zamierzone reformy rozbijały się o niechęć całej chmary urzędników umieszczonych po domach karnych, którzy niczego oczywiście więcej się nie obawiali, jak wszelkiego dochodzenia prawdy, grożącego im utratą miejsca i chleba. Inaczej się stać miało z powieścią, i to jeszcze z powieścią będącą *a sensation Novel* w całem znaczeniu tego słowa. Książka ta od razu we wszystkich znalazła się rękach, wszystkie poruszyła serca, wywołała kobiecych łez istne potoki i, koniec końcem, drogą ogólnego wzruszenia, może potrochu i drogą nerwów, więcej sprawę reform karnych posunęła, niż to zrobić zdołały wszystkie mądre, peruką opatrzone głowy, które nad tem od lat wielu ślęczały. Lekka literatura tyle na świecie wywołała złego, że jak co dobrego wskórać zdoła, należy jej jak najgłośniej powinszować, choćby dla samego zachęcenia jej do postępowania w tym kierunku.

Zabrano się więc raźno do różnych reform, w celu złagodzenia przestępcom ciężkich warunków więziennego życia, nie zrażając się ani silną i czynną opozycyą pewnej części społeczeństwa, ani trudnościami z wszystkich stron powstającemi. Szlachetność przedsięwzięcia, stałość w pokonywaniu przeszkód, wytrwałość w doprowadzeniu zamiarów do rzeczywistego rezultatu, były najlepszemi rękojmiami powodzenia. Różne pozawiązywały się komitety; zaczęto zwiedzać wszystkie po kolei domy karne, wglądać w najciemniejsze lochy, badać samych więźniów, oraz świadków niegodnego postępowania dozorców z kryminalistami. Odkryto nadużycia bez miary, okrucieństwa i bezprawia, aż nadto drastycznie przez Karola Reade ilustrowane. *Never to late to mend* stało się hasłem ogólnem; każdy chciał się choć w cząstce przyczynić do zniesienia tego opła-

kanego stanu; od dnia do dnia reforma więzień przechodziła w rodzaj manii, namiętności społecznej: sędziowie, urzędnicy, dozorcy, wszystko truchlało i głowę traciło. Stan ten gorączkowy samą gwałtownością swoją prędko się zużył, lecz nie zużyły się dobre zamiary ludzi poważnych, fachowych, z prawem obeznanych, nie działających pod chwilowem wrażeniem, lecz z silnem postanowieniem dotrwania do końca. Wkrótce każdy przestępca uzyskał prawo poskarżenia się, tak ustnie, jak i pisemnie o dokonaną krzywdę. Kapelan anglikański, czasem i ksiądz katolicki, gdy gdzie znaczniejsza była ilość katolickich więźniów, z nową gorliwością zabrali się do umoralniania delikwentów. Starano się doprowadzić ich zwolna do zachowywania się przyzwoicie, nietylko li z obawy cielesnej kary, lub cięższego więzienia, ale przez uczucie pewnej skruchy i żądzy poprawy. Co się tyczy materyalnej strony, zwłaszcza żywności kryminalistów, tyle pozostawiającej do życzenia pod względem ludzkości, jak i dla skutków sanitarnych, w skutek głodu bowiem mnóstwo się wkradało między winowajcami chorób, najlepiej dowiedzie w krótkim stosunkowo czasie otrzymany rezultat zaprowadzonych ulepszeń. Świadczy o tem następujący, dosłownie przetłumaczony ustęp z książki Sir Edmund'a du Cane. „Od początku bieżącego roku, do obecnej „chwili, zeszła populacya więzienna do niebywałej dotąd małości. „Przed tem, nim ogólny zarząd wszystkich domów karnych i po„prawczych przeszedł bezpośrednio w ręce rządu r. 1878, doszła „była ilość przestępców do przerażającej liczby 21.030; od dnia „tego zmniejsza się ta liczba rok rocznie i obecnie wynosi tylko „15.733 winowajców obojej płci".

Doszedłszy do tej części książki, przychodzi nam teraz streścić, o ile być może najzwięźlej, rozdziały tyczące się systemu deportacyi za morze i ciężkich robót galerników tak w koloniach jak i na pontonach. Tak jak wszystkie mniej więcej instytucye w Anglii, system kary deportacyjnej, przez różne przechodził fazy, a odkąd przez angielskie prawa stanowczo przyjętym został, liczba do samej Australii wysłanych przestępców, wynosi 134.308 osób. Z początku deportacya była po prostu wygnaniem, z zakazem powrotu do kraju, pod karą śmierci. Za panowania Henryka VIII. zbrodnie do tak niebywałej doszły były cyfry, że koniecznie nowych trzeba było się chwycić środków aby złemu zapobiedz i pozbyć się tej

niebezpiecznej, na tysiące liczącej się zgrai. Sir Edmund du Cane, nie bez pewnego sarkastycznego niedowierzania wspomina, że w ogóle opinia ówczesna przerażający wzrost zbrodni i wzmagającą się ilość delikwentów przypisywała prześladowaniu religii katolickiej i nagłemu skasowaniu licznych klasztorów, u fórty których tłumy nędzarzy ciepłą dostawały strawę. Wnosi stąd autor, że zakonnicy, tem źle zrozumianem miłosierdziem, nie tyle zapobiegali rozszerzającej się nędzy, ile zwiększali ilość wałęsających się próżniaków. Bądź co bądź, prawdopodobnie nie bez żalu, lecz faktami zmuszony, Sir Edmund du Cane przyznaje, że ten Henrykowski *kulturkampf* od razu powiększył i ogólną biedę i ilość zbrodniarzy wałęsających się po całym kraju. Trzeba więc było szukać innych środków ku zapobieżeniu i jednemu i drugiemu. Do fórty klasztornej biedni ludzie nie mieli już po co chodzić; zastąpiono litość zakonników, deportacyą i pontonami. Pierwsza królowa Elżbieta, w trzydziestym dziewiątym roku panowania swego, dała sankcyę na prawne, dożywotne, na koszt gminy wygnanie; była to geneza przyszłych deportacyj. Z owych to także czasów, zaczęto zakładać pierwsze domy poprawy dla włóczęgów różnego rodzaju i wieku. Z początku skazując zbrodniarza na dożywotnie wygnanie, groziło mu się karą śmierci przez powieszenie jeśli bez ułaskawienia, do kraju powróci, w krótkim wszakże przeciągu czasu przekonano się, że skazani różnych używając forteli, albo całkiem nie wyjeżdżali, albo niebawem sekretnie do Anglii wracali. Wzięto się więc na inny sposób, mianowicie: zawierano kontrakty z ajentami, którzy podejmowali się, swoim kosztem deportowanych do zamorskich krajów odstawiać, za co mieli prawo do pracy rąk delikwentów, na tak długi termin czasu jak długa była wyznaczona kara wygnania. Łatwo się domyślić można czem się miał stać ten rodzaj handlu białymi niewolnikami, i jakie miał za sobą dla tychże okropne pociągnąć skutki. Podejmujący się takiego przedsiębierstwa ludzie, najczęściej sami bez czci i wiary, chcący jak największy dla siebie ściągnąć zysk, tłoczyli na ciasne statki zbrodniarzy setkami, gdy miejsca było zaledwie na kilkudziesięciu. Ci nędzarze, nie mogąc ani siąść, ani się położyć, musieli stać wyprostowani dniem i nocą, a w owych czasach żaglowych okrętów, dnie takie i noce przeciągały się w nieskończoność. Jaką torturą być musiała w takich warunkach odby-

wana podróż, najlepiej dowodzi, że po kilku próbach, nie znalazło się już przedsiębierców do wywożenia wygnańców, ponieważ 30 procentów deportowanych, przed przybyciem na miejsce przeznaczenia, umierało na gangrenę w stopach, wskutek ciągłego stania. Pokazało się więc, że dla przedsiębierców interes był niekorzystny. Inne jeszcze powstawały trudności. Amerykańskie kolonie w Barbado, Maryland i New-York, ani słyszeć chciały o przyjęciu tego rodzaju kontyngensu do swojej, zbyt szczupłej jeszcze wówczas populacyi. Przyszło więc pomyśleć o brzegach Afryki. Do reszty zagmatwała całą sprawę deportacyi amerykańska wojna o niepodległość, uniemożliwiając transport wygnańców do dawnych angielskich kolonij. Rząd znalazł się więc w obec dwóch nie łatwych do załatwienia problematów: trzeba było odrazu dostarczyć pomieszczenia w kraju dla przestępców, w ilości odpowiednej do cyfry rok rocznie dotąd wywożonych wygnańców do Ameryki, i obmyślić środek, aby po odsiedzianej karze, ciż przestępcy pozostawali jeszcze pod dozorem policyi, aby dla społeczeństwa nie byli ciągle grożącem niebezpieczeństwem. Wówczas to obmyślono po raz pierwszy system ciężkich robót *hard work* na pontonach w licznych portach Anglii; system ten wszakże długo utrzymać się nie miał i gdy w r. 1776, komisya złożona *ad hoc*, z lordem Howard na czele, dowiodła, że w przeciągu siedmiu miesięcy, z sześciuset trzydziestu dwóch galerników, umarło ich sto siedemdziesięciu sześciu, trzeba znów było radykalne w całym systemie zaprowadzić zmiany, a że zmiany te były energiczne i skuteczne, przekonać się miano po paru latach, gdy już na tysiąc więźniów pracujących na pontonach, tylko ich zmarło trzynastu. Galernicy z owych czasów pozostawali jeszcze pod władzą lokalną urzędników sądowych, skąd najsmutniejsze wynikały nadużycia i bezprawia; zmienić się to dopiero miało, na największą korzyść miłosierdzia, oraz i sprawiedliwości, gdy wszystkie instytucye karne pod władze rządu przeszły r. 1878, z najwyższą sankcyą królowej i przyzwoleniem parlamentu.

Odkryte w r. 1770 przez admirała Cook'a brzegi Australii, miały przedtem jeszcze dostarczyć nowych a wyśmienitych miejscowości na zaprowadzenie osad karnych; tam też przewieziono pierwszy transport deportowanych w maju r. 1787, 184 mężczyzn i 100 kobiet, wprost do Botany Bay. Podróż trwała ośm miesięcy! Odtąd system

deportacyj stanowczo się przyjął; rok rocznie od trzech do pięciu tysięcy wywożą skazańców, tak na brzegi Australii, jak i do innych różnych angielskich kolonij. Do takich osad karnych przybywający deportowani na różne podzieleni są klasy, wedle doniosłości zbrodni i srogości kary; najwinniejsi pracowali około rządowych robót okuci w łańcuchy. Ci, na sumieniu których mniejsze ciężyły występki, oddawani byli na parę, lub kilka lat w służbę u miejscowych kolonistów, którzy za nich poręczali. Dobijano się o nich z powodu trudności o ręce do pracy. Trzecia kategorya najmniej winnych delikwentów, otrzymywała po krótkim czasie wzorowego prowadzenia się kartę na warunkową wolność *a leave ticket;* tym wolno było w pewnej odległości szukać zarobku lub zajęcia, policya wszakże zawsze nad nimi czujne miała oko. Z tej to kategoryi wytworzyli się z czasem koloniści, tam na dobre osiedli, rozgospodarowawszy się na kupionych za bezcen gruntach. Pomimo czujności władz i sumiennego dozoru licznie reprezentowanej policyi, przychodziło czasem między deportowanymi do krwawych buntów, które nie zawsze zdołano szczęśliwie pokonać. W samej kolonii zwanej Macquari Harbour, od roku 1822 do 1827 zbiegło stu szesnastu skazańców. Z tych siedmdziesięciu pięciu zapodziało się gdzieś bez wieści; dwóch żandarmi uciekających zastrzelili; ośmiu ludność miejscowa zamordowała; sześciu, głodem przyciśnięci towarzysze z j e d l i; reszta zdołała dostać się do dalszych kolonij i tam dobrowolnie oddała się w ręce sprawiedliwości. Opieki duchowej nad eksportowanymi nie było zgoła żadnej; dopiero gdy się rząd przekonał, że między 1817 a 1831 r. ilość zbrodni, a przez to samo i ilość przestępców, znacznie się znów była powiększyła, zaczęto przemyśliwać nad środkami umoralniającemi galerników. W zaprowadzeniu tej reformy, a z czasem i wielu innych, piękna karta w historyi angielskiego społeczeństwa należy się lordowi Stanley, jego wytrwałości, energii i inteligentnej wyrozumiałości.

Założenie nowych stacyj karnych w Australii z tą wielką było połączone trudnością, że ludność miejscowa oponowała się wszędzie, czasem i z bronią w ręku, przybyciu nieproszonych i wielce niepożądanych gości. Za przykładem Australczyków, poszli niebawem i mieszkańcy przylądku Dobrej Nadziei; ci, zebrawszy się gromadnie w porcie, r. 1850 nie dopuścili do wylądowania kilkuset świeżo przybyłych galerników, i postawili na swojem; statek musiał

szukać innej przystani, żeby wyładować swój niemiły towar. W Australii obawa przed napływem deportowanych, wzmogła się jeszcze o wiele, gdy odkryte zostały w ostatnich czasach nowe kopalnie złota i srebra. Wiadomo że i bez tego dodatku przestępców, zbrodnie bywają na porządku dziennym między poszukiwaczami złota; nie można się zatem dziwić, że się na przybycie galerników złem okiem patrzano. Chcąc nie chcąc, musiano się więc zabrać do zamienienia większej części stacyj karnych, w których dotąd przestępcy pewnej stosunkowo używali wolności, na zwykłe więzienia, co znów pogorszyło o wiele los wygnańców.

W samej Anglii, dzisiejszy system „ciężkiego więzienia“ *penal servitude* dzieli karę przestępcy, na trzy części. Pierwsze dziewięć miesięcy przeznaczonego dekretem czasu uwięzienia, spędza delikwent, wyjąwszy godzin wspólnej modlitwy i spaceru w dziedzińcu, zamknięty w swojej celi, zupełnie odcięty od ludzi i w niemożności zbliżenia się do kogokolwiek. W czasie drugiej części swej kary, tylko śpi i jada w swej celi, godziny zaś pracy są wspólne, lecz pod ścisłym dozorem urzędników więziennych i w zupełnem milczeniu. W ostatniej części, otrzymuje winowajca kilka dziennie godzin warunkowej wolności, z której korzystać może żeby wyjść; ale policya czuwa nad nim z bliska i za najmniejszą infrakcyę powtórnie, i to już pod dużo gorszemi warunkami, do kozy reinstaluje. Dla kobiet, ta ostatnia część kary ułagodzona jest jeszcze pozwoleniem udania się do „domu schronienia“ *a refuge*. Tam, miłosierne dusze zajmują się umoralnieniem kryminalistek, oraz dopomagają im do zapewnienia sobie uczciwej przyszłości. Jeszcze jedna, ze wszechmiar uznania godna w tych czasach przeprowadzona reforma, stanowi ułatwienie więźniowi nabycia wprawy do każdej niemal pracy odpowiadającej jego zdolnościom; praca ta nie jest bezpłatna, ale wynagradzana, z tem wszakże zastrzeżeniem, że pieniądze nie wprost w ręce więźnia się oddają, tylko są składane by mu wręczone zostały w chwili, gdy odsiedziawszy karę, z więzienia uwolniony zostanie. Ten sposób pokazał się niezmiernie skuteczny; utrzymywał przestępców w chęci do pracy, a praca wzbudzała w nich poczucie, że z dniem uwolnienia będą w stanie na życie zarabiać. Widząc błogie skutki systemem obowiązującej pracy otrzymane, chwycono się tej reformy energiczniej. Zaprzężono

więźniów do robót rządowych: olbrzymie budynki, kolosalne porty i doki, fortyfikacye różnego rodzaju, wznosiły się w różnych stronach kraju za pomocą rąk kryminalistów. Samych domów karnych wybudowali dla kilku tysięcy więźniów obojga płci.

Doprowadziwszy wreszcie porządek, pewien stopień cywilizacyi i opiekę moralną nad przestępcami, pozostało rządowi jeszcze jedno zadanie do uskutecznienia: polegało ono na kształceniu uczciwych, zacnych, sumiennych urzędników i dozorców więziennych; bez tego, wszystkie inne wprowadzone udoskonalenia byłyby prędko poszły w zapomnienie.

Obowiązek społeczeństwa nie kończy się wszakże na dozorowaniu przestępcy póki jest za kratą; wypuszczony na wolność, winien czuć nad sobą opiekę dopomagającą mu w znalezieniu uczciwego zarobku, oraz pilnującą, aby nie wpadł po raz wtóry w ręce złych ludzi, nic bowiem gorszego jak recydywiści; przekonała się o tem, srogim kosztem dzisiejsza Francya. Dla recydywistów są więc osobne kary, dużo ostrzejsze, a później, gdy wolność odzyskają, osobny dozór policyjny, trwający lat siedem, z obowiązkiem uwiadamiania odnośnego biura policyjnego o miejscu pobytu, oraz meldowania się tamże co miesiąc, pod zagrożeniem roku ciężkiego więzienia, jeśli wyż wymienionych nie wypełnią warunków. Utrzymywany jest starannie i drukiem prowadzonym przez samychże kryminalistów ogłaszany rejestr, wszystkich na wolność puszczonych więźniów, oraz rysopis i *curriculum vitae* każdego z osobna, co wielce ułatwia zadanie policyi. I prywatne stowarzyszenia zaczęły się gorliwie zajmować losem uwolnionych przestępców; obecnie jest tych stowarzyszeń blisko sto, rozporządzających dość znacznym funduszem, tak ze składek dobrowolnych, jak i z pieniędzy przez delikwentów w więzieniu zarobionych, a przez nich w ręce tych miłosiernych opiekunów złożonych. Wydano na ten cel w r. 1884—85 siedem tysięcy dwieście ośmdziesiąt funtów szterlingów, około 88.000 reńskich.

Korespondencya Lorda Shaftsbury z kapelanem więzienia w Preston, podaje ogólną a wielce ciekawą psychologiczną statystykę kryminalną, dowodzącą, że 58 procentów przestępców stanowią ludzie, którzy pierwszą winę popełnili nie doszedłszy do lat 15-tu. Do takich początkujących delikwentów stosują się prawa zapobie-

gawcze, postanowione ku uratowaniu tych biednych, opuszczonych dzieciaków, oraz jako najpewniejszy środek, żeby zatamować rozrost zbrodni w ogóle. Oto rezultat tychże zapobiegawczych praw: w r. 1816 ludność londyńska wynosiła niespełna półtora miliona mieszkańców; tegoż samego roku statystyka karna zapisuje, przeszło tysiąc przestępców niżej lat 20-tu, z tych połowa niżej 17-tu, a w liczbie tych ostatnich, kilku 9-cio i 10-cioletnich chłopaczków. Dziś, tj. z końcem r. 1884, na dwudziesto-siedmio milionową ludność Anglii i księstwa Valii, spis więźniów wynosi dwieście siedmdziesiąt pięć winowajców niżej lat 16-tu, a trzy tysiące dwieście dwadzieścia sześć, między 16 a 21 rokiem życia. Do tak wymownych cyfr, nic dodawać nie potrzeba. Przestraszający na początku naszego stulecia procent niemal dziecinnych delikwentów, uważa Sir du Cane za loiczne następstwo zdrożnego ze wszechmiar dawnego systemu, wspólnego pomieszczania młodych tych grzeszników, z najgorszego kalibru zbrodniarzami. Dziś rozdział między nimi jest zupełny. Prócz tego, do młodych przestępców stosuje się system poprawczy, pouczający i zapobiegawczy; system czysto karny pozostaje dla zatwardziałych grzeszników. Młodzi delikwenci mają szkołę poprawczą *a reformatory school* z tej przechodzą, jeśli się w pierwszej uczciwie zachowywali do szkoły przemysłowej *industrial school* gdzie się ta nieszczęśliwa dziatwa, prócz katechizmu, czytania, pisania i rachunków, nauczyć może rzemiosła zapewniającego jej utrzymanie na resztę życia.

Na zakończenie sprawozdania ciekawej, pouczającej, a tak zacnej książki Sir Edmunda du Cane, dodać się powinno, że w Anglii i rząd, i społeczeństwo, żadnych od pół wieku nie zaniechały środków, nietylko ku złagodzeniu okropnego za dawnych czaczasów losu więźnia, ale z niemniejszą, uznania godną a rozumną wytrwałością, starały się różnemi publicznemi i prywatnemi instytucyami zapobiedz ogólnemu wzrostowi zbrodni. Świadczą o tem świetnie więzienne statystyki i rejestra.

A. M. L.

Histoire littéraire des Vaudois du Piemont, par *Edouard Montet.* docteur en théologie, privat docent à l'université de Genève, Paris 1885. p. XII. 241.

Z tytułu, spodziewaćby się trzeba „Historyi" literatury Waldensów. W przedmowie podaje wprawdzie autor wiadomość o istniejących do dziś dnia waldeńskich rękopismach; zastanawia się na chwilę nad ich językiem, zlepionym z prowensalskiego i włoskiego, — ale też na tem kończy się „literacka historya". Natomiast z pierwszą stronicą samego dzieła, rozpoczyna się historya już nie literatury, lecz samejże sekty, bujnie i szybko rozrosłej w dwunastym wieku, wegetującej dziś jeszcze w Piemoncie. Autor jest protestantem, owszem jest doktorem i profesorem teologii protestanckiej w Genewie: o stronniczość więc dla katolicyzmu pomówić go chyba nie można, tembardziej, iż z niechęcią dla rzymskich dogmatów i Kościoła, bynajmniej się nie tai. A przecież czytając jego sumienne, na podstawie wielu nieznanych dotąd dokumentów opracowane dzieło, ma się wrażenie, jakby się czytało, jaki nieznany dotąd rozdział z *L'histoire des Variations* Bossuet'a. Wielki ten geniusz przeczuwał raczej, niż mógł udowodnić, iż i Waldensi, jak wszystkie inne sekty i schyzmy, z jednego błędu w coraz inny brnęli i brnąć będą, iż i oni ciągłą zmianą nauk swych i zasad stwierdzali i stwierdzają Boskość niezmiennej nauki Kościoła katolickiego; protestancki teolog podjął się dziś poprzeć niezbitemi dowodami tę tezę i przyznać należy, iż mu się to najzupełniej udało.

W pierwszem stadyum swego istnienia, — zupełnie jak dzisiejsi starokatolicy, — udawali się Waldensi i nazywali katolikami; w drugiem stadyum chwycili się nauki Hussa; w trzeciem i ostatniem utonęli w wygodnym, bo z zasady swej i imienia nieobowiązującym do niczego, protestantyzmie. O stopniowych tych zmianach i coraz to inaczej przekształcanej i tłumaczonej nauce wiary, świadczą najwymowniej sameż dawne rękopisma przywódców sekty: z początku niemal jeszcze zupełnie katolickie, później husyckie, wreszcie protestanckie. Przywódzcy Waldensów dostrzegli sami, iż nagłe to utonięcie w protestantyzmie niemało ich kompromitowało: to też niektórzy z nich bezczelnie sfałszowali dawniejsze, a nawet współczesne pisma swych współwyznawców, aby tak oddalając początek sekty aż do apostolskich czasów, usprawiedliwić swój powrót do wrzekomych apostolskich tradycyj, a tak uniewinnić się jeśli nie przed własnem sumieniem, to przynajmniej przed łatwowiernymi czytelnikami. P. Montet piętnuje właściwą nazwą ten sposób postępowania, ale dalszych, mimowoli niemal nasuwających się wniosków nie wysnuwa. Za autora wysnuwa sobie te wnioski nieuprzedzony, prawdy szukający czytelnik; i dlatego książka ta, choć wyszła z przeciwnego obozu, jest przecież mimowolną usługą oddaną Kościołowi katolickiemu, jak w ogóle każde dzieło historyczne oparte na poszukiwaniach sumiennych a faktów dziejowych z rozmysłem nie fałszujące. *B.*

Le monde pittoresque et monumental. L'Angleterre, l'Ecosse & l'Irlande par *P. Willars.* Paris chez. A. Quantin éditeur-imprimeur. Un volume 680 pages et illustré de 600 gravures inédites.

Nie tylko opisy dzikich krajów, lub wysp odludnych mogą rozbudzić zajęcie czytelnika, gdyż i w niezbyt oddalonych i znanych ogólnie krainach, znaj-

dzie się nie jedno miejsce mało przez podróżnych zwiedzane, nie jeden zabytek przeszłości zapomniany, a zasługujący na wzmiankę, lub może i wyłączną uwagę.

Pouczający w tym względzie przykład mamy w pięknej pracy p. Willarsa z której wszechstronnie poznać można zielone wyspy Albionu. Kto nie zwiedzał tych krajów, przebywa z autorem złudną dla wyobraźni wędrówkę — dla tych zaś co znają Londyn, lub kilka znaczniejszych miast Wielkiej Brytanii, jest książka ta pouczającem i wielce zajmującem dopełnieniem tego, co było widzenia godne a na czem oko dzisiejszego turysty zwykle nadto szybko przebiega. Nie tylko tu bowiem znajdujemy opisy większych miast, ale całego kraju, po którym gęsto zasiane zamki, klasztory i kościoły, to tyleż zabytków prastarej przeszłości, sięgającej Normandów i Saksonów. Szczególnie też są ciekawe zabytki pierwotnej normandzkiej i anglo-saksońskiej architektury, tak odrębnej od gotyki, ogólnie prawie panującej w późniejszych dla Anglii wiekach.

P. Willars zwraca umiejętnie uwagę czytelnika na archeologiczne te zabytki i pamiątki przeszłości, barwiąc wszystko, legendą, historyą i obrazami życia współczesnego, które przywiązują czytelnika do książki, pochłaniając całą jego wyobraźnię. Nie mało dodają też jej wdzięku i wartości ilustracye, reprodukowane przez fotograwurę. Nowy ten wynalazek, nie wydoskonalony dotąd, został tu zastosowany udatnie, oddając oryginalne rysunki a nie odbiegające od nich częstokroć fantazye rytowników.

Znana firma Quantin zajmuje się ciągle i w życie wprowadza szereg nowych wynalazków, na polu wydawnictw wytwornych. W zeszłym roku wyszły Gausseron'a podróże Guliwera, ozdobione chromotypografiami, dziś znowu obok *Anglii* p. Willarsa widzimy chromotypografowane akwarele, zdobiące *Wikarego z Wakefieldu* Goldsmitha a będące o wiele ulepszoną próbką od zeszłorocznych chromotypografij. Książki te jednak nie mogą współzawodniczyć z pięknem dziełem p. Willars'a, które nietylko formą zewnętrzną nęci, ale treścią przystępną i pouczającą pociąga czytelnika. Zapowiedź, że książka ta jest tylko pierwszym tomem dzieła, które świat cały obejmie, oddając naprzemian piękności przyrody, i pomniki ręki ludzkiej, zadziwia olbrzymim rozmiarem przedsięwzięcia, które jednak, licząc na środki jakiemi firma Quantin rozporządza, wkrótce zapewne urzeczywistnione zostanie. *M. S.*

Bibliographie hellénique, ou description raisonnée des ouvragres publiés en grec par des Grecs aux XV. et XVI. siècle par *Émile Legrand*. Paris. Leroux 1885. 2 vol. gr. in 8-o. CCXXX — 319; LXXX. — 453. — Cena — 60 franków.

Najpilniejsi bibliografowie stawali dotychczas niepewni i zniechęceni, przed okrytą nieprzystępnemi ciemnościami historyą literatury greckiej, przez dwa całe wieki po zdobyciu Konstantynopola przez Turków. Wprawdzie i w Grecyi i za granicą niemało o tej materyi ukazało się książek; ale bądź brak źródeł, bądź fałszywy patryotyzm, bądź inne przyczyny — dosyć, że nowsze te książki i broszury, często raczej przyczyniały się do zagmatwania, niż do rozjaśnienia pojęć. Dopiero monumentalne dzieło Legrand'a, uskutecznione dzięki wspaniałomyślności greckiego mecenasa, księcia Jerzego Maurocordato, uzupełnia ten brak znaczny i dotkliwy, już nietylko w dziejach greckiej, ale

i powszechnej literatury. Legrand zwiedził wszystkie większe biblioteki, przejrzał najdokładniej rzadkie dzieła i manuskrypta i przekonał się z pewnym podziwem, iż wielu greckich uczonych z epoki renesansu, z jego dopiero ręki doczeka się honoru pierwszej biografii; że wiele z pióra pod pióro przechodzących podań i szczegółów opiera się na złem zrozumieniu rzeczy lub fantazyi dawnego jakiego literata.

„Bibliografia grecka“ w obecnej swej książęcej szacie nie jest dostępną już nietylko dla każdej kieszeni, ale i nie dla każdej biblioteki publicznej; nie w tym też celu łożył na nią francuski profesor swą pracę, a grecki książę swe złoto. Bądź co bądź każdy specyalista, każdy autor studjujący dzieje literatury powszechnej, a w szczególności greckiej, zmuszony odtąd będzie sprostować mylne swe dotychczasowe mniemanie wedle nowych tych odkryć, a tak cenne złoto, złożone w kopalni, dostępnej w tej chwili tylko dla niewielu uprzywilejowanych, przemieni się niebawem w powszechnie kursującą monetę.

B.

Dictionnaire abrégé de six langues slaes (russe, vieux-slave, bulgare, serbe, tchèque et polonais) ainsi que français et allemand, rédigé sous les auspices de son altesse impériale le prince Pierre d'Oldenbourg par le professeur *F. Miklosich.* Vienne 1885.

Kto wie, jak znakomite dzieła naukowe wychodzą z pod pióra prof. Miklosicha, ten nie będzie się śmiał ze mnie, że wyczytawszy w „Przewodniku bibliograficznym“ tytuł tego słownika, biegłem czemprędzej do księgarni, aby go obejrzyć a może i zakupić. Lecz jakież było moje zdziwienie! Znajduję wprawdzie grubą książkę, w niej papier i druk prześliczny, ale rzecz sama — ot, po prostu niegodna imienia wielkiego i zasłużonego człowieka, jakim jest Miklosich. O ile wiemy skądinąd, nie jest to wcale wina głównego redaktora (nad tym słownikiem pracowali i inni uczeni), gdyż plan dzieła był mu z góry narzucony, jednakże mógł takiego planu nie aprobować, i w ogóle takiej pracy się nie podejmować, któraby zapatrywaniom jego naukowym nie odpowiadała. Plan tego dzieła jest taki, że na czele mamy gołe wyrazy rosyjskie ze starosłowiańskiemi pod spodem, bez żadnych objaśnień i zwrotów mowy, a potem w odrębnych rubrykach następują znowu gołe wyrazy z innych języków słowiańskich koleją w tytule naznaczoną. Plan, jak widzimy, nie nowy, bo znajdujemy go w słowniku Dietzmanna, już przed 40 laty wydanym, obejmującym kilka języków europejskich. Słownik zatem Miklosicha napisany dla Rosyan, ale zapytać się godzi, na co się on im przydać może. Oczywiście, jeżeli zechce ktoś w Petersburgu się dowiedzieć, jak będzie po polsku lub po czesku *pleść*, to się z tego słownika dowie, że *pleść* znaczy po polsku także *mówić niedorzecznie*, nie nauczy się z niego zgoła używania wyrazów, czyli innemi słowy, nie będzie mógł z niego uczyć się mówić temi sześcioma językami, które ten słownik obejmuje, choćby nawet dodatkowo obeznany był z gramatyką tych języków. Do celów zatem praktycznych słownik ten przydać się nie może nawet dla Rosyan, a dla nierosyan nie ma on pod tym względem zgoła żadnego znaczenia. Ale może pod względem naukowym ma ten słownik jakąś wartość. Pod względem naukowym miałby taki słownik wielkie znaczenie, gdyby był słownikiem etymologicznym, i takiego to słownika spodziewaliśmy się po Mi-

klosichu, ale takim słownikiem słownik ten nie jest, a więc i w celach naukowych wartość jego jest więcej niż problematyczna.

Część polską tego słownika opracował A. Brückner, profesor gramatyki porównawczej języków słowiańskich na uniwersytecie berlińskim. Opracowanie to dość staranne, choć trudno na wszystko się zgodzić. Szan. profesor podaje formy jak wierz*chiem* str. 65, kłapou*chi*, str. 73, (zam. wierzchem, kłapouchy). Prawda, że niewykształcony lud we Lwowie tak mówi, ale takich form żaden Polak cokolwiek znający swój język nie używa, i nie można ich też za wzór podawać. Fałszywe są też formy: jednoróżec str. 205, gróbla str. 237, rębać, porębać str. 265. Mówi się i pisze się po polsku: jednorożec, grobla, rąbać, porąbać. Niepodobna się też zgodzić na *warząchew*. Wyraz ten brzmi w ustach ludzi wykształconych *warzecha*, tak też brzmiał w XVI. w. i etymologicznie brzmieć powinien. Lud mówi obok *warzecha* także *warzocha*, podobnie jak *plewa* obok *plowa*, mówi także *warzochew* i *warząchew*, ale samogłoska nosowa w tym wyrazie jest równie błędem, jak w wyrazach *mięszkać, mięszkanie*. Takich form uczony profesor nie powinien także za wzór podawać. A wreszcie jeszcze dwie uwagi. Szan. autor pisze: „transpiracia“ str. 273, „lukrecia“ 319, „nasturcia“ 387, „mesiasz“ 343, „pensia“ 503, „stacia“ 809 i t. d. Nie należymy do tych ludzi, co nie mając nic lepszego do roboty, psują sobie głowy zagadnieniami ortograficznemi, wprowadzają coraz to nowe reformy, bałamucą piszących, a co najgorsza szkołę, gdzie dziś panuje pod tym względem okropny zamęt. Otóż my do takich nie należymy, ale pozwolimy sobie zwrócić uwagę szan. profesora, że pisownia *lukrecia* zam. *lukrecya*, albo jak inni chcą *lukrecyja* lub *lukrecja*, najmniej odpowiada organizmowi naszej pisowni. Wprawdzie organizm naszej pisowni uważają niektórzy mędrkowie za bardzo wadliwy, ale dopóki on obowiązuje, to trzeba się go trzymać, zwłaszcza, że np. Anglicy i Francuzi mają jeszcze wadliwszy, a wcale nie myślą go porzucać. Organizm naszej pisowni nie powstał dzisiaj ani wczoraj, nad jego wytworzeniem pracowały wieki; pisownia nasza, to stara szata naszej mowy, stary strój narodowy naszego języka. Dopóki naród nie zgodzi się na porzucenie tego zabytku po wielkich ojcach naszego piśmiennictwa i nie zechce odziać swej mowy w wymędrkowany strój, skrojony Bóg wie na jaki wzór cudzoziemski, niepodobna nie trzymać się tego starego „munduru“. Autor tłumaczy „Rispengras“ przez wyrazy *mietlica, mietła, wiklina* (str. 361). Gdzie też *wiklina* ma choć cokolwiek wspólnego z *mietlicą! Mietlica, mietła* to trawa, ale *wiklina* to przecież *krzaki!*

Szymon Matusiak.

Z pism peryodycznych.

Historisch-politische Blätter für das katholische Deutschland herausgegeben von *Edmund Jörg* und *Franz Binder*. 96. Band. München 1885. In Commission der Literarisch-artistischen Anstalt.

Lat temu 38 znakomity człowiek, uczony i literat, I. J. Görres, uszedłszy pruskiego pościgu, w Mnichowie, gdzie spokojny

znalazł kąt i zajęcie przy tamtejszym uniwersytecie, stanowiąc jedną z najpiękniejszych jego ozdób, w r. 1838 pismo pod powyższym począł wydawać tytułem.

Rozległą a głęboką wiedzę i wykwintność natchnionego słowa zwrócił przeciw destrukcyjnym dążeniom protestantyzmu i nieludzkiej pruskiej biurokracyi.

Charakter ten zachowało pismo dwutygodniowe podziśdzień. Pomimo wszelkiej przewrotności zmiennego losu, walczy ono z nieustraszoną odwagą, jaką się założyciel jego odznaczał, za najwyższe dobra ludzkości, jakiemi są: wiara, prawda i prawo.

Treść pisma, zgodnie z zapowiedzią na tytułowej karcie, stanowi historya i bieżąca polityka. Historya atoli pojęta jest w najrozleglejszem znaczeniu wyrazu, jako obraz rozwijający się we wszystkich kierunkach swego doczesnego pochodu; obok ściśle historycznych, na głębokich studyach źródłowych opartych rozpraw jak np. „Wielka pielgrzymka dzieci na górę św. Michała w Normandyi około r. 1457“ lub „Upadek Strassburga r. 1681“, wiją się z niemniejszą znajomością stosunków i duszy ludzkiej kreślone życiorysy, np. „Tomasz O'Hagan, lord-kanclerz Irlandyi“, który 1 lutego 1885 r. namaszczony przez kardynała Manninga doczesną zakończył wędrówkę. W ustępach jak np. „Wycieczka z Konstantynopola do Nicei“ podróżuje się przez szmat ziemi, której natura, ludzie i ich dzieła żywem przemawiać się zdają słowem, tak zajmującem jest przedstawienie. Ażeby dać wyobrażenie o tendencyach i charakterze pisma, wybieramy przed innemi traktaty, mogące nietylko specyalisty lecz szerszego ogółu wykształconego wzbudzić zajęcie.

W traktacie zatytułowanym „Do filozofii historyi“ szuka autor, rzuciwszy uwagę że dopiero przez chrześcijański pogląd na świat historya ludów wznieść się mogła do wysokości historyi ludzkości, odpowiedzi na pytanie o ostateczną przyczynę wszystkiego, co się działo i dzieje. W tym celu przebiega wieki średnie, które nie wyszły poza granicę przez św. Augustyna pociągniętą. Dłużej zatrzymuje się przy Buckle'a „Historyi cywilizacyi Anglii“; zbija tegoż materyalistyczne poglądy; w szczególności rozprawia się z autorem co do znaczenia statystyki, którą Buckle zastępuje „wolną wolę“. Otóż pod tym względem nawet buddhaizm staje wyżej, o ile woli

nie przeczy. Równie odpowiada na zdanie Spinozy: „Ludzie sądzą się wolnymi, nie umiejąc dociec przyczyn swego działania“. Następnie zbacza do fizyko-historyków w rodzaju Tain'a, dla którego dzieje istnieją jako problemat matematyczny a „cnota i występek w takim samym do siebie zostają stosunku jak cukier a witryol“. Dopiero Kant, do którego zawraca, mieści w swojej filozofii pierwiastki, z których dałoby się wysnuć zasadnicze prawo dla historyozoficznego systemu. Potem przechodzi de Lavaulx'a mikrokosmu i przyznaje, że biologiczno-fizyologiczny pogląd jest uprawniony, lecz mimo całego sprytu przedstawienia Lavaulx'a od jednostronności uwolnić go nie można. W końcu zwraca się do psychologów jak Stuart Mill i do dążności redaktorów pisma „Zeitschrift f. Völkerpsychologie“ Lazarusa i Steinthala. Przebiegłszy tedy tak daleką drogą dochodzi do wniosku, że istniejące historyzoficzne systemy są tylko filozofowaniem o historycznych pojawach ale nie princypiów podatkiem i że metafizyka jedynie na zasadnicze prawo dziejowe odpowiedzieć może, lecz — w czem słaba strona szeroko pomyślanego traktatu — nie podaje żadnych dalszych pozytywnych wywodów zadowalając się samem pytaniem „co po tym względzie filozofia, co metafizyka zdziałała?...

Z wyżyn metafizycznych zagadnień z prawdziwą rozkoszą zstępuje czytelnik do galervi „Rafaelowskich Madon“, jakich pięćdziesiąt w wzorowem ugrupowaniu inny traktat na widok wystawia. Tu znika mglistość więcej przeczutego aniżeli śmiertelnym wzrokiem dojrzanego zaświata. Rozmaitość barw i przedstawienia świętej Dziewicy, dająca się sprowadzić do jednego princypium w szczegółach tak pomysłowego artysty, koi niejako tęsknotę duszy szukającej jedności w nieprzejrzanej rozmaitości wszechświata. Sztuka ją tylko dać może i umie!... Wśród przeglądu najdłużej zatrzymujemy się z autorem przy światu znanem arcydziele — przy Madonnie Sykstyńskiej. Pytanie, które niejako samo się narzuca, czy ten utwór zasługuje na tak ogólny podziw, jaki mu się dostał w udziale, rozwiązuje się na podstawie jędrnej i arcyzręcznej krytyki estetycznej. Mimochodem umknął autor pytanie o genezie obrazu, dochodząc do, zdaniem naszem, zupełnie słusznego wniosku, że tego rodzaju zagadnienia bynajmniej uprawnionem nazwać nie można, albowiem jakiejkolwiek okoliczności, powstanie dzieła zawdzięczyć nam wy-

padnie, wartość jego przez to ani się nie obniży ani też podniesie. Przy tej sposobności odpiera autor bardziej za pewnemi kompendyami powtarzane aniżeli rzetelnie odszukane zarzuty, że w obrazach Rafaelowskich nie ma najmniejszych cech religijnych i kościelnych. Za tego rodzaju zdaniem mogłaby chyba tylko „Madonna z Foligno“ przemawiać, gdzie dzieciątko Jezus zanadto realistycznie zostało pojęte. Kościół, czem się traktat kończy, sprzeciwia się tylko płaskości, niskości i trywialności w dziełach sztuki, darzy atoli wszelkiem uznaniem wzniosłość nie zważając na to, jakiemi osiągniętą została środkami.

Ze sfery czystej i pięknej myśli sprowadza nas traktat „O pojedynku“ na arenę niestety często wcale nieponętnej rzeczywistości i mizeryi ludzkiej, co więcej, barbarzyństwa, jakiego tyle ze swych zdobyczy chełpiący się wiek mimo uznania, że jest barbarzyńskim zabytkiem, nawet otwarcie zaprzeć się nie zdolny!...

Autor, podawszy na podstawie etyki katolickiej (w niemieckim kodeksie definicyi nie masz) znaczenie pojedynku, ogranicza przedmiot, wykluczając amerykański pojedynek jako przymusowe samobójstwo, tudzież ortele i turnieje, niedające się podsumować pod pojęcie: *causa privata*. Następnie kreśli w krótkości historyę pojedynku. Klasyczna starożytność pojedynku nie zna, albowiem nie odróżnia czci osobistej od czci publicznej, obywatelskiej. Albo się jest dobrym obywatelem i bitnym żołnierzem, albo się nim nie jest, za czem idzie ἀτιμία — infamia, której żaden pojedynek nie zetrze, gdy raz komuś słusznie zarzuconą została. Injuryi prywatnej dochodzą sądy i karzą głównie grzywną. Za to germańszczyzna opływa w rozmaitego rodzaju pojedynki, które dopiero w XVI. w. z zaprowadzeniem prawa rzymskiego dowodem sądowym być przestają. Od tej doby poczyna się nowoczesny pojedynek, który autor powołuje przed forum rozumu, prawa, parlamentu i Kościoła.

Przed trybunałem zdrowego rozsądku pojedynek najlżejszej nie wytrzymuje krytyki, albowiem dziura w ciele przeciwnika nie jest w stanie załatać dziury w nadszczerbionym, a najczęściej bardzo wątpliwej jakości, honorze.

Prawo u wszystkich ucywilizowanych narodów zabrania tego rodzaju załatwiania spraw honorowych. Z władców najsurowiej wystąpili przeciw pojedynkowi Józef II., którego o *ultramontanizm*

pewnie posądzić nie można, i Max Emanuel bawarski. Ostatni za samo wyzwanie zagraża utratą wszelkich przywilejów i konfiskatą! Mieszczanina każe wieszać, szlachcica ścinać. Tej samej karze ulegają również sekundanci. Parlamenty potępiają pojedynek, lubo pruski minister Gossler chce się dopatrzeć w pojedynku resztek dawnego rycerskiego animuszu. Animusz ten, zdaniem naszem, tylko romantycznem okiem oglądany ponętnie wyglądać może, głębsze badanie i trzeźwa rzeczywistość do onych czasów pewnie nie zatęskni. Daje też w tym względzie człek prawa i prawy — Windthorst ministrowi natychmiastową odprawę, gdy mówi: „Pojedynek jest absolutnem bezprawiem. Wbrew oświadczeniom ministra nie mogę dopatrzeć się w pojedynku niczego, coby jakąkolwiek korzyść dawało. Żałuję mocno, że minister uważa niejako za rzecz godziwą, brać pojedynek w obronę". Także w parlamencie austryackim sprawa pojedynku stanowczą znalazła odprawę w przemówieniu posła Greutera, którego zapatrywania p. minister we wszystkiem podziela, chociaż otwarcie oświadcza, że w tej mierze cały niemal korpus oficerski ma przeciw sobie [1].

W końcu podaje autor środki zaradcze przeciw barbarzyńskiemu zwyczajowi, który tylu niewinnych o życie przyprawił a niejednej rodzinie niegodziwy zadał cios. Wnioskom autora w zupełności przyklasnąć można. Oświata, prawo i społeczeństwo atoli jeszcze wiele pod tym względem mają do zrobienia.

Przechodząc do strony politycznej pisma mamy do czynienia z poglądami i zasadami, jakie reprezentuje „Centrum" z Windthorstem na czele. Ten sam rodzaj jasnych, sprawiedliwych, w słowie nieulęknionych z wysokości najwyższej słuszności wysnuwanych poglądów, jakie wygłaszają członkowie wymienionego stronnictwa a w szczególności z poświęceniem na wyłomie walczący dzielni posłowie z ziemi poznańskiej.

Czy się dotkniemy pruskiej polityki kościelnej, czy uczynimy przegląd wyborów w Anglii lub Austryi, czy rozpatrzymy się

[1] Jeden z najwaleczniejszych oficerów, jenerał Lyons, który, poległszy w r. 1861 w bitwie nad Missouri, dostateczne męstwa złożył dowody, zasadniczo każde wyzwanie odrzucał, utrzymując, iż mu życia, które usługom i obronie ojczyzny poświęcił, lekkomyślnie narażać nie wolno. Zdaje mi się, że to jedynie godny sposób myślenia prawdziwego obywatela i obrońcy ojczyzny.

w groźnych zawikłaniach na wschodzie, czy przesuną się przed nami smutne obrazy z pogrzebu Wiktora Hugo, wszędzie uderza prawda, przedmiotowość i sympatya dla wszystkiego, co ma za sobą prawo bytu płynące z wyższych zasad i praw aniżeli przemijające zachcianki i rachuby przemiennych też mężów stanu. Rozbierając np. zatarg o spadek Brunświcki powiada: „Kanclerz wielkie dyplomatyczne odniósł zwycięstwo w kampanii, w której ani kropla krwi nie popłynęła, ale za to wiele praw zasadniczych ofiarą padło“... Mówiąc o „najnowszem stadyum walki kościelnej“, pisze: „Gdy 3 grudnia z. r. wniosek Windthorsta dotyczący zniesienia praw majowych postawiony został na porządku dziennym, zjawił się książe w parlamencie. Od lat już kilku przy podobnych rozprawach nie bywał w parlamencie. Ale wnet się okazało, dla czego właśnie teraz przybywa. Czuł potrzebę umyć ręce i zrzucić z siebie winę za ekscesy kulturkampfu. Nie nawiązując do słów słynnej mowy w izbie wyższej „papież, który nam naszej duszy zabrać chce zbawienie“, lecz do ugody w Kissingen z r. 1878 oświadcza: ...„było to wśród największego rozkwitu surowych praw majowych z wszelkiemi ich skutkami, z jakiemi się nie godziłem, lecz do walki tylko wciągnięty zostałem. Przez kogo? No — przez Polaków, przez polonizacyę (— tego, co od wieków polskie?! —) wschodnich prowincyj i przez wpływ polskich magnatów na katolicki wydział w ministerstwie wyznań“... „Otóż i to, dodaje autor, jest *idée fixe* kanclerza i właśnie teraz barbarzyńskiem a systematycznem wypędzaniem polskich poddanych się objawia“. Dziwny to zaiste objaw wśród narodu, którego dzieci tyle w szerokim świecie znajdywały gościnności, idąc za chlebem, którego całość i wielkość nie w małej cząstce polską została okupiona krwią, którego natchnieni wieszcze odzywali się nutą jak: *Raum für alle hat die Erde*... Rzućmy zasłonę na ten smutny obraz, na którego widok za wroga rumienić się musimy, sprawiedliwość najwyższa w swoim czasie swoje zrobi...

Lustrując szeregi nowego składu parlamentu wiedeńskiego, spokojnie i trzeźwo kreśli charakterystykę poszczególnych stronnictw, jakoteż ich widoki w przyszłości. Ile sąd jest nieuprzedzony i trzeźwy, może dowiedzie ustęp nawiązany do wniosków Lienbachera, gdzie czytamy: ...„Co dotyczy germanizacyi, nawet pomylić się nie można. Gdyby nawet innej przestrogi nie było, sam drogoskaz wskazujący

drogę do Węgier, powinienby nieszczęsnego poczynania odradzać. Albo-li może roztropny mąż stanu sądzić, że próby germanizacyjne w obec państwowego dualizmu mogą na jakikolwiek liczyć skutek?... Centraly zawołają: „to zdrada sprawy narodowej“. Nam się jednak wydaje, że to wysoki rozum polityczny, który nie mierzy sił według zachceń, lecz zachcenia według sił“.

Obok artykułów historycznych i politycznych, wypełniają zawartość pojedyńczych zeszytów gruntowne i spokojne sprawozdania i oceny dzieł jak np. „Janssen, Historya narodu niemieckiego t. IV.“, „Geffken, międzynarodowe stanowisko papieża“, „Denifle, uniwersytety w wiekach średnich“ i t. p.

Kończąc, wyznaję jawnie, że pismo treścią i formą pod każdym względem się zaleca. Traktaty naukowe odznaczają się głębokością i jasnością przedstawienia, polityczne zaś sprawiedliwością sądów, odwagą i spokojem.

Dr. K. Petelenz.

Rozmaitości.

Ateneum warszawskie z kwietnia r. b. pośpieszyło obznajomić swych czytelników z artykułem Renana, ogłoszonym cztery lata temu w pismach francuskich. Mówimy pośpieszyło i nie bez przyczyny: albowiem skoro toż samo czasopismo, lat coś temu dwa, szeregiem artykułów, podpisanych przez p. Radlińskiego, kompilowało elukubracye Renana z przed laty trzydziestu, to, względnie czasu, obecny artykuł może być uważany za pośpiech. Tą razą pani Orzeszkowa została zawezwaną do zdania sprawy ze „Wspomnień dzieciństwa i młodości“. Renan stara się w nim usprawiedliwić swe odstępstwo od wiary.

Przedmiot widocznie nadał się autorce. Pani Orzeszkowa przywodzi w swym artykule długie wyjątki z Renana. Stracił on wiarę nie przez winę swych nauczycieli i przewodników duchownych, oni wszyscy byli świątobliwymi i uczonymi nawet, lecz nie chcieli myślić, nie chcieli się zgodzić na orzeczenia, jakie im „krytyka“ przedstawiała. On sam długo się opierał, lecz w końcu uległ i został —

bezwyznaniowym. To jednak nie przeszkadzało mu bynajmniej do zachowania całej swej niewinności, o czem najsolenniej zapewnia swych czytelników. O ile to wszystko jest prawdą, nie zastanawiamy się; Renan dobrze jest znany i nie o niego tu chodzi. Nam tu idzie o stanowisko, jakie w swym artykule zajęła pani Orzeszkowa.

Kto zna pisma pani Orzeszkowej, wszystkiego mógł się spodziewać, jednakże czytając jej artykuł o Renanie, z trudnością można się powstrzymać od przygnębiającego wrażenia. Mężczyzna bezwyznaniowy sprawia smutne wrażenie, kobieta bezwyznaniowa budzi wstrętny niesmak.

Pani Orzeszkowa nie wierzy w cuda, dobre one są dla Bretonów. „Na staropogańskim, pisze ona, a w całej sile swej trwającym podkładzie wiary w gusła i czarodziejstwa, legła tu, żadnem światłem krytyki nieprzenikniona warstwa wiary w cuda". Pani Orzeszkowa, jak się z tych jej słów okazuje, nie jest chrześcijanką. Bretonowie, pisze dalej, „żyją nie już nawet w wieku XIII. lub XII., ale w IV. lub V. ery naszej, to jest w wiekach, w których religia jednobóstwa wielce cienką warstwę swych pojęć kładła na gruby pokład bałwochwalstwa". Co więcej pani Orzeszkowa nietylko nie przyznaje się do chrześcijaństwa, ale z boleścią i goryczą wspomina o nawróceniu Littré'go, „którego ostatnie chwile są i na zawsze może pozostaną b o l e ś n ą tajemnicą". Z tego się pokazuje, iż co się tyczy wyparcia się chrystyanizmu, pani Orzeszkowa dorównywa Renanowi, lecz skoro się rozchodzi o kapłanów katolickich, wówczas sam ex-kleryk św. Sulpicyusza jest zakasowany, wówczas, pani O. nie przebiera już w słowach, a nawet dobiera takich, których pewnie w dobrem towarzystwie nie śmiałaby wymówić.

„Z obowiązku i zadania — pisze pani Orzeszkowa o kapłanach w seminaryum św. Sulpicyusza — które im spełniać wypadło, uczeni, energiczni, częstokroć utalentowani Sulpicyanie musieli zarazem umierać za życia, martwieć wewnętrznie, ś m i e r d z i e ć (sic), wstręt budzić, wychodzić z szeregów ludzkich, być niczem" ...

Dosyć, zamykamy książkę; obawiamy się napotkać wyrażenia, któregoby ani przytoczyć nie można było, ani może nawet czytać nie wypadało.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Pierwszy synod plenarny w Australii.

Początek kościoła australskiego. — Znaczenie synodu plenarnego. — Początek uroczystości. — Kazanie. — Nabożeństwo żałobne i mowa na niem. — Sprawy i obrzędy połączone z synodem. — Zamknięcie synodu. — Mowa kardynała arcybiskupa.

Dzień 15 listopada 1885 r. pamiętnym będzie nietylko dla Australii, lecz dla wszystkich katolików; synody i sobory stanowiły zawsze ważne epoki w katolicyzmie: są one środkiem do utrzymania czystości wiary, podniesienia poziomu moralnego, są oznakami siły i żywotności Kościoła Chrystusowego; zebranie książąt Kościoła w Sydnej jest nadto ważnem z innego jeszcze stanowiska. Ażeby poznać całą doniosłość tego zdarzenia należy nam rzucić okiem w niedaleką przeszłość.

Na początku bieżącego stulecia, cała ta piąta część świata, była jeszcze pogrążoną w dzikości i barbarzyństwie. Osiedlający się Europejczycy, walczyć musieli ze strasznym nałogiem krajowców — ludożerstwem. Misye protestanckie zakładane przez Holendrów i Anglików, miały więcej cele handlowe, aniżeli chrześcijańskie. Ludność australską stanowiły nieliczne plemiona rasy Maori, na najniższym szczeblu oświaty stojącej, oraz gromady przestępców, których tu Anglia jako do swej najdalszej kolonii karnej wysyłała.

Rząd kolonialny anglikańskiego wyznania, niedopuszczał zakładania misyj katolickich. Gdy w roku 1787 dwóch księży prosiło o dozwolenie przybycia do Australii dla duchowej obsługi katoli-

ków, którzy się między deportowanymi znajdowali, prośba ich została odrzuconą.

Lecz Opatrzność ma swoje drogi. W 1802 r. trzech księży irlandzkich: Harold, O'Neill i Dixon, za polityczne przestępstwa przeciw rządowi angielskiemu, skazani zostali na dożywotnią deportacyę do Australii; ci właśnie zesłańcy, stali się pierwszymi pionierami kościoła na tej ziemi wygnania. W kilkanaście lat później przybył tu ks. Jeremi O'Flinn, lecz taka jeszcze wówczas panowała zaciętość sekciarska, iż mu nie dozwolono swobodnego apostołowania wśród Irlandczyków. Pomimo to założył jednak pierwsze stowarzyszenie katolickie, ku czci Przenajświętszego Sakramentu; zbierało się ono w Sydnej w ukryciu i tajemnicy, w domu niejakiego Williama Dixon. W miejscu tem, obecnie wznosi się kościół pod wezwaniem św. Patryka.

W 1820 roku ks. Therry, Irlandczyk, uzyskał nareszcie pozwolenie założenia pierwszej misyi katolickiej w Australii. Przybył on w towarzystwie ks. Connolly; i jego to niezmordowanym zabiegom, odwadze i gorliwości, zawdzięcza Australia założenie pierwszej parafii, wzniesienie pierwszej kaplicy katolickiej. Wzrastała tymczasem ludność napływowa, rośli Irlandczycy w liczbę, potrzeba więcej kapłanów czuć się dawała. Nie było tu żadnych kościołów, ani kaplic; szałasy zbite z desek były jedynem miejscem zebrania ubogich katolików. W takim jeszcze stanie zastał swą dyecezyę pierwszy australski biskup O. Fr. Murphy, który trzy dni przez puszcze i bagna przedzierać się musiał, nim trafił na pierwszą kapliczkę i kupiącą się koło niej katolicką osadę. Okoliczne zaś wyspy: Nowa Kaledonia, Norfolk i Nowa Zelandya w ludożerstwie jeszcze pogrążone były. Tak było przed 50-ciu laty zaledwie, a dziś cóż widzimy?

W ogromnej gotyckiej świątyni, której wzniesienie kosztowało miljony, przed pysznym ołtarzem lśniącym od złota i arcydzieł sztuki, widzimy 15-stu tutejszych biskupów z kardynałem-arcybiskupem na czele, otoczonych poważnem gronem prałatów i teologów, oraz przedstawicieli wszystkich prawie przez Kościół rzymsko-katolicki uznanych zakonów, zebranych ze wszystkich stron Australii, by na synodzie plenarnym rozważyć potrzeby duchowe wiernych 5-ej części świata. Tysiące ludu bierze udział w tej uroczystości —

katolicy, dla okazania posłuszeństwa i miłości ku swym pasterzom, innowiercy, by podziwiać wspaniałość obrzędów, która szła w parze z doniosłością obchodu. Jeżeli stolice katolickiej Europy, coraz mniejszy biorące udział w obchodach religijnych, smutnym są objawem czasu, to podobna uroczystość w stolicy kraju do niedawna dzikiego jeszcze, pod rządem anglikańskim zostającego, przynosi pociechę i otuchę sercu chrześcijanina.

Już w sobotę 14 listopada wszyscy przyjezdni biskupi, prałaci i deputowani zakonów, zgromadzili się w rezydencyi kardynała-arcybiskupa; zaraz po nieszporach miało miejsce w katedrze inauguracyjne posiedzenie, przy drzwiach zamkniętych. W niedzielę cały plac przed katedrą zajęty był tłumem wiernych i ciekawych. Około godziny 10 przy odgłosie śpiewu wyszła procesya. Najprzód postępował orszak kilkuset dziewcząteк, wychowanic Sióstr Miłosierdzia, z rozpostartym proporcem Najświętszej Panny. Wszystkie w bieli, z wieńcami świeżych kwiatów na głowach, niektóre w niebieskich zarzutkach, odznaczających stowarzyszenie dzieci Maryi, szły śpiewając, prowadzone przez swe mistrzynie. Za niemi, pod proporcem św. Józefa, szło 300 chłopców, wychowańcy to zgromadzenia „Braci Maryi“; wszyscy w ciemno-szafirowych mundurkach, przepasani ponsową szarfą, wśród nich wznosiło się godło: „Młodocianе stowarzyszenie wstrzemięźliwości“. Zgodne ich głosy odpowiadały śpiewom dziewcząteк. Za niemi postępowały różne bractwa i stowarzyszenia katolickie, niosące każde swoją chorągiew.

Okrążywszy północną stronę katedry, orszak zatrzymał się przed bramą dziedzińca rezydencyi kardynała, gdzie oczekiwali nań wszyscy duchowni w pontyfikalne szaty ubrani; tu zajęli oni stosowne miejsca i cała procesya posunęła się naprzód, a po okrążeniu placu przed katedrą, wstąpiła w jej podwoje z przeciwległej strony. Dzień był prześliczny, pochód wspaniały. Wśród bicia dzwonów i odgłosu hymnu *Veni Creator* setkami piersi śpiewanego, wśród tłumu wiernych z odkrytemi głowami, postępował zwolna cały orszak. Za dziećmi i za bractwami szli dwoma szeregami licznie przybyli kapłani świeccy z rozmaitych parafij, oraz przedstawiciele zakonów: OO. Jezuitów, Franciszkanów, Redemptorystów, Benedy-

ktynów, Misyonarzy czyli, jak ich tu nazywają: Wincencyanów, Marystów, między którymi przesuwały się białe habity Dominikanów i Karmelitów.

Dalej w mitrach od złota i purpury lśniących, ukazuje się majestatyczne grono 15-stu książąt Kościoła, cała Oceania jest tu reprezentowana. Wreszcie poprzedzony przez dwóch kapelanów niosących krzyż srebrny, w asystencyi dyakonów, postępuje Kardynał-Arcybiskup, podniesioną ręką błogosławiąc tłumy kornem czołem pochylone. Jeżeli taki uroczysty pochód głębokie robi wrażenie w miastach, które zachowały jeszcze wiarę i obrzędy katolickie, to tem bardziej na ziemi angielskiej, wśród ludności innowierczej, która do niedawna jeszcze, parodyowała podobne obchody i wlokąc po ulicach bałwana przyodzianego w pontyfikalne szaty, dzikie wydawała okrzyki *no popery*. Po skończonej ofierze Mszy świętej, którą celebrował sam Arcybiskup, wstąpił na ambonę ks. Redwood, biskup z Wellington w Nowej Zelandyi. Kaznodzieja, przemawiając do zgromadzenia, w którym wielu się znajdowało niedawno na łono Kościoła przyjętych chrześcijan, starał się przedewszystkiem w wybitnych rysach skreślić dzieje Kościoła Chrystusowego. Wykazał Boski jego początek, rękę Bożą, która nim zawsze kierowała, jego dobrodziejstwa cywilizacyjne dla społeczeństwa, walki i zwycięstwa z dawnemi herezyami i odszczepieństwami, wreszcie zaciętą dziś walkę bezwyznaniową. Mowa wypowiedziana z podniosłym nastrojem ducha, owiana ciepłem miłości chrześcijańskiej doskonale zrobiła wrażenie nawet na innowierców.

Po kazaniu nastąpiły modlitwy przepisane, wyznanie wiary składane w ręce kardynała, odczytanie B r e w e, i wreszcie telegramu nadesłanego przez kard. Jacobini'ego: *Summus pontifex gratulatur ac petitam benedictionem peramanter impertit;* poczem kardynał udzielił apostolskiego błogosławieństwa członkom synodu. Na tem się zakończyło świetne nabożeństwo poranne. Po południu, taż sama, jeżeli nie większa jeszcze liczba wiernych napełniła świątynię. Po uroczystych nieszporach, kazaniu i stosownych modłach, przystąpiono przy drzwiach zamkniętych do obioru członków rozmaitych komitetów, które miały nazajutrz rozpocząć swe czynności. Jeżeli ważne a trudne jest zadanie synodu w kraju, w którym wszyscy są chrześcijanami, wszyscy stoją prawie na jednym stopniu oświecenia, o ileż trudniej-

szem jest na tej drugiej półkuli, wśród tylu ras, tak różnych stopni kultury umysłowej, w obec dzikiej większości pogańskiej, w obec zawistnych stronnictw różnowierczych! Jaka naprzykład ogromna różnica jest między srogiemi ludami Nowej Zelandyi a łagodnymi mieszkańcami wysp Oceanii; jaki skok cywilizacyi między miastami Australii, które przyswoiły sobie wszelkie wymogi świata europejskiego, a sąsiadami ich najbliższymi, właściwymi tubylcami, dzikiemi plemionami czarnych! Każdy kraj, każda wyspa, każda niemal miejscowość potrzebuje właściwych środków: tu należy krzewić chrześcijaństwo, tam utrzymywać jedność i czystość wiary, indziej znowu obudzać i utrzymywać życie religijne, które tak łatwo tonie w materyalizmie.

Codziennie od godziny 9 rano do 5 po południu, odnośne komitety zgromadzały się w swych salach; dwa razy zaś w tygodniu w katedrze, na ogólne posiedzenie przy zamkniętych drzwiach. W godzinach przedwieczornych odbywały się solenne nieszpory z wystawieniem Najśw. Sakramentu. Kilka razy odbywały się publiczne posiedzenia, poprzedzane uroczystem nabożeństwem; na jednem z nich przemawiał J. Eks. Reynold biskup z Adelaidy (północna Australia), którego imię znanem i czczonem być powinno w naszym kraju, gdyż jest on szczególnym opiekunem tej garstki Polaków, którą tułacze losy w te odległe krańce świata zapędziły.

Dzień 25 listopada poświęconym był nabożeństwu żałobnemu za dusze zmarłych na tej ziemi kapłanów, między którymi ostatnim był arcybiskup Vaughan, którego staraniem stanęła wspaniała katedra w Sydney. Cała świątynia kirem wybita, wspaniały katafalk mnóstwem światła otoczony, rzewne tony organów i chórów męskich, które wykonywały *Requiem* Mozarta — wszystko to głębokiem wrażeniem napełniło serca wiernych. Po skończonych egzekwiach i Mszy św. wstąpił na ambonę O. Cahill T. J. Kaznodzieja przypomniał zasługi zmarłych kapłanów, w szczególności zaś ostatniego arcypasterza, którego działalności zawdzięcza Kościół australski rozkwit w którym się obecnie znajduje, przypomniał, że on pierwszy sprowadził tu zakony i męskie i żeńskie, które w swych szkołach, konwiktach i kolegiach wychowując młode pokolenia, przysposabiają prawe dzieci Kościoła. Dalej wskazał niezbadane drogi Opatrzności, która złą wolę ludzi i nawet ich zbrodnie używa do swych świętych celów.

„Niezbadane są, mówił on, wyroki i drogi mądrości Bożej! „Trzysta lat temu, wielki i potężny naród, idąc za wolą bezbożnego „króla, odstąpił od jedności z Kościołem, lecz zależny od tego pań- „stwa, mniejszy i słabszy naród, nie chciał się przeniewierzyć wierze „swych ojców, i powstała walka między niemi, która do dzisiejszego „dnia trwa jeszcze. Anglia, dumna swą potęgą, zaślepiona w swem „odszczepieństwie, całą swą energię i siłę skierowała ku wytępieniu „wiary katolickiej w Irlandyi. Powstały prześladowania, przypomi- „nające czasy Neronów i Dyoklecyanów. Najsroższe prawa i ustawy „ku temu celowi skierowane, ciemiężyły biedną ludność. Konfiskaty, „wywłaszczania, więzienia, tortury, wyroki śmierci następowały „jedne po drugich, ale nie odniosły one zamierzonego skutku. Wy- „darto im mienie, wydarto im piękną i melodyjną gallijską mowę, „lecz nie wydarto wiary".

„Kościoły pozamykane, kapłani uwięzieni lub wygnani, ziemia „przeszła w posiadanie Saksonów. W takich warunkach po ludzku „sądząc, czyżby Kościół katolicki nie powinien był upaść w tym „kraju? A jednak przeżył! I nietylko przeżył, ale rozszerzył się po „świecie. Potęga Anglii wzrosła, dziś władza jej rozciąga się na „obie półkule, angielską mowę słychać na niezmiernych przestrze- „niach Afryki, Ameryki, Australii. Otóż biedni tułacze irlandcy „korzystają z tej potęgi i z tego języka sobie narzuconego, by na „obydwu półkulach szerzyć wiarę katolicką. Spojrzyjmy na listę „tych zgasłych w Panu braci a wiernych sług Bożych — za któ- „rych w obecnej chwili modły nasze zanosimy — oprócz kilku „nazwisk obco-krajowców, wszyscy inni z irlandzkiej pochodzą ziemi. „Oni są nowożytnymi apostołami Prawdy, pod znakiem krzyża po- „ludniowego! Taką to chwalebną i świętą missyę przeznaczył Pan „narodowi biednemu, wzgardzonemu, w nagrodę za to, że odważnie „cierpiał i niezachwianie wierzył"!

Oprócz spraw właściwych synodalnych czekały jeszcze zebra- nych biskupów, a zwłaszcza kardynała-arcybiskupa, inne zajęcia i trudy. Codziennie prawie przychodziły deputacye z rozmaitych miejscowości z prośbami o poświęcenie nowo-wznoszącej się świą- tyni, lub otworzyć się mającej szkoły. Należało zwiedzać instytucye dobroczynne, rozwijające się zakłady, lub uczestniczyć w zebraniach towarzystw katolickich. Nikomu nie odmówiono, wszędzie sam kar-

dynał lub wybrany przez niego zastępca potrzebom tym i obrządkom zadosyć czynili, a każdy taki akt dawał sposobność do bliższego rozpatrzenia się w potrzebach tego młodego społeczeństwa, dodawał otuchy wiernym i wzmacniał ogniwa, łączące ich z pasterzami swymi.

Najwspanialsze tego rodzaju obrzędy odbyły się przy zakładaniu kamienia węgielnego, pod pierwsze katolickie seminaryum w Australii, które ma powstać w Manly, kilka mil od Sydney, pod wezwaniem św. Patryka. Takaż sama uroczystość odbyła się w Waratah, gdzie pod wezwaniem św. Ignacego OO. Redemptoryści pierwszy swój klasztór zakładają. Dnia 21 list. OO. Jezuici z Kollegium św. Ignacego w Riverview przyjmowali u siebie biskupów i prałatów; po obejrzeniu nowo-wzniesionego konwiktu zasiedli goście do przygotowanej uczty, poczem konwiktorzy odbyli popis naukowy, zakończony wyścigami wioślarskiemi.

Przedostatni dzień listopada został przeznaczony na zamknięcie synodu, odbyło się ono również uroczyście jak i otwarcie. Kazanie wypowiedział sam Kardynał.

Arcybiskup należy dziś do najlepszych mówców angielskich, stąd dziwić się nie można, iż pomimo niezwykle długiego swego przemówienia, które trwało całe dwie godziny, umiał przykuć uwagę słuchaczy swoich. Po skreśleniu w głównych zarysach prac synodalnych, wskazaniu poszczególnych punktów, mających na względzie wychowanie młodego pokolenia i zakładanie bractw wstrzemięźliwości, zwrócił uwagę słuchaczy na obowiązki, jakie mają względem tubylców. „Jest to wadą kolonialnej polityki angielskiej, mówił on, że zamiast obdarzać dobrodziejstwami cywilizacyi mieszkańców kraju, dąży ona raczej do ich wytępiania. Naszym zadaniem powinno być, uratować choć resztki tej pognębionej rasy. W tym celu wiele już poczynionem zostało. OO. Maryści w dyecezyi Wellington, nadzwyczaj szczęśliwie zajmują się rozpowszechnieniem wiary św. między krajowcami rasy *Maori*, dość licznie jeszcze tam się znajdującemi. Przyzwyczajają ich powoli do pracy koło roli i rzemiosł, starają się o wszczepienie w dzieci zasad chrześcijańskich, usuwają wszelkie zetknięcie z napływową niemoralną ludnością, i skutki tej cywilizacyjnej pracy dają jak najlepsze świadectwo zdolnościom tej tak dotąd pogardzanej rasy. W tym samym kie-

runku pracują zakony Benedyktyńskie w *Nuova-Norcia* w zachodniej Australii; więcej one uczyniły, śmiało powiedzieć można, w ostatnim lat dziesiątku, w wielkiej sprawie rozszerzenia chrześcijańskiej cywilizacyi między krajowcami, niż oddawna już pracujące missye protestanckie. Zebrani na Synodzie pasterze i ojcowie, postanowili i polecili zakładanie i jak największe pomnażanie takich ognisk religijnych między krajowcami. W tym celu przeznaczone zostały dość znaczne fundusze, oprócz tego, każdy z biskupów w swojej dyecezyi zarządzi zbieranie składek, któremi oddzielna komisya rozporządzać będzie".

Po skończeniu przemowy, nastąpiło uroczyste podpisanie dekretów synodalnych i wręczenie takowych Wikaryuszowi Apostolskiemu. Odśpiewanie *Te Deum* i procesya około katedry zakończyły uroczystość.

W obchodach i nabożeństwach brali udział katolicy wszystkich warstw społecznych, poczynając od najwyżej położonych. Sir Patrick Jennings, sekretarz kolonialny, wydał ucztę pożegnalną, na której oprócz biskupów i prałatów znajdowali się ministrowie rządu kolonialnego i najznakomitsi członkowie obydwu Izb.

List Słoweńca o Słoweńcach.

Od niedawna dopiero dowiedziała się Europa, że część starego Noryku i starej Panonii, południowo-wschodnie stoki Alp i doliny źródeł Soczy, Sawy, Drawy, Mury zajmuje lud mówiący po słowiańsku. Kiedy tu przybył, nie wiadomo. Nie stanowił nigdy osobnego, niezależnego państwa, nie nosił nawet nigdy ogólno-narodowego nazwiska, i w ostatnich dopiero czasach przybrał sobie nazwę, pod którą dziś jest znany, nazwę Słoweńców. Otoczony rasami: romańską, germańską i madjarską, pod ich władzą zostawał, ich ulegał wpływom i częściowo też wynaradawiał się; język i zwyczaje stare zostały jedynie pod słomianą strzechą, pół wieku temu włościanie tylko używali tu języka słowiańskiego. Obecnie stosunki zmieniły się. Pomiędzy posiadaczami większych własności nie ma dotąd Słoweńców, miasta nasze są po większej części cudzoziemskie,

ale wytworzyła się już przodująca warstwa społeczna, włościanin też wie już że jest Słoweńcem, i Słoweńcem chce zostać. Mamy w wiedeńskiej Radzie państwa naszych narodowych posłów, szkółki wiejskie są słowiańskie, w szkołach średnich uwzględniony bywa język krajowy, a z czasem, jest nadzieja, słoweński zostanie wykładowym. Jeżeli cudzoziemcy zajmują się dzisiaj coraz żywiej Słoweńcami, badają ich zwyczaje, usposobienia i stan kultury umysłowej, sądzę, że czytelnicy „Przeglądu pow." z większym jeszcze zajęciem zechcą się zapoznawać z tem, co się tyczy ich pobratymców.

I. Piśmiennictwo słoweńskie. — Stowarzyszenie św. Mohora. — Matyca słoweńska. — Czasopisma.

Najstarszym zabytkiem słoweńskiego piśmiennictwa, są tak zwane *Břižinski rokopisi* (Frissinger-Manuscript), obejmujące prócz „Ojczenaszu", „Zdrowaś Marya", „Składu Apostolskiego", różne modlitwy do spowiedzi, (znaleziono jeden w mieście Kraň, drugi w Celowcu), lecz główny początek piśmiennictwu słoweńskiemu dał S. Trubar, który zostawszy protestanckim pastorem, przełożył na język słoweński „Nowy Testament", drukowany niemieckiemi głoskami w mieście niemieckiem Tybindze. Jako przełożony luterskiego kościoła parafialnego w Lublanie, wydrukował również w słoweńskim języku „Katechizm", „Kalendarz" i inne książki drobniejsze. Przeciw szerzeniu tym sposobem sekciarstwa, wystąpił lublański biskup Tom. Kren, przełożył sam z niemieckiego i wydał dzieła: śww. Ewangelie, katechizm i wiele innych prac, a wszystkie te dzieła wyszły w Lublanie, przy końcu r. 1500, łacińskiemi głoskami wydrukowane. Te Ewangelie były i później kilkakrotnie wydawane, całe zaś Pismo święte przełożył i przygotował do druku Jerzy Zapela, z pomocą Błażeja Kumerdeja, Modesta Sraja i Józefa Skrinjarja w r. 1802. Wydanie to wnet się wyczerpnęło, a z powodu języka, który w tem tłumaczeniu łamał się jeszcze z pierwszemi trudnościami, trzeba było przedsięwziąć nowy przekład. Za pobudką biskupa goryckiego, Dra Golmayerja, podjęli się tej pracy ś. p. J. Zupan. Jos. Burger i Bl. Potočnik i wygotowali przekład śww. Ewangelij, drukowany r. 1834. Całe zaś Pismo św. starannie wydrukowane w Lublanie r. 1857 było przełożone przez Čebaseka, Hincingera, Hočevara,

L. Jerana, Marna, Fr. Metelkę, L. Pintara, M. Potočnika, M. Ravnikara i Zamejca, również za podnietą biskupa lublańskiego, A. Al. Volfa, gorliwego krzewiciela literatury słoweńskiej. Towarzystwo św. Hermagora wydało w Celowcu „Ewangelie“ wraz z komentarzem w księgarni „Slov. Goffine“ r. 1850, a potem zaś w latach 1878—1882 w 4 zeszytach.

Lud nasz jest szczerze wierzący, wielkie ma podobieństwo pod tym względem z waszym ludem polskim: chętnie nabywa on i czytuje książki treści religijnej, stąd też największa część dzieł w naszem początkującem piśmiennictwie odnosi się do działu religijnego. Wszystkie niemal obce lepsze i popularniejsze dziełka religijne przetłumaczone są na nasz język, wyszło też wiele i oryginalnych, zastosowanych do potrzeb miejscowych. Nie ma u nas żadnego większego miasta, któreby nie dorzuciło cegiełki do wspólnego gmachu: Lublana, Gorycya, Celowec, Ptuj, Marybor są ogniskami życia narodowo-religijnego.

Rozbudzenie się życia narodowego u Słoweńców datuje się od r. 1809, czyli od utworzenia przez Napoleona prowincyj ilyryjskich. X. Walenty Vodnik z Lublany wstąpił pierwszy na pole pracy umysłowej. Jego „Ilirija oživljena“ była hasłem i pobudką dla Słoweńców. Zaczęto pisać i wydawać. Ukazały się utwory całego szeregu młodych poetów, jak Cveka, Potočnika, Levstika, J. Koseski, Žemlja, Smoleca i innych, a najznamienitszego między wszystkimi Prašerna. Ich poetyckie prace wychodziły pod nazwą „Slovenska Čbelica“ zeszytami, których wiele szło do Pragi do Čelakovskiego i innych. Jeszcze żywszy ruch i pełniejsze życie obudziło się dla naszej literatury z wydawaniem rozpoczętem r. 1834 przez „Ojca Słoweńców“ p. I. Bleiweisa „Novic“, gdzie się skupiły wszystkie podówczas żyjące siły literackie. Najczynniejszym okazał się tu I. Vesel-Koseski, wydając jużto samodzielne płody poetyckie, jużto tłumaczenia. Inni młodzi literaci wystąpili tu ze swemi utworami, które po większej części wyszły i w osobnych wydaniach. Tu wydał np. M. Verne swój „Opis podróży do Jerozolimy“; p. M. Vertovec znaczną część „Historyi powszechnej“ i „Chemię dla rolników“, Koseski i Prešern swoje późniejsze utwory poetyckie, pod niejednym względem daleko udatniejsze od poprzednich, M. Zalokar znaczną część swego „Umiejętnego rolnictwa“, wydanego później osobno przez „Towa-

rzystwo rolników kraińskich". Towarzystwo to postarało się i poczyniło wszystko do wydania znakomitych dzieł, jak: „Obče Povčstnice" (Dzieje powszechne), „Kmetijska Kemija" (Chemia rolnicza), „Umne Kmetovanje in gospodarstvo" (Umiejętne rolnictwo czyli gospodarstwo), „Zivinodravilstvo" (Leczenie domowych zwierząt), napisanego przez p. Bleiweisa i Dra Strupita i najnowszą znowu książkę: „Nauk o umni živinoreji" (Nauka o umiejętnej chodowli dobytku) ze starannie wygotowanemi i załączonemi ilustracyami. Krótko mówiąc, „Novice" p. Bleiweisa i jego obok nich wydawane „Kalendarze" z życiorysami i cennemi rozprawami, jednoczyły w sobie od r. 1834 do r. 1848 całą działalność piśmiennictwa naszego.

Jednym ze znakomitych pracowników na polu narodowo-religijnem, był biskup A. M. Slomšek; urodzony w dolnej Styryi po odbyciu nauk w zniemczałem Celowcu, umiał jednakże zebrać koło siebie narodowych pracowników, zwłaszcza młodsze duchowieństwo i nauczycieli. Między nimi odznaczał się wielką gorliwością A. Janežič, którego śmierć zawcześnie wydarła Słoweńcom. On to r. 1858 zaczął wydawać pierwsze beletrystyczne czasopismo „Slov. Bčela i Glasnik", gdzie się pojawiły samodzielne płody i tłumaczenia, mianowicie z innych języków słowiańskich młodych uczonych i studentów. Między nimi odznaczał się. J. Jurčič, wydając tam swoje udatne powiastki i nowele; jest on twórcą najlepszego słow. oryginalnego romansu, a jego dzieła zebrane właśnie dopiero co, wychodzą w Lublanie pod redakcyą Dra. I. Stareta. W zakresie filologii pracowali: Oroslav Caf, Dav. Trstenjak, A. Levstik, również i Janežič; ten ostatni dokładnie opracował i wydał słoweński słownik, tak niezbędny dla nauki dla nas i cudzoziemców, chcących uczyć się po słoweńsku. Dawniejszy słownik Gustmana był już wyczerpany, zresztą nie nadawał się on do dzisiejszego stanu nauki. W zakresie botaniki wystąpił gorliwy pracownik prof. Iv. Tušek, którego rozprawy zamieszczane w „Glasniku" mają i dziś trwałą wartość, część zaś zoologiczną wspierał skutecznie, jeszcze obecnie żyjący Fr. Erjavec, prof. w Gorycyi. Historyą i geografią zajmował się i wydał wiele obszernych dzieł prof. Jesenko w Tryeście [1].

[1] Dzieła przez niego wydane są: „Dzieje starożytne, średniowieczne i nowożytne dla średnich i wyższych szkół". Dzieje powszechne wyszły jego własnym nakładem, a „Geografia" nakładem Mat. Slov. w Lublanie r. 1883.

Wiele rozpraw w „Glasniku“ podali J. Ogrinec, Jos. Gomilšak znany pod pseudonimem Andrzejów Józef, Dr. L. Toman, Orožen, Jozefa Turnogradska, Luiza Pesjakova, a przedewszystkiem i dziś bardzo gorliwa autorka Paulina Pajkova. W r. 1850 zaczęły wychodzić inne, polityczne czasopisma, z których jednakże tylko „Slovenski Prijatelj“, wydawany przez przywódzcę karyntyjskich Słoweńców A. Einspilera, przetrwał do niedawna, zajmując się pilnie literaturą religijną.

W roku 1850 zaszedł ważny fakt dla rozwoju literatury słoweńskiej. Wtedy to założono towarzystwo pod nazwą „Družstvo sv. Mohora“. Założycielem jego był A. M. Slomšek wsławiony już przedtem wydawaniem corocznem znakomitej publikacyi „Drobtinice“ razem z Einspilerem, Janežičem, I. Rozmanem, prof. Robidą, M. Majarem, nauczycielem Sommerem, ks. Lesjakiem i Fr. Zorčičem. Towarzystwo to po długiem staraniu o pozwolenie założenia, weszło nakoniec r. 1852 w życie. Towarzystwo w pierwszym roku istnienia (1852) liczyło 785 członków i wydało I-szą część książki „Slov. Gofine“, powiastkę „Blagomir“, „Historyę goryckiego arcybiskupstwa“, „Szkołę wesołego śpiewu“ i część „Rodzinnych przemów“ I. Kafola. Każdy członek płacił rocznie 1 zlr. 50 ct., a majątek Towarzystwa miał wzrastać: a) z wkładek członków, b) z darów jednorazowych dobroczyńców i c) z pieniędzy, pochodzących z rozprzedania książek. Roku 1853 liczyło Towarzystwo już 884 czł. i wydało następujące książki: powiastkę „Bozidar“, „Historyę Starego Testamentu z ilustr., przerobioną z włoskiego, naukową publikacyę „Stari Urban“ i drugą część „Rodzinnych przemów“. Roku 1854 przystąpiło 978 czł., którzy otrzymali: I-szą część dzieła napisanego przez Slomšeka „Djanja Svetnikov“ (Czyny świętych), drugą część „Slov. Gofine“, 2, i 3 księgę Mojżeszową“ i „sprawozdanie Towarzystwa“. R. 1855 wpisało się 947 człon., którzy otrzymali II-gą część „Djanja Svetnikov“, „Dzieje Nowego Zakonu“ i poezye Cveka z melodyami. Roku 1856 zgłosiło się tylko 557 czł., którym dano „Drobtinice“ za r. 1856, „Zwierciadło uczciwego życia“ i powiastkę „Elżbieta“. R. 1857 zniżyła się liczba członków na 457, którzy otrzymali „Drobtinice za rok 1857“ i „Kalendarz“. R. 1858 liczyło Towarzystwo tylko 336 czł., którym rozesłano „Drobtinice“ za rok 1858, „Kalendarz“ i książkę do modlenia: „Marya kwiat róży“.

W roku 1859 zmniejszył się jeszcze ten poczet na 263 członków, którym wydział rozdał: „Prawdy św. wiary“ i „Rožice“. Majątek Towarzystwa, wynoszący dawniej już przeszło 1200 złr. obniżył się do 467 złr. 50 ct. i oczywistą było rzeczą, że Towarzystwo musi wkrótce upaść, jeżeli się temu nie zaradzi. Wydział Towarzystwa po przybraniu do grona niektórych członków postanowił wprowadzić w życie niektóre zaradcze środki, i tak: zniżyć coroczną wkładkę jednorazowych członków na 1 złr. założyć kapitał żelazny, płacić za dobre utwory wydziałowi przesłane (najmniej 10 złr. za arkusz), wpisywać członków dożywotnich z wkładką 15 złr. na raz, albo z wkładką po 8 złr. w dwu rocznych ratach, wreszcie zwrócić się o błogosławieństwo do Ojca św.

Pius IX. w odpowiedzi na prośbę, zachęcał do wytrwania i udzielił stowarzyszonym odpusty wraz z błogosławieństwem.

Środki skutkowały. Na czele Stowarzyszenia stanęli kapłani, protektorat przyjął biskup w Celowcu, zaczęli napływać liczni członkowie, tak, iż w roku następnym 1860, Stowarzyszenie liczyło 34 dożywotnich a 1082 rocznych członków. Wydano następujące książki: „Večernice“ I i II część, rozmaitej treści, „Historyę Starego i Nowego Przymierza“ i „Kalendarzyk“ na r. 1861. Dochód wynosił 1743 złr. 58 ct., wydatek 1719 złr. 49 ct., żelazny kapitał okazał przyrost 950 złr. w obligacyach.

Roku 1861 liczyło Towarzystwo 94 dożywotnich a 1200 rocznych członków, rozesłano im: „Večernice“ (III. i IV. część), „Historya św. Nowego Zakonu“ i „Kalendarz“ na r. 1862. Dochodu było 1391 złr. 83 ct., rozchodu 1747 złr. 34 ct., dług tedy wynosił 355 złr. 45 ct. R. 1862 podwyższył się poczet członków dożywotnich na 106 a dorocznych na 1514, otrzymali oni „Večernice“ (V. i VI. część) i „Kalendarz“ na r. 1863. R. 1863 było członków dożywotnich 140, a 1522 rocznych, tym rozesłano: „Večernice (VII. i VIII. część), „Historyę św. Kościoła katolickiego“ i „Kalendarz“ na r. 1864. Dochód wynosił już 1877 złr. 22 ct., jednakże wydatek 2036 złr. 94 ct., kapitał zaś żelazny 3250 złr. Wtedy wydział ogłosił już następujące konkursa:

a) 100 złr. za najlepszy utwór powieściowy, osnuty na tle życia ludu słoweńskiego, a gdyby taki utwór się nie znalazł, 50 złr. za przekład dziełka, któreby mogło służyć ku pouczeniu i zabawie.

b) 30 złr. za najlepszą samodzielną rozprawkę z zakresu historyi lub etnografii, np. z historyi tureckiej lub francuskiej walki Słoweńców, życiorys któregokolwiek z pisarzy słow., jakakolwiek pielgrzymka i t. p.

c) 30 złr. za najlepszą rozprawę z zakresu nauk przyrodniczych lub gospodarstwa. Rzecz podówczas bardzo pożądana dla niskiego stopnia oświaty u Słoweńców.

Stowarzyszenie rozwijało się dalej i rosło. W r. 1864 zgłosiło się na dożywotnich członków 174, a 2005 dorocznych. Wydano „Večernice“ (IX. i X.), książkę do modlenia: „Jezus Chrystus“, „Hudo brezno“, „Jerzy Kozjak“, powiastka J. Jurčiča i „Kalendarz“ na r. 1865 z wykazem członków, zawierający wiele zabawnego i pouczającego materyału. R. 1865 podwyższył się poczet członków dożywotnich na 183, a dorocznych na 2534. Wydano książki: „Večernice“ (XI. i XII.), powiastkę „Oglenica“, „Cvetnik“ rzecz rozmaitej, przeważnie zabawnej treści, i „Kalendarz“ na r. 1866. Dochody przewyższały już wydatki o 448 zlr. 17 ct., za które zakupiono wiele książek i rozesłano je w darze różnym bibliotekom szkolnym. R. 1866 wpisało się 297 dożywotnich, a 3718 dorocznych członków, wydano co następuje: „Večernice“ (XIII. i XIV.), powiastkę „Kartonica“, „Żywoty świętych Pańskich“ I. zeszyt, „Podobizna św. Ojca Bonawentury“, „Kalendarz“ na r. 1867. Dochody przewyższały znowu wydatek o 41 złr. 68 ct. R. 1867 zgłosiło się 254 dożyw., a 6843 dorocz. czł., wydano zaś: „Večernice“ (XV. i XVI.), „Fabiolę“, „Umni vinorejec“ (Umiejętny winnicznik) Tomšiča, w kształcie rozmowy napisana rzecz „Paboljšani sosedje“, powiastka „Utopljenci“, „Żywoty świętych Pańskich“ II. zeszyt i „Kalendarz“ na r. 1868. Dochody przewyższały wydatek o 846 złr. 12 ct,, a żelazny fundusz wynosił 5700 złr. R. 1868 liczyło Towarzystwo 297 dożyw., a 10.174 rocz. członków i wydano: „Żywoty świętych Pańskich“, „Życie i śmierć Chrystusa“ I. zeszyt, publikacyę napisaną przez Erjavca pod tytułem: „Krajowe i obce zwierzęta“ z ilustr., powiastkę: „Matka Boża dobrze radzi“ i „Kalendarz“. Nowy kierunek nadany Stowarzyszeniu, gorliwa dbałość Wydziału o dobroć wydawnictw, mnożyły wciąż liczbę członków. W roku 1869 zgłosiło się 352 dożywot., a 13.337 rocznych, r. 1870 15.831 dorocz. członków. Rozesłało się co roku po pięć książek:

1. „Żywoty świętych“ z ilustr.; 2. „Życie i śmierć Chrystusa“ II. zeszyt, przekład z niemieckiego przez prof. Kociačiča. 3. Powiastka „Perpetua czyli męczennicy afrykańscy“; 4. „Życiorys Baraga missyonarza słoweńskiego w Ameryce“; 5. „Umiejętne gospodarstwo“ przez F. Jančara i „Kalendarz“ na rok 1870. Roku 1870 wyszły następujące książki: „Žalost in veselje“ (Smutek i radość), „Żywoty świętych Pańskich“, „Życie i śmierć Chrystusa“, Tomšiča „Poljedelstvo“ (Rolnictwo), „Večernice“ i „Kalendarz“ na r. 1871. Dochody wynosiły 39.364 złr. 10 ct., wydatki zaś 32.753 złr. 51 ct., zostało więc w gotowiźnie 6610 złr. 69 ct., co się oddało do żelaznego funduszu. R. 1871 przystąpiło do Towarzystwa 390 dożyw., a 17.027 dorocz. członków, którzy otrzymali: „Żywoty św. Pańskich“, „Życie i śmierć Chrystusa“, „Večernice“, „Naukę o gospodarstwie i pszczelnictwie“, „Życie zwierząt krajowych i obcych“, „Kalendarz“ na r. 1872, w znacznie rozszerzonym formacie, z wykazem członków a treścią pouczającą i zabawną. Dochody przewyższały rozchód o 156 złr. 12 ct. R. 1872 podwyższył się poczet członków na 430 dożywotnich, a 18.518 rocz. Książki wyszły następujące: „Żywoty świętych“, „Życie i śmierć Chrystusa“, „Kupčija in obrtnija“ (Handel i przemysł) przez F. Kočevara, „Večernice“, „Živinorejec“ (Chodowca bydła) i „Kalendarz“ na r. 1873. Majątek Towarzystwa zwiększył się o 210 złr. 24 ct, fundusz żelazny wynosił 15.128 złr. 27 ct. R. 1873 było 471 dożyw., a 21.454 rocz. członków, którzy otrzymali: „Żywoty świętych“, „Życie i śmierć Chrystusa“, „Umno kletarstvo“, „Izdajavec“ (Zdrajca), wyborna powiastka Fr. Slemenika, „Życie krajowych i obcych zwierząt“ z ilustr. i „Kalendarz“. Dochody przewyższały wydatki o 198 złr. 60 ct. R. 1874 było 490 dożyw., 23.631 rocz. czł., wydano: „Żywoty świętych“, „Życie i śmierć Chrystusa“, jeden zeszyt „Historyi powszechnej“ prof. Stareta w Warażdynie, „Lekarz domowy“ „Złota księga“ i „Kalendarz“ na r. 1875. R. 1875 wpisało się 516 dożyw., a 25.869 rocz. członków, którzy otrzymali sześć książek, a mianowicie: „Pokarm niebieski“ I. część, „Życie i śmierć Chrystusa“, „Umni Kmetavalec“ I. zeszyt, „Historya powszechna“ II. zeszyt, „Setev a žetev“ (Siejba i żniwo, powiastka), „Kalendarz“ na r. 1876. Fundusz żelazny wynosił już 16.497 złr. 27 ct. R. 1876

wpisało się członków dożyw. 533, a 26.336 rocznych, którzy otrzymali: „Życie i śmierć Chrystusa“, „Korona niebieska“, „Historya powszechna“ zeszyt III., „Umiejętne gospodarstwo“ II. zeszyt, powiastkę „Robinson“ i „Kalendarz“ na r. 1877. Dochód przewyższał wydatki o 20 złr. 56 ct.

Rósł coraz więcej poczet członków, tak, że obecnie wynosi 29.500 dusz, liczba wiele mówiąca jeżeli się przytem zważy, że naród nasz dotknął Pan Bóg nieurodzajem i biedą. Obok już wspomnianych publikacyj, wydało Towarzystwo w tym czasie niektóre poważne dzieła, jak: 4 zeszyty opracowanego „Slov. Gofinea“ przez L. Ferčnika, tyleż zeszytów bardzo pokaźnej pracy: „Żywot Maryi i św. Józefa“, kilka tomików książek do modlenia („Pokarm niebieski“ i inne); powiastki: „Križem sveta“, „Filotea“, „Krišana usmiljenost“, „Życiorys św. Elżbiety“, „Dora“ i inne. Z zakresu prawa wychodził w zeszytach „Slov. Pravnik“ przez Tavčara, zoologią zajmował się Erjavec, a owocem tej pracy publikacya „Naše škodljive živali“, 3 zeszyty, obok tego wydawano corocznie „Kalendarz“ i „Večernice“. Cenne też jest dzieło przez Towarzystwo wydane: „Cecilia“, tj. zbiór pieśni kościelnych z melodyami, 2 zeszyty, „Pielgrzymka do Rzymu“ J. Golmilšeka i t. d. Życiorysy znakomitych mężów zasłużonych ojczyźnie, jak: Janečiča, Knoblehaza, Bleiweisa, M. Debelaka, biskupa Wiery i Golmayera, Piusa IX. i innych, wychodziły jużto w „Kalendarzach“ i „Večernicach“, jużto osobno, a rozbudzały świadomość siebie i godność narodową. W Kalendarzach umieszczał się także, choć nie obszerny, ale o ile można dokładny przegląd ważniejszych zdarzeń w Europie i gdzieindziej. Z powodu należytego gospodarowania majętnością Towarzystwa, mógł też wydział r. 1873 kupić własny obszerny dom, zaopatrzyć się w wybornie urządzoną drukarnię i tym sposobem ułatwić sobie wydawnictwa. Stowarzyszenie św. Hermagora weszło także w związek z rozmaitymi słowiańskiemi Towarzystwami; przedsięwzięło nakład więcej poważnych dzieł jak: „Słownika słow.-niemieckiego“ Janežiča, rozszerzonego przez prof. Kleinmayera, „Chrześcijańsko-katolickiej etyki“ Koseca, a co najważniejsze: „Prace A. M. Slomšeka“, zebrane przez M. Lendovškiego, których wyszło już 4 tomiki, a mianowicie: 1. Pieśni, 2. Porównania, powiastki i baśnie, 3. Życiorysy, 4. Rozmaitości.

Wielką zasługę koło rozwoju słow. piśmiennictwa położyła drukarnia św. Mohora przez wydawanie wybornego miesięcznika: „Kres“, redagowanego przez prof. Sketa. Zaczął on wychodzić r. 1881, a wydał w swych tomach już wiele zajmujących dzieł beletrystycznych, romansów, nowel, humoresk, mitologicznych i filologicznych rozpraw, ocen, krytyk i t. d. Wyszły tu np. prace nowelistów i nowelistek: Kodra, Dr. Stojana, Pauliny Pajkovéj, Grigočičewy i innych, pod pseudonimami piszących autorów. Z zakresu filologii i mitologii, ogłosili tu swe prace między innymi: prof. Krek, Trstenjak, Škrabec, Pajk i t. d. O dobrobycie narodu traktowali tu prof. Steklasa, prof. Pajek i inni. Znajdzie się tu także wiele poważnych rozpraw z zakresu różnorodnych nauk, mianowicie przyrodniczych. Krótko mówiąc, Towarzystwo św. Hermagora i jego działalność, zajmują dla rozwoju słow. piśmiennictwa w zniemczałym Celowcu jedno z pierwszych godnych podziwu miejsc, a każdy patryota błogosławi pamięć i gorliwość założycieli tegoż: M. Slomšeka, Janežiča, Einspielera i innych. Ba, już same publikacye Slomšeka, wydane pod tytułem: „Pokarm apostolskich nauk“, „Mnemoseum slavicum“, „Pieśni Achacelnowy“, a przedewszystkiem książki szkolne i dzieło nie małej wagi: „Blaže in Nežica“, które więcej wydań zjednało sobie i w Moskwie, mają wielkie znaczenie. To też naród nasz, jak Bleiweisa zwykł nazywać swym ojcem, tak biskupa Slomšeka swym apostołem, postawił mu też z wdzięczności kamienny posąg, na dowód czci w biskupim kościele w Maryborzu, jak i okazały pomnik na tamtejszym cmentarzu. On i ówczesny biskup lubliański A. A. Wolf nie żałowali nietylko podniety, ale i pieniędzy zwłaszcza ten ostatni, do opracowania dawniej wydanych przekładów Pisma św., do wydania „Niemiecko-słow. słownika“ w dwu obszernych tomach, jako też do założenia funduszu, aby kiedyś mogła wyjść i słoweńsko-niemiecka część tego słownika; fundusz ten wzrósł już do 100.000 złr. Oto zasługi i ofiary, jakich po osobach pojedyńczych zaledwo spodziewać się można!

Dzieła popularne, obliczone dla szerszego koła czytelników, wydawane są przez Towarzystwo św. Hermagora, więcej specyalne zaś przez „Maticę Słow.“, założoną r. 1867 w Lublanie. Pierwszym jej prezesem był. Dr. L. Toman, po śmierci jego Dr. Costa, potem Dr. Bleiweis, prof. Pleteršnik, Graselli, a obecnie Dr. Pogačar.

Pierwszem wydanem dziełem była „Historya narodu słoweńskiego“, napisana przez Trdina, obok tego „Hist. Księstwa Karyntyi i Krainy“, tłum. z czeskiego. Następnie wydawał się corocznie „Letopis Matice Slov.“ r. 1868 i 1869, łącznie z „Kalendarzem“. Obok „Letopisu“ wychodziły „Księgi przyrody“ Schoedlera, tłumaczone przez Ogrinca, Tuška, Erjavca i innych. Pokornego „Historya naturalna“, Rosmäslera „Cztery pory roku“, Fölleckera „Mineralogia“ z ilustr., dzieła, które znacznie wzbogaciły piśmiennictwo słoweńskie. Wreszcie wspomniana już „Geografia“ prof. Jesenka, „Slovenski Štajar“ (Słoweńska Styrya), Marnowa „Gramatyka języka czeskiego“, Šubicova „Telegrafia“, i najznamienitsze dzieło: „Slovanstwo“ I. część Słowianie południowi, Šumana „Gramatyka słoweńska“. Marnova „Gramatyka języka chorwackiego“, „Pamiątkowa książka Kopitara“, „Życiorysy“: Dra L. Tomana, z dodatkiem jego prac wybranych; Dra E. H. Costa, Cigaleta,—„Niemiecko-słow. naukowa terminologia“, „Pamiętnik“ 600-letniego połączenia Krainy z Habsburską dynastyą, a przedewszystkiem poezye Vodnika, J. V. Koseska i Tomana mają dla naszego piśmiennictwa trwałą wartość. Wiele dobranego materyału, z początku beletrystycznego, potem więcej naukowego wydano w obszernych „Letopisach“, jak „Historya walk tureckich na ziemi słoweńskiej“ przez Parapata, „Obyczaje słowiańskie“ przez Hubada, mitologiczne poglądy Trstenjaka, żywoty mężów zasłużonych, jak: Potočnika, Rozmana, Zoisa, Debelaka, Murka, Palackiego, Križaniča i t. d., przekłady z Gogola, Kuleszy, Bern. Saint-Pierra, Czajkowskiego, Danta, Puszkina, Lermontowa, zajmowały obok prac oryginalnych część beletrystyczną. P. Radicz wydał tam zabytki języka słoweńskiego z czasów Trubarja, Dr. Bleiweis pozostałości po Fr. Prešernie, Erjavec swe zoologiczne rozprawy.

Najwięcej jednak zasłużył się dla tych, którzy chcą poznać skromną naszą literaturę J. Tomšič, wydając corocznie „Bibliografię słoweńską“. Według tejże, liczyła lit. słow. już do r. 1880, 1362 druków w języku słoweńskim, a liczba ta od owego czasu znacznie się podniosła. „Matica“ nie liczyła więcej członków nad 3.000, liczba ta jeszcze się zniżyła w latach od 1880 do 1884 i teraz jeszcze bardziej spadła z powodu za wielkiej wkładki rocznej 2 złr. Mimo to jednak posiada „Matica“ własny dom w Lublanie i zostaje w stosunkach z 19 towarzystwami naukowemi słowiańskiemi i wzbogaciła

swą bibliotekę znacznym zasobem poważnych dzieł, które zwłaszcza dla młodzieży mogłyby być wielce użytecznemi, gdyby ta biblioteka była dla wszystkich otwartą, co jednakże dotąd nie nastąpiło.

Obok wydań „Matice“ i „Towarzystwa św. Hermagora“ przyczyniło się także cokolwiek do rozwoju naszej literatury lublańskie „Towarzystwo dramatyczne“, wydawszy przeszło 52 utworów teatralnych, przełożonych z różnych języków, które zarazem były odegrane. Samodzielnie i własnym nakładem wydali wiele książek, jak: Jesenko „Geografia, historya“, Lapajne, „Książki szkolne“, L. Jeran „Pielgrzymka do Jerozolimy“, J. Godina-Verdelski „Opisanie i historya Tryestu wraz z okolicą“, Izvirek „Źródło zamożności“, Praprotnik i Tomšič (książki dla młodzieży: „Podarek dla młodzieży“ 2 tomiki, „Biblioteka dla młodzieży“ 3 tom. Dla młodzieży wydał też kilka książek drukarz Krajec w Nowem-mieście i drukarz Kleinmayer w Lublanie, a mimo to trzeba wyznać, że piśmiennictwo nasze w tym względzie jest jeszcze bardzo ubogie.

Beletrystyka słoweńska znalazła wielu przedstawicieli głównie za podnietą Janežiča, który zbierał koło swych wydawnictw: „Bčeli“, „Glasnika“, „Besednika“ młode siły, nagradzał prace, wydawał w swych pismach i osobno pod tytułem: „Kwiaty z ojczystej i obcej ziemi“. Wyszły tu np. prace Fr. Cegnara, Umeka, romanse Jurčiča, jak „Dziesiąty brat“, „Babka“ i t. d., Czajkowskiego „Kirdżali“, wybrane powiastki Andersena i t. d. Po jego śmierci poszedł tą samą drogą J. Jurčič wydając swe prace w odcinku gazety „Slov. Narod.“, wydając „Bibliotekę słoweńską“, której wyszło już 8 tomów w 16-e, pomieszczono tu Jurčiča romanse: „Doktor Żober“, „Między dwoma stolicami“, „Kwiat i owoce“, Powiastki Bret-Hartea, „Proboszcz Wakefielski“, tragedyę Jurčiča „Tugomer“, romans Kersnika. „Na Žerinjach“. „Nowele“ Tavčera i t. d. Niestety wydawnictwo to zanadto wcześnie upadło, a oprócz płodów Grigorčiča, Fr. Cimpermana, Stritara, Haderlapa i innych, nie wyszło prawie nic uwagi godnego, dopóki r. 1883 nie rozpoczął znakomity nakładca J. Krajec wydawać swej „Narodowej Biblioteki“. Dotąd wyszło już podług wzoru niemieckiej „Universal-Bibliothek“ i czeskiej „Ustředni knihovny“, 18 zeszytów (po 15 ct.) pod redakcyą Peruška. Ten wzór naśladując, rozpoczął nakładca L. Kordes w Maryborzu podobne wydawnictwo p. n. „Ljudzka knižnica“, bardzo

tanie, (6 ct. za zeszyt) przeznaczone dla młodzieży i dorosłych. Przyniosło też ono niejedno dobre ziarnko, po większej części przekłady z niemieckiego.

Ilość i jakość czasopism jest miarą rozwoju literatury w każdym kraju, należy tedy powiedzieć coś i o naszych czasopismach. Słoweńcy wydają 26 różnych czasopism, z których 15 wychodzi w Lublanie. Z tych 3 są dzienniki: „Slov. Narod.“ (zaczął wychodzić r. 1868). „Slovenec“ (r. 1873) i „Lublanska Gazeta“, mogą się one równać z podobnemi dziennikami innych narodów. Młodzież ma swój organ już od 15 lat wychodzący „Vrtec“ z ilustr. i doborowej treści; duchowieństwo wydaje „Zgodną Dannicę“ i miesięcznik „Dušni pastir“; grono profesorów redaguje „Nauczycielskiego Towarzysza“, w którym prof. Marn zamieszcza materyał do słow. piśmiennictwa p. n.: „Ježičnik“ (wyszło już 18 tomików); pszczolarze mają organ swego Tow. „Slov. čebela“; humorystyczne pisma są: „Brenčelj“ i „Škrat“; prawniczą naukę przedstawia „Slovenski Pravnik“, a kościelną muzykę organ Towarzystwa Cecyliańskiego: „Cerkveni glasbenik“; pierwszorzędne miejsce zajmuje „Lublański Dzwon“, redagowany przez prof. Levca razem z Jurčičem, Tavčarem i Stritarem założony w r. 1880. Wychodzi on w zeszytach in 8-o po 4 arkusze i wydał dotąd wiele prac wcale poważnych z zakresu beletrystyki i umiejętności. Wyszedł tu romans Jurčiča: „Rokovnjači“, Kersnika: „Lutersey ludzie“, Fr. Deteli: „Malo življenje“, wiele nowel Tavčera, Trdiny, Stritarja, również poezye Grigorčica, p. Pajkovy, J. Cimpermana i innych; Sim. Rutar, Jesenko, Steklasa i inni, ogłaszają tu swe prace z zakresu nauk przyrodniczych, geografii i historyi, a przedewszystkiem zasługuje tu na uwagę dokładny przegląd literatury słoweńskiej i w ogóle słowiańskiej. Powstał w tym roku dwutygodnik „Slovan“, własność Hribara, redaktor A. Trstenjak; pod względem wybornych ilustracyj, formatu i zewnętrznej okazałości, nie przewyższyło go dotąd żadne pismo słoweńskie. Dla przemysłowców wychodzi „Ljudski Glas“ i „Orbtnik“, dla włościan, wspomniany już, przez Bleiweisa założony tygodnik „Novice“.

W Gorycyi mamy czasopisma: „Soča“, tygodnik, „Gospodarski List“, „Cvetje z ortov sv. Franciška“, wychodzące w nieoznaczonych porach i „Sola“. W Tryeście wychodzi dwa razy na ty-

dzień „Edinost“ i humorystyczny tygodnik „Juri“, również i Nowe-miasto na Doleńsku ma swój dwutygodnik „Dolenske Novice“, wydawany przez Krajca. Celowiec wydaje oprócz wzmiankowanego już „Kresu“ także „Mir“, w Celei wychodzi „Kmetski prijatelj“, podający i niemieckie artykuły, z zamiarem wynarodowienia naszego ludu. Jego wpływ niweczy maryboski „Slov. Gospodar“ tygodnik treści polityczno-gospodarskiej, mający podobnie jak „Novice“ około 2000 prenumeratorów. W Maryborzu istnieje nauczycielski organ „Popotnik“. Styryjskie kółko rolnicze w Gracu wydaje „Štajarskiego Gospodara“, który szkołom bezpłatnie się rozsyła.

O napisanie historyi literatury słoweńskiej długi czas nikt się nie pokusił, jakkolwiek ucząca się młodzież w wyższych szkołach z upragnieniem wydania takiego dzieła oczekiwała. Temu pragnieniu uczynił zadość prof. Jul. Kleinmayer w Celowcu i wydał r. 1880 pracę p. n. „Zgodovina slov. slovstva“, której dostała się wprawdzie ostra krytyka ze strony p. Levstika, ale przecież „lepszy rydz jak nic“. Godne także uwagi było usiłowanie Macuna, którego owocem jest praca: „Knizevna zgodovina slov. Štajerja“ (wyd. r. 1882). Wiele materyału w tym przedmiocie znajdzie się w życiorysach różnych pisarzów, które wpierw muszą być zebrane i wydane; jest nadzieja, że uczyni to prof. Pajek w Maryborzu. Wielki materyał literackich skarbów narodowych kryje się w pieśniach, powiastkach i baśniach ludowych; „Matica slov.“, ogłosiła nieco w tym przedmiocie; prof. Vodušek, Trdina, Steklasa, Pajek, Scheinig, Hubad wydawali swoje zbiory w „Kresie“ i w „Lubl. Dzwonie“, ale osobnej książki tego rodzaju piśmiennictwo nasze jeszcze nie posiada. Ważność tej pracy poznał Stanko Vraz, który idąc śladem swego poprzednika P o l a k a E. Korytka, zebrał wiele takiego materyału i innych do zbierania podniecał. Zbiory E. Korytka wyszły w Lublanie p. n.: „Pieśni kraińskiego ludu“.

Na tem kończę ten krótki przebieg piśmiennictwa słoweńskiego. Naturalnie, iż nie może ono iść w porównanie z piśmiennictwem czeskiem, polskiem i rosyjskiem, a nawet z horwackiem i serbskiem, choć pod względem dzieł religijnych posiadamy większą obfitość i rozmaitość od ostatnich; co się zaś tyczy Słowaków, Rusinów i Łużyczan, to bezsprzecznie stoimy od nich wyżej.

P. M.

Listy z nad Baltyku.

V.

Mieszkania i pieśni Łotyszów.

Taka prostota, jak w ubiorze, przebija i w mieszkaniu Łotyszów. Na podmurowaniu kładą nieobrobione sosnowe kręglaki, szpary mchem zatykają. Zamiast okien, biedniejsi a raczej najbiedniejsi zrobione otwory drewnianemi zamykają zasuwami. U najbiedniejszych nie wszędzie dotąd jeszcze wszedł w użycie komin, któryby odprowadzał dym z ceglanego wielkiego pieca, zwykle w kącie niedaleko drzwi stojącego; służy on zwyczajnie za kuchnię, a na górnej jego powierzchni urządzane bywa miejsce do spania. W takich najuboższych mieszkaniach, dym wychodzi przez okna, drzwi i pułap; zamożniejsze zaś wszystkie porządnemi są opatrzone kominami.

Już to chaty i domy mieszkalne Łotyszów bardzo różny przedstawiają widok, stosownie do zamożności mieszkańców. Bogaty włościanin ma obszerny dom drewniany o dużych oknach i wysokim suficie; zamieszkuje jednak zwykle tylko dużą przednią izbę i małe stancyjki tuż za nią; reszta domu obrócona jest na potrzeby gospodarskie. Najzamożniejsi i już spanoszeni Łotysze-kapitaliści miewają mieszkania wiejskie zbytkownie urządzone, nie wyróżniające się niczem od folwarków bogatych mieszczan. Po miastach zaś posiadaja kilkupiętrowe kamienice, które w części wynajmują, w części zamieszkują sami wraz ze swą rodziną.

Każdy najuboższy nawet włościanin łotewski posiadać musi w swoim domku tak zwane letnie mieszkanie; jest to czysty pokoik z wielkiemi szklanemi oknami; nie ma w nim pieca, dlatego i większe ochędóstwo panuje. Izba ta schludna, zwana „kambars“ służy za skład najkosztowniejszych ruchomości. Tu składa Łotysz w ciągu zimy swoje skarby, pościel, bieliznę i inne rzeczy; w ciągu lata zaś w dnie niedzielne i świąteczne zdobią jej ściany zielone gałęzie, liście i kwiaty, tu bowiem podejmują gości. Dodajmy do tego jeszcze śpichlerzyk, zwany „klêtie“, przeznaczony na skład w zimie, a na sypialnię latem, suszarnię, kilka stajen, nieodzowną łaźnię,

zamieszkaną zwykle przez uboższą rodzinę, a będziemy mieli całe obejście mniej zamożnego Łotysza.

Nie rzadko, zwłaszcza w Kurlandyi, znajdują się bardzo starannie budowane domy łotewskie, mające kilka izb mieszkalnych; w nich znaczna ilość sprzętów domowych, wszystko w wyszukanej czystości utrzymane. Zabudowania włościańskie, zwykle w czworobok postawione, pokrywają słomą, w leśnych okolicach dranicami (łupki) lub gontami, a w Kurlandyi u zamożniejszych najczęściej dachówką.

Łotysze, zarówne protestanci, jako i katolicy, szczególną przywiązują wagę do dnia 24 czerwca, w którym, jak wiadomo, przypada uroczystość świętego Jana Chrzciciela. Już w wilię dnia tego domy i chaty ludu łotewskiego przybierają pozór świąteczny. Umajone zewnątrz i wewnątrz najrozmaitszemi zielskami i różnobarwnemi polnemi kwiaty, przepełniają się one wesołą młodzieżą, uwieńczoną zielenią i kwiatami. Przed domem oddają się młodzi Łotysze i Łotewki aż do wschodu słońca wesołej zabawie z wiankami i śpiewkami, kończącemi się zawsze zwrotką jednostajną *Lejgo!* albo *Ligo*! w sposób najrozmaitszy śpiewaną. Słowo to żadnego znaczenia nie mające, zarówno jak francuskie *Tradéridéra!* lub niemieckie *Trálala!*, z powodu błędnych komentarzy, które już w zeszłym wieku był mu nadał pastor protestancki pan Stender, w oczach najpoważniejszych badaczy szczepu łotewskiego przez długie lata uchodziło za imię dawnego bożka miłości u pogańskiej Łotwy; aż uczony dr. A. Bielenstein w rozprawie *Das Johannisfest der Letten* [1], dowiódł dosadnie, że tego rodzaju bóstwa Łotysze nigdy nie czcili.

Ma też lud łotewski liczne pieśni świętojurskie: *jurynia-dzismies* albo *jyusinia-dzismies*, oraz kolędowe: *koładu-dzismies*, przy których odśpiewywaniu zachowuje również prastare obyczaje; wszelako pieśni świętojańskie: *jonia-dzismia*, cieszą się najbardziej powszechnym udziałem.

Treść pieśni gminnej łotewskiej jest równie bogatą, jak urozmaiconą. Dla łatwiejszego zoryentowania się czytelników ujmujemy ją w ramy następujące:

---

[1] Ogłoszonej w czasopiśmie *Baltische Monatsschrift* (tom XXIII., str. 1—46).

Pieśni treści ogólnej: mitologiczne, — opiewające przyrodę [1], — miłość, — urok śpiewu i — zawierające jakiś morał ludowy.

Pieśni okolicznościowe: na wesele, — na chrzciny, — na pogrzeb, — przy szklanicy i pożegnalne.

Pieśni zastosowane do pewnego czasu: świętojurskie, — świętojańskie i kolędowe.

Pieśni zastosowane do pewnego zawodu: pieśni pastuszków, — rybaków, — bartników, — żniwiarzy, — rolników, i te znów: przy oraniu i bronowaniu pola, — przy wianiu i czyszczeniu zboża, — przy sianokosach, — przy zbiorze lnu — w końcu piosnki piastunek.

Pieśni zastosowane do pewnego położenia: piosnki dziecinne, — pieśni sierót, — wdów, — przygniecionych ubóstwem i nakoniec, — pieśni zastosowane do rozmaitych innych położeń.

Liczne próbki najrozmaitszych rodzai pieśni gminnych łotewskich podaje w wiernym przekładzie polskim świeżo ogłoszony zeszyt październikowy „Biblioteki warszawskiej“ [2], do którego odsyłamy tych czytelników, dla których przedstawiać one mogą pewien interes. Tu zaś jeszcze tylko dodamy, że lubo wszystkie te pieśni nadzwyczaj są krótkie, niezmierna obfitość wynagradza niejako tę ich krótkość; dla tego nie można tych piosnek rozpatrywać oddzielnie. W życiu bowiem Łotysza występują one tylko w śpiewie i to, z wyjątkiem pieśni pastuszków, kołysanek i prządek *(pastorales, bercenses et chants des fileuses)*, tylko w śpiewie ludowym chóralnym, w którym wiele ich z rzędu wykonywa się jednym ciągiem. Godzinami całemi trwa ta rozrywka ludowa; jedna piosnka bezustannie łączy się z drugą, aż nakoniec „Tejceja“ czyli główna pieśniarka intonująca śpiew i prowadząca chór cały, czuje się zniewoloną ustąpić kierownictwa którejś ze swych licznych towarzyszek.

---

[1] Przytoczyliśmy z nich kilka w artykule „Słupi Róg i jego stosunek do poezyi ludowej Łotyszów naddźwińskich“. Obacz *Przegl. powsz.* Tom XI., str. 200—211.

[2] Obacz *Biblioteka Warszawska* ogólnego zbioru tom 180, Serya VI., październik 1885 r., tom IV., zeszyt X. „Rzut oka na pieśni gminne łotewskie“, str. 1—22.

O tym rodzaju śpiewów ludowych tak niejasne dotąd mamy wyobrażenie, że zwykle nie pojmujemy ani jego uroku, ani doniosłości, ani znaczenia. Wiele takich piosnek wykonywanych z kolei, tworzy dopiero niejakąś całość; całość ta wszakże za każdem wystąpieniem śpiewaków odmienny przyjmuje wyraz, a często i odmienny charakter. Przedstawia się nam ona poniekąd jak łańcuch, któregoby wszystkie pojedyńcze ogniwa za każdym razem inaczej się dały z sobą powiązać, stosownie do okoliczności i usposobienia tak śpiewaków, jako i słuchaczy, którzy pociągnięci urokiem wspólnej pieśni ludowej, stopniowo niemal wszyscy do chóru się przyłączają.

Różnorodność nieznanej dotąd w Zachodniej Polsce poezyi ludowej łotewskiej, najbardziej nas winna zastanowić ową wielostronnością, z jaką piękności ziemi rodzimej bywają w niej opiewane, zwłaszcza, że kraje przez szczep łotewski zamieszkane, zgoła nie obfitują w piękność, której też uczeni krajoznawcy niemal nigdy na Łotwie nie zdołali dopatrzyć. Tymczasem nie ma znaczniejszej góry, rzeki, jeziora, nie ma zwierzęcia, nie ma ptaka, drzewa, krzewu, kwiatu, nie ma w ogóle żadnego stworzenia, któregoby poeta łotewski ze stosunkami lub okolicznościami żywota człowieczego w jakibądź sposób nie sprzęgał. Pszczoły, mrówki, żuki, płazy — a nawet ryby, ukrywające się przed wzrokiem ludzkim w głębiach strumieni, jezior i morza — nie uszły baczności łotewskich pieśniarzy, którzy śledząc ich właściwości, umieli one dziwnie zręcznie zużytkować. Ilekroć w zwierzęciu lub ptaku jakąś właściwość dostrzegli, która im człowieka w czemkolwiekbądź może przypominać, tworzą z niej zawsze obraz nader trafny.

Pieśń gminna łotewska ma częstokroć wszystkie cechy starożytności. Dowodzi tego w niektórych z najstarszych, nietylko zupełny brak rymów i monotonne metrum, ale i opiewana w niej miłość, która jest miłością braterską! Tę zaś, jako najgłówniejsze uczucie, przebrzmiewające do nas z dawnych wieków, przedstawia już Sofokles w powszechnie znanej „Antygonie“, gdy tłumacząc poniekąd hazardowne przedsięwzięcie nieszczęsnej Antygony, wkłada jej w usta słowa następujące:

Drugiego męża mogę mieć, gdy pierwszy umrze;
Toż z drugim dziecię, gdybym z pierwszym go nie miała.

Lecz kiedy grób rodzica i matkę już kryje,
Niepodobieństwem, żeby brat mi się narodził[1].

Wiadomo zresztą, że najstarsze tradycye brzmią w okół Bałtyku, rozpościerając się stąd ku Karpatom, Dnieprowi i Dunajowi i że Północ, kolebka dzisiejszych ludów Europy, posiada dotąd jej archiwa poetyczne i muzykalne. Pieśń gminna łotewska jest pieśnią ludową w całem znaczeniu tego wyrazu. Wyrosła ona z serca samego ludu, a lud ten cały tak dalece zdawał się zupełnie jednako do jej wzrostu przyczyniać, że nawet ani jedno podanie nie przekazało nam imienia jakiegobądź łotewskiego poety. Więc słusznie o Łotwie powiedziećby można: dusza ludu jest tu pieśniarzem.

Pieśń Łotyszów jest prawdziwą pieśnią ludową, gdyż w jej wykonaniu lud cały przyjmuje udział i przyswoił ją sobie całkowicie. Na całej przestrzeni nie znajdziesz i jednej wsi, w którejby się ona nie rozlegała wesoło, w którejby nie brzmiała, jużto przy kądzieli, już przy innych zatrudnieniach domowych. Co więcej, rzecby można z pewnością, że w krajach przez szczep łotewski zamieszkanych nie ma lasu, łąki, strumienia, jeziora, wybrzeża morskiego, na których śpiew gminny słyszeć by się nie dawał; jakkolwiek przy wzrastającej kulturze pieśń ludowa częstokroć zamienianą bywa innemi, nie wiedzieć jak i przez kogo na tenże język łotewski tłumaczonemi.

W ostatnich latach zajęto się pilnie gromadzeniem pieśni gminnych Łotyszów i mamy ich już około 25.000 ogłoszonych drukiem. Najwięcej ich ogłosił *Magazin der Lettisch-Literärischen Geselschaft.* Tom VIII. zawiera zbiór pieśni łotewskich, zebrany przez G. T. Buettnera; tom XIV. pieśni zebrane w Inflantach polskich w okolicy dóbr Krasławia, w powiecie dyneburskim, przez pannę Celinę Platerównę a w okolicy dóbr Drycan i Taunag, w pow. rzeżyckim przez piszącego. Tomy oddzielne, wydane w Lipsku w latach 1874 i 1875, mieszczą aż 9.000 pieśni Łotyszów, nagromadzonych przez Dra A. Bielensteina, prezesa Tow. łotewsko-literackiego [2].

---

[1] Obacz: *Sofokles* „Antygona", tragedya przedstawiona w r. 441 przed narodzeniem Chrystusa. (Przekład Z. Węclewskiego, Poznań 1875 r. nakładem biblioteki kórnickiej, str. 44).

[2] Inne zbiory pieśni ludowych łotewskich wylicza systematycznie czaso-

Nie podlega wątpliwości, iż piosnki te nie w jednym czasie utworzone zostały. Bardzo być może, że całe stulecia na nie się składały. Są one jednym ciągiem z dawien dawna płynącym produktem twórczej duszy narodu łotewskiego.

Lubo niektóre noszą na sobie piętno dalekiej starożytności, nie zbywa i na takich, które nowszych sięgają czasów. I dziś jeszcze przy różnych okolicznościach nowe tworzą się pieśni, mniej wprawdzie wykończone, świadczące wszakże wymownie o poetycznym nastroju całego szczepu Łotyszów.

Bądź co bądź pieśni łotewskie puściły od wieków korzenie w głębi samego ludu i żaden wpływ zewnętrzny, żadna siła obca, wyróżniająca się od masy ludu, w ich tworzeniu najmniejszego udziału nie miała. Jaśnieją w nich najdosadniej: czyn ludowy, myśl ludowa i słowa czysto ludowe. W tych maluczkich utworach ludowych wyśpiewała i wypłakała pieśń gminna łotewska wszystkie bóle, smutki, wszystkie cierpienia i nadzieje, albowiem:

Kędy życie cierpień się nie zmieści,
Cierpienie w pieśń się przelewa.
Wieszcze natchnienia rodzą boleści,
I co ma płakać, to śpiewa. *(Winc. Pol).*

Gustaw Manteuffel.

Sprawy Kościoła.

Burzenie Rzymu papieskiego.

W jednym z ostatnich poszytów „Przeglądu“ napomknęliśmy, z powodu zburzenia klasztoru Ara Coeli i wieży Pawła III., o systematycznem niszczeniu dawnego Rzymu, jakie sobie municypalność rzymska za smutny cel postawiła, aby tym sposobem zatrzeć wszelką tradycyę wiecznego miasta z czasów papiestwa, a natomiat ukazać światu nową zmodernizowaną stolicę nowego włoskiego państwa. Dziś wracamy do tej kwestyi z powodu protestów uczonych niemieckich, którzy sprawę tę na szerszą wyciągnęli arenę i przed szerszy postawili trybunał. Głosy to poważne, bo na głębokiej, po-

---

pismo *Bibl. warszawska* w świeżo ogłoszonym zeszycie październikowym na str. 20.

wszechnie uznanej nauce oparte, a posądzać je o względy religijno-polityczne nie można, bo nie z katolickiego pochodzą obozu.

Pierwszy odezwał się Hermann Grimm w berlińskiej *Deutsche Rundschau*. W przydłuższem piśmie protestuje on w imieniu sztuki, nauki i cywilizacyi przeciw przeobrażania dawnego Rzymu. Jest to niby apelacya do całego wykształconego świata, żeby ratować to, co lada dzień zniknąć może, w obec tak samowolnej gospodarki. Oto początek tej wymownej, z wiecznego miasta datowanej odezwy:

„Kiedy po 10 latach udało mi się znowu do Rzymu powrócić, doznałem niespodzianych a strasznych wrażeń. Spostrzegłem bowiem, że gotowano się do moralnego i intelektualnego zburzenia Rzymu, by zeń zrobić stolicę królestwa włoskiego ... Ja, com przez lat 30 chwałę Florencyi i całego półwyspu pisał, miałem także prawo głos podnieść. Ale zauważyłem wkrótce, że list do Rzymian na nicby się nie przydał. Tu tylko mniejszość czuje hańbę i smutek obecnego stanu rzeczy, mianowicie starsi, którzy znają wartość tego, co ma uledz zniszczeniu. Ale i oni musieli ustąpić i zaniechać walki.

Jest przecież Rzym, który ma obywateli we wszystkich krajach, i ten to właśnie Rzym, burzą. Tyle zrobić mogę, że im dam znać o tem co się tu dzieje. Oni wszyscy mają nietylko prawo, ale i obowiązek protestowania".

Wytykając następnie ogólne linie regulacyjnego planu municypalności, przychodzi autor do przekonania, że zhausmanizowany w ten sposób Rzym, straci dawne swoje zarysy i pozory, i stanie się innem zupełnie, zwykłem, banalnem miastem. Oto co mówi np. o Watykanie:

„Gdyby dziś trzęsienie ziemi zburzyło Watykan i bazylikę św. Piotra, byłoby to stratą dla całej ludzkości: zabranoby jej coś, co pozornie martwe i niepłodne — jest jednak nie do zastąpienia. Nie obchodzą mnie dzisiejsi mieszkańcy Watykanu. Żadnego z nich nie znam, i obojętnem dla mnie, kto w nim wolnym lub więźniem. Ale ten pałac papieży, cudowne Bramantego dzieło, to monument należący do całego świata, tak samo jak świątynia Michała-Anioła. Grzechem jest przybliżać do nich ten stek domów bez stylu i kształtów. Domy te nie odpowiadają nawet warunkom hygieny, bo spekulanci myślą tylko o wyzyskaniu miejsc bez względu na dobro mieszkańców. Sam widok tychże już świadczy, jak tam niezdrowo

w tych aglomeracyach ogromnych budynków. To niby wał otaczający Watykan. Dym brudnemi kłęby unosi się nad ogrodami papieża...

„Widok ten będzie wiecznym wyrzutem, będzie on świadczyć, że zamieniając Rzym papieży na stolicę królesta włoskiego, zaniechano względów należnych przeszłości, którą przedstawia papiestwo, względów należących się świątyni Michała-Anioła i pałaców Bramantego".

Z kolei występuje uczony niemiecki przeciwko niszczeniu i znoszeniu willi i ogrodów miasta, które należały do największych jego ozdób. Pod tym względem barbarzyństwo granic nie ma. Oto spis zburzonych willi, który niedawno jedna z gazet włoskich przyniosła: destrukcya zaczęła się w r. 1872, w którym zniesiono willę Grazioli; wkrótce potem zniknęła willa Torlonia przy Porta Pia, ogród botaniczny na Lungarze, willa Aldobrandini i część ogrodów Farnesiny; w r. 1880 zburzono willę Mellini na Monte Mario, w r. 1882 część willi Barberini, w r. 1883 część ogrodów Farnese na Palatynie i willę Corsini, w r. 1884 willę Casali na Coeliusie, wreszcie w czasach ostatnich willę Giustiniani, willę Bonaparte i wspaniałą willę Ludovisi. Kto zna położenie Rzymu, wśród szerokiej, górami okolonej Kampanii, bez lasów w pobliżu, ten zrozumie łatwo, jak fatalnie wpłynie na hygienę miasta to zniesienie ogrodów, które były niejako rezerwoarami świeżego, czystego powietrza. To praktyczna objekcya, bo uroku tych ślicznych ogrodów, gdzie Rzym cały w wieczornych wylegał godzinach i skąd się człowiek cieszył cudnemi widokami na miasto błyszczące w zachodniem świetle, dziś już wspominać zapóźno.

Ale wróćmy do wymownej skargi Grimma. Wyliczywszy wszystkie dotychczasowe straty, powtórzywszy raz jeszcze, że ta „święta ziemia pamiątek" nie może i nie powinna być oddaną na łup i pastwę chciwych przedsiębiorców, zwraca on uwagę na inne, nie mniej groźne niebezpieczeństwo:

„Prawo znoszące majoraty weszło w życie, a następstwem jego będą działy majątkowe w wielkich rodzinach. Jest to koniec galeryi Borghese, Doria i Colonna, żeby wspomnieć tylko najsławniejsze. Rozprószenie ich bogactw byłoby niepowetowaną stratą... Cóżby za wrzawa powstała, gdyby papież sprzedał lub zamknął galeryę wa-

tykańską! a tu obojętnie wszyscy patrzą na możliwą utratę galeryi Borghese!...“

Oto wreszcie konkluzya, do jakiej dochodzi autor, tem bardziej uderzająca, że przypominamy, nie z pod katolickiego wyszła pióra: „Pamiętam jak gorąco sam nawoływałem, że Rzym powinien być stolicą. Najprzód wybrano Florencyę; zaczęto rządzić, jakby Florencya na wieczne czasy miała być stolicą. Król i rząd tam osiedli. Miasto się zadłużyło żeby założyć stolicę. Długi te sprowadziły ruinę Florencyi. Na to przychodzi zdobycie Rzymu. I Florencya zamiast się przerazić, bije we wszystkie dzwony za nadejściem tej wieści. Radość wzięła górę nad strachem i zazdrością. A teraz oto! tę świętą ziemię rzymską oddano na pastwę spekulantów! Tym co się skarżą, odpowiadają ruszając ramionami. Powiadają, że nie można wstrzymać rozwoju tego co przyjść musi... U nas patrzą z uszanowaniem na wysilenia Włochów, żeby dojść do wielkości... Ale i nad tym ludem, jak nad tylu innemi mogą dni trudne zaświtać. Jeżeli wtedy kwestya rzymska, kwestya Wiecznego Miasta znów przyjdzie na porządek dzienny, natenczas wszyscy zimno odpowiedzą Włochom, że pod koniec XIX. wieku ów Rzym przez nich samych zburzony został“.

List ten wywołał wrzawę w całej europejskiej prasie. W sferach municypalnych rzymskich wzbudził oczywiście gniew, że odsłonięto przed wykształconym światem ten nowoczesny wandalizm; ale za całą odpowiedź miało służyć tylko oświadczenie krótkie Prosyndyka na radzie miejskiej, iż głosy prasy zagranicznej są kłamstwem i oszczerstwem. Niemieccy uczeni nie dali przecież za wygraną. Po Grimmie odezwał sie Gregorovius, któremu nie dawno municypalność rzymska nadała tytuł obywatela honorowego i którego „historyę Rzymu“ własnym kosztem tłumaczyć i wydać zleciła. Na wstępie swego listu do prezesa akademii św. Łukasza zaznacza Gregorovius że:

„ Z wszystkich metamorfoz, które przechodziło Wieczne Miasto od czasów Augusta — dzisiejsza przemiana jest najznaczniejsza, bo zmieni jego cechę na czas długi... Ci, którym Rzym drogi, wzdrygają się na myśl, że zatrze się charakter historyczny Wiecznego Miasta, że zniknie na zawsze czarująca piękność i samotny majestat takiego Coliseum, takiego Coeliusa, Awentynu, ogrodów Nerona,

podnóża Watykanu, gdzie się odtąd ciągnąć będą monotonne ulice o jednostajnych rzędach domów, pobudowanych tylko w celu spekulacyi".

A na argument, że zwiększanie się ludności wymaga rozszerzenia miasta, odpowiada słusznie uczony:

„Rzym Cezarów miał ludność, do jakiej dzisiejsza stolica nie dojdzie, nawet po kilku wiekach, a przecież mieścił w sobie szerokie przestrzenie, gdzie obok wspaniałych budynków, świątyń, kolumnad, termów, teatrów było jeszcze miejsce dla willi i ogrodów cudownego piękna, jak pole marsowe, Pincio, Eskwilin, Viminal, Watykan i Transtevere".

Następnie wykwintnem swem i wdzięcznem piórem kreśli Gregorovius niby wymowny nekrolog prześlicznej willi Ludovisi.

„Nikt nie pojmie co tak naglić może do zamieniania najpiękniejszych willi rzymskich na teren pod budowlę. Zburzono już nielitościwie willę Ludovisi, ten ogród, jakiego mógł zapragnąć każdy mocarz, każdy mędrzec starożytności, tak głębokiego, tajemniczego czaru, że Horacyusz i Wirgiliusz, Dante i Marek Aureliiusz mogli się byli ze skupieniem w cieniu jego laurów i cyprysów przechadzać, tę willę tak klasycznie piękną, że godną była służyć przez dwa wieki za schronienie słynnej Junonie Ludovisi. Pewno tam z każdego drzewa wydarł się za uderzeniem siekiery jęk boleści, żałośniejszy niż ten zasłyszany przez Dantego głos drzewa Piera de la Vigna:

. . . . . Czego mnie rozdzierasz,
Azaliż nie ma w duszy twej litości?"

Następnie ubolewa autor nad systematycznem burzeniem wszelkich średniowiecznych zabytków, jak np. ostatniej wieży Orsini-Anguillara, nad smutnym widokiem wyspy św. Bartłomieja, gdzie piękny klasztor zeszpecono obrzydliwą, nowo wybudowaną *morgua*, nad losem Kapitolu wreszcie, z którego usunięto klasztor Ara Coeli i wieżę Pawła III., a na którym stanąć ma tak krzycząco odbijający od całego charakteru historycznego, pomnik Wiktora Emanuela.

Na list ten odpowiedział p. Busiri, prezes akademii św. Łukasza w sposób wymijający co do pojedyńczych szczegółów, stanowczy za to oświadczeniem „że Europa nie ma prawa mięszać się do działań administracyi miasta Rzymu". Jest to smutną zapowie-

dzią, że municypalność nie myśli się zatrzymać na obranej drodze. Ale Europa mięszać się może i powinna. Do skarg Grimma i Gregoroviusa przyłączyło się świeżo całe grono uczonych i artystów niemieckich, którzy w deklaracyi zamieszczonej w monachijskiej *Allgemeine Zeitung* silnie zaprotestowali przeciw burzeniu Rzymu. Pomiędzy podpisami widzimy nazwiska pierwszorzędnych powag, jak filologa Wölfflina, malarzów Lenbacha i Piloty'ego, literata Heyse, a wreszcie są tam i dwaj niepodejrzani w tej mierze świadkowie, bo najzaciętsi przeciwnicy papiestwa, twórcy staro-katolicyzmu Döllinger i Friedrich.

O ile takie deklaracye pomogą, odgadnąć trudno. Polemika wre na dobre, a ciągłe wiadomości o nowych barbarzyństwach nadchodzą: świeży dekret skazał na zburzenie kościół św. Stefana *sopra Cacco*. Świątynia ta datująca z VIII. wieku, zachowała jeszcze styl bazyliki, więc należy niezawodnie do cenniejszych zabytków. Za tym kościołem pójdą i inne. Prócz spekulacyjnego prądu, niszczącego wille, daje się tam bowiem czuć i prąd inny, o którym już wspominaliśmy, dążący do ześwietczenia Rzymu. Nie jest to tylko mularska ale i wolnomularska robota, wroga Kościołowi, i dla tego ją pod tą rubryką zapisujemy.

K.

Z tegorocznej wystawy obrazów w wiedeńskim Künstlerhauzie.

Künstlerhaus wiedeński w ciągu ubiegłej zimy różne przechodził przeobrażenia. Przybierał go Wereszczagin we wschodnie materye i dywany, potem artyści miejscowi na wspaniały swój *niederländisches Fest* flamandzką mu nadawali cechę; z kolei sprzedawano w nim studya i szkice po zmarłym mistrzu Canonie, aż wreszcie z wiosną znów się jego podwoje na doroczną zwykłą wystawę otwarły. Wystawa ta nie należy może do najświetniejszych: czuć się daje mianowicie zupełny prawie brak historycznego malarstwa. Na 600 obrazów zaledwie dwa, trzy historycznej treści znajdzie się, a płótna te na domiar bez żadnej wartości. Rozmiarami największy, znany z licznych reprodukcyj w ilustrowanych pismach niemieckich

„Savonarola każący w katedrze florenckiej“ monachijskiego malarza Langenmantela, nie wytrzyma żadnej krytyki. Rysunek twardy, koloryt zimny, mówca teatralny, a słuchacze banalni i tak obojętni, że doprawdy człowiek pyta, po co kazania słuchają, kiedy ich kaznodzieja najwyraźniej tak okropnie nudzi. O „Swatach Maksymiliana“ pędzla Reiffensteina wspominać nawet nie warto, chyba ze zdziwieniem, że obraz taki do Künstlerhauzu przyjęto.

Właściwą okrasą tegorocznej wystawy, to dział portretowy, a tu — by *ab Jove* zacząć — należy wspomnieć zawieszony naprzeciw wejścia do głównej sali portret cesarza Franciszka Józefa. Portret ten byłby z pewnością ozdobą każdego dworca kolei żelaznej; w sali ratuszowej prowincyonalnego miasta uchodziłby za znośny; na wystawie przecież, w sąsiedztwie groźnych współzawodników, a do tego z obiecującym, a dotrzymującym zwykle więcej podpisem Angelego, schodzi do rzędu prawdziwej miernoty. Głowa miękko modelowana, strój koronacyjny sztywny i twardy, niby w drewniane łamiący się fałdy, całość traktowana bez plastyki, zimna i konwencyonalna. Lepszy już drugi portret cesarski tego samego pędzla; jest to tylko popiersie, ale głowa subtelnie wykończona a choć także może w modelunku nieco miękka, więcej w niej przecież życia, więcej wyrazu i podobieństwa. Nad malarzem wiedeńskim o wiele wyżej stoi węgierski wielki artysta Juliusz Benczur. Portrety trzech magnatów węgierskich, które na tegoroczną wystawę przysłał, zdobią ją niepomiernie. Silne indywidualizowanie i właściwą temu malarzowi charakterystykę najlepiej tu, w tych trzech tak odmiennych, a prawdziwie żyjących i myślących typach pozna. Przypatrzmy się bliżej. Pierwszego smukła postać, w czerwony jeneralski mundur przybrana, rysuje się wybitnie na ciężkiej pąsowej oponie. Pąs i karmin zlewają się harmonijnie w fantastyczny nieco a nadzwyczaj sztuczny i piękny ton ogólny, z niego zaś występuje wybitniej jeszcze blada, podłóżna twarz o wyrazistych rysach, zadartem, z pod kędzierzawych kruczych włosów wyglądającem czole, małym orlim nosie, zaciśniętych ustach, z zakręconym w górę wąsem i krótką czarną brodą. Oczy trochę w głąb zapadłe, niby w czoło schowane, prawie smętne i nieodgadnionego wyrazu, ale jak w ustach maluje się jakaś tęgość i mars, tak w oku widać myśl, niemal zadumanie. Lewa ręka ima się rękojeści szabli, prawa

wsparta o stół, na którym zwój papierów leży. Cała twarz bardzo uderzająca, choć o nieregularnych rysach, wyraz znaczący nie bez fantazyi i uroku, typ bardzo węgierski, prawie cygański. U szyi zawieszone złote runo. To hr. Juliusz Andrassy, były minister austro-węgierski, mąż stanu równie nieraz enigmatyczny w działaniu, jak zagadkowy ten wzrok, którym z portretu na przechodnia patrzy. Inny zupełnie model drugiego portretu. W aksamitnym czarnym, sobolami obszytym magnackim płaszczu, stoi słuszny, nie młody już mężczyzna, o pięknej, wykwintnej twarzy, z czołem nieco zmarszczkami zoranem, z łagodnem okiem i siwym zarostem. W rękach trzyma bogatą szablę, ale szabla ta bardziej na akcesoryum stroju niż na broń istotną patrzy, bo i w twarzy i w postawie maluje się przedewszystkiem spokój i wielka, niczem niezakłócona, równowaga i dystynkcya. Jak ten wielki pan wspaniale musi wyglądać, kiedy na pokojach królewskich pełni swój wysoki urząd, bo to hr. Geza Szapary, wielki ochmistrz dworu węgierskiego, *magister camerae regiae*. Niedaleko wisi trzeci portret tegoż samego pędzla, bodaj czy z trzech nie najlepszy. Ten barczysty strzelec stojący u stoku skały, z strzelbą lekko przewieszoną na ramię, z głową nieco w tył zadartą, z odkrytem, wyniosłem, z włosów już ogołoconem czołem — na które malarz rzucił światło — tak, że z dziwną siłą występuje na tle głębokiego, zmrokiem ocienionego pejzażu, z wzrokiem śmiałym, daleko patrzącym, ustami pogardliwie nieco zaciśniętemi i krótko strzyżoną blond brodą; to tak po mistrzowsku narysowana, tak plastyczna i żywa postać, że w dziedzinie malarstwa współczesnego temu portretowi hr. Juliusza Karolyi nie wiele równych znajdzie. A Benczur nietylko śmiało ale i starannie maluje. Z daleka całość tak się zlewa, że niby o subtelnej świadczy robocie; z bliska wpatrzony dojrzy energiczny, żywy, rzutny ruch pędzla. Po takich trzech — powiedzmy śmiało — arcydziełach, nie łatwo się innemi portretami zadowolnić. To też portret prezesa austryackiej Izby panów hr. Trautmansdorfa pędzla znanego i dość cenionego w Wiedniu Zygmunta L'Allemand'a, bardzo blade robi wrażenie; modelunek miękki, koloryt szary, a twarz bez życia i cała postać niby z kartonu wycięta. Dobre są za to dwa kobiece portrety Edwarda Gelli'ego z Florencyi. Szczególnie jeden z nich, przedstawiający młodą osobę o rozumnej, wesołej twarzy, dumnem oku i dowcipnych ustach, traktowany z werwą

i talentem. Smukła postać w sukni koloru *bordeaux* i w dużym kapeluszu z białemi piórami, żywo się na tle oliwkowem rysuje. I drugi portret kobiety otulonej w czarne futerko nie zły. W oczach dużo wyrazu, a wyraz piękny, prawdziwy i mówiący. Tylko portret ten ma wadę kardynalną, tylu portretom właściwą, gdzie artysta malując twarz, zostawia twarz pomalowaną.

W dziale pejzażu uderza cechująca ten rodzaj w Niemczech szablonowa konwencyonalność. Zdawaćby się istotnie mogło, że owa niemiecka *Schwärmerei* dla przyrody, jest tylko wymuszonem sentymentalnem nastrojeniem, kiedy w ich sztuce tak mało znajdzie tego uczucia odblasku. U Francuzów natomiast, w których poezyi przyroda najmniejszą może względnie gra rolę, wyrobiło się dziwnym trafem najświetniejsze pejzażowe malarstwo, z ciągiem tradycyi od Claude Lorain'a aż do Rousseau, zdumiewające dziś jeszcze na każdej niemal wystawie francuskiej prawdziwem, szczerem i poetycznem poczuciem natury. Pejzażyści niemieccy obrali sobie Alpy za motyw niezmiennego natchnienia. Pod szaro-żółtem niebem szaro-żółte góry, potok z szaro-żółtym nurtem, z którego sterczą szaro-żółte głazy i zawsze stereotypowy świerk, mniej lub więcej pochylony nad urwiskiem, — oto przeciętny pejzaż niemiecki, zimny i monotonny do znużenia. Na tegorocznej wystawie najlepsze są dwa widoki włoskie. Pierwszy — Roberta Russa, przedstawia ogród, czy terasę otoczoną cyprysami, wśród których widnieją w głębi wieże i mury miejskie. Jest w tym obrazie dużo powietrza i południowego słońca, dużo złotego, może nawet zanadto w rudawy ton wpadającego, światła; figury, postacie ludowe, rozrzucone na pierwszych planach, nieco jako drugorzędne traktowane akcesoryum. Na drugim pejzażu, raczej widoku morskim, pędzla Nerly'ego z Rzymu, widzimy słynne z swej malowniczości Salto di Tiberio na Capri. Duży ten obraz nie zwraca na pierwszy rzut oka uwagi, bo rozmiary wielkiego pejzażu zawsze na razie nieco straszą. Wpatrujący się sumiennie, znajdzie przecież w tem płótnie istotne a wielkie zalety. Kolor i ruch fali taki prawdziwy, że morze to żyje w oczach; skała zaś sterczącа w środku, a połyskująca tym tysiącem tonów i cieni, które wytwarza światło łamiące się w każdej rozpadlinie, jest w swoim rodzaju arcydziełem prawdy, które pojmie łatwo ten, kto zna morskie refleksa słoneczne. Kozakiewicza widok zimowy „Zła

wróżba", to nawpół pejzaż, nawpół genre. Na krańcu, w oddali widnieje wioska, od niej ciągnie się długa, śnieżna równina. Gościńcem, na którym roztop i błoto, idzie myśliwy i spotyka „złą wróżbę", starą babę, która się pod szerokim parasolem z koszem w ręku toczy. Całość może nieco za jednostajna w kolorze, ale zresztą wcale nie zła; pejzaż traktowany z prawdą, a figury z humorem.

Palmę humoru zdobył przecież na wystawie Edward Grützner, znany ilustrator „Falstaffiady". Jego „Auerbachskeller", to znowu perła wesołości i dowcipu. Po prawej stronie na schodach do piwnicy stoi zadumany Faust, a Mefistofeles wskazuje mu ręką na bawiących się *mit wenig Witz und viel Behagen* podochoconych studentów. Te dwie figury względnie najsłabsze z całego obrazu; Faust nie dość głęboki, a czerwony jego towarzysz za mało sarkastyczny. Za to grupa studentów wyborna. Na środku za stołem stoi Brander; ręce rozkrzyżował, rozwarł usta szeroko i śpiewa piosnkę o szczurze. Obok siedzą trzej inni studenci. Jeden z nich zatyka uszy — zagłuszony znać głosem towarzysza i własnym śmiechem, — inny tyłem zwrócony głowę przechylił i pije do śpiewającego, trzeci wreszcie, najlepszy może, w niebieski strój przybrany, z twarzą naiwną na rękach wspartą, z głupim zachwyconym uśmiechem wsłuchuje się w słowa piosenki. Cała ta czwórka wesoła, rubaszna, rozhulała, a choć jeszcze nie popłynął zdrój piekielny wina, znać, że im już jest *kanibalisch wohl*. Przybyszów nie widzą, bo dyabeł jeszcze w cieniu schodów Fausta zatrzymuje; poczuł go tylko pies, który się ostrożnie do wejścia skrada. Obraz ten zostanie jedną z lepszych ilustracyj Fausta i spopularyzuje się niezawodnie.

Z kolei pomówić nam wypada o jednym jeszcze dziale malarstwa, pojawiającego się teraz na każdej wystawie. Określenie rodzaju tego nie łatwe; to ani historya, ani pejzaż, ani genre, choć właściwie historya stanowi tło istotne widoku, rzeczywisty to genre XIX. wieku. To malarstwo mundurów, rewii, parady i mustry, apoteoza czerwonych pantalonów i niebieskiego tużurka. Rodzaj to nam osobiście wielce nie sympatyczny. Wojsko w bitwie, choćby w dzisiejszym mundurze, może z żywiołem dramatycznym prześliczne wywołać effekta. Neuville i Detaille stworzyli arcydzieła w tym rodzaju. Ale cóż mówi do wyobraźni np. ten duży obraz Zygmunta

L'Allemand, przedstawiający wjazd do Schweizerhofu w Burgu wiedeńskim regimentu dragonów, który się długą konną kolumną w doskonałej rzeczywiście perspektywie roztacza, ale zresztą żadnego, ani historycznego, ani estetycznego znaczenia nie ma? Znajdujemy w tym dziale dwa obrazy polskich malarzy. Ajdukiewicza „Rewia na Błoniach“ z kopcem Kościuszki i Bielanami na tle pejzażu, ma niepospolite zalety; konie mianowicie narysowane z właściwym temu malarzowi talentem. Wojciecha Kossaka „Atak strzelców“, świadczy o znacznym młodego malarza postępie. Ruch biegnących żołnierzy żywy, gwałtowny, a konni pędzący na przedzie w sztucznem skróceniu dobrze narysowani. Obraz ten jest własnością cesarza. Te dwa płótna wcale pokaźne miejsce na wystawie zajmują, a dla malarzy zdrowo zawsze, przedstawić się szerszej publiczności. *Pour un artiste l'étranger c'est la postérité contemporaine,* powiedział ktoś słusznie. Zdala od pochwał lub nagan osobistej krytyki, tak wielce u nas rozpowszechnionej, obce zdania najlepiej sądzić, największą korzyść malarzom naszym przynieść mogą.

Skończmy na sali akwarelli. Alta widok placu św. Marka wcale ładny: koloryt niezbyt żywy ale dziwnie delikatny; cały obrazek niby jasną niebieską mgłą owiany. Passini'ego akwarelle jak zwykle prześliczne. Mniejsza przedstawia dziewczynkę wyciągającą dzban ze studni, większa scenę uliczną w Wenecyi. Pod mostem, łukiem wzniesionym w górę, przepływa gondola. Wszyscy przechodnie, gondolierzy, księża, żebraki, kilka kobiet i dzieci zatrzymują się i na dół patrzą. Stojący od brzegu spokojniejsi, bo już widzą, patrzący im przez ramię cisną się z większem zaciekawieniem, prawie z niecierpliwością, a gradacya tu doskonale przeprowadzona. Jakiś malec na dole sam już widział, a teraz z uradowaną miną i wyciągniętemi rękami innych nawołuje, żeby się przypatrzyć przyszli. Koloryt żywy, jasny, słoneczny, a dobór barw właściwy zdolnemu temu artyście, który tu czerwoną chustką, tam żółtym kapeluszem, indziej białym czepkiem lub niebieską wstążką tak wybornie ożywia ton ogólny i przechodząc całą gammę kolorów, wesołe a tak harmonijne wywołuje effekta.

Z.

KÓŁKA ROLNICZO-WŁOŚCIAŃSKIE W WIELKOPOLSCE.

W r. 1881 ogłosiłem w „Ateneum“ rozprawę p. t.: „Kółka rolniczo-włościańskie i rozwój pracy około rolniczej oświaty ludowej w W. Ks. Poznańskiem i Prusach Zachodnich[1]“. Na podstawie źródeł i informacyj, jakie zebrać zdołałem, ułożyłem w rozprawie tej rys historyczny usiłowań, za których sprawą szlachetna i ofiarna inteligencya obywatelstwa wiejskiego, bądź świecka bądź duchowna, wytworzyła poważną liczbę drobnych instytucyj o wielkiem społecznem i kulturnem znaczeniu, w celu usposobienia ludu wiejskiego a przeważnie samodzielnych gospodarzy wiejskich czyli kmieci, do zyskowniejszej pracy, utrwalającej byt, umożliwiającej wzrost drobnej posiadłości. Lat kilka, które od tego czasu upłynęło, nie przyczyniły się bardzo do postępu na tej drodze; w treściwym poglądzie, jaki mam zamiar tu podać, będę się starał wyjaśnić doniosłość i obecny stan tej instytucyi.

Kółka rolniczo-włościańskie w Wielkopolsce, są to poprostu towarzystwa rolnicze dla najdrobniejszych właścicieli ziemskich, których tu nazywają g o s p o d a r z a m i. Gospodarze ci mieszkają albo w osobnych wsiach, gdzie nie ma dominiów, albo też obok dominiów tworzą osobne gminy z własnymi sołtysami. Posiadłości ich obejmują po kilka, kilkanaście a niekiedy kilkadziesiąt i więcej morgów.

Wykształcenie ogólne u gospodarzy tych w przecięciu bywa w najlepszym razie elementarne. Zdarzają się wypadki, że zamożniejsi lub staranniejsi posyłają dzieci swe do gimnazyów, ale w obec masy, są to zawsze jeszcze tylko wyjątki, chociaż poszczycić się

[1] Praca ta wyszła w osobnej odbitce.

możony już całym szeregiem duchownych a dalej w mniejszej liczbie lekarzy, nawet i adwokatów, pochodzących ze stanu kmiecego. Zawodowe zaś wykształcenie rolnicze było u włościan naszych do czasu zaprowadzenia kółek, rzec można, żadne. Szkoła pruska elementarna ludowa nie uwzględnia żadnego przeznaczenia swych uczniów, dla tego umiejętność gospodarowania rolnego zasadzała się na mierze doświadczenia, jakiego nabyć mógł syn u ojca i na tem co w najlepszym razie ojciec podpatrzył na sąsiedniem gospodarstwie probostwa, dworu, lub co przy sposobności posłyszał od dworskich ludzi.

W obec takiego stanu rzeczy, kółka rolniczo-włościańskie postawiły zasadę, że należy włościan uposażyć w pewien zasób wiedzy rolniczej, niezbędnej do poprawienia tradycyjnie skostniałego sposobu gospodarowania. Starano się przekonać gospodarzy najprzód o potrzebie wiedzy a następnie, że jedynym sposobem zdobycia takowej są w danych stosunkach towarzystwa. Zaczęli tedy zapisywać się do takich towarzystw, bądź gospodarze jednej, liczniejszej osady, bądź z kilku sąsiednich wsi, wybierano przewodniczących, zrazu bez wyjątku, a i dziś jeszcze przeważnie z inteligencyi, wyznaczono regularne posiedzenia, na których w sposób parlamentarny traktują sprawy wyłącznie rolnicze, zarobkowe, bądź w odczytach, bądź w pogadankach, bądź przez odczytywanie artykułów z pism czasowych i broszur.

To jest główne tło kółka. Rzecz to na pozór bardzo prosta, a jednakże w wykonaniu przedstawiająca niesłychane trudności. Jak wszędzie, tak i tu łatwo na papierze nakreślić organizacyę, ale natchnąć ją żywotnością i w tej żywotności utrzymać — nader trudne jest zadanie.

Trudno przedewszystkiem przełamać niedowierzanie u włościan, wrodzone synom i wnukom poddaństwa a częstokroć podsycane z zewnątrz. Ów brak zaufania dotyczy przedewszystkiem samejże wiedzy. Włościanin nieoświecony, nie wierzy, żeby jakaś tam nauka rolnictwa była mu potrzebną i przydatną, nie zna on pojęcia jakości pracy. Ci co ulegali, zwłaszcza w początkach ruchu wpływom zewnętrznym, obawiali się też, czy te niby dobre zamiary inteligencyi, nie zmierzają znów do „kosynierki“. Pesymizm, konserwatyzm, podejrzliwość polityczna, nie wyłączając grubej dozy

zarozumiałości, otóż główne powody, dla których zawsze jeszcze udział w kółkach idzie oporem. Słyszą też o składkach, wydatkach nakładowych, wynikających z tej „nauki", więc i to odstrasza naturalnie ciemnych.

Ale jeżeli z jednej strony włościanin jest nieufnym, to z drugiej nakłoniwszy się do sprawy z rzetelną czy udaną ufnością, jest też nader wymagającym. Pragnie na razie i jak najczęściej doznawać namacalnych korzyści. Wstępuje do kółka, ale skoro korzyści nie przechodzą ryczałtem w posiadanie jego, zraża się, nie uczęszcza na zebrania i jest członkiem z nazwiska, nie w istocie. Dopiero gdy posłyszy, że dowcipny prezes dla obudzenia „ducha" urządził losowanie różnych przedmiotów gospodarczych, lub że będzie rozdawał nasiona, drzewka i t. p., stawia się na zebranie, a zabrawszy „namacalne korzyści", znika znów na dłuższy czas.

Wymagalność — i to lepszej części członków kółek, odnosi się także do udziału inteligencyi w kółkach. Kto z inteligencyi raz się oddał na służbę przewodniczenia w kółku i zasilanie go strawą duchową, a chce, żeby kółko nietylko rosło liczebnie, ale się także i utrzymywało w pierwotnej żywotności, musi sobie powiedzieć, że się podał w niewolę. A przyznać to trzeba i z uznaniem wielkiem zaznaczyć, że wielu niewolę tę znosi z zaprzaniem pełnem ofiarności. Posiedzenia kółek odbywają się zwykle w niedzielę, a zatem w dzień, którego popołudnie na wsi zwykło się zużywać na wytchnienie, sąsiedzką zabawę, wyjazdy towarzyskie, odwiedziny rodzinne. Ale skoro na dzień taki trafi posiedzenie kółka, wszystkie względy idą na bok: nie jedzie się na zabawę, gości na kilka godzin zostawia się w domu samych, byle nie zrazić „młodszych braci", którzy czekają na wykład, a przynajmniej na obecność „okolicznych obywateli". Gość nie bierze za złe takiego uchybienia gościnności, a jeśli mężczyzna, częstokroć z gospodarzem siada na bryczkę i podąża także na zebranie, witany uroczyście i nagrodzany zapiskiem o obecności w protokule zebrania.

Przyzna każdy, że to ciężki zaciąg, jeśli zaciągiem nazwać można obywatelską służbę, w której najczęściej można się kim wyręczyć i zwykle na jednego chętniejszego spada cały ciężar. W ostatnich czasach nawet pojawiać się zaczyna u inteligencyi pewne pod tym względem znękanie. Nie dziw, bo obowiązek jest trudny, kło-

poty osobiste coraz groźniejsze, swoboda myśli coraz bardziej niknie, „interesa“ rozrywają uwagę, przystępuje nuda, wynikająca z traktowania spraw w zaklętem kole tożsamości, zniechęca brak poparcia ze strony tych, którzy się w te sprawy wdać byli winni, niekiedy zaś dobra wola rozbija się o niechęć samej pani domu.

Ujemny wpływ kobiet jednak nie tak silnym jest u inteligencyi, jak u samychże włościan. Udział włościan byłby daleko liczniejszym, gdyby nie wręcz nieprzyjazne stanowisko kobiet w obec instytucyi, dla nich zupełnie niezrozumiałej.

Jeżeli zważymy te wszystkie wymienione trudności i niedostatek ogólny inteligencyi, któraby kółkom skutecznie przewodniczyć mogła, podziwiać trzeba niepomału względnie zadowalniający rozkwit tej instytucyi. Rozkwit ten mógłby oczywiście być stokroć większym, bo jak dotąd może zaledwie 10% samodzielnych włościan zaciągnęło się do kółek, ale i za to co jest panu Bogu dziękować, a byle się w pracy nie ustawało, ruch ten zakreślać będzie coraz większe koła. Obecnie jest w Księstwie kółek 147.

Powodzenie zaś względne sprawy kółek zawdzięczamy następującym okolicznościom. Najprzód centralizacyi opieki nad kółkami, w ręku jednego człowieka.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że wszystko co zrobiono tu dla kółek włościańskich, jest zasługą p. Maksymiliana Jackowskiego, który je pracą, osobistym wpływem wytworzył, rozwinął i w karbach trzyma. Tu zachęcał i pobudzał włościan, tam wynalazł i zniewolił członków inteligencyi do zajęcia się sprawą kółek, a gdzie nie starczyło inteligencyi, tam z włościan samych wychował samorodnych przewodników.

Szczęśliwą jest sprawa, która znajdzie swego „człowieka“. Najpoważniejsze i co najlepsze chęci, wyposażone ciała zbiorowe, zwłaszcza jeśli nie mają egzekutywy, nigdy tyle nie zrobią co jednostka, duszą i ciałem oddana sprawie. Prawda ta stwierdziła się u nas i na kółkach włościańskich.

Wiele było okoliczności, które ułatwiły pracę. Sympatyczność sprawy, poparcie ogólne w opinii, w prasie, w centralnem Towarzystwie gospodarczem, w ofiarnej na cele publiczne spółce bazarowej, ale jakże to często się zdarza, że wśród najprzyjaźniejszych

okoliczności podjęte usiłowania idą marnie, jeśli albo nie ma „człowieka“, albo takowy chwyci się niewłaściwej metody działania.

Sprawę kółek rolniczych poruszono dotychczas w dwóch dzielnicach Polski, w Wielkopolsce i w Galicyi. W każdej z tych dzielnic chwycono się innej metody, a skutek okazuje, która jest właściwszą.

W Wielkopolsce zjednano dla sprawy „człowieka“, a człowiek ten budując zwolna, składając cegłę do cegły, bez olśniewających na razie powodzeń, ale i bez zniechęcających zawodów, zbudował, jeśli nie gmach wspaniały, to przynajmniej budowę użyteczną, wymagającą wprawdzie ciągłej naprawy i pieczołowitości, ale nie wywrotną z wewnętrznej wadliwości. W Galicyi stworzono wielką organizacyę, nie obliczywszy się może dostatecznie, czy czynniki mające takową dźwigać i utrzymywać w żywotności, już odpowiadają zamiarowi.

I tam „ludzie“ zapewne spełnili swą powinność, ale „ludzie“ to nie „człowiek“ a z niewłaściwym systemem i najchętniejsi i najofiarniejsi nie poradzą. Mówią i piszą, że tam sprawa kółek chromieje.

Z tem wszystkiem nie uważamy sprawy kółek w Galicyi bynajmniej za przegraną a rzeczywistość naga, jaka się u nas odsłoniła na tegorocznem walnem zebraniu, jeśli nas prasa dobrze informuje, niewątpliwie wpłynie przecież na zmianę systemu. Z całej masy nieudałych kółek, jakiś przecież zawiązek pozostał. Te należy przedewszystkiem otoczyć najstaranniejszą opieką i przywieść do rozkwitu, żeby na nich tak włościanie, jak i inteligencya naocznie przekonać się mogła o zbawiennym wpływie instytucyi. Przykład lepiej podziała, niż wszelkie reskrypty wysokich władz z niewidzialną, niedotykalną powagą.

Jakże często słyszy się u nas w sprawie kółek ubolewania nad upośledzeniem naszem w obec stosunków galicyjskich. Gdybyśmy mieli, mówią, u nas te władze autonomiczne, tak liczny zastęp ziemskich obywateli, duchowieństwa a przedewszystkiem tylu nauczycieli ludowych, oddanych na nasze usługi, jakżeby świetnie stanąć musiała sprawa kółek i sprawa rolniczej oświaty włościan.

Niewątpliwie, że można wam zazdrościć tych i tylu czynników, powołanych do sprawy, ale są tam u was i przeciwności prawie nie do zwalczenia, póki się Galicya nie pozbędzie toczącego jej żywot

i byt raka propinacyi. To jest, jak to mniemamy, wewnętrzny i istotny, największy nieprzyjaciel kółek, a formalny wykazał się w wadliwym zakroju zbyt wielkiej organizacyi i braku — człowieka.

Obyście go najrychlej znaleźli — a nawet wśród najnieprzyjaźniejszych okoliczności, przy takich jak wasze funduszach, zdziała on przynajmniej tyle, ile w danych okolicznościach zdziałaćby powinien.

Przepraszam za ten ustęp dotyczący waszych stosunków; ale my tu z wielkiem zajęciem śledziliśmy rozwój idei z Wielkopolski do Galicyi przeniesionej i niepodobna nam obojętnem okiem patrzeć na losy dzieciny, będącej u was na wychowaniu.

I u nas chętnieby może widziano, gdyby się sprawie kółek naszych ktoś życzliwy przypatrzył badawczem okiem zdaleka, i spostrzeżeń swych krytycznych udzielił, niechże więc i nam nie poczyta się za złe ta wycieczka na wasze niwy.

Wracając do stanowiska i wpływu patrona w naszych kółkach, zaznaczyć musimy przedewszystkiem ożywczy i zbawienny wpływ w zdobytem zetknięciu się patrona z kółkami. Póki ich było mniej, mógł on tu i ówdzie zaglądać do samychże kółek. Dziś zetknięcie to odbywa się na powiatowych zebraniach kółek, na które z nich przybywają zwykle dość liczne delegacye kółkowych patrycyuszów czyli wyborczych członków. Tam oni zwykle patrona witają i żegnają wielkiemi owacyami, tam bywają odczyty, udzielają się kółkom informacye, odbywają się wystawy i t. p. W wielu powiatach patron poustanawiał swoich wice-patronów, których obowiązkiem ma być odwiedzanie zebrań kółek powiatowych i czuwanie nad ich żywotnością.

Dziś jeszcze stanowczo orzec nie można, czy takie rozszerzenie i rozczłonkowanie organizacyi przyniesie namacalne korzyści. Jedni twierdzą, że zebrania powiatowe wpływają na poszczególne kółka ożywiająco, inni znów, że przeciwnie interes członków dla domowego kółka słabnie, bo główna uwaga skierowaną jest na powiatową uroczystość, a jednakże bądź co bądź punkt ciężkości spoczywać powinien w pracy ciągłej i regularnej poszczególnych kółek.

Zapytajmy teraz, jaka jest ta praca i w jakim kierunku się

rozwija? Program pracy kółek wielkopolskich nie jest zbytecznie rozległym. Jestto poniekąd korzyść wielka, bo tam gdzie bardzo wiele tworzyć i wypracowywać trzeba, niepodobna rozdrabiać sił i poruszać wszystkiego naraz. Wynika to już z scentralizowania kierownictwa w jednych ręku, że się dążności i usiłowania nie rozstrzeliwają zbytecznie. Jednostka w normalnym stanie zwykle mniej ze siebie wyłoni projektów niż ciała zbiorowe. A jeżeli gdziekolwiek, to tu nie chodzi o ilość zamiarów i pracy, lecz o jej jakość, o postęp, ale powolny.

Zrazu zwrócono w kółkach uwagę zwłaszcza na dwa główne zadania, na uprawę roli i chów bydła. I dziś jeszcze główne usiłowania robią się w tych dwóch kierunkach, jako zasadniczych. Póki włościanie w tej mierze nie zrobią znamienitszych postępów, nie może być mowy o racyonalnem traktowaniu innych specyalności. Zatem zaprowadzenie gospodarstwa płodozmiennego, pogłębienie orki, użycie poprawnych narzędzi, pomnożenie mierzwy, użycie w niedostatku takowej nawozu sztucznego, osuszenie mokrej i zimnej gleby, poprawa i zmiana siewów, sadzenie okopowizny, uprawa roślin pastewnych, otóż co zaprowadzić i rozpowszechnić usiłują przedewszystkiem nauki i nawoływania po kółkach, a z drugiej strony lepsze żywienie inwentarza i poprawniejszy rozpłód.

W drugim dopiero rzędzie idą usiłowania około rozpowszechnienia pszczelnictwa, sadownictwa, przyzwyczajenia włościan do zabezpieczenia od ognia i gradu lub nareszcie budzenie przemysłu domowego, tam mianowicie, gdzie już samorodnie się wyrobiły jakie takie zaczątki, lub pozostały resztki. Rzecz naturalna, że wykłady i zachęty odnoszące się do uprawy roli i chowu bydła, są dla włościanina najzrozumialszemi, bo przedmiot sam nie jest dla niego *terra incognita*, a skoro raz poprawna próba okaże namacalne korzyści, zaśniedziały konserwatysta włościański zamienia się gorączkowo w rolniczego reformatora. W wielu okolicach nasi kółkowcy już dziś chętnie nabywają poprawne narzędzia do uprawy roli, na wyścigi z dworami. Chętnie też już wierzą w korzyści odmiany siewów, zwłaszcza, gdy „starsi bracia“ bezinteresownie im udzielają poprawnego ziarna, bez kosztów — pomierzą pola do płodozmianu, pozwolą używać swych rozpłodników i t. p. A i pod tym względem, przyznać trzeba, że ofiarność „starszej braci“ jest bardzo

powszechną i wzorową. Wielu też niewygodny udział osobisty w kółkach woli okupywać darami hojnemi.

To też pod względem uprawy roli i chowu inwentarza, główny widać u włościan postęp. Zwiększona produkcya gospodarstw włościańskich przedstawiłaby już bardzo poważną liczbę, gdyby ją statystycznie stwierdzić można. Znawcy twierdzą, że jadąc krajem, po polach, urodzajach i bydle zaraz poznasz, czy, i którzy gospodarze należą do kółek włościańskich lub nie.

Daleko tępiej idzie rzecz z sprawami więcej obcemi jeszcze dla horyzontu umysłowego włościan. Tak mianowicie z zabezpieczeniem od ognia i gradu. I rzecz sama dla wielu niejasna i formalności ciążą a przedewszystkiem żal wydatku, który tylko w razie nieszczęścia mu przynosi korzyści, a jeśli P. Bóg zachowa od klęski, uważa się wydatek jako stratę niepowetowaną. Przewodnicy kółek, każdego pożaru, każdego gradobicia w okolicy używają w celu naocznego przekonania niedbałych, że pieniądz wydany na zabezpieczenie, nie jest groszem wyrzuconym za okno.

Z pobocznych gałęzi gospodarstwa, największe stosunkowo korzyści i postępy spowodowały kółka w pszczelnictwie. A i tu znów nie przez co innego, jak przez pozyskanie „człowieka“. Jest w mieście Środzie zawołany pasiecznik, nauczyciel Kremer. Ten każdego lata urządza u siebie dla synów gospodarskich kursa, na które patronat chętnych po kółkach rekrutuje i na naukę posyła. Tak zwolna i w sposób nader praktyczny tworzy się i sztab piastowskiego przemysłu.

Kto zresztą ciekaw szczegółów o wszystkich zadaniach rozwiązywanych przez kółka i w kółkach, niech sobie przejrzy kilka roczników i sprawozdań, w których każde kółko corocznie się spowiada w prostym i krótkim, protokularnym sposobie z tego, co i jak robiło, czem się zajmowało na zebraniach i poza zebraniami.

W sprawozdaniach tych uderza czytelnika, zwłaszcza gdyby szukał wrażeń i frazesów szumnych, pewna nużąca jednostajność, ale ona właśnie jest rękojmią, że praca kółek nie rozstrzela się w najrozliczniejszych kierunkach, lecz ogranicza się w zakresach zasadniczych, pragnie upowszechnić i utwierdzić przedewszystkiem to, co jest najpotrzebniejsze, niezbędne, bez czego wszystko inne byłoby zbytecznem albo przedwczesnem, zwłaszcza przy wielkim

niedostaktu funduszów, z którym walczy u nas każda instytucya.

Walczy ona także z innym jeszcze niedostatkiem, daleko groźniejszym, bo z niedostatkiem inteligencyi przewodniczącej. Sieć właścicieli ziemskich coraz więcej się przerzedza a i ci co są, nie wszyscy chętni lub sposobni. Walka kulturna przerzedziła także znacznie zastęp duchownych, nauczycielom ludowym nie wolno brać udziału w polskich instytucyach, oficyaliści dworscy nie wszędzie czas swój poświęcać mogą na rzecz kółek; dosyć, że coraz dotkliwiej się uczuwa brak inteligencyi, któraby posiadała podostatkiem światła i powagi do skutecznego zakładania i prowadzenia kółek. W kółkach starych a osieroconych wyrobił się już między samymi włościanami pewien zasób ludzi światlejszych, tak, że dziś już w kilkunastu kółkach sami włościanie takowym przewodniczą z dobrym skutkiem. Gorzej jeszcze brak inteligencyi oddziaływa na zakładanie kółek nowych. Gdzie nie ma odpowiednej osobistości do prowadzenia kółka, tam też lepiej go wcale nie zakładać. Tej zasady trzyma się obecny patron. Ale dla tego też jedynie liczba kółek nie podnosi się tak, jakby sobie życzyć należało.

W obec takiego niedostatku, należy poczytać za bardzo odpowiedny pomysł powołania na usługi kółek, fachowego prelegenta, któryby odwiedzając z kolei wszystkie, a przynajmniej słabsze kółka, systematycznie wpływał na wyrównanie naukowego funduszu całej instytucyi. I na tem polu, powiedzieć można, że kółka znów znalazły swego „człowieka“. Pan Chojnacki, wieloletni prezes jednego z kółek na Pałukach, jest nietylko światłym agronomem, ale zarazem zna doskonale poziom umysłowy włościan i właściwą sobie swadą ludową potrafi do nich przemawiać tak, że go słuchają chętnie.

Mamy w zaborze pruskim znakomitych mowców ludowych, mianowicie między duchownymi, mamy niezrównanego świeckiego mowcę ludowego do spraw politycznych, jakim jest w Toruniu zamieszkały redaktor *Gazety Toruńskiej* i *Przyjaciela*, p. Ignacy Danielewski, którego słyszeć trzeba przemawiającego *ex abrupto*, w stodole, lub innej improwizowanej arenie publicznej na wiecu, żeby pojąć, co to jest wymowa popularna, bo opisać talentu mowcy tego — niepodobna. I to jest wielka sztuka, wielki dar; ale mowcy kaznodzieje i mowcy polityczni mają stosunkowo wdzięczne pole,

kiedy ich zadaniem jest przemawiać do wyobraźni, poruszać serca, rzucać w duszę żar miłości, radości i obawy, gromić lub podnosić moralnie; ale wzbudzać zajęcie, utrzymać i podniecać ciekawość, przekonywać i porywać umysły mówiąc o mierzwie, o chowie bydła, nawet o zabezpieczeniu od gradu, to zaiste jest sztuka daleko trudniejsza. Pragnąć należy wielce w interesie rzeczy, żeby sztuce tej sprostali wszyscy powołani.

Z tego punktu widzenia rzecz rozważając, powiedzieć trzeba, że kółka rolnicze i zebrania takowych, są znamienitą szkołą myślenia i mówienia, nie tylko dla włościan, ale i dla inteligencyi, która w wystąpieniach publicznych w ogóle, choruje raz na czczą popisowość a dalej na rozrzucenie umysłowe. Tu na tej arenie ustaje frazeologia bezmyślna; trzeba się bądź co bądź trzymać przedmiotu i w ciasnych pozostawać granicach rzeczowego wywodu. Otóż w czem jest szkoła porządku myślenia.

Szkoła ta wydała już niepomierne owoce. Wielu się nauczyło miewać jasne i pouczające wykłady, z których nawet urosła dość znaczna broszurowa literatura.

Nie mam pod ręką wszystkich wydawnictw literatury kółkowej, lecz niechaj mi wolno będzie zwrócić uwagę na te, które zebrać zdołałem.

Tu wymieniam w pierwszym rzędzie wykłady *ks. Antoniewicza* z Bnina. W 1878 wyszła rozprawa jego: *O zacności stanu włościańskiego, jako stanu rolniczego.* Posłuchajmy, jak znakomity mowca ten a szczery przyjaciel ludu, usiłuje w włościaninie wzniecić przekonanie o zacności jego powołania i jego pracy:

„Stan rolniczy, mówi on, nietylko jest najpierwszym ze wszystkich stanów, ale zarazem i najpotrzebniejszym. Stany inne są dobre, przydatne, stan rolniczy koniecznie potrzebny. On to dostarcza wszystkim innym stanom chleba powszedniego, bez którego żaden stan obejść się nie może. Stan rolniczy jest podstawą życia i dobrobytu całego społeczeństwa ludzkiego. Rolnik pracą i potem czoła wydobywa z wnętrzności ziemi skarby najkosztowniejsze, których nie zastąpi ani złoto, ani sztuka, ani rękodzielnictwo, ani praca wszystkich innych stanów. Bez pracy stanu rolniczego zapanowałby głód na ziemi, opustoszenie i zagłada rodu ludzkiego.

„W poczuciu i uznaniu tego wielkiego znaczenia, jakie ma

stan rolniczy dla społeczeństwa, wszystkie nieomal narody i po wszystkie czasy miały i mają stan ten w poszanowaniu. W Chinach rozpoczyna sam cesarz uprawę ziemi na wiosnę wyoraniem pierwszej skiby, nadając obrzędowi temu cechę religijnego aktu.

„Jak wysokie znaczenie naród nasz przywiązuje do rolnictwa, niech świadczy zdarzenie, jedyne może w historyi narodów, że przodkowie nasi pracowitego rolnika Piasta do godności królewskiej wynieśli.

„Najliczniejszymi przedstawicielami stanu rolniczego są włościanie. Stan włościański ze względu na odwieczną, usilną i ciężką pracę — ze względu na znakomite zasługi około innych stanów, zdobył sobie niewątpliwie pochlebne miano „zacnego stanu“. Cześć wam więc, zacni włościanie! Wszystkie inne stany szanują waszą pracę i w uznaniu zasług waszych z radością wyciągają dziś prawice swe, by dłoń waszą spracowaną uścisnąć.

„Mimo przecież zacności stanu włościańskiego, jako stanu rolniczego, nie można bez zastrzeżenia twierdzić, aby każdy włościanin, rolnik, dla tego, że jest członkiem tak zacnego stanu, przez to samo już był uzacniony.

„Człowiek każdy wtedy dopiero w oczach Boga i ludzi nabiera znaczenia i zasługuje na piękne miano zacnego człowieka, gdy godnie wypełnia zadanie swoje. Spełnienie zadania dla włościanina nie jest tak łatwe, mianowicie w czasach dzisiejszych, w których na ziemi, na rolniku, największy prawie ciężar podatków spoczywa, a ludzkość rozmnożona, w trójnasób więcej potrzebuje żywności niż w dawniejszych latach.

„Pozostawiając innym rozbiór obowiązków, jakie ma włościanin jako chrześcijanin, głowa rodziny i obywatel kraju, zwrócę uwagę waszą na zadania, jakie wypełnić powinien włościanin jako rolnik, jeżeli chce zająć miejsce w rzędzie zacnych braci swoich w stanie rolniczym. Zastrzegam się przecież z góry, że nie jestem w stanie w ciasnych ramach niniejszej rozprawki dać wykończonego obrazu i że ograniczyć się będę musiał na nakreśleniu najwydatniejszych rysów i na zaznaczeniu najgłówniejszych zadań i obowiązków zacnego rolnika.

„Zadania te streszczone w trzech punktach:

1. Praca pilna i wytrwała.

2. Praca umiejętna.

3. Praca rozumna, na rachunku oparta".

Obowiązki dobrego gospodarza w dalszym ciągu tak wyłuszcza:

„Dobry gospodarz powinien umieć:

1) rozumnie uprawiać i zasilać rolę w czasie i w sposób, który jest najodpowiedniejszy dla zboża, jakie zamierza sadzić lub siać;

2) powinien znać się na hodowaniu inwentarzy i wiedzieć, które w danych warunkach najlepiej mu się opłacają, umieć leczyć zwyczajne choroby, tudzież przechowywać roztropnie paszę i w należyty rozumny sposób ją zużywać;

3) powinien umiejętnie korzystać z każdej gałęzi gospodarstwa, jak z pszczelnictwa, ogrodownictwa, sadownictwa i innych.

„Zadanie to wcale nie łatwe.

„Jako sposób do rozwiązania tego zadania podaję wam, szanowni włościanie rolnicy:

a) oświecanie się w rolnictwie przez czytanie książek odpowiednych i pism traktujących o rolnictwie;

b) jako drugi środek do nabywania umiejętności w rolnictwie polecam: gromadne zapisywanie się i gorliwe uczęszczanie na zgromadzenia kółek rolniczych. Oświecanie się w kwestyach rolnych na zgromadzeniach kółek, jest sposobem najprzystępniejszym do nabycia nauki. Żywe słowo jest rozmaitsze, przemawiające więcej do przekonania, niż martwa litera pisma; — dla nieumiejących czytać są kółka jedynem miejscem, w którem zaczerpnąć mogą światła w tym na pozór łatwym, a jednak bardzo trudnym zawodzie rolniczym.

„Wzywam was tedy, szanowni włościanie, abyście gorliwie uczęszczali na zebrania kółkowe, opieszałych przykładem własnym pociągali za sobą, a nienależących dotąd do kółek, starali się przekonać o konieczności łączenia się w stowarzyszenia rolnicze.

„Dzisiaj kiedy o każdą piędź ziemi naszej chodzi, gdy ludzie nam nieprzyjaźni, zasobni w pieniądze i wiedzę, a pożądliwi naszej ziemi, coraz szerzej i silniej zapuszczają korzenie w jej ciało, potrzeba, aby światło nie promykami małemi i nie pojedyńczych włościan, ale całym blaskiem słońca ogrzało coprędzej cały ogół gospodarzy. Wspólna praca na zebraniach kółek rolni-

czych rodzi zaufanie i miłość wzajemną, znika sobkostwo, zazdrość i niedowierzania. Kółka rolnicze są gruntem, na którym wszystkie stany, trudniące się rolnictwem, szlachetnie współubiegają się w oświecaniu wzajemnem, w dopomaganiu jedni drugim i w podtrzymywaniu tego, co jeszcze uratować można z ogólnej powodzi. Kółka nadto budzą oświatę przez zakładanie bibliotek i ułatwiają wypożyczaniem książek, za drogich dla jednostek, nabycie cennych nieraz wiadomości, oraz niezbędnych w prowadzeniu dobrego gospodarstwa; wpływają zbawiennie na regulowanie stosunków społecznych i rolniczych w obec rządu, i przy wytrwałej pracy staną się potęgą, która nie rujnuje ale buduje, tworzą zastęp ludzi zdolnych, pracowitych, samodzielnych, niezależnych od pokątnych, a szkodliwych doradców — słowem tworzą nowy lud, nowych obywateli kraju, podwalinę lepszej przyszłości".

Za najważniejszy przecież środek do upowszechnienia umiejętności dobrego gospodarowania, uważa autor staranniejsze niż dotąd, właściwsze i odpowiedniejsze do powyższego stanu wychowanie i kształcenie młodzieży, a wykorzenienie zarozumiałości u starszych.

W końcu rozbiera autor jako trzeci ważny przymiot dobrego i zacnego rolnika, pracę rozumną, opartą na rachunkach i oszczędności.

Tu zaraz dla asocyacyi idei wypada mi przytoczyć rozprawę inną, która w r. 1880 wyszła z pod pióra „księdza z Pawłowa" (JKs. Wartenberga, uczonego gramatyka) pod tytułem: „Brak obrachunku największą przyczyną upadku majątków ziemskich". Jestto jedna z najgruntowniejszych prac na polu włościańskiej literatury. Autor wykazuje w niej:

1. Jak bardzo wielu gubi się już samem kupnem, kupnem lekkomyślnem, nierozsądnem, podjętem bez rachunku, a mianowicie jak dzieci przejmując po rodzicach gospodarstwa, przeciążone hipotekami i wymiarami dla rodziny, upadać muszą.

2. Jak inni giną przez nakłady bez rachunku uskuteczniane.

3. Inni znów przez nieumiejętność wyciągania zysków, przez wyłączne gospodarowanie na zboże, a zaniedbywanie chowu inwentarza, który przecież i zysk daje wprost i drugi ważniejszy przez mierzwę a podniesienie kultury.

4. Innych znów, wedle autora, zabija niewłaściwy kredyt i pogrążenie w lichwie, nieumiejętność wyszukiwania odpowiedniego i zdrowego kredytu.

5. Dalej źle wyrachowanymi są ci, którzy zaniedbują się zabezpieczać od ognia i gradu, bo w jednej chwili nieszczęsnej tracą dorobek wielu lat.

Wszystkie twierdzenia te poparte są nietylko wymownemi wywodami, ale i najściślejszemi rachunkami.

W osobnych dodatkach mówi autor: o parcelowaniu, o podziale ojcowizny i o płodozmianie.

Dalej znów ks. Antoniewicz już w r. 1877 wydał drugą broszurę p. t.: O obowiązkach włościanina gospodarza jako głowy rodziny. W pierwszej części rozbiera autor stosunek właściciela gospodarstwa do rodziców i mówi obszernie o wymiarach, któremi sobie rodzice zabezpieczają dożywocie na gospodarstwie synowi oddanem. Autor wykazuje zgubność tego urządzenia i daje rodzicom radę, żeby synowi oddawali tylko zarząd gospodarstwa a sami do śmierci pozostawali właścicielami. „Urządzenie takie, powiada autor, ma tyle dobrego, że dziecko nie może zaciągać długów hipotecznych, że rodziców będzie szanowało i rad rodzicielskich chętnie usłucha, że będzie oszczędniejsze a odebrawszy wreszcie na własność gospodarstwo, obejmie takowe już z pewnem doświadczeniem i nie puści tak prędko w obce ręce".

Gdyby zaś rada ta nie trafiła do przekonania włościan, podaje autor inną, żeby rodzice idąc na wymiar, poprzednio tyle przynajmniej zaoszczędzili pieniędzy, ileby starczyło na kaucyę w razie wystawienia gospodarstwa na sprzedaż publiczną, a wreszcie, żeby zamiast wymiaru w zbożu, wymawiali sobie raczej odpowiedną rentę roczną w pieniądzach.

W drugiej części rozprawia autor o stosunku gospodarza właściciela do żony.

Nie mogę sobie odmówić tej przyjemności, żeby tego pięknego ustępu rozprawy nie podać w całej rozciągłości spostrzeżeń prawdziwego ojca duchownego — obywatela, jakim jest autor.

„Gospodarz, powiada on, wprowadziwszy do domu swego żonę, która dla niego opuściła ojca i matkę, braci i siostry, zagrodę rodzinną, i pod jego schroniła się opiekę, winien jej pełne zaufanie,

miłość, szacunek i podporę w złej i dobrej doli. Pomiędzy mężem a żoną najzupełniejsza powinna zachodzić otwartość; mąż ma być przewodnikiem żony, żona męża ozdobą i najwierniejszą jego przyjaciółką.

„Przy takim stosunku zakwitnie w rodzinie niezawodnie szczęście domowe i pomyślność. Mąż po trudach ciężkiej pracy wypocznie w spokojnem ustroniu cichej domowej zagrody przy żonie go miłującej, jak żeglarz w bezpiecznej przystani; gdy dusza jego smutna, znajdzie pociechę i rozweselenie; gdy nieszczęścia przygniotą jego umysł, gdy napróżno u przyjaciół i krewnych szukać będzie ulgi, i odwaga do dalszego życia odstępować go pocznie, towarzyszka jego życia, jego wierna żona, miłem słowem, spojrzeniem, dodaniem odwagi, podniesie go moralnie i do czynu zachęci.

„W stosunku do żony, jako gospodyni, winien gospodarz wraz z żoną pracować ręka w rękę. Gdyby mąż o swoje tylko troszczył się gospodarstwo, a nie popierał żony w jej wydziale pracy, gospodarstwo musiałoby upaść lub na wielkie narazić się straty. Tylko wspólna praca, przeprowadzona z rozumieniem wzajemnych obowiązków, może przynieść korzyści w gospodarstwie, i domową utrzymać zgodę. Gdy mąż idzie do Sasa, a żona do lasa, jak mówi przysłowie, wszystko się rozprządz musi.

„Stosunek prawidłowy pomiędzy mężem gospodarzem a żoną gospodynią, psuje niejeden gospodarz często przez zarozumiałość a skrytość przed żoną, mianowicie gdy interesa prowadzi wyłącznie wedle swego rozumienia, zaciąga długi i podpisuje weksle, żonie się nie zwierzy, ani się jej nie poradzi, a ona, najwierniejsza jego przyjaciółka, od obcych ludzi nieraz dowiaduje się dopiero, co gospodarz zamyśla zrobić, lub też jak sobie w interesach postąpił. Wierzcie mi, szanowni członkowie kółek, że takie postępowanie nie jest odpowiedne. Żona wasza, chociażby nawet nie umiała dać dobrej rady, to przecież warta jest tyle, by mąż jej się zwierzył, jej zapatrywania wysłuchał, a gdy te będą niewłaściwe, sprostował i dopiero po wspólnej naradzie, przystępował do urzeczywistnienia swego planu. Uda się interes gładko odrobić, będzie wspólna radość i zadowolenie żony, że i ona w czemśkolwiek do wspólnej pomyślności się przyczyniła, nie uda się, łatwiej wam będzie znieść smutek pospołu, niż pojedyńczo.

„Zły stosunek pomiędzy gospodarzem a gospodynią wyradza się następnie dość często ze skuerstwa gospodarza. Gospodarz sknera nie uważa żony za przyjaciółkę swoją i wspólniczkę pracy, ale ma ją poprostu za najemnicę, gospodynię i sługę. Znam takich gospodarzy, którzy mając żony bardzo pracowite, zacne i oszczędne, kryją przed niemi każdy grosz, zamykają do skrzynki, na najpotrzebniejsze wydatki np. na ubiór skromny dla żony i dzieci, na książki szkolne nie dadzą feniga i zmuszają niejako żony do pokątnego sprzedawania zboża i wykłamywania się przed mężem z każdego dochodu, by tylko nie ściągnąć na siebie burzy. Postępowanie takie jest naganne. Rachunek winien być z dochodów i rozchodów prowadzony, oszczędność zachowana jak największa, bo ona jest podstawą dobrobytu, rozrzutność wygnana z zagrody wiejskiej, ale we wszystkiem trzeba zachować miarę.

„Jeżeli gospodarz chce być z żoną szczęśliwy, niechaj się strzeże słuchać plotek i podżegań ze strony krewnych, sąsiadów, a nawet własnych rodziców przeciwko swej żonie, i porywczo, nie zbadawszy sprawy, żonę potępiać i robić jej przykre wymówki. Gdy coś zdrożnego, lub niezgadzającego się z jego zapatrywaniem u żony zobaczy, niechaj ją łagodnie pouczy, napomni i sam poprawi z wszelką spokojnością, wytrwałością i miłością. Takie obejście się z żoną nie chybi celu — podczas, gdy złośliwe przygryzki, przekleństwa i poniewierka żony, trafią zwykle na opór z jej strony i wprost przeciwny wywołają skutek. Jaką być powinna żona jako gospodyni, pięknie opisuje Ewaryst Estkowski w dziełku swojem „Nauki wiejskie“: żona w rodzinie powinna być jako pszczółka, pilna, pracowita i rządna. Co mąż zapracuje, to żona gospodarnością i oszczędnością pomnażać ma. Jako pszczółka cudnie i czysto plastry miodu układa, tak dobra żona wdzięcznie i czysto dom urządza. Jak pszczółka oszczędza miodu, aby mieć zapas na zimę, tak dobra żona oszczędza, aby nigdy w domu niczego nie zabrakło. Jako ludzie dziwują się gospodarności w ulu żwawej pszczółki, tak się dziwić mają rządności dobrej żony w chędogiej chacie“.

W trzeciej i ostatniej części rozwodzi się autor nad obowiązkiem wychowania dzieci: *a)* w kierunku moralnym, *b)* w kierunku społecznym i obywatelskim, *c)* w kierunku przyszłego powołania, czyli fachowo-rolniczym.

Tu są świetne ustępy o miłości kraju rodzinnego, o potrzebie zachowania stroju narodowego, i t. p.

Trzecią a najświeższą rozprawę ks. Antoniewicza drukuje obecnie poznański *Przyjaciel Ludu*, p. t. „Zgoda buduje, niezgoda rujnuje". Rozprawę tę czytał autor na świeżo odbytem walnem zebraniu kółek w Poznaniu, a karci w niej dosadnie rozpowszechnioną u włościan manię procesowania.

Lecz widzę, że gdybym w tej samej mierze chciał referować o wielu innych użytecznych i pięknych rozprawach, pismo moje przybrałoby zbyt obszerne rozmiary. Wymieniam tedy już tylko po tytule następujące:

„O wychowaniu młodzieży włościańskiej", napisał Rivoli 1875.

„O ulepszeniach, niedostatkach i błędach w gospodarstwie włościańskiem". Poznań 1862, przez A. Wolniewicza.

„O obowiązkach włościanina jako sąsiada", przez ks. Osińskiego". Poznań 1883.

„O szlachetności i obowiązkach zawodu rolniczego", przez Wład. Zantę-Polczyńskiego. Poznań 1883.

„Praca, oświata i cnota — nasze sztandary", przez ks. Ostrowicza, posła.

„O sadownictwie w ogólności, a mianowicie o sadzeniu drzew owocowych", przez ks. P. z R.

„O jeżdżeniu niepotrzebnem na jarmarki i targi", przez ks. Włoszkiewicza.

A teraz jeszcze nieco obszerniej słów kilka o ważnej rozprawie p. Dra Z. Szułdrzyńskiego, obecnie prezesa centralnego Towarzystwa gospodarczego na W. Ks. Poznańskie. W rozprawie tej pod tytułem: „Czem kółka rolnicze być powinny", obok bardzo cennych ogólnych uwag o zadaniu kółek, poruszył autor sprawę d o m o w e g o p r z e m y s ł u w ustępie, który zaiste godzien powtórzenia.

„Mieszkam w okolicy, powiada autor, gdzie każdy gospodarz obsiewa lnem choć mały kawałek roli; nieomal każda żona gospodarska, a nawet komornica, posiada warsztat do wyrabiania płótna i byłoby dla niej wstydem, gdyby mąż jej i dzieci nie miały nosić bielizny jej własnego wyrobu, gdyby miała kupować płótno na prześcieradła lub ręczniki. Ale nie tylko bieliznę lecz i wierzchnie odzienie wyrabia ona dla siebie i dla rodziny, robiąc materye, skła-

dające się w części z lnianych nici a w części z bawełny lub wełny. Taka gospodyni wraz z córkami wyrabia w ten sposób fartuchy i suknie kobiece i wcale pokaźną odzież wierzchnią dla mężczyzn. Mogę was, kochani gospodarze, zapewnić o prawdziwości tego podania, bo miewam często sposobność przekonać się o tem na posiedzeniach Lubaskiego kółka, którego wielu członków przybywa w ubiorach z materyi, wyrobionych przez własne żony i córki. W Czarnkowie odbyła się wystawa rolniczo-przemysłowa połączonych Kółek Czarnkowskiego i Lubaskiego; była to pierwsza wystawa w tamtych stronach, i skromnych rozmiarów, ale się odznaczała znaczną ilością wyrobów przemysłu kobiecego: więc były i półki płótna i uszyta bielizna, nawet niektóra pięknie haftowana, były fartuchy mocne i trwałe, były różnego koloru materye na suknie i na odzież męską. I mogę Was zapewnić, że przedewszystkiem właśnie te wyroby kobiece uradowały bardzo wszystkich, którzy Wam szczerze, od serca są życzliwi. Powiem więcej: kiedy się dowiadywano o stosunkach gospodarskich domów, skąd wystawiono owe roboty kobiece, przekonano się, że tam jest ład i porządek, dostatek i uczciwe prowadzenie się. A mówię to, nie dla chwalby jednych okolic a dla przygany drugich, nie — ale dla tego jedynie, aby to co dobre i pożyteczne w jednej stronie, wyszło na przykład i pożytek dla drugich i stało się udziałem wszystkich. A teraz dla wykazania zysku, jaki przynosi taki przemysł domowy gospodarskiej rodzinie, podam Wam przykład i obrachunek następujący:

Jeden gospodarz tutejszy obsiał lnem 45 □ prętów czyli $^1/_4$ małej morgi; z sprzątniętego lnu wyrobiła żona z córkami:

1)	Półek sześć cienkiego płótna po 16 łokci, wartości, licząc 7.50 m. za półkę	45.— m.
2)	Półek dwie grubszego płótna po 3.50 m. na prześcieradła i miechy	7.— „
3)	Półek dwie grubszego płótna na ręczniki po 3 m.	6.— „
4)	Jednę półkę materyi mieszanej z wełną i bawełną, z której zrobiła:	
	a. 4 fartuchy po 4.50 m.	18.— „
	b. 3 „ „ 3 „	9.— „
	Do przeniesienia . .	85.— m.

Z przeniesienia . . 85.— m.

Oprócz tego wyrobiła z zakupionej wełny i bawełny (zapłaconą cenę poniżej wymieniam).

5) Materyi miesz. bawełniano-wełnianej 2 półki czyli 32 łokcie po 1 m. . . . . 32.— „

6) Materyi takiejże pośledniejszej 3 półki = 48 łokci po 60 fen. . . . . 28.80 „

Ogółem wartości . . 145.80 m.

Koszta wyniosły:

1) Na zakupno wełny i bawełny . . . . . 49.50 m.

2) Przyrządy i warsztaty obliczam na 30 m. wartości, a z tego przez roczne używanie odciągam 10% czyli: 3.— „

Do kosztów doliczam stratę, jaką poniósł gospodarz przez to, że nie obsadził owych 45 □ prętów perkami, jako najprzynośniejszym w przecięciu płodem; biorąc na małą morgę 60 sz. sprzętu, przypadłoby na 45 □ prętów, 15 sz. po 1.50 m., coby uczyniło . . . 22.50 „

Ogół kosztów . . 75.— m.

a że wartość wyrobów przemysłowych wynosiła jak wyżej . . . . . 145.80 m.

przeto zysk czysty wynosi ostatecznie . . . . 70.80 m.,

czyli około 24 talar.

z przemysłowej pracy zabiegłej gospodyni w ciągu jednego roku! Zbytecznem dodać tutaj, że te wyroby własne o wiele lepszemi są i trwalszemi od owych materyj tandetowych, które się kupuje w kramach małych miasteczek, więc o tyle jeszcze zyskuje gospodarz, że mu te płócienne i wełniane wyroby dłużej starczą aniżeli kupne. Dodać tu jeszcze winienem, że z owych 45 □ pr. lnem obsianych sprzątnął gozpodarz 2 szefle lnianego siemienia, a że na przyszłoroczny wysiew $^1/_2$ szefla zachować winien, więc pozostało mu jeszcze w zysku $1^1/_2$ szefla siemienia, czego wcale nie policzyłem, bo gdzieindziej len przeznaczony na płótno sprzątają rychlej przed dojrzeniem ziarna".

Teraz jeszcze pozostaje mi powiedzieć słów kilka o rozprawach i broszurach samychże włościan.

Trzeba wiedzieć, że bądź co bądź, bardzo jeszcze skąpe, ale posiadamy już zaczątki literatury włościańskiej. Część znaczna pozostaje w rękopiśmie, a to są wykłady miewane przez włościan na zebraniach kółek, o których sprawozdania roczne powiadają, że bywają jasne i wyczerpujące. Mianowicie też po walnem zebraniu kółek odbytem w Poznaniu, włościańscy delegaci na zebraniach domowych kółek swych zwykli przed resztą członków zdawać na piśmie sprawę z tego co widzieli i słyszeli w Poznaniu. Z egzaminu tego delegaci, wysyłani do Poznania częstokroć kosztem kółek, jak powszechnie mniemają, wychodzą zwycięsko i niepomału zyskują u kolegów na powadze. Czy zaś zawsze ci sami z kółek przybywają do Poznania, nie wiem; sądzę, że dobrzeby było przestrzegać odmianę właściwą.

O krok dalej postąpili ci, co dostępują wyższego zaszczytu, że na walnych zebraniach poznańskich występują na estradę i na dany, poprzednio opracowany temat, miewają wykład w całem znaczeniu publiczny. I w walnych zebraniach powiatowych, także przed licznem gronem występują ci mowcy włościańscy i tu właściwie stawiają pierwsze kroki publicystyczne.

Tak było już przez szereg lat. Zdaje się, jakoby w ostatnim czasie zamierzano odstąpić od paradowania włościańskimi prelegentami na wielkich wiecach kółkowych w Poznaniu, bo zauważono jakoby materyał jeszcze nie był dość liczny i nie dosyć wytrawny, żeby bez szkody moralnej potrafił uczcić laury popisu. Jest w tem pewna racya, a wstrzemięźliwość i pod tym względem sama przez się zaleca się, jeśli zważymy, jakie spustoszenie moralne w ogóle robi stawianie ludzi na niewłaściwem stanowisku, a cóż dopiero samouków, jakimi są bądź co bądź, nasi zacni włościańscy prelegenci.

Ale jeżeli zasada niewyprowadzania prelegentów włościańskich, zwłaszcza młodszych, na arenę publiczną, jest słuszną, to z drugiej strony nauczyły nas przykłady, że starsi, doświadczeni a światlejsi włościanie, nietylko w sposób odpowiedny sprostać potrafią zadaniu, ale co więcej, że wystąpienie ich nosi pewną cechę oryginalności, odrębności w pochwyceniu i przedstawieniu rzeczy, odmienne od konwenansowej katarynki, jaka częstokroć odgrywa rzecz na jedną nutę, nawet i u inteligentów. Ze słów i myśli tych ludzi świeżych,

wieje niekiedy jakiś świeży duch, mile odbijający od jednostajności powszedniego prawidła i powszedniego morału. Przykłady nie zmyślone po oratorsku, ale z życia wzięte bez uprzedzeń, podnoszą świeżość kolorytu w takiej rozprawie włościańskiej.

Już to kilka lat temu, a zawsze żywo mi pozostaje w pamięci, jak jeden z mowców takich, występujących na poznańskiej estradzie, spowiadając się, z pierwotnej ciemnoty swojej i zaśniedziałości umysłu, z której się otrząsnął szczęśliwie, przyznał z przyciskiem i wdzięcznością, że z zacofania i biedy wywiodła go drobna, ale wielkiego znaczenia książka Ignacego Łyskowskiego, owe znakomite Trzy nauki gospodarskie. Nie pamiętam, czy prasa ludowa zyskała wtedy owo wymowne uznanie potęgi światła i czytelnictwa, ale sądzę, że je wyzyskać i zużyć możnaby z daleko lepszym skutkiem, na zachętę do czytania, jak wszelkie naciągane argumentacye.

Nie chcąc nużyć czytelnika, nie będę już wyliczał wypracowanych przez włościan i drukiem ogłoszonych rozpraw, ani przytaczać ich treści. Dla charakterystyki jednak dodać jeszcze należy, że włościańscy prelegenci występują zwykle z pozazdroszczenia godną pewnością i bez wszelkiego lęku. Nie znają oni snać co to jest obawa przed „zblamowaniem“, bo nie chcą błyszczeć, tylko prawdę mówić prostą, wyraźną, bez ubocznych celów.

Wpływ kółek na włościan naszych uwydatnia się nietylko pod względem materyalnym i intelektualnym, ale także przeważnie i pod względem moralnym. Jeżeli kto wątpił o dodatnim wpływie oświaty na moralność, to niech się przypatrzy kółkom i ich członkom, a mianowicie tym, którzy są gorliwymi członkami kółek. Nie spotkasz się między nimi z pijaństwem, ustają kłótnie i procesa, w pożyciu panuje zgoda i przykładność. Tak mówią ci, którzy zbliska na rzeczy patrzą, bez zniechęcenia i pesymizmu, i chętnie im się wierzy, chociaż w szczegółach oczywiście trudno postęp taki skontrolować.

Sądzić można jednak o tem i z objawów, które nie nikną po rozrzuconych zaściankach, ale które dla każdego są widoczne. Kiedy się zjedzie na walne zebranie poznańskie od 500 – 800 włościan a dzień cały i zebranie minie bez najmniejszego zajścia, niesmaku,

nie mówiąc już o burdach i hałasach, toć chyba już twierdzić można napewno, że lud ten gromadny musi być i światłym i moralnym. A jeżeli wzorowy porządek zjazdów tych, ku zdumieniu naszych najserdeczniejszych, powtarza się bez wyjątku od lat kilkunastu, toć już chyba dowód najoczywistszy, że na nie przybywa godna reprezentacya dojrzałego ludu. Jeżeli setki ludu tego godzinami z największym spokojem i zajęciem pozostają na zebraniu, jeżeli w wolnych przedtem i potem chwilach, nie rozpierzchają się na zakończenie uroczystości po szynkach, ale zwiedzają kościoły i osobliwości miasta, jeżeli np. tego roku przeszło 30 włościańskich uczestników zjazdu znalazło dość czasu, żeby zwiedzić Muzeum Towarzystwa Przyjaciół Nauk i zadziwić konserwatora znajomością rzeczy archeologicznych, jeżeli wielu z tych co nocować muszą, spieszy na przedstawienie do teatru, toć widoczna, że u tych ludzi intelektualny i moralny poziom wzniósł się już wysoko ponad zero.

Wyliczywszy na wstępie wszystkie niechęci włościan do kółek i kółkowej roboty, uważam sobie za miły obowiązek, żeby uwydatnić także dodatnią stronę obrazu. A między najdodatniejsze rysy jego policzyć należy tę okoliczność, że u gorliwych członków kółek, praca wspólna wyrabia szczere uznanie dla „starszej braci“ i inteligencyi. Ofiarność wyższych warstw społeczeństwa sieje tu swe ziarna na urodzajną niwę. Przy każdej sposobności odzywają się włościanie z najwyższem uznaniem dla tej ofiarności a prawdziwie synowską czcią otaczają swego patrona, którego powszechnie zwą „ojcem“. Wszystkie objawy te nie noszą bynajmniej cechy korzenia się „chłopa“ przed „panami“, ale tchną rzeczywistą miłością i szacunkiem młodszych członków rodziny dla starszego rodzeństwa.

Jeżeli w ostatnich czasach niespokojne i niejasne duchy (kilka jednostek) próbowały jakoby w celu wyrabiania „samodzielności ludu“, nadwątlić tę piękną harmonię, to skutek był tylko chwilowy i sporadyczny w najbliższem okolu Poznania.

Ale rzućmy zasłonę na te nieciekawe i bezsilne roboty. Jeżeli gdzie, to u nas; jeżeli kiedy, to dziś zbyteczne są specyfiki kształcenia ludu za pomocą „szczucia“, rozbudzania namiętności. Lud sam tego nie chce, a ci co się za niego odgrażają, nie rozumieją sytuacyi. A najlepszym tego dowodem, że na ostatnie walne zebranie w marcu

odbyte, stawiło się do Poznania więcej włościan niż kiedykolwiek, a gromki głos ludu zadekretował spokój i zgodę, które, jak się niewtajemniczony świat później ze zdziwieniem dowiadywał, na seryo były zagrożone.

Dzięki temu ludowi, że mu obojętne są wszelkie drobiazgowe rozróżniania władz i prawa zaszczytów a cała dążność jego i uwaga skierowana w stronę roboty. Niechaj ten głos ludu wezmą sobie do serca wszystkie strony, z których każda ma swą racyę, ale ponad wszystkiemi racyami niech panuje najważniejsza racya stanu — robota.

Dr. W. Łebiński.

JANSSEN I HISTORYA REFORMACYI.

(Ciąg dalszy).

W tomie następnym, autor wprost już udowadnia, że tak zwany prąd reformacyjny nie wytrysnął bynajmniej z głębszych i silniejszych nurtów religijnego życia, ale właśnie z płytkich, powierzchownych, bezreligijnych wyobrażeń i tendencyj, czyli mówiąc jaśniej — z łona młodszego, niemieckiego humanizmu, grawitującego całą swą istotą ku dawnemu pogaństwu. Z najściślejszą sumiennością i darem spostrzegawczym wprowadza nas autor do wnętrza szkoły młodo-niemieckich humanistów. Na ich czele, o całą głowę wyższy od wszystkich, stoi Erazm Roterdamczyk, „Wolter XVI. stulecia“, geniusz niezwykłego polotu, w znawstwie klasycznej starożytności prawdziwie niedościgły, przez wielu uczonych prawie zabobonnie ubóstwiany, mowca znakomity, cięty satyryk, literat wyższego zakroju i wszechstronny bibliofil. Lecz wcześnie już wziął on rozbrat z moralnością i wiarą, teologię jakąś mętną sobie przyswoił, filozofia też płytką była u niego i chwiejną a chwiejniejszym jeszcze cały jego charakter. Studya klasyczne zamiast służyć tylko jako środek do wykształcenia umysłu, stały się dlań celem, piękna szata klasycznej formy — istotą, duch starożytny tj. pogański — ideałem. Koniecznem więc następstwem rzeczy, musiał on rzucić rękawicę chrześcijańskiej wiedzy a raczej chrześcijańskiemu humanizmowi uprawianemu przez Agrykolę i innych, który to humanizm ze strony Kościoła najtroskliwszej doznawał opieki i poparcia. Roterdamczyk wstąpił w szranki bojowe bez dzielności wytrawnego rycerza, tylko z jakąś lekką, dowcipną, satyryczną szermierką. Cały jego arsenał byłto lekki, powierzchowny dowcip,

gra myśli, blichtr wiedzy, słowem cały ten zasób polemicznych pocisków wygląda raczej na bazar szarmanteryi umysłowej niż na dobór zaczepnej broni. Pozornie, nie wyrzeka się on wiary, owszem próżnością i samolubstwem wiedziony, pochlebia kościelnej zwierzchności, lecz za chwilę gotów jest zasadniczą, powszechną naukę tegoż Kościoła, pod pozorem zwalczania scholastycznych błędów, podać w pogardę u ludu. Niemały też zastęp uczonego świata odwiódł on od prawdziwie chrześcijańskiej umiejętności, odsłaniając przed nimi swe pogańskie poglądy na życie, i swą sekularyzowaną moralność. Tem samem rozdzielił już wiedzę na dwa obozy i swe jałowe racyonalistyczne idee „nowej oświaty, chrześcijańskiej filozofii, prawdziwej, teologicznej wiedzy", postawił jako program przyszłości. Młodzież zwabiona świetnością dykcyi, różową barwą obrazów i polotem myśli, tłumnie garnęła się do niego; uczeni schylali czoło przed nieomylną jego powagą. Czcza frazeologia, żądza oklasków, zazdrość, intrygi, apologia występków, erotyczność i rozwiązłość — oto charakterystyczne znamiona tych poetyczno-literackich kółek. W sztuce pijaństwa przewyższają oni swych włoskich współbraci, a w innych występkach nie ustępują im wcale. W poezyi wysilają się na to, aby potwornem wyuzdaniem prześcignąć starożytnych pogan. Ten nadmiar ohydy i szalonego obłędu, zraził Mucyana, który też odtąd nielitościwie począł smagać morderczym sarkazmem swych humanistycznych przyjaciół. Cóż więc dziwnego, że ta moralna kałuża napełniała atmosferę błotnistym wyziewem? Co dziwnego, że z tego grona wyuzdanych żartownisiów coraz szerzej, coraz donośniej wzbijał się okrzyk wojenny przeciw mnichom i mniszkom, przeciw postom i wstrzemięźliwości, przeciw pielgrzymkom i nabożeństwom, przeciw starodawnym świętym tradycyom i dogmatom chrześcijaństwa?

Te humanistyczne kółka stanowiły ognisko i zalążek tak zwanej reformacyi. Za ich to sprawą uniwersytet Erfurcki, ta świątynia iście katolickich nauk, przeistoczyła się z gruntu w szkołę wojenną[1] najzaciętszych wrogów Kościoła. Pierwszy pochop do tego dał tak zwany „spór Reuchlinowski" *der Reuchlin'sche Streit*. Zbrojny zastęp młodych humanistów, wymierzał wszystkie swe ciosy, po największej części w formie potwarczych paszkwilów, przeciw schola-

[1] Tom II. str. 1—36.

stycé i zakonom. W pierwszych szeregach, jako rzecznik najbardziej wpływowy, występuje Ulrich von Hutten. Rycerz podupadły, szlachecki proletaryusz, rewolucyonista najczystszej wody, a pochlebca i pieczeniarz na dworze mogunckiego arcybiskupa. Gorącą pałał on żądzą aby wzniecić pożar, któryby istniejący porządek kościelny i polityczny pogrzebał w gruzach zniszczenia. Stracić nic nie mógł, a zyskać spodziewał się wiele. Jego paszkwile i satyry przygotowują w umysłach odpowiednie paliwo; a potężny zwolennik nowego humanizmu, moguncki arcybiskup wspiera swem złotem to rewolucyjne apostolstwo. Nakoniec kazania o odpustach i jubileuszu ogłoszonym z okazyi budowy bazyliki św. Piotra w Rzymie, dają ostateczne hasło do upragnionej i od tak dawna przygotowywanej walki przeciw dogmatom Kościoła. Takiem było właściwe źródło kościelnego rozdwojenia w Niemczech. Bunt podniesiony nie miał bynajmniej na celu naprawy obyczajów lub zniesienia nadużyć[1].

Jakim był początek tej walki takim i cały przebieg dobrze wyrażony w jej wzniecicielach i przywódcach. W każdym kierunku czuć się u nich daje najzupełniejszy brak owej świętości i darów nadprzyrodzonych, których zdrowy rozum ludzki od zakonodawców i kościelnych reformatorów słusznie domagać się może i powinien, jako legitymacyi ich boskiego posłannictwa. Luter i Hutten — oto dwaj koryfeusze reformacyi. Drugi z nich ohydną trawiony chorobą, piętnującą go jako niewolnika szkaradnych występków. A pierwszy? Jakkolwiek Dr. Janssen łagodnie i oględnie o nim się wyraża, jednak posąg Lutra ukuty z własnych jego słów i czynów, przedstawia smutną tylko a straszną ruinę ludzkiego ducha. Luter już od dzieciństwa spaczony mając umysł nędzą materyalną i złem wychowaniem, w pierwszych zaraz początkach naukowego zawodu, zboczył na błędne tory nowo-humanistycznej szkoły. Ulubiony przedmiot jego studyów stanowią dzieła klasyków — nie księgi biblijne. Zdanie że „nie masz nic milszego na ziemi nad miłość kobiety, gdy ona komu przypadnie w udziale“, głęboko utkwiło mu w duszy. Ustawicznie chwiejny, miotany na przemian posępną melancholią lub jakimś dzikim niepohamowanym szałem, rzuca się w życie zakonne pod wpływem chwilowego wrażenia dwóch nagłych wypadków

[1] Str. 37—66.

śmierci, bez rozwagi, bez powołania, party tylko strachem i jakby rozpaczą. Wnosi ze sobą do celi Wirgila i Plauta, a nie wyzuwszy się z wrodzonej sobie krnąbrności i upornej pychy, gardzi jedynie zbawczym sterem posłuszeństwa, i tonąc w morzu dusznych wątpliwości i szkrupułów, znowu w rozpacz popada. Aby własną ludzką tylko siłą zdobyć niebo, i jakby przemocą je otworzyć, chwyta się najsurowszej lecz niedorzecznej ascezy, i całe tygodnie spędza bez pokarmu i napoju; ale rzecz dziwna — w duszy jego rodzi się gorycz jeszcze przykrzejsza, ani jeden promyk nie rozjaśnił jego wątpliwości, a czarna chmura zniechęcenia i rozpaczy przygniata go jak dawniej ołowianym ciężarem. Wszystkich lekarzy, wszelką pomoc i radę, szorstką odpycha ręką, męcząc się samowolnie w tych zapasach bezowocnej walki, w tym grobie letargicznego zwątpienia. Tutaj to wylęgła się w jego duszy „teologia rozpaczy", płód godny swej macierzy. Dotychczas Luter zaufany w swą własną siłę, tą siłą chciał się oczyścić z grzechów i niebo szturmem zdobyć — teraz przeciwnie, myślał o usprawiedliwieniu i wiecznej szczęśliwości bez najmniejszego sił własnych współdziałania. Zaczynał wierzyć, że człowiek skutkiem grzechu pierworodnego stał się na wskróś złym i przewrotnym, że już w nim z wolnej woli nic nie pozostało, że wszystkie jego uczynki, nawet dobre, są tylko wypływem złej, zepsutej woli i konsekwentnie grzechem śmiertelnym, karygodnym w obec Boga; że więc człowieka sama tylko wiara usprawiedliwić i zbawić jest w stanie. Tu dochodzimy do psychologicznych źródeł jego teoryi o usprawiedliwieniu, w którem on jakby w głównym artykule wiary, zawiera swą nową ewangelię. Nieznacznie a stopniowo oswaja on publiczność ze swemi zasadami. Między r. 1513 a 1516 broni ich w szkole i na dysputach, następnie w r. 1517 głosi je z kazalnicy przed ludem, wreszcie pozyskawszy sobie Wittenberską akademię, występuje z niemi publicznie w obec całych Niemiec. Okolicznościową do tego pobudką był, jak wiemy, odpust głoszony przez Tetzla. W tezach przeciw niemu wymierzonych Luter nie zrywa jawnie z Kościołem, owszem pozornie poddać się chce orzeczeniu papieża, głosząc krucyatę tylko przeciw rzekomym nadużyciom odpustu. W sercu jednak przeciął on już stanowczo wszystkie węzły łączące go z Kościołem i zanim jeszcze grom klątwy spadł nań z Watykanu, już snuła się w jego myśli teorya o niewidzialnym

kościele. W r. 1519 powitali go Husyci jako brata i współwyznawcę swego. Luter przyjął podaną rękę i już po kilku miesiącach zasłużył sobie na miano dzielnego husyty. Równocześnie i humaniści nie szczędzą mu pochwał, oklasków, uwielbienia, choć oczywiście nie o religię im chodziło. Luter odurzony tą niezdrową atmosferą pochlebstwa chwieje się jeszcze przez chwilę, ale kiedy całe rycerstwo pod wodzą Franz'a von Sickingen i nikczemnego Ulrycha von Hutten, nietylko opiekę ale i pomoc zbrojną mu przyrzeka, wtedy pierzchnął ostatni cień wątpliwości czy ludzkich względów, a mnich wittenberski podnosi sztandar buntu z pełną już świadomością i rozwagą. Przyjacielowi swemu Spalatynowi zgóry już religijną wojnę zapowiada: „Zaklinam cię, pisał w lutym 1520 r. jeśli dobrze rozumiesz ewangelię, nie wierz temu, żeby jej sprawa przeprowadzić się dała bez wzburzenia, walk, zamieszek. Słowo Boże — to miecz, to wojna, to zniszczenie, to kamień obrazy, to zagłada, to jad trujący, a jak mówi Amos, jak niedźwiedź w lesie, jako lwica, tak uderza ono na syny Efraima". Widząc się bezpiecznym i czując już na swych skroniach aureolę bohatera wieku, puszcza on wodze hamowanym dotąd namiętnościom. W mowie i piśmie nie zna żadnych granic, nawet najprostszej przyzwoitości, jego słowa — to kał uliczny. Z gniewem i wściekłością miota się na dobre uczynki i sakramenty, na papieża, biskupów i zasadniczy ustrój Kościoła. Gdy jednak na sejmie Wormackim cała ewangelia znów w wątpliwość była podaną, Luter przerzuca się ponownie w drugą ostateczność – niepewności i rozpaczy. Wprawdzie uprowadzenie do Wartburga uchroniło go od najgorszych następstw takiego stanu, ale i w tem odludnem schronisku nie zaznał on pokoju. Widmo zbrodni stanęło mu przed oczami, sumienie odzywające się w ciszy, paliło go płomieniem najstraszniejszych wyrzutów. Widmo to odpędzał on, jak sam wyznaje, myślą o wdzięcznych postaciach niewieścich, a ogień zgryzoty zalewał potokami szumiącego piwa. Jakie jednak cierpiał katusze, widać to z jego listu pisanego 25 list. 1521 r. do Augustyanów w Wittenberdze: „O! jak trudno mi było usprawiedliwić się w sumieniu, żemto ja tylko sam odważył się wystąpić przeciw papieżowi, nazwać go Antychrystem, biskupów — jego apostołami, uniwersytet — domem publicznym... Ileż to razy gwałtownie zadrżało me serce, ileż razy karciło mię i wyrzucało: czyż

tylko ty jeden jesteś mądrym?... Mieliżby wszyscy inni błądzić, a błądzić tak długo? A cóż wtedy, jeśliś ty sam na błędnej drodze, jeśli tak wielu uwodzisz, jeśli oni wszyscy będą potępieni?!" I nie raz jeden, ale często, bardzo często, aż do późnej starości wracają te same wyrzuty, ten sam głos kołacze do duszy i pyta: „kto cię powołał do opowiadania Ewangelii w sposób, jakim przez tyle wieków żaden biskup, żaden święty jej nie opowiadał?" Z jakąż trwożliwością usiłuje on głos ten zmusić do milczenia! To zastawia się przed nim doktorskim dyplomem, to święceniem kapłańskiem, to wmawia w siebie bezpośrednie natchnienie Ducha św., to znów odrzuca konieczność osobnego posłannictwa, twierdząc, że każdy jest tu powołanym. „Również patrząc na tylu znakomitych a uczonych ludzi, owszem na największą i najzacniejszą cząstkę świata, nadto na ów poważny zastęp mężów świętych, jak Ambroży Hieronim, Augustyn i t. d." — wtedy mu dopiero „jakoś ciężko w duszy i trwożno". Niemniej i dlatego lęk w nim i żal się budzi, że on ów „Kościół który pod papieżem tak błogiego zażywał spokoju, przez swą naukę zgorszeniem zranił, rozdarł niezgodą". Powszechnie znane *motto*[1] służyło mu zawsze do rozpędzania chmur tych, przynajmniej na chwilę. Aby zaś wynagrodzić sobie te czarne godziny, wpadał on wtedy w gniew niepohamowany, a raczej w wściekłość, która jak mówią współcześni, miała w sobie rzeczywiście coś demonicznego. Poświadczają to: Wilibald Pirkheimer, Bullinger, Ulrich Zasius. Z katedry, w obec ludu objawiał Luter niezachwianą pewność przekonania, ale w poufnem gronie zupełnie był innym. Jeszcze po 20 latach skarżył się przed jednym ze swych przyjaciół: „Dziwno że nauce tej nie mogę dowierzać i dlatego sam z sobą w nieprzyjaznym żyję stosunku". Panegirysta Lutra, Mathesius tak pisał o nim: „Antoni Musa, proboszcz z Rochlitz, mówił mi, że pewnego razu skarżył się przed naszym Doktorem (Lutrem), iż nie może w to wierzyć, czego innych naucza. Bogu niech będą dzięki i chwała, odrzekł Luter, że przecież są ludzie, którzy tych samych doznają trudności, myślałem że tylko mnie samemu one uczuć się dają". Smutkiem a to bez granic odbrzmiewa echo krwawych walk w głębi jego duszy staczanych: „O! jam widział straszliwe widma, okropne

[1] Wer nicht liebt Wein, Weiber und Gesang,
Der bleibt ein Narr sein Lebelang.

poczwary... gdyby innemu przyszło to wycierpieć, co ja wycierpiałem, dawno już byłby umarł: częstom ja schodził do piekła, a Bóg mię wyprowadzał stamtąd... Ten duch ponury, który mną władnie — to moje sumienie". Jakież rady dawał on sobie samemu, by zwalczać te mary? „Trzeba głębiej, wołał, zaglądać do dzbana, śmiać się i bawić, na złość djabłu grzech jaki popełnić. Szatańskie myśli — szatańskiemi odpędzać myślami: przedstawić sobie postać nadobnej dziewczyny, unieść się gwałtownym porywem gniewu". Do tego ostatniego środka często się też uciekał: „Gdy się modlić nie mogę, wyobrażam sobie papieża z jego nadętością i pychą i wtedy się rozpłomieniam: błyskawicami i piorunami chciałbym dzwonić nad jego mogiłą — bo modlić się nie mogę — klącbym przy tem musiał. Gdybym miał mówić „Święć się Imię Twoje", zawołać bym też musiał: „przeklęte, potępione, zelżone niechaj będzie imię papieża!" Gdybym się modlił „Przyjdź królestwo Twoje", do ust cisnęłyby się słowa: „przeklęctwo, potępienie, zagłada niech spadnie na całe papiestwo!" Zaiste, tak modlę się dnia każdego bez ustanku". Ta zjadliwa nienawiść, ta demoniczna namiętność w słowach, którą brzydzili się sami nawet wykształceńsi protestanci, wśród mas pospólstwa rozdmuchiwała coraz silniej rzucone żarzewie, aż wreszcie straszny jak płonąca lawa z wulkanu wybuchnął pożar chłopskiej wojny... Na tle dymiących się gruzów i syczących płomieni, wśród trupów i krwi płynącej potokami, wśród łez sierocych i wdowich, wśród głodu, nędzy i spustoszenia, występują dwie postacie: mnich bez czci i wiary, i z celi klasztornej wywleczona mniszka — i święcą weselne gody!... Był to tryumf zwycięstwa odniesionego w walce z wyrzutami sumienia.

Tak wygląda Luter historyczny, odfotografowany najdokładniej światłem własnych swych pism i obiadowych pogadanek[1].

Druga niepoślednia zasługa Sz. autora zasadza się na tem, że w dziele swojem odsłania przed nami naukę niemieckiego reformatora, żywą, niezmienioną, bez obcych szat i myśli, słowem taką, jaką ona wyszła z duszy swego rodzica tj. urywkową, fragmentyczną. Luter bowiem nie wyniósł z klasztornej celi systematy-

[1] Janssen str. 67—131; 149—151; 161; 194—198; 217; 275—282; 298 do 300.

cznego całokształtu swoich nowinek, lecz tylko luźne, bezzasadne poglądy, czysto destrukcyjnej natury. Podległy chwilowym wrażeniom, zawisły od zewnętrznych okoliczności, jużto gniewny jak burza, już bezsilny małodusznością, rozwijał on je zawsze pod wpływem tych przemijających a najsprzeczniejszych porywów. Luter, jeśli właściwie określić go chcemy, nie jest teologiem, lecz tylko, podobnie jak jego przyjaciel Hutten — pisarzem-rewolucyonistą. Czem innem też nie mógł być człowiek, który wywracał cały ustrój, całą naukę Kościoła, nie mając przedtem ułożonego planu, czemby tę próżnię zapełnić. Ten urywkowy, heretycki, destrukcyjny a mimo swych wszystkich sprzeczności, jednak konsekwentnie rewolucyjny charakter nauki Lutra, uwydatnia się w dziele Janssena całą pełnią światła przedmiotowej prawdy. Teorya o usprawiedliwieniu człowieka, stanowiąca źródło i rdzeń teologii Lutra, ani jest opartą na Objawieniu, ani też filozoficznie uzasadnioną. Poroniony to płód zmąconego sumienia, błędnej ascezy i psychicznej słabości. Widoczne przebija się tu zwątpienie o zdrowiu ludzkiego rozumu, o wolności woli człowieka — przez co samo już, nietylko teologia i filozofia, ale też cały porządek Boski i ludzki zachwiany jest w swych podstawach. Wszystko tu pochłania duch indywidualizmu, duch prywaty — a najsamowolniejsze pomysły głoszone są, jak prawdy Boże, jak św. Ewangelia, pod groźbą wiecznego zatracenia. Tej podmiotowej wiary, nie podobna ani określić, ani w żadne ująć karby, jeśli się odrzuca zewnętrzną powagę nauczycielskiego urzędu.

Lecz Luter nie wyprowadził ostatecznych wniosków ze swych zasad. Dzieła tego potomność dokonać miała — mistrz jej zastanowił się w połowie drogi. Odrzucił co mu było niedogodnem, zatrzymał, co mu się podobało i to tylko Bożą nazwał ustawą: bo jego sprawa jest sprawą Bożą. Zrazu woła on tylko: precz z odpustem, precz z zakonami! Ale duch wywrotu coraz szersze zakreśla koła i wnet z ust namiętnego burzyciela, silniej jeszcze i straszliwiej zabrzmiał nowy okrzyk: precz z dobremi uczynkami, z ofiarą i Sakramentem! Precz z papieżem i biskupami! Precz z wszystkimi, którzy od mego wykładu i objaśnień odstępują, to znaczy: precz z innymi reformatorami! W obec chłopstwa protestuje on przeciw wszystkiemu — wszystko podkopuje, nie oszczędza nawet świeckiej zwierzchności. A kiedy duch negacyi falą socyalnego buntu jemu

samemu groził zatopieniem, wówczas uciekł się pod berło świeckiego absolutyzmu, któremu później zmuszony był oddać na łaskę i niełaskę, całą swą „kochaną ewangelię". Pierwotną naukę Lutra, tylko drogą porównawczą, drogą zestawienia jej z przebiegiem rewolucyjnych ruchów, poznać możemy w niekłamanem świetle [1].

„Boski nimbus" otaczający teoryę „ukochanego męża Bożego", prędzej jeszcze i widoczniej rozpływa się we mgle złudzenia, skoro baczniejszą zwrócimy uwagę na dalszy jej postęp i rozwój między ludźmi. Pierwszymi sprzymierzeńcami Lutra i zwolennikami jego zasad, byli młodzi humaniści. Ich „literackie kółka" rozszerzały pomiędzy ludem mnóstwo wrogich Kościołowi książek, pism, piśmideł i ulotnych pisemek, paszkwilów i karykatur. Rozsyłali oni umyślnie w tym celu własnych kolporterów, częstokroć klasztornych wywłoków, którzy chodzić mieli od domu do domu roznosząc płody tej tylko destrukcyjnej literatury. Stąd, w owym okresie niemieckich dziejów, nabrało dziennikarstwo prawdziwie olbrzymiej doniosłości. Większa część pozyskanych w ten sposób zwolenników, skłaniała się ku Lutrowi nie z zamiłowania ku jego dogmatycznym poglądom, ale, jak wyznaje Melanchton [2] dlatego, że powszechnie upatrywano w nim wskrzesiciela „wolności" a to takiej wolności, która wszystko, co tylko szczęściu osobistemu staje na zawadzie usuwa lub wywraca. Owszem celem wielu jego stronników była, nie teoretyczna, ale praktyczna destrukcya. Ci mężowie wywrotu, z Ulrykiem von Hutten na czele składali drugi hufiec reformatora. Zbrojną ręką zasłonili go oni w niebezpieczeństwie, wydarli władzom sprawiedliwości i przysposabiali do wojny chłopskiej. Otwarcie wołał Hutten do „dumnej szlachty: my tylko zabobon znieść chcemy, a że po dobroci ustąpić nam nie chcą, więc przez krew iść nam potrzeba!" Nie mniejsze usługi oddała Lutrowi dwujęzyczność Erazma. Najskuteczniejszą jednak pomocą była dlań opieka saskiego Kurfürsta i przyjaźń Franz'a von Sickingen, przed którymi, jak pisał legat Aleander, „prałaci drżeli jak króliki". Kiedy więc część szlachty niemieckiej obradowała nad rewolucyą, mnichy zbiegłe z klasztorów, podburzały pospólstwo do buntu, opowiadaniem „czystej ewangelii". Namiętne, gwałtowne ich słowa zionęły nietylko

[1] Tom II. ks. 2.

[2] Corp. Reform. I. 657.

nienawiścią do „bożyszcz świętych“, spowiedzi i modlitwy, ale i chucią pomsty za dziesięciny i czynsze, za zdzierstwo, ucisk i gwałty od świeckich panów doznane. Znakomicie odrysował Janssen typ takich kaznodziejów w osobie byłego Franciszkanina Jana Eberlin, krzewiącego to nowe apostolstwo między wiejskim ludem Szwabii, Saksonii i Bawaryi. Cały rozdział p. t. *Aufwiegelung des Volkes durch Predigt und Presse*, jasno udowadnia, że luterskie nowinki szerzyła najskrajniejsza demagogia, którą sam Luter niejednokrotnie podniecał i zapalał, dając w dziełach swych między r. 1521 a 1523 wydanych, zasadniczy ton całej tej krwawej melodyi. Owszem, aby tem skuteczniej przyjęła się jego nauka między pospólstwem, wyraźnie zaleca swym apostołom używać kolby i cepów jako najdosadniej przekonywających argumentów. Nie gardzi jednak i innemi środkami: „Pisz, każ, nauczaj, aby nikt księdzem lub mniszką zostać się nie ważył, a wszyscy, którzy żyją w klasztorach, opuścili je. Nie dawaj nic na światło, na dzwony, na kościół lub utrzymanie — a w 2 latach zobaczysz, co się stanie z papieżem, biskupami i t. d.“ Lud a szczególnie studenci, praktyczniej zapatrywali się na tę sprawę. W Erfurcie r. 1521 pospólstwo dało hasło buntu. Klasztory i kościoły opanowano przemocą; biblioteki padły ofiarą zniszczenia, wszystkie dokumenta i czynszowe regestra spalone. Liczba słuchaczów na uniwersytecie zmalała o połowę. Podobnie działo się i w Wittemberdze, gdzie Msza św. została zniesioną, a obrazy zniszczone ręką nowych Wandalów. Kiedy zaś zjawił się Luter, aby powściągnąć wybryki szalonego motłochu, obecnością swoją tylko pogorszył sprawę. Zło jeszcze większe przybrało rozmiary. Wszakże sam wyrzekł te słowa: „Nakoniec poznałem, że nietylko duchowne ale i świeckie pułki, chcąc nie chcąc ustąpić muszą przed ewangelią“. Około tegoż czasu pisał do Wencla Linka: „Zbieramy już pierwociny naszego posiewu, tryumfując nad papieską tyranią, o ileż łatwiej pokonamy i zdepczemy kurfürstów!“ Pierwsze ciosy spaść miały na książąt Kościoła, a w szczególności na trewirskiego kurfürsta; do czego „każdy chrześcijanin ma się przyczynić choćby krwią i życiem własnem, aby wreszcie potargać więzy tyranów i ochoczo prześladować ich we wszystkiem, jakby samego szatana“.

Z równą starannością i niemniejszą zasługą wykazuje Dr.

Janssen, że duch tak zwanej reformacyi wrogim jest i zgubnym dla państwa *statas- und reichs-feindlich.* Wielka część agitatorskiej literatury z owych czasów przechowała się aż dotąd w całości. Z tych właśnie dokumentów, przeplatając je pismami Lutra, wysnuł Dr. Janssen rzetelną całość dziejową, a raczej odświeżył prawie zatarty już obraz tak ważnej epoki dziejów nowożytnych.

Treść tego obrazu uzupełnia autor w następnym rozdziale, kreśląc dalsze koleje religijno-politycznej rewolucyi. Rewolucya ta rośnie gorączkowo, wyraziściej uwydatniając swój charakter w zbójeckich wyprawach Sickingena, w szukaniu obcej pomocy, w zlewaniu się z anarchicznemi nawet żywiołami, byle tylko dokonać zburzenia starodawnej organizacyi państwowej [1], a może też zbudować już wtedy nowe, protestanckie cesarstwo. A chociaż panowaniu anarchii, koronni książęta prędko położyli koniec, duch rewolucyi nie upadł z nią razem, ale wciąż czynny, wciąż dążący do swego celu, uwidomiał się w ciągłych wewnętrznych zamieszkach naruszających społeczny i państwowy porządek [2], w ogólnem spustoszeniu widocznem podówczas na każdem polu fizycznego i umysłowego życia [3], w babilońskiem pomięszaniu pojęć religijnych, a nakoniec w strasznej rewolucyi socyalnej, która święciła chwilowe swe tryumfy pijanemi orgiami wojen chłopskich [4]. Niepodobna, nawet z pomocą krótkich wypisów, dać jakiekolwiek wyobrażenie o olbrzymim materyale, starannie a doborowo nagromadzonym przez autora w księdze 3-ej. Poplątane nici łączące niewidzialną siecią przepowiadanie „czystej ewangelii“ z powstaniem szlachty w r. 1522, z zewnętrzną polityką niemiecką, z powolnym rozwojem rewolucyi i nagłym wybuchem chłopskich buntów, wychodzą tu na jaw, rozwikłane spokojnem, przedmiotowem zestawieniem faktów. A spokój ten i ta przedmiotowość w ugrupowaniu historycznych źródeł świeci blaskiem prawdy tak widocznej, tak namacalnej, że żaden bezstronny krytyk nie przypuści już aby było możebnem oczyścić Lutra z za-

[1] Str. 128—255.
[2] Str. 255 i nast.
[3] Str. 300.
[4] Str. 432 i nast.

rzutu wspólnictwa w ogólnym przewrocie społecznym — ani się nie pokusi uważać ten przewrot tylko za przypadkowego towarzysza rewolucyi kościelnej — albo bunt chłopski, tłumaczyć niezrozumieniem, czy zapoznaniem luterskiej „wolności". Prawda, że już przedtem nagromadziło się podostatkiem palnych materyałów do socyalno-politycznej eksplozyi — to przyznaje i dowodami potwierdza Janssen [1], owszem nawet bez współdziałania Lutra, wybuch nastąpićby musiał, ale nigdyby nie był ani tak powszechnym, ani tak potwornym, tak płodnym w nieludzkie okrucieństwa. Luter dopiero przez swe religijne teorye napiętnował go tą ostateczną sromotą. Podobnie bowiem, jak o wiek wcześniej w Czechach się stało, tak i tu oddawna już systematycznie podkopywano powagę Kościoła, z którą też runąć musiała wszelka inna powaga. Potwarcze pisma przeciw kościelnej i świeckiej zwierzchności rozrzucano pomiędzy lud tysiącami. Przytem pisma te schlebiając naturalnym jego chuciom, wywracały w imię „wolności" wszelką moralność. Propaganda buntu stała się jakby rzemiosłem, jakby przedmiotem przemysłu i to sprzedawanym w szacie chrześcijańskich frazesów, pod osłoną tekstów ze Starego Testamentu czerpanych. Raz postawiona teza, że lud od wielu wieków ciemiężony jest i wyzyskiwany od zwierzchników kościelnych, usprawiedliwiała a raczej ułatwiała postawienie drugiego wniosku: że podobny stosunek zachodzi też między ludem a świecką zwierzchnością, jako podówczas jeszcze ściśle z Kościołem związaną. Za tę więc niewolę, teraz domagać się trzeba „sprawiedliwości Bożej"; czyli jak mówi Pismo: „dobra ziemskie i ziemska potęga dane będą tym", którzy dotychczas byli „maluczkimi i nic nieznaczącymi". Na czele tej propagandy, w roli głównego kierownika stał niewątpliwie Luter, który nietylko pośrednio, wpływem moralnym, ale i wprost słowem i pismem jątrzył ustawicznie ruchliwe mrowisko. Ukazał on na samym sobie niedościgły wzór owej wymowy tryskającej ogniem nienawiści i zapamiętałego gniewu, który w pokrewnych duszach, pokrewne zapalał płomienie. Tak w r. 1526 w dniu noworocznym rozsyła on do ziem niemieckich nowe wezwanie: „Dalej drodzy bracia, zaczynajmy walkę na nowo!"

[1] Str. 409—431.

A jeśli się zapytamy — do czego przecież każdy bezstronny sędzia ma zupełne prawo — jeśli, mówię, zapytamy się o owoce tej siejby rewolucyjnej, jakże smutny obraz występuje przed nami! Nie ma prawie przedmiotu, na którymby oko z przyjemnością spocząć mogło. Sickingen, Hutten, Geyer, Berlichingen wraz z całem bractwem ewangelicznego rycerstwa; Luter, Carlstadt, Butzer, Ossiander, Eberlin, Münzer i cały zastęp predykantów otoczonych tłuszczą zbuntowanego chłopstwa. „Złodzieje, szulery, zubożałe chłopstwo, więzienne zbiegi, ciury i włóczęgi — oto kaznodzieje buntu w r. 1525!“ Wielu z nich subjektywizm Lutra do ostatecznych doprowadził konsekwencyj: do deizmu a w końcu do zupełnej niewiary. Inni, wychodząc z zasady Lutra, że Duch św. do każdego przemawia i każdemu mistrzem jest prawdy, upatrywali objawienie Boże w najdziwaczniejszych hallucynacyach, i idąc tą drogą doszli aż do bezrozumnego fanatyzmu aż do obłąkania nieprzytomnych szaleńców. Sekty i stronnictwa okazały się nagle jak grzyby po deszczu — ohydą swych nadużyć przewyższając częstokroć orgie mało-azyatyckiego gnostycyzmu. Sam Luter żalił się z tego powodu w liście pisanym r. 1525, do chrześcijan antwerpskich. „Ten gardzi chrztem, ów odrzuca Sakrament, tamten znowu stawia jakiś świat nowy między naszym światem a dniem sądu ostatecznego. Niektórzy nauczają, że Chrystus nie jest Bogiem, jedni — to, drudzy owo — tak że nieledwie tyle jest sekt i wiar, ile głów“. Z upadkiem wiary upadła też i miłość. Już w r. 1524 skarży się na to Luter. „Gdy jeszcze byłem młody, jałmużny, fundacye, zapisy sypały się jak śnieg — dziś pod rządem ewangelii, nikt złamanego szeląga dać nie chce. Za papiestwa każdy był litościwy i miłosierny, rozdawano obydwiema rękami — dziś dla św. ewangelii nikt nic dać nie chce, a każdyby brał. Za papiestwa lepsi byli ludzie i chętnie dzielili się z bliźnim; teraz pod panowaniem ewangelii nikt już nie daje, tylko jeden obdziera drugiego, a każdy chciałby sam wszystko posiadać a im dłużej trwa opowiadanie ewangelii, tem więcej wikłają się ludzie w chciwości, pysze i zbytkach“. Są to skargi właśnie tego, który wolnością ewangelii wychodował te cierpkie owoce. Podobne narzekania w ustach Lutra z każdym rokiem coraz częściej się powtarzają. I nie dziw bo jego teorya o do-

brych uczynkach, zadała cios śmiertelny chrześcijańskiej miłości. „Co człowiek posieje — to też żąć będzie".

Zwróćmy się teraz, idąc za Sz. autorem, do naukowych korzyści, jakiemi reformacya wzbogaciła ojczystą swą niwę. I tu nie dziwno nam będzie, że same tylko obrazy upadku i pustkowia odsłonią się przed nami. Wszak sam Luter nazywał akademie „jaskiniami zbójów *Mördergrube*... katedrami Molocha, synagogami zepsucia". W r. 1521 głosił on przecież publicznie, że „wyższe zakłady naukowe warte są tego tylko, by je na proch zetrzeć — bo nic bardziej szatańskiego, od początku świata nie pojawiło się na ziemi". Najgwałtowniej upadały uniwersytety północno-niemieckie. W Erfurcie było w r. 1520—1521, 311 studentów; w roku następnym 120, w r. 1523 już tylko 72, a wreszcie r. 1524 pozostało ich 34. Uniwersytet Lipski w latach 1508—1522 miał poważną liczbę słuchaczów do 6,485. W 14 latach następnych już tylko 1,235. Podobne a nawet bardziej jeszcze rażące straty poniosła najobronniejsza warownia luteranizmu — Wittenberga; a Roststock, w którego akademickich aulach w r. 1525 czterech tylko zasiadało słuchaczów, w latach późniejszych ani jednym nawet okazem poszczycić się nie mógł. W Bazylei r. 1526 zapisało się tylko pięciu nowych studentów; w Heidelbergu w r. 1525 więcej było profesorów niż uczniów. Takiż upadek groził akademii wiedeńskiej, gdzie za Maksymiliana 7,000 młodzieży uczęszczało na różne wydziały — a po wybuchu rewolucyi — pozostało z nich — ledwie dwunastu, a wydział prawniczy z powodu braku słuchaczów zupełnie zamknąć musiano.

Melanchton, świadek oczywiście niepodejrzany, te napisał słowa: „Gdyby złoty ów wiek umiejętności, którego my (a zatem przed reformacyą) słusznie mogliśmy się spodziewać, rzeczywiście był nadszedł, pisma moje więcej zdobiłoby zalet, lecz zgubna niezgoda (reformacya), w następnych wywołana latach, oderwała mię od naukowej pracy". Tenże Melanchton pisał z Wittenbergi w r. 1524: „Żyję tu jak na puszczy — otoczeniem mojem same tylko poziome umysły". Na podobną nutę rozwodzi się rektor Erfurtskiego uniwersytetu von Eoban Hessus i wielu innych znamienitszych humanistów. Oto nowe błogosławieństwo *des reinen Evangeliums!* Że wśród tych zaburzeń szkoły średnie (licea) i ludowe były w prawdziwie opłakanym stanie, rzecz to tak powszechnie i tak

dobrze znana, że popierać ją nowemi dowodami, żadnego nie miałoby celu.

Nie mniej obfity owoc wydała „czysta ewangelia“, w rozlicznych a oburzających objawach wandalizmu na polu sztuki. Dowodów dostarcza nam 3 księga II-go tomu „Dziejów“ Janssena. Mimowolnie odwracamy oczy z bólem i odrazą od tych rot żołdackich i zbrojnych kup chłopstwa niszczących najcenniejsze zabytki, najpiękniejsze arcydzieła sztuki z iście szatańską radością. W Turyngii upadło 68 klasztorów w czasie wojen chłopskich; w całych zaś Niemczech przeszło tysiąc klasztorów, świątyń i zamków stało się pastwą ognia i grabieży. A ile i jakich zniszczono tam wówczas arcydzieł — to chyba Bogu wiadomo!

Nic też dziwnego, że malarstwo musiało upaść. Hans Holbein młodszy, jeden z pierwszorzędnych mistrzów swego wieku, przymuszony ubóstwem podejmował się malowania drzwi, okien i t. p. W końcu przyszło mu opuścić ojczystą ziemię i na obczyźnie szukać mniej twardego chleba. Takie same fakty zdarzały się i w Bazylei, gdzie malarze udawali się do magistratu, żebrząc dla swych rodzin pożywienia. Za to pojawił się wówczas nowy rodzaj malarstwa a raczej nieestetycznej bazgraniny, której przedmiotem były karykatury świętych. Łukasz Cranach z Wittenbergi zdobył sobie na tem polu rozgłos smutnej sławy.

A w stosunkach politycznych, czyż lepiej się działo? Większość miast cesarskich i luterskich książąt, wzburzona fermentem francuskiego złota, stawiała opór cesarzowi i najwyższym trybunałom państwa. Nawet z Muzułmanem wdawano się w konszachty, a czarodziejski urok tureckich cekinów niweczył najszlachetniejsze zamysły cesarza. W obec spisku Sickingena, który tylko przez związek książąt mógł być złamanym, stał on bezsilny i bezradny. Tak to już wówczas praktyczne miała znaczenie słynna zasada Butzera, że „gdzie s i ł a, tam i p r a w o być musi“.

Taki więc widok przedstawia nam reformacya, widok tragicznych wypadków, których ona główną była sprężyną. „Przeszło 150.000 poległych włościan, zgliszcza domów, ruiny tysiąca klasztorów i świątyń, pola i winnice nieuprawione leżące odłogiem, szaty i sprzęty domowe złupione, uprowadzone krowy i owce, konie i uprząż zabrane. Boże wieczny! cóż się stanie z wdowami i dzie-

ćmi?“ Tak się skarżył kronikarz berneński Cochlaeus i wielu, wielu współczesnych. Cała budowa państwa chwiała się w swych posadach — zda się słychać już było głuchy trzask łamiących się wiązań!... Z jednej strony zagrażał Turek, z drugiej Francuz czyhał na cesarską koronę... Ciemności w naukach, zupełny zamęt w religii, kłótnie i spory, obelgi i przekleństwa między reformatorami, powszechny upadek rolnictwa i nędza socyalna — oto żniwo z posiewu „czystej Ewangelii“ zebrane!...

Nakoniec w ostatnim rozdziale ukazuje nam autor, unoszący się nad tym chaosem Kościół Chrystusowy, który właśnie wśród gromów tej burzy nowy dowód dał światu, że on sam tylko zbudowany jest na opoce i na niej trwać będzie na wieki. Autor nie tai bynajmniej ani zasłania ludzkich ułomności i błędów wśród przedstawicieli tego Kościoła często aż nazbyt widocznych — ale w obec tych cieniów tem jaśniej błyszczy niespożytem światłem boski jego pierwiastek, rodząc z nadprzyrodzoną płodnością najcudniejsze kwiaty dziewictwa, ducha ofiary, cierpliwości, miłości, męczeństwa! Dziwny blask majestatu bije z czoła garstki wyznawców otaczających postać Adryana VI. Jakaż przepaść dzieli ich od owych hord dzikich i potwornych postaci snujących się przy świetle pożogi pod sztandarem nowego Mesyasza Niemiec! Oblubienica Chrystusowa okazała jawnie, że jest rzeczywiście katolickim, tj. powszechnym kościołem, który sam tylko wspiera i utrzymuje naukę i cnotę, życie socyalne i potęgę tronów. (C. d. n.)

A. Kraetzig.

O PROJEKTACH

WPROWADZENIA CZASU WSZECHSPÓLNEGO.

(Ciąg dalszy).

Znaną każdemu z własnego doświadczenia jest rzeczą, jaką to niewygodę, a nawet nieporozumienie sprowadza za sobą różnolitość miar i wag. Do niedawna jeszcze powszechnie do pomiaru długości, objętości, ciężaru, używano łokcia, korca, funta i t. p., które najprzód w każdym kraju inne miały znaczenie i wartość, a nadto jeszcze w tymże samym miały swoje odmiany: i tak znaliśmy w naszym kraju łokieć polski, krakowski, lwowski, warszawski, litewski; do nich przybył nam później wiedeński i t. p., skutkiem czego podając jakieś wymiary w łokciach, dodawać wyraźnie musiano, o jakich to łokciach mowa. Ta różnolitość uwieczniła się nawet w przysłowiu naszem: „jakim łokciem mierzysz, takim ci będzie odmierzono", które później moralnego znaczenia nabrało. Toż samo było tak u nas, jak i gdzieindziej z korcem, funtem, centnarem, nawet Francuzi, ci ojcowie chrzestni metra, do niedawna także używali prócz niego stopy i cali paryskich. Dopiero gdy skutkiem rozgałęzionych stosunków handlowych, tak krajowych jak międzynarodowych, różność tych miar dała się we znaki, wszystkie prawie państwa cywilizowane zgodziły się na zaprowadzenie miar metrycznych, które choć zwolna, coraz więcej niezaprzeczenie się przyjmują i coraz więcej gruntu dla się zajmują, i dziś wymiar podany np. w metrach, czy on jest na miejscu zrobiony, czy też u naszych antypodów lub na drugiej półkuli, jest dla nas zrozumiały i co do swej długości żadnych wątpliwości nie dopuszczający. Coś podobnego jak z rzeczonemi właśnie miarami, zachodzi także i z miarą czasu, z tą atoli

różnicą, że tu przyłącza się jeszcze pozorna nielogiczność i niedorzeczność w wyrażaniu. Miarą czasu jest ruch naszych zegarów, a regulatorem ich dzienny obrót ziemi, ruch jednolity, jednostajny, wszem wspólny, żadnym zboczeniom i błędom niepodległy, żadnych odrębności lokalnych nie dopuszczający. Tymczasem cóż się dzieje? Przypuszczając nawet, że wszystkie zegary na ziemi są równej sobie a wielkiej doskonałości, pomimo, że i regulator ów jest im wszystkim wspólny, to przecież na każdem miejscu o jednej i tej samej chwili zegar pokazuje inną godzinę lub minutę, czyli inny czas, tak jakby był on wszędzie inną a nie tą samą miarą mierzony. Stąd też w podaniach naszych z czasem związanych, występują najrozmaitsze jego odmiany: czas krakowski, rzeszowski, lwowski, warszawski i t. p., i w ogóle, ile miejscowości na ziemi, tyle czasów, a przy każdem oznaczeniu czasowem faktu jakiegoś, pytać się musimy, jaki to czas, albo według jakiego czasu oznaczenie to ma się pojmować, inaczej bowiem pomylimy się w ocenieniu współczesności faktu nietylko co do godziny lub minuty, lecz nawet przy wielkich różnicach czasów, czyli długości geogr., także co do daty miesięcznej, a zdarzyć się może i rocznej. Tak np. przypuśćmy, że trzęsienie ziemi dało się nam czuć dnia 4 stycznia o godzinie 5 rano, z gazet zaś dowiadujemy się, że takież zauważonem było w Chicago dnia 3 stycznia o godzinie 10 wieczorem; nie dołożywszy do każdej z tych dat, według jakiego czasu one są liczone i podane, rozumielibyśmy, że były to dwa odrębne fakty, jeden w 7 godzin wcześniej niż drugi, gdy tymczasem, jeżeli tamten był czas krakowski, zaś wiadomość z Chicago według tamecznego czasu średniego była podaną, oba te zjawiska były jednym współczesnym faktem. Tak więc owo ciągle powtarzane przez nas pytanie: jaki to czas, tj. czy krakowski, wiedeński i t. p., chociaż w zasadzie jest ono nielogicznem, boć nie ma wielości czasów, lecz wszystkim jest on współczesny i wspólny, toć przecież z powodów już nam dostatecznie znanych jest ono niezbędnie potrzebnem, a co najwięcej, zastąpićby je tylko można logiczniejszem wyrażeniem, mówiąc: według zegaru krakowskiego, poznańskiego i t. p. Nie chodzi tu wszakże o nazwę, która z powodu nazwyczajenia zupełnie nas nie razi, lecz o rzecz. Jakkolwiekbyśmy ją zaś nazwali i określili, fakt zawsze pozostanie ten sam, a mianowicie, że mając zegarek choćby najle-

piej idący, takowy służyć nam może jako miara czasu tylko dopóty, dopóki się cokolwiek dalej z domu nie ruszymy.

Przy dawniejszych powolnych środkach komunikacyjnych z jednej, a niedokładnych oznaczeniach czasu z drugiej strony, rzecz ta nie była tak rażącą jak dzisiaj, ani nie przedstawiała takich niewygód, jakie od miejsca do miejsca zmieniający się czas za sobą pociąga. Dziś w tej mierze stosunki bardzo się zmieniły. Pociągi pośpieszne na naszych kolejach żelaznych ułatwiają nam przejazd przez wielkie odległości w kilku godzinach, przyczem atoli odjazd i przyjazd pociągów na minutę dokładnie jest oznaczony. Jeżeli plan jazdy według zegaru miejscowego jest ułożony, to nasz zegarek, a którego przecież w drodze może najwięcej potrzebujemy, w chwili, gdy siadamy do wagonu i odjeżdżamy, przestaje wskazywać nam czas rzeczywisty. Miejsca, odległe od siebie zaledwie jeden kilometr, różnią się już w swoim czasie blisko o 3 sekundy; przejechawszy 20 kilometrów, co przy pociągach pośpiesznych w niecałe pół godziny jest możliwem, pokazuje nasz zegarek czas już o całą minutę fałszywie, a po 6 godzinnej podróży różnica ta już wzrośnie do kwadransa, tak, że już nam tutaj plan jazdy staje się nieużyteczny, gdyż nie wiemy ostatecznie, która godzina jest w miejscu, gdzie się chwilowo zatrzymaliśmy. Podróżny, jeżeli o zmianie czasu odpowiednio do zmiany długości geogr. nic nie wie, widzi ze zdziwieniem, że jego zegarek, który w domu dobrze chodził, naraz fałszywie zaczął pokazywać, i to jadąc ku wschodowi, zegarek w porównaniu do zegarów miejscowych coraz więcej pozornie się opóźnia, jadąc ku zachodowi, coraz więcej przyśpiesza. Tak np. zajechawszy do Lyonu lub Paryża, na co nawiasem mówiąc, dzisiejszymi pociągami kuryerskiemi omal mniej godzin czasu potrzeba, aniżeli dawniej dni, zobaczymy, że nasz zegarek, według krakowskiego czasu i to jeszcze dla pewności w obserwatoryum naszem ustawiony i zregulowany, i który w Krakowie przed podróżą ani jednej sekundy dziennie nie chybiał, w Lyonie o całą godzinę, w Paryżu o godzinę i 10 minut zawczas pokazuje; i przeciwnie znów, zajechawszy z tymże zegarkiem do Moskwy, znajdziemy go o godzinę i 10 minut za późno. Przypuściwszy teraz, że według planu jazdy podróż tak do Paryża, jak Moskwy wynosić ma 30 godzin, to my, przekonani jak najmocniej o dobroci naszego zegarka, a nie znając

istotnego powodu fałszywego przezeń wskazywania godziny, słusznie podniesiemy skargi na małą dokładność w planach jazdy i lekceważenie publiczności, bo podróż według naszego zegarka do Paryża trwała tylko 29, natomiast znów do Moskwy 31 godzin, a nie 30, jak w rozkładzie kolejowym tam i tu położono. Ale co ciekawsza, że wracając z Paryża do Krakowa takim samym pociągiem, a więc którego czas jazdy podobnież na 30 godzin jest obliczony, według naszego zegarka zaledwie w 31 godzin tu z powrotem staniemy, a więc o 2 godziny dłużej napowrót jechać będziemy, aniżeli tam. I to się ma nazywać punktualnością kolejową, która chyba przy kasie się zaczyna i kończy, z goryczą powiemy! Jeżeli zaś zajechawszy na miejsce do Paryża, cofniemy tam swój zegarek o 1 godzinę i 10 minut, a po przybyciu do Moskwy, posuniemy go o tyleż naprzód, to znów powstaną w nas wątpliwości, jakim sposobem, bo przecież nam w obserwatoryum krakowskiem powiedziano, że nasz zegarek znakomicie chodzi, zyskaliśmy w pierwszym razie godzinę i 10 minut w życiu, lub też co gorsza, jakim sposobem i gdzie, jadąc do Moskwy, godzina i 10 minut z życia naszego znikła, i o tyleż starsi niezasłużenie jesteśmy.

O wiele atoli większe kłopoty używanie czasów lokalnych sprawia zarządom kolejowym. Z tego bowiem, cośmy już powiedzieli, łatwo zrozumieć, że trwanie jazdy pociągu między dwiema stacyami nie jest poprostu różnicą między czasem odjazdu i przyjazdu, lecz, że przy podróży ku zachodowi różnica ta zwiększoną, zaś przy podróży ku wschodowi przeciwnie zmniejszoną być musi o różnicę w długościach geogr. obu stacyj. Tak np. długość czasu jazdy pociągu, który odchodzi z Wiednia o 9 g. 50 m. wiecz. a do Monachium przychodzi o 7 g. 20 m. rano, nie wynosi wcale jakby się zdawało 9 g. i 30 m., lecz o 19 minut więcej z powodu różnicy w długościach geogr. obu tych miast, a więc 9 g. 49 m.; przeciwnie znów, pociąg wyjeżdżający z Monachium o 8 g. 10 m. wieczorem, a przybywający do Wiednia o 6 g. 20 m. rano, potrzebował na to czasu nie 10 g. 10 m., ale o 19 minut mniej, czyli 9 g. 51 minut. Oba więc te pociągi idą z tą samą chyżością, a przecież według planu jazdy wydaje się, jak gdyby jadący z Monachium do Wiednia o 40 m. na odbycie tej drogi więcej czasu potrzebował, aniżeli w kierunku przeciwnym. Ponieważ jednak zarządy kolejowe

ruchu swych pociągów nie mogą naturalnie według pozornego czasu regulować, lecz muszą go prawdziwie na to użytym czasem mierzyć, muszą więc także ciągle, jeżeli chcą trzymać się czasów lokalnych, przy rozkładzie porządku jazdy, chyżości pociągów i t. p. pamiętać o różnicach długości geogr. stacyj na ich liniach leżących, a te bardzo uciążliwe operacye rachunkowe powiększają się jeszcze wiele przez to, że jak powyższy przykład nas poucza, także bardzo staranną uwagę na kierunek jazdy zwracać należy, inaczej liczne pomyłki i nieszczęścia mogłyby się często przydarzać.

Wszystkie te i tym podobne niedogodności, jakie z używania czasów lokalnych dla zarządów kolejowych i dla publiczności powstają, coraz więcej czuć dawały potrzebę częściowego przynajmniej ujednostajnienia czasu, i zaprowadzenia t. zw. czasu kolejowego, mimo przeszkód temu stawianych, które ustąpić musiały przed rzeczywistością faktów. Tak stało się z rozporządzeniem b. ministra handlu Banhansa, który chcąc średni czas lokalny ratować, ruch kolejowy w całej Austryi według czasu miejscowego każdej stacyi uregulować polecił, a któreto rozporządzenie już po kilku tygodniach cofniętem być musiało, wykonanie bowiem jego tak dla zarządów kolejowych jak i podróżujących okazało się niemożliwem. Dzisiaj, jak wiadomo, ruch kolejowy we wszystkich prawie krajach uporządkowanym jest według czasu miejscowego odpowiednich miast stołecznych, jeżeli one tylko nie zbyt skrajnie względem całego kraju leżą; tak w Anglii według zegaru w Grynuicz, w Szwajcaryi według berneńskiego, bawarskie według monachijskiego, galicyjskie według zegaru lwowskiego i t. p., i każdy, komu na tem zależy, wie teraz, o ile czas kolejowy różni się od czasu, jaki mu jego zegarek wskazuje, a w ten sposób może przynajmniej wewnątrz granic tego samego kraju, czyli dopóki granicy nie przekroczy, zegarek swój w zgodzie z planem jazdy utrzymać. Nastąpiła więc teraz epoka czasu kolejowego, albo inaczej słuszniebyy go tak nazwać można narodowego. Przypatrzmy się i jemu bliżej, biorąc pod obserwacyę podróżującego koleją żelazną, bo tam tylko z tym czasem się spotykamy.

Dopóki podróżny znajduje się w wagonie lub w obrębie dworca kolejowego, dopóty wie która godzina, ale ma się rozumieć kolejowa; skoro atoli do celu podróży przybędzie, znów zaczyna się

dlań kłopot z zegarkiem i czasem, gdyż np. w mieście, gdzie teraz przebywa, nie rządzą się czasem kolejowym, lecz miejscowym, a o wiele ten różni się znów od tamtego, tego on wiedzieć nie może ze swego zegarka, i musi się dopiero obzierać za zegarem miejskim, aby się tam w tym względzie poinformować, czyli z zegarkiem w kieszeni dopytywać się, którato godzina. Większych atoli doświadczy jeszcze podróżny kłopotów, skoro się znajdzie w podróży swej na granicy dwóch państw, a więc i na granicy dwóch czasów kolejowych czyli narodowych; tu bowiem nagle jawią się dla niego znaczne zwykle skoki, bądź dodatnie, bądź ujemne, z jednego czasu na drugi, co przy licznych formalnościach granicznych załatwienia przezeń wymagających, jeżeli gdzie, to tu najmniej przyjemną jest rzeczą, i niewiele zwykle tu czasu na to zostaje, aby się dopiero poinformować i rozglądnąć, co ze swoim zegarkiem zrobić, a bez czego w chwilowy kłopot nawet popaść można. Tak np. jadąc z Włoch przez górę Mont Cenis do Francyi, przybywamy według planu jazdy na granicę obu tych państw tj. do Modeny o 12 g. 16 m., i tu nie z wielką wcale uciechą dowiadujemy się, że dalej jadący pociąg już o 12 g. 8 m. odchodzi, a więc prawdopodobnie już odszedł, — gdy tymczasem tak nie jest, bo owszem tu jest 40 minut przestanku, we Włoszech bowiem koleje rządzą się zegarem rzymskim, zaś we Francyi paryskim. Jeszcze atoli omal większą a niemiłą niespodzianką bywa dla podróżnego zmiana czasu kolejowego wewnątrz granic tego samego kraju, na nią bowiem bywa zwykle jak najmniej przygotowany; tak np. jadąc ze Lwowa do Krynicy, przybywamy do Tarnowa według zegaru lwowskiego, stąd atoli jedziemy dalej koleją leluchowską, która się znów rządzi zegarem praskim i t. p., co nieoględnego podróżnego łatwo narazić może na dokuczliwą stratę czasu.

Trudności, jakie czas lokalny zarządom komunikacyjnym stawiał, z natury rzeczy musiały się najpierwiej i najsilniej uwydatnić w wielkich krajach, lub też w wielkich kompleksach drobnych państw, na jedną modłę swe stosunki społeczne urządzających, jak w Ameryce północnej, która od Atlantyku aż do brzegów Oceanu spokojnego zajmuje 100 stopni w długości geogr. czyli blisko 7 godzin. Tam, aby sprawy według pojedyńczych państw i stanów nie rozdrabniać, i chaosu, jaki w tym względzie w starym naszym świecie

pamiję, uniknąć, podzielono w końcu listopada 1883 r. cały ląd stały na 5 pasów, z których każdy następny o całą i okrągłą godzinę wyższego czasu używa, aniżeli sąsiedni mu poprzedzający, czyli, te skoki nierówne i najrozmaitsze w czasach kolejowych a do tego i na nierówne przestrzenie terytoryalne rozdzielone, jakie my tu napotykamy, tam stale wszędzie przez równoległe całogodzinne zastąpione zostały. Tę myśl, jakoteż i drugą, aby całą ziemię podzielić na takie pasy, któreby wszystkie równe co do szerokości, stan swych zegarów o jednę godzinę kolejno po sobie zwiększały, podał i rozwinął S. Fleming, szef linij kolejowych kanadyjskich, a później kanclerz uniwersytetu w Ottawie, w memoryale przedłożonym Akademii w Toronto w r. 1879. Jego projekt tak w skróceniu wygląda: pomyślmy sobie całą ziemię zapomocą 24 południków w równych odległościach od 15 do 15 stopni długości geogr., czyli od godziny do godziny co do czasu poprowadzonych, podzieloną na 24 dwukąty czyli taśmy sferyczne od bieguna do bieguna sięgające, a następnie wewnątrz każdego z tychże używany czas lokalny południka przez jego środek idącego, to w ten sposób podzieloną będzie ziemia na 24 części, na granicach swych o całą godzinę w rachubie czasu się różniących, przyczem początek całej tej rachuby, czyli tych zmian całogodzinnych czasu, można nawiązać do któregobądź, a najlepiej do południka za pierwszy do liczenia długości geogr. przyjętego. Czas w ten sposób liczony i uregulowany, nazywa Fleming n o r m a l n y m.

Aby różnice między czasem prawdziwym, a dopiero co rzeczonym czasem normalnym uczynić jak najmniejszemi, a tym sposobem i zaaklimatyzowanie się tego sposobu liczenia czasu między ludzkością zapewnić, radzi Gyldén dyr. obserw. w Stockholmie podzielić ziemię całą nie na 24 lecz na 144 podobnych jak powyżej taśm, w równych co 10 minut czasu od siebie leżących odstępach. Czy atoli, pomijając już niektóre trudności takie, jak np.: co w tym przypadku zrobić, jeżeli jeden z takich 24 południków przecina bardzo wielkie miasto, a w którym to przypadku musiałaby chyba jedna połowa miasta używać zegaru o godzinę różnego od zegaru drugiej jego połowy, — czy więc w ogóle projekt Fleminga może liczyć na wżycie się w zwyczaje ludu, tego ani długie teoretyczne rozumowania nad jego małą lub wielką korzyścią, ani też długie

konferencye i narady przy zielonym stoliku rozstrzygnąć nie są w stanie, — na to potrzeba praktyki i doświadczenia. Częściową odpowiedź na to pytanie, a nawet wcale korzystną, dał jeden z uczestników kongresu waszyngtońskiego W. F. Allen, o którym później mówić będziemy, a odpowiedź opartą na całorocznej praktyce w używaniu czasów normalnych w Ameryce północnej, o czem powyżej wspomnieliśmy. Według niego obawy, że zmiany czasu o godzinę na granicach dwóch taśm w stosunkach społecznych gmin przez granicę z sobą sąsiadujących, wywołają liczne i niepokonane trudności i nieporozumienia, okazały się płonnemi Mieszkańcy tych miejscowości przyzwyczaili się w bardzo krótkim czasie w miarę potrzeby jednej lub drugiej skali czasu używać, podobnie, jak mieszkańcy nadgraniczni przyzwyczajają się łatwo do używania pieniędzy obu tych krajów, przy których granicy mieszkają.

Tak w Ameryce, — gdzie zmysł praktyczny umie pogodzić się z trudnościami i rzeczywistością, i gdzie jednolitość rządu jakoteż rozrzutność w nakładzie pracy i czasu nie szczędzą usiłowań do zbierania potrzebnych w każdej sprawie doświadczeń. U nas trudno podobno spodziewać się zaprowadzenia i przyjęcia czasów normalnych, i to nietylko w życiu społecznem, ale nawet w zarządach środków komunikacyjnych, — bo stoi temu na przeszkodzie podział Europy na tak wiele od siebie niezawisłych państw, których granice najrozmaiciej się ze sobą krzyżują, i których mieszkańcy i zwyczajami swojemi, i narodowością, i formami państwowemi, krótko mówiąc, całym swym istotnym rozwojem tak silnie od siebie się różnią. Czy zaś inna i jaka rada będzie dla nich możliwą i pożądaną, zobaczymy poniżej.

Aczkolwiek z tego, co dotychczas mówiliśmy, przekonaliśmy się zapewne dostatecznie o rzeczywistych niekorzyściach używania czasów lokalnych, to przecież nie możemy tu pominąć jeszcze jednej też samą szalę obciążającej okoliczności. Od również omal tak dawna, jak koleje żelazne, posiadamy także drugi, ale nierównie chyższy środek komunikacyjny, tj. telegraf, który z szybkością iskry elektrycznej przenosi już wprawdzie nie ludzi samych, ale ich myśli z jednego końca świata na drugi. Tu jeszcze jaskrawiej i namacalniej występują na jaw te braki, jakie z naszym sposobem liczenia czasu są związane, a które częstokroć do pozornie komicznych mis-

tylikacyj prowadzą. Tak np. wiedeński telegrafista wysyła o godz. 12 w południe zapytanie w jakiejś sprawie do swego kolegi w Londynie, a po jednej lub dwóch minutach otrzymuje odpowiedź z datą 10 g. 57 minut, czyli pozornie o godzinę i 3 min. wcześniej, aniżeli się pytał; gdyby się zaś z takiemże pytaniem i o tejże godzinie udał do Nowego Jorku, otrzymałby odpowiedź z tą samą datą dnia, ale z godziną 6 rano. I nawzajem, nie bardzo wdzięczny byłby w Krakowie ojciec synowi swojemu, bawiącemu w San Francisco, gdyby temuż zachciało się o godzinie 5 po południu telegrafować do ojca swego, że np. w gronie przyjaciół pije współcześnie jego zdrowie, — bo telegram ten przy wszelkim możliwym pośpiechu doszedłby do rąk adresanta koło 3 rano dnia następnego, a więc kiedy i jego i cały dom budzić potrzeba na odebranie depeszy. Z tego to także powodu niektóre wiadomości wyglądać mogą na bąki dziennikarskie, albo niedbałe redagowanie dzienników. Tak np. o nieszczęściu kolejowem, które zdarzyło się było przed paru laty w Anglii o 2 rano dnia 21 lipca, były drukowane doniesienia w amerykańskich wieczornych dziennikach już dnia 20 lipca, co wszystko na to wygląda, jak gdybyśmy w potocznem opowiadaniu użyli wyrażeń: wczoraj to lub owo się stanie, zaś to lub owo stało się jutro! A krótko kończąc, jeżeli nasze oznaczenie czasu takie sprzeczności umożliwia, musi w niem samem tkwić jakaś wewnętrzna sprzeczność; jeżeli my depesze telegraficzne kilka godzin pozornie wcześniej otrzymywać możemy, aniżeli one wysłane zostały, to nasze pojęcia i oznaczenia przeszłości i przyszłości muszą być fałszywe, a przynajmniej niedostatecznie określone.

Niedogodności i wątpliwości, jakie z powodu używania czasów lokalnych spotykać nas mogą w życiu publicznem i codziennem, występują znacząco także, jak łatwo się domyśleć w środkach komunikacyjnych morskich czyli żegludze, a prócz tego i w ścisłych umiejętnościach. Szczególnie tu prócz Astronomii interesowane są nauki, zajmujące się telurycznemi zjawiskami, a więc głównie fizyka ziemska wraz z magnetyzmem i uprawianą dziś na wielką skalę meteorologią. Cała wartość tych nauk polega na doświadczeniach i obserwacyach, i wzajemnem ich ze sobą porównaniu, co tylko przy zbieraniu współczesnych faktów jest możliwem; tak np. nie bardzobyśmy byli mądrzy z porównania ciepłot obserwowanych tak

w Krakowie, jak i w Nowym Jorku o 7 godzinie rano według zegarów miejscowych, czyli pozornie o tej samej chwili, — bo co dla Nowego Jorku jest godziną 7 rano, to dla Krakowa jest już 1 godziną 15 min. w południe; tam dopiero może słońce wschodzi, u nas o 1 godzinie jest ono omal najwyżej, a więc i najsilniej w tej chwili nas ogrzewa. Ciągły więc i nieustanny w tych naukach musi być wzgląd na różnice czasów, — najmniej zaś, co niejednego zadziwić może, w Astronomii, a to z powodu, że astronomowie zawczasu sobie na to poradzili, i czas swój przy obserwacyach liczą według czasu czyli zegaru gwiazdowego, który na całej ziemi o każdej chwili zawsze wspólną im wszystkim godzinę wskazuje.

Przechodzimy teraz do trzeciej sprawy, o której we wstępie napomknęliśmy, a mianowicie tyczącej się usunięcia dotychczasowego dualizmu w liczeniu godzin, a zaprowadzenia natomiast sposobu liczenia ich od 0 do 24.

Nihil novi sub sole przedewszystkiem o tym projekcie powiedzieć możemy, sposób ten bowiem liczenia godzin jako zabytek średnich wieków do niedawna jeszcze był dosyć rozpowszechniony w niektórych krajach, zwłaszcza we Włoszech, skąd zegary z 24 godzinnym podziałem cyferblatu rozchodziły się na wszystkie strony, a i u nas także znane były. Wincenty Pol w poemacie p. t. „Hetmańskie pacholę“ w pięknych słowach opisuje taki zegar, znajdujący się na dworze hetmana W. kor. Jana Tarnowskiego:

Pośrodku stołu bardzo okazały
Stał zegar rzymski roboty misternej,
W drobne koronki wydziergany cały,
A wiary świętej wizerunek wierny.

. . . . . .

Tarczę dzierżyły złote lwy i ptaki,
Dzielna na godzin dwadzieścia i cztery,
Była opięta niebieskiemi znaki
I opisana w tajne charaktery.

Wybijał on wszystkie godziny aż do 24, odznaczając każdą z nich różnemi figurami biblijnemi Starego i Nowego Przymierza, a na samym końcu po wybiciu 24 godziny prowadził całe zastępy świętych przed tron Bogarodzicy u góry umieszczony:

I bije w końcu dwudziesta i czwarta,
I brama niebios przez chwilę otwarta,

Bo nowa doba, to i łaska nowa,
I wolno stoi droga Chrystusowa.

Ale przysłuchajmy się, co też ludzie mogą mieć przeciw dzieleniu doby na 2 razy po 12 godzin, i jakich korzyści dopatrują się w nowem liczeniu.

Trudnem jest oznaczyć z pewnością, kiedy i z jakich powodów obecnie używany podział doby na dwie południem rozdzielone połowy nastąpił, zwłaszcza, gdy ciągłe liczenie godzin aż do 24, nie stawia żadnych trudności i jest tylko rzeczą przyzwyczajenia; to tylko o nim możemy powiedzieć, że doszedł on do nas z bardzo odległych czasów, z epoki czasu prawdziwego, w której dzień i noc z osobna na 12 godzin dzielono. Przy takiem liczeniu czasu już z natury rzeczy, godziny w jednej i tej samej miejscowości ale w różnych porach roku miały także różną długość i znaczenie, tak np. w środku lata godziny dzienne były 2 razy dłuższe aniżeli w środku zimy, i przeciwnie znów godziny nocne, lub też znów współcześnie, ale w punktach ziemi daleko od siebie odległych, tak godziny dzienne jak nocne co do długości bardzo się od siebie różniły. Taki podział doby wystarczał ucywilizowanym ludom starożytności, które, na małych stosunkowo przestrzeniach ziemi, bo tylko w południowych częściach strefy umiarkowanej północnej się usadowiwszy, o resztę świata mało się troszczyły i mało z nim znosiły, ale dla nas w dzisiejszych ziemi naszej stosunkach wydaje on się być zupełnie niemożliwym a nawet niedorzecznym, chociaż logicznie rzecz biorąc, jest on więcej uzasadniony, aniżeli dzisiejszy, od Rzymian w spuściznie przyjęty, za pomocą którego każda z 12-to godzinnych połówek doby o północy się zaczynającej, w części do dnia, w części do nocy przynależy. To też, podczas gdy starożytni na dokładne zdeterminowanie godziny potrzebowali tylko wyrażeń: we dnie lub w nocy, — nam już to nie wystarcza, i musimy mimo stałego zawsze, nie zaś ruchomego jak u nich początku doby, używać dla uniknienia wątpliwości i dwuznaczności daleko więcej takich posiłkowych objaśnień, jak rano, przed południem, w południe, po południu, wieczorem lub w nocy, — przy czem jeszcze dodatki te zależnie od niektórych pór roku zmieniać musimy. Tak np. na małym dniu uchodzi powiedzieć o 5 wieczorem, ale każdego, ktoby tak samo powiedział np. w czerwcu, poprawilibyśmy w wyrażeniu, że zapewne chce mówić

o 5 po południu; na małym dniu uchodzi powiedzieć o 3 w nocy, w lecie trzeba już mówić o 3 rano, — w zimie nie drażni uszu, gdy powiemy o 10 rano, w lecie trzebaby już powiedzieć o 10 przed południem, bo już od 7 godzin niektórzy ludzie pracują, i rano właściwie już dawno minęło. W naszych szerokościach geogr. wśród lata przypada przez dość długi czas 6-ta godzina dwa razy w ciągu dnia, wśród zimy zaś dwa razy w ciągu nocy; musimy więc zawsze dokładać, czy rozumiemy 6-tą godzinę rano czyli też wieczorem. Jak widzimy już z tych kilku przykładów, pojęcia „rano“ i „wieczór“ są zmienne i rozciągliwe, zwłaszcza też pierwsze, które acz trochę znów nielogicznie, po większej części nawiązywanem bywa do godziny wstawania ze spoczynku nocnego, bo w ogóle godzina, którą mieszkaniec wsi uważa już za późną, mieszkaniec miasta uważa za ranną i wczesną. Krótko mówiąc, nasz sposób liczenia czasu skutkiem konieczności używania różnych objaśniających dodatków jest maszyną zbyt skomplikowaną, i tylko dzięki przyzwyczajeniu się do niej od młodości nie razi nas jej niepraktyczność, — a występuje ona znacząco przy naszych środkach komunikacyjnych, głównie zaś znów przy kolejach żelaznych i ich ogłoszeniach rozkładu jazdy. Tu dla objaśnienia publiczności, czy godziny rozumiane są dzienne lub nocne, robią, możnaby powiedzieć wszystko, aby większy chaos sprowadzić; tak dla uwidocznienia godzin nocnych używany bywa w planach jazdy podkład kolorowy, szafirowanie, podkreślanie liczb, obwódki, odmienny gatunek cyfer i t. p., co wszystko, podróżnemu zwłaszcza w porze nocnej a przy zwykle słabem oświetleniu wagonów, zamiast pomódz do zoryentowania się co do czasu jazdy, owszem jeszcze przeszkadza. Że takie niedogodności, jak powyż wspomniana, dałyby się z pewnością za pomocą liczenia godzin do 24 usunąć, wątpliwości nie podlega, chociaż z drugiej strony przyznać znów należy, że przy dzisiejszych środkach technicznych nie potrzeba aż tak gwałtownego na to przewrotu, i że jestto jedno z najmniejszych złych, jakie dotychczasowy sposób liczenia czasu za sobą pociąga. Według zdania zwolenników nowości podział doby na 2 części o równej liczbie, o tem samem oznaczeniu i trwaniu godzin w tem tylko znajduje swe wytłumaczenie, iż w dziecinnych latach sztuki zegarmistrzowskiej brakowało jej mistrzom na środkach, aby wszystkie 24 godzin na cyferblatach zwła-

szcza zegarków kieszonkowych wyraźnie i czytelnie naznaczać! Czy tak jest w istocie, musimy to zostawić znawcom, zwłaszcza że według zdania przeciwników rzecz ma się zupełnie przeciwnie, a mianowicie, że gdy w skutek postępu tej sztuki coraz więcej rozpowszechniało się użycie zegarów z repetycyą kwadransów i półgodzin, a tem samem umożliwiało miarę czasu mniejszemi niż godzina jednostkami, czego przez odczytywanie cyferblatu z tąż samą dokładnością otrzymać nie można, okazało się wówczas liczenie godzin aż do 24 jako bardzo niepraktyczne i niewygodne, i musiało ono zwolna ustąpić miejsca dzisiejszemu. O tem przekonywa ta okoliczność, że najstarsze zegary aż do naszych czasów dochowane, mają na cyferblatach tylko podział 24 godzinny, podczas gdy późniejsze mają już 2 cyferblaty, jeden frontowy z takimże podziałem, drugi z tyłu z podziałem na 12 godzin, a przytem z urządzeniem, zapomocą którego według upodobania mogły one 12 lub 24 godzin wybijać.

Aby rozstać się tu stanowczo z tą sprawą, która ostatecznie mówiąc, nie jest wcale doniosłego znaczenia i pożytku dla społeczeństwa, wspomnieć tu tylko jeszcze musimy, że obawa, jakoby wszystkie nasze zegarki musiały być zastąpione nowymi w razie wprowadzenia sposobu liczenia godzin do 24, jest bezpodstawna, — wystarczałoby bowiem wtedy, albo nie robiąc najmniejszych zmian z zegarkami, rachunkowo rzecz załatwiać, dodając po południu 12 do godzin zegarkiem wskazywanych, a więc zamiast godzina 3, 7 i t. p. rachować godzinę 15, 19 i t. p. — lub też co najwięcej, pod godzinami na cyferblacie zegarka naznaczyć kolejno dalsze godziny od 13 do 24, każdy bowiem bez trudności z samego poczucia rzeczy oceniłby zawsze należycie, którą z 2 godzin pod sobą naznaczonych w danej chwili ma odczytać, czy górną, przynależącą godzinom przedpołudniowym, czyli też dolną, zastępującą dzisiejsze popołudniowe i wieczorne. (Dok. nast.)

Dr. Wierzbicki.

ŚWIĘTY CYPRYAN KARTAGIŃSKI

I KARNOŚĆ KOŚCIOŁA W III. WIEKU.

(Dokończenie.)

III.

Schyzma rzymska. — Kwestya powtórnego chrztu.

W półtora mniej więcej roku po męczeństwie Fabiana, dnia 4 czerwca 251 r. wstąpił na stolicę Piotrową Korneliusz, mąż iście opatrznościowy w tak trudnych i krytycznych czasach Kościoła. Bezinteresowności i cnocie nowego papieża, oddaje Cypryan w jednym z swych listów najpiękniejsze świadectwo[1]: „Nie wzniósł on się nagle do biskupiej godności, lecz zwolna przeszedłszy wszystkie kościelne stopnie, dobrze Bogu i Kościołowi zasłużony... ani sam chciał, ani ubiegał się o biskupstwo, ani siłą go nie zdobył, jako czynią ci, których pycha i ambicya nadyma, ale zawsze spokojny i skromny, słowem taki, jakiego Bóg na to stanowisko zwykł obierać, powodując się dziewiczym wstydem sumienia, wrodzoną pokorą i wiernie ustrzeżoną skromnością, nie użył siły, jak niektórzy inni, aby zostać biskupem, lecz przynaglony, brzemię biskupstwa przyjął... Korneliusz został biskupem z Bożej i Chrystusowej woli, za świadectwem całego niemal kleru, z wyboru obecnego ludu, za zgodą starszych kapłanów i najpoważniejszych mężów. Teraz więc, gdy już Korneliusz z woli Bożej i za zgodą nas wszystkich na stolicy zasiadł Piotrowej, ktokolwiek chciałby zostać biskupem, wypę-

[1] „Ad Antonianum". Inter epistolas Cornelii Papae. Ep. 10. — *Migne* Opera Cypriani I. p. 787 sq.

dzonym być winien, bo nie może mieć kościelnej władzy i poświęcenia ten, który jedności Kościoła jest wrogiem. Ktokolwiekby to był, czemkolwiekby się chełpił, jakiekolwiek zasługi by sobie przyznawał, z nami nic wspólnego nie ma, obcym jest, poza Kościołem stoi".

Ostatnie te słowa, odnoszące się do wzrastającej schyzmy rzymskiej, przenoszą nas w sam wir walki, zużywającej od kilku już miesięcy, najlepsze siły katolickiego świata. Pod koniec prześladowania wydobył się z ukrycia znany poprzednio, dość uczony kapłan rzymski Nowacyan. O prywatnem jego życiu przeróżne chodziły wieści, powątpiewano nawet czy ważnie otrzymał kapłańskie święcenia [1]. Gwałtownie powstał on przeciwko zbytniej pobłażliwości względem upadłych. Ale jeśli komu, to Nowacyanowi nie przystała zbytnia surowość. Już ta sama okoliczność, że w czasie prześladowania zamyślał wrócić znowu do wiele wygodniejszego i bezpieczniejszego zawodu filozofa, któremu się przed nawróceniem poświęcał, wskazywała, iż twarde zasady stoickie, daleko lepiej znał w teoryi niż w praktyce. Niebawem zgromadził on koło siebie znaczną liczbę stronników, przyciągnął do siebie wielu wyznawców i jawnie stanął na czele rygorystycznej, wrzekomo konserwatywnej partyi, wiodącej otwarty bój z wszystkimi, co upadłym powrót do Kościoła ułatwić pragnęli. Wybór Korneliusza na stolicę papieską, nie stłumił ale rozognił jeszcze walkę. Pod pozorem, iż Korneliusz shańbił się na wieki przypuszczeniem upadłych do społeczeństwa kościelnego, Nowacyan kazał udzielić sobie biskupich święceń, trzem z daleka sprowadzonym biskupom i licząc na poparcie zaprzedanego sobie stronnictwa, ogłosił się papieżem. Prawie jednocześnie pośpieszyli posłowie Korneliusza i Nowacyana do zagranicznych kościołów, z doniesieniem o wyborze swym na Rzymską stolicę.

Sprzeczne te, na razie niepodobne do rozeznania i sprawdzenia wieści nieopisany wywołały zamęt. Marcyan z Arles stanął po stronie Nowacyana; Fabiusza z Antyochii musiał sam Korneliusz uwiadamiać o właściwym przebiegu rzeczy; Antoniana, jednego z biskupów Numidii, w długim liście przekonywał Cyprya o niesłuszności pretensyj Nowacyana, sprzeczności życia z nauką,

[1] *Cornelius* ad Fabium. U *Euzebiusza* Hist. Eccl. l. VI. c. 43.

niecnie prowadzonej propagandzie. Wierni nie wiedzieli kogo słuchać: czy mianowanych przez Korneliusza, czy też przez Nowacyana biskupów. Sam Cypryan przez czas pewien pozostawał w wątpliwości, który z nich jest prawnie obranym papieżem. Dopiero gdy wysłani do Rzymu biskupi Caldonius i Fortunat, wespół z dwoma innymi biskupami afrykańskimi, naonczas w wiecznem mieście bawiącymi, przysłali dokładną relacyę o życiu i wyborze Nowacyana, Cypryan jawnie i stanowczo stanął po stronie Korneliusza.

Gdy więc z końcem lipca 251 r. posłowie antypapy: Maxym, kapłan; Augendus dyakon; Machaeus i Longin przybyli do Kartaginy, spostrzegli odrazu, że napróżno się w tak daleką wybrali drogę. Próbując jednak szczęścia, zażądali „z wielkim hałasem, krzykami i obelgami", aby publicznie, w obec zgromadzonego ludu, wytoczyć mogli swą żałobę, ale Cypryan z siłą i powagą nakazał im milczenie, a podany sobie pamflet przeciw Korneliuszowi ze wzgardą odrzucił [1]. Natomiast nakazał publicznie odczytać listy Korneliusza i silnie napiętnował „twardy a nieuginający się upór przeciwnego stronnictwa, które od korzenia oderwane, z łona matki się wyrywa, od jej uścisków się odwraca... a sprzeciwiając się tajemnicy Bożego rozporządzenia i katolickiej jedności, cudzołożną i wrogą głowę poza Kościołem sobie obiera" [2]. Po tak stanowczej odprawie mógł Nowacyan łatwo spostrzedz, że wszelkie jego kroki o pozyskanie afrykańskiego kościoła będą daremne; mimo to, z cechującym go uporem wysłał ponowne poselstwo do Kartaginy. Ale i tą razą szczęście im nie dopisało i z niczem powrócili do Rzymu. Nowacyanowi coraz się bardziej grunt z pod nóg usuwał; nietylko nie udało mu się Cypryana na swą stronę przeciągnąć, lecz owszem miał w nim teraz najniebezpieczniejszego wroga. Każdy nowy list Cypryana do Rzymu, szybko przechodził z rąk do rąk, a na topniejące stronnictwo Nowacyana, działał gorzej niż przegrana bitwa. Maksym, Urban, Sydoniusz i wielu z uwiedzionych udało się do Korneliusza z korną prośbą o przebaczenie. „Mnóstwo braci, pisze

---

[1] Inter scripta S. Cornelii Papae. *Migne* Patrologiae lat. t. III. epist. 1-a et 2-a. — p. 721 sq.

[2] Ad Cornelium Papam. ep. 2. — Inter scripta S. Cornelii. p. 726.

Korneliusz jeszcze tego samego dnia do Cypryana[1], na wieść o skrusze wyznawców, zbiegło się do kościoła. Wszyscy jednym głosem Bogu dziękowali, radość swą głośnym jawiąc płaczem, ściskali ich, jak gdyby dzisiaj z więzień na wolność wypuszczeni byli. Lecz pozwól, że własne ich słowa ci powtórzę: „My, wołali, uważamy i uznajemy Korneliusza za biskupa świętego katolickiego Kościoła od Boga wszechmogącego i Chrystusa Pana wybranego. Błąd swój wyznajemy; w zasadzkę popadliśmy; oszukały nas wiarołomne i zdradliwe języki. Choć się na oko zdawało, że mieliśmy styczność z tym heretykiem i schyzmatykiem; przecież rozum nasz i serce w Kościele mieszkało. Nie tajno nam, że jak jeden jest Bóg, jeden Chrystus, którego wyznaliśmy i jeden Duch św.; tak też jeden biskup w Kościele katolickim być powinien".

Nie dziw, że Korneliusz dzielił się co prędzej z Cypryanem tą radośną nowiną, jego bowiem listom i staraniom bodaj czy nie najwięcej ją zawdzięczał. Poważni, krwią już zbroczeni dla Chrystusa, błędną na chwilę zwiedzeni nauką chrześcijanie, powtarzali tylko w prześlicznem swem wiary wyznaniu, przesłane im poprzednio przez Cypryana napomnienia. Długi list, a raczej rozprawa O jedności Kościoła[2] napisana dla rzymskich wyznawców, po dziś dzień najpotężniejszym jest młotem na wszystkich, co opuściwszy skałę Piotrową, poza nią kościół budują. Cypryan walną tu już daje odprawę przyszłym zarzutom protestantów i donatystów, uczniów Renan'a i galikańskich profesorów Sorbony; a choć parę lat później, ulegając namiętności czy słabości ludzkiej, zbyt hardo się stawił papieskim rozkazom, to księga O jedności Kościoła niezbicie wskazuje, że zbłądził jako człowiek, z chwilowego popędu namiętności, nie jako doktor Kościoła, z głębokiego, pracą i modlitwą wyrobionego przekonania. Przekonanie takie byłoby wprost niemożliwem w obec całej jego nauki, a bardziej jeszcze w obec jaśniejących przykładów, podanych przez najznakomitszych mężów z ubiegłych dwóch wieków chrześcijańskiej ery.

Cały świat chrześcijański, opierając się na słowach Chrystusa, który Piotra ustanowił pasterzem swej owczarni, klucznikiem kró-

---

[1] Ad Cyprianum ep. VI. *Migne* III. p. 743 sq.

[2] De Unitate Ecclesiae. *Migne* Opera Cypriani t. II. p. 509—536

lestwa niebieskiego, opoką na której Kościół stać miał niewzruszony i niezwyciężony, uznawał zgodnie Piotra i jego następców na stolicy Rzymskiej, za głowę mistycznego ciała Chrystusowego i za najwyższego sędziego w rzeczach wiary i obyczajów. Piotr po Wniebowstąpieniu Boskiego Mistrza zajął Jego miejsce na ziemi: przewodniczył obiorowi nowego apostoła na miejsce Judasza, zastawiał się o sławę całego apostolskiego kolegium i bronił go przed książętami i starszymi ludu; pierwszy otworzył poganom bramy Kościoła, pierwszy przemawiał na soborze Jerozolimskim; za niego w szczególności modlił się Kościół; jego czyny, cuda i mowy zebrał św. Łukasz w aktach apostolskich z zadziwiającą skrzętnością. Ale Kościół i po śmierci Piotra stać miał niewzruszony na twardej opoce, która oprzećby się potrafiła szturmom całego piekła; mistyczne ciało Chrystusowe mieć musiało aż do skończenia świata widomą głowę: a opoką tą i głową wiecznie żyjącą, byli wedle głębokiej i powszechnej wiary całego chrześcijaństwa, następcy Piotra na biskupstwie rzymskiem. Wśród ustawicznych prześladowań i trudności z jakiemi religia chrześcijańska od samej kolebki walczyć musiała, trudnem nieraz było wykonywanie władzy papieskiej w szerszym zakresie, ale mimo niezmiernego braku dokumentów z owych czasów, nauka o prymacie papieżów rzymskich, występuje już wonczas jasno i wyraźnie. Biskup smyrneński św. Polikarp osobiście udał się do Rzymu do papieża Aniceta z prośbą o załatwienie pewnych spornych kwestyj. Koryntczycy wytaczają swą sprawę przed św. Klemensem, a nie przed mieszkającym w pobliżu apostołem Janem. Niedługo później (r. 177) wysłali męczennicy lugduńscy w podobnym celu poselstwo do papieża Eleuteryusza [1]. Złożeni przez synody prowincyonalne biskupi, jak np. Basilides, biskup asturyjski, Privatus lamberytański, i nowi na ich miejsce wybrani: Sabinus i Felix, apelują wspólnie do Rzymu, jedni z prośbą o unieważnienie wyroków synodu, drudzy żądając sprawiedliwości na opornych biskupów [2]. Oskarżony o herezyę Orygenes przedewszystkiem stara się oczyścić z tego zarzutu przed papieżem Fabianem [3]; w Monta-

[1] *Eusebius*. Hist. Eccl. l. V. c. 24; *Hieron*. De viris illust. c. 17.
[2] *Cypriani* Opera. Epist. 36. Clerus Romanus ad Cyprianum.
[3] *Eusebius*. Hist. Eccl. l. VI. c. 36.

mimo pogrążony Tertulian[1], stając do walki przeciw Rzymskiemu biskupowi, zowie go z szyderstwem „biskupem biskupów“ i mimowoli składa świadectwo, iż chrześcijanie papieża rzymskiego uznawali istotnie za biskupa nad innych biskupów wyższego. Bez wątpienia świadectwa te nie błyszczą tem samem światłem, co świadectwa i niezbite fakta wieków następnych. W ogóle jak wszystkie dawne dzieje tak i one są zamglone: ale z za mgły tej widać słońce prawdy; każdego niemal roku występuje ono bliżej i jaśniej i właśnie w księdze Cypryana „O jedności Kościoła“ rzuca cały pęk promieni na wiarę pierwszych wieków chrześcijaństwa w ustanowiony przez Chrystusa prymat papieski.

„Bardziej niż prześladowań, rozpoczyna Cypryan, obawiać się powinniśmy ukrytego nieprzyjaciela, co pozornie zawarłszy pokój, niewidzialną drogą, cicho a skrycie się skrada. Widząc wzrost religii Chrystusowej, wynalazł nową zdradę: herezye i schyzmy, by niemi podkopać wiarę, prawdę zepsuć, jedność rozerwać. Tych, których nie może zatrzymać w dawnej ślepocie, nowym wikła fałszem. Z łona Kościoła porywa ofiary; w chwili gdy sądzą, że do światła się zbliżyli, że się wydobyli z nocy tego świata, innemi chmurami, mimo ich wiedzy, wzrok im zaciemnia, a tak, choć nie trzymają się Ewangelii Chrystusa, nakazów Jego i prawa, przecież chrześcijanami się zowią; choć chodzą w ciemnościach, sądzą, że mają światło... słudzy szatana, przebrani za sługi sprawiedliwości dowodzą, że dzień jest nocą, potępienie zbawieniem, uczą rozpaczy pod pozorem nadziei, wiarołomstwa pod pretekstem wiary, każą się kłaniać Antychrystowi, którego zowią Chrystusem; a zmyślając rzeczy do prawdy podobne, chcieliby osiągnięcie prawdy wymyślonemi subtelnościami uczynić niepodobnem. A przyczyna tego przewrotu jest ta, najdrożsi bracia, że nie wracamy do źródła prawdy, głowy wspólnej nie szukamy, nie zachowujemy nauki niebieskiego mistrza“.

Tą zaś wspólną Kościoła głową, pisze dalej Cypryan, jest Piotr, któremu Chrystus dał pierwszeństwo, by przez to pokazał, że jeden jest jego Kościół i jedna Stolica... „I czy może jeszcze ktoś sądzić, że można jedności Kościoła zaprzeczyć, a wiary się nie zaprzeć? Kto słuchać nie chce i sprzeciwia się Kościołowi, kto nie

[1] *Tertul.* De pudicitia c. 9.

trzyma się skały Piotrowej, na której fundamenta Kościoła spoczywają, ten niech nie mniema, że jest członkiem Kościoła... Jednym jest Kościół, dziwną płodnością, wszerz i wzdłuż rozszerzony. Wiele promieni słonecznych, lecz jedno światło; wiele gałęzi na drzewie, lecz jeden silny korzeń całe drzewo żywiący; z jednego źródła wiele wypływa strumyków, a choć wydaje się, że woda na wszystkie strony się rozlewa, przecież jedności w początku swym nie zatraca. Spróbuj oderwać promień słoneczny od jego ogniska, światło rozdzielić się nie dozwoli; odłam od drzewa gałązkę, nie będzie mogła rodzić owoców; oddziel strumyk od źródła, a wyschnie bez źródła. Tak i Kościół Pański, światłem oblany, na cały świat promienie rzuca; lecz jedno jest światło wszędzie sięgające... Gęstemi konary cały świat zacienia, całą ziemię obfitemi strumieniami użyźnia; lecz jedna jest głowa i jedno źródło i jedna matka szczęśliwą płodnością bogata. Jej dziećmi rodzimy się, jej mlekiem się żywimy, jej duchem żyjemy".

A skreśliwszy prześliczny ten obraz jednego, przez Chrystusa na skale Piotrowej ufundowanego Kościoła, maluje Cypryan w kilku energicznych rysach okropny los i stan człowieka, wyrzuconego własną swą winą z tej jedynej arki zbawienia.

„Ktokolwiek od Kościoła się odłącza, a z cudzołożną sektą się łączy, ten obietnic kościelnych nie dostąpi; nie osiągnie Chrystusowych nagród, kto gardzi Kościołem Chrystusowym. Taki obcym jest, nieznanym, taki mu wrogiem. Nie może ten mieć Boga za Ojca, kto nie ma Kościoła za matkę... Słodycz z goryczą złączyć i zjednoczyć się nie może; ani ciemność z światłością, deszcz z pogodą, walka z pokojem, z nieurodzajem urodzaj, z wodą susza, z spokojem burza. Nikt niech nie sądzi, że dobrych może zabraknąć w Kościele: pszenicy wicher nie zmiecie, ni drzewa silnie zakorzenionego burza nie obali; puste źdźbła wiatr na wsze strony miota, słabe drzewka burza druzgocze... Tak, doświadcza Bóg wiernych, wiarołomnym maskę zdziera. W ten sposób już tu na ziemi następuje rozłączenie dusz sprawiedliwych od niesprawiedliwych, plew od ziarna. O tych co bez rozporządzenia Bożego, na pierwsze miejsce przed nieroztropnymi biesiadnikami się wciskają; co bez prawa i rozkazu za władzę chwytają, i choć nikt biskupstwa im nie zleca, nazwę biskupów sobie przybierają; o tych to wyraża się Duch św.,

iż zasiedli na stolicach zarazy: prawdziwa zaraza i trąd wiary, usta wężowe, sztukmistrze kłamstwa z zatrutych ust śmiertelny jad sączą, słowa ich jak rak serca toczą, obcowanie z nimi serca i dusze kazi i truje.

„Jeśli was zwiedli, kończy Cypryan, odpędźcie zwodzicieli. Jeden Bóg, i jeden Chrystus, i jeden Kościół, i jedna wiara, i jeden lud w jedno, jedyne ciało związkiem zgody zjednoczony. Jedności nie można rozerwać; nie można jednego ciała na kilka rozdzielić... Cokolwiek rozłączy się z ożywczem sercem, żyć i oddychać nie może: bo istotę życia utraciło“.

W chwili gdy Cypryan kreślił te wiekopomne wyrazy, pseudobiskup kartagiński Fortunat w Rzymie, intrygował przeciw Cypryanowi powołując się na mniemane swe prawa do stolicy kartagińskiej. Papież zażądał od Cypryana informacyi. Gorący zawsze Cypryan oburzył się na samo uwzględnienie bezpodstawnych skarg podłego intryganta. W skutek tego wywiązała się między Rzymem a Kartaginą, dość ostra korespondencya [1]. Chwilowemu temu nieporozumieniu, położyło koniec groźne widmo zarazy i w ślad za niem śpieszące prześladowanie, za którem rysowały się w oddali mnogie hordy barbarzyńców, poglądających chciwem okiem na rzymskie skarby i zbytki.

Okropne skutki zarazy, uczucia i przestrach jaki wywołała, skreślił Cypryan w księdze *De mortalitate* [2]. Chrześcijanie gorszyli się, że zaraza dotykała ich zarówno z pogaanami; Cypryan tłumaczy im myśl Opatrzności Bożej rządzącej światem; wskazuje niebo, jako cel ziemskiej pielgrzymki, jako jedyną prawdziwą ojczyznę, w której czekają już na nasze przybycie całe hufce zabezpieczonych o swem zbawieniu przyjaciół, rodziców, dzieci. Istotnie, jeśli kto i kiedy, to ówcześni chrześcijanie, wciąż musieli spoglądać w niebo, jeśli chcieli obronić się od apostazyi lub rozpaczy. Jak później przypisywano zarazę Żydom lub Maurom, jak dziś niektórzy uważają pewne narody czy stowarzyszenia za źródło wszystkich możliwych nieszczęść, spisków, klęsk ekonomicznych i wojen, tak w wieku trzecim winę każdej klęski zwalano na chrześcijan. Uciszony chwi-

[1] *Migne*. t. III. p. 821—856.
[2] *Migne*. t. IV. p. 603—625.

lowo okrzyk: „Chrześcijan przed lwy“ zagrzmiał na nowo, tłumy pogan ciągnęły chrześcijan do ołtarzy, by ofiarami przebłagali zagniewanych bogów. Niestrasznego sobie Nowacyana zostawili poganie w pokoju, natomiast św. Korneliusz musiał opuścić Rzym i niebawem we wrześniu r. 252 umarł na wygnaniu. Następca jego św. Lucyusz, poniósł w kilka miesięcy później śmierć męczeńską; dopiero za papiestwa św. Stefana, z chwilą wyboru na tron cesarski, poczciwego z natury, lecz słabego Waleryana, szał prześladowczy na chwilę zwolnił.

Ledwie Cypryan dowiedział się o rzymskiem prześladowaniu i pięknem stanowisku, jakie zajął Korneliusz, wszelki cień niechęci ustąpił z szlachetnej jego duszy. „Wyrazić nie mogę, pisał do papieża [1], jaka tu zapanowała radość i wesele, gdy doszły do nas tak szczęśliwe, tak rycerskie wieści, żeś przewodził braciom w wyznaniu wiary, że chwała wodza spotężniała mężnem ich wyznaniem. Prowadząc ich do zwycięstwa otoczyłeś się wielu towarzyszami chwały. Rzucił się wróg z krzykiem i hałasem na obóz Chrystusowy, lecz z taką samą gwałtownością, z jaką natarł, cofnąć się musiał; ile chciał wzniecić strachu i bojaźni, tyle znalazł męstwa i siły... A cóż na to Nowacyan? Czy porzucił już swój błąd, czy przeciwnie powodzenie nasze i szczęście, jak zazwyczaj dzieje się u szaleńców, podnieciło tylko jego szał?... Czy już rozpoznaje, kto jest kapłanem Bożym, gdzie jest Kościół i dom Chrystusowy; kto jest sługą Bożym od djabła kuszonym, kto chrześcijaninem z Antychrystem walczącym? Boć za zgromionymi nie goni, poddanych nie stara się zwalczyć. Wróg on i nieprzyjaciel Kościoła gardzi tymi, których z Kościoła wyprowadził, gardzi jako jeńcami i zwyciężonymi; przechodzi koło nich obojętnie, a zaczepia tych, w których widzi mieszkającego Chrystusa“.

Widocznie w sercu Cypryana mieszkał Chrystus, gdyż w tym właśnie czasie, wróg rodu ludzkiego gotował mu cięższą od poprzednich walkę. Kwestya „upadłych“ przyczyniła się do wyrobienia i utwierdzenia Cypryana w zasadach surowych, które łatwo przekształcić się mogły w zbytni rygoryzm. Sposobność tem niebezpieczniejszą, że pozornie słuszną, nastręczyła, żywo od samego po-

[1] *Migne* t. III. p. 856 sq.

czątku papiestwa Stefana zajmująca umysły, a roztrząsana w Rzymie, w Azyi i w Afryce kwestya powtórnego chrztu heretyków.

Aż do czasów papieża Kaliksta I. tj. do r. 218, nie żądano nigdy od heretyków powracających na łono Kościoła, powtórzenia chrztu św. Za panowania tego papieża (między r. 218 a 222) synod kartagiński zebrany pod przewodnictwem biskupa Agrypina, uchwalił, że chrzest udzielony przez wszystkich bez wyjątku heretyków [1], jest nieważnym, a przeto powtórzonym być musi. Uchwała ta powzięta prawdopodobnie pod wpływem rozprawy Tertuliana „De baptismo“ doczekała się wnet potwierdzenia przez synody w Iconium i w Synnada, w Azyi Mniejszej, między r. 220–235 [2]. Przez lat mniej więcej dwadzieścia trzymali się biskupi Azyi Mniejszej i pogranicznych prowincyj kościelnych ściśle tych uchwał; dopiero pod koniec r. 253 wdał się w tę sprawę papież Stefan, a chcąc złe przeciąć w korzeniu, zagroził klątwą tym, którzyby chrzest udzielony przez heretyków uważali za nieważny. Biskupi poddali się przykładnie decyzyi Stefana; zdaje się nawet, że tak czynny później w walce przeciw Rzymowi, Firmilian biskup z Cezarei, tą razą kornie głowę uchylił [3].

Czy wiadomość o tem nie przedarła się do Afryki — czy, co prawdopodobniejsza, uważano w Kartaginie wyrok Stefana za czysto dyscyplinarny, obowiązujący tylko dyecezye, dla których był wydany — dość, że w dwa lata później r. 255, kwestya powtórnego chrztu heretyków i schyzmatyków ponownie, tą razą w Afryce się wytoczyła. Powód do niej dał niejaki Magnus, człowiek świecki, podając w wątpliwość ważność chrztu udzielonego przez Nowacyanów, chociaż ci w niczem przy chrzcie św. od zwyczajów i obrządków katolickich nie odstępowali. Wątpliwość ta — nie mówiąc już o ostatnim nakazie papieża — była w obec dotychczasowego zwyczaju i tradycyi sięgającej czasów apostolskich, co najmniej zbyteczna [4]. Wtedy tylko uważano chrzest powtórny za niezbędny, kiedy

[1] *Augustinus.* „De baptismo contra Donatistas“ l. II. c. 7, w silnych wyrazach gani tę uchwałę.

[2] *Hefele.* I. 80 sq.

[3] *Euzebius.* Hist. Eccl. VII. 5; *Hefele* I. 91; *Migne* t. III. „Acta et monumenta celeberrimae de haereticorum baptismate disputationis“. p. 1043 sq.

[4] Por. *August.* Contra Donatistas II. 7; Vincen. *Lirinensis* c. 9. Bardzo ciekawe a ważne świadectwa odległej starożytności przytacza *Döllinger:*

kacerze, fałszowali przepisaną przez Chrystusa Pana formułę; chrzest taki był nieważny w rzeczywistości, więc nie powtarzano go, lecz udzielano po raz pierwszy. Poparta atoli pozornemi racyami wątpliwość Magnusa, zaniepokoiła umysły. Doszło do tego, że gdy r. 255 zgromadził się w Kartaginie piąty za Cypryana synod prowincyonalny, ośmnastu biskupów numidyjskich, raz jeszcze wniosło kwestyę powtórnego chrztu.

Wbrew oczekiwaniom, synod trzymając się zwyczaju wprowadzonego przez Agrypina odpowiedział twierdząco. „Uważamy i uznajemy za rzecz pewną — czytamy w liście synodalnym do biskupów numidyjskich [1] — że nikt otrzymać nie może chrztu poza Kościołem, ponieważ odpuszczenie grzechów tylko w Kościele może mieć miejsce; heretycy zaś, nie mając Kościoła, i odpuszczenia grzechów mieć nie mogą... Jeśliby heretyk mógł ochrzcić, mógłby dać i Ducha św.; ale nie może ten dać Ducha św., który będąc poza Kościołem, Ducha św. sam nie ma... Bo czyż możliwą jest rzeczą, aby wrogowie Pańscy, słusznie Antychrystami nazwani, łaskę Chrystusową mogli rozdawać"? Powodowany temi samemi argumentami ponowił następnego roku, nowy synod Kartagiński poprzedni swój dekret i wysłał go wespół z wszystkiemi, odnoszącemi się do tej sprawy aktami do Rzymu, wyrażając nadzieję, iż Stefan nie odmówi swego potwierdzenia uchwałom Afrykańskiego kościoła, chociaż przeciwnym zwyczajowi w Rzymie panującemu [2].

Ostatnia ta klauzula niezmiernej jest wagi; wykazuje bowiem wyraźnie, że biskupi afrykańscy z Cypryanem na czele, nie uważali bynajmniej kwestyi powtórnego chrztu heretyków za dogmatyczną, z natury swej niezmienną i niezależną od warunków czasu i miejsca; ale wyłącznie za kwestyę dyscyplinarną [3], zależną od rozrządzenia każdego w szczególności biskupa, w której można

---

„Hippolitus und Kalixtus" p. 189 sq. Sam Cypryan w późniejszych listach nie ma słowa odpowiedzi na dowody Stefana zaczerpnięte z dawnej tradycyi.

[1] *Migne* t. III. „De haereticorum baptismate monumenta veterum" p. 1071—1082.

[2] *Migne* III. p. 1083—1089.

[3] Por. *Thomanini*, Diss. 2. De conciliis n. 24; *Franzellin*. De traditione. thesis 8; *Palmieri*: De Romano Pontifice, thesis 34.

się nie zgadzać, można jak wyraża się list synodalny „zachowywać każdemu u siebie właściwe sobie zwyczaje, bez naruszenia wzajemnego pokoju i zgody". Inaczej zapatrywał się Stefan na uchwały Afrykańczyków. Decyzyę ich uważał za wtargnięcie w dziedzinę dogmatu, którego stróżem i autentycznym tłumaczem Bóg go postanowił — za samowolne sprzeciwienie się najdawniejszej katolickiej tradycyi. Należało uciec się do tem energiczniejszych środków, im większe zle i zamieszanie w pojęciach sprawić mogły dekreta poparte podpisami 71 biskupów a przedewszystkiem imieniem i powagą wielkiego Cypryana. To też nie oglądając się na żadne inne względy, z apostolską śmiałością i pewnością siebie, nie przypuścił nawet do siebie kartagińskich wysłańców, zakazał wiernym przyjmować ich do swych domów, a w zatraconym dziś liście do Cypryana [1], wręcz potępił jego naukę o nieważności chrztu heretyków. Jeśli wierzyć możemy Firmilianowi, papież w oburzeniu na Cypryana, nazwać go miał „pseudo-chrześcijaninem", „pseudo-apostołem", „podstępnym robotnikiem"; wyrazy z pewnością za ostre, lecz mniej wówczas rażące niż dzisiaj, a dające się poniekąd wytłumaczyć naprężonym stanem umysłów i samą ważnością podjętej sprawy.

W odpowiedzi na list papieski [2], otworzył Cypryan, pierwszego września r. 256, trzeci już w tej sprawie zebrany kartagiński synod [3]. W obradach synodu uczestniczyło 87 biskupów z prokonsularnej Afryki, Numidyi i Maurytanii; wielu kapłanów i dyakonów. Tłumy ludu oblegały salę posiedzeń. Po odczytaniu dwóch listów biskupa Jubajana o chrzcie heretyków, i danej przez Cypryana odpowiedzi, zażądał Cypryan zdania przytomnych biskupów. „Zdaniem jednak naszem — zastrzegł się Cypryan w tem wstępnem przemówieniu nie bez pewnego może odcienia goryczy względem papieża — nie myślimy bynajmniej potępiać lub wyklinać tych, którzyby inaczej od nas sądzili. Boć nikt tu z nas obecnych nie czyni się biskupem

[1] Cypryan i Firmilian przechowali tylko pewne ułamki z tego listu. *Cypriani Opera.* Epist. 74, 75.

[2] Tak przynajmniej ogólnie sądzą historycy; Hefele (1. 94) wyraża wątpliwość, czy nowy ten synod nie zebrał się jeszcze przed nadejściem papieskiego pisma, ale wątpliwości tej najmniejszym dowodem nie uzasadnia.

[3] Przechowane akta tego synodu. *Migne.* III. 1089—1116.

biskupów, ani myśli swych współbraci tyrańskim strachem do poddania się zmuszać“ [1]. Następnie dali biskupi z kolei swe wota i wbrew decyzyi papieskiej uznali jednomyślnie chrzest udzielony przez heretyków za nieważny. Na uchwałę tę zgodził się najzupełniej znany już nam Firmilian z Cezarei, w nader namiętnym liście do Cypryana. Styl tego listu tak jest gwałtowny, wyrażenia przeciw Stefanowi tak silne, iż list ten uważają niektórzy z krytyków za podrobiony [2]. Ale nie ma najmniejszej przyczyny do tego się uciekać; sam bowiem Firmilian później, wespół z innymi azyatyckimi biskupami papieżowi się poddał i błąd swój odwołał [3].

Jaki obrót wzięły rzeczy w Kartaginie po zamknięciu synodu? Czy zwołał istotnie Cypryan nowy synod, jak to twierdzi św. Hieronim [4] i potępił na nim dekreta poprzednie? Wiele poważnych dowodów przemawia przeciw temu. Przez długie bowiem lata, jak to widać z dekretów soboru arelatyńskiego, chrzcił jeszcze kościół Afrykański ponownie nawracających się heretyków; i na ten zwyczaj a zwłaszcza na uchwałę synodu kartagińskiego powoływali się później Donatyści, a żaden z ich przeciwników, w tylu księgach i rozprawach, powstałych z okazyi tej herezyi, ani słowem nie wspomina o owym późniejszym synodzie. A przecież rzecz to była zanadto ważna, by ją można było pominąć milczeniem. Nigdzie znaleść nie mogłem, pisze św. Augustyn [5], aby Cypryan odstąpił od swego zdania co do chrztu heretyków. W obec tego, opowiadanie św. Hieronima traci zupełnie na powadze, i nie ma dostatecznego powodu do sądzenia, że Cypryan swój błąd uznał i uroczyście go odwołał.

---

[1] Bolandyści w długiej rozprawie starają się wytłumaczyć te słowa Cypryana, choć przyznają, iż w zapale walki łatwo mógł przejść granice przepisane prawdą i słusznością: „eum ex contentionis ardore aliquid humani hic passum esse“ (*Acta Sanctorum* ad diem XIV. Sept. p. 300—315).

[2] *Molkenbuhr.* Binae dissertationes de Firmiliano, u *Migne'a* t. III., p. 1857 sq.

[3] *Euzebius* Hist. Eccl. l. VII. c. 4, cytuje w tym względzie list Dyonizyusza z Aleksandryi do papieża Sykstusa. Sami Donatyści nie śmieli opierać się na powadze wschodnich biskupów, wiedząc, iż ci, po krótkiem zaślepieniu wrócili do jedności kościelnej. (*Aug.* t. III. Contra Crescentium).

[4] *Hieron.* „Dialogus adversus Luciferianos“.

[5] *August.* Epistola 47.

To przyznawszy, stanowczo wystąpić musimy przeciw tym, co w sprzeczce Cypryana ze Stefanem chcą widzieć zaprzeczenie prymatu, a zwłaszcza nieomylności papieskiej. Widzieliśmy już, że wedle mniemania i słów Cypryana, cała ta kwestya o chrzcie heretyków odnosiła się do karności kościelnej, a nie do dziedziny dogmatu. Błąd więc jego zależał na tem tylko, iż odmawiał papieżowi prawa zmieniania karnych, wierze nie sprzeciwiających się przepisów, istniejących w poszczególnych dyecezyach. W tym względzie Cypryan zbłądził, ale między błędnem tem jego mniemaniem, a zaprzeczeniem prymatu lub nieomylności papieskiej leży jeszcze cała przepaść. Stąd też poważniejsi a dobrej wiary teologowie, jak Gerson, D'Alman, Richet i cały zastęp sorbońskich doktorów[1], nie posługiwali się nigdy św. Cypryanem, dla podania w wątpliwość nieomylności papieskiej. Argumentu tego użyć dopiero mieli za dawnymi heretykami protestanci i jansenіści, a w ich ślady niemieccy starokatolicy, aż wreszcie okruchy porzucone przez niemieckich protestantów szesnastego i dziewiętnastego wieku, pozbierał starannie racyonalista francuski, by podać je w nowej formie, jako nowo-wynalezioną, groźną minę, mogącą rozsadzić a przynajmniej zachwiać skałą papiestwa.

Aż do trzeciego synodu kartagińskiego, w tej sprawie powtórnego chrztu, współczesne dokumenta obficie się znachodzą — po nim, dalej, jakby jakaś nieprzyjazna ręka umyślnie je zagrzebała. Wiadomo tylko, że Cypryan nigdy nie zerwał ze Stefanem kościelnej łączności. Po męczeńskiej śmierci Stefana, w sierpniu r. 257, wdał się w tę sprawę Dyonizy Wielki, i jak poprzednio pośredniczył między papieżem a biskupem Azyi mniejszej, tak obecnie znów wysłał aż trzy pojednawcze pisma o chrzcie heretyków do nowo wybranego papieża Sykstusa[2]. Zabiegi te nie pozostały bez skutku. Niebawem wysłał Cypryan osobne poselstwo do Rzymu, aby wywiedzieć się o szczegółach srożącego się tam prześladowania, a mianowicie, czy papieżowi nie grozi jakie niebezpieczeństwo. Imię Sykstusa znalazło następnie miejsce w afrykańskich dyptychach, a Poncyus, dyakon, biograf i powiernik Cypryana, zwał go „dobrym, pokój miłującym

[1] Wylicza ich bezimienny autor rozprawy o św. Cypryanie u *Migne'a*, III. 1365—1378.

[2] *Eusebius.* Historia Eccl. VII. 5, 7, 9.

kapłanem[1]". Widocznie zewnętrzne prześladowanie raz jeszcze wykonało opatrznościową misyę uspokojenia i zjednoczenia umysłów. W obec wspólnego wroga nie było czasu na wewnętrzne waśnie: rzymski i kartagiński biskup krwią przelaną zaświadczyli, iż choć jeden z nich na chwilę zbłądził, obaj jednak równie prawdę miłowali.

IV.

Wygnanie. — Męczeństwo Cypryana.

Prześladowanie wzniecone przez Waleryana i Galiena, z poduszczenia podłego zausznika Marcyana, rozpoczęło się od wypędzania chrześcijan z pojedyńczych miast i krajów, a zwolna dopiero rosnąc, używać poczęło zwykłych tortur, i śmierć wyznawców chrześcijańskich przemieniło w widowisko dla zgromadzonych tłumów. Prokonsul kartagiński Paternus, powodując się rozumną taktyką nowszych i dawnych prześladowców, postanowił przedewszystkiem oddalić z Kartaginy gorliwego biskupa. Cypryan zawezwany do śledztwa, w ostatnich dniach sierpnia r. 257, wyznał poprostu i otwarcie:

„Jestem chrześcijaninem i biskupem. Żadnych innych bogów nie znam, tylko jednego, prawdziwego Boga, który stworzył niebo i ziemię, morze, i wszystko co w nich się znajduje. Temu Bogu my chrześcijanie służymy; do Niego modlimy się dniem i nocą, za siebie i za wszystkich ludzi i za pomyślność samychże cesarzów".

„A więc trwasz, ciągnął Paternus[2], w swej woli? Na to Cypryan: „Dobra wola, Boga znająca, zmienić się nie może". Parternus prokonsul rzekł: „Wedle rozkazów tedy Waleryana udasz się na wygnanie do miasta Curubim". „Wyjadę" była odpowiedź. Paternus prokonsul rzekł: „Cesarze raczyli wymienić w swym ukazie nie

[1] Vita Cypriani, c. XIV. *Migne* t. III., p. 1553.

[2] „Acta proconsularia S. Cypriani episcopi et martyris". *Migne* III. 1557—1566. Akta te znał już św. Augustyn; owszem całe kazanie 309 dosłownie z nich jest wyjęte. Jeszcze za życia Cypryana krążyły między wiernymi odpisy protokułu z nim przeprowadzonego, jak widać z opowiadania Poncyusa i listu męczenników do Cypryana. Sam nawet Havet, wbrew zwyczajowi i nie wiedzieć z jakiej przyczyny, nie kładzie ani jednego znaku zapytania co do autentyczności tych aktów.

tylko biskupów, ale i kapłanów. Chcę się od ciebie dowiedzieć, wielu i jacy księża w tem mieście mieszkają". Cypryan biskup odpowiedział: „Mądrze i praktycznie w prawach waszych zawarowaliście, aby donosicieli nie było. Przeto nie mogę ich odkryć i oskarżyć. Szukajcie po mieście, a znajdziecie". Paternus prokonsul rzekł: „Ja tutaj, w tem miejscu się pytam". Cypryan rzekł: „Nam samym nie wolno dobrowolnie na męki się oddawać i z waszymi zwyczajami by się to nie zgadzało; każ ich szukać, a z pewnością ich znajdziesz". Paternus prokonsul rzekł: „Znajdę ich z pewnością". I dodał: „Rozkazali również cesarze, byście się razem nigdy nie zgromadzali i do katakumb nie wchodzili. Jeśli więc kto tych roztropnych nakazów nie zachowa, głową przypłaci". Cypryan biskup odpowiedział: „Czyń, co ci nakazano".

Małe, nad brzegiem morza położone miasteczko Curubim, odległe o pięćdziesiąt mil od Kartaginy, nie było jeszcze tak strasznem miejscem wygnania. Wierni ze wszech stron zbiegali się do Cypryana, szukając u niego duchownej, czasami i materyalnej pomocy. Nadprzyrodzone widzenie oznajmiło świętemu czas i rodzaj śmierci: korzystając z użyczonego jeszcze sobie roku życia, mnożył dobre uczynki, podwajał gorliwość w modlitwie. Z wygnania wysyłał na wszystkie strony rzewne listy do cierpiących po więzieniach i kopalniach wyznawców. „Chwała wasza wymaga, pisał do skazanych do kopalni chrześcijan[1], najszczęśliwsi i najukochańsi bracia, bym sam przybył was oglądać i uściskać, gdyby nie to, że i mnie, dla wyznania imienia Chrystusowego, z ściśle oznaczonego miejsca ruszyć się nie wolno. Ale jak mogę, tak sobie was przed oczy przywołuję, a nie mogąc cielesnym krokiem do was przybyć, duchem i miłością śpieszę, wyrażając w liście całą swą duszę, jak się raduję waszemi cnotami i sławą i jak łączę się z wami, jeśli nie męką ciała, to przynajmniej związkiem wspólnej miłości... I cóż dziwnego, że wy naczynia złote i srebrne, dostaliście się do kopalni, t. j. do mieszkania złota i srebra? To chyba dziwno, że teraz kopalnie zmieniły swą naturę, a miejsca, które dawniej złoto i srebro wydawały, teraz przyjmować je do siebie poczęły".

„O szczęśliwe to więzienie, pisał znowu w innym liście, do

[1] *Migne* II., p. 427 sq. Epistola 77.

zamkniętych w więzieniu chrześcijan [1], waszą obecnością zaszczycone! O szczęśliwe więzienie, które ludzi do nieba wysyła! Ciemności jaśniejsze nad samo słońce, milsze nad światło tego świata, bo w tych ciemnościach wznoszą się teraz świątynie Boże, członki wasze, mające być uświęcone wyznaniem prawdziwego Boga... Szczęśliwe też i błogosławione niewiasty, otoczone tą samą co i wy chwałą wyznawców, które zakonowi Pańskiemu wierne, nad płeć swą silniejsze, nietylko same jakoby już chwyciły za wieniec chwały, ale i innym niewiastom służyć mogą za przykład niezłomnej stałości".

Listy Cypryana przebiegały z więzienia do więzienia, z kopalni do kopalni, zostawiając wszędzie otuchę i pociechę. Męczennicy przesyłali Cypryanowi listy z podziękowaniem za udzieloną duchową i pieniężną jałmużnę. Trzy takie listy przechowały się, a lepiej od wszystkich innych wywodów, wykazują wysoki nastrój umysłów i serc chrześcijan trzeciego wieku.

„Wszyscy skazani wespół z nami, piszą męczennicy w jednym z listów [2], składają ci najukochańszy Cypryanie najwyższe dzięki w Bogu, iżeś listem swym stroskane serca ich pocieszył, członki biczami zranione zleczył, nogi z kajdan uwolnił, ciemności więzienia rozjaśnił, góry w kopalniach zniósł, rozsypał w około ich woniejące kwiaty, a rozwiał kłęby duszącego ich dymu. Zasiłek też od Ciebie i najukochańszego brata Kwiryna i wszystko coś nam przysłał dla zaradzenia potrzebom ciała naszego, otrzymaliśmy przez Heremiana subdyakona, Lucyana, Maksyma i Amancyusza akolitów. Wspomagajmy się przeto wzajemnie modlitwami... Wszyscy tu z nami przebywający kochają Cię i pozdrawiają i ujrzeć pragną".

Podobnej treści są listy od chrześcijan pracujących w dwóch innych kopalniach [3]. Zachęcony zdziałanem dobrem, ułożył Cypryan na wygnaniu nowe dziełko, wykazujące cenę, ważność i wspaniałość męczeństwa. Tak gotując do walki siebie i innych, czekał z niecierpliwością, rychło i na niego zawoła niebieski wódz i pozwoli mu zdobyć upragnioną palmę.

Chwila ta szybko zbliżała się. Nowy prokonsul Galerius Ma-

[1] *Migne* II. p. 437 sq. Epistola 81.
[2] *Migne* II. p. 433. Epist. 78.
[3] *Migne* II. p. 435 sq. Epist. 79, 80.

ximus odwołał po jedenasto-miesięcznym pobycie w Curubim Cypryana z wygnania i rozkazał mu stawić się przed trybunałem. Korzystając z chwilowej wolności, udał się Cypryan do swych ogrodów koło Kartaginy; wnet pośpieszyło za nim do samotnej jego willi wielu krewnych, przyjaciół, znajomych, a wszyscy zaklinali świętego biskupa, aby czemprędzej ratował się ucieczką. Lecz tą razą Cypryan głuchy był na prośby i namowy. Trzynastego września r. 258 stanęli przed domkiem Cypryana dozorca więzień i marszałek prokonsula, i w imieniu władzy rozkazali mu udać się ze sobą do willi, w której naonczas nieco słaby Galerius Maximus przemieszkiwał. Prokonsul odłożył śledztwo na dzień następny; na noc umieścił dozorca więzień Cypryana we własnym swym domu. Tymczasem w Kartaginie rozeszła się wieść o uwięzieniu biskupa; tłumy chrześcijan wszelkiego wieku i płci podążyły za miasto i otoczyły domek dozorcy. Cypryan zawsze o innych troskliwy, ustanowił osobną straż i nakazał jej czuwać nad chrześcijańskiemi dziewicami, by je wśród ciemnej nocy zasłonić przed żołdactwem i służalcami prokonsula.

Nazajutrz rano prokonsul zasiadł na sądy w sali *Sauciola*, tak nazwanej dla krwawych wyroków, które się w niej odbywały, i nakazał stawić przed siebie kartagińskiego biskupa. „A gdy go przyprowadzono — czytamy w urzędowych prokonsularnych aktach [1] — rzekł Galerius Maximus prokonsul do Cypryana biskupa: „Tyś jest Thascius Cyprianus?“. „Jam jest, brzmiała odpowiedź“. Na to prokonsul: „Tyś był biskupem ludzi tych świętokradztwem skażonych?“ „Tak jest“. „Najświętsi cesarze, rzecze prokonsul, rozkazali ci bogom u ołtarzy ofiarować“. „Tego nie uczynię“ odrzecze biskup. Wtedy Galerius Maximus: „Uważ, co robisz“. „Czyń, co ci nakazano, odparł mu Cypryan. W rzeczy tak słusznej narady nie potrzeba“.

„Galerius Maximus naonczas, opowiadają dalej prokonsularne akta, rozmówiwszy się z przyboczną radą, z trudnością (dla trapiącej go choroby) wymówił następne słowa: „Długo po świętokradzku żyłeś i wielu ludzi do bezecnego twego spisku zaciągnąłeś i stałeś się nieprzyjacielem bogów rzymskich i praw świętych, a nawet la-

[1] Acta proconsularia. *Migne* III. 1561 sq.

skawi i najświętsi książęta Waleryan i Galien Auguści, i Waleryan, najwyższy Cezar, do zachowywania swych ceremonij namówić cię nie mogli. Ponieważ ci tedy wykazano, że jesteś twórcą i przewódzcą w najokropniejszych zbrodniach, posłużysz za przykład tym, których do spisku twego wciągnąłeś: prawo, krwią twoją nowej sankcyi nabędzie". Po tej przemowie odczytał z tabliczki wyrok: „Skazujemy Thascyusza Cypryana na ścięcie". „Bogu dzięki" — zawołał na to Cypryan.

„Po wydaniu tego wyroku, rzesze braci mówiły do siebie: „I my idźmy z nim na ścięcie". I powstał zgiełk między braćmi, i wielu poszło za Cypryanem. Odprowadzono go na pole, odległe o sześć kamieni od Kartaginy. Tutaj zdjął Cypryan zewnętrzną biskupią szatę [1], a uklęknąwszy, przed Panem w modlitwie się ukorzył. Następnie oddał dyakonom dalmatykę, a w lnianej tylko szacie kata oczekiwał. Gdy kat nadszedł, rozkazał otaczającym, dać katu dwadzieścia pięć złotych. Bracia z płaczem otoczyli go na około płótnem i chustami, aby krew spływając nie wsiąkła do ziemi. Następnie zaś, błogosławiony Cypryan oczy sam sobie zawiązał. A co do rąk oddali mu tę posługę Julian kapłan i Julian dyakon. Tak poniósł śmierć męczeńską błogosławiony Cypryan; ciało jego zabrali w nocy chrześcijanie i z świecami i pochodniami, odprowadzili w procesyi z wielkim tryumfem na pola Makrobiusza Candidiana Prokuratora... W niewiele zaś dni później zmarł Galerius Maximus prokonsul".

Trudno coś dorzucić do tego tak prostego, a tak pięknego opowiadania. Śmierć męczeńska Cypryana była dniem prawdziwego tryumfu, dla kartagińskiego, a nawet dla całego Kościoła. Tłumy ludu kupiące się koło św. męczennika, jego spokój i męstwo w obliczu śmierci, wspaniałomyślność dla kata; owa uroczysta procesya, grzebiąca ze światłem i pochodniami, wśród tryumfalnych hymnów ofiarę gniewu cezarów, zaciekłym nawet poganom starczyły za dowód, że bałwochwalstwo już się przeżyło, i że nic go zbudzić już z letargu śmierci nie zdoła.

---

[1] „Ibi se *lacerna byrro* expoliavit" mówią „Acta" (Migne III. p. 1564). Co do ścisłego znaczenia słów „lacerna byrro", bodaj czy dwóch autorów, dotychczas przynajmniej na to samo zdanie się zgodziło.

Przytoczyliśmy ważniejsze wyjątki z dzieł św. Cypryana i wybitniejsze chwile jego życia, a te mogą być miarą jego charakteru, sposobu myślenia i działania. Nie pominęliśmy i onego *restitit Pontifici*, tak wyzyskiwanego przez przeciwników prymatu rzymskiego biskupa. Rzeczą jest jasną, że tu Cypryan pobłądził, ale bynajmniej nie jest rzeczą oczywistą, żeby Cypryan nie uznawał zwierzchnictwa głowy Kościoła i targał jedność, bez której on istnieć nie może. Nie złączył się z cudzołożną sektą ten, który krwią swą dał świadectwo, „że ten nie może mieć Boga za Ojca, kto nie ma Kościoła za matkę". „Nie znajdujemy, pisze św. Augustyn, by on błąd swój poprawił, ale słusznie o takim mężu sądzić powinniśmy, że to uczynił". „Miecz prześladowczy, pisze tenże Doktor Kościoła, był w każdym razie hojną ekspiacyą jego przewinienia".

Ks. Jan Badeni.

SPRAWA IRLANDZKA.

(Dokończenie).

III.

Podczas parlamentarnej sesyi r. 1881 w styczniu Gladstone wprowadził, za pośrednictwem lorda sekretarza stanu Forster'a, członka izby niższej, nową swoją względem Irlandyi politykę. Zaraz od początku, stronnictwo Parnella, za wskazówką naczelnika swego, powróciło do polityki obstrukcyjnej.

Polecono posłom irlandzkim, aby wszyscy przemawiali kolejno, a każdy tak długo, jak sił mu starczy. Hasła tego pilnie przestrzegali wszyscy, z wyjątkiem rozumie się tych, którzy mieli wnosić poprawki, a którzy żądając głosu, byliby już tem samem prawo do takowych utracili. Rząd i opozycya wydali swoim przeciw-hasło, a tem był nakaz zupełnego milczenia. Skutek był ten, że przez długie wieczorne i nocne godziny każdej sesyi Irlandczycy przemawiać musieli do obu pustych ław, lub jeśli zapełnionych, to hałaśliwych, nieprzychylnych, wyzywających, i że każdy poseł obowiązany był mówić przez pewien przeciąg czasu, z treścią, czy bez treści, z ochotą, czy ze wstrętem. Długie owe dnie i noce nie ciężyły podówczas zbytecznie tym, którzy rolę swoją w nich zapełniali: zapał i oburzenie sił dodawały. Wreszcie, prawie wszyscy byli młodzi w parlamentarnem rzemiośle, a wielu z nich i w latach. Nemezys natury wszakże, prędzej później wzywa każdego do obrachunku; dziś wielu z ówczesnych szermierzy przekonało się, że walki parlamentarne jeżeli nie zabijają, to zużywają nawet niezwykłe siły, stargają nawet najlepsze nerwy. Tym trybem przeciągnęły się debaty

nad mową tronową do czwartku 20 stycznia. Do tej pory wszakże położenie znacznie się zmieniło. Obecnie wewnątrz izby w obec tak zaciętego oporu, wywołało oburzenie na zewnątrz, które urosło w jedną z tych burz namiętności ludowych, które od czasu do czasu wstrząsają Anglią i rozrywają, lub łączą stronnictwo, w jednym wspólnym interesie. Opozycya radykałów słabła i cichła, dwa wielkie stronnictwa zlały się chwilowo, i izba cała zjednoczyła się przeciwko szczupłemu irlandzkiemu hufcowi. Ten zaś trwał na posterunku, choć znużony był i rozjuszony walką — i on zresztą miał plecy za sobą, w wzrastającem rozżaleniu własnego kraju. Liga agraryjna rosła z każdym dniem i w siły i w środki. Składki Ameryki były coraz obfitsze: 13 stycznia skarbnik liczył wpływów i datków z różnych stron do 4.050 funtów. Ewikcye (dzierżawców) z dniem każdym stawały się trudniejsze. Pomimo że wszystkie siły państwa były na usługi właścicieli, nierzadko wyrok pozostać musiał nie wykonanym w obec tłumów uzbrojonych w kosy, widły i piki a gotowych śmierć ponieść w obronie ognisk domowych. Te wszystkie okoliczności przyczyniały się do zaostrzania sporów pomiędzy p. Forsterem, a irlandzkimi posłami Każdy akt represyi, dolewał goryczy i jadu wzajemnego; p. Forster stanąwszy w ultra torysowskich szeregach, nie przyznawał żadnych gwałtów, i przeszedł do czysto represyjnej polityki.

Na sesyi wieczornej 20 stycznia załatwiono się z trzecią poprawką Irlandczyków; natychmiast wszakże poseł O'Kelly, wystąpił z mową, w skutek zakazu wydanego przeciw publicznym zgromadzeniom. Powstała jeszcze kwestya rozbrojenia (Bastutów); gdy z tą się załatwiono, przyszło na stół sprawozdanie adresowe, wpośród hucznych oklasków izby. Pomiędzy otwarciem parlamentu a chwilą obecną, jedna jeszcze ważna zaszła okoliczność. 12 stycznia poseł Shaw, opuścił stronnictwo Home Rule, a za nim wszyscy towarzysze jego, z lewicy: tym sposobem partya irlandzka znalazła się osamotnioną w obec wroga, i wśród ognia najzaciętszej walki. W poniedziałek, 24 stycznia, p. Forster wniósł pierwszy bill koercyjny (Coercion-Bill). Mowa jego w tej okoliczności, była jedną z najznakomitszych, jaką kiedykolwiek w izbie wypowiedział. Treść dobrze ujęta, wygłoszenie szczęśliwe, uczucie namiętne, które go opanowało, dodawało siły jego oskarżeniom, a cała mowa pełna

była owych niedomówień i przypuszczeń, których nigdy nie brak jemu, największemu w izbie mistrzowi w tej sztuce. Wrażenie wywarte w izbie było ogromne, a dzienniki dnia następnego jednogłośnie orzekły, że sekretarz stanu ostatecznie zawyrokował potrzebę użycia siły. Niemniej niektóre z jego twierdzeń były niezwyczajne i wywołać mogły niedowierzanie. Jego zdaniem liga agraryjna zdobywała sobie stronników nie siłą przekonania, nie siłą zasad, ale terroryzmem: dzierżawcy po większej części godzili się na uiszczenie czynszów właścicielom, lecz niecna liga nie pozwalała im pieniędzy z rąk wypuścić: serca ludności w ogóle lgnęły do panów, a tylko podstępy ligi miłość tę w nienawiść zamieniły. Jednem słowem Irlandya cała, niby bez życia i woli, zdeptana była i na gwałty ligi oddana. Posłowie irlandzcy postanowili opierać się wszelkiemi siłami wnioskom, któremi p. Forster mowę swoją zakończył. Według nich bill ten był o tyle gorszym od innych rozporządzeń zawieszających zwykły bieg konstytucyi, że nadawał władzę najzupełniej arbitralną dwóm wielkim urzędnikom, rządzącym Irlandyą: lordowi namiestnikowi i sekretarzowi stanu.

Debaty rozpoczęły się w poniedziałek dnia 31 stycznia wśród ogólnego wzburzenia. Były pogłoski o liście zachęcającym, wystosowanym do p Parnell'a, tekst billu wypadkiem zawcześnie został ogłoszonym, jednem słowem groźna i elektrycznością przepełniona atmosfera zalegała izbę. Była obawa, że rząd gwałtem doprowadzi do pierwszego czytania wniosku jeszcze tego wieczora. P. Gladstone wcześnie przybył z postawą równie groźną jak strudzoną. Trzeba pamiętać, że dotąd nie było ogłoszonem sprawozdanie o zajściach listopadowych, które miały głównie rząd skłonić do polityki represyjnej: to też p. Parnell postawił słuszne zapytanie: czyli drugie czytanie billu miało mieć miejsce zanim izba będzie w posiadaniu owych sprawozdań. Odpowiedź ministra była, że rząd zamyśla z dnia na dzień bill przeprowadzić; że drugie czytanie będzie miało miejsce natychmiast po wniesieniu billu, na które ma nadzieję, że izba się zgodzi, jeszcze w ciągu tego posiedzenia. Słowa te, z właściwą p. ministrowi, na pół dumną, na pół lekceważącą intonacyą wyrzeczone, pojęli aż nadto dobrze liberalni i odpowiedzieli na nie głośnemi oklaskami. Za nimi poszli konserwatywni, niemniej na Irlandczyków rozjuszeni, a radzi w organach rządowych widzieć dowód energii.

Ale nieliczna garść Parnelitów wzniosła okrzyk, mniej głośny, ale nie mniej groźny, jak obu partyj przeciwnych. Dyskusya rozpoczęła się nanowo, z wrzekomym spokojem. Izba była prawie pustą tego wieczora, a prócz p. Russell'a, nie podniósł się ani jeden mowca znaczniejszy. O 1-szej w nocy dopiero walka się rozpoczęła. O tej porze powstał zwykły wniosek o odroczenie. P. minister odrzekł równie zwięźle jak doniośle, że tego wniosku rząd nie dopuści. Sztuczna cisza, która dotąd panowała, przerwała się nagle, zawrzało w izbie, i stronnictwa się gotowały do spotkania na ostre. Ministeryalni, co prawda, wcześniej przygotowania już rozpoczęli, bo szeregi ich już od paru godzin topniały powoli, a o tej porze, tylko kilkunastu posłów najcięższych, najospalszych, najposłuszniejszych pozostało jako ministeryalna załoga. Jeszcze i z tych, część znikła w różnych zaułkach gmachu.

Reszta obecnych posłów należała do młodszych, a ci rozrywali się, to wzorki zbierając z mowców irlandzkich, to posilając zwątlone siły częstemi wycieczkami do jadalni i bufetu. Irlandczycy spostrzegli się natomiast, że ich zadanie było zbyt ciężkie: było ich bowiem tak mało, że nie mogli, na wzór przeciwników, odmieniać się i odświeżać kolejno. Zabrali się jednak odważnie do dzieła, i wśród pustej sali jeden po drugim głos zabierał w jednostajnem następstwie. Tej nocy nie dąsano się po żadnej stronie. Poseł Biggar był swoim zwyczajem, rubaszno krotochwilny, w czem mu angielscy nieliczni posłowie wtórowali. Gdy zauważył, że ziomków jego oskarżają iż są powodem straty czasu w izbie, kilku posłów odezwało się ironicznie: „nie, bynajmniej". Na to poseł z Cavan uśmiechnął się do izby, a izba wzajemnie do niego. Przez cały wtorek trwała walka, tylko że miejsce przewodniczącego, gdy temu sił zabrakło, zajmował Dr. Lyon Playfair. Posłowie irlandzcy co chwila przywoływani byli do porządku, a jedyny głos podniósł w ich obronie p. Thompsson, który orzekł, że parlamentem rządzi siła fizyczna i że grono członków po drugiej stronie miało wszelkie prawo zastawiać się za swobodę własnego kraju. Wśród dyskusyi powracała raz po raz wzmianka o nowych sprawozdaniach, właśnie co na stół izby wniesionych a pełnych, niestety, tej samej co do spraw irlandzkich przesady. Ale wkrótce zapomniano o sprawozdaniach i ani jeden głos nie przeszkodził mowom Irlandczyków. Była

już blisko jedenasta wieczorem we wtorek, gdy Sir Richard Cross, imieniem konserwatystów zażądał od przewodniczącego użycia regulaminu przeciwko umyślnej obstrukcyi. Przewodniczący sądził, iż chwila jeszcze nie nadeszła, nie taił jednak, iż jego zdaniem posłowie irlandzcy zasługują na odebranie głosów. Groźba odebrania głosu całemu stronnictwu byłaby, jak dotąd, faktem bez precedensu. Po tej przestrodze, p. Brand opuścił krzesło prezesa, a dr. Lyon Playfair ponownie zabrał jego miejsce. Za chwilę Sir Stafford Northcote wystąpił znów z żądaniem energicznego działania, a p. Childers poparł jego wniosek w imieniu rządu. Gdy Dr. Playfair odmówił odebrania głosu tak wszystkim posłom, jak i p. Parnellowi samemu, wtedy Sir Stafford na czele konserwatywnych opuścił izbę. Gdy Irlandczycy odchodząc od kwestyi bieżącej przeszli do sprawy billu koercyjnego, a każdy z posłów mówił tak długo, jak na to starczył jego zasób fizyczny i moralny, izba nagle ochłodła i wypróżniła się, prócz ośmiu do dziesięciu posłów drzemiących lub śpiących na dobre. Na galeryach, tak pań jak cudzoziemców, dotąd przepełnionych, zrobiły się pustki. Ponurą ciszę przerywał tylko głos chwilowego mowcy i chrapanie jego kolegów. Nad ranem poseł Sexton miał drugą niepospolitą swoją mowę, która go postawiła od razu jako jednego z najzręczniejszych i najwymowniejszych mowców w izbie. Mówił od $4^3/_4$ do $7^3/_4$. Mowa ta wypowiedziana do kilku śpiących słuchaczów była tak w każdym szczególe wykończona, tak logicznie przeprowadzona, z tak szczęśliwym doborem wyrazów, że p. Shaw Lefevre, jeden z nielicznych reprezentantów ministerstwa, który noc tę przedrzemał na ławie, mówił później, iż do mowy p. Sexton'a nic dodać i nic ująć nie było można. Tymczasem koledzy jego gotowali się pójść w jego ślady póki sił starczy. Niektórzy się chwilowo zdrzemnęli, inni w licznych garderobach izby zimnemi ablucyami starali się nocne trudy zwyciężać. Wewnątrz i zewnątrz izby panowała atmosfera gorączkowa, którą ocenić potrafią tylko ci, którzy tam byli.

Niepokojące szmery powstały w izbie: co się stanie — jeśli przyjdzie do czynnego spotkania, pomiędzy dzikim tłumem Anglików, a rozjuszonym motłochem irlandzkim, bo jedni i drudzy izbę oblegali. Kilku posłów irlandzkich doznało już nieprzyjemności w powrocie, wczesnym rankiem, do domu. Nikt nie wiedział co bę-

dzie, a każdy miał przeczucie, że coś się stanie i coś niezwykłego, katastrofa wisiała w powietrzu. Jeden z posłów ostrzegł pana Sexton'a, gdy ten, na pół żywy, zawlókł się po swojej mowie, do Smohingroomu, że „coś“ będzie o 9-tej. Po p. Sexton'ie wszedł na trybunę p. Leamy, a przed samą 9-tą wstał Biggar. Tymczasem, jak za wpływem magnetycznym, izba raptem zapełniła się znowu. Dr. Playfair, zajmujący jeszcze miejsce prezesa, zdawał się być w niespokojnem oczekiwaniu: Prezes ministeryum i Sir Stafford Northcote weszli razem, a o 9-tej ukazał się prezes izby, przywitany tak hucznemi oklaskami przez posłów zalegających już w tej chwili obie strony izby, iż jasnem było, że oba stronnictwa zawiadomione były zawczasu o tem, co miało mieć miejsce. Biggar wstał ponownie aby mówić dalej, ale prezes, nie patrząc na niego, z postawą stanowczo-energiczną rozłożył arkusz i odczytał ową historyczną dziś deklaracyę, „zamknięcia dyskusyi“. Każde słowo przyjęte było burzą oklasków, a nie miło nawet wspomnieć o namiętnej nienawiści, z jaką posłowie obu stronnictw patrzyli na ławy posłów irlandzkich. Ci ostatni tymczasem, byli pozbawieni przywódzcy, Parnell bowiem, poszedł był do bliskiego hotelu, aby nieco wypocząć. Jeszcze się byli nie porozumieli pomiędzy sobą, gdy prezes postawił zapytanie, kto głosuje za wnioskiem p. Forster'a, kto za poprawką Dr. Lyons'a. Nie było rady, drzwi od izby zamknięto, trzeba było iść do głosów. W ponurem milczeniu, bez zwykłych słów uprzejmego powitania, posłowie rozeszli się na różne strony izby: prezes ogłosił wynik: za wnioskiem pierwotnym 164 przeciw 19, większość rządowa 145. Prezes natychmiast zaproponował postawienie pierwotnego żądania, o pozwolenie wniesienia „Bilu“. Justyn Mc. Carthy, jako przywódzca stronnictwa, zaprotestował, ale prezes nie uwzględnił jego ruchu, i obaj, poseł i prezes stali razem i razem mówili, choć żadnego słowa dosłyszeć nie można było. Ogłuszająca burza powstała, którą poseł Mc. Carthy, przetrwał ze spokojnym i stanowczym uśmiechem. Komedyi drugiego głosowania posłowie irlandzcy odgrywać nie chcieli, a stanąwszy z zaciśniętemi pięściami, zaczęli krzyczeć na cały głos „przywileje, przywileje“. Gniew wstrząsał nimi, wargi drżały i poruszały się jak gdyby miotając obelgi. Partya ministeryalna przycichła wtedy, p. Gladstone zmieszał się i zbladł, prezes stał milczący, a izba się zaczęła uspakajać. Przykrą scenę

przerwali posłowie irlandzcy opuszczając w jednym szeregu izbę, z posłem Mc. Carthy na czele.

Tak tedy, broń obstrukcyjna skruszoną w części została. Pokazało się, iż nie będzie dozwolonem mniejszości, wstrzymywać bez końca toku obrad większości. Nie można było na przyszłość użyć w walce parlamentarnej metody, którą Parnell wojował czas jakiś szczęśliwie, gdyż widocznem było, że członkowie Anglicy woleli poświęcić część własnych swobód, niżeli wystawić się na zatamowanie obrad. Nieco później Gladstone więcej jeszcze obostrzył wolność rozpraw i „zamknięcie dyskusyi“ (Clôture) zostało po raz pierwszy do regulaminu angielskiej izby wprowadzone. Wszelako, dopóki rzeczywista wolność rozpraw trwała, dopóty niezawodnie, obstrukcyi, choć w mniejszym stopniu, przeszkodzić było trudno, i pozostać ona miała i nadal jako narzędzie silne, choć nie zawsze zwycięzkie, w ręku odważnej mniejszości. Siła Parnella, acz stłumiona, czuć się jeszcze dawała, to też parlament był gotów do znacznych koncesyj Irlandczykom, dlatego Gladstone przeprowadziwszy „Bil koercyjny“, który nadał rządowi władzę prowentywną, wniósł zarazem nowe prawo agraryjne, dla uspokojenia kraju.

„Bil agraryjny“ wniesiony został do izby 1-go kwietnia. Pierwsze wrażenie jego było miłą dla posłów irlandzkich niespodzianką. Po wniesieniu go, wypadła bezpośrednio przerwa świąteczna, do rozpraw tedy nad niem zaraz nie przystąpiono; posłowie irlandzcy udali się do Dublina, aby się z krajem porozumieć. Zwołany wydział Ligi agraryjnej, obradował nad wnioskiem przez dwa dni. Wkrótce, jak w każdym ludzkim organizmie, tak i w lidze wyłoniły się dwa stronnictwa i dwa różne o znaczeniu billu zdania. Większość partyi irlandzkiej była stanowczo za przyjęciem billu, jako pierwszego szczebla, na którymby się dalsze zdobycia oprzeć mogły. Znaczna zaś część partyi ludowej była przeciwną projektowi, który uważała za niekompletny i niedostateczny. Zamiast przymusowego wykupna gruntów, od dotychczasowych właścicieli, i oddania go w łatwych warunkach obecnym dzierżawcom, wniosek Gladstona pozostawiał stosunek wzajemny dziedziców do chłopów irlandzkich *in statu quo*, ustanawiając jedynie sądową izbę, którejby zadaniem było normować wysokości rocznego czynszu. Te koncesye wydały się jednak tak dalece dla dzierżawców korzystnemi, iż zosta-

wiono posłom swobodę, głosowania za, lub przeciw ustawie, która faktycznie przeszła w parlamencie, i w swoim czasie sankcyę królewską uzyskała.

Samo postawienie i przyjęcie wniosku Gladstona, było wymownem zatwierdzeniem powagi Parnella w izbie i jego polityki. Wszelako, nie było to tryumfalnem rozwiązaniem kwestyi irlandzkiej, i to tak dalece, że wydatniejsza i pełniejsza część karyery Parnella dopiero rozpocząć się miała, jak to zaraz zobaczymy.

IV.

Pomimo prawa agraryjnego, rzeczy w Irlandyi nie szły tak pomyślnie. Ponieważ decyzya co do wysokości czynszów, spoczywać miała w ręku nowych izb sądowych, przeto Parnell chciał przedewszystkiem, przekonać się o ich istotnej bezstronności: żądał zatem aby lud powstrzymał się od stosunków z niemi, dopóki niektórych spraw, przez niego samego obranych, i przestudyowanych, nie rozsądzą tak, aby dały rękojmię, iż rzeczywiście korzyść dzierżawców mają na celu; wtedy dopiero ludowi wolno będzie odnosić się do sądów w sprawach i żałobach. To postanowienie nie mogło być na rękę Gladstonowi, jakoż doprowadziło do nowego i groźnego przesilenia w kwestyi irlandzkiej. Po przyjęciu prawa agraryjnego, ministeryum potrzebowało niejako w obec kraju, tej sankcyi, jaką daje powodzenie. Zwalczywszy tyle trudów, tyle opozycyj, zdobywszy prawie przemocą w izbie nowe prawo, nie wypadało, aby prawo to nazwać można było nieudanem. P. Gladstone tedy, wraz z kolegami, czując, że niepowodzenie w tej sprawie równało się porażce, przedsięwziął użyć kroków ostatecznych, aby opinię przekonać, że kraj, skutkiem nowego prawa, jest szczęśliwym i spokojnym, a stłumić wszelki głos przeciwny. W mowie mianej w Leads d. 7 października, minister zrobił gwałtowną, a wyraźnie naprzód obmyślaną wycieczkę przeciw naczelnikowi stronnictwa, czyli raczej garści ludzi, którzy na miano stronnictwa nie zasługują. Starał się p. Parnella i jego stanowisko ośmieszyć w sposób, którego nawet zaciętość walki nie tłumaczy. Obecnie, mówił minister, kiedy pomiędzy ludem angielskim a irlandzkim miało przyjść do zgody, on, (Parnell) postawił nową metę żądaniom Irlandczyków, byle do zgody tej nie

dopuścić. Rzeczywiście, ministrowi chodziło o to, aby przedstawić różność celów i interesów pomiędzy Parnellem a ludem. Lud w Irlandyi pragnie szczerze, mówił p. Gladstone, zarówno z naczelnikami swoimi, z biskupami, i z najżyczliwszymi przyjaciołmi, wyzyskać wszystkie korzyści nowego prawa, za któremi, nie wątpimy o tem, osiągnie pokój i swobodę; co do nas, o ile to w mocy naszej, przyłożymy starania, aby w użyciu środka tego, nikt mu na przeszkodzie nie stanął. Niebawem p. Gladstone zamienił pogróżkę w czyn. W parę dni później wystąpił pierwszy minister z mową gwałtowną przeciw Parnellowi, a skoro wygłosił kilka frazesów, zjawia się posłaniec z miną tajemniczą, na efekt obliczoną i wręcza mu depeszę donoszącą o aresztowaniu Parnella. Rozkaz ten, p. minister oczywiście był sam podpisał przed kilkunastu godzinami. Po kilku banalnych uwagach, minister temi odezwał się słowy: „W tej właśnie chwili odbieram wiadomość, iż pierwszy krok w obronie prawa, porządku, własności, wolności kraju, podstawowych zasad życia publicznego i cywilizacyi, został uczyniony przez aresztowanie człowieka, który“... lecz p. Gladstone dokończyć zdania nie mógł, gdyż wedle słów urzędowych, całe zgromadzenie powstało i oklaski niezmierne i zapamiętałe trwały przez kilka minut.

Wreszcie gdy się nieco uspokoiło, p. Gladstone mówił dalej: „Człowiek, który przed wszystkiem innem, obrał sobie za cel przewrót powagi prawa i zastąpienie jej anarchicznem teroryzowaniem ludu irlandzkiego“.

Okoliczność uwięzienia Parnella uwydatniła aż nadto jaskrawie, jak mało spójni i sympatyi pomiędzy Anglią a Irlandyą, wyrobiła 85-letnia unia na polu prawodawstwa. Uczuć bardziej nieprzyjaznych i wręcz sobie przeciwnych, które towarzyszyły w obu krajach uwięzieniu Parnella, wyobrazić sobie nie można. „Głośne i przedłużone oklaski, pisała *Pall Mall Gazette*, któremi przyjęto wczoraj w Guldhall, wiadomość o uwięzieniu Parnella, odbijają się dzisiaj w całym kraju, jak Anglia długa i szeroka. Angielska i szkocka prasa, prawie bez wyjątku, pochwala uwięzienie dowódcy ligi agraryjnej; różnice stronnictw politycznych nikną w obec antagonizmu ras i namiętnej niecierpliwości Anglików na jątrzącą i bezpodstawną opozycyę.“

Nie mniejszym był tryumf ministeryalny w Irlandyi, gdyż dzierżawcy tłumnie oblegać poczęli nowe izby sądowe, by korzyści nowo-nadanego prawa wyzyskać. Napróżno adres do ludu irlandzkiego z podpisem uwięzionego przywódzcy, wzywał dzierżawców do wstrzymania się od wypłacania czynszu. Adres w małej tylko mierze znalazł posłusznych, a natychmiast po ukazaniu się jego, liga agraryjna, jako stowarzyszenie nieprawne, została przez rząd rozwiązaną. Tak zamknął się wśród namiętnego wzburzenia, pamiętny dla Irlandyi rok 1881.

Rzecz dziwna, iż dwóch ludzi, mających tak jeden jak drugi stanowcze co do Irlandyi zmiany na celu, mogli się znaleść w tak przeciwnych sobie obozach. To też już w maju następnego roku, przyszedł do skutku kompromis w Kilmainhane, którego skutkiem było uwolnienie Parnella, powrót jego do parlamentu i zamianowanie dla Irlandyi nowego namiestnika i nowego sekretarza stanu, którzy mieli przeprowadzić politykę ugodową.

Ta nadzieja pokoju nagle i krwawo rozwiać się miała. Nieliczne tajne stowarzyszenie zawyrokowało śmierć podsekretarza stanu, który pozostał w urzędzie, i obaj, on i towarzysz jego przechadzki, którym był nowy sekretarz stanu, zostali zamordowani w parku Dublińskim, prawie naprzeciw okien willi lorda Namiestnika. Straszny ten dramat położył koniec nadziejom wszelkiej akcyi wspólnej pomiędzy Gladstonem a Parnellem.

Gladstone przeprowadził nowy bill koercyjny, mniej dający pola dowolności co do aresztowań od poprzedniego, w innych za to względach bardziej ścieśniony. Parnell podniósł w parlamencie gwałtowną opozycyę przeciwko nowemu temu zamachowi na konstytucyjne swobody Irlandczyków. Te nowe kampanie dały pole do nowych scen gwałtownych, ale minister zwyciężył tem łatwiej, że już weszły w życie nowe punkta regulaminu ku zwalczeniu obstrukcyi.

Nowy lord namiestnik, który miał inicyować politykę ugodową, został natomiast narzędziem polityki represyjnej, a partya narodowa irlandzka stanęła w otwartej wojnie z ministerstwem Gladstona. Posłowie irlandzcy podali rękę konserwatywnym, aby wywrócić rządy Gladstona, tym to sposobem Torysi przyszli do władzy, którą utrzymali do pierwszych miesięcy b. r. Parnell, nie spuszczając z oka zamysłu, aby dotychczasowi dzierżawcy gruntów

w Irlandyi, doszli do posiadania tychże, powrócił obecnie do myśli uzyskania dla Irlandyi osobnego parlamentu, myśli, którą przed nim popierali O'Connell i Butt. Kieruje on obecnie ligą narodową, tak jak niegdyś kierował ligą agraryjną, a dostrzegłszy, po otwarciu tegorocznej sesyi, że konserwatywni nie dotrzymują mu słowa, zwrócił się znów do Gladstona pomimo iż był z nim w opozycyi co do kwestyi zasadniczej, i przyspieszył tym sposobem upadek konserwatywnych. Obecnie Parnell zdaje się być w dobrych stosunkach z Gladstonem, i jest nadzieja, że sędziwy mąż stanu angielski przedsięweźmie wkrótce kroki, zapewniające Irlandyi jakiś rodzaj własnej, narodowej reprezentacyi. Parnell posiada obecnie, nie mniej jak 80 głosów w izbie, i jest w możności przechylenia szali na stronę konserwatywnych lub liberalnych, łącząc się z jednymi lub drugimi.

PO ZJEŹDZIE NAUCZYCIELSKIM.

Trzeci doroczny zjazd nauczycieli szkół wyższych odbył się dnia 20 i 21 kwietnia b. r. w grodzie Jagiellonów.

Po nabożeństwie, odprawionem przez JE. ks. biskupa w kościele OO. Franciszkanów, zajęli uczestnicy zjazdu w liczbie stu kilkudziesięciu swoje miejsca w sali Rady miejskiej. Obecnością swoją zaszczycili zgromadzenie: JE. ks. biskup Dunajewski, delegat namiestnictwa, Radca dworu hr. Badeni, czcigodny prezes Akademii Umiejętności Dr. Majer, Magnificus Rektor Uniwersytetu Dr. Łepkowski, Prezydent miasta Dr. Szlachtowski i Wice-prezydent Friedlein.

Po godzinie 10 zagaił posiedzenie prezes towarzystwa Radziszewski uroczystą przemową, w której powitawszy zgromadzonych i podziękowawszy „mężom słusznie cenionym dla swych cnót i obywatelskiéj gorliwości“ za uznanie, jakie pojawieniem się na posiedzeniu, celom i pracy młodego jeszcze towarzystwa niejako wyrazili, złożył publiczny rachunek z „całorocznych usiłowań i drobnych powodzeń“, które powinny stać się bodźcem do dalszej a coraz skuteczniejszej pracy bez względu na trudności, z jakiemi łamaćby się przyszło, poczem przystąpiono do porządku dziennego, który, pomimo swej obfitości, niemal zupełnie został wyczerpany. Żałować jednak należy, że sprawa języka polskiego, która na zeszłorocznym zjeździe główny obrad stanowiła przedmiot, z porządku dziennego spadła, i niezakończona przyszłego musi wyczekiwać zebrania.

Referaty, odnoszące się do spraw ważnych nauki i wychowania, jak też i dyskusya, jaka się nad niemi wywiązała, świad-

czyły chlubnie o naukowej pracy i szczerej chęci do prowadzenia naszych zakładów wychowawczych do pomyślniejszego rozwoju i rozkwitu. Nauczycielstwo dało niezbity dowód solidarności, gruntowności, powagi, zamiłowania zawodu i miłości młodzieży, dla której dobra, a przez nią dla dobra ogółu działać pragnie.

Wyrazem wspomnianej solidarności nauczycielstwa wszystkich stopni między sobą a z drugiej strony wyrazem szerszego poparcia ze strony najdodatniejszych i najznamienitszych sił naszego społeczeństwa, które niby gwiazdy błyszczą na naszej kultury niebie, była uczta, jaka w pierwszym dniu zjazdu w sali redutowej się odbyła. Nie zapomniano tam o nikim i o niczem. Etyczne zasady, jak: lojalność dla tronu i władzy, wierność dla Kościoła, cześć dla nauki, w czystych i wytrawnych jak stare wino rozlały się słowach, krzepiąc ducha i radując ucho. Rozum przemówił w twardych, lecz jasnych jak kryształ kielichów wyrazach, rozum prawdziwy, który nad wszelką małostkowość i ciasność wznieść się nakazuje, gdy chodzi o zaznaczenie, zrozumienie i poparcie pożytecznego działania. Przemówiło i wielkie serce, a że słowa mieściły w sobie nietylko uczuć wdzięki, lecz i wielkie prawdy, które atoli tylko wielkiem sercem zdobyć i urzeczywistnić można, przeto „kochajmy się“ zmieniło się w czyn, bo dla ulżenia cierpiącej braci na stryjskich zgliszczach hojne posypały się datki.

Pięknie i grzecznie wszystko się odbyło, a miłe wspomnienie niezatarcie w uczestników sercach pozostanie.

Uważamy jednak, że nie dosyć jest o pięknych i wzniosłych chwilach pamiętać, lecz przystoi, i świętym każdego jest obowiązkiem, nad wszystkiem co usłyszał, samodzielnie się zastanowić i powtórnie przemyśleć.

Do tego właśnie się zabieramy i rozwiniemy nasz sposób patrzenia na sprawy, jakie miały miejsce na zjeździe, co wedle najlepszych chęci, nie zamierzając nikomu ani ubliżyć, ani się narzucać, czynimy pod dewizą:

Nihil est veritatis luce dulcius
Cic. Acad. 2, 10, 31.

I.

Pierwsze miejsce porządku dziennego zajęła sprawa ogólnego znaczenia, jaką jest niezaprzeczenie skarga na obarczenie młodzieży szkolnej, szczególnie w gimnazyach.

Referent koła krakowskiego, które tę sprawę podjęło, opierając się na własnem doświadczeniu, tudzież po części na dyskusyi odbytej w Kole, i na literaturze bardzo bogatej, jaką ta sprawa od tylu już lat nietylko się tocząca, lecz coraz więcej się zaogniająca wywołała, doszedł po zręcznem i przejrzystem zestawieniu odnośnych dat do następujących wniosków:

1) „Plan nauki, obowiązujący w naszych szkołach średnich, należycie wykonany, nie może być źródłem istotnego obarczenia młodzieży".

2) „Objawy obarczenia dają się stwierdzić tylko sporadycznie, i mają źródło: *a)* w niedostatecznem przygotowaniu znacznej części młodzieży na wszystkich stopniach nauki, *b)* w niezawsze harmonijnem traktowaniu wszystkich przedmiotów nauki przez nauczycieli jednej klasy".

Wnioski po żwawej dyskusyi zostały większością głosów przyjęte z dodatkiem, iż „objawy obarczenia mają swe źródło także w braku należytej harmonii, między intelektualnem a fizycznem wychowaniem".

Zestawiwszy wywody referenta i głosy, jakie w dyskusyi słyszeć się dały, dochodzi się do wniosku, że obarczenie rzeczywiście istnieje. Różnica, jaka się w zdaniach ujawniła, przedstawia się jak następuje: Referent a z nim pewna część zgromadzenia uważa obarczenie za sporadyczne, którego przyczyny więcej zewnętrznej natury poza należycie wykonanym planem organizacyjnym i instrukcyjnym szukać należy. Strona przeciwna, atakując poszczególne części planu, upatruje główną przyczynę w braku należytego stosunku między tamże postawionemi żądaniami a czasem fizycznym, jaki na zrealizowanie tych żądań został wymierzony.

Jednej i drugiej stronie nie można odmówić pewnej słuszności. Referent się nie myli, jeżeli się uskarża np. na napływ niedostatecznie rozwiniętej i przygotowanej młodzieży do szkoły średniej

i na wadliwość podręczników, na przepełnienie poszczególnych klas w niektórych zakładach i t. p. Jednak nie mniej zasługują na uznanie także rzecznicy strony przeciwnej, gdy datami i liczbami dokumentują niewykonalność żądań w poszczególnych przedmiotach, zawartych w obowiązującej instrukcyi.

Piętą achilesową referatu przedłożonego zgromadzeniu jest elastyczność konkluzyi. „Nienależycie wykonany plan“, „nie zawsze harmonijne traktowanie wszystkich przedmiotów“, powiada to samo, co kalendarz w swojem „stronami deszcz, stronami pogoda“.... Jasnem zaś jest, że wina leży po stronie wykonawców, chociaż niepewnem zostaje, czy co do planu wszyscy błądzą, czy też tylko pewna część tych, którym wykonanie planu z urzędu przypada. Zdaje się atoli, że jeżeliby nienależyte wykonanie planu miało w samej rzeczy być ostatecznym powodem obarczenia, całe nauczycielstwo popada w stan oskarżenia. Skarga bowiem na obarczenie nie jest wyłącznie galicyjską ani nawet austryacką, lecz wprost ogólną, o czem zaświadczyć może z jednej strony ogromna literatura, jaką skarga tego rodzaju wywołała, z drugiej zaś strony baczność i troskliwość rządów, z jaką sprawę śledzą, a co więcej faktycznie zaradzić się jej starają — czy skutecznie, o tem nie tu miejsce sądzić...

Słabą stroną referatu jest także okoliczność, że pod należytem wykonaniem nie chce rozumieć wykonania litery instrukcyi tj. pokonania materyału tamże zawartego drogą wytkniętej metody, lecz wykonanie czyni zawisłem od bardzo rozległych, bliżej nieokreślonych acz w dyskusyi bardzo wygodnych względów dydaktyczno-pedagogicznych. Temu stanowczo sprzeciwić się trzeba, albowiem nie jest to niczem innem jak otwarciem wrót na rozciąż indywidualnej dowolności, czemu właśnie w ostatnich czasach wydana, szczegółowa instrukcya skuteczną miała położyć tamę. Przytem, albo instrukcya ma moc ustawy i co do joty obowiązuje, albo nią nie jest i nie odpowiada bynajmniej celowi, w jakim głównie została wydaną, tj. aby usunąć obarczenie przez dosadne unormowanie materyału naukowego i wychowawczego [1], tudzież przez po-

[1] Co zawiera zeszyt dodatkowy: „Weisungen zur Führung des Schulamtes an den Gymnasien in Oesterreich. Wien 1885, str. 94“. Dzieło stanowczo znakomite.

danie szczegółowych wskazówek, jak ten materyał korzystnie pokonaćby można. W obec tego rodzaju intencyi wszelka dowolność ustać powinna. W tej mierze słuszność po stronie opozycyi, gdy instrukcyi zarzuca nadmiar materyału, który należycie zrealizowany — obarczyć musi.

Wreszcie utyka referat na oglądaniu się za pomocą pozaszkolną, a szczególnie na żądaniu usilnej pomocy domu rodzicielskiego. Takiego żądania, które mówiąc nawiasowo urosło już do dogmatu, i działem ciężkiego kalibru się stało do odpierania przeróżnych zarzutów, nie można inaczej rozumieć, jak, że szkoła w zapasie swoich środków naukowo-wychowawczych czuje brak, który dom uzupełnić powinien. Wzywanie pomocy jest przyznaniem się jawnem do pewnej niemocy w egzekucyi żądań, jakie szkoła stawia, a wykonać ich nie czuje się dość silną. Słusznie mógłby dom zapytać: po co szkoły, jeżeli swemu zadaniu sprostać nie mogą? Dom bowiem dlatego dzieci swoje posyła do szkoły publicznej, że albo sam nie posiadając dostatecznego lub też żadnego wykształcenia i wychowawczej rutyny, nie umiałby dziatwie ich przekazać, albo też, będąc w zupełnem posiadaniu tych czynników, dla innych zajęć zawodowych skutecznie dziatwą swoją zająć się nie mógłby. Pierwszy rodzaj domów pomimo najlepszych chęci nie umiałby szkoły wspierać, drugi zaś i bez upominania się, jeżeli istotnie stoi na wysokości wykształcenia i przeto pojmuje doniosłość szkoły, wszystko uczyni, ażeby dzieciom swoim zabezpieczyć dobry postęp i odpowiedne wychowanie. Szkoła atoli powinna w swoim organizmie tyle wywiązać powagi, stanowczości i takie obmyśleć środki, że na wszystko w sobie samej znajdzie pomoc skuteczną. Dopiero taka szkoła zasługuje na ogólny szacunek i uznanie, albowiem co dostała dobrem, oddaje lepszem, co zaś było zupełnie surowem wraca ogładzonem i bardziej do ludzi podobnem. Żądać i wszelkiemi siłami raczej do tego dążyć należy, ażeby dom w razach niemocy wzywał pomocy szkoły ale nie odwrotnie. Cóż zresztą dom dla szkoły uczynić może, skoro ona świadoma swych celów i środków odpowiednią w dopięciu i stosowaniu tychże rozwinie energię?... Wdzięcznym tylko być jej może, jeżeliby jej na tem zależało, ale nic nadto...

Podawszy stan sprawy, pytamy: czy można ją uważać za załatwioną? Zdaje się, że bynajmniej. Chociaż szczegóły w referacie przyjętym przez większość zgromadzenia, jakoteż przez mniejszość zostającą w opozycyi podniesione, jako szczegóły, mogą poniekąd zadowolnić, to zdaje nam się jednak, że sprawa nie jest załatwioną.

Obarczenie jest sprawą zasadniczą. Jeżeli istnieje, szkoła zadania swego spełnić nie może, jeżeli zaś nie istnieje, po co je podnosić i skuteczność szkoły w wątpliwość podawać?!

Niechaj nam przeto będzie wolno wstąpić na inną drogę, aniżeli to referent i jego oponenci uczynili.

Sprawa zasadnicza tylko zasadniczo może i powinna być badaną.

Celem gimnazyów, ustawą wymaganym, jest: obok humanitarnego wychowania ogólne wykształcenie.

Zostawmy stronę wychowawczą na boku, w niej bowiem, jeżeli na zdrowych opiera się podstawach i ze świadomością, celu systematycznie zostanie stosowaną, powodów obarczenia na próżno szukalibyśmy. Zostaje przeto przedmiot ogólnego wykształcenia, które od pojawienia się zarysu organizacyjnego w r. 1849 w gimnazyum ma być dokonane.

Dokonanie uczyniono zależnem od przedmiotów nauki gimnazyalnej, które przedstawiają dwie główne grupy: idealną czyli historyczno-filologiczną i realną czyli matematyczno-przyrodniczą. Obydwie grupy są sobie współrzędne i oddziaływają niby dwie siły, z których każda umysł elewa do swoich stara się nagiąć celów. Siły te działają statecznie i równorzędnie obok siebie od samego wstąpienia w progi gimnazyalne, aż do opuszczenia tychże po egzaminie dojrzałości. Celem pierwszej jest stopniowy rozwój umysłu do poczucia siebie w myśli, uczuciu i woli, drugiej zaś zasycenie tegoż pewną, a bynajmniej nie małą, ilością tworów przyrodzonych lub abstrakcyi liczbowej, jaka się ujawnia w kombinacyach i prawidłach matematycznych. Elew odbywa przeto dwojaką pracę. Raz uczy się dopiero poczuwać myśl w sobie, powtóre, ma wchłaniać w siebie i w nierozwiniętym jeszcze umyśle zachowywać i należycie pojmować i grupować pewne całości, wraz z ich umiarem liczebnym, jaki przedstawia przestrzeń i czas. Do czego to niezależne od siebie równorzędne oddziaływanie prowadzi? Co najwięcej do pamięciowej

percepcyi, nie do wykształcenia. Duch usypia, niejako naglony do tego; gdzie bowiem działają dwie wręcz przeciwne siły z równem natężeniem, tam nie ma ruchu, zatem, nie ma postępu. Skutek poucza, że tak jest rzeczywiście. Egzamin ostateczny w szkole średniej wykazuje powszechnie znany fakt, że młodzież przy znajomości szczegółów nie powiem żadnej lecz tej przynajmniej nie posiada samodzielności, jaką jest cechą prawdziwej, i do zawodowego życia właściwie uzdalniającej dojrzałości.

W równouprawnieniu obydwóch kierunków naukowych w celu dopięcia t. z. wykształcenia ogólnego uznaję pierwszy i zasadniczy powód pojawu, znanego pod nazwą obarczenia. Uważam tedy za rzecz konieczną, ażeby dla usunięcia t. z. obarczenia uregulowano stosunek obydwóch wyżej wymienionych grup tak do siebie, żeby jedna z nich, — nie przesądzam która, bo w zasadniczem badaniu nic mi na tem nie zależy, — została uznaną za podstawę wychowania i wykształcenia, i wystąpowała w swem *maximum*, druga zaś uzupełniającą tylko stawszy się siłą, swe *minimum* jako *maximum* żądań uważać zechciała. Obydwom bowiem grupom w ich *maximum* zadość uczynić, jak tego instrukcye żądają — a ponieważ mają moc ustawy, także do joty wykonane być winny — sądzę niemożebnem. Skuteczne i w owoce bogate wykształcenie tylko na jednolitej, i dla rozwoju sił umysłowych aż do granic samodzielności najbardziej sposobnej podstawie urość może. Niechaj gimnazyum, nie darząc ogólną z kiepska encyklopedyczną wiedzą, wydaje raczej umysły dojrzałe aż do poczucia samodzielności, wówczas ani uniwersytet ani społeczeństwo na brak dzielnych sił uskarżać się nie będzie.

Idźmy dalej. Przypuszczam, że filologiczno-historyczne nauki w wychowaniu i wykształcaniu otrzymają pierwszeństwo. Nie powiadam tego z braku uznania i szacunku dla zdobyczy nauk matematyczno-przyrodniczych, które wysoko cenię. Lecz nawet najbardziej zawzięty wielbiciel realnego kierunku po głębszem i sumiennem zastanowieniu przyzna, że pierwej należy człowieka do poczucia i do prawidłowego użycia swych sił i swej godności doprowadzić, a potem dopiero można mu zostawić wolny wybór, czy zechce tak w nauce, jak też w polityce i życiu w ogólności, zaciągnąć się do szeregu idealistów czy realistów, i w interesie je-

dnej lub drugiej frakcyi z zaparciem siebie i poświęceniem wiernie walczyć. Obydwa szeregi potrzebują przeto ludzi, albowiem jeno ludźmi ludzkość stoi. Do tego niezaprzeczenie historyczno-filologiczny dział sposobniejszy w wieku młodości chłopięcej.

Zgodziwszy się tedy, porównajmy obydwa działy ze sobą a otrzymamy w rezultacie wnioski, które istnienie lub nieistnienie obarczenia prawdopodobnie stwierdzić zdołają.

Na pierwszy rzut oka dostrzegamy, że nauki realne w powszednem życiu większem nierównie cieszą się powodzeniem aniżeli idealne kierunki wiedzy, o czem, gdyby już nie inne objawy, samo nazwanie wieku naszego materyalistycznym poniekąd wymownie świadczy. Tem bardziej świadczy o tem hasło, rozlegające się ku utrapieniu biednej ludzkości, jako zasada prawa *Gewalt vor Recht*, zasada etyki „konieczność przed wolną wolą“ krótko *l'homme machine*, co też za syntezę wszelkiej realistycznej dążności uważać należy. W posiadaniu realistycznego kierunku: mienie, władza, sława, rozgłos i ruch swobodny, więc powodzenie. Wszelkie powodzenie budzi ufność w siebie, wzmaga siły, żądzę uznania, wreszcie krótko mówiąc zapał. Z dumą pewną spogląda realista na zdobycze chemii, chociaż narzeka że sukna obecnie mniej trwałe aniżeli dawniejsze; fizyki, chociaż przy błyskawicznem przenoszeniu się z miejsca na miejsce skarży się na drożyznę wiktuałów i najniezbędniejszych potrzeb do życia; medycyny, chociaż żali się na ciągłe karłowacenie rodu ludzkiego i niemal powszechną nerwowość; nowych teoryj filozoficznych, chociaż coraz trudniej o poczciwe serca, a dokoła rozlegają się jęki tysięcy nieszczęśliwych pozbawionych ogniska... Mimo to adeptom realistycznego kierunku wiary w swoje siły i zapału odmówić nie można. Wnoszą go też do szkoły a nadto co dzień niemal o nowych wynalazkach, o nowych odkryciach powiedzieć umieją.

Cóż temu filologiczne nauki mogą przeciwstawić? Porównawczą gramatykę, drobiazgową krytykę, domysły, że miejsce to lub owe późniejszej ręki jest tworem, archeologię, która nadto dopiero po wykopaliskach na wschodzie poczynionych żywszy nieco zaczęła budzić interes i szerszą zajmować publiczność. W takiem to kole obraca się adept filologii klasycznej ale z tych wszystkich działów w wykładach szkolnych całkiem nie korzysta. I rzeczywiście szczę-

ściem to nazwać należy, że instrukcye, pomimo niekłamanej i wcale nie dwuznacznie wyzierającej z nich chęci wniesienia tego wszystkiego do szkoły średniej, życzeń tych ustawą nie uświęciły. Otóż profesor filolog wnosi do gimnazyum, z całem zaparciem siebie zdobyte wiadomości, których, nie tylko wyzyskać, lecz przy sumiennym i bacznym nadzorze nawet pochwalić się niemi nie może dla tej prostej przyczyny, że najsamprzód umysły nie dojrzały do tego rodzaju kwestyj, następnie, że w tych momentach wiedzy filologicznej nie leży dla gimnazyalnej młodzieży kształcąca moc nauki. Etyczno-estetyczno-historyczny kierunek filologii, który w humanistach, świat cały z barbaryi otrząsających, wydał mistrzów — u nowej szkoły filologa zazwyczaj jest w pogardzie, albowiem ten kierunek nie jest dość naukowym. Kończy się przeto nauka filologii głównie na formach i czysto gramatycznych wyjaśnieniach, bladej krytyce charakterów, suchych historycznych datach, co wszystko nadto odbywa się, jak tego instrukcya wyraźnie żąda, tylko przygodnie zatem bez żadnego systemu, więc też i bez żadnej w jakąś całość powiązanej wiedzy w rezultacie. O podniesieniu ducha zaś i prawdziwem wykształceniu nie ma nawet mowy. Brak zapału w nauczycielu, brak wszelkiego poczucia wielkości i siły świata klasycznego w młodzieży, oto owoc, który z dojrzałego na papierze drzewka zazwyczaj do nóg naszych spada. Jak w ogóle zapoznawaną bywa kształcąca, a przez tyle wieków potwierdzająca się siła odpowiednio traktowanej filologii w gimnazyach, najlepiej poświadczają głosy, jakie niedawno temu na zgromadzeniach dyrektorów i profesorów w jednej z niemieckich prowincyj za zniesieniem greczyzny się odzywały.

Zapał z jednej strony do nadmiernych żądań, daje pohop, zaś brak zapału z drugiej strony budzi niechęć i odrazę. Oto drugi zasadniczy powód obarczenia, które nie tyle nazwałbym obarczeniem, jak raczej zniechęceniem i nastrajaniem do apatyi młodocianych umysłów. Wywołana apatya bowiem staje się dopiero właściwym powodem obarczenia. Przeciwnie zaś, wszystko co wzmaga ochotę, robi też pracę lżejszą i produktywniejszą.

Zdaje mi się przeto, że w tych głównie momentach należałoby dopatrywać przyczyny, do znurzenia podnoszonej skargi, która,

daj Boże, aby jak najrychlej i jak najskuteczniej została zażegnaną! Skoro to nastąpi, zakłady odżyją, jasne głowy i silne charaktery, na których brak wśród całego postępu słusznie narzekamy, znowu się pojawią, a i reszcie przyczyn, po za normalnym planem leżących, łatwiej przyjdzie zapobiedz stanowczo. Podnoszone bowiem przyczyny należy właściwie bardziej za skutki przyczyn głębiej leżących, aniżeli za same przyczyny uważać...

Inne, z obarczeniem w pewnym związku zostające pojawy, w dalszym ciągu niniejszej rzeczy znajdą miejsce. (Dok. nast.)

Dr. K. Petelenz.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Idea.

Mówią niektórzy, że *Przegląd* bywa nudny. Wprawdzie, kiedy się nie pisze powieści, nie jest łatwo być dla wszystkich interesującym; ale tym razem opowiem czytelnikom naszym ciekawą a zarazem prawdziwą historyjkę — czy moralną — o tem proszę samemu sądzić.

Przed kilkoma laty wpadła mi w rękę książka, pod tytułem obiecującym wiele a zarazem nic niemówiącym: „Idea“. Podpisany: „Synpolski“. Kto wie, przyszło mi zaraz na myśl, czy nie „mojżeszowego wyznania“, kiedy tak z polskością paraduje. Ale na drugiej kartce było już doklejone nazwisko: Malicki, czy Molicki — nie pomnę — i stało wydrukowane, że to drugie wydanie. Zaczynam więc czytać. — Zrazu język tego piśmidła szkaradny utwierdza mię w podejrzeniu, że ten Synpolski od Zorobabela pochodzi; ale znów rzeczy wypowiedziane tak mię oburzają, taka zieje z tej książki nienawiść nietylko przeciw Kościołowi i przeciw Panu Chrystusowi, ale nawet przeciwko Mojżeszowi, że już ani braci naszych „Polaków mojżeszowego wyznania“ nie śmiałem o podobny płód posądzać, i gubiłem się w przypuszczeniach, skądby się takie tworzywo mogło pojawić w polskiem piśmiennictwie.

Czytałem dalej — aż tu nietylko nienawiść do wszelkiej religii, ale ignorancya, dorównywająca nienawiści: nieznajomość historyi, brak logiki, cytaty co chwila fałszywe (zapewnie tylko przypadkowo, bo nie posądzam tego Synapolskiego o zaglądanie do źródeł)... W końcu moje gniewy przeszły w śmiech, i pozwoliłem sobie takiej krotochwili: położyłem książkę na stole i z każdym

z przychodzących zakładałem się, że gdziekolwiek tę książkę otworzy, na jednej kartce znajdzie: trzy fałsze historyczne, trzy logiczne sprzeczności i trzy błędy przeciwko językowi. Otóż, wystawcie sobie, że prawie za każdym razem wygrywałem.

Namawiano mię, żebym coś o tem ciekawem zjawisku napisał; ale wobec tego mnóstwa niedorzeczności ręce mi opadały, nie wiedziałem od czego zacząć. Przytem, nie było o tej książce słychać w piśmiennictwie. Zapewnie, powiedziałem sobie, nie jest czytaną; nie warto się schylać. Stoi wprawdzie na tytule, że to drugie wydanie, ale ta kartka tytułowa z doklejonem nazwiskiem wygląda mi podejrzana: kto wie czy to nie ona tylko drugiego wydania się doczekała. Postąpiłem więc jak drugi Torquemada: rzuciłem książkę do pieca — i zapomniałem o niej.

Ale Many spalonej czyhały, żeby się pomścić nade mną. Wczoraj niespodzianie stanęły przede mną w nowo-przybranem ciele. Patrzę — oto leży na moim stole „IDEA. Kraków 1886, w drukarni Korneckiego". Autor, tym razem z Molickiego, przedzierzgnął się w Żukowskiego, dodał jednak w nawiasie: Synpolski, żeby zaznaczyć swą identyczność i — o zgrozo! — „trzecie wydanie poprawne i pomnożone".

W istocie poprawniejsze jest nieco to wydanie co do języka. W pierwszem, przy czasownikach w formie przeczącej zamiast drugiego przypadku bywał najczęściej czwarty. Teraz ten błąd w części sprostowany. Wszelako i teraz język nie wygląda wcale na syna Polski. Otwieram od przypadku, — zaręczam że od przypadku — na str. 58, 59 i czytam:

„Najpierwszym pewnikiem naszej religii, z którego rozwija się „chrystyanizm, jest mocno wdrożony przesąd, jakoby świat jest „absolutnem złem".

To chyba błąd zecera! Ale, to „wydanie poprawne"; błędy drukarskie starannie zebrane na ostatniej kartce. Szukam między niemi — nie ma. Zresztą czyja wina, zecera czy autora, pokaże się z dalszego ciągu. Czytam parę wierszy dalej:

„Jeżeli zmysły cielesne nie mogą się poddawać zakonowi, to „w tem tkwi nieprzeparty dowód niestosowności pseudo-boskiego „zakonu do prawa światowego, a zatem ich zakon powinien „być uważany za przeciwnego bogu".

Sens, (jeżeli jaki jest), ma być taki: że jeśli zmysłowość nie może się poddać zakonowi Bożemu, to dowód, że zakon ten nie może być prawem natury. Ale jakikolwiek jest sens, w każdym razie wyrażenia: „niestosowności do prawa światowego“ i „zakon uważany za przeciwnego bogu“, nie znamionują mowy syna Polski. Czytam znów następujące zdanie:

„Nie świat, a przeciwnie zakon Jezusowy nie może się „pogodzić z prawami świata bożego“.

Widocznie zamiast „a przeciwnie“ trzeba rozumieć: „lecz przeciwnie“. Proszę o cierpliwość. Czytam jeszcze parę wierszy niżej:

„Omamienie i aberracya chrześcijańskie są zupełne, przez co „nie były w stanie powstrzymać się od największego bluźnierstwa, „bo przeklinają prawdziwą twórczość w objawach świata dlatego „tylko chyba, ażeby pozyskać hołdy dla swego cielca, który w stra„sznej swej dumie lubując się tylko w swym duchu, kazał wszystko „deptać na świecie, dlatego jedynie, ażeby go samego adorowano“.

Gdyby ten styl nie rozśmieszał, toby treść mogła na prawdę zgniewać. — Jeszcze kilka wierszy dalej:

„Żyć ludzkiem życiem, jestto doświadczać, używać, wypełniać, „zeznawać i kompletować wszystkie możebne własności sił przy„rody, w czem zawiera się cała rozkosz życiowa“.

Co tu znaczy zeznawać? Może to znów błąd drukarski? Lecz sam autor nieco niżej zeznaje, że nie rozumie tego słowa, bo znów go w taki sam sposób używa:

„Nie tylko człowiek zeznający swe chęci chce żyć, lecz „wszystko w przyrodzie musi chcieć żyć“.

Zresztą słów niezrozumianych przez autora i słów niezrozumiałych dla ogółu jest pełna książka. Na tej samej stronicy 59-ej autor klnie się, że żaden w świecie „demagog“ nie zdoła mu wzbronić „zachwytu i uwielbiania natury... aż do mikrowów *(sic)*“. Co tu ma, proszę, demagog do mikrobów, czyli jak woli autor ...*wów?* A co znaczy na stronie następnej: „że księża nie wiedzą nic o materyi filozoficzno-światowej?“.

Te wszystkie okazy polszczyzny tego Syna polskiego znalazły się na jednej kartce jego Idei — ale nie mogąc dalej nudzić czytelnika takimi cytatami, przyznaję autorowi zaletę jednostajności stylu w całej książce.

Na równi z językiem stoi uczoność. Nasz Synpolski jest niezrównany, kiedy historyi dotyka. Opowiadając np. jak powstały przekłady Pisma św., tak sobie pisze:

„Ponieważ objawień z kanonu Ezdraszowego przełożonego na „język grecki w Aleksandryi nie można było użyć na oczyszczenie „Jehowy z judaizmu, jak również biblijnych prorockich tekstów nie „można było przystosować do życia i czynności Jezusowych, więc „wynikła konieczność podrabiać i fałszować takowe. W tym celu „Akwilea Pontykus (sic) za czasów Adryana zrobił drugie tłuma„czenie hebrajskiej biblii na język grecki; trzeciego przekładu do„konał Teodozyusz (sic) 184 r. po Chrystusie".

Ależ, miły Synupolski! Akwilea to miasto — tłumacz Pisma nazywał się Akwila; a Ponticus, coś w jakiejś łacińskiej cytacyi przeczytał, nie znaczy, że się Pontykusem nazywał, ale znaczy, że był z Pontu. Nadto ów Akwila, kiedy tłumaczył Pismo św., był starozakonnym, więc nie zamierzał oczyszczać Jehowy z judaizmu. — Teodozyusz jest także twoją fikcyą, albo raczej pomyłką — na jego miejscu istniał Teodocyon *(Theodotion)*, który wydał swój przekład, nie w 184 r., ale w 125; a na domiar nieszczęścia i on bywszy wprzódy chrześcijaninem, powrócił do judaizmu zanim swój przekład wydał, więc również nie oczyszczał Jehowy z judaizmu. Pomijam, że Symmacha i innych współczesnych tłumaczy nie znasz, a o dziele zbiorowem Orygenesa najfałszywsze masz wyobrażenie.

Kiedy czytam dalej *mirabilia* o Inkwizycyi, kiedy znajduję liczbę jej ofiar w Hiszpanii podaną dokumentnie na 322.952! — to już mię mniej dziwi: podobne rzeczy i w innych piśmidłach się znajdują. Ale kiedy nasz autor mianuje św. Dominika krzewicielem Inkwizycyi (str. 52), w sto lat po nim założonej — to już osobista jego zasługa. Kiedy, na tejże stronnicy, między ofiarami inkwizytorskiego prześladowania, wymienia rzędem: „Kopernika, Rogera Bakona i Galileusza", to widać że o Koperniku mało co wie, Rogera Bakona, którego wstawił między Kopernikiem a Galileuszem, wziął zapewne za Franciszka Bakona Werulamskiego; w czem znów drugi raz się pomylił, bo kanclerz angielski żadnemu, jak wiadomo, prześladowaniu inkwizycyi nie uległ, tylko Roger Bako, mnich Franciszkanin w XIII. wieku, podejrzany był podobno o magię. O czem Synpolski coś zasłyszawszy, wszystko razem pomieszał.

Zresztą ta trójka imion: Kopernik, Roger Bako i Franciszek, jest główną sztuką w repertoarze Synapolskiego i powtarza się w tej książce *à tout propos* kilkanaście razy, a za każdym razem Roger Bako zastępuje Franciszka.

Czytam dalej, że „w średnim wieku spalono uczonych filozo-„fów: Galijena, Łucyjana i Plotena“ (str. 186). Zachodzę w głowę, coby to za ludzie być mogli. Proszę zgadnąć — nie trzeba daleko szukać: ten Galijen, to po prostu Galenus, znany ojciec medycyny z III. wieku, z francuskiego Galien przerobiony na Galijena; ów Łucyjan, to klasyczny literat grecki z II. wieku, a trzeci, to Plotyn Aleksandryjski, także z III. wieku. Widać, że wcześnie się zaczęła inkwizycya, zdaniem Synapolskiego, i nawet między poganami grasowała.

Nieco niżej dowiadujemy się, że Descartes uciekał przed inkwizycyą do Niemiec! że dzieła Kopernika są dotąd na indeksie! że św. Anzelm był w swoim czasie głównym wrogiem rozumowych badań... Autor widocznie coś zasłyszał o Anzelmie i racyonalizmie i połączył te pojęcia naodwrót, nie domyślając się, że to właśnie św. Anzelmowi zarzucali niektórzy współcześni racyonalizm. Jeszcze niżej (str. 480) czytamy: że „świat korzył się, jęczał, faryzeuszo-„wał, aż do naszych czasów, dopokąd swobodna myśl Rogiera „Bakona, Alberta Wielkiego, Kopernika, Keplera, Galileusza, De-„karta, Newtona, Leibnica, Laplasa, Adama Smita i innych... nie „położyła tamy ciemnym obłędom wierzących“. Piękny doprawdy poczet wielkich mężów! Lecz autor widocznie nie domyśla się, że dwaj pierwsi z wymienionych nie należą bynajmniej do „naszych czasów“, ale do samego serca przeklętej przez niego średniowieczczyzny, do XIII. wieku. A jeszcze mniej się domyśla, że wyliczeni mężowie, prócz dwóch ostatnich, byli wszyscy wierzącymi, i nawet w swej wierze, jak sami świadczą w swoich dziełach, czerpali światło do swych wielkich myśli i odkryć.

Po inkwizycyi, ma się rozumieć, przychodzi kolej na Jezuitów i tym miły autor nie pardonuje: wszystkie zbrodnie, wszystkie przewrotności i ohydy gnieżdżą się, podług niego, w ich zakonie, wszystko zło na świecie od nich przeważnie pochodzi. Ale kiedy w końcu autor dodaje, że w tem wszystkiem Jezuici „wypełniali wiernie zasady ewangieliczne

i prawdziwie zasługiwali na tytuł kompanijonów Jezusa", — to już za wszystko starczy — Jezuici innej apologii nie potrzebują.

Na poparcie tych wszystkich poglądów historycznych Synpolski posługuje się też erudycyą, cytatami... ale co za erudycya! i co za cytacye! Cytuje np. Zend-Avestę, ale pisze stale Zenda-Westa (sic) — tak się nieborakowi przesłyszało, a sam widocznie ani w Encyklopedyi tego słowa nie przeczytał. Cytuje też czasem greckie słowa, ale również z posłuchu, nie dość wyraźnego. I tak na str. 333 czytamy że: „dzielny i energiczny heretyk Nestoryusz „(każdy heretyk u niego odbiera podobne hołdy) nauczał, iż Chry„stus powinien się nazywać Theophoras tj. noszący Boga albo The„odokos, przyjmujący Boga". Właściwie pierwsza nazwa ma być: Theophoros, druga zaś Theotokos, co znaczy Boga-Rodzica, nazwa oczywiście nie Chrystusa lecz Matki Boskiej, i to nie przez Nestoryusza używana, ale przez katolików przeciwko Nestoryuszowi Lecz Synpolski coś niewyraźnego dosłyszał o Nestoryuszu i o słowie Theotokos, i jedno z drugiem pomieszawszy, ukuł sobie nieistniejący wyraz: Theodokos i wziął go za hasło nestoryanizmu. Jeżeli Synpolski dostał promocyą do 4-ej klasy z greki — to chyba za pomocą korepetycyj.

Wszelako najciekawsze są cytaty z Pisma świętego. Tak np. chcąc dowieść nienawiści Chrystusa przeciw wszystkiemu, co jest na świecie, cytuje Łuk. XII. 49, 50. „Przyszedłem miotać ogień na „ziemię, a czegoż chcę, jedno aby był zapalon, a jakom ściśnion, aż „się dokona". Pierwszy raz, sądzę, znalazł się człowiek, coby tym słowom takie znaczenie podstawił. A że, *notabene*, w pośrodku tego tekstu w ewagielii znajdują się słowa: „chrztem mam być ochrzczony, a jakom ściśnion i t. d." — słowa wyraźnie wskazujące, że ten tekst ma całkiem inne znaczenie, autor je przez nieuwagę wypuścił. Na dowód znów, że podług Apostoła niewiasty nie mają duszy, cytuje on słowa z II. listu do Tymoteusza, III. 7. „Zawsze się uczą, a nigdy ku uznaniu prawdy nie przychodzą" (str. 207) — słowa, które nic podobnego nie znaczą, a w dodatku, wcale się do niewiast nie odnoszą. Na dowód, że według św. Jana, w Jerozolimie niebieskiej nie ma żadnej kobiety, cytuje Apokalipsę IV. 7, bez przytoczenia słów. Szukam z ciekawością wskazanego tekstu i znajduję, że tam tylko mowa o czterech zwierzętach apokaliptycznych. Chyba

to obeszło Synapolskiego, że nie wymieniono niewiasty w liczbie tych zwierząt? Tamże (na str. 207) pisze Synpolski, że Jezus „marzył tylko o rozerwaniu związku między mężem i żoną“ — zapewne autor miał na myśli słowa Chrystusowe: „co Bóg połączył, niechaj człowiek nie rozłącza“. (Mat. XIX. 6).

Na podstawie takiej erudycyi można pojąć, że autor tak pisze o Kościele, jak gdyby z księżyca spadł, i w tem właśnie czyni Kościołowi zarzuty, w czem cała historya i sami nieprzyjaciele Kościoła, największe jego zasługi uznają. I tak na str. 113 Kościół przedstawia jako obrońcę i krzewiciela niewolnictwa, na str. 207 oskarża go o poniżenie w społeczeństwie niewiasty, na str. 195 wystawia go jako tępiciela narodowości... i t. p. Ale co jest trudniejszem do pojęcia i prawdziwą psychologiczną zagadką, to ta nienawiść i zaciekłość, z jaką ten nieszczęśliwy miota się przeciwko chrystyanizmowi, jako takiemu, przypisuje mu wszelkie zło, jakie jest i jakiego nie ma na świecie: szerzenie nietylko ciemnoty, okrucieństwa, ofiar ludzkich, — ale niemoralności, bałwochwalstwa i t. d.; przezywa go ohydnemi nazwami, których powtórzyć się wzdrygam, przeciwstawia jego nauce moralnej etykę pogańskich filozofów i poetów, religijne zasady Mahometa, Chińczyków, Persów i t. d. — w tem wszystkiem widzi samą piękność, zacność, czystość, a w chrystyanizmie tylko ohydę, przewrotność, brud, krew... Nie do uwierzenia! a jednak prawda. Co więcej: miotając się i pieniąc jak potępieniec przeciwko samemu Bogu, nazywa go „ludożerczym bogiem hebrajów“; na boską osobę Chrystusa Pana, rzuca tak obrzydliwe bluźnierstwa, że nie wiem czy coś podobnego od przyjścia na świat Zbawiciela z ust ludzkich wyszło. Cała książka jest pełna tej szkarady, ale końcowy rozdział pod tytułem: „Awanturnicza ambicya Jezusa“ jest jej stekiem. Oto jak sam zresztą streszcza swój wywód:

„Porównując chrystyanizm z innemi przeszłemi i teraźniejszemi „wyznaniami i pojęciami, widzimy że jego przeznaczeniem i zamiarem „nigdy nie było: ustalenie praw moralnych w żyjącym świecie... „Chrześcijanizm żyje i podtrzymuje się trzema uczuciami: nienawiścią ku światu, nadzieją łaski narodzonego w Nazarecie Żyda „Jehoszjua, i strachem męczarni piekielnej. Wszystkie inne uczucia „i zdolności ludzkie jak również i wszystko co się dzieje w rzeczywistym świecie, całkiem nie należy do chrystyanizmu. Poży-

„czone z innych wyznań maksymy miłości bliźniego i miłości ludz-
„kości, wyglądają tam jako niewłaściwe i nieharmonizujące się
„akcesorya, a bez których jednak żadna religia byłaby niemożebną.
„Chrześcijanie obdarzyli swego boga przeważnie trzema przymio-
„tami: próżnością, która wyjawia się w fantastycznem tworzeniu
„i niszczeniu świata, naiwną dumą, co się pyszni pochlebstwami
„i chwalebnemi hymnami, dziką złością, która napawa się wieczną
„zemstą przez piekielne męczarnie. Oto jest rzeczywista troistość
„niebieskiego ojca Jezusowego“...

Stój! szaleńcze — choć niezdolny jesteś myśli podnieść w gó-
rę — opamiętaj się przynajmniej, że żyjesz wśród chrześcijan —
a ubliżasz nietylko chrześcijańskim, ale ludzkim uczuciom.

Ale czemuż się unoszę? — ostatecznie, wolę takiego szaleńca,
który pieni się i bluźni ostatniemi słowy Zbawicielowi, aniżeli
takiego Renana, który wyraża się o Nim z największą czcią, uwiel-
bia jego charakter i czyny najpiękniejszemi słowy, a pod tem
blichtrem pokłonu, przeczy Jego bóstwu i czyni go szalbierzem.
Renan może zwieść — obrzydliwe piśmidło Synapolskiego może
tylko obrzydzenie wzbudzić. Pan Jezus, sądzę, woli być bluźnionym
jak Go bluźnią potępieńcy, aniżeli być uwielbianym między pół-
bogami ludzkości.

Zresztą w gruncie rzeczy ani tej książki, ani tego człowieka
nie można brać na seryo. W tem, co dotąd przytoczyłem na wy-
rywki, dosyć już widać nieładu myśli i nierównowagi w mózgu;
ale wertując stronę za stroną, coraz więcej się człowiek w tem
przekonaniu utwierdza: co krok zdania bez sensu, jak np.: „Przez
„objawienie naukowe wskazaną nam jest wielka, głęboka, nieskoń-
„czona tajemnica światowa w Czasie, w Stności, w Materyi, w Ru-
„chu!“ — co chwila logiczne sprzeczności: na jednej stronie np.
stanowcze zaprzeczenie celowości w przyrodzie, na drugiej uwiel-
bianie jej celów: „Natura dała nam zmysły, które służą za narzędzia
„do myślenia, za rusztowania, sposoby i środki do niego. Dała
„nam jednak to wszystko nie dlatego, ażeby zbrodniczo nad niemi
„się pastwić, a właśnie w celu aby korzystnie się niemi po-
„sługiwać i same te zmysły przez rozumne używanie doskonalić“...
W końcu cała ta książka jest o wszystkiem i o niczem; nie podo-
bna w niej żadnego ładu ni składu dopatrzeć. Pierwsza część pod

ogólnym tytułem: „Krytyka“, taki ma szereg rozdziałów: „Religijna „stagnacya — Sprzeczność zasad religii z prawami natury — „. . . . — Wyobrażone postulaty wiary w obec logicznych wnio- „sków rozumu: — Moralność — Prawo — Natura — Wieczność — „Skończenie Świata — Przeznaczenie — Doskonałość — Wolna wo- „la — Grzech — Potępienie — Kara Boska — Obraz Boży — „Zbawienie — Ofiary — Modlitwa — Post — Umartwienie — „Cierpienia i Męczeństwo — Ebionizm — Komunizm — Asce- „tyzm — Marnotrawstwo — Niewola — Kłamstwo — Hipokry- „zya — Duma i Pokora — Strach — Szatan — Czarodziejstwo — „Niepokalane Poczęcie — Zmartwychwstanie — ....Naśladowanie „Jezusa — Kosmopolityzm — Niebo — Czyściec i Piekło — Duch — „Objawienie — Kapłaństwo — Taumaturgia — Godło — Biblia — „Bóg . . .“

Co za logiczny związek między temi pojęciami? A pod temi wszystkiemi tytułami, wiecznie w kółko jedno i to samo się powtarza: krzyki na inkwizycyę, wyklinanie Jezuitów, bluźnierstwa przeciwko nauce i Boskiej Osobie Chrystusa Pana... Znużony temi niedorzecznościami, przechodzi czytelnik do drugiej części, niby dodatniej, pod tyt.: „Teorya“ — i choć tu spodziewa się coś dodatniego znaleść. Nagłówki rozdziałów są przynajmniej pozytywne: „Matematyka — Astronomia — Fizyka — Chemia — Mechanika — „Geologia — Etnologia — Logika — Filozofia, czyli prawdowie- „dza — Stały postęp rozwoju umysłowego i t. d.“ Ale pod temi nagłówkami znowu nic innego, tylko deklamacye przeciwko inkwizycyi, przeciwko nauce moralnej Pana Jezusa... zupełnie jak w pierwszej części. Gdzieniegdzie tylko jakaś wzmianka o nauce, jakaś definicya, zdradzająca za każdym razem głębokie nieuctwo Synapolskiego. Ciekawą jest między innemi definicya logiki: „Logika jest „specyalną nauką praw, według których odbywa swą czynność sy- „stem nerwowy w naszym organizmie“. Czemże się różni twoja logika, miły autorze, od rozdziału fizyologii o nerwach? Przyznam jednak, że twoja definicya wiele mi tłumaczy w twojej książce, gdzie w istocie funkcye nerwów są jedyną logicznością.

Znamienitem jest wreszcie pod względem porządku myśli „Zakończenie“ — z którego choć krótki ustęp ośmielę się jeszcze przytoczyć. Autor, zachwycony dokonanem dziełem, kończy lirycznem

porównaniem religii, którą zwalczył, z umiejętnością której zwycięztwo zapewnił. „Religia — mówi — jest krańcem dwóch nie„skończonych ostateczności (!) — wiedza jest środkiem w koniecz„nych granicach. Religia reprezentuje powagę i wiarę, despotyzm „i niewolę, absolutny konserwatyzm i ultra-radykalizm, stagnacyę „i anarchię — wiedza jest reprezentantem rozumu, sceptycyzmu, „równo-uprawnienia, oświaty, swobody i stałego postępu. Religia „to nieskłonność i abstrakcya — wiedza jest konieczną funkcyą (?!) „Religia jest dobro i zło — wiedza, doskonałość. Religia jest to „nadzieja i rozpacz — wiedza, pewność (wyżej była sceptycyzmem). „Religia jest łaska i gniew — wiedza, słuszność. Religia jest du„ma i pokora — wiedza, godność (!). Religia jest poświęcenie i apa„tia — wiedza, praca. Religia jest błogość i ofiara — wiedza, „szczęście. Religia jest to zuchwałość i strach — wiedza, męstwo. „Religia jest to reglamentarność *(sic)* i niesforność — wiedza, po„rządek. Religia jest to brahmin i parias, biskup i pokutnik, pa„sterz i owieczka, pan i wierny, książe i poddany — wiedza jest „to obywatel, grażdanin“ *(sic)* (str. 487).

Proszę samemu osądzić, czy takie zjawisko w dziedzinie umysłowej, nie jest patologicznem, i czy nie zasługuje na opiekę psychiatrów?

Ale jakim sposobem znalazła się w Polsce, i to w Krakowie, drukarnia, co się podjęła wydać na świat taką ohydę, plamiącą piśmiennictwo polskie? Jakim sposobem znajdują się księgarnie co ją rozprzedają?

Jakim sposobem władze czuwające w granicach ustaw nad moralnością publiczną i poszanowaniem religii, mogą pozwalać na drukowanie i propagandę podobnych książek? Prawnikiem nie jestem, ale zdrowym rozsądkiem nie widzę możności pogodzenia kroci najohydniejszych bluźnierstw zawartych w książce Synapolskiego, z paragrafem 122 (107) „Powszechnej ustawy karnej“ — nawet po wyłomie, który ustawa z 25 maja 1868 w tym paragrafie zrobiła[1].

[1] Kiedy idzie o rzecz polityczną, nawoływanie władz może być ze strony obywatela niegodną delacyą; ale kiedy idzie o strzeżenie ustaw, broniących moralności, religii, społecznego porządku, jestto zawsze prawem a często i obowiązkiem każdego obywatela. Jeśli słuszna złodzieja oddać policyi — jeśli uchodzi

Jakim sposobem wreszcie — to największa zagadka — podobna książka mogła się doczekać trzeciego wydania? Gdzie takie piśmidło mogło znaleść odbyt? — w warstwach prawdziwie wykształconych, ani mowy: po przejrzeniu pierwszej kartki każdyby tę książkę rzucił. Między młodzieżą uniwersytecką — nie ma, sądzę, w całej Polsce tak ciemnych i zakutych głów, którychby niedorzeczności historyczne i logiczne tej książki odrazu nie zraziły. Między studentami średnich klas, subjektami, kelnerami, pewnie się coś egzemplarzy rozprzedało — lecz ostatecznie to książka za droga dla nich — chyba że autor, z poświęcenia dla Idei, za darmo im ją rozdaje. Między ludem, ani wspominać o tem warto. Gdzież się więc ta książka rozeszła? — Napróżno głowę sobie łamię nad tą zagadką. Aż w ostatniej chwili przyszło mi na myśl posłać do szpitala św. Ducha z zapytaniem, czy tam jaki propagator tej książki nie rozprzedaje — może choć ztamtąd otrzymam twierdzącą odpowiedź.

Gdybym nie miał sobie za grzech podniecać do czytania tej książki, rozpisałbym dwa premia: jedno dla tego, ktoby znalazł choć jedną kartkę w „Idei“ bez trzech błędów językowych, trzech fałszów historycznych i trzech niedorzeczności logicznych — drugą dla tego, coby wytłumaczył, jakim sposobem Idea trzeciego doczekała się wydania.

X. M. Morawski.

Stosunki polskie po śmierci Leszka Białego w r. 1228. Napisał *Kazimierz Szkaradek.* Kraków 1886, str. 95.

P. Kazimierz Szkaradek, autor wyżej wymienionej rozprawy, występuje po raz pierwszy na polu naukowem. Bodźcem do niej były mu prace seminaryjne, uskuteczniane pod kierunkiem Dra St. Smolki, a pomocą — rady i wskazówki dwóch innych profesorów wszechnicy Jagiellońskiej: W. Zakrzewskiego i A. Lewickiego. Nic więc dziwnego, że pod takiemi wpływami i taką zachętą pierwsza nawet praca młodego autora posiada zalety dobrej szkoły historycznej!

Treścią tej rozprawy jest wyjaśnienie spornej kwestyi opieki nad Bolesławem Wstydliwym, wywołujące, po gwałtownej śmierci Leszka Białego

---

„Towarzystwu ochrony zwierząt“ nawoływać władze do strzeżenia istniejących praw w tym zakresie i denuncyować biednego chłopa, który konia lub osła maltretuje — jakżeż nie ma być słusznym wzywać władze do przestrzegania ustaw chroniących obyczajowość i nakazujących poszanowanie dla naszej wiary i najdroższych nam uczuć?

w Marcinkowie, szereg zjazdów ze strony pretendentów do opieki nad małoletnim i regencyi w W. Ks. Krakowskiem. Pierwszeństwo w tym względzie należało się niewątpliwie wdowie po Leszku Białym, tytułującej się od śmierci swego męża w listopadzie roku 1227 po maj 1228 nietylko w. ks. krakowską i sandomierską, ale nawet księżną całej Polski („Ducissa Poloniae"), jak o tem można się przekonać z przywileju nadanego biskupowi kujawskiemu Michałowi na prawo polowania w lasach wolborskich i Cystersom jędrzejowskim. (Autor niewłaściwie pisze „Andrzejowskim". „Andrejew" jestto dzisiejsza nazwa urzędowa).

Rządy w. ks. Grzymisławy byłyby niewątpliwie najdogodniejsze dla ambitnych przywódców możnowładztwa, jak Iwo, biskup krakowski, lub wojewoda Pakosław. A jednak za sprawą tego możnowładztwa, powiada autor, pragnącego odegrać rolę rozjemcy pomiędzy pretendentami, ustępuje księżna-wdowa. Sądzę, że okoliczność ta nie jest należycie wyjaśnioną w broszurze p. Szkaradka. Na precedensach rządów niewieścich, przy współudziale możnowładztwa, nie zbywało w Polsce, jak tego dowodem czasy Heleny, matki Leszka Białego, a biskup Iwo lub wojewoda Pakosław mogliby wybornie zająć takież stanowisko w państwie, jak biskup Pełka lub wojewoda Mikołaj, zwłaszcza że dwudziestoletnie „liberalne", jak chce p. Szkaradek, a właściwie powolne dla możnowładztwa rządy Leszka Białego, mogły w niem tylko wznowić podobne pragnienia. Rola współregentów byłaby bez wątpienia większej doniosłości, jak rozjemców, wyczekujących dopiero nagrody za oddane jednemu z pretendentów usługi.

Oprócz w. ks. Grzymisławy z prawami do opieki i regencyi występują dwaj książęta: Konrad mazowiecki, stryj małoletniego, i Władysław Laskonogi, ks. wielkopolski. Pierwszy z nich opierał swe prawa na zasadzie dziedziczności linii Kazimierzowej w W. Ks. Krakowskiem, a w Sandomierskiem na mocy prawa senioratu, znajdującego zastosowanie w poszczególnych dzielnicach; drugi zaś powoływał się na jakiś układ spadkowy pomiędzy nim a Leszkiem Białym. — Ponieważ wartość układu spadkowego w obec zasady rodowej, przyznającej prawo sukcesyi bliższym krewnym, była więcej niż wątpliwą, dlatego uważa autor wystąpienie Władysława Laskonogiego, jako manewr ze strony księżny Grzymisławy i możnowładztwa krakowskiego, obliczony na usunięcie od opieki niemiłego dla stron obu Konrada. Znana gwałtowność i dzikość tego ostatniego (zamordowanie wojewody Krystyna), były postrachem dla wielmożów małopolskich, a obawa, aby nie pokrzywdził jej syna na korzyść własnych potomków, czyni księcia Mazowieckiego niemiłym Grzymisławie.

Sprawa o opiekę ma być rozstrzygniętą drogą układów, a gdyby te nie doprowadziły do żadnego rezultatu — orężem. Zajmowano się nią zatem na zjazdach w Skarzeszowie i Bejcach, lecz bezowocnie. Na zjeździe w Skarzeszowie (pogranicze Małopolski i Mazowsza) sprawy nie załatwiono, najpierw dlatego, że nie było tam Władysława Laskonogiego, a powtóre, ze względu na niewątpliwe prawa Konradowe i geograficzne położenie miejscowości, nie śmiano wręcz wystąpić przeciwko gwałtownemu księciu. Na zgromadzeniu w Bejcach (w Sandomierskiem) — upamiętnionych nadaniem zakonowi Krzyżackiemu, przywilejem z d. 22 kwietnia 1228 roku, ziemi chełmińskiej i wsi Orłowa — wprawdzie znajdowali się obaj pretendenci, lecz sprawa nie posunęła się również naprzód, być może z tego powodu, że Konrad mazowiecki znalazł

stronników wśród panów małopolskich (w rodzinie Toporczyków), a pominięcie go mogłoby wywołać natychmiastowe kroki nieprzyjacielskie.

Najwłaściwszem, albo raczej najniebezpieczniejszem miejscem dla postanowień niekorzystnych Konradowi, mógł być tylko Kraków. Decyzya w kwestyi opieki zapadła też ostatecznie w stolicy Małopolski. Straszny napad pogańskich Prusaków na dziedziczne Mazowsze, współczesny zjazdowi krakowskiemu, dodać musiał ochoty przeciwnikom Konrada i rozstrzygnąć kwestyę opieki na korzyść Władysława Laskonogiego, jednoczącego tym sposobem w swych rękach obie główne dzielnice: wielkopolską i małopolską.

Dowodem zaś niewątpliwym przyznania opieki Władysławowi Laskonogiemu, mogą posłużyć dwa dokumenta, wydane w Cieni, wiosce położonej pomiędzy Kaliszem a Sieradzem, w których możnowładztwo duchowne i świeckie zbierało plony swej przychylności dla księcia Wielkopolskiego, zyskując odeń zapewnienie, iż „biskupów i magnatów rady trzymać się będzie, bacząc na to by inni jej się trzymali", a dla Kościoła, oprócz powyższego ogólnego przywileju, uwolnienia od podatków i ciężarów, uważanych za niesłuszne, jak: „przewod", „powoz",„poradlne", „stróża", „narzaz", „ściganie złoczyńców" i t. d.

Konrad tymczasem, przymuszony troszczyć się o bezpieczeństwo własnej dzielnicy, nie może dochodzić swych praw do opieki nad małoletnim Bolesławem Wstydliwym z orężem w ręku. Na pomoc krzyżacką długo jeszcze czekać potrzeba było. Tworzy zatem nowy zakon rycerski, kawalerów dobrzyńskich, celem zabezpieczenia Mazowsza przeciwko pogańskim Prusakom. Teraz dopiero może zająć się sprawami małopolskiemi, licząc w części na swych stronników w dzielnicy małoletniego, a przedewszystkiem na pomoc książąt halickich: Daniela i Wasylka, synów Romana.

Przy osobistym współudziale obu Romanowiczów, przedsiębierze Konrad wyprawę na Halicz, opisaną tak malowniczo w „Kronice wołyńskiej". Zajęty współcześnie walką ze swym bratańcem Odoniczem, nie daje Władysław Laskonogi żadnej odsieczy oblężonemu Haliczowi. Miasto poddaje się Konradowi, a książęta ruscy biorą znaczny okup od Haliczan.

W ten sposób staje się Konrad na razie panem Małopolski, ale w następstwie ściąga na się nową walkę o opiekę z Henrykiem Brodatym, z której książe wrocławski wychodzi ostatecznie (1230 roku) zwycięsko, przy pomocy wrogich w przeważnej większości Konradowi wielmożów krakowskich.

Walka o opiekę — opowiedziana przezemnie podług rozprawy p. Szkaradka — pociągnęła za sobą ważne następstwa. Mniejsza już o wezwanie w rozterkach wewnętrznych pomocy Rusinów, przechwalających się piórem kronikarza wołyńskiego z niesłychanie dalekiego zapuszczenia się w głąb krajów lechickich, ale straszne w swych następstwach usadowienie się Krzyżaków w Prusach zostaje niewątpliwie w związku z zatargami małopolskiemi i niepohamowanem pragnieniem Konrada utrzymania się przy opiece nad swym bratańcem, co stara się udowodnić autor „Stosunków polskich po śmierci Leszka Białego", idąc w tym względzie za zdaniem uczonego Perlbacha.

Rozprawa p. Szkaradka opracowana jest bądź podług źródeł, bądź podług najlepszych dzieł historycznych, odnoszących się do tego przedmiotu. Jak na początkującego pisarza, posiada on rozległą znajomość materyału historycznego tej epoki i umiejętnie z nim się obchodzi. Możnaby mu nawet uczynić zarzut szafowania cytatami tam, gdzie nie zachodzi najmniejsza potrzeba. Powoływa-

nie się na źródła w ówczas tylko jest konieczne, gdy się nasuwa jakaś wątpliwość, jakaś kwestya sporna, lub odsłania się fakty skądinąd nieznane; w przeciwnym bowiem razie ogromny aparat cytat i wyciągów ma pozor popisu erudycyjnego. Trudno np. zrozumieć potrzebę cytaty z rozprawki p. Droby — i to aż z trzech różnych miejsc — dla stwierdzenia frazesu: „W ciągu dwudziestoletnich i to liberalnych rządów Leszka Białego"; lub trzech cytat do następnej wiadomości: „Ciało jego (Leszka Białego), z Marcinkowa do Krakowa sprowadzone, tamże ze czcią zostało pochowane". Niekiedy niepodobna nawet odgadnąć, dlaczego i do czego autor używa poparcia źródeł. Tak np. w zdaniu (str. 16): „Aby imię zabójcy męża uczynić popularnem między Rawitami" (Mowa o zamordowaniu wojewody Krystyna przez Konrada mazow.) znajdujemy dwie cytaty: jednę przy słowie „imię", drugą przy „Rawitami".

W gorliwości cytowania czerpie autor nawet z takich źródeł, które niemi nie są i być nie mogą. Na takie tylko źródła można się powoływać zdaniem mojem, które dadzą się sprawdzić lub których istnienie w pewnej, niezmiennej formie nie ulega najmniejszej wątpliwości. Tymczasem p. Szk. powołuje się na wykłady jednego ze swych najmłodszych profesorów. Notatki, spisane z wykładów profesorskich, z natury swojej ulegające zmianom, przerobieniom lub uzupełnieniom, a przedewszystkiem nie dające gwarancyi dokładnego odpisywania, — w żadnym razie nie mogą rościć pretensyi do powagi źródła historycznego.

Po przeczytaniu pracy p. Szkaradka nasuwa się pomimo woli jeszcze jedna uwaga. Autor robi widoczne usiłowania, aby styl swój uczynić obrazowym, w skutek czego wpada niekiedy w przesadę lub napuszystość, utrudniającą czytanie jego pracy. — Powaga i prostota były i pozostaną nazawsze największą zaletą stylu naukowego. Dla nas, przyzwyczajonych do treściwości stylu historycznego ś. p. Szujskiego, gdzie obfitość myśli zdaje się rozsadzać ciasne ramy językowe; do tej prawdziwie klasycznej harmonii, jaka istnieje pomiędzy treścią i formą w pismach ks. Kalinki, lub do przezroczystej jasności stylu prof. Bobrzyńskiego — czemś nielicującem z powagą naukową będą następujące ustępy: „Zaledwie pół wieku polyska seniorat niepewnym blaskiem zorzy wieczornej i gaśnie razem z ostatnim synem swego ojca po duchu"; „katastrofa gąsawska to węzeł, z którego wysnuta nić na kilka dziesiątków lat nowe dzierzga wzory w różnobarwnej tkance dziejów XIII. wieku" i t. p.

Błędów znaczniejszych nie dostrzegłem. Tylko na str. 27 mylnie autor powiada, że W. mistrz Hermann v. Salza w r. 1228 zajęty był przygotowaniami „do czwartej wyprawy krzyżowej", mając zapewne zamiar powiedzieć do piątej, bo podczas czwartej wyprawy H. von Salza nie był ani wielkim mistrzem — obrany na tę godność dopiero r. 1210 — ani nie brał w niej żadnego udziału.

A. Sulima.

Dzieje nowożytne w obrazach, według dzieła Grube'go z dodatkiem historyi Sławiańszczyzny — opracowała *Z. Zajączkowska*. Tom III. Warszawa nakład Hösika.

Kronika jednego z ostatnich zeszytów gnieźnieńskiego miesięcznika „Bogarodzica" stawia niniejszą książkę na „Czarnej tablicy" z ostrzeżeniem „nie kupować", idąc za jego przykładem powtarzamy tę radę dodając słów kilka

w celu objaśnienia szkodliwości tego siewu rzuconego na niwę młodocianych umysłów.

Zadaniem każdej pedagogicznej książki jest rozświetlać umysł dziecięcia i kształcić jego duszę. Pisarze oddający się temu zawodowi jeśli się istotnie trzymają tej pięknej myśli przewodniej, mają zawsze prawo do wdzięczności ogółu. Ale nie zawsze się to dzieje, częstokroć zamiast dobroczynnych wpływów książka tworzy zamęt w główce, a co gorzej zaszczepia mylne pojęcia i spacza umysł błędną wiedzą. Wyobraźnia dziecięcia przyswaja sobie łatwo cudze przekonania, niezawiedziona wiara robi z nich *Credo* a pamięć te pierwsze wrażenia zapisuje niezatartemi głoskami — stąd odpowiedzialność pisania do olbrzymich rozmiarów urasta, nie ma bowiem przed sobą uzbrojonego w skalpel krytyki audytoryum ale — audytoryum pełne podziwu i wiary.

Nie jednokrotnie pojawiały się w literaturze naszej mniej lub więcej szczęśliwe próbki obrazów historycznych dla młodzieży; zawsze to jednak były luźne opowiadania — wzięte najczęściej z ojczystej tylko historyi. Nie dziwimy się też wcale p. Zajączkowskiej, że praca Grube'go obudziła w niej chęć podania naszej młodzieży podobnej publikacyi ogarniającej historyę całego świata, w formie łatwej, aby młody wiek dla rozrywki mógł ją wziąść do ręki, myśl była piękną — ale wykonanie nieudolne i wadliwe. Pisząc po polsku pracę swoją chciała zapewne autorka poświęcić naszemu polskiemu i katolickiemu społeczeństwu. Tymczasem tom 3-ci „Obrazów", obejmujący przeważnie hihistoryę reformacyi wytworzył książkę protestancką, zawziętą przeciw katolicyzmowi, którą przez pomyłkę tylko matka włożyć może do ręki swojego dziecka. Ślepa przeróbka dzieła niemieckiego pisarza daje galeryę portretów biograficznych, pomiędzy któremi Melanchton, Zwingli, Luter i Kalwin występują jako apostołowie postępu i obrońcy praw człowieka przeciw ciemnocie duchowieństwa — w nowszych zaś czasach Józef II, jako ideał monarchy, jego innowacye, to ludzkość i postęp, jego bezprawia i samowola, to mądrość i szlachetność, która powinna rządzić światem.

Krytyczny zmysł nieodzowny jest historykowi, ale i kompilatorowi obejść się bez niego niepodobna — a jako dowód tego twierdzenia posłużyć może praca p. Zajączkowskiej, która wraz z Grube'm walczy przeciw katolicyzmowi, głosząc chwałę reformacyi dopóki stąpa po germańskiej ziemi — w Anglii obojętnym okiem patrzy na krwawe sceny, wywołane odszczepieństwem, dzieciom tylko hiberyjskiego półwyspu, szlachcicowi Lojoli i Hiszpanowi Fran. Ksaweremu przyznając pewne zasługi. Kiedy zaś czerpie z innego źródła historyę ziem słowiańskich, nie jedno znajduje słowo uznania dla złoto-ustego Skargi i zapisuje dobroczynne wpływy Kościoła.

Składana i iście kompilatorska robota tej książki, nie może ujść wprawniejszego oka. Myślano mało — nie zdobyto przekonań własnych, ani sądu własnego o wypadkach dziejowych, ale pisano, aby pisać i co rychlej ulepić książkę, zapominając, że myśl, która książkę rodzi, stanowi prawdziwą jej wartość.

Wyliczenie, a tem bardziej sprostowanie błędów, zawartych w „Dziejach nowożytnych", przeszłoby o wiele rozmiary naszego sprawozdania — zresztą są to rzeczy stare i powszechnie znane, dające się łatwo rozświecić pierwszą dobrą historyczną książką — chodzi zaś nam jedynie o wykazanie jakie być winny książki poświęcone młodzieży, i jak wielka cięży odpowiedzialność na tych, co przygotowują duchowy pokarm przyszłych pokoleń. Rozpowszechnienie

bowiem historycznych błędów, nieraz większe i szersze od prawdy, winniśmy nieumiejętnemu popularyzowaniu nauki. Książka p. Zajączkowskiej, napisana w formie pociągającej, lotnej — językiem pięknym, zająć może nie jedną młodą główkę wiedzy chciwą, raz więc jeszcze przestrzegamy rodzicielską troskliwość, bo trucizna zawsze nęci. *M. S.*

Dzieje Litwy, opowiedziane w zarysie, przez *Konstancyą Skirmuntt.* Z trzema mapami. Kraków 1886. Str. VII. 151.

Zaprzeczyć nie można, że dawne dzieje bratniej nam Litwy, bardzo niedokładnie w szerszych kołach publiczności są znane. O starodawnej Litwie przed złączeniem jej z Polską, wiemy w ogóle tyle, ile w poezyach swych nauczył nas Mickiewicz, lub Słowacki; do poważnych dzieł historycznych Narbutta, Stadnickiego, Daniłowicza, nie każdy chce, a wielu nie może zaglądnąć. Dotkliwemu temu brakowi popularnego dziełka o historyi pobratymczego nam kraju, zaradzają „Dzieje Litwy“, nie odstraszające długiemi przypiskami i uczonemi sporami, a pociągające treścią ciekawą i nauczającą, stylem niewyszukanym, łatwym, a zawsze poprawnym. W pierwszej linii przeznaczyła autorka swą książkę dla kształcącej się młodzieży; ale choć kto z ławą szkolną nie ma bezpośredniej styczności, z korzyścią i przyjemnością „Dzieje Litwy“ odczyta. Spodziewać się można, że książeczka ta znajdzie się w każdym domu, jak długa i szeroka Polska; żadna matka, żaden nauczyciel nie zechce się pewnie tej pomocy pozbawić, a przyjdzie mu to bez trudności, gdyż „Dzieje Litwy“ otrzymały zatwierdzenie warszawskiej i petersburgskiej cenzury.

B.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

La Morte par Octave Feuillet. Paris 1886.

„Bardzo nie lubię powieści z wyraźną tendencyą nawracania niedowiarków; poczciwe to są zazwyczaj płody literatury, ale bardzo nudne i wątpię czyli kiedykolwiek kogo nawróciły... Nie przemawia też do mnie rodzaj powieści filozoficznych, gdzie zamiast żywych typów i różnorodnych charakterów ścierają się ze sobą uosobione prądy wieku, sprzeczne zasady, „idee we frakach“, jak mawiał o tego rodzaju kreacyach Siemieński... A już chyba najwstrętniejszy ze wszystkich jest rodzaj powieści, w których o głównym przebiegu akcyi decyduje pospolita zbrodnia, choćby najbardziej wyrafinowana; wolałbym już czytać wprost akta sądowe głośnych spraw kryminalnych“...

Podobne zdania słyszałem nieraz i sam wyznawałem je jako najgłębsze własne przekonania. — Tymczasem ostatnia powieść Octava Feuilleta *La Morte* łączy w sobie wszystkie trzy powyżej wzmiankowane pierwiastki powieściowej muzy... mogłaby śmiało nosić tytuł: *Une cause célèbre manquée* — ohydna zbrodnia otrucia, zbyt wyrafinowana, żeby mogła wyjść na jaw przed kratki sądowe, jest głównym, decydującym wypadkiem w jej osnowie; nieliczne figury działające tak są wybrane, że uosabiają nam z jednej strony ujemne prądy wieku, z drugiej zaś filary odwiecznej chrześcijańskiej doktryny, w ciągłej walce ze sobą prawie dyalektycznej; w końcu powieść ta nie jest niczem innem, jak historyą nawrócenia paryskiego dandysa, *libre-penseur'a* do szpiku kości, na łono katolickiego Kościoła... a przecież pomimo tego wszystkiego, a raczej właśnie z tem wszystkiem razem, *La Morte* jest arcydziełem. Sam Feuillet dawniej w niejednym utworze w traktowaniu podobnych przedmiotów niezupełnie wyszedł zwycięsko; świadkiem niemiła *Julia de Trécoeur*, ckliwe sceny dyskusyj moralnych w Dalili i nieprawdopodobny w ostatnim akcie *Montjoye*. Widać, że są to szkopuły o które rozbijają się łatwo i pierwszorzędne talenty — tym razem jednakże autor na seryo przewyższył sam siebie i stworzył rzecz podniosłej i niespożytej wartości. Snać talent Feuilleta w sędziwym wieku, kiedy u innych zwykł chylić się do upadku, u niego doszedł do zenitu. Zawsze szlachetne jego pomysły, wykwintnej formy wielkoświatowej nie pozbawione nigdy, nabrały teraz jeszcze męskiej siły i jędrnej plastyki, tak, że gdy pierwej Feuillet nieraz był mdły i rozwlekły, w ostatnim utworze, aż czasem żal, że taki zwięzły i w słowach skąpy, chociaż w tem właśnie największy widzę artyzm tej powieści, że wszędzie użyto jak najmniej słów do oddania myśli i sytuacyj zupełnie jasno i żywo, obrazowo i wytwornie. Chyba tylko w jednej scenie możnaby wykreślić zdań parę, lub może tylko parę wyrazów, na czem najdrastyczniejsza chwila powieści wieleby zyskała, mianowicie gdy Sabina Tallevaut, po dokonanej rozmyślnej zbrodni jednej, wnet popełnia drugą, mimowolnie zabijając swego uczonego opiekuna, medyka, pozytywistę ostrzem jego własnych zasad, doprowadzonych przez młodą i piękną wychowankę do ostatecznych konsekwencyj, i gdy ona w takiej chwili niekiedy zbyt pedancko formułuje swe pociski, przez co śmiertelność tychże

nieco osłabia w poczuciu czytelnika. Zresztą wszędzie w przedstawieniu rzeczy klasyczna miara, *edle Einfallt, und stille Grösse.*

Przeciętnych, rodzajowych typów, lub historyczno-patologicznych okazów, jakie zaludniać zwykły dzisiejszy świat powieściowy we Francyi, nie ma tu wcale. Lecz przez to autor nie przenosi nas bynajmniej w jakiś świat idealny, któregoby nie było na ziemi; w towarzystwo uosobionych „idei w sukniach“ wcale nas nie wiedzie, gdyż owszem, wszystkie postacie tej powieści, dodatnie czy ujemne, chociaż przedstawiają nam główne prądy wieku, pomimo to żyją samodzielnem, najpełniejszem życiem i każda z krwi i kości jest nieodrodnem dzieckiem dzisiejszego francuskiego społeczeństwa. W całym utworze panuje nawet niewidziany przedtem u Feuilleta realizm „Romansu eksperymentalnego“, znać i tu wpływ zasad nowej szkoły, ale jakże pięknie przez autora zmodyfikowany! przez to iż są to zebrane same dusze niezwykłej miary i niepospolite, chociaż w danych warunkach zupełnie normalne i prawdziwe, tyle, że w odpowiednych okolicznościach do szczytu swej indywidualności rozwinięte i przez to klasyczne, tj. całą pełnię ludzkiej natury nam przedstawiające, gdy rozgrywają swój dramat.

Że zaś w tej powieści zbrodnia wielką gra rolę, wypływa to koniecznie z samego założenia całego utworu, który w dzisiejszej chwili jest czemś więcej niż prostą powieścią, bo pomyślany jest tak głęboko, i rzucony z taką siłą, że służyć może jako najwierniejszy dokument do analizy nieubłaganych następstw głównej dziś choroby wieku, i o d s t ę p s t w a o d w i a r y w i m i ę n a u k o w o ś c i.

Nowożytny poganizm naukowy, praktykowany jako system wychowania, choćby nawet, jak tu *par un Saint laïque,* jakim jest szlachetny i dobroczynny Dr. Tallevaut, modelowany przez autora widocznie według miary Littrégo, tego rodzaju dzisiejszy poganizm naukowy zaszczepiony od dziecka w sercu niewieściem, namiętnem, używania chciwem, musi wydać potwór bez sumienia, który przy pierwszej sposobności, w krytycznej chwili żywota, nie cofnie się przed zbrodnią. A zbrodnia ta właśnie służy autorowi w sposób dziwnie piękny i dosadny do wydobycia na jaw zasad wprost przeciwnych. W sercu młodego bohatera powieści wychowanego po chrześcijańsku i w tradycyjnym poczuciu honoru wysokiego rodu, zasady wiary, raz zachwiane i zmrożone tym samym poganizmem nauko-

wym, zabarwianym ironią uśmiechu Renana, jakim się dziś oddycha w Paryżu, nie dają się odżywić ani siłą argumentów rozumowych, ani przykładem świątobliwej żony, ani resztkami poczucia honoru. Na słodko grzeczny i litośny uśmiech dzisiejszej niewiary, niechętnej nawet dyskusyi w materyi tak drażliwej, a dawno już przesądzonej, próżno wysilać się z odpowiedzią w uczonych rozprawach. Duszy takim uśmiechem uzbrojonej nie zwalczy już moc sylogizmu, logika rozumu, lecz jedynie sama logika faktów, którą Bóg ma w swej mocy, jako ostatni argument piorunujący: ta tylko może doprowadzić duszę taką do opamiętania — gdy zmiażdżona i dotknięta do żywego zewnątrz następstwami tych zasad, lub raczej tego braku zasad, w którym już była spoczęła, naraz zbudzi się wśród bolu bez miary i w dawno zapomnianej modlitwie zwraca się do Boga...

Taką to szczytną tragedyę przedstawia nam ta powieść, w której cały żywot nad wyraz sympatycznej głównej bohaterki, cichem męczeństwem zbawienie duszy męża sobie wysługującej, zamknął autor w końcu pięknie, w tych kilku rzewnych słowach całą książkę streszczających: *Vivante, la pauvre enfant avait été vaincue: morte elle triomphait!*

Wysoka wartość moralna tego dzieła, kazała nam oddać mu hołd, i zwrócić nań uwagę naszej publiczności; lecz ostrzegamy zarazem, iż *La Morte* zdrową jest do czytania tylko dla dorosłych.

Dr. Ignacy Skrochowski.

Cursus Scripturae Sacrae. Commentarius in Job. Auctore *P. Josepho Knabenbauer.* T. J. Parisiis Lethielleux 1886.

Drugi tom omówionego już w „Przeglądzie“ dzieła biblijnego, niedawno temu wyszedł. Odpowiada on najzupełniej wymaganiom, jakich możemy od podobnego dzieła żądać, jak i nadziejom, jakie w nas budzą inne prace tegoż autora.

Każdemu chrześcijaninowi jest Job osobistością nader znaną. Od czasów św. Jakóba Kościół stawia go wiernym za wzór cierpliwości, a Ojcowie św. widzą w nim figurę cierpień Zbawiciela. Nie ulega też wątpliwości, że Job żył, chociaż jego historya podana w księdze noszącej jego nazwisko, przedstawiona jest w formie poetycznej. Księga ta należy do najpiękniejszych w starożytności, a jeżeli się zwróci uwagę na sztukę, z jaką przedmiot pozornie tak mało do poezyi się nadający, został ujęty i przedstawiony, słusznie uważać ją można za mistrzowskie dzieło czasów przedchrześcijańskich.

Jak się to dzieje — zaczyna poeta, — że sprawiedliwi tak cierpią, a przeciwnie bezbożni żyją w szczęściu? i jak się to zgadza z sprawiedliwością

Bożą rządzącą światem. Pytanie to odpowiedniejsze dla teologii spekulatywnej lub filozofii, przeprowadzone jest w nader poetycznej formie: Oto staje przed nami Job nędzarz, który krótko przedtem był bogaczem, pozbawiony dzieci, okropną nawiedzony chorobą, wyszydzony przez żonę i przyjaciół, i on to właśnie wylawszy w skargach swą żałość, stawia sobie to pytanie: Skądże to wszystko? Przyjaciele Joba są przekonani, że sprawiedliwy powinien być szczęśliwy a kara tylko występnych spotyka, Job zaś powołuje się na swoje sumienie, które mu żadnej winy nie wyrzuca. Rozpoczyna się rozmowa trzech przyjaciół, przeprowadzona z psychologiczną trafnością. Pierwszy z jego przyjaciół Eliphas dowodzi, że tylko grzesznicy cierpią, Job powinien więc pokutować. Na zaręczenie Joba o swojej niewinności, oświadcza Baldad, że i śmierć dziatek Joba jest sprawiedliwą karą, a nie poczuwanie się do winy jest grzechem. Job przeczy jakoby miał szemrać przeciw Bogu, jak i temu, że tylko niesprawiedliwi cierpią. A czyż nie ma grzeszników żyjących w szczęściu i poważaniu? Według zwykłych dróg Bożych, nie zasłużył na podobne nieszczęście, a jeżeli to ma być karą, to chyba wyjątkową za małe jego przewinienia. Na to Sophar, trzeci przyjaciel oświadcza, że cierpienia jego są o wiele mniejsze od winy. Na dowód przytacza mądrość Boga i potęgę, której nikt się oprzeć nie zdoła i napomina Joba ze swej strony do pokuty. Na to przemawia znów Eliphas i zwraca się przeciw dwom twierdzeniom Joba: że cierpi niewinnie i że bezbożni często cieszą się powodzeniem. Gdy Job nie przestaje zaręczać o swojej niewinności, powtórnie Baldad wykazuje mu, że tylko niesprawiedliwy upada, a Job jest oczywistym typem niesprawiedliwego. Napróżno błaga Job przyjaciół o litość. Jak pierwej w obec Eliphasa wzywał Boga na świadka swej niewinności, tak teraz w nim pokłada nadzieję, że w dniu zmartwychwstania sam podejmie sprawę niewinnego. Wszystko daremnie! Z tem większą gwałtownością, stara się go przyjaciel przekonać o przestępstwach i konieczności kary, która go spotkała. Job oparty na doświadczeniu, zbija błędną i fałszywą podstawę, na której się przyjaciele opierają, dowodząc jak rzadko występny popada w nędzę, jak nawet przy ogólnem nieszczęściu sam jeden bywa ocalon, i po śmierci jeszcze dobrej używa sławy.

Ale wywody te nie przekonały jego przyjaciół. W trzeciej przemowie usiłuje Eliphas znowu *a priori* swego dowieść rozumując: że jeżeli Bóg nie odnosi najmniejszej korzyści z dobrych czynów człowieka, to przez jego grzechy nie ponosi żadnej szkody; a więc w rozdzielaniu pomyślności lub nieszczęścia nie może się kierować korzyścią lub szkodą, ale jedynie sprawiedliwością. Jeżeli więc Job cierpi, to przyczyną tego jest mnogość jego grzechów. Napróżno Job powołuje się na nieskazitelne swoje życie i wzywa Boga na sędziego. Ale dlaczegóż to on sam cierpi? Na to nie znajduje odpowiedzi. To tylko pewnem, że często niesprawiedliwi gnębią cnotliwych i zażywają spokoju w swych nieprawościach. Mowa Joba wywiera wrażenie na Baldadzie. Powtarza on wprawdzie, co powiedział o majestacie bożym i grzechach ludzkich, ale mimo to wyznaje że nie umie sobie losu Joba wytłumaczyć. Sophar usuwa się od dysputy wyczerpawszy swoje argumenta, a Job może tryumfować: jestem niewinny a wasze nauki błędne. Człowiek nie posiada mądrości, koniecznej do zrozumienia rządów Bożych w świecie. Jednego trzeba: Boga się bać i unikać złego. Tymczasem cierpi on tak wiele będąc sprawiedliwym. Kwestya więc pozostaje nierozwiązaną; to tylko zostało dowiedzionem: że dobre i złe na ziemi

rozumowi nie znajdują zapłaty, nie więc nam nie pozostaje jak poddać się mądrym wyrokom i mocy Bożej. Jednakże sam Job wykazuje na sobie, że podobna odpowiedź nie zaspokoi człowieka, kiedy zestawi swe cierpienia ze swoją niewinnością.

Dalszy przebieg stanowi wstęp do rozwiązania. Pojawia się czwarty mówca Eliu. Przyjaciołom Joba wyrzuca niesprawiedliwość względem niego, Jobowi zaś gwałtowność i niecierpliwość. Jego zdaniem Bóg doświadcza ludzi, aby porzucili złe, uchronili się od zarozumiałości i wyleczyli się z ran serca. Cierpienia i dla dobrych są zbawienne, chronią ich bowiem od złego i utrzymują na dobrej drodze. Pokora i poddanie się, oto co przystoi Jobowi. Aby go do tego nakłonić, przedstawia mu majestat i mądrość Boga objawiającą się w stworzeniu, a z drugiej strony nieświadomość i niemoc człowieka. Naraz pojawia się Bóg w wichrze. W podniosłej mowie podnosi Bóg argumenta Eliu, Job upokarza się a przyjaciele ponoszą karę. W epilogu widzimy znów Joba w dobrobycie jeszcze hojniej niż przedtem od Boga obdarzonego, i tak co dotąd było teoretyczną prawdą zostaje czynem stwierdzone.

Rezultat mimo to nie byłby zupełnie jasny, gdyby właściwego rozwiązania zagadki nie zawierał prolog odgrywający się w niebie. Wysoko po nad ludźmi panuje miłość; ona obraca zamachy potęgi wrogiej na dobro ludzi, i sprawia, że wynikające stąd cierpienia stają się źródłem zasługi i nagrody dla człowieka.

Podaliśmy to streszczenie obszerniej, według O. Knabenbauera, ponieważ tu leży główna zasługa wydanego komentarza. Dowód, że mowy Eliu nie pochodzą, jak to twierdzą Wette, Krobels i inni od późniejszego interpolatora, jest przekonywająco przeprowadzony. Aby ocenić należycie mowy Eliu, trzeba się zapytać o winę Joba. Jeżeli cierpienia jego miały go zachować od zarozumiałości, to musiały stać w pewnem stosunku do jakiegoś grzechu. Gdy się rozważy gwałtowność Joba, z jaką żąda pojawienia się Boga dla swego usprawiedliwienia, to jasnem jest, że słabością jego było przecenianie siebie, które przez cierpienia tylko się ujawniło. A tak mowa Eliu stoi w należytym związku z cierpieniami Joba.

Po tych kilku ogólnych uwagach słówko jeszcze o urządzeniu komentarza. Schultens mówi, że z pomiędzy wszystkich ksiąg wulgaty księga Joba dla piękności i trafności tłumaczenia zasługuje na palmę pierwszeństwa, czemu inni stanowczo przeczą. O. Knabenbauer udowadnia niezbicie, że nie masz istotnej różnicy między tekstem hebrajskim a tłumaczeniem, a drobne i nieznaczące różnice powstały wskutek skażenia tekstu. Szczególnie pomocnemi były tu dawne tłumaczenia i parafrazy. Filozoficzne wywody mieszczą się w osobnych przypiskach. Poglądy najznakomitszych egzegetów, tak protestanckich jak i katolickich są licznie podane. Z katolickich, oprócz ojców Kościoła, szczególnie uwzględniony O. Pineda i autorowie zawarci w weneckiem wydaniu biblii z r. 1756. Stąd wiele rzeczy, które za zdobycz protestantów uważano, wróciło do prawych swych właścicieli, dawnych katolickich wykładaczów.

A. A.

Geschichte des Unterrichtswesen in Deutschland, von den ältesten Zeiten bis zur Mitte des XIII. Jahrhundert's, von *Franz Anton Specht.* Stuttgart 1885.

Historyczna komisya królewskiej Akademii ogłosiła przed 6 laty kon-

kurs na dzieło pod tytułem: „Historya szkolnictwa w Niemczech od najdawniejszych czasów aż do XIII. wieku“. Dzieło to wedle wymagań komisyi miało być źródłowo i krytycznie opracowane, ale w sposób, któryby szersze koło czytelników mógł zająć. Dzięki talentowi i pilności wywiązał się autor ze swego zadania należycie. A nie było to łatwem, bo nieliczne i skąpe z owych czasów przechowały się źródła i pomniki. Chcąc skreślić obraz starodawnego szkolnictwa, trzeba było z mrówczym iście trudem zbierać materyał porozrzucany w biografiach, kapitularzach, koncyliach i t. d. By dać jakiś ogólny pogląd, skreślił autor dla braku ciągłości materyału pojedyńcze monografie licznych szkół i zakładów naukowych. Dzieło to jest istną mozaiką historyczną, bogactwem szczegółów zdumiewającą, z której przebija niestrudzony duch autora.

Cała praca rozpada się na trzy działy. Na wstępie kreśli autor początki oświaty, którą do Niemiec przynoszą irlandcy i anglosaksońscy misyonarze. Pod potężnym wpływem takich postaci jak Bonifacy święty i Karol W. szybko krzewi się i wzrasta chrześcijańska cywilizacya: mnożą się szkółki po parafiach i powstają wyższe zakłady naukowe przy stolicach biskupich i klasztorach. Całe szkolnictwo niemieckie zawdzięcza temu wielkiemu monarsze pierwszy swój byt i rozrost późniejszy. Pod synem jego Ludwikiem następuje rozdział szkół klasztornych, z których odtąd jedne dla osób poświęcających się życiu zakonnemu, drugie do wykształcenia publicznego służyć miały. Obok nich poczęły powstawać szkoły, jak w Tours i Metz, w których nietylko teologię, ale i sztuki piękne znakomici wykładali mistrzowie. Skreśliwszy rozwój i sposób szkolnictwa, maluje autor dalej stosunek zakonów do nauk świeckich. Ponieważ cała wieków średnich kultura w rękach zakonnych spoczywała, owszem cała ich dążność przebijała się w sposobie nauczania, przeto wciąż na zakony trzeba mieć zwrócone oko, chcąc kulturę ówczesną ocenić.

Przy tej sposobności szeroko omawia autor zajęcie się literaturą starożytną. Kościół, któremu nie tajne były niebezpieczeństwa, jakie się z lekturą pogańskich klasyków łączą, postępował w niej wedle zasady Augustyna św., tj. szukał w nich ukrytego złota i drogich kruszców, by je wyzyskać dla chrześcijańskiej oświaty, a odrzucał wszystko, co tchnęło pogaństwem lub przeciwnem było moralności i obyczajom. A jak z jednej strony nie gardzono świeckiemi naukami, ale uważano je zawsze za podstawę konieczną do dalszego kształcenia, tak z drugiej wyłączne im się oddanie i zatopienie w nich serca uważano za niegodne dla męża chrześcijańskiego.

Również obszernie opisane jest studyum teologiczne. By uzdolnić umysły do poznania najwyższych prawd w tajemnicach wiary naszej zawartych, w początkach kształcenia uczono biblii, i wszystkie dalsze wykłady dążyły do tego, by ułatwić słuchaczom zrozumienie Pisma św. i przysposobić ich do zawodu kapłańskiego. Przygotowawcze studyum do teologii obejmowało wedle akwizgrańskiego synodu „naukę czytania, pisania, śpiew kościelny, rachunki i gramatykę“. Po nich następowało *trivium i quadrivium*, w których wykładano *artes liberales:* gramatykę, retorykę, dialektykę, arytmetykę, muzykę, geometryę i astronomię. Dwa następne rozdziały zajmujące się urządzeniem szkół zakonnych biskupich obznajamiają nas z całem wewnętrznem życiem i działaniem średniowiecznych szkół. Odkrywają się przed nami drobne szczegóły tyczące się urządzeń szkolnych, gmachów, karności, rozkładu nauk, metody

nauczania, godzin szkolnych i religijnego wychowania. Nie pominięto przytem dni wakacyjnych i innych uroczystości szkolnych.

Ostatnie rozdziały poświęca autor znakomitszym zakładom naukowym, podając dzieje szkół w Hessyi, Szwabii nad Renem, Saksonii i Bawaryi i t. d.

Dzieło to ważne dla Niemiec, niemało ma doniosłości i dla nas; rzuca bowiem niejedno światło i na dzieje naszego szkolnictwa, które tak pokrewne co do początku i zasad było w całej chrześcijańskiej Europie.

Z.

Witiebskaja Starina, izdał i sostawił *A. Sapunow.* Witebsk 1885 in 8-o maj. str. 750, z dodatkami i rysunkami w tekscie, tom IV.

Autor dzieła tego, pan Aleksy Sapunow, nauczyciel przy gimnazyum w Witebsku, znany już na historycznej niwie pracowity badacz, pod ogólną nazwą Witebskich Starożytności zamierza na wielką skalę opracować przeszłość teraźniejszej gubernii witebskiej, drukując dokumenta, odnoszące się do tej przeszłości i uzupełniając je objaśnieniami przez siebie ułożonemi. Pierwszy tom tej cennej publikacyi, wydany w r. 1883, był poświęcony przeważnie miastu Witebskowi, w drugim mają być dokumenta, tyczące się Połocka, w trzecim — Wieliża, Newla, Dynaburga i innych znaczniejszych miast w witebskiej gubernii, czwarty — teraz wydany, w piątym będą materyały do historyi Unii na Białej Rusi, i nakoniec, w szóstym — historyczne losy witebskiej gubernii, na podstawie wszystkich tych dokumentów i akt, dawniej już przez autora wydanych. — Teraźniejszy tom IV. składa się z następujących części: 1) Krótki rys walki moskiewskiego państwa z Litwą i Polską od XIV. do XVII. w. (od str. 3—71), który autor oparł na wydanych przez siebie dokumentach i dziełach rosyjskich autorów, jakto: na Kojałowiczu, Bantyszu-Kamieńskim, Ustrjałowie, Antonowiczu i wielu innych; z polskich źródeł zacytowany tylko Narbutt — „Dzieje narodu litewskiego". (Pomiędzy rycinami znajdujemy tu wizerunek Giedymina, Olgierda, Jagiełły, Świdrygajły, Kazimierza Jagiellończyka, Aleksandra, Zygmunta Augusta, Stefana Batorego, Lwa Sapiehy, plan witebskiego zamku z r. 1665, połockiego z r. 1579, zdobycie Połocka przez Batorego ze współczesnej ryciny i inne); 2) Połockie województwo pod Iwanem Groźnym w r. 1563—1580, — jestto zbiór różnych dokumentów do tej epoki się odnoszących (wszystkie, niestety, w rosyjskiem podane tłumaczeniu, co znacznie obniża ich naukową wartość), które autor poczerpnął z głównego archiwum w Moskwie spraw zagranicznych i te są poraz pierwszy drukowane, stąd ich wielka doniosłość, nadto podane tu są odnośne wiadomości z kroniki Stryjkowskiego, Bielskiego, Gwagnina, relacye nuncyuszów apostolskich, uniwersały, różne dokumenta już dawniej w Rosyi drukowane, a wszystko to bardzo starannie i skrzętnie zebrano, — wszystkich dokumentów w tej części 45; 3) Połockie i witebskie województwo zagarnięte przez cara Aleksego, w r. 1654—1667, w skład tej części ostatniej wchodzi 95 dokumentów, głównie ze źródeł rosyjskich pochodzących, lecz są także reprodukcye z kroniki Kochowskiego, Jerlicza, z ojczystych wspominków Ambrożego Grabowskiego, z *Theatrum Europaeum*, tego znanego w swoim czasie czasopisma niemieckiego, wychodzącego we Frankfurcie, i niektóre inne. — Zbiór tych wszystkich dokumentów, tak umiejętnie opracowanych, znacznie, zapewne, posunie naprzód zbadanie owych

tak ciekawych czasów, a więc należy się wdzięczność panu Sapunowowi, że je uprzystępnił dla szerszego ogółu. Sądząc tedy z poprzednich prac tego autora, można się spodziewać, że i następne będą również sumienne i ważne, oczekujemy więc ich z niecierpliwością.

Marek Gozdawa.

Nowaja powiest' o smutnom wremieni XVII. wieka. Żurnał narodnawo proswieszczenia, Styczeń 1886. Przez *S. Płatonowa.*

Opowiadanie to jest z tych czasów, gdy wojska polskie pod wodzą Żółkiewskiego, a następnie Gosiewskiego, były w Moskwie, a królewicz Władysław na tron moskiewski wybrany, Zygmunt zaś III. pod murami Smoleńska przebywał. Oryginał tego współczesnego opowiadania znajduje się w bibliotece Moskiewskiej duchownej akademii i spisany na 387 arkuszach dawnym charakterem. Kto jest jego autorem, nie wiadomo, lecz p. P. dowodzi, że ten anonim, prawdopodobnie jaki bojarzyn, mógł pisać swoje opowiadanie pomiędzy końcem 1610 i początkiem 1611 r.; należał on, pozornie, do stronnictwa polskiego, lecz starał się pismem swojem, które było podrzucone gdzieś na ulicy, rozbudzić powstanie w Moskwie, aby Polaków wypędzić i wybór Władysława zniweczyć. Szczegółów tego opowiadania p. P. cytuje nie wiele, ale sądząc z tego, co jest notowane, można wnioskować, że większość bojarów była po stronie Władysława, że partya polska była silna, że wojska polskie w Moskwie pozwalały sobie dosyć nadużyć, że właściwie w stolicy, tylko Germogien i mieszkańcy Smoleńska silnie pracowali, aby nie dopuścić Zygmunta do Moskwy.

Marek Gozdawa.

Z pism peryodycznych.

XII. Theologisch-praktische Quartalschrift. Herausgegeben von den Professoren der bischöf. Dioecesanlehranstalt zu Linz. 38 Jahrg. Linz, 1885, pg. 972.

Rocznik, który mamy pod ręką, jest już od porządku 38-my. Mimo tak poważnego wieku, przywar starości nie znać tu zupełnie, owszem w ostatnich zwłaszcza latach pismo to dla wielu zalet i korzyści pozyskało sobie licznych zwolenników i przyjaciół. Teologiczno-praktyczny jego kierunek pokazuje, dla jakich czytelników, głównie wychodzi.

Zadaniem kapłana jest najprzód uświęcić samego siebie, a powtóre i innych prowadzić do doskonałości przez wierne wypełnianie obowiązków stanu. Wspierać go w tej podwójnej misyi, — oto dążność wszystkich artykułów. Prawie niepodobną jest rzeczą, aby

kapłan nie mający sam ducha prawdziwej pobożności, mógł ją w innych zaszczepić. To wykazuje Dr. Schmidt w artykule *Privatandacht und Seelsorge*. Pasterz dusz ma być mężem modlitwy! Lecz jak połączyć te dwa zajęcia? Co czynić, aby pobożność prywatna nie była zawadą w pracy pasterskiej? „W ogólności wzorem dla kapłana powinno być życie św. Aniołów Stróżów. Duch modlitwy ożywiać ma ich prace, utrzymywać na należytej wyżynie i upładniać ich skuteczność. Przepowiadaj najprzód sobie samemu to, co drugim przepowiadasz. Upominaj i karć, lecz najprzód samego siebie". Na szczególniejszą wzmiankę zasługują też uwagi autora o niezbędnej potrzebie medytacyi. Z ćwiczeń pobożności, dla każdego chrześcijanina koniecznych, wybiera biskup Dr. Müller, wzrost w cnocie wiary i przedmiot ten omawia w oddzielnej rozprawie. Dr. Schmidt powszechnie znany jako najznakomitszy katecheta w Niemczech, podaje „kilka uwag o odmawianiu brewiarza". Św. Józef z Kopertynu zwykł był mawiać, że do reformy i uświęcenia kleru wystarczy przywieść go do godnego odprawiania Najśw. Ofiary i wyrobić sumienność w odmawianiu brewiarza. Św. Bonawentura zaś mniema, że wewnętrzną wartość zakonnika poznać można najlepiej, z tego czy i jak odmawia on swe oficyum. Z drugiej strony, właśnie wielkie zagraża kapłanowi niebezpieczeństwo, by z czasem ta modlitwa zamieniła się u niego w rzemiosło. Dr. Schmidt streszcza swe rady i upomnienia w trzech punktach, motywując je zarazem odpowiednio. Brewiarz jest modlitwą ściśle obowiązującą, więc sumiennie odmawiać go należy. Jest on dalej modlitwą wzniosłą, wspaniałą, więc ochoczo zabierać się doń potrzeba. Jest wreszcie modlitwą ważną, świętą, obfitą w zasługi a wkładającą odpowiedzialność — więc nie dość go odmawiać, lecz dobrze odmawiać należy.

Działalność kapłana na zewnątrz, podlega kierownictwu kościelnej zwierzchności. Czy do zwierzchności tej zaliczać się też mają i apostolscy nuncyusze? Wychodzący w Madrycie *El Siglo futuro* zawyrokował, że w sprawach dotyczących religii, wolno biskupom pominąć przedstawiciela Apostolskiej Stolicy, oraz że co do oceny postępowania rządu w sprawach kościelno-politycznych, wyższe prawo przysługuje biskupom niż nuncyuszowi. Zdania te trącące galikanizmem i febronianizmem, Stolica Apostolska niedawno temu ponownie odrzuciła. Ponieważ zaś i w Austryi owe orzeczenia

Ojca św. wielkiej są doniosłości, czasopismo więc przez nas omawiane nie wywiązałoby się należycie ze swego zadania, gdyby tę kwestyę pominęło. Odnośne ustępy tego orzeczenia podaje w przekładzie nauczyciel religii Egger.

Inny artykuł omawia kwestyę na pozór poboczną: bo drugorzędny urząd kapłana, a jednak urząd wielkiej wagi tak dla Kościoła jak i dla państwa. Jestto prowadzenie metryk parafialnych. Radca konsystoryalny Koppreiter wymienia 12 takich regestrów, podając cenne wskazówki do ich prowadzenia. Artykuł też pouczający o wyrabianiu i egzekucyi dyspens od przeszkód małżeńskich, osnuty na tle instrukcyi *S. Congr. de Prop. Fide* z d. 9 maja 1877 r., ma głównie na celu wskazać sposób wygotowania odpowiednich pism i petycyj wraz z należnemi formalnościami.

Lecz nadewszystko śliczne i cenne są artykuły roztrząsające poszczególne kwestye chrześcijańskiej karności i moralności. Czy wolno przyjmować innowierców na świadków przy chrzcie katolickim? Takie pytanie stawia Prof. Dr. Laurin — i słusznie: bo po dziś dzień praktykuje się w Austryi zwyczaj, że jeśli przy chrzcie dziecka katolickich rodziców „za chrzestnego ojca narzuca się akatolik, nie bywa on wprawdzie przyjęty w tym charakterze, ale najczęściej staje jako świadek obok ojca chrzestnego, a imię jego zapisuje się w metrykach parafialnych. Źródła zwyczaju tego próżnobyśmy szukali w dekretach kościelnych: gdyż Kościół mówi tylko o chrzestnych rodzicach, kmotrach *(patrini)*, ale o świadkach *(testes)*, żadnej nie masz wzmianki, jak o tem z katechizmu rzymskiego łatwo się przekonać. Ze względu na cel, w jakim rodzice chrzestni wybierani bywają, a który św. Augustyn nazywa *fidei jussio apud Deum*, oraz obowiązkiem upominania, *ut castitatem custodiant, justitiam diligant, caritatem teneant*, ze względu na ten cel — o duchowem ojcowstwie innowierców nie może być mowy. Jeśli więc ani rytuał ani prawo kanoniczne o świadkach nie wspomina, zdaje się że urząd ten zupełnie wykluczyć należy, jeśliby innowiercy spełniać go mieli, gdyż niewątpliwie byłaby to *communicatio in sacris*[1]. Skądże tedy powstał dziwny ten zwyczaj? W końcu ubiegłego stulecia kościelne orzeczenia o rodzicach chrzestnych w Au-

[1] Vid. Binder'a Prawo małżeńskie.

stryi poszły w zapomnienie, poczem innowierców do uczestnictwa przypuszczać zaczęto. Nawet rząd uważał to za nadużycie, któremu nie godziło się pobłażać — i wydał d. 25 czerwca 1801 r. dekret do wszystkich biskupów, aby na przyszłość zapobiegli złemu. Lecz gdy protestanckie konsystorze przeciw wyrokowi temu założyły protest, wówczas nowym dekretem ogłoszonym d. 10 lipca 1802 przez kancelaryę rządową przyjętą i wprowadzoną została droga pośrednia, czyli zwyczaj o którym na początku tej kwestyi wspomnieliśmy. Ale i ten dekret, ustawą ze strony rządu w d 21 sierpnia 1867 r. wydaną, utracił nawet swą cywilną prawomocność.

Niemałą też ma wartość, dokonane przez Dr. Eiselt'a zestawienie wypadków, w których chrzest warunkowo udzielany być może. Bo jakkolwiek nic tu nie znajdziemy nowego, jednak jestto praca bez porównania rozleglejsza, niż odpowiednie działy jakiegokolwiek *Compedium* teologii moralnej.

Nie masz może rzeczy narażonej na tak częste nadużycia i na tak wielkie niedbalstwo w zachowaniu przepisów kościelnych, jak właśnie te przedmioty, które z przenajświętszym Sakramentem Ołtarza w najbliższej zostają styczności. W poprzednich rocznikach ukazywały się rozprawy o zasłonie okrywającej przybytek *(tabernaculum)*, o puszce do noszenia św. Wiatyku używanej i t. d.; w niniejszym zaś roczniku zawiera się artykuł o „Sukience honorowej" Najśw. Sakramentu. W Niemczech owa osłona, otaczająca cyboryum wprowadzoną była pierwotnie, nie dopiero przez rytuał rzymski, ale prawie powszechnym zwyczajem już w końcu XVI. stulecia istniejącym. Materyę i kolor sukienki omawia autor ze stanowiska historyi, estetyki i liturgii. W osobnym artykule znajdujemy tu także rozbiór kwestyi postu przed przyjęciem N. Sakramentu *(jejunium naturale)* i wypadki, w których post ten nie obowiązuje; chociaż rozwiązanie właściwie trudniejszego punktu, co do chorych, jest tu pominięte, a raczej odłożone *ad meliora tempora*. Najświetniejszy dział czasopisma stanowią niezawodnie rozprawy moralno-prawniczej treści, z których kilka wymieniliśmy już powyżej. Kwestyą piekącą a mianowicie w Austryi, jest kwestya procentów i lichwy. Za sprawą katolickiego walnego zgromadzenia, komitet polityków socyalnych obradował nad tem na osobnym zjeździe w Ambergu. Przeciw orzeczeniom tej rady, Bar. Vogelsang z ostrą wystąpił polemiką.

Dr. Pumer, znany moralista z Eichenstädt'u, poddaje ścisłej dyskusyi zarówno tezy, jak i zarzuty przeciw nim stawiane. Ważną też i na czasie podjętą jest kwestya o tańcu, jak ze stanowiska moralnego i dusz pasterskiego zapatrywać się nań należy. Pewne francuskie dziełko, które w ojczystym swym języku już 7 doczekało się wydań a dwóch w przekładzie niemieckim, rzuca na tańce bezwzględny anatemat. Jeśli jednak moraliści tacy jak św. Tomasz, Benedykt XIV. (które zdanie swe *unanimem* nazywa), Azor, Sporer, Busenbaum, a nadto św. Alfons i z nowszych Gousset, Ballerini i inni, taniec za rzecz *per se* dozwoloną uważają, toć twierdzenie w owem dziełku postawione, koniecznie sprostować wypada. Zadania tego dopełnia krótki lecz dosadny artykuł, osnuty na tle zasad teologii Gurego. Z takimże sądem spotykamy się we Filotei św. Franciszka Salezego, którego nauczyciel, Benedykt XIV., te dodaje słowa: *Igitur choreae saltusque ab illis, quibus fas est instituantur, sed eae leges serventur, quas auctoris sanctitate et gloria ducti, maxime probamus et libenter amplectimur.* O treści artykułu tego przydłuższą zrobiliśmy wzmiankę, bo stąd właśnie najlepiej poznać i ocenić można zdrowe poglądy całego czasopisma. Bogactwo omawianych tu kwestyj moralnych, najlepiej się pokazuje z ich liczby, prawie do 100 dochodzącej.

Obok tego, kaznodziejstwo też i pedagogia nie leżą tu odłogiem. Prałat Hettinger pisze „o wzorach kazań i ich znaczeniu", oraz o „tekscie" i „perykopach". Prezes Stiegl przedstawia swe poglądy o religijnem wychowaniu dzieci. Inny, już z poprzednich roczników znany pisarz, podaje krótki rys a raczej przegląd literatury, uprawiany na pedagogicznej niwie. Sąd autora nadzwyczaj jest trafny, a zestawiony materyał, obfity i doborowy. Podobnemi zaletami odznacza się artykuł tegoż autora, o literaturze dla młodzieży szkolnej. Nadto w czasopiśmie tem znaleść też można wyczerpujące a zajmujące rozprawy z dziedziny sztuki, nauk socyalnych i t. p. Przy końcu każdego zeszytu są sprawozdania i krytyki nowo-wydanych dzieł teologicznych. Rocznik o którym mówimy zamieszcza oceny 171 dzieł, skąd każdy łatwo poznać się może, czy treść i charakter jego odpowiada potrzebom i wymaganiom naszego wieku.

Dodać jeszcze winniśmy, że wspomniane dzieła, i to wszystkie bez wyjątku, stanowią wybór materyału bardzo pożytecznego dla

kapłanów. Mnóstwo pomniejszych, lecz zawsze interesujących wiadomości, oraz przegląd historyczno-kościelny *(Die kirchlichen Zeitläufe)* kończą pojedyńcze zeszyty. Całe więc czasopismo doskonale odpowiada swemu zadaniu i dla wszystkich pism podobnego rodzaju prawdziwie wzorem być może. Jedno tylko zarzucićby można, że niektóre przedmioty nieco zbyt aforystycznie są omawiane, co jednak może niejednemu z czytelników, któremu nawał zajęć wszystek czas pochłania, rekomendacyą raczej niźli naganą wydawać się będzie.

A. Arndt.

Rozmaitości.

Historya Jezuitów *Wiszniewskiego* wynaleziona przez „Kraj".

Pod tytułem: *Historya Jezuitów*, przez *Michała Wiszniewskiego*, Kraj Petersburgski nr. 14 w dziale literackim podał wiadomość, że znany literat Michał Wiszniewski zostawił „wielkie dzieło o Jezuitach dotychczas zupełnie nieznane", które „obejmuje cztery tomy w rękopisie" jest własnością syna jego ks. (księcia?) Adama Wiszniewskiego. „O ile wnosić można z pierwszego tomu, złożonego w bibliotece Ossolińskich, zwłaszcza z wyczerpującej bibliografii źródeł i monografij, traktujących o Jezuitach, jakiej nie posiada dotychczas żadna literatura, być może zasługuje to dzieło na ogłoszenie w całości". A jako próbkę cenności tego dzieła przytoczono w szpaltach *Kraju* cały wstęp napisany w Nicei 1860. Wstęp obszerny, bo aż na trzech kolumnach, zapowiada „historyą Jezuitów" taką, jakiej dotąd nie było, wylicza przytem cały szereg win i zbrodni Jezuitów dotąd niewyjaśnionych należycie; nadmienia wreszcie, że w napisaniu takiej wyczerpującej historyi Jezuitów napotyka się trudność niemałą. Albowiem „cała ich środkowa historya między temi dwoma wypadkami (założeniem i upadkiem) leżąca, a przez dwa ciągnąca się wieki, otoczona jest grubą tajemnicy zasłoną, którą oko ciekawości rzadko kiedy przebić zdołało. Wszystko u nich odbywało się skrycie, milczkiem i cicho... stąd też w tej części historyi Jezuitów tyle zagadek, sprzeczności, wątpliwości, które nie zawsze historya rozwiązać i rozjaśnić mogła".

Ale trudność ta nie zraża autora. „Dla usunięcia, powiada, choć w części tej zasłony, którą czasami niektórzy z Jezuitów jak Mariani, Inhofer, Jarrige, Lambert i Zahorowski nieco uchylili, oprowadzę czytelników po wszystkich (?) zakątkach jezuickich; pokażę Jezuitów w ich domach i Jezuitów snujących się po świecie; rozłożę przed nimi tajemną ich księgę ustaw[1], wytłumaczę osobliwszy skład ich rządu, objaśnię dlaczego zmienić się i poprawić nie mogli, opowiem, jakiemi środkami po całym świecie rozszerzyć się zdołali i do tak wielkiej przyszli potęgi i wpływu; jakie były przyczyny ich zepsucia i co ich ostatecznie o zgubę przywiodło".

Czytelnicy *Kraju* mogli być niemało zaciekawieni tym rękopisem. Bo jakkolwiek anty-jezuickie i w ogóle anty-katolickie usposobienie Wiszniewskiego znane jest każdemu choćby tylko z jego dziewięcio-tomowej „historyi literatury polskiej", to jednak po tak wiele obiecującym wstępie, i tak pochlebnym komentarzu Redakcyi *Kraju* spodziewać się można było nowych, nieznanych rękopiśmiennych źródeł, których archiwum jezuickie i archiwum watykańskie przechowuje mnogo, a które po kasacie zakonu z prywatnych bibliotek jezuickich do różnych publicznych księgozbiorów w znacznej części zabrane zostały. Zapowiedź o wielkim, czterotomowym dziele domyślaćby się kazała krytycznej pracy na szerokiem tle polityczno-dziejowych wypadków osnutej. Tymczasem ani tych „wyczerpujących źródeł... jakich nie posiada dotychczas żadna literatura" tam nie ma, ani nie jest to żadna krytyczno-historyczna praca, ale najzwyklejsza w świecie, niedołężna kompilacya. Dowody na to? — Dowodem ten sam tom I. rękopisu Wiszniewskiego według którego recenzent *Kraju* sądząc, przypuszcza że „dzieło to zasługuje na ogłoszenie w całości". Zdaje mi się, że go w błąd wprowadzono, a on tego rękopisu nie oglądał nawet z wierzchu, i nie wie czy, według Naruszewicza „w cielęcą czy w oślą oprawny skórę".

Miałem sposobność oglądania tego tomu I. i przeczytałem go uważnie. Jestto teka w wielkiej 4-ce pod numerem 3.095 rękop.

---

[1] Cóż to za tajemna księga, skoro każda publiczna biblioteka ma po kilka egzemplarzy tej księgi: *Institutum Societatis Jesu* in folio tomy 2.? Skoro najnowsze wydanie tej wrzekomo tajemnej księgi z r. 1868 posłał prowincyał jezuicki O. Kautny do parlamentu berlińskiego 1872 r., ona po dzisiaj dzień w bibliotece tego parlamentu się znajduje i każdy ją czytać może?

bibl. Oss.) zawiera w sobie ów wrzekomy tom I. historyi Jezuitów, i wklejonych kilkadziesiąt kart i karteczek autografów Wiszniewskiego. Napis tomu I. taki: „Ten tom zawiera życie Ignacego Lojoli, jego cudowne nawrócenie, wotum ubóstwa, wyrzeczenia się tego świata dla miłości Boga, i pierwsze założenie Towarzystwa Jezusowego“. Na kartce następnej czytam: *Notice de l'Auteur.* Jestto streszczenie po francusku polskiego wstępu autora, który ogłosił *Kraj.* Zdaje się, że Wiszniewski całe dzieło zamierzał zrazu napisać po francusku, przeznaczając je dla szerszych kół publiczności, że potem się rozmyślił i napisać chciał rzecz swoją *ad usum Delphini* dla Polaków tylko, i dlatego wstęp swój rozszerzył znacznie, bo z 3 stronnic francuskiego zrobiło się 11 str. polskiego wstępu. Za francuską *Notice* idzie napis: „Źródła historyczne skąd autor czerpał, we własnej bibliotece“. Źródeł tych wypisano sto kilkadziesiąt na 9 stronnicach ścisłem pismem. Cztery piąte części tych źródeł, to pamflety i anty-jezuickie publikacye z XVII., XVIII. i XIX. wieku, mianowicie zaś z epoki zniesienia Jezuitów 1756-73. Są też, acz bardzo skąpo, poważniejsze dzieła i broszury, drukowane już prawie wszystkie, jak: *Orlandini, Hist. Soc. Jesu*; *Bellarmini, De summo Pontifice.* Do kilku autor dał swój komentarz jak np. „Hozyusz i biograf Hozyusza Reszka byli u nas najpierwsi i najgorliwsi poplecznicy Jezuitów“. Albo: „*Constitutiones* które mamy, powstały z różnych przepisów, które Ignacy wydawał do Jezuitów rzymskich, pracując nad regułą dla Jezuitów. Te ustawy spisał Everard Mercurione“. Co słowo to błąd, potrzebaby całą rozprawę napisać, aby te błędy zbić należycie, dowodzą one, że poczciwy Wiszniewski nie zna bibliografii jezuickiego instytutu. Pierwsze wydanie łacińskie konstytucyj miało miejsce 1559, za rządów jenerała Lajnesa, a jenerał zakonu Mercurione rządził zakonem od r. 1573 do 1580, jakże więc mógł spisywać *Constitutiones.* Spisał je sam św. Ignacy po hiszpańsku i już gotowe oddał 1550 r. zgromadzonym do Rzymu profesom. Następuje teraz właściwy tom I.: Życie Ignacego i założenie zakonu, — podzielony na trzy rozdziały, a obejmuje zaledwie 101 stronnic sporego pisma, formatu małej ćwiartki, wliczając już w to wstęp, który rozdziałem I. jest objęty. Gdyby się to wydrukowało, powstałaby stąd broszurka kilko-arkuszowa, pytam, czy taką chudą broszurę można nazywać „tomem I. wiel-

kiego dzieła?“ A treść tej broszury? Jest to kompilacya jezuickich biografów żywotu św. Ignacego, a mianowicie Jezuity Bartolego. W bardzo niewielu tylko miejscach Wiszniewski przerywa naracyę kompilatorską swoją uwagą, zawsze przycinkową a niesmaczną, jak np. ta: „Nosił atoli (Ignacy) na sobie zwyczajne skutki mistycyzmu i ascetyki, bo już w nim pokora chrześcijańska wyrodziła się na upodlenie, a religia wybujała w nabożeństwo nieroztropne i zdziczała“ (str. 46). Albo: „Ignacy nie umiał teologii i nie miał czasu jej uczyć się: i to było szczęściem dla niego, bo przy głowie tak nieszczęśliwie ulepionej, do której światło zdrowego rozsądku nigdy nie zajrzało, ucząc się teologii scholastycznej, byłby się obłąkał jak w lesie i nigdy z tych manowców nie wybrnął. Szał religijny, od którego swój zawód jezuicki rozpoczął, ostygł w nim z czasem, gdy przyszło do wykonania praktycznego, powziętych w gorącem uniesieniu zamiarów, ale nie zwichnął władz rozumu, gdy tego radzić się przyszło“. (str. 81). Czy to znaczy pisać historyę Jezuitów, odsłaniającą tajemnicę, której inni dotąd nie odkryli? Niech odpowie na to szanowny recenzent *Kraju*. Dodam, że w rękopisie z winy przepisywacza, którym była, z charakteru pisma sądząc, kobieta, znajdują się błędy co do dat, jak np. na str. 36 zamiast: „Działo się to r. 1552“ powinno być 1522; nazwisk też poprzekręcanych dużo.

Oto rzetelna ocena tomu I. „Historyi Jezuitów“, przez Wiszniewskiego 1860 r. napisanej. Trzy inne tomy nie będą więcej warte. Czy ogłosi je kto drukiem, nie wiem, ale to wiem, że nie będzie to historya, ale pamflet, który pomnoży już i tak sporą bibliotekę anty-jezuicką, ale zakonowi dotkliwego ciosu nie zada, a pamięci autora sławy nie przyniesie.

Ks. St. Załęski.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Z Księstwa Poznańskiego. — Ministeryum katolickie w Belgii i kongres w Verviers. — List episkopatu Stanów Zjednoczonych do biskupów australskich.

Od spraw najbliższych nam zaczynając, zapisujemy na wstępie zawarcie pokoju religijnego w Niemczech. Niestety wyjątkowe zastrzeżenia Prus co do prowincyj polskich, wyjęły nas z pod ogólnego prawa i pozbawiły dobrodziejstw pokoju. Nie ustanie tedy dla nas ciężar znoju i boju, tem cięższy, że połączony z pokusą. Wytrwałość i cierpliwość, oto jedyne środki, któremi się katolicy w Księstwie poznańskiem bronić mogą. Obowiązku zaś tego dopełnić potrafią, bo w walce nabrali hartu i wiedzą, że Polak wobec luterskiego Krzyżactwa tylko na gruncie katolickim ostać się może. Świeżym bowiem znów dowodem, świeżym skutkiem nienawistnych rad Hartmanna, żeby Sławiańszczyznę protestantyzmem tępić, jest budowanie w Księstwie ewangelickich świątyń w zakupionych na cele kolonizacyjne dobrach. Trzeba, żeby świat katolicki o tem wiedział, że ruch anty-polski w Niemczech, to nie czysto polityczno-rasowa walka, ale wtłaczanie się protestantyzmu na wschód, luterska walka kulturna.

Nowy Arcypasterz niejedne w nowych swych dyecezyach spotka trudności. W obec niego, jak pięknie się wyraziło jedno z pism poznańskich powinni wszyscy tak postępować, żeby sobie ufność ufnością zjednać. Nominacye ks. prałata Likowskiego i ks. kanonika Korytkowskiego na oficyałów, poznańskiego i gnieźnieńskiego,

pierwszą są oddawna z nad Warty pomyślniejszą wieścią. Z takimi doradcami przy boku może nowo mianowany arcybiskup poznać lepiej powierzoną sobie dyecezyę, a ufajmy, że poznawszy jej stosunki, wstawiać się będzie za nami gdzie należy, dopominając się, tu miłosierdzia, tam sprawiedliwości.

Groźne zaburzenia społeczne w Belgii, których krwawe echa rozniosły się po całej Europie, dały pohop do napaści prasy liberalnej na ministerium katolickie, za którego rządów do tych wybryków doszło. Zaczepki tego rodzaju nie potrzebowały refutacyi, ale piękną odpowiedzią było zwołanie przez ministra rolnictwa, przemysłu i robót publicznych, p. Moreau, komisyi mającej badać organizacyę pracy, stosunki robotników do pracodawców i warunki polepszenia bytu stanu robotniczego. Zagajając pierwsze posiedzenie zwrócił minister uwagę obradujących przedewszystkiem na pracę kobiet i dzieci, na święcenie niedzieli i zabezpieczenie od wypadków, a zalecił ustanowienie trybunałów rozjemczych. Równocześnie obradował kongres katolików zebranych w Verviers nad tą samą palącą kwestyą. Ze znakomitego przemówienia p. Woeste, które było niejako wezwaniem do sumiennej i rozsądnej pracy wyborczej, aby znów w parlamencie większość katolicką zapewnić, wyjmujemy wymowny ustęp odnoszący się do kwestyi socyalnej: „Jedynie, mówił, duch chrześcijański może zbliżyć trwale i stale wyższe stany do niższych, przepisując jednym i drugim obowiązki, których wypełnienia pilnuje sumienie“. Do przemysłowców odzywa się on: „nie zapominajcie że robotnik to nie bydlę juczne, które możecie wyzyskiwać“. Do robotnika mówi: „niezawodnie macie prawa, ale macie i obowiązki; z pewnością nie jesteście niewolnikami, skazanymi tylko na pracę rąk waszych, ale macie też zobowiązania moralne, wypływające z podwójnej waszej godności: chrześcijanina i ojca rodziny“. Do obydwóch zaś mówi: „wypełniajcie moje prawo: wy, przemysłowcy zajmujcie się polepszeniem bytu materyalnego i moralnego waszych robotników; wy zaś robotnicy nie buntujcie się przeciw kapitałowi, któremu zawdzięczacie spokój egzystencyi i chleb powszedni. Zapominają dziś o wpływie chrześcijaństwa na pracę. A przecież to chrześcijaństwo podniosło pracę, błogosławiąc jej, uszlachetniając ją, dodając otuchy, i dlatego to wzywa ono klasy wyższe, aby otaczały niższe opieką, poświęceniem i miłosierdziem“.

W rezolucyach uchwalonych na tym kongresie postanowiono wezwać kraj cały do zawiązywania kółek robotniczych, ku wspólnemu działaniu, aby w ten sposób przynieść ulgę stanowi robotników.

Pisaliśmy swojego czasu o soborze biskupów australskich, który się odbył w Sydney. Z kolei doszła nas odpowiedź episkopatu Stanów Zjednoczonych, na adres soboru australskiego. Pismo to, świadczące o pięknej spójni Kościoła, o jedności łączącej rozdzielonych oceanami pionierów wiary, zaznacza z dumą, jakie usługi oddał w ostatnich czasach język angielski w szerzeniu prawdziwej wiary świętej, przesłużywszy trzy wieki fałszywym naukom. Na soborze Trydenckim czterech tylko biskupów mówiło językiem angielskim; sobór Watykański już ich 120 liczył. Odtąd zastęp ten wzrósł do liczby 160, a w regularnym postępie, z końcem wieku pewnie do 200 dojdzie. Zasługę takiego rozkwitu w tym kierunku w ostatnich czasach przypisują biskupi przychylności rządu, któryby niejednemu z państw europejskich za przykład mógł służyć.

K.

Cechy w Wielkopolsce i wykonywanie procederu [1].

II.

Takie stosunki cechowe i rzemieślnicze utrzymały się aż do rozbioru Polski z wszelkiemi ujemnemi i dodatniemi stronami, z bezwzględnym przymusem procederowym, z monopolem na korzyść jednostek. Pruskie „Powszechne prawo krajowe“ *(Landrecht)* z dnia 5 lutego 1794 r. zostawiło jeszcze cechy w ich pierwotnym stanie, ale już w pierwszych latach bieżącego stulecia głosili pruscy mężowie stanu zasady wolno-procederowe Smith'a, a w r. 1810 wyszedł dekret z dnia 2 lutego, pozwalający otwierać każdemu warsztaty, byle nabył patent. Dekret ten zniósł zarazem różnicę między wsią a miastem, i wszelkie przywileje procederowe, przywiązane do cechów i gruntów. Ustawa z dnia 17 stycznia 1845 r. postawiła jasno zasadę wolności procederu, pozwalając prowadzić proceder każdemu, mającemu stałą siedzibę w Prusach, i będącemu zarazem samodzielnym

[1] Patrz zeszyt kwietniowy r. b.

i wolnym do wykonywania czynności prawnych. Nawet małoletni mogli prowadzić proceder za pozwoleniem ojca. Żony potrzebowały także pozwolenia ze strony mężów na założenie procederu, a kobiety niezamężne, nie stojące pod opieką ojcowską, lub opiekuńczą, nie potrzebowały do tego żadnego pozwolenia. Paragraf 20 tejże ustawy stanowił, że pozwolenia na prowadzenie procederu nie należy czynić zależnem od poprzedniego nabycia praw obywatelstwa miejscowego. W interesie publicznym wymagała ta ustawa egzaminu od lekarzy, chirurgów, akuszerów, aptekarzy, przedsiębierców urządzających zakłady dla chorych; potrzebowali oni na to aprobacyi ministerstwa. Ci, którzy zamierzali urządzić pensyonat, lub zakład wychowawczy, winni byli wykazać się odpowiednemi wiadomościami przed władzą szkolną; budowniczy potrzebowali pozwolenia od ministra dla spraw procederowych, lub od deputacyi budowniczej, a zyskiwali je po udowodnieniu kwalifikacyi, tj. po złożeniu egzaminu. Były także ograniczenia rejencyjne, żądające także egzaminów na sterników okrętowych publicznych statków transportowych na wodach, żądających egzaminu na mularzy, dekarzy [1], budowniczych statków wodnych, młynów, wiatraków, na studniarzy, kominiarzy, na urządzających gromochrony, na kamieniarzy, akuszerki, bandażystów i wyrabiaczy instrumentów chirurgicznych. Urządzający przedstawienia teatralne potrzebowali pozwolenia naczelnego prezesa odnośnej prowincyi, w której wystąpić chcieli z widowiskiem scenicznem. Były jeszcze pewne, ale drobne ograniczenia dla księgarzy, drukarzy, litografów, antykwarzy, właścicieli lombardów i t. p.; reszta atoli procederzystów: stolarze, piekarze, rzeźnicy, szewcy, introligatorzy, płóciennicy, kołodzieje i tylu innych rzemieślników nie podpadali pod ściślejsze ograniczenia; mogli oni urządzać tyle warsztatów, ile im się podobało, mogli mieć dowolną liczbę czeladników i uczniów w warsztatach i sprzedawać towar w jatkach i budach, byle opłacali procederowe. Czy należeli do cechu, czy nie — o to ich nikt nie pytał.

Szczególna rzecz, że właśnie rzemieślnicy wystąpili z protestem przeciw tej swobodzie przemysłowej. Na sejmiku procederowym w Frankfurcie nad Menem, w r. 1848 zażądali oni ograni-

[1] Dekarz, co kryje dachy. *(Przyp. Red.)*

czenia wolności procederowej. Ukazało się też to ograniczenie na mocy rozporządzenia ministerstwa pruskiego, z dnia 9 lutego 1849 r. Było to czysto-policyjne rozporządzenie, nadające policyi wielką władzę w obec przemysłu. Policya czuwała nad wykonaniem tych przepisów prawnych, policya zakazywała utrzymywania terminatorów; policya wymierzała kary za niestosowanie się do tego rozporządzenia. Nikt nie mógł prowadzić procederu, kto nie złożył egzaminu przed komisyą egzaminacyjną; do cechu wolno było wstąpić tylko na mocy egzaminu; czeladnicy i pomocnicy tylko u majstrów swego fachu pracować mogli, uczniów tylko cechowi majstrowie lub ci, którzy mieli patent i pozwolenie na prowadzenie procederu, mieć mogli. Ale nawet takim rzemieślnikom można było zakazać brania uczniów do warsztatu, jeśli zostali ukarani sądownie za kryminalne zbrodnie, jeśli zbankrutowali, albo jeżeli im władze odebrały prawo prowadzenia procederu.

Te ograniczenia, a zwłaszcza utrudniania w zakładaniu warsztatów, nie podobały się rzemieślnikom; dopominano się ulgi, którą też uzyskano częściowo w 1861 r., a ostatecznie w bardzo szerokich rozmiarach na mocy ordynacyi procederowej z d. 21 czerwca 1869 r., zaprowadzonej dla całego związku północno-niemieckiego. Zanim przystąpimy do zaznaczenia wybitniejszych punktów tej ustawy, głoszącej wolność procederową, przypatrzmy się, jakto za czasów przymusu procederowego, z jego egzaminami i innemi ograniczaniami, władze pruskie ściśle trzymały się litery prawa, utrudniając osobom „niektórym“ zarobkowanie i pracowanie na kawałek chleba.

Znany czasu swego zaszczytnie w szerokich kołach społeczeństwa naszego, ś. p. Franciszek Dr. Rakowicz, w końcu życia swego († 27 sierpnia 1878 r. dyrektor banku włościańskiego w Poznaniu), tak się odezwał w 1877 r., oceniając epokę przymusu procederowego:

„Z mojej strony zamierzyłem dorzucić dla ocenienia sprawy o wolności procederowej parę uwag tylko — z własnej praktyki głównie czerpanych.

„Panowie redaktorowie, którzy piszą przeciw wolności procederowej, albo za ograniczeniem tejże, zapominają, że redaktorstwo, wydawanie dzienników, drukarstwo, są także procederem, który od bardzo niedawnego czasu cieszy się w Prusach wolnością. Przypo-

minam, że potrzebowaliśmy konsensów na drukarstwo i księgarstwo, konsens był tylko udzielany t. zw. „nieposzlakowanym“ (politycznie) osobom, po złożeniu egzaminu rządowego, na jeden departament rejencyjny. W dodatku dzienniki musiały składać kaucye i opłacać stempel. Nikt nie mógł wydawać dziennika, kto nie był egzaminowanym i koncesyonowanym księgarzem. Piszący te słowa, zmuszony dla choroby opuścić zawód lekarski, poświęcił się następnie drukarstwu i księgarstwu. Dzisiaj każdy opatrzony w odpowiedne środki, jeśli chce, może nabyć drukarnię i prowadzić ją bez żadnych korowodów. W r. 1864 trzeba było być poprzednio uczniem drukarskim, następnie składać egzamin, tj. popisywać się zręcznością w składaniu i odbijaniu. Do egzaminu zgłaszać się trzeba było do rejencyi. Zgłosiłem się w styczniu 1866 r., odesłano mi wniosek i nałożono karę, że nie był opatrzony stemplem. Wniosek wedle formy ponowiłem. Po czterech tygodniach otrzymałem odpis, że mam dostawić z policyi, *Führungsattest* (Atest prowadzenia się).

„Prosiłem piśmiennie prezesa policyi w Poznaniu, p. Bärensprunga o ów „Führungsattest“. Nie mogąc się doczekać odpowiedzi, powtórzyłem prośbę ustnie. P. Bärensprung oświadczył mi, że zdaniem jego, rejencya nie ma prawa żądać „Führungsattestu“, jej rzeczą jest udowodnić *die Bescholtenheit*, jeżeli ją przypuszcza. Było to w marcu, czy kwietniu. Odpowiedziałem panu prezesowi policyi, że zupełnie podzielam jego opinię — ale mimo to, życzeniu rejencyi uczynić muszę zadość. Idź Pan do wyższych instancyj — radził mi prezes, i dopiero po długich naleganiach napisał mi list treści następującej: „Jak panu już ustnie oświadczyłem, nie mam obowiązku wystawiać takiego atestu, jakiego żąda rejencya, lubo skądinąd urząd policyjny nie miałby powodu odmawiać panu żądanego poświadczenia“.

„Za pomocą takiego zwrotu zasalwował pan prezes policyi swoje stanowisko; rejencya uznała wreszcie list jego za dostateczny i w czerwcu zostałem dopuszczony do egzaminu. W sierpniu otrzymałem koncesyę na departament poznański.

„Tymczasem rokowania moje z pewnym kapitalistą, który wejść miał ze mną w spółkę, zerwały się z powodu, że nie dostawiłem na czas konsensu. Szczęściem zaproponowali mi obywatele zachodniopruscy wydawnictwo gazety w Toruniu. Przyjąłem, lecz na to było

potrzeba konsensu nowego z rejencyi kwidzyńskiej na departament kwidzyński.

„Rok minął, nim zdołałem usunąć przeszkody prawne do rozpoczęcia procederu. Między innemi musiałem się starać o przyjęcie do gminy miejskiej w Toruniu i zapłacić za przyjęcie 6 talarów.

„Sądzę, że po takich doświadczeniach każdy będzie mię miał za dostatecznie wytłumaczonego, że nie pragnę powrotu dawniejszych ograniczeń procederowych. Szanownym zaś pp. redaktorom, przemawiającym za takiemi ograniczeniami, zwrócę jeszcze uwagę na to, że, jeżeli gdzie ograniczenia nastąpią, prasa będzie niechybnie pierwsza należała do tych procederów, które dostaną się pod regulamin koncesyjny.

„Z rządem najłatwiejsza jeszcze sprawa, przewlecze, utrudni może, aleć ostatecznie można mu to i owo wyperswadować. Natomiast nie tak łatwo z pp. współobywatelami, zwłaszcza konkurentami. Już w broszurze mojej pt.: „Kupiec i Przemysłowiec“ wspomniałem, że w jednym z programów gimnazyum toruńskiego dowodzi p. Leopold Prowe rzekomej niemieckości dawnej Torunia tem, że niektóre cechy dopuszczały w Toruniu do cechu tylko pewną, ściśle określoną liczbę Polaków. Jedne cechy dopuszczały kilku, inne kilkunastu Polaków do swego łona, inne zaś zupełnie ich wykluczały. Dośpiewajmy sobie dalsze zwrotki do tej piosenki — w miasteczkach Prus Zachonich, w Bydgoszczy, Lesznie — nawet co do niektórych zawodów w Poznaniu. Nie wywołujmy wilka z lasu! bo niejednego już samiśmy sobie przywołali.

„Co u nas Polaka — w Berlinie, Hanowerze może spotkać katolika, Żydzi jedynie z pewnością potrafią wszelkim ograniczeniom skutecznie stawić czoło.

„Dla tych, co mają krótką pamięć, nadmienię, że niektóre nasze polskie akcyjne towarzystwa przed rokiem 1870 byłyby niemożebne — bez konsensu; że trzeba było niedawno jeszcze temu zezwoleń policyjnych na hotele, zajezdne domy, karczmy, restauracye i t. d.; zwrócę uwagę, że dziś jeszcze cudzoziemiec (np. Polak z Kongresówki!) nie może nabyć nawet za swoją pretensyę na subhaście dóbr rycerskich w Księstwie bez pozwolenia p. ministra spraw wewnętrznych.

„Rozporządzenie to mogłoby się stać bogatem w analogie i za-

prowadzić nas przy jakiej takiej agitacyi restrykcyjnej do stosunków na Litwie, — zwłaszcza gdybyśmy sami nieostrożnie z dziedziny wolności wepchnęli rząd i współobywateli naszych niemieckich na drogę ograniczeń procederowych".

Nie każdy jednak napotykał na takie trudności; tysiące było w Prusiech i w Niemczech warsztatów kierowanych ręką jakiego czeladnika albo nawet ucznia. Potrafili rzemieślnicy obejść prawo, dopomagając za pieniądze drugim. Zakupił np. rzemieślnik patent, dla warsztatu, który na wsi lub gdziebądź się znajdował. W warsztacie tym osadził czeladnika rzekomo pod jego dozorem pracującego; czeladnik był albo rzeczywistym właścicielem tego warsztatu, albo pracował dla jakiegoś przedsiębiorcy. Wysuniętemu „pryncypałowi" płacono roczne wynagrodzenie za to tylko, że pośredniczył w opłacaniu podatków i innych wypadków przywiązanych do warsztatu. Tak było w każdym zawodzie, nawet i z szynkowniami robiono tego rodzaju konszachty. Uczyniono zadość prawu, ale na tem cierpiała moralność społeczna, cierpiał przemysł, traciła publiczność, zmuszona wchodzić w stosunki z partaczami pierwszego rzędu.

Takie stosunki wywoływane i popierane przez samych przemysłowców, rzemieślników i t. p. nie mogły się nikomu podobać, to też pragniono ogólnie ich zmienienia, i kiedy ogłoszono dla związku północno-niemieckiego ordynacyę procederową z dnia 21 czerwca 1869 r. przynoszącą wolność procederową, nikt nie zatęsknił za przymusem procederowym, chyba ci, którzy łamali prawo, korzystając z jego przepisów zbyt luźnie ujętych, które jednak trudno było wówczas w ciaśniejsze ująć karby, kiedy cały świat procederowy dążył do wyswobodzenia się z więzów krępujących swobodę przemysłowego ruchu.

Ordynacya procederowa z dnia 21 czerwca 1869 sprowadziła zupełny przewrót w stosunkach procederowych, do głębi wstrząsając dotychczasowemi zwyczajami i nadużyciami. Warsztat i jego sztuka otwarte dla każdego; kto chce, może otwierać warsztatów tyle, ile mu się podoba; nikt go nie pyta o egzamin, ani o to, czy do cechu należy. Uczniów i czeladników może rzemieślnik zatrudniać tylu, ilu ich potrzebuje. Ordynacya ta nie zmieniła stosunków prawnych dla niektórych zawodów, np. górnictwa, rybołowstwa, szkół publicznych

i prywatnych, adwokatury, notaryatu, instytucyj zabezpieczeń, publicznych promów, okrętów; nie doznały także wolności procederowej: wykonywanie praktyki lekarskiej, urządzanie aptek. Obejmuje ona więc tylko zwyczajny przemysł i rzemiosło, nie żądając też od nikogo uzyskania miejscowego prawa obywatelstwa, zanimby chciał rozpocząć taki proceder. Kobiety i mężczyźni, czy to na wsi, czy w mieście, równe mają prawa w przemyśle. Wolno także każdemu otwierać różnego rodzaju warsztaty i miejsca sprzedaży równocześnie. Słowem wszelką swobodę nadano w prowadzeniu procederu.

Wyraźnego pozwolenia ze strony władzy, potrzeba na urządzenie przedsiębiorstw i zakładów, któreby swem położeniem albo urządzeniem mogły szkodzić lub nieprzyjemności sprawiać sąsiedztwu, lub publiczności. Do tej kategoryi należą fabryki prochu, gazownie, chemiczne fabryki i t. p. Zanim władza udzieli pozwolenia, bada wpierw stosunki miejscowe i wzywa interesantów, którzyby mieli lub mogli zaprotestować przeciw urządzeniu zakładu, aby w 14 dniach zgłosili się z protestem. Kotłów parowych nie wolno także urządzać, dopóki ich wpierw władza nie zbada. Aprobacyj, na mocy złożonego egzaminu, potrzebują aptekarze, chirurgowie, akuszerki, dentyści, weterynarze, żeglarze. Oberżyści, szynkarze, i sprzedający w mniejszych rozmiarach okowitę lub wódkę, potrzebują pozwolenia policyjnego, którego władze mogą atoli odmówić, jeżeli ubiegający się o takie pozwolenie nie daje dostatecznej rękojmi moralnej, a mianowicie, jeśli władze są przekonane, że poszukujący pozwolenia nadużyłby go przez rozpijanie, urządzanie gier zakazanych, lub przez tolerowanie niemoralności. Można także odmówić pozwolenia, jeśli lokale w których ma być to przedsiębiorstwo urządzone, pod względem sanitarnym nie odpowiadają wymaganiom policyjnym, albo jeśli stosunki miejscowe obejdą się się bez takiego lokalu publicznego. Były więc w niektórych gałęziach pewne ograniczenia, nakazane ordynacyą proced. w 1869 r., ale, jakeśmy to widzieli, w interesie dobra publicznego. Tym też względem usprawiedliwić należy w niektórym kierunku opiekę i to słuszną władz państwowych, czuwać zobowiązanych nad zdrowiem i bezpieczeństwem ludności.

Nie ma w cesarstwie niemieckiem drugiej ustawy, któraby w krótkich warunkowo odstępach ulegała tylu zmianom, co właśnie ordynacya procederowa: widzieliśmy wyżej, że od 1845 r. co lat

kilka lub kilkanaście przerabiano, póki nie wydano ogólnej, i jak żądano, już wszystkie strony interesowane na długie lata zadowolnić mogącej ordynacyi, z dnia 21 czerwca 1869 r. Ale ledwo i ta ustawa się pojawiła, zaczęto ją krytykować a następnie zmieniać w latach: 1872, 1874, 1876, 1878, 1879, 1880, 1881, 1883 i 1884. Nas, mających głównie cechy i wykonywanie procederu ogólniejszego na oku, obchodzą zwłaszcza zmiany z lat: 1872, 1881, 1883 i 1884. Pomówmy o tych zmianach.

Ordynacya procederowa z dnia 21 czerwca 1869 r. nakazuje, aby na członka cechu przyjmowano każdego, kto prowadzi proceder cechowy w obrębie cechu. Egzaminu na majstra wolno tylko w takim razie żądać, jeśli rzemieślnik, nieprowadzący jeszcze przez jeden rok procederu samodzielnie, chce wstąpić do cechu, a statuty cechowe egzaminu od wstępującego do cechu wymagają. Kto już przez rok samodzielnie prowadził proceder należąc do cechu, tego bez egzaminu przyjąć trzeba. Egzamin zasadza się na najzwyklejszych robotach; wstępnego opłaca się niewiele, aby i ubożsi mogli do cechu przystępować. — W ostatnim czasie ustanowiono najwyżej 15 mk. 30 złp. wstępnego. Ordynacya procederowa z dnia 21 czerwca 1869 r., pozwala nie przyjąć do cechu tych, którzy: 1) stracili prawa honorowe obywatelskie mocą wyroku sądowego. (Jest tu mowa o prawie piastowania urzędów publicznych, wybierania przy wyborach miejskich, prowincyonalnych, do sejmu, parlamentu niemieckiego, o prawie noszenia oznak i tytułów honorowych), 2) którzy stracili te prawa na pewien czas tylko, 3) którzy zbankrutowali. Późniejsza ordynacya proced. z dnia 12 czerwca 1872 r. stanowi, że tym odmówić można wstąpienia do cechu, którzy: 1) nie posiadają obywatelskich praw honorowych i 2) mocą wyroku sądowego stracili prawo rozporządzania swoim majątkiem.

Wolność procederowa nieosobliwe wyrodziła stosunki w rzemiośle: kapitaliści owładnęli rzemieślnikiem i jego warsztatem; — większa część rzemieślników poszła w usługi kapitalistów fabrycznych, kapitalistów zakładających handle wyrobami rzemieślniczemi; rzemieślnik wyszedł na robotnika. Zrywali się tu i owdzie zrazu rzemieślnicy, pragnąc ograniczenia wolności procederowej, a w końcu ubiegłego a na początku bieżącego dziesiątka lat stał się ten ruch ogólnym. Parto na rząd, parto na parlament niemiecki, dopominając

się ograniczenia w wykonywaniu procederu. Sprzeciwiało się to widocznie zasadzie rządów, a zwłaszcza pruskiego; coś jednak trzeba było uczynić w obec tak ogólnego dopominania się: Tem, „czemś“ jest zmiana ordynacyi procederowej z dnia 18 lipca 1881 r., która w tytule Nowe cechy stanowi między innemi, że ci, którzy prowadzą samodzielnie jakiś proceder, mogą dla podniesienia wspólnych interesów przemysłowych w cech się zawiązać.

§. 97. Zadaniem nowych cechów jest:

1) Pielęgnowanie ducha wspólności, oraz podtrzymywanie i utwierdzanie godności stanu między członkami cechowemi.

2) Popieranie pomyślnego stosunku pomiędzy majstrami i czeladnikami, jako też staranie się o gospody dla czeladzi i wskazywanie czeladnikom roboty.

3) Ściślejsze uregulowanie kwestyi uczniów i troska o techniczne, przemysłowe i moralne ich wykształcenie.

4) Rozstrzyganie sporów kategoryi w §. 120 *a)* oznaczonej [1] między członkami cechowymi a ich uczniami, w miejsce władzy gminnej.

§. 97 *a)* Cechy są uprawnione do rozszerzenia swej działalności na inne, członkom cechowym wspólne przemysłowe interesa, niż oznaczone pod §. 97. Mianowicie przysługuje im prawo:

1) Zakładania szkół fachowych dla uczniów i kierowania niemi;

2) zaprowadzania stosownych urządzeń do podniesienia przemysłowego i technicznego wykształcenia majstrów i czeladników;

3) urządzania egzaminów na czeladników i majstrów i wystawiania świadectw z odbytych egzaminów;

---

[1] §. 120 *a)* ordynacyi procederowej stanowi, że wszelkie między samodzielnie prowadzącymi proceder z ich robotnikami spory, dotyczące rozpoczęcia pracy, dalszego jej ciągu, albo zniesienia stosunku zawiązanego między pracodawcą a robotnikiem, wszelkie spory dotyczące wydania książeczki roboczej, załatwia władza w tym celu ustanowiona. Gdyby nie było osobnych na to wyznaczonych władz, natenczas spory takie rozstrzygać będzie władza gminna. Przeciwko decyzyi takiej służy droga sądowa w przeciągu dni 10, ale oddanie sprawy sądowi nie wstrzymuje tymczasowego wykonania uchwały pierwszej instancyi. Na mocy statutu miejscowego mogą być ustanowione sądy polubowne, upoważnione do rozstrzygania sporów, w miejsce obecnie do tego rodzaju spraw ustanowionych władz. Takie sądy polubowne ustanowić może władza gminna, powoławszy do składu ich w równej mierze pracodawców i robotników.

4) zakładania wspólnego przedsiębiorstwa dla podniesienia interesu procederowego członków cechowych;

5) zakładania kas celem wspierania członków cechowych, ich rodzin, czeladników i uczniów w przypadku choroby, śmierci, niezdolności do pracy lub w innej potrzebie;

6) mianowania sądów polubownych, powołanych do rozstrzygania sporów kategoryi w §. 120 *a)* oznaczonej między członkami cechowymi i czeladnikami, w miejsce zwykłych władz kompetentnych.

§. 98 *a)* Zadania cechu, urządzenie jego administracyi i stosunki prawne członków regulują się, o ile prawo o tem nie rozstrzyga, statutem cechowym.

Ten musi stanowić:

1) O imieniu, siedlisku i obwodzie cechu;

2) o zadaniach cechu, jako też o trwałych urządzeniach do ich spełniania; mianowicie należy uregulować następujące stosunki kwestyi uczniów:

a) Warunki i forma, które mają członkowie cechów wypełnić przy przyjmowaniu uczniów, jako też czas trwania nauki,

b) czuwanie cechu nad wypełnieniem przepisów zawartych w §. 120, 126, 127; (Te przepisy mówią o obowiązkach majstrów do uczniów: o sumiennem pouczaniu ich, o moralnej nad nimi opiece, o posyłaniu ich na nabożeństwo i do szkół uzupełniających, a nadto nakazują terminatorom posłuszeństwo rozkazom majstra lub jego zastępcy),

c) zobowiązanie się majstrów do nakłaniania swych uczniów aby uczęszczali do szkoły wieczornej lub fachowej,

d) ukończenie nauki, wyzwalanie uczniów przed cechem i udzielanie im świadectwa wyzwolenia,

e) utworzenie władzy i postępowanie przy rozstrzyganiu sporów w §. 97 pod numerem czwartym oznaczonych;

3) o przyjmowaniu, występowaniu i wykluczaniu członków;

4) o prawach i obowiązkach członków, mianowicie o składkach, które mają płacić i o normie, podług której ma się odbywać ich podział;

5) o karach, któreby trzeba nałożyć na członków za przekroczenie przepisów statutów;

6) o utworzeniu zarządu, o zakresie praw jego i formie w zarządzaniu sprawami cechu;

7) o składzie i zwoływaniu zebrania cechowego, o prawie głosowania na niem i formie stanowienia uchwał;

8) o prawomocności uchwał zebrania cechowego i zarządu;

9) o warunkach i formie zmiany statutów;

10) o warunkach i formie rozwiązania cechu;

11) o użyciu majątku cechowego w razie rozwiązania się lub zamknięcia cechu;

12) o układaniu i kontrolowaniu rachunków rocznych.

Statut nie powinien zawierać żadnego postanowienia, któreby nie było w związku z zadaniami cechu, w tej ustawie oznaczonemi, albo któreby sprzeciwiało się przepisom prawnym.

Przepisy o urządzeniach do wypełniania zadań, w §. 97 *a)* pod nr. 4, 5, 6 oznaczonych, nie mają być objęte ustawą cechową. Dalej stanowi ordynacya z dnia 18 lipca 1881 r., że „na członków cechu mogą być przyjmowane tylko te osoby, które w tym okręgu, dla którego cech został założonym, samodzielny prowadzą proceder, albo pracują jako pierwsi majstrowie, lub temu podobne zajmują stanowisko w wielkim zakładzie do tegoż procederu należącym. Inne osoby można przyjmować jako członków honorowych". O składaniu egzaminu a raczej o przyjęciu członka do cechu za poprzedniem złożeniem egzaminu, znowu luźne znajdujemy w tej ustawie postanowienie, bo „przyjęcie do cechu tylko wtenczas może być zależnem od zdania egzaminu, jeżeli rodzaj i zakres jego unormowane są statutami cechu; egzamin ma mieć na celu tylko wykazanie uzdolnienia do samodzielnego wykonywania zwyczajnych robót procederu. Gdy przyjęcie zawisło od odbycia nauki ucznia, albo czeladnika, albo od zdania egzaminu, to zwolnienie od wypełnienia tych wymagań dozwolonem jest tylko pod warunkami w statutach ściśle oznaczonemi. Od proszącego o przyjęcie, jeśli tenże już zdał egzamin wstępny przed innym, warunkom prawa odpowiadającym cechem tego zacnego procederu, nie można żądać powtórnego egzaminu". W dalszym ciągu stanowi ordynacya procederu, że nie mogą być przyjmowani do cechu ci, którzy nie posiadają honorowych praw obywatelskich, albo którzy skutkiem rozporządzenia rządowego są ograniczeni w dysponowaniu swoim majątkiem. Wdowy, prowadzące dalej proceder

po zmarłym mężu, mogą zatrzymać prawa członka cechowego, z wyjątkiem głosowania i praw honorowych. Obszerny ten rozdział ordynacyi procederowej z dnia 18 lipca 1881 r. mówi następnie o kasach zasiłkowych, o sądach polubowych, o związkach cechowych i o innych ogólnej natury urządzeniach w cechach.

Wielką wagę przypisywały władze do §. 100 *e)* tej ostatniej ordynacyi stanowiącego, że:

„Dla obwodu cechu, którego czynność na polu kształcenia uczniów okazała się zbawienną, może wyższa władza administracyjna po wysłuchaniu zdania władzy nadzorczej, ustanowić:

1) żeby spory wynikłe ze stosunków nauki pod §. 120 *a)*[1] oznaczonych, rozstrzygała na wezwanie jednej z stron spór wiodących kompetentna władza cechowa nawet wtedy, kiedy chlebodawca, chociaż prowadzi proceder reprezentowany przez cech i chociaż sam posiada kwalifikacyę do przystąpienia do cechu, jednak do cechu nie należy;

2) żeby wydane przez cech przepisy, dotyczące uregulowania stosunku uczniów, jako też odnoszące się do kształcenia uczniów, nawet wtenczas były w oznaczonych granicach obowiązujące, gdy majster, mający pod sobą uczniów, zalicza się do kategoryi chlebodawców pod Nr. 1 oznaczonym.

Jeżeli skutkiem tego terminatorzy tych przemysłowców, którzy do cechu nie należą, mają się poddać egzaminowi, to ma go odebrać komisya, której członkowie w jednej połowie powołani są przez cech, w drugiej przez władzę nadzorczą. Postanowienia te mogą być cofnięte.

Szczególne a charakterystyczne wyrobiło się w kołach interesowanych pojmowanie tych dobrodziejstw, które miała przynieść ordynacya procederowa z dnia 18 lipca 1881 r.; rządy sądziły, że tą ustawą rozwiązały węzeł gordyjski, wyświadczywszy, Bóg wie, jaką przysługę cechom i rzemieślnikom. Spodziewano się w ministerstwie, że rzemieślnicy powitają jako przystań zbawienia te nowe przepisy z „nowemi cechami“, a w przypuszczeniu, że przepisy te zadowolą przemysłowców i że te nowe ustawy, w życie wprowadzone, zdolne będą podźwignąć przemysł, — postanowiono w artykule

[1] Ten §. 120 *a)* podaliśmy poprzednio w całej jego osnowie.

trzecim tych zmian ordynacyi procederowej z dnia 18 lipca 1881, że istniejące przy wydaniu niniejszej ustawy cechy, które aż do końca roku 1885 nie zmienią swej organizacyi odpowiednio do nowych przepisów, mogą być wezwane przez władzę centralną do dokonania tej zmiany w oznaczonym terminie. Jeżeli temu wezwaniu nie stanie się zadość, ma władza centralna prawo nakazać zamknięcie cechu. Majątkiem cechu należy w tym przypadku rozporządzić podług przepisów §. 94 [1].

Tymczasem, zamiast zmienić i zreorganizować cechy podług tych nowych przepisów, zbierali się rzemieślnicy w cechach, na wiecach, na kongresach i tam uchwalali petycye do parlamentu i do ministra, dopominając się różnych reform w ordynacyi procederowej, a przedewszystkiem ograniczenia wolności procederowej. Na te coraz natarczywsze żądania odpowiadał minister deputacyom, ażeby wprzód rzemieślnicy zastosowali swoje ustawy cechowe do nowych przepisów a potem niechby się z wnioskami zgłaszali, jeżeli je uznają za konieczne. Nie zadowolnili się rzemieślnicy ani tą nową ordynacyą procederową z jej „nowemi cechami“, ani odpowiedzią ministra, wołając ustawicznie o reformę przepisów przemysłowych, nie myśląc wcale o reorganizacyi cechów, chociaż wskazywano im na niebezpieczny artykuł trzeci noweli z dnia 18 lipca 1881 r., grożący cechom zamknięciem i zabraniem majątku cechowego w myśl §. 94 ordynacyi procederowej.

Chcąc cechom ułatwić zmianę dotychczasowych statutów cechowych, czyli spisanie nowych, wydał urząd cesarski dla spraw wewnętrznych t. zw. „statut normalny“, według którego można zreformować ustawy cechowe, lub nowe ułożyć. Ale i ten środek nie wiele poskutkował, reforma cechów żółwim postępowała krokiem.

---

[1] §. 94 ordynacyi procederowej przepisuje, że w razie rozwiązania cechu należy w pierwszej linii pokryć z majątku cechowego długi i zobowiązania cechowe. Jeżeli majątek ten całkiem, albo częściowo był przeznaczony na cele dobroczynne, np. na zakłady naukowe, natenczas po zapłaceniu długów, przeznacza go się na tenże cel. Członkowie cechowi nie mogą dzielić między siebie tego majątku i chyba składki, będące w kasie w chwili rozwiązania cechu, mogliby uchwałą walnego zebrania przyznać sobie. Reszta majątku, jeżeli w statucie, albo w ustawach krajowych nie ma o tem odpowiednich przepisów, przypada miejscowej gminie (magistratowi jako reprezentantowi), która tego majątku ma użyć na cele przemysłowe.

Na cechy wielkopolskie parła prasa polska, parli wykształceniem i znajomością stosunków celujący obywatele i rzemieślnicy, radząc zastosowanie się do nowych przepisów, ażeby cechy nie uległy rozwiązaniu, poczem zabranoby im ich majątek cechowy z drogocennemi pamiątkami i dokumentami z czasów Rzeczypospolitej polskiej. Zwolna, z nieufnością zabierały się cechy wielkopolskie do zmiany ustaw swych, lub do zakładania nowych cechów z nowemi ustawami.

Cóż się tymczasem działo w cechach niemieckich, których prawodawstwo procederowe obowiązuje także nasze cechy? Na wszystkich punktach nieustające ogólne niezadowolenie rzemieślników, występujących przeciw wolności procederowej, a dopominających się przymusu procederowego, z jego cechami przymusowemi, i egzaminami. W Magdeburgu, na powszechnem sejmiku rzemieślników, dnia 1 czerwca 1882 r. wołają zebrani o przymusowe należenie do cechów i o przymusowy egzamin. W Monachium schodzą się dnia 26 marca 1883 r. delegaci rzemieślników i żądają tych samych obostrzeń. W Hanowerze 22 maja 1883 uchwala sejmik rezolucyę, zmierzającą do cechów przymusowych. Podobne zebrania z podobnemi wymaganiami widzimy w Wirceburgu, w Kolonii, w Berlinie i w wielu innych miastach, — powtarza się ten sam objaw, którego świadkiem były Niemcy, tuż po ukazaniu się ordynacyi procederowej z dnia 18 lipca 1881 r., a na który odpowiadał minister rzemieślnikom, radząc im czekać dobrodziejstw, które wyda nowa ustawa.

Te ustawicznie powtarzające się wymagania rzemieślników popierała znaczna część prasy rzemieślniczej, konserwatywnej i katolickiej; występowała natomiast przeciw nim prasa inspirowana i rządowa, a rządy poszczególnych państw cesarstwa niemieckiego również przeciwne były przymusowi cechowemu i procederowemu.

Nie myśląc rząd o uwzględnieniu żądań rzemieślników, sam wystąpił w innym kierunku z ograniczeniami. Projekt ten wywołał nader ożywioną walkę. Stronnictwo liberalne opierało mu się zacięcie, aż wreszcie nowa i z nieznacznemi zmianami, przy pomocy konserwatystów, Centrum i Polaków, przeszła nowela rządowa. Oto główniejsze przepisy z dnia 1 lipca 1883 r. 1) Rządy krajowe mogą

tylko tym pozwalać okuwać konie, którzy złożyli egzamin na okuwaczy koni. 2) Ograniczono wydawanie pozwoleń na przedstawienia muzykalne, teatralne, widowiska i inne zabawy, nie mające na celu wyższej sztuki. 3) Uczyniono zależnem od ściślejszych warunków pokątne doradztwo *(Winkelkonsulent)* ajentury, trudniące się wypożyczaniem pieniędzy, pośredniczeniem w zawieraniu małżeństw, tandeciarstwo i t. p. 4) Komisantów (*Commis-voyager'ów*) poddano pod surową kontrolę i 5) ograniczono pozwolenia na konsensy do prowadzenia handlu wędrownego. Niestety kolporterka doznała wielkich trudności, na czem my Polacy bardzo źle wychodzimy. Na to ograniczenie nie powinni byli zgodzić się posłowie nasi, boć ich tylko głosami przeszła cała ustawa, co nam nieraz postępowa prasa niemiecka przypomina!

Te przepisy, nie dotyczące wcale cechów, i właściwego rzemiosła, nie przerwały bynajmniej agitacyi cechów i zwolenników przymusu procederowego. Im bardziej zbliżał się koniec roku 1885, z którym, jakeśmy to wyżej widzieli, miały być zaprowadzone nowe ustawy cechowe, tem więcej parli rzemieślnicy, wołając o przymus cechowy i procederowy: w roku 1883 i 1884 najżywiej krzątają się rzemieślnicy.

W Wielkopolsce zabrał się do pracy tej cech szewski, jako najczynniejszy z wszystkich cechów. Zarząd jego, składający się z pp. Franciszka Andrzejewskiego, Stan. Dybizbańskiego i Feliksa Urbańskiego, zwołał na 28 i 29 kwietnia 1884 r. wiec szewców wielkopolskich. Przeszło 200 delegatów stawiło się na sali hotelu saskiego. Przemawiali na tym wiecu: Ks. Dr. Kantecki na temat: „Czem były cechy dawniej, czem są obecnie i czem być powinny". Pan Feliks Urbański rozebrał temat: Jakie są stosunki majstrów, czeladzi i uczniów szewskich przy obecnem prawie, i jakie o nich wyobrażenie. Literat, p. Franciszek Krajewicz mówił „O wolności procederowej, jej skutkach i obecnym stanie rzemiósł". Mistrz szewski, p. Nay wskazywał, jak majstrowie szewscy mają się zachować w obec nierzetelnej konkurencyi i w obec swoich odbiorców. Pan Berchiet (mistrz szewski) mówił „o sprawie maszyn fabrycznych i o sposobie ich opodatkowania, oraz o robotach wojskowych i więziennych". W rezolucyach powziętych na tym wiecu, a przesłanych do parla-

mentu na ręce koła polskiego, żądali wiecownicy: 1) aby każdy, kto chce prowadzić samodzielnie proceder, uczył się tego, złożył w odnośnym cechu egzamina na czeladnika i majstra, a dopiero wtedy uzyskał kartę przemysłową; *a)* żądano także opodatkowania maszyn, zastępujących pracę ludzką. Produkty rzemieślnicze, wykonane w więzieniach, lub przez ludzi służących wojskowo, nie mają wychodzić na targ konkurencyi prywatnej.

Te rezolucye jak seciny innych rezolucyj i petycyj z Niemiec, spoczęły w tekach ministeryalnych lub parlamentarnych, nie przyniosłszy dotychczas pożądanego skutku. Nadaremnie silą się rzemieślnicy, dopominając się ograniczenia wolności procederowej; rządy zdają się temu wcale nie sprzyjać, stojąc, chociaż same konserwatywne, w tym punkcie na stanowisku zapatrywań stronnictwa liberalnego, broniącego wolności procederowej, gniotącej kapitałem warsztatowego rzemieślnika. Chciał rząd jednak coś zrobić dla cechów i zrobił też, zdaniem swojem, coś doniosłego, ale rzemieślnicy nie dzielą w tym względzie jego zapatrywań i nie garną się tak, jak to sądzono u zielonego stolika, do korzystania z tego nowego pomysłu. Otóż znamy już §. 100 *e)* ordynacyi procederowej z dnia 18 lipca 1881 r. Paragraf ten stanowi, że cechom, których czynność na polu kształcenia uczniów okazała się zbawienną, może wyższa władza administracyjna oddać załatwianie sporów wynikłych ze stosunków nauki, na wezwanie jednej z stron spór wiodących, nawet wtedy, kiedy pracodawca, chociaż prowadzi proceder reprezentowany przez cech i chociaż sam posiada kwalifikacyę do przyjęcia go do cechu, jednak do cechu nie należy. Zmieniono ten przepis, a raczej uzupełniono go o tyle, na dniu 6 grudnia 1884 r., że „pracodawcom należącym do powyższej kategoryi, można zabronić przyjmowania uczniów w naukę". Z tego połowicznego podarku mało który cech korzysta, a w Wielkopolsce żaden dotychczas. Starał się zrazu wprawdzie poznański cech szewski o ten przywilej, ale mu rejencya odpowiedziała, żądając dowodów na to, że ma zasługi w kierowaniu młodzieżą terminatorską. Dziś jak się zdaje, kiedy inne cechy nie myślą o ubieganie się o te prawa, które za wielki przywilej widocznie w kołach rządowych uznawano — uzyskałby może je cech szewski bez trudności, ale ich nie pragnie. Do czegóż bowiem prowadzi ten przywilej? Oto w miej-

scu, gdzie jest cech uprzywilejowany, może władza takiemu cechowi nadać prawo rozstrzygania sporów warsztatowych między uczniami i czeladnikami, a ich majstrami nie należącymi nawet do cechu. Nadto można majstrom poza cechem stojącym zakazać przyjmowania uczniów w naukę. Rezultat ostateczny takiego przywileju byłby ten, że każdy „majster“ cisnąłby się do cechu, przyjąćby go trzeba, a wtedy cechy miałyby w sobie najróżnolitszą zbieraninę niemogącą nieraz z biedy ani składek opłacić. Dostałyby się też do cechów żywioły, których sobie, poważnie i z poczuciem godności rzemieślniczej prowadzone cechy, życzyć nie mogą. Straciłyby cechy na znaczeniu, a przysporzyłyby sobie pracy w załatwianiu sporów, w ściąganiu składek i t. p., do czegoby osobnego potrzeba biura z całym aparatem urzędników z grona członków cechowych. Na takie marnowanie czasu nie stać rozsądnego a zaradczego rzemieślnika. Tych warunków widocznie prawodawca nie uwzględnił, to też chybił celu tą swoją ustawą.

Ważna ta dla niemieckiego i naszego przemysłu kwestya cechów wejdzie niezadługo na porządek obrad parlamentu rzeszy niemieckiej. Wielkopolska oczekuje z niecierpliwością rozpraw nad wnioskiem konserwatystów (Akermann) i katolickiego Centrum, żądającym dalszych zmian ordynacyi procederowej. Z uchwałą parlamentu nie omieszkamy poznajomić czytelników *Przeglądu powszechnego*.

V. R.

Krok naprzód na drodze kulturkampfu szkolnego we Francyi.

Republika francuska w imię „wolności“ uczyniła krok naprzód na drodze azyatyckiego despotyzmu; senat wielką większością głosów przyjął projekt do prawa, który uniemożliwia wszelką działalność zgromadzeń zakonnych w szkołach ludowych. W kraju panuje rozdrażnienie: nie mówiąc już nic o partyi katolickiej, ale sami nawet wolnomyślni z bardzo ostrą krytyką występują przeciw rządowi. P. Albert Duruy ogłosił w *Revue des Deux-Mondes* artykuł pod tytułem *L'instruction publique et la démocratie;* zwrócił on na sie-

bie uwagę prasy zagranicznej, sądzimy że zajmie naszych czytelników i dlatego podajemy tu wybitniejsze z niego ustępy.

Autor przebiega treściwie stan wychowania publicznego we Francyi przed rokiem 1875, wykazuje usterki, wspomina o usiłowaniach i rozporządzeniach, mających na celu zaradzenie złemu — lecz nagle zmienia się stan rzeczy.

...„Nadszedł, pisze on, 16 maja, a wkrótce potem wybory. Powraca do izby trzystu sześćdziesięciu trzech, a za nimi wielu innych; tym razem demokracya jest górą w całem znaczeniu tego słowa. Obecnie może sobie wiele pozwalać, bo ma przed sobą mniejszość ubezwładnioną najzupełniej, zdziesiątkowaną w dalszym ciągu ohydnym systemem unieważniania wyborów. Aby powściągnąć demokracyę, potrzebaby hamulca, który nie istnieje, lub skrupułów nieznanych jej sumieniu. Odrazu też zaczyna się walka. Lecz od czego? Tutaj trzeba podziwiać system, objawiający od razu swoją potęgę. Od lat trzydziestu, dzięki prawu z r. 1850, państwo i Kościół żyły we Francyi spokojnie obok siebie. Być może, iż zgoda między dwoma potęgami była tylko pozorna, gdyż istniał pewien antagonizm, owoc odrębności ich doktryn i interesów. Niemniej sojusz był podpisany; otwarta ugoda, oparta na wzajemnych ustępstwach zażegnywała wojnę religijną i można było przypuszczać, że odwieczna we Francyi kwestya między władzą a klerem rozstrzygniętą została stanowczo. Niemała korzyść dla kraju, szamotanego tak dalece na wszystkie strony.

Na jakichże warunkach otrzymało państwo ten pokój i czem go okupiło? Nie można mu zarzucać uronienia najmniejszej cząstki dóbr publicznych, lub znaczniejszego przywileju. Nietylko Kościół pragnął wolności nauczania, życzyła go sobie wielka liczba roztropnych ludzi, jako swobody odpowiadającej innym wolnościom już uzyskanym, lub uzyskać się mającym,“...

Nie zawsze tak bywało. Był czas, iż rząd mógł się uważać za upoważnionego do ukrócenia wolności, lecz

...„Dzisiaj przeciwnie, nietylko że niebezpieczeństwo nie istnieje od lat wielu, nietylko że rewolucya nie jest już w grze, lecz na odwrót niebezpieczeństwo leżałoby w podnoszeniu zasad rewolucyjnych i ich ducha. W latach 1870 i 1871, gdy Francya konała, skądże wypadł pocisk, który ją miał dobić? kto ją pchnął zdradzieckiem sztyletem, podczas gdy ona stawiała czoło nieprzyjacielowi? zdaje się, że nie uczyniła tego Wandea, która z bronią w ręku krok za krokiem odpierała najezdzcę; nie uczynili tego stronnicy upadłego rządu, nie miał bowiem rząd obrony krajowej lepszych nad nich szermierzy. Jeżeli Rzplta o mało wtedy nie zginęła, sama była tego powodem, a najsilniejsze podpory znalazła w szeregach swych przeciwników.

Lecz to nie obchodzi wcale demokracyi, co jej po wspomnieniach; ona nie ma pamięci tylko zachcenia; nie jest ani wielkoduszną, ani subtelną — staroświeckie to cnoty! Zrodziła się, chce używać; panuje — więc drudzy niech słuchają. Rządzi się oportunizmem, a od lat dziesięciu głos oportunizmu woła: „klerykały to wrogi“. A więc dalejże na duchowieństwo, dalej na kongregacye, dalej na Jezuitów! Tak się jej podoba, *cy veut le souverain, cy veut la loi*“.

Hasło wydane, rozchodzi się o wykonanie. Kto się go podejmie? Kto się poniży do tego stopnia, iżby bez cienia przyczyny, bezprawnie, brutalnie, wyrzucał za kołnierz spokojnych i uczciwych mieszkańców kraju z ich własnych mieszkań?

...„W rozszalałej zgrai łatwo o ochotnika dla dobicia ofiary; taki się zawsze znajdzie, co pierwszy cios wymierzy. I rzeczywiście się znalazł. Nie ma on bystrości rozumu, lecz jest zręczny, i dlatego wypłynął na wierzch z pomiędzy trzystu sześćdziesięciu trzech; dość mu było ukazywać się od czasu do czasu na trybunie i zajmować ją długo. Zrazu mówił licho, lecz izby dzisiejsze niewiele wymagają, nie trzeba im Berryerów, trochę swady im wystarcza, wprawa i śmiałość czynią resztę. Niebawem został ministrem po Gambecie. Za życia tegoż knuł przeciw niemu, lecz po śmierci powiedział nad nim mówkę i zajął jego miejsce. Trzeba prawdziwie ślepego szczęścia; w dziennikarstwie był bez znaczenia, w administracyi zupełnie niedołężny, i na tych fundamentach zbudował w kilku latach swoje powodzenie! Człowiek ten jest najwidoczniej bardzo silny w pewnym znaczeniu; dwóch najsilniejszych w świecie dźwigni używa: nieugiętej woli wyniesienia się, i niewzruszonego postanowienia pozostania na miejscu. Czy ten portret pana Ferrego potrzebuje podpisu?

Nie można zająć lepszego „posterunku“ do akcyi zaczepnej w sprawie religijnej, nie można być sposobniejszym na usługi rozjątrzonej demokracyi. Nikt przedewszystkiem nie zrozumiał lepiej, nie widział jaśniej, jaki zysk można było wyciągnąć z tej antrepryzy. Zadzierzgnąwszy raz konflikt, rozpocząwszy walkę, nikt mu nie śmie pierwszego miejsca zaprzeczyć. Stał się ministrem niezbędnym, przedstawicielem większości, którą oplótł i związał wspólnictwem z sobą — i przykuł na kilka lat do siebie przestępstwem, w jakie ją wciągnął. Świetna perspektywa! jak się tu wahać?

On się też nie waha. W kilku tygodniach bez ankiety i narad uprzednich improwizuje dwa olbrzymie projekty do praw, jeden tyczy się organizacyi rad uniwersyteckich, drugi odnosi się do „wolności nauczania“ w kierunku odwrotnym ma się rozumieć, bo wolność jest tutaj tylko czczym blichtrem, obliczonym na ciemnych, a celem, do którego się dąży, myślą przewodnią obu projektów, jest przywrócenie monopolu uniwersyteckiego. Tego jednak nie wyznaje; zadać sobie samemu jaki kłam w przeciągu lat trzech, byłoby zbyt bolesnem. Jednak nikt się tu nie da oszukać. W myśl prawodawcy z r. 1850, rada wyższa nauczania publicznego nie miała być prostą radą uniwersytecką, miała ona być, wedle szczęśliwego wyrażenia się księcia de Broglie: „radą spółczesną wielkiej rodziny francuskiej“, — zależało więc na tem, aby była otwartą przedstawicielom wszystkich sił społecznych, a głównie Kościoła, owego wiekopomnego kościoła Francuskiego, który przez lat tyle niósł na barkach wychowanie narodowe kraju całego“.

Takby należało wnosić, lecz p. Ferry jest całkiem innego zdania:

„Według niego, społeczność nie istnieje sama przez się; nie ma ona i mieć nie może życia własnego, niezależnego, potrzeb osobistych, obyczajów, tradycyj, wierności; społeczność łączy się z państwem i w niem znika, — gdyż

państwo tylko jest szczepem rzeczywistym i ciałem istotnem o prawdziwych organach.

. . . Zanadto długo już istniało panowanie sił społecznych, zawiele ustępstw czyniło mu państwo. Długo, zbyt długo miały udział w nauczaniu publicznem i jego ustawodawstwie władze administracyjne, rada stanu i duchowieństwo, — nadewszystko duchowieństwo. Teraz się zrobi porządek z pedagogami, wszyscy pójdą w urzędniki jak chińscy mandaryni — wszyscy w szeregi i w ordynek. Oportunizm steru tak rozumie wolność; schwytany jest na gorącym uczynku w tym pomyśle, aby spadkiem takich ludzi, jak Bonnechose i Darboy obdzielać swoich nauczycieli.

Przypatrzmy mu się w drugim jego projekcie. Niedawno chodziło o duchowieństwo świeckie i uszczuplenie jego dochodów; na razie zaniechano gwałcić konstytucyę pod tym względem, aby zadać cios zgromadzeniom zakonnym.

Słynny artykuł 7 nie przedstawia żadnej wątpliwości. „Odtąd nikt nie będzie przypuszczony do udziału w nauczaniu, tak publicznem, jak i wolnem, ani do kierownictwa jakimkolwiek zakładem, lub nauczania w nim, jeżeli należy do zgromadzenia zakonnego nieupoważnionego". Innemi słowami i wyraźniej: Istnieje obecnie we Francyi 141 zgromadzeń nieupoważnionych, 125 żeńskich a 16 męskich, czynimy je niniejszem bezwładnemi. Zgromadzenia te posiadają 640 zakładów; zamykamy je jak domy zapowietrzone. Zakłady te liczą około 62.000 uczniów i 6.000 profesorów; pierwszym polecamy, aby się udali gdzieindziej, drugich puszczamy bez chleba. Około 9.000 dzieci, otrzymujących wychowanie i utrzymanie bezpłatne, oddajemy rodzicom bezwarunkowo.

Taka jest doniosłość owego prawa „wolności", ogołoconego z frazeologii ministeryalnej. Jednym zamachem dosięga w sposób nieludzki 67.000 osób, a zatem 67.000 rodzin, obraża ich sumienie, podkopuje ich byt, staje w sprzeczności z usposobieniem i przekonaniem tysięcy innych.

.... Sprawa ta nie dała się obronić, ani w obec prawa, ani w obec sprawiedliwości, ani nawet w obec polityki, a chcąc ją wygrać w obec parlamentu, potrzeba było ten ostatni obrócić w stan niewolnictwa. Dla izby deputowanych wybiła już była godzina tego przeobrażenia, lecz senat trzymał się jeszcze; zachował on pewną siłę młodzieńczą, odporną i o tę rozbiły się sofizmata i sztuki pana Ferrego.

Reszta jest wiadoma i tylko dla przypomnienia mówimy o niej. W dawniejszych czasach, gdy gabinet przegrał sprawę w jednej lub drugiej izbie, jeżeli zwłaszcza chodziło o artykuł ważniejszego prawa, wtedy działo się jedno z dwojga, albo gabinet cofał swój wniosek, albo się sam usuwał. Taki był obyczaj; — lecz co znaczą zwyczaje dla kogoś tak wprawnego w kuglarstwo na punkcie prawa pisanego. P. Ferry najspokojniej powziął postanowienie, wydał ukaz, i na tem koniec. Zamiast zakazu nauczania, kongregacye otrzymały rozkaz wydalenia. Artykuł 7 pozostawiał im wolność życia wspólnego na tej ziemi francuskiej, krwią ich założycieli i ich wychowańców skropionej. W skutek brutalnych dekretów rozpędzeni zostali jak złoczyńcy, a jednocześnie powracali komunardzi z Kajeny, i wstępowali do parlamentu. Wtenczas to przedstawił się budujący widok: wojsko oblegało ciche ustronia Kartuzów; prefekci w mundurach galowych, merowie przy szarfach, odgrywali rolę zbirów i policyantów — legalizacyi zaś tych gwałtów dopełnił sąd najwyższy *(le tri-*

Chambre des comptes, rozstrzygając większością jednego głosu, że jedyne prawa istniejące, które można zastosować do stowarzyszeń zakonnych, są prawa wydane za czasów byłej monarchii!

Pierwszy akt walki między Kościołem i państwem zakończył się egzekucyą wojskową i parodyą sądu".

Reformatorzy liberalni po zbrakowaniu nauczycieli, zajęli się brakowaniem studyów. P. Duruy pisze dalej:

... „Po wypędzeniu Jezuitów zostawał tylko jeden krok do reformy nauk klasycznych, jedno było następstwem drugiego. Demokracya nie była nigdy przyjaciółką nauk, a ile razy panowała, tyle razy sługi jej znęcały się nad niemi. W r. 1793 nietylko, że Konwencya zniosła kolegia i dobra ich zagarnęła, lecz postanowiła nadto dawny system nauk zastąpić zupełnie nowym. Mniemano dotąd, że dla rozwinięcia młodych umysłów najkorzystniejszą była rzeczą nauka języków starożytnych; jezuicka *ratio studiorum* przetrwała wiek XVIII. i encyklopedystów; rewolucya nawet, w swoim zawiązku uszanowała ten program nauk. Lecz wszystko się zmienia, skoro ster rządu dostał się w ręce Jakobinów. Wszystkie rozporządzenia z owej epoki dążą do osłabienia i ścieśnienia kierunku literackiego. Condorcet w swoich instytutach pragnął „utworzyć ludzi tegoczesnych, dostroić umysły do potrzeb obecnych", a jeżeli nie zaszedł tak daleko, jak paradoksalny i świetny autor kwestyi łacińskiej, to jest do skasowania całkowitego nauki literatur starożytnych, uważał już takową „raczej za szkodliwą, aniżeli pożyteczną... Nowa rada szkolna nie omieszkała podjąć tradycyi rewolucyjnej... Główną i najwybitniejszą cechą reformy z r. 1880, jej znakiem fabrycznym, że tak powiem, jest przewaga języka francuskiego, nauk ścisłych i historyi. Poprzednio nauki te miały szerokie miejsce, lecz prym trzymały języki starożytne a mianowicie łacina. Nie można było żądać zastosowania się do zastarzałych przesądów od nowych sił uniwersyteckich; łacina, jako arystokratka, z góry została potępioną. Niedość że jej odjęto kilka godzin tygodniowo, aby ulżyć w zbyt przeładowanych programach, — odcięto prócz tego dwa lata z ośmiu, a nadto najlepsze ćwiczenia szkolne. Tę samą amputacyę przeszła greka; zamiast sześciu lat nauki, naznaczono ich cztery dla języka greckiego. Równało się to poniekąd zupełnemu skasowaniu. Natomiast język francuski z drugiego planu dostał się na pierwszy, a nauki uważane dotąd za pomocnicze, jak historya i geografia, stanęły na równi z łaciną Niechby już na tem było się skończyło, lecz po obaleniu dawnego planu nauk zaczęto przemianę metody nauczania, i reformę przestarzałej pedagogii. Nauka języka nie miała się już odbywać w ten sposób, iżby się dziecko uczyło szeregu przykładów ćwiczących pamięć, z którychby w następstwie wyprowadzić można regułę, lecz od razu zaczęto przełamywać trudności i subtelności tekstów niemieckich, greckich lub łacińskich. Biedna dziatwa! dawniej już żal wzbudzała gdy wymagano od niej tylko wysiłku pamięciowego przez kilka godzin dziennie; teraz została skazaną przez metodę doświadczalną na wysiłki rozumowe, za trudne nawet dla młodzieńców siedmnasto- lub ośmnasto-letnich. Nie dozwolono oswajać ich powoli ze znaczeniem wyrazów i stopniowem ich kombinowaniem. Zarozumiałość pedagogiczna żąda od dzieci rozbioru słów, rozróżniania prostych od pochodnych tonicznych odnieto-

nicznych, wyszukiwania prefiksów, sufiksów i dubletów, żądają od nich umiejętnego rozbioru o początku i wytwarzaniu się języków. Jeżeli dzieci po wyjściu ze szkoły nie obrzydzą sobie gramatyki i gramatykarzy na całe życie, zaprawdę nie będzie to zasługą uniwersytetu.

Tak samo rzecz ma się z historyą. Urok tej nauki w klasach początkowych zasadzał się na metodzie naracyjnej, na opowiadaniu. Starano się obudzić i utrzymać uwagę ucznia przez zdarzenia opowiadane w formie anegdot, kładąc więcej nacisku na osoby, aniżeli na instytucye. Opowiadano im wielkie czyny wojenne naszych ojców mniemając, że bitwy Tureniusza czy Bonapartego rozwiną najlepiej pojęcia chwały i miłości ojczyzny. Błąd to był niezmierny, przesąd archaiczny. Studya społeczne zastąpić mają obecnie ten system, i staną się najgłówniejszym przedmiotem nauczania. Historya bitew, historya osób panujących, jak mówiono w 1793, zeszła na drugi plan, historya instytucyj i obyczajów od prawodawcy Manu aż do zasad nieśmiertelnych z r. 1789, zajmuje pierwszorzędne miejsce. Dzieci nasze nie będą znały osób, wojen, traktatów, na mocy których powstała Francya; natomiast nauczą się dokładnie jak się ubierali Gallowie w IV. wieku, Frankowie w V., jak się nosił mieszczanin w XII.; jak żyli nasi ojcowie, co jedli, czem jedli i jak się bawili"...

Ten nowy system nauczania przyniósł już owoce, które wskazują, iż poziom wykształcenia obniżył się bardzo we Francyi. P. Duruy przytacza dowody.

„Większość kandydatów stających dziś do egzaminu okazuje wprawdzie wyższą biegłość w językach nowożytnych i geografii, natomiast żaden prawie nie jest zdolny przetłumaczyć bez przygotowania stronnicy z Liwiusza, nie można im zadawać tekstów z poetów, albowiem od czasu skasowania nauki o wierszowaniu łacińskiem, niezdolni są do zrozumienia najmniejszego heksametru...

Lecz i po francusku nie piszą lepiej, odkąd zastąpiono, od trzeciej klasy począwszy, zadania łacińskie zadaniami francuskiemi; przeciwnie ortografia jest tak błędna, że Sorbona zmuszona była żądać utworzenia nowego szeregu konferencyj, w tym celu, aby prelegent miał za główne zadanie poprawianie wypracowań uczniów fakultetu literackiego. Głowy kandydatów zapełnione są wielką ilością szczegółków, a za mało są przygotowane do studyów wyższego stopnia. Kandydaci do licencyi tak stoją nisko pod względem filologicznym, iż nauczyciele przygotowujący ich do egzaminu, muszą przechodzić z nimi to, czego mieli się nauczyć w gimnazyum (w sekundzie i na retoryce). Oto, według zeznania samych fakultetów, cała korzyść, jaką wyciągnęły szkoły średnie z nowych programów i metody z r. 1880".

W dalszym ciągu autor kreśli działalność dzisiejszego uniwersytetu paryskiego: nie chodzi dziś Sorbonie o świetność wykładu, o postęp w nauce, lecz po prostu o jej demokratyzowanie, dlatego stara się głównie o maszynowy wyrób największej liczby głów dyplomowanych. Zaznacza zarazem serwilizm senatu uniwersyteckiego, który się poniżył do przyjęcia narzuconego sobie urzędnika magi-

strackiego na profesora wykładów apologetycznych o rewolucyi. Wreszcie przystępuje p. Duruy do najważniejszej sprawy — do sprawy nauczania ludowego.

„Trzy doniosłe prawa, nie licząc cyrkularzy i dekretów, były trzema etapami w tej walce zaciekłej: prawo z 16 czerwca 1881 r. o bezpłatności, prawo z 28 Marca 1882 o nauce przymusowej, wreszcie prawo obecnie przez senat uchwalone. W tej trylogii dopełnione jest dzieło; można je teraz objąć jednym rzutem oka i wydać o nim sąd stanowczy".

Przeciw tym bezprawiom gwałcącym swobodę i sumienie wystąpili konserwatyści. Autor podnosi ich zasługę.

„Widok szczupłego zastępu, z góry skazanego na zagładę, który walczy mężnie, choć bez nadziei zwycięzenia, który drogo każe okupywać każdą piędź ustąpionej ziemi, którego siła brutalna gniecie, ale nie łamie, który nie traci ducha, nie poddaje się — widok to wzniosły i przejmujący. Od kilku lat taki widok przedstawia stronnictwo konserwatywne we wszystkich prawie rozprawach odnoszących się do sprawy szkolnej: ciągle na wyłomie, ciągle pobici; mają za sobą słuszność, zdolność, wymowę, lecz nie mogą znaleść posłuchu u izb służalczych, choć nie brakowało im nigdy poklasku wybranych".

Pierwsze dwa prawa nosiły na sobie cechę rewolucyjną. Autor pobieżnie zbywa te kwestye, kładzie głównie nacisk na obarczenie budżetu (700 milionów franków), przedewszystkiem jednak udawadnia, iż zamiarem rządu było krzewienie bezwyznaniowości.

A najprzód rząd zmieniając dawny plan wykładu nietylko nie podniósł, lecz znacznie obniżył poziom i spaczył całe wykształcenie. Dawniejszy program trzymał się zasady: *multum non multa*. Uczono dzieci czytać, pisać, rachować, historyi i geografii przeważnie francuskiej — oto wszystko, lecz za to dzieci wszystko to umiały, dzisiaj przeciwnie.

„W programie z r. 1882 nie ma różnicy między przedmiotami obowiązującemi i nadobowiązkowemi: wszyscy wszystkiego uczyć się mają. Sam program przybrał rozmiary niebywałe: obejmuje on dwa nawet trzy razy tyle przedmiotów co dawniej, a do tego rzeczy, które nietylko przechodzą pojęcie uczących się lecz i samych nauczających. Wchodzi tu tedy cała historya, nawet spółczesna i cała geografia; dalej, nietylko ogólne pojęcia o języku francuskim, lecz cała literatura francuska; przychodzą z kolei początki prawa i ekonomii politycznej, główniejsze wiadomości z nauk przyrodzonych i matematyki, zastosowanie tychże do rolnictwa, hygieny i przemysłu, roboty ręczne i obznajomienie się z używaniem narzędzi różnych rzemiosł. Czy wszystko? O nie! Idą dalej rysunki, modelowanie, muzyka, gimnastyka, ćwiczenia wojskowe i t. d. Proszę sobie wyobrazić tych nieszczęśliwych, tak uczniów jak i nauczycieli w obec tego Programu-Babel! Skutek zaś łatwy do przewidzenia — dzieci nic nie umieją. Miałem sposobność przekonania się o tem w kilku szkółkach,

które zwiedzałem roku zeszłego w departamentach południowych. Dzieci nie mają wyobrażenia o żadnym przedmiocie, którego się uczyły; najbardziej pojedyncze i praktyczne pytania zostawały bez odpowiedzi.

Gdyby jeszcze na tem koniec złego. Lecz przeładowawszy program nauk niestrawnym materyałem obcięto go z jednego końca, wyrzucili mianowicie z niego naukę religii a położyli w to miejsce naukę moralności obywatelskiej. . . . Jaka to będzie moralność można sobie wyobrazić! Chcecie moralności bez Boga, i twierdzicie jeszcze, że stoicie na gruncie neutralnym... Jesteście neutralni w ten sam sposób jak byliście liberalni, wyrzucając Jezuitów, i jak jesteście konkordatowi obarczając religię i duchowieństwo wszystkiemi prześladowaniami, które konkordat miał odwrócić. Udajecie wiarę i chcecie wmówić w nas, że wiara dzieci naszych nie jest zagrożona w waszych szkołach. Nie zależy wam wcale na tem, aby wychować chrześcijan w najszerszem znaczeniu tego słowa, jakich wychowywały dawne uniwersytety, aby otoczyć młode pokolenia atmosferą myśli i uczuć wzniosłych, w jakiej dawna pedagogia starała się jak najdłużej je zatrzymać. Jeden cel widzicie, za jedną myślą gonicie, aby porwać dziecko wypielęgnowane tchnieniem matki, i przerobić je na swój obraz, i przysporzyć wolnej myśli jednego obywatela więcej. Zamiast prowadzić dalej dzieło zaczęte przez rodzinę i być jej współpracownikiem, system wychowania świeckiego jest wrogiem i negacyą posiewu rodzinnego... Niechże, na Boga, przestaną nam mówić o neutralności. Szkoły, w których wolnodumstwo panuje pod pozorem niezależnej moralności, gdzie pod płaszczykiem nauki obywatelskiej czyni się istotna propaganda rewolucyjna, szkoły takie nie są neutralne ani w religii, ani w polityce, a przymus posyłania tam dzieci jest najcięższym z przymusów dla wielu Francuzów, w których oczach ciasny kult pewnej formy rządu nie stanowi podstawy dla wychowania o jasnych i głębokich pojęciach".

Nauka bezpłatna i przymusowa jest znamieniem rewolucyjnem. Jeżeli rząd daje dziś darmo pokarm duchowy, jutro będzie musiał dawać darmo również pokarm fizyczny, *prius est enim vivere et dein..*, a w takim razie dokąd taki system doprowadzi? Dalej, przymus jest wprost przeciwny swobodzie, a nadto skoro ten przymus wykonywany bywa przez rząd sekciarski, bezwyznaniowy, wówczas despotyzm staje się najnieznośniejszym, samo sumienie skrępowane jest więzami. Takie pojęcie o obecnym systemie wychowania publicznego mają nietylko konserwatyści lecz i liberalni, których nienawiść nie zaślepiła; w tym duchu przemawia w *Matin* p. Jules Simon, były minister i „niezależny" filozof.

„Guizot, pisze on, był rzeczywiście liberalnym, i dlatego, z jednej strony, nie był przeciwnikiem szkół wolnych, z drugiej zaś, w szkołach rządowych zaprowadził system prawdziwej swobody. Skoro nie przepisuje się rodzinom lekarza, notaryusza i spowiednika, nie sądził Guizot, żeby należało przepisywać im z urzędu nauczyciela dla ich dzieci. Według Guizot'a wolność nauczania jest jedną z gałęzi rzeczywistej wolności. Ten wierzący i surowy pro-

testant nie obawiał się księdza katolickiego. Obawa ta powstała w r. 1824 z powodów słusznych, a wznowioną została w r. 1880 bez żadnego powodu. P. Guizot nie poniżał się do takiego dzieciństwa, nie jest ono godnem męża stanu. Przeciwnie, uważał on iż powodzenie szkoły zależy głównie od opieki, jaką otoczy ją miejscowy kapłan. Rząd, którego był przedstawicielem nie był klerykalnym, lecz religijnym, co nie jest to samo. Jako dobry polityk, kochał religię, jako filozof, nie obawiał się jej. Skoro chodziło o nadzór szkoły, obok mera umieszczał zawsze proboszcza; skoro szło o nauczanie, nie wahał się powierzać je zgromadzeniu zakonnemu, jak tylko większość gminna tego zażądała.

Lecz nie tu jeszcze koniec, pisze p. Duruy, po świeckiej nauce przyszła kolej na świeckie nauczycielstwo; po wymazaniu imienia Boga z programów, należało skończyć z nim na zawsze i wynieść ze szkoły wszystko, co go przypominać mogło. Stąd powstał projekt do prawa przyjęty świeżo przez senat po dwumiesięcznych debatach, i czekający tylko na uchwałę izby deputowanych"... Do tej pory bracia szkół chrześcijańskich zwolnieni byli od służby wojskowej, z tego samego powodu i z tem samem zastrzeżeniem jak nauczyciele świeccy, to jest pod warunkiem pozostania przy nauczycielstwie przez ciąg lat dziesięciu. Wzgląd ten zachowany był i względem innych stowarzyszeń. Odtąd układ ten będzie istniał tylko w zakładach publicznych, będzie więc tyczył się tylko ludzi świeckich, gdyż według brzmienia artykułu 17, nikt z zakonników nominowanym nie będzie. P. Paweł Bert nie wymagał tyle w r. 1880, byłby przystał na jeden rok służby wojskowej dla przyszłych kapłanów, a w jego projekcie nauczyciele świeccy nie mieli większego przywileju od nauczycieli zakonnych. Lecz odtąd sprawa postąpiła — przybywało animuszu, a ten cios ostateczny, zadany przez głosowanie w senacie dawnemu prawodawstwu, dopełnia świetnie całości działania, rozpoczętego artykułem 7 i dekretami z r. 1880. Jestto finał dzieła nienawiści, równie złośliwy i mizerny jak całość".

Juliusz Simon omawia w *Matin* to rozporządzenie:

„Nowe prawo pisze on, stawia nauczycielom zakonnym dwie alternatywy, albo dziesięcioletnią służbę w szkołach świeckich (bezwyznaniowych), albo pięcioletnią służbę wojskową. I chcą jeszcze w nas wmówić, że nie ma żadnego powodu uskarżania się na to nowe rozporządzenie, gdyż państwo może uprzywilejować swego nauczyciela w swoim własnym interesie, a nie ma żadnego powodu uwzględniania w ten sam sposób współzawodników, stosuje więc do nich prawo ogólne. Nie będę zastanawiał się tutaj nad tem rozumowaniem opartem na fałszywem pojęciu istoty państwa i tego co się zwać zwykło interesem publicznym; wystarcza mi stwierdzić, że ten artykulik dodatkowy, prowizoryczny, przyklejony przez p. Pawła Bert'a do projektu prawa przezeń postawionego, równa się skasowaniu kongregacyj nauczających.

We wszystkich religiach utwierdzone jest pojęcie, że zawód życia zakonnego wyklucza zawód wojskowości. Ludzie bez wiary zaprzeczają słuszności tego przekonania u ludzi religijnych. I na tym punkcie widzę despotyzm — a z drugiej strony fałszywe obliczenie. Zyskuje się parę tysięcy lichych żołnierzy, a traci się tyleż dobrych nauczycieli. Faktem uderzającym jest, że kongreganistów jako nauczycieli publicznych, wytępia sekularyzacya, i że giną marnie jako nauczyciele prywatni".

Ze zgromadzeń zakonnych, które jeszcze zostały po gwałtach dokonanych przez Ferrego, najliczniejsze było „Zgromadzenie Braci szkół chrześcijańskich“ [1]. To Zgromadzenie tak ogólnem cieszyło się uznaniem, iż sam rząd jakubiński nie śmiał nań ręki podnieść.

„Lat temu trzy lub cztery, pisze p. Duruy, nie byłoby podobnem wystąpić przeciw Braciom szkół chrześcijańskich w ten sam sposób jak przeciw Jezuitom, sam p. Juliusz Ferry na początku swojej działalności głośno tę myśl odpierał. Na Jezuitach ciężyły zastarzałe przesądy, odwieczne zarzuty i wspomnienia, które ciągle starała się odświeżać literatura, ziejąca żółcią i cuchnąca ciemnotą. Lecz owi maluczcy i pokorni nie przedstawiali powodu, o który możnaby zahaczyć; nie zbyt dawno dzierżyli ster nauki i okazywali zawsze mądrą przychylność dla postępu i prawdziwej wolności... Czy można było uczynić zarzut, iż zakład stracił na wartości? Wcale nie, gdyż uczniowie naprzekór stronniczości urzędowej okazywali wyższość niezaprzeczoną w konkursach i na wystawach. Może tendencyom było co do zarzucenia? Bynajmniej!... Raz jeden od lat wielu bracia stali się głośnymi. Było to w r. 1870; lecz wtedy doprawdy zasłużyli na przebaczenie. Potrzeba było na to więcej niż poświęcenia, była to godzina ofiary. W przeciągu kilku tygodni zakład wysłał do pięciuset swoich członków na pole bitwy, a nasi ranni widzieli przybywających z noszami tych zaimprowizowanych infirmierów w czarnych długich sukniach, tych prostaczków bez trwogi przed śmiercią; i ci tylko chyba mogli ich za wrogów ojczyzny przedstawiać, co nigdy nie słyszeli świstu kuli i prochu nie wąchali... Bądź co bądź, w owej Francyi, w owej ziemi klasycznej męstwa i heroizmu znalazły się izby tak mało francuskie, że się zgodziły na tę krzyczącą niesprawiedliwość. W przeciągu lat pięciu dwa tysiące trzysta dwadzieścia ośm szkół publicznych, znajdujących się w rękach Braci szkół chrześcijańskich i innych, — gdyż istnieje dwadzieścia cztery kongregacyj męskich, oddanych nauczycielstwu, — będą musiały postarać się o nauczycieli świeckich. Kierownicy obecni, wywłaszczeni, wbrew wszelkim zasadom, bez wynagrodzenia, odsunięci jak przeniewiercy, jak parjasy, mogą, jeżeli chcą zakładać szkoły wolne, lub iść na cztery wiatry, kiedy mają manię poświęcenia, roznosić po świecie wpływ, którym Francya wzgardziła. Odepchnięci w ojczyźnie przytulą się w koloniach, gdy wspaniałomyślna republika zostawia im wrota emigracyi otworem.

Czy mam mówić o zakonnicach — nauczycielkach, dotkniętych tym samym barbarzyńskim wyrokiem? Któż ich nie zna? Któż nie widział ich działania i starań niezrównanej miłości, jakiemi otaczają nasze dzieci w dziesięciu tysiącach dziewięciuset pięćdziesiąt i jednej szkołach publicznych, jakiemi zawiadują. Nie są to doktorki, nie mają wiele manatków i pójdą lekko. Nie mogą wprawdzie mówić wiejskiej dziatwie o ekonomii politycznej w duchu nowych programów, nie są na wysokości uczonych niewiast, wychodzących z dzisiejszych szkół normalnych i liceów. Lecz o ileż więcej mają doświadczenia w prowadzeniu dzieci, jaką niezrównaną cierpliwość i słodycz w przyswajaniu dzieciom zdrowej nauki, zamiast bigosu, jaki im się z urzędu podaje“.

[1] Ob. Szkolnictwo we Francyi. *Przegląd Powsz.* t. 9, str. 190.

P. Duruy streszcza rzecz całą w gorących słowach:

„Takieto są rozmaite przejścia tej walki rozpoczętej przez demokracyę w celu opanowania nauczania publicznego. Walka to była bezbożna, była ohydną rosterką wywołaną z zimną krwią przez szermierzy nic do stracenia niemających, jakich się zawsze napotyka w przedpokojach panujących lub sieniach parlamentów zawsze gotowych podjąć każdą wątpliwą sprawę. Następca tego co rozpoczął tę walkę był nieco oględniejszy w środkach, a doprowadził ją do końca minister niegdyś wielbiący wolność. Stało się to wszystko pod nieczułem okiem naczelnika rządu zapatrzonego w swoje marzenia jak fakir — a ostatnie głosowanie senatu zakończyło przebieg walki. Źle mówimy, nie zakończyła się walka — zawęźlenie nie jest rozwiązaniem. W wojnach zwyczajnych przychodzi chwila gdzie broń wypada z ręki zwycięzcy; zmęczona ręka pogromcy wypuszcza broń, a w rozwścieklonym zwierzu odzywa się człowiek. W wojnach religijnych, jak obecna, nigdy się broni nie składa; bój się przerywa na chwilę, na czas wytchnienia, a potem zaczyna się na nowo.

Wreszcie, czy to wojna o wiarę czy inna, wiemy że demokracya nie zna tej czułości, która nakazuje szanować przeciwników; dopadniętych gładzi natychmiast. Od Stefana Marcel'a do komuny 1871 rzeczy się nie zmieniły. Historya ukazuje nam to stronnictwo przechowujące przez lata i lata w łonie swojem nienawiść, zazdrość, zemstę — i wybuchające w danej chwili. Widziano monarchów absolutnych wyrzekających się władzy i przebaczających mordercom; tam gdzie tłum rządzi nie było przykładu ustąpienia i uszanowania swobody; tłum najedzony nie jest nigdy syty: *Lassata, non satiata.*

Mylą się więc niezmiernie ci, którzy sądzą, że system obecny zatrzyma się w przedsięwzięciach. Minister działający w imieniu rządu silnego, pewien jutra, mocen jest rozpocząć i zakończyć w danej porze konflikt religijny; republika nie ma tej władzy: raz pchnięta w *kulturkampf* żyje nim lub wraz z nim ginie. Nasza republika sama się skazała na to życie galernicze, nic ją do tego nie pchało — musi więc dźwigać do końca swoją kulę u nogi — i dźwigać jej nie przestanie. Z drugiej strony trudno przypuszczać, że konserwatywni ustąpią i trudno, tego od nich żądać. Można zaprzestać upędzania się za swojem dobrem materyalnem, lecz trudno wyrzec się swojej i swoich dzieci wiary. Każdego dobrego obywatela obowiązkiem chwytać za broń, gdy ojczyzna ginie, gdy wróg zagraża, ale jeszcze gorętszą powinnością jest zasłaniać przed wewnętrznym wrogiem tę wyższą ojczyznę tj. świat pojęć, uczuć, tradycyj, bez których nie byłoby narodowości, lecz jakieś zlepki błotniste, przypadkiem nagromadzone.

Będzie więc trwała walka z obu stron zaciekła i nieubłagana; jednych pochylać będą naprzód błędy pierworodne, zamach rozpędu i urojenie powodzenia; drudzy opierać się nie przestaną tyraństwu, oparci na sumieniu i na słuszności praw swoich. Po tej wojnie, którą słusznie nazwaćby można siedmioletnią, bo z pewnością swój Rosbach będzie miała, można łatwo przewidzieć cały szereg następstw najsmutniejszych i niepoliczonych ran i klęsk. Oto jest, w jednym kierunku, bilans owej demokracyi, która zapowiadała Francyi panowanie tolerancyi, zgody i swobód ogólnych. W przeciągu niespełna lat ośmiu sprowadziła na nas bankructwo więcej jeszcze moralne niż materyalne, którego doniosłość przechodzi o wiele zmarnowane miliony, bo uwłacza tak dobrze

rządom jak i ludziom prywatnym, wyrzekli się bowiem zasad swoich i zdradzili swoją chorągiew".

Jakie skutki przyniesie ta walka? Juliusz Simon w ten sposób kończy swój artykuł w *Matin:*

„W r. 1833, aby urządzić Francyę, starano się skupić i spożytkować wszystkie jej strony dodatnie. W r. 1886 chcą przeobrazić Francyę, narzucając jej doktryny polityczne i filozoficzne sekty, bałamutne i bezwyznaniowe. Byliśmy liberalnymi, jesteśmy jakubinami. Z całego serca życzę, aby wasze prawo jakubińskie z r. 1886 było krótko-trwałe. Jest nadzieja, że tak będzie. Użyliście wszystkich sił, aby młode drzewo nagiąć ku ziemi, lecz pełne jest ono soków żywotnych — wymknie się też niebawem z rąk waszych i ujrzymy wierzchołek jego w obłokach".

W.

Listy z nad Bałtyku.

VI.

Język i piśmiennictwo Łotyszów.

Język łotewski zbliżony do litewskiego i starożytnych Prusaków, jest dosyć przyjemny dla ucha, chociaż jeszcze nie obrobiony; za najlepsze narzecze uważają niektórzy to, którem mówią mieszkańcy okolic Mitawy, Bowska, Rygi, Wolmaru i Wendy.

Akcent kładzie Łotysz na pierwszej sylabie, w wyrazach nawet złożonych, która to okoliczność pieśniom łotewskim nadaje dźwięk zupełnie niezwyczajny. W tworzeniu przysłówków i przymiotników wielką posiada łatwość. W jego języku tworzenie się przymiotników i słów z rzeczowników nie przedstawia najmniejszej trudności; jest w nim także osobliwsze cieniowanie spieszczeń i zdrobnień rozmaitych.

Przy całem bogactwie tej mowy posiada ona mnóstwo wyrazów, które są także wspólne wszystkim językom słowiańskim; nie jest to wszakże zapożyczenie, bo są to wyrazy codziennej potrzeby, jak na przykład: *uguńs* (ogień), *ziemie* (ziemia), *mâte* (matka), *sôls* (sól), *ne* (nie), wyrazy konieczne, a zatem jednocześnie kiedyś wraz ze Słowianami zaczerpnięte przez Łotyszów gdzieś u wspólnego źródła, spokrewnionego z językiem sanskryckim.

Wszyscy Łotysze używają pisma łacińskiego. Wszakże w druku stale bywają używane głoski niemieckie w dolnej Kurlandyi i Inflantach szwedzkich, czyli gubernii Ryskiej, a łacińskie w górnej Kurlandyi i Inflantach polskich. Język tych co i w druku używają abecadła łacińskiego jest czysto łotewski; różni się tylko wymową od używanego w dolnej Kurlandyi i Inflantach szwedzkich, w których brakujące lub wyszłe z użycia wyrazy zastąpiono niemieckiemi, tam zaś polskiemi. Który zaś z dwóch dyalektów jest poprawniejszy dotąd przez sędziów bezstronnych nie zostało jeszcze rozstrzygniętem; na korzyść narzecza górnej Kurlandyi i Inflant polskich przemawia zdaniem piszącego już ta okoliczność, że Łotysz z Inflant szwedzkich łatwo naszego rozumie, którego nazywa „*Pohls*“ (Polak), kiedy nasz już rozmówić się z tamtym tak łatwo nie może.

I nic to dziwnego jeśli zważymy, że Łotysz z Inflant szwedzkich coraz to więcej słów niemieckich do swego narzecza wprowadza, dając im tylko końcówkę łotewską. Jako przykład bijący w oczy podajemy tu zdanie niemieckie: „*Der Nachbar begehrte den Lohn am Montag*“, które Łotysz z okolic Rygi niezawodnie w ten a nie w inny sposób przetłumaczy: „*Naburgis pagereja lôni mandagâ*“, wtenczas kiedy w Inflantach polskich przetłumaczonoby toż samo zdanie słowami czysto łotewskiemi: „*Kajmins praseja moksas pyrmdiu*“ (to znaczy: sąsiad domagał się płacy w poniedziałek), które to słowa najłatwiej zrozumie i Łotysz z okolic Rygi.

Zasada ortografii Łotyszów inflancko-polskich następująca: „Pisz jak mówisz, nie troszcząc się o pochodzenie inaczej w pierwiastku brzmiących głosek“. Przeciwnie Łotysze z Inflant szwedzkich i dolnej Kurlandyi używają zawiłej niemieckiej pisowni (a w druku i głosek niemieckich), która przy użyciu często zdarzających się syczących dźwięków, oraz rozmaitego zastosowania głoski *h*, wiele przedstawia trudności.

Najstarszym drukiem łotewskim jest niezaprzeczenie ustęp w pierwszej edycyi kosmografii Sebastyana Munstera (ogłoszonej w roku 1550), zawierający na str. 932 „Ojcze nasz“ Łotyszów w narzeczu zbliżonem do tego, jakie i dotąd napotykamy w górnej Kurlandyi i Inflantach polskich.

W r. 1587 wydał J. Rivius w Królewcu katechizm protestancki skrócony w języku łotewskim, a wkrótce potem, na żądanie

księcia Kettlera psalmy, ewangelie i lekcye dla protestanckich parafij Łotyszów. Dla katolickich zaś wydał Erdman Tolgsdorf S. J. w roku 1604 katechizm, hymny i antyfony, a Jerzy Elger także z Tow. J. obszerniejszy katechizm w r. 1720, a ewangelie na wszystkie niedziele i święta w roku 1673.

Tenże Georgius Elger S. J. ogłosił w r. 1683 pierwszy słownik łotewski pod tytułem: „*Dictionarium Polono Latino-Lothavicum*“ Vilnae in 8-o stronnic 674.

Pierwszy kalendarz łotewski wyszedł w Mitawie w roku 1763, pierwszy elementarz łotewski z abecadłem, krótkim katechizmem katolickim i modlitewkami — w Wilnie w r. 1768, staraniem księży Jezuitów.

Pierwsza gazeta Łotyszów pojawiła się w Mitawie już w roku 1822. Były to wspomniane już na swojem miejscu „Wiadomości łotewskie“ (Łatwieszu Awizes).

Najdoskonalszą i najbardziej naukowo traktowaną gramatykę tego języka napisał uczony prezes towarzystwa łotewsko-literackiego Dr. August Bielenstein. Drukowaną została w Berlinie w leciech 1863 i 1864 pod tytułem: „*Die lettische Sprache nach ihren Lauten und Formen*“ (2 tomy w 8-ce).

Za najlepszy słownik łotewsko-niemiecki i niemiecko-łotewski uchodzi obecnie dykcyonarz K. Ulmana i G. Braschego w dwóch sporych tomach, wydany w Rydze w latach 1872 i 1880. Dla polsko-inflanckiej gałęzi Łotyszów ogłosił J. Kurmin „Słownik polsko-łacińsko-łotewski“ w Wilnie w r. 1858.

Czytelników pragnących zaznajomić się bliżej z piśmiennictwem łotewskiem odsyłamy do obszernego spisu chronologicznego literatury Łotyszów Dra Napierskiego, Ryga 1831 r., z trzema dodatkami wydawanemi stopniowo aż do roku 1869, a także do świeżo wydanej pracy naszej: „*Bibliographische Notiz über lettische Schriften, welche von 1604 bis 1871 in der hochlettischen resp. polnisch-liolândischen Mundart veröffentlicht worden sind*“, ogłoszonej w „*Magazin der lettisch-literärischen Gesellschaft*“, Tom XVII. Mitawa 1885 r., oraz w osobnej odbitce nakładem Kymmla w Rydze. Wspomniana bibliografia odnosi się wyłącznie do narzecza katolickiej gałęzi Łotyszów. Najnowsze utwory protestanckiej gałęzi tegoż szczepu, zwłaszcza zasługujące na osobną wzmiankę, wyliczają

wciąż w swych notatkach bibliograficznych nietylko rozmaite dzienniki i dzienniczki łotewskie, ale i kilkakrotnie już przez nas przytaczane poważne dzieło zbiorowe: „*Magazin der lettisch-literärischen Gesellschaft*“.

Gustaw Manteuffel.

Z Wiednia.

Ustawa o zabezpieczeniu losu robotników na wypadek okaleczenia i kwestya reform społecznych w Kole polskiem.

W ostatnim liście wspominaliśmy o zaprojektowanych przez rząd krokach dalszych na drodze reform społecznych, które w mowie tronowej słusznie uznane zostały, jako przewyższające ważnością swoją o wiele rozliczne walki stronnictw. Do liczby ustaw, które rząd już przedłożył radzie państwa, przybyła tymczasem nowa, mianowicie ustawa o zaprowadzeniu odrębnych przepisów przy sukcesyach w posiadłości ziemskie średniej wielkości. Redakcya *Przeglądu* dała nam sposobność traktowania przedmiotu tego osobno, nie rozpisujemy się tedy na tem miejscu obszerniej o nim, a tylko zaznaczamy, że komisya wybrana w izbie poselskiej dla tej ustawy, prace swe już rozpoczęła. Mówiono nawet o tem, iż jeszcze w czasie trwania obecnej kadencyi ustawa ta ma być uchwaloną; ale sądzimy, iż się tego spodziewać nie można w obec nawału innych prac, które jeszcze przed feryami latowemi załatwić należy. Zresztą nie przyspieszyłoby to wprowadzenia w życie reform ustawą tą zaprojektowanych, bo zależy to od sejmów krajowych, a prace rady państwa, tak się zapewne ułożą, iż dla sesyj sejmów krajowych mało pozostanie czasu, w każdym razie zapewne nie tyle, aby obok spraw bieżących ważną kwestyę zmiany prawa spadkowego dla zagród włościańskich załatwić zdążyły. W izbie poselskiej rady państwa natomiast, już w tych dniach rozpoczną się obrady nad ustawą o zabezpieczeniu losu robotników na wypadek kalectwa. Wspominaliśmy już o tej ustawie w ostatnim liście, wypowiadając przekonanie, iż korzystnego jej załatwienia, tj. przyjęcia przez radę państwa spodziewać się należy. Komisya izby poselskiej rzeczywiście

z małemi zmianami przyjęła projekt rządowy, ale opozycya zagraża obecnie z pewnej strony, z której się jej właściwie najmniej spodziewaliśmy, tj. od koła polskiego. Dyskusya, jaka się toczyła w ostatnich dniach na trzech posiedzeniach koła polskiego nad wzmiankowaną ustawą, tak zasadnicze ma znaczenie, iż jej milczeniem pominąć nie można, właśnie dla tego, że się toczyła w gronie posłów polskich.

Zgóry nadmienić musimy, iż opozycya zamanifestowana w kole polskiem, nie zwraca się przeciwko całej ustawie, lecz tylko przeciwko obowiązkowi zabezpieczania także robotników rolnych. Sam prezes koła, p. Grocholski przedłożył wniosek domagający się, aby obowiązek zabezpieczania robotników zajętych w rolnictwie, ograniczono na tych tylko, którzy pracują w zakładach przemysłowych z gospodarstwem wiejskim połączonych, jako to w gorzelniach, browarach i tym podobnych zakładach, gdzie to samo co w innych fabrykach istnieje dla robotników niebezpieczeństwo, a podobne też warunki kontraktowe. Projekt ustawy przepisuje, że wszyscy ci robotnicy mają być zabezpieczeni, którzy przy machinach rolniczych są zajęci. Otóż zmiany przepisu tego domaga się p. Grocholski dla tego przedewszystkiem, iż w obec odmiennego położenia materyalnego robotnika na wsi, w porównaniu z robotnikiem zajętym w fabrykach po miastach, nie widzi tak nagłej potrzeby zabezpieczenia losu robotnika wiejskiego na wypadek kalectwa, jakie istnieje u robotników zajętych w fabrykach. Według zdania p. Grocholskiego, zachody, jakie będą połączone z obowiązkowem asekurowaniem robotników wiejskich, tak będą wielkie, że korzyść z tej asekuracyi w żadnym do tych zachodów nie pozostanie stosunku. Gdy zaś zarząd tej asekuracyi przeważnie organa rządowe sprawować mają, i też same organa będą też przygotowywały wszelkie wykazy potrzebne do asekuracyi, gdy nareszcie pod przewodnictwem tychże samych władz robotnicy będą wybierali swoich delegowanych do administracyi spraw asekuracyjnych, przeto rządowym organom tysiączne się nastręczą okazye mięszania się do stosunku pomiędzy chlebodawcą a robotnikiem, a w danym razie do nadużycia tego stanowiska swego. Nareszcie sądzi p. Grocholski, iż cała sprawa asekuracyi robotników wiejskich należy do kompetencyi sejmów krajowych, im zatem sprawę tę przekazać należy.

Że wątpliwości takie nasunąć się mogą, to najzupełniej pojmujemy, chociaż ich nie podzielamy we wszystkiem. Nie przesądzamy zupełnie spornej kwestyi kompetencyi rady państwa lub sejmów krajowych dla tej sprawy, a jeżeli rzeczywiście do sejmów krajowych należy decyzya o tem, sejmom uporządkowanie sprawy asekuracyi robotników wiejskich pozostawić trzeba.

Pojmujemy zupełnie, że przypominając sobie rolę jaką organa władz administracyjnych w smutnych dla kraju chwilach w obec obywateli ziemskich odgrywały, p. Grocholski nie chciałby im dawać sposobności mięszania się do stosunku pomiędzy właścicielem ziemskim a robotnikiem. Ale nie możemy dopatrzeć się tego, iżby sposobność taka nastręczała się z tytułu projektowanej ustawy o zabezpieczeniu w wyższym stopniu, niżeli to było dotychczas. Wszak i bez podobnej ustawy zdołano wywołać wypadki, których grozy nic chyba prześcignąć nie potrafi. A zważyć należy, iż ten sam argument przysługuje także fabrykantom. Tak samo rzecz się ma z rzekomemi zachodami, jakie ma sprawiać zebranie i kontrolowanie potrzebnych do zabezpieczenia wykazów. Fabrykant może już dla tego samego, że pomiędzy robotnikami większa jest fluktuacya, częściej zmiana zachodzi, więcej będzie miał pracy z zestawieniem odnośnych wykazów, niżeli rolnik.

Co się nareszcie tyczy potrzeby zastosowania zabezpieczenia na wypadek kalectwa do robotników wiejskich, to sami w liście ostatnim, z okazyi wzmianki o projekcie zabezpieczenia, zwróciliśmy uwagę na różnicę, jaka zachodzi pomiędzy stosunkami robotników zajętych w rolnictwie a robotników fabrycznych, a potrzeba zabezpieczenia robotników pracujących w rolnictwie nie wydawała nam się być pilną. Nie znamy jednakże stosunków robotników wiejskich w Galicyi, a musielibyśmy zdanie o potrzebie zabezpieczenia ich zmienić, gdyby powszechnie w Galicyi było zostosowane to, co nadmienił poseł Dzieduszycki, tj., iż wszyscy robotnicy rolni w Galicyi są uwłaszczeni, prawie każdy z nich grunt posiada. W obec takich robotników bowiem, właściciel ziemski nie ma tych samych obowiązków, co w obec tych, którzy w jego majątku, jako stale zaangażowani mieszkają. Drobna własność ziemska, mały grunt takiego robotnika z pewnością też nie wystarczy na wyżywienie go w razie kalectwa, a wtedy rzeczywiście tak samo jak robotnik fa-

bryczny na nędzę jest skazany. Tu tedy potrzeba zabezpieczenia takiego robotnika przeciwko smutnym następstwom kalectwa rzeczywiście jest naglącą i niejednej nędzy niezasłużonej zabezpieczenie mogłoby zapobiedz.

Zresztą, choćby potrzeba zabezpieczenia losu robotników wiejskich na wypadek kalectwa nie była naglącą, to w każdym razie z tem ograniczeniem, z jakiem obowiązek zabezpieczenia zadecydowała komisya izby poselskiej, zawsze zabezpieczenie to się zaleca, a gdy już większość komisyi je przyjęła, to dziś już nie pora dla Koła polskiego podnosić opozycyę, ani też opozycya taka właśnie w chwili obecnej byłaby fortunną. Co do pory spóźnionej, to zauważyć należy, iż rząd projekt do ustawy już wniósł w grudniu w r. 1883 i zaraz przy początku sesyi obecnej, było więc czasu dosyć do zastanowienia się nad sprawą całą, zanim komisya powzięła decyzyę; występowanie zaś koła polskiego, które w tym względzie zupełnie byłoby odosobnione, przeciwko reformom projektowanym, bądź co bądź w interesie robotników, i to występowanie takie w chwili, gdy zaledwie przycichły pogłoski o zaniepokojeniu włościan w pewnych okolicach Galicyi — byłoby krokiem bardzo nietrafnym, wciskającym broń w rękę przeciwników naszych, i agitatorów podburzających przeciwko większej własności ziemskiej.

W Kole polskiem zwyciężyła ostatecznie większość przeciwna wykluczeniu robotników wiejskich od dobrodziejstwa ustawy, ale większość to była niewielka. Dyskusya nad wzmiankowaną ustawą o zabezpieczeniu nastręczyła niektórym posłom sposobność wypowiedzenia poglądów swoich na całą akcyę w kierunku reform społecznych, jaką przedsięwzięła od lat kilku prawica. Wiadomo, że głównymi inicyatorami tej akcyi w kołach parlamentarnych byli posłowie: hr. Belcredi, książe Liechtenstein i Zallinger. Nie potrzebujemy się zresztą rozpisywać o tem, gdy świeżo (w zeszycie z kwietnia r. b.) *Przegląd* zamieścił krótki pogląd na socyalizm chrześcijański w Austryi. To tylko tu zaznaczymy, że z posłów polskich w pracy parlamentarnej w tym kierunku wybitny udział brali posłowie *Chamiec* i *Dr. Biliński*. Otóż z świeżej dyskusyi w Kole polskiem okazuje się, że wielka część posłów polskich nie zgadza się z kierunkiem zainicyowanym niektóremi znanemi reformami na

na polu ekonomiczno-społecznem. Co najdziwniejsza to to, że gdy reformy społeczne wychodzą właściwie z inicyatywy kół zachowawczych, w kole polskiem właśnie ci posłowie, którzy do zachowawczego obozu się zaliczają nieprzychylnie o tych reformach się wyrażają, gdy przeciwnie posłowie skłaniający się do kierunku więcej liberalnego uznają potrzebę reform socyalnych.

Prezes Koła poseł *Grocholski* wprawdzie tylko powiedział, że nie wdaje się w rozprawę nad tem [1], „czy walka rozpoczęta przeciw fabrycznemu kapitałowi przez konserwatywne stronnictwo ułagodzi czy też przeciwnie rozjątrzy kwestyę socyalną". Natomiast już poseł *Chrzanowski* wprost wypowiedział przekonanie o wątpliwej wartości całej socyalnej polityki prawicy, ograniczającej swobodę jednostki i zaprowadzającej interwencyę państwa tam wszędzie gdzie jej nie trzeba. Poseł *Abrahamowicz* obawia się, że skutkiem zastosowania ustawy o zabezpieczeniu robotników przeciwko kalectwu do robotników wiejskich, byłoby przeniesienie socyalizmu na grunt wiejski, gdzie go dotychczas nie ma. Hr. *Wojciech Dzieduszycki* jest zdania, iż „kwestya socyalna na wsi już została po części rozwiązaną w sposób o którym w fabrykach marzyć nie podobna. Robotnik wiejski został już prawie wszędzie uwłaszczony a zatem ma starość bardziej zapewnioną niż robotnik fabryczny po przeprowadzeniu ustawy o zabezpieczeniu. Wyjątkowym (?!) wypadkom powinno zaradzić humanitarne i szersze ustawodawstwo krajowe o szpitalach i ubogich. Dalszego postępu społecznego na wsi należy szukać w ułatwieniu parcelacyi latyfundyów, i w rozpowszechnieniu indywidualnej własności. Hr. Dzieduszycki dalej sądzi: iż „kolektywizm i wszelkie inne socyalistyczne teorye dążąc do omnipotencyi państwa, do kosmopolitycznej centralizacyi i do ograniczenia praw jednostki, są nietylko zgubne dla narodu polskiego, ale są nie mniej zgubne dla samych klas pracujących". Ks. *Czartoryski* nareszcie mniema specyalnie o ustawie dotyczącej zabezpieczenia losu robotników na wypadek kalectwa, iż „cała ta ustawa jest nadzwyczaj wątpliwej wartości. Sprzeciwia się

[1] Ustępy w cudzysłowie, cytowane są dosłownie wedle szczegółowego sprawozdania z odnośnych posiedzeń Koła polskiego, umieszczonego w „Dzienniku Polskim".

ona zasadniczym warunkom wolności obywatelskiej, wprowadzając na mocy prawa ograniczenia w wolnych układach (?), odbiera robotnikowi i urzędnikowi fabrycznemu poczucie odpowiedzialności za własny czyn, zapewniając jego przyszłość nawet na wypadek własnego przewinienia; przeciwstawia robotnika chlebodawcy, a wszędzie wprowadza biurokratę jako pośrednika pomiędzy jednym i drugim. Obowiązkiem państwa bywa dostarczenie środków tam, gdzie środki prywatne albo lokalne nie wystarczają. Dostarczywszy takich środków w celu społecznej reformy, spełnia państwo najlepiej swoje zadanie, jeżeli potem zostawi społeczeństwu wolną rękę i odpowiedzialność za czyn własny".

Gorąco przemówił za potrzebą reform społecznych poseł *Madejski*. Wedle niego „dążenie do reform społecznych jest ruchem tak potężnym, że kto w Europie, czy nawet w Ameryce chce władzę utrzymać w ręku, ten musi sam ująć ster tego ruchu; kto go neguje zostaje pokonany. Przywódzcy prawicy to pojęli i wypisali na swoim sztandarze. Gdyby się Polacy od nich odłączyli, skazaliby się na niepowetowaną, konieczną klęskę, straciliby stanowisko polityczne, straciliby prawo żądania pomocy prawicy i opieki w ekonomicznych sprawach kraju naszego. Trzeba ubolewać nad tem, że ten prąd czasu wzmaga omnipotencyę państwa, że oddaje coraz większe atrybucye władzy centralnej, a pomija wpływ organów autonomicznych ale uznać trzeba też, że to wszystko jest koniecznością nieuniknioną, której się oprzeć skutecznie nie podobna,... bo tylko państwo jest tyle potężnem, aby módz ująć w swoje ręce ster sprawy socyalnej". Zwracając się specyalnie do ustawy o zabezpieczeniu powiedział p. Madejski: „jeżeli zgodzimy się na asekuracyę przy przemyśle a sprzeciwimy się takowej przy roli, narazimy się na zarzut służby interesom czysto kastowym. Zarzut ten nie będzie słuszny ze względu na motywa wewnętrzne naszego działania, ale będzie miał wszelkie pozory słuszności. A zarzut taki w tej zwłaszcza chwili byłby nad wyraz dotkliwy i jego skutki niesłychanie zgubnemi, bo w polityce ocenia się czyny nie według pobudek ale według znaczenia ich i charakteru. Z głębokim żalem byłbym — powiada p. Madejski — świadkiem chwili, w którejby Koło polskie sprzeciwiło się humanitarnemu i koniecznemu prądowi i nietylko zatraciło poważne stanowisko polityczne, jakie winno krajowi

i narodowi, ale także dało wrogom kraju naszego broń, za pomocą której będą mogli i reputacyę naszą niszczyć do szczętu i zaufanie ludu wiejskiego do ziemian podkopywać, donosząc mu o tem, jako wśród całego parlamentu jedni tylko „panowie Polacy“ nie chcieli zabezpieczenia robotników przed skutkami kalectwa“.

Posła Madejskiego poglądy poparli, mianowicie też o ile się tyczyły potrzeby ogólnych reform społecznych, posłowie: Chamiec, Żuk-Skarszewski, Gniewosz, Hausner i dr. Biliński.

Rozbierzmy króciutko zasady i poglądy wygłoszone przez członków Koła polskiego i porównajmy je z kierunkami ogólnemi, jakie dziś w polityce ekonomicznej i społecznej panują. Zaczynając od pobieżnej charakterystyki ostatnich, możemy t. zw. liberalnych ekonomistów podzielić na główne dwa obozy. Jedni przyznawają wprawdzie iż istnieje bieda socyalna, ale twierdzą, iż jest tylko chwilową, przejściową i należy tylko odczekać momentu kiedy przekroczymy t z. *todten Punkt* ekonomiczny, a dobrobyt ogólny się polepszy i stosunki społeczne się poprawią. *Laisser faire, laisser passer, le monde va de lui même* to ich maksyma. Pozostawić człowiekowi wolną wolę, a egoizm najlepszą ku szczęściu społeczeństw poprowadzi drogą. Druga część liberałów przyznając biedę socyalną powiada zarazem, że zaradzić jej tylko może państwo przez ściślejszą organizacyę społeczeństwa w kierunku kolektywizmu z zastosowaniem ogólnych zasad etycznych lub przepisów kodeksu karnego.

Socyalistów chrześcijańskich tj. tych, co wierzą głównie w reformatorską czynność Kościoła też na dwie kategorye podzielić można, mianowicie na takich, którzy jak np. znany ekonomista Périn powiadają, że organizacya dzisiejsza społeczeństw, oparta na jak największej swobodzie jednostki, może pozostać, skoro tylko uda się zaszczepić ogólnie w społeczeństwo, prawdziwie chrześcijańskie zasady, mianowicie egoizm dzisiejszy zastąpić miłością bliźniego.

Druga część samą czynność Kościoła uważa dziś już za niewystarczającą a domaga się także pomocy państwa do zorganizowania społeczeństw na zasadach chrześcijańskich.

Kierunki te powszechnie znane a scharakteryzowaliśmy je tylko po krótce, aby się przypatrzeć w którą stronę skłaniają się posłowie polscy w izbie poselskiej. Właściwie pomiędzy mó-

wcami których przemówienia w streszczeniu przytoczyliśmy, — posłów: Dzieduszyckiego, Czartoryskiego, Chrzanowskiego, a po części także p. Abrahamowicza, uważać musimy za bezwzględnych wyznawców kierunku *laisser faire*. Wszyscy czterej ci panowie oburzają się na tych, co swobodę jednostki chcą ograniczać na rzecz państwa. Ale wszakże oni domagają się ograniczenia swobody jednostek tylko tam, gdzie swoboda ta stać się może szkodliwą dla innych, a pragną rozciągnienia opieki nad jednostkami ekonomicznie i społecznie słabemi, które w obec silniejszych ostać się nie mogą? Ks. Czartoryski obawia się tych ograniczeń „w wolnych układach pomiędzy robotnikiem a chlebodawcą"; a czy układy te rzeczywiście są swobodne?, czy robotnik nie działa pod przymusem, gdy mu dokucza głód i zimno, a chlebodawca ofiaruje płacę opartą na zasadzie?, którą Lassalle słusznie nazwał *das eherne Lohngesetz*? Czy rzeczywiście traktują tu ze sobą dwie jednostki, cieszące się równą zupełnie swobodą? Gdy zaś tak nie jest, gdy silniejszy wyzyskać chce słabszego, rządząc się jedynie egoizmem, i nakłada mu warunki ubliżające godności ludzkiej, czyż władza opiekuńcza absolutnie nie może mieć prawa wmieszania się do tego stosunku i wskazania granic, jak daleko iść można?

Konsekwencyę zastosowanej fałszywie wolności trafnie opisuje znakomity ekonomista *Marlo*, jak następuje: „Chociaż liberalni jeszcze w żadnym kraju zasad swoich nie przeprowadzili, to jednak próby dotychczasowe wykazują dostatecznie bezskuteczność ich dążności. Chcieli aby praca była wolną, a oddali ją pod jarzmo kapitału; chcieli uwolnić wszelkie siły z więzów które je krępowały, a narzucili na nie pęta nędzy; chcieli uwolnić chłopa od ziemi, do której był przykuty, a pozbawili go ziemi, na której się opierała egzystencya jego; dążyli do dobrobytu ludzkości, a stworzyli niedostatek i zbytek; chcieli nadać zasłudze przynależną jej godność, a uczynili ją niewolnicą własności, posiadania; chcieli zniszczyć wszelkie przywileje, a stworzyli ogromny przywilej kapitału, ... chcieli uszlachetnić społeczeństwa, a stworzyli zgniliznę moralną; jednem słowem, chcieli wolności bez granic, a stworzyli najokropniejszą niewolę". Czy można zaprzeczyć na seryo trafności tej charakterystyki skutków swobody jednostek, która niczem nie miała

być krępowaną, swobody, którą Lassale nazywa swobodą umierania z głodu?

Hr. Dzieduszycki powiada wprawdzie, że kwestya socyalna na wsi już została po części rozwiązaną, bo robotnik wiejski już prawie wszędzie uwłaszczony. Ale czyż tu własność rzeczywiście jego jest własnością?, czy hr. Dzieduszyckiemu nie jest znana instytucya długów hipotecznych, które znów ten szczęśliwy właściciel zawdzięcza niczem nie krępowanej swobodzie swojej robienia długów pod wszelkiemi formami, a dzięki którym nie pracuje dla siebie, lecz wyłącznie dla swego wierzyciela? Czy wolność ta, którą szanowni posłowie tak podnoszą, prowadzi do upragnionej przez hr. Dzieduszyckiego parcelacyi latyfundyów, czy też raczej do tworzenia i zwiększania tychże?

Nie mielibyśmy przyczyny bać się swobody powszechnej, indywidualnej, jak najdalej posuniętej, gdyby ludzkość na wskróś była przejęta duchem chrześcijańskim, zasadą miłości bliźniego. Ale gdzież jej dziś szukać; zapanował powszechnie egoizm, myślą przewodną nie jest chęć poparcia bliźniego, lecz chęć wyzyskania go, a dopóki w taki sposób ludzkość z wolności korzysta, trzeba za pomocą tej siły, która jest powołaną do przestrzegania porządku społecznego — za pośrednictwem państwa, przymusowo organizować społeczeństwo na zasadach chrześcijańskich. Mamy nadzieję, że i w Kole polskiem przekonanie to ostatecznie górę weźmie, a wtedy nietylko ze względów taktycznych, lecz z przekonania popierać będzie reformatorów, którzy w tym kierunku idą.

A. D.

Korespondencya Redakcyi.

Otrzymujemy następujące pismo:

Szanowna Redakcyo!

Tygodnik petersburski *Kraj* umieścił w Nrze 10-tym swego pisma korespondencyę z Paryża, która wymaga odpowiedzi. Ponieważ z jednej strony mam powody sądzenia, że *Kraj* nie umieściłby mego listu, a z drugiej, idzie tu o zasady, których *Przegląd powszechny* stale broni, przeto udaję się do Szan. Redakcyi z prośbą o zamieszczenie w najbliższym zeszycie niniejszej *odprawy Krajowi*.

Autor korespondencyi podpisany pseudonimem *Zyzma* opisuje jubileuszowy obchód zaślubin Jagiełły z Jadwigą, który się odbył w Paryżu dnia 27 lutego b. r., i dotykając mowy Dra Gałęzowskiego, przewodniczącego zgromadzenia, twierdzi, że zdanie przez mówcę wypowiedziane, iż „kto nie jest katolikiem, nie może być uważany za Polaka — wywołało dość głośne szemranie na skrajnej lewicy, zajmowanej przez młodzież, lecz zarazem zdwoiło oklaski pozostałych gości".

Smutną jest wprawdzie rzeczą widzieć młodzież w takich okolicznościach występującą z takim objawem; lecz to nikogo nie zdziwi, skoro sam korespondent nazwał ją „skrajną"; pocieszającem zaś jest, że większość, a raczej ogół zagłuszył niedojrzałe wybryki oklaskami. To zajście wszakże dało powód korespondentowi do wystąpienia z poglądami, które chociaż nie zdziwią znających tendencye pisma, bez odpowiedzi jednak zostać nie powinny, skoro chcą uchodzić za wyraz opinii w kraju.

P. Zyzma występuje przeciw całej emigracyi, przeciw duchownym i przeciw świeckim; wszyscy są według niego „klerykałami". „Atmosfera emigracyi, pisze on, jest zatęchła..., emigracya zamarynowana długie lata w pewnych formułkach, powtarzanych jak za panią matką pacierz, straciła czucie z krajem, nie ma wyobrażenia o prądach, które go od lat dwudziestu przebiegają"... Któż ma prawo taki sąd wydawać? Czy korespondent paryski — widocznie należący do tej „młodzieży skrajnej", jak ją sam nazywa? — Czy Redakcya petersburska, która chyba tylko tytuł ma wspólny z krajem? Jeżeli kolonia polska w Paryżu nie może wyrokować o prądach w kraju naszym, to takaż kolonia w Petersburgu nie może również rościć sobie do tego pretensyi. Co zaś korespondent jako dowód przytacza: że pozytywiści warszawcy działalnością swą od r. 1865 sprawili, iż „wątpimy czy dzisiaj w kraju, w najbardziej zapadłej mieścinie, znalazłby się doktor medycyny, któryby wystąpił w obec miejscowej inteligencyi, z poglądami o katolicyzmie i polskości, które słyszeliśmy tu z ust Dra Gałęzowskiego" — to najwymowniej pokazuje się, że właśnie p. Zyzma „stracił czucie z krajem".

Prawdą jest, że liberalizm i wolnomularstwo podawszy sobie dłoń na gruncie bezwyznaniowości wiele złego wyrządziło naszemu społeczeństwu, pewne pisma peryodyczne, niektóre rozprawy rzekomo naukowe, nowelle i powiastki starają się wprawdzie zamącić pojęcia młodzieży; lecz owoc ich działalności, jak ostatni socyalno-nihilistyczny proces wykazał w Warszawie, dzięki Bogu bardzo był nielicznym. Nasze społeczeństwo z gruntu jest chrześcijańskie, nie brak u nas chrześcijańskich przedstawicieli nauki i warstw kierujących, nie brak nawet „doktorów“ wypowiadających zdania podobne do tych, jakie wygłosił Dr. Gałęzowski, wśród uznania ogólnego. A gdy czasem jaki „doktor“, szukający popularności u „skrajnej lewicy“, pocznie się popisywać z bezwyznaniowością, ogólny głos kraju potępia i zagłusza ten fałszywy dźwięk z obczyzny importowany. Taki jest dziś prąd opinii w kraju, nie zaś taki jakimby go korespondent *Kraju* pragnął widzieć.

Druk ukończony dnia 26 maja 1886.

SPIS RZECZY.

Artykuły o rzeczach współczesnych.

Stronnica.

Jednostka w obec państwa, przez *Dr. J. Skrochowskiego* (Dokończenie) 68
Uwagi nad stanem finansów krajowych 140
Sprawa Irlandzka 257, 425
Kółka rolniczo-włościańskie w Wielkopolsce, przez *Dra W. Łebińskiego* 353
Po zjeździe nauczycielskim, przez *Dra K. Petelenza* . 436

Artykuły naukowe i literackie.

Chrześcijański mąż stanu, Don Gabryel Garcia Moreno 1, 193
Z Ukrainy Połabskiej (Dokończenie), przez *Jana Grzegorzewskiego* 19
Człowiek w stosunku do religii i wiary II. (Ciąg dalszy), przez *ks. Antoniego Langera T. J.* . . 32
Relacya o upadku Kamieńca r. 1672 (Dokończenie) 44
Szkolnictwo we Francyi, III. (Dokończenie) przez *H. Rodde du Vernet* 85
Janssen i Historya Reformacyi, przez *ks. A. Kraetziga T. J.* 177, 376
Święty Cyprian Kartagiński i karność Kościoła w III. wieku, przez *ks. Jana Badeniego T. J.* 211, 405

Stronnica

Bazylika Litewska, przez *A. H. Kirkora* 233,
O projektach wprowadzenia czasu wszechspólnego, skreślił *Dr. Wierzbicki* 276, 392

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa krajowego:

Pojedynek, jego reguły i przykłady. Napisał *Witold Bartoszewski*, prezes klubu szermierzy w Wiedniu 98
Księżniczka, powieść uwieńczona nagrodą konkursową. Napisała *Zofia Urbanowska* 108
Rys oświaty i funduszów edukacyjnych w polsce. Napisał *Aleksander Bossakiewicz* 111
Dziedzic na pustkowiu, powieść przez *Fr. Ksaw. Tuczyńskiego* 111
Ludwik Nabielak. Opowieść historyczna, przez *Władysława Zawadzkiego* 288
Zarys literatury polskiej z ostatnich lat dwudziestu, przez *Piotra Chmielowskiego* 289
Z życia. Nowelle przez z *Hr. Łosiów Br. M. Hagen* 290
Idea. *(Ks. M. Morawski)* 446
Stosunki polskie po śmierci Leszka Białego w r. 1228. Napisał *Kazimierz Szkaradek (A. Sulima)* 456
Dzieje nowożytne w obrazach, według dzieła Grube'go, z dodatkiem historyi Sławiańszczyzny, opracowała *Z. Zajączkowska.* Tom III. 459
Dzieje Litwy, opowiedziane w zarysie, przez *Konstancyą Skirmuntt* 461

Z piśmiennictwa zagranicznego:

Z dziedziny hist. kościelnej w r. 1885, przez *ks. A. Arndt'a T. J.* 112
Pamiętniki Wasyla Łużyńskiego, archi-episkopa Połockiego. Wydanie akademii duchownej Kazańskiej *(Wołyniak)* . . 123
Reformacya i katolicka w Polsce reakcya, przez *N. Kariejewa*, w języku rosyjskiem, drukowano w Wiestniku Europy 1885 r. *(Wołyniak)* 123
Albrecht Pruski i Reformacya w Polsce, przez *Lubowicza*, (Żurnał narodnawo praswieszczenia 1885). *(Marek Gozdawa)* 126
Julia Baronowa Krüdener, przez *W. N.* (Rus. Archiw, 1885). (Tenże) 126
Adam Kisiel Wojewoda Kijowski, szkic historyczno-biograficzny, przez *Iwana Nowickiego.* (Tenże) 127
The Punishment and Prevention of Crime (Ukaranie i zapobieżennie zbrodni), by sir *Edmund du Cane* 290
Histoire litteraire des Vaudois du Piemont, par *Edouard Montet* 305
Le monde pittoresque et monumental: L'Angleterre, l'Ecosse et l'Irlande, par *P. Willars* 305
Bibliographie hellenique, ou description raisonnée des ouvrages publiés en grec par des Grex aux XV. et XVI. siècle, par *Émile Legrand* 306
Dictionnaire abrégé de six langues slaves (russe, vieux-slave, bulgare, serbe, tchèque et polonais, par le professeur *F. Miklosich. (Szymon Matusiak)* 307

Stronnica.

La morte, par *Octave Feuillet. (Dr. Ignacy Skrochowski)* . . 461
Cursus Scripturae sacrae. Commentarius in Job. Auctore *P. Josepho Knabenbauer S. J. (Ks. A. Arndt T. J.)* . . 464
Geschichte des Unterrichtswesen in Deutschland, von den ältesten Zeiten. bis zur Mitte des XIII. Jahrhunderts, von *F. Anton Specht* 466
Z Literatury rosyjskiej: Witebskaja Starina. Izdał i sastawił *A. Sapunów.* Witebsk 1885. — Nowaja powiest' o smutnom wrjemieni XVII. wieka. Żurnał narodnawo praswieszczenja. Styczeń 1886. Przez *S. Płatonowa. (Marek Gozdawa)* 468

Z pism peryodycznych:

Biblioteka Warszawska, rok 1885. 128
Revue Philosophique Rok 1885. *(Dr. Ignacy Skrochowski).* . 131
XI. Historisch-Politische Blätter *(Dr. K. Petelenz)* . . . 308
XII. Theologisch-praktische Quartalschrift. Herausgegeben von den Professoren der bischöf. Dioecesanlehranstalt zu Linz. *(Ks. A. Arndt)* 469

Rozmaitości:

Nowe książki 138
Ateneum Warszawskie 314

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Kwiecień.

Cechy w Wielkopolsce i wykonywanie procederu I. 156
Socyalizm chrześcijański w Austryi, przez *A. Brezę.* 164
Sprawy Kościoła: Rewizya praw majowych i Centrum. — Nowela szkolna we Francyi. — Sprawa Des Dorides. . . . 170
Listy z nad Bałtyku IV.: Przymioty moralne Łotyszów — ich zatrudnienia i wyroby — przysłowia — ubiór — zwyczaje. Przez *bar. Gustawa Manteuffla* 172

Maj.

Pierwszy synod plenarny w Australii: Początek kościoła Australskiego. — Znaczenie synodu plenarnego. — Początek uroczystości — Kazanie. — Nabożeństwo żałobne i mowa na niem. — Sprawy i obrzędy połączone z synodem. — Zamknięcie Synodu. — Mowa kardynała arcybiskupa . . 316
List Słoweńca o Słoweńcach: Piśmiennictwo słoweńskie. — Stowarzyszenie św. Mohora. — Matyca słoweńska. — Czasopisma 323

Stronnica.

Listy z nad Baltyku V.: Mieszkania i pieśni Łotyszów. Przez *bar. Gustawa Manteuffla* 337
Sprawy kościoła: Burzenie Rzymu papieskiego 342
Z tegorocznej wystawy obrazów w wiedeńskim künstlerhauzie 347

Czerwiec.

Sprawy Kościoła: Z Księstwa Poznańskiego. — Ministeryum katolickie w Belgii i kongres w Verviers. — List episkopatu Stanów Zjednoczonych do biskupów Australskich 478
Cechy w Wielkopolsce i wykonywanie procederu II. . . 480
Krok naprzód na drodze kulturkampfu szkolnego we Francyi 496
Listy z nad Baltyku VI.: Język i piśmiennictwo Łotyszów. Przez *bar. Gustawa Manteuffla* 507
Z Wiednia: Ustawa o zabezpieczeniu losu robotników na wypadek okaleczenia i kwestya reform społecznych w Kole polskiem 510

Korespondencya Redakcyi 519

Wydawca i redaktor odpowiedzialny X. M. Morawski T. J.